

mFrancine RIVERs OGRÓD LEOTY

przełożyła Małgorzata Pawlikowska

Instytut Wydawniczy Pax Warszawa

Tytuł oryginału Leotas Garden

Copyright © 1999 by Francine Rivers

© Copyright for the Polish translation by Małgorzata Pawlikowska © Copyright for

the Polish edition by Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 2005

Opracowanie graficzne Beata Kulesza-Damaziak Redaktor Elżbieta Burakowska

Redakcja techniczna Ewa Dębicka-Szmagier Korekta Zespół

ISBN 978-83-211-1798-0

INSTYTUT WYDAWNICZY PAX, WARSZAWA 2009 00-519 Warszawa, ul.

Wspólna 25 e-mail

iwpax@it.com.pl księgarnia <http://www.inco-veritas.com.pl/pax>

Wydanie III. Ark. druk. 39,2516. Skład i łama DARTTEXT, Warszawa Druk i oprawa

OPOLOGRAF SA 45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 812

Moim babciom, kobietom pełnym siły i wiary

MARCIE WULFF MARGARET ELEANOR KING ANNIE TORESII JOHNSON

PODZIĘKOWANIA

Nie ma takiej książki, która powstałaby bez pomocy wielu ludzi. Chciałabym podziękować

May Sandine za podzielenie się swoimi wspomnieniami

Jimowi Ruppertowi i Cyndi Perez z Exchange Bank za cierpliwość w udzielaniu odpowiedzi na moje pytania dotyczące bankowości

Timowi Mooreowi i jego asystentce Dianne Moore z agencji maklerskiej Edward D.

Jones w Sewastopolu za informacje na temat giełdy papierów wartościowych

Rosie Sanchez Wagner z Fred Young and Company Funeral Directors za odpowiedzi na

kilka delikatnych pytań

Patricii Rushford za podzielenie się specjalistyczną wiedzą z zakresu domowej opieki nad starszymi ludźmi. Jej książka, *Caringfor Your Elderly Parents*, była dla mnie nieoceniona

oraz Karen Bali za słowa zachęty podczas prac redakcyjnych

Kiedy Corban Solsek zobaczył czwórkę na projekcie swojej pracy z socjologii, serce mu zamarło, a żołądek podszedł do gardła. Głęboko wstrząśnięty poczuł, że fala gorąca zalewa mu twarz, w chwilę później ustępując zimnej złości. Tak ciężko pracował nad tym studium! Sprawdzał informacje i źródła, analizował metody, które zamierzał wykorzystać do prezentacji swoich koncepcji, i przedstawił propozycję programu. Powinien był dostać piątkę! Co jest grane? Otworzył tekturową teczkę i powiódł wzrokiem po perfekcyjnie wydrukowanych

stronach, szukając poprawek, komentarzy, jakichkolwiek wskazówek mówiących o tym, dlaczego nie dostał oceny, na którą - jak wiedział - zasłużył.

Ani jednego czerwonego znaczka. Żadnych uwag. Nic.

Gotując się w środku, Corban otworzył notatnik, zapisał datę i próbował skoncentrować się na wykładzie. Profesor Webster kilka razy popatrzył z katedry wprost na niego, wyróżniając go spośród stu dwudziestu studentów zasiadających w rzędach ławek. Za każdym razem Corban przez parę sekund odwzajemniał spojrzenie, po czym spuszczał wzrok i notował dalej. Darzył profesora Webstera ogromnym szacunkiem, przez co jeszcze trudniej było mu pogodzić się z oceną.

Zakwestionuję jego ocenę. Nie muszę jej akceptować bez walki. Projekt nie jest dobry, jest doskonały. Poza tym Corban nie był przeciętnym studentem. Włożył w tę pracę całe serce i duszę i zamierzał dopilnować, by potraktowano go sprawiedliwie. Czyż nie to wpajał mu ojciec?

„Musisz walczyć o siebie, Cory. Nie pozwól sobą poniewierać. Jeśli ktoś cię kopnie, oddaj mu mocniej. Powal go na ziemię i dopilnuj, żeby się więcej nie podniósł. Nie wychowałem syna po to, żeby dawał sobie wciskać kit.”

Jego ojciec wspinał się na szczyt w kompanii przewozowej dzięki ciężkiej pracy i zacieklej determinacji. Robił wszystko - zaczynał jako kierowca ciężarówki, potem był mechanikiem, pracował w sprzedaży, administracji, został prezesem, aż w końcu stał się współwłaścicielem firmy. Był dumny ze swoich osiągnięć, a jednocześnie zawstydzony brakiem formalnego wykształcenia. Nie zaszedł dalej niż na drugi rok studiów. Rzucił szkołę, by pomóc matce i młodszemu rodzeństwu, gdy jego ojciec zmarł na zawał.

Również jego samego w rok po przejściu na emeryturę zabił zawał. Ojciec odszedł, pozostawiając bogatej wdowie, dwóm synom i córce pokaźne fundusze powiernicze.

„Skup się na tym, dokąd zmierzasz”, mawiał ojciec. „Idź do dobrej szkoły. Jeśli to możliwe - do najlepszej. Wyróżniaj się. Nie pozwól, by ktokolwiek lub cokolwiek weszło ci w drogę. Zdobądź dyplom renomowanej uczelni, a jeszcze zanim znajdziesz pierwszą pracę, będziesz w połowie drogi na szczyt.”

Corban ani myślał akceptować tej oceny. Zbyt ciężko pracował. To nie było sprawiedliwe.

-Ma pan coś do powiedzenia, panie Solsek? - Profesor Webster wpatrywał się weń ze swojego podium.

Corban usłyszał cichy śmiech kilku studentów. Wszyscy odwrócili się w stronę środkowego rzędu, by na niego spojrzeć, rozległ się szelest papierów i skrzypienie krzeseł.

-Słucham?

-Pański ołówek, panie Solsek. - Profesor uniósł brwi. - To nie jest lekcja instrumentów perkusyjnych.

Uświadomiwszy sobie, że oddając się gonitwie myśli, stukał ołówkiem o ławkę, Corban się zarumienił.

-Przepraszam. - Złapał ołówek w odpowiedniej pozycji do pisania i posłał dwóm trajkoczącym studentkom spojrzenie, które miało je uciszyć. Jakim cudem te ptasie mózdzki w ogóle dostały się do Berkeley?

-Czy wobec tego możemy kontynuować, panie Solsek? - Profesor Webster spojrział na niego z lekkim uśmiechem.

Zakłopotanie przemieniło się w złość. Ten drań świetnie się bawi. Teraz Corban miał dwa powody, by czuć się oburzony niesprawiedliwą oceną i publiczne poniżenie.

-Tak, oczywiście. W każdej chwili. - Zdobył się na suchy uśmiech i przybrał chłodną, pogardliwą pozę.

Nim wykład dobiegł końca, Corbana z napięcia rozboleła mięsień w szczęce. Czuł

się tak, jakby na piersi siedział mu dwutonowy słoń. Powoli upychał notatnik do plecaka, w którym znajdowało się mnóstwo książek i dwa małe skoroszyty. Na szczęście pozostali studenci szybko się wynieśli. Tylko dwie czy trzy osoby zatrzymały się, żeby przekazać jakieś uwagi profesorowi Websterowi, który teraz ścierał tablicę. Schodząc po schodach w stronę podium, Corban trzymał w ręce teczkę ze swoją pracą.

Profesor Webster zebrał notatki i wsunął je do aktówki.

-Ma pan jakieś pytania, panie Solsek? - Włożył aktówkę do teczki i zamknął ją z trzaskiem. Spojrzał na Corbana ciemnymi, przenikliwymi oczyma.

-Tak, panie profesorze. - Corban wyciągnął przed siebie opracowanie. - Bardzo ciężko nad tym pracowałem.

-To się dało zauważyć.

-Nie ma ani jednej poprawki.

-Nie były konieczne. Bardzo dobrze zaprezentował pan swoje koncepcje.

-Więc czemu czwórka, a nie piątka?

Profesor Webster położył dłoń na teczce.

-Ten projekt stanowi zaczątek doskonałej pracy semestralnej, panie Solsek, ale brak w nim jednego istotnego elementu.

Jak to możliwe? Zanim oddał pracę, oboje z Ruth ją przejrzeni. Zawarł w niej wszystko.

-To znaczy?

-Czynnika ludzkiego.

-Słucham?

-Czynnika ludzkiego, panie Solsek.

-Słyszałem, co pan powiedział. Nie rozumiem tylko, co ma pan na myśli. Cała praca koncentruje się na czynniku ludzkim.

-Czyżby?

Corban zdusił irytację spowodowaną sardonycznym tonem Webstera. Zmusił się, żeby mówić spokojniej.

-Co pana zdaniem powinienem zrobić, żeby to bardziej uwidocznic?

Chciał dostać piątkę z tych zajęć nie miał zamiaru godzić się na mniej.

Socjologia była jego przedmiotem kierunkowym. Przez trzy lata utrzymywał średnią 4,0. Nie zamierzał teraz psuć tak doskonałego wyniku.

-Przydałoby się omówienie konkretnych przypadków.

Corban spąsował ze złości. Z całą pewnością profesor nie przeczytał jego pracy uważnie.

-Włączyłem do pracy opis konkretnych sytuacji. Tutaj. Na piątej stronie. I

jeszcze tu. Strona ósma. - Wszystkie propozycje były poparte konkretnymi przypadkami. O co profesorowi chodzi?

-Zaczerpnięte z różnych książek. Tak, wiem. Przeczytałem pańską dokumentację, panie Solsek. To, czego panu brakuje, to osobistego kontaktu z ludźmi, których w największym stopniu dotyczą proponowane przez pana programy.

-To znaczy, że mam ankietować ludzi z ulicy?

Corban nie potrafił ukryć pogardy, pobrzmiewającej w jego głosie. Ile czasu zajmie mu opracowanie odpowiedniego kwestionariusza? Ile setek osób będzie musiał znaleźć, by uzyskać odpowiedzi na pytania? Przecież to jeszcze nie rozprawa naukowa. Nie jest na studiach doktoranckich. Jeszcze nie.

-Nie, panie Solsek. Chciałbym, żeby pan samodzielnie opisał jakiś

przypadek. Jeden wystarczy.

-Tylko jeden? Ale to...

-Jeden, panie Solsek. Na więcej nie starczy panu czasu. Proszę wprowadzić

czynnik ludzki, a zdobędzie pan piątkę, której pan tak pragnie. Jestem tego pewien.
dl

Corban niezupełnie zrozumiał, do czego profesor Webster zmierza, ale wyczuł u niego cień dezaprobaty. Czyżby w grę wchodził konflikt charakterów? Czyjego koncepcje były obraźliwe? Jak to możliwe? Gdyby proponowane przez niego programy

zastosowano w praktyce, rozwiązałyby mnóstwo problemów, z którymi obecnie borykają się systemy rządowe.

-Czy w pańskiej rodzinie znajdzie się osoba, której styl życia pasowałby do

scenariusza, jaki pan zaprezentował, panie Solsek?

-Nie, proszę pana.

Wszyscy krewni Corbana mieszkają w Connecticut i w północnej części stanu

Nowy Jork, zbyt daleko, żeby przeprowadzić potrzebną ilość wywiadów. Poza tym mają pieniądze. Dzięki ojcu awansowali ponad przeciętną klasę średnią. W swoim studium Corban koncentruje się na ludziach biednych, a nikt z jego bliskich nie potrzebuje zasiłku, żeby przeżyć. Pomyślał o matce mieszkającej przez część roku w Szwajcarii ze swoim nowym mężem, brokerem inwestycyjnym.

-Cóż, to stanowi pewien problem, prawda, panie Solsek? - Profesor Webster podniósł teczkę ze stołu. - Jestem jednak pewien, że go pan rozwiąże.

-Przestań narzekać, Cory - powiedziała tego popołudnia Ruth w ich wspólnie wynajmowanym mieszkaniu, które dzieliło od Alei Uniwersyteckiej tylko kilka przecznic. - To proste. Jeśli chcesz dostać piątkę, zrób to, czego od ciebie oczekuje profesor Webster. W końcu nie prosi cię o nic strasznego. - Przechesała palcami proste, krótkie, czarne włosy i otworzyła szafkę w małej kuchni. - Znowu skończyły się filtry do kawy?

-Skąd, jest ich całe mnóstwo. Zajrzyj do szafki na lewo od zlewu.

-Nie wkładałam ich tam.

-Przełożyłem je. Tak jest sensowniej. Dzbanek do kawy stoi dokładnie pod gniazdkiem. Kubki też przestawiłem. Są na półce nad kawą i filtrami. Ruth westchnęła.

-Gdybym zdawała sobie sprawę, jaki jesteś trudny, miałabym wątpliwości, czy się do ciebie wprowadzić. - Wzięła puszkę z kawą i filtry z dolnej szafki.

-Opis jednego przypadku. - Cory zastukał ołówkiem. - Tylko tyle mi trzeba.

-Kobieta.

Zmarszczył brwi.

-Dlaczego kobieta?

-Dlatego, że kobiety są bardziej gadatliwe. - Zrobiła minę. - I nie waż się powtórzyć moim przyjaciółkom z grupy wsparcia, że to powiedziałam.

-Zatem kobieta. W porządku. Jaka kobieta?

-Taka, z którą będziesz potrafił nawiązać bliski kontakt - powiedziała Ruth, wsypując do koszyczka piątą czubatą miarkę średnio palonej kawy.

-Nie muszę się w to angażować aż tak osobiście.

-Ależ musisz. Jak zdobędziesz odpowiedzi na pytania, jeśli nie zaprzyjaźnisz się z osobą, na której przeprowadzasz badanie?

-Nie mam czasu, żeby się zaprzyjaźniać, Ruth.

-Ojej, to nie musi być na całe życie. Wystarczy na tak długo, aż skończysz pisanie pracy.

-Mam kilka miesięcy. To wszystko. Muszę tylko znaleźć kogoś, kto spełni moje kryteria i będzie chętny do współpracy.

-O, to niewątpliwie zrobi wrażenie na profesorze Websterze.

-No to co proponujesz?

-Prostą rzecz. Zaoferuj coś na zachętę.

-Masz na myśli pieniądze?

-Nie, nie pieniądze. Nie bądź takim tępakiem, Cory.

Irytowało go, kiedy mówiła do niego tym protekcyjnym tonem. Znow postukał ołówkiem i nie odezwał się. Ruth spojrzała na niego i zmarszczyła brwi.

-Nie rób takiej kwaśnej miny, Cory. Wystarczy, że w zamian za informacje zaoferujesz swoje usługi.

Zaśmiał się cierpko.

-Jasne. A niby jakie usługi mogę zaoferować?

Ruth przewróciła oczami.

-Nie cierpię, kiedy jesteś w takim nastroju. W życiu nie można być perfekcjonistą. Na litość boską, Cory, uruchom wyobraźnię. Bo wyobraźnię chyba masz, co?

Jej ton drażnił Corbana. Odchylił się na krześle do tyłu i rzucił swój projekt daleko na stół, żalując, że nie podszedł do tematu w inny sposób. Perspektywa rozmawiania z ludźmi niepokoiła go, choć ani myślał przyznać się do tego przed Ruth. Ona, mając dwie specjalizacje - marketing i telekomunikację - może rozmawiać z każdym, o każdej porze, na każdy temat. Oczywiście fotograficzna pamięć też jej się przydaje.

-Przestań się tym zamartwiać. - Ruth pokręciła głową, nalewając czarną kawę do filiżanki. - Po prostu idź do supermarketu i pomóż jakiejś staruszce zanieść zakupy do domu.

-Jak znam swoje szczęście, uzna mnie za bandziora, który poluje na jej torebkę. - Corban wziął

do ręki ołówek i poderwał się, stukając nim o stół. - Lepiej załatwię to przez jakąś organizację pomocy społecznej.

-No i proszę. Znalazłeś rozwiązanie. - Pochyliła się, by pocałować go w usta, po czym zabrała mu ołówek i prostując się, wetknęła go sobie za ucho. Wiedziałam, że coś wymyślisz.

-Co z obiadem? - spytał, kiedy wychodziła z kuchni. - Dzisiaj twoja kolej na gotowanie.

-Och, Cory. Nie mogę. Przykro mi, ale wiesz, ile czasu zajmuje mi przygotowanie posiłku. Jeśli mam coś ugotować, muszę to zrobić dobrze, a mam dwieście stron do przeczytania i jeszcze parę materiałów do przejrzenia przed jutrzejszym testem.

On zwykle miał nie mniej pracy.

Ruth stanęła w drzwiach. Oparła się o futrynę i uśmiechnęła się do niego czarująco. Doskonały owal jej twarzy okalała ciemna oprawa włosów. Miała piękne ciemne oczy i uśmiech, który reklamodawcy pasty do zębów chętnie widzieliby na billboardach. Jej skóra była nieskazitelna jak u angielskiej damy. Nie wspominając o całej reszcie od szyi po sam dół. A w dodatku pod bardzo ładnym opakowaniem kryła się inteligencja. Nie wspominając o ambicji.

Już po pierwszej randce Cory wiedział, że pasują do siebie. Po drugim spotkaniu i namiętnej nocy spędzonej w jego mieszkaniu stało się to jeszcze bardziej oczywiste. Zawróciła mu w głowie i rozbijała jego hormony. W miesiąc po pierwszej randce miał trudności z koncentracją i zachodził w głowę, co z tym począć. Wtedy los się do niego uśmiechnął. Gdy pewnego dnia siedzieli przy kawie, Ruth opowiedziała mu o swoich kłopotach finansowych. Zalewając się łzami, wyznała, że nie ma pojęcia, skąd wziąć pieniądze, by dotrzeć do końca semestru. Zaproponował, żeby się do niego wprowadziła.

-Naprawdę? - Jej piękne brązowe oczy błyszczały od łez. - Mówisz poważnie?

-Poczuł się jak rycerz w lśniącej zbroi, który ratuje damę w niedoli. Dla niego pieniądze nie stanowiły problemu.

-Jasne.

-Nie wiem, Cory...

-Czemu nie? - Kiedy już powziął decyzję, pozostało mu tylko znaleźć najlepszy sposób na osiągnięcie celu.

-Bo za krótko się znamy - Ruth była niepewna.

-Czego jeszcze o mnie nie wiesz?

-Oj, Cory. Mam wrażenie, jakbym cię znała od zawsze, ale wprowadzić się do ciebie to duży krok.

-Nie wydaje mi się, żeby to mogło wiele zmienić. Spędzamy razem każdą wolną

chwile. Sypiamy ze sobą. Jeśli wspólnie zamieszkamy, tylko zaoszczędzimy czas.
-Ale to coś poważnego. Jak ślub. A ja nie jestem na to gotowa, Cory. Na tym etapie życia nawet nie chcę myśleć o małżeństwie. Jest zbyt wiele rzeczy, które muszę zrobić najpierw.

Słowo małżeństwo przeszło Corbana dreszczem. On też nie był przygotowany na takie zaangażowanie.

-Żadnych zobowiązań - powiedział, szczerze tak myśląc. - Będziemy równo dzielić wydatki i domowe obowiązki. Co ty na to? - Skrzywił się teraz na wspomnienie tamtych słów. Ale mówił wtedy wiele rzeczy, żeby ją przekonać. - To by nam obojgu zmniejszyło koszty utrzymania. - Choć dla Corbana pieniądze nie stanowiły problemu, nie chciał ranić jej dumy.

Wprowadziła się następnego popołudnia.

Mieszkali ze sobą od pół roku i czasami zastanawiał się...

Ruth wróciła do kuchni i schyliła się, by dać mu całusa.

-Znów masz to spojrzenie. Wiem, że teraz ja powinnam gotować. Nic nie poradzę, że czasem tak się układa, Cory. Szkoła jest na pierwszym miejscu. Przecież to uzgodniliśmy? - Delikatnie pogładziła go po karku. Jej dotyk wciąż rozpalał w nim krew. - Może zamówisz jakąś chińszczyznę?

Ostatnie zamówienie Ruth kosztowało go trzydzieści dolarów. Jednak to nie o pieniądze się martwił. Chodziło o zasadę.

-Chyba pójdę na pizzę.

Ruth się wyprostowała i wykrzywiła usta.

-Jak chcesz - wzruszyła ramionami.

Wiedział, że ona nie lubi pizzy. Kiedy ją zamawiał, zawsze jadła niechętnie,

przyciskając do swojego kawałka papierowy ręcznik, żeby odsączyć tłuszcz.

-Potrzebny mi mój ołówek - powiedział, gdy znowu skierowała się ku drzwiom.

-Co za zrzęda. - Wyjęła ołówek zza ucha i rzuciła go na stół.

Siedząc samotnie przy kuchennym stole, Corban zastanawiał się, jak to możliwe, żeby mieć na czyimś punkcie takiego bzika, a jednocześnie czuć, że coś jest nie w porządku.

Coś było nie tak.

Wstał i przeczesał ręką włosy. Teraz nie ma czasu, żeby myśleć o związku z Ruth. Musi się zastanowić, co zrobić z projektem. Chwycił książkę telefoniczną, cisnął ją na stół i energicznie otworzył na żółtych stronach. Znajdowała się tam długa lista organizacji charytatywnych, oferujących usługi starszym osobom. Przez resztę popołudnia wydzwaniał pod różne numery i zadawał mnóstwo pytań, aż znalazł instytucję, która wydawała mu się odpowiednia do jego celów.

-To cudownie, że interesuje pana praca społeczna, panie Solsek powiedziała kobieta na drugim końcu linii. - W naszych szeregach jest niewielu studentów. Oczywiście będzie się pan musiał stawić na osobistą rozmowę, trzeba też wypełnić kilka formularzy. Poza tym musi pan odbyć weekendowy kurs wprowadzający. Czy ma pan świadectwo ukończenia kursu pierwszej pomocy?

-Nie, proszę pani. - Corban stłumił irytację. Rozmowa osobista? Formularze? Kursy wprowadzające? Tylko po to, żeby na ochotnika odprowadzić jakąś staruszkę do banku albo do sklepu spożywczego?

Zanotował najważniejsze informacje i westchnął ciężko.

Niech cię diabli, profesorze, żeś mnie w to wpakował!

-Nie zrobisz tego, Anne-Lynn! Skąd w ogóle przyszedł ci do głowy taki absurdalny pomysł? - Nora drżała. Właśnie teraz, kiedy myślała, że wszystko

idealnie się układa, jej córka wszystko popsuła. Cóż, nie pozwoli jej na to!
Wszystko musi iść zgodnie z planem.

-Próbowałam ci powiedzieć, jak ważne...

-Nie będę tego słuchać, Annie. - Nora wstała od stołu, zabierając filiżankę i spodek, których brzęk ujawnił jej zdenerwowanie. Z trudem opanowała drżenie rąk, zniosła naczynia na wyłożony dywanik przy zlewku i ostrożnie je na nim postawiła. - Zadzwoń do Susan i powiedz jej, że się opamiętałaś.

-Mamo, proszę. Wszystko dokładnie przemyślałam...

-Powiedziałam nie! - Nora nie patrzyła na córkę. Nie chciała widzieć jej bladości, błagania w oczach. To zwykła emocjonalna manipulacja. Nie da się na to nabrać. Chcąc się uspokoić, opłukała filiżankę i spodek, otworzyła zmywarkę i ostrożnie postawiła naczynia w koszyku. - Pójdiesz do Wellesley. To postanowione.

-Ty tak postanowiłaś, mamo, nie ja.

Słyszając te ciche słowa, Nora z hukiem zatrzasnęła drzwiczki zmywarki i odwróciła się, żeby spojrzeć na córkę.

-Ktoś musi mieć trochę zdrowego rozsądku. Tym razem nawet twój ojciec się ze mną zgadza. Nie mówił ci, że dyplom tak prestiżowej uczelni jak Wellesley otworzy przed tobą wszystkie drzwi?

-Powiedział, że Cal da mi to samo.

-Och, Cal. Tylko dlatego, że sam tam chodził.

-Tata mówi, że chce, abym robiła to, co da mi szczęście.

Nora poczuła, że serce wali jej ze złości jak oszalałe. Jak on śmie niweczyć jej wysiłki! Czy choć raz nie mógłby pomyśleć o innych zamiast o sobie? Chce, żeby Annie poszła do collegeu w Kalifornii tylko dlatego, żeby zatrzymać ją na Zachodnim Wybrzeżu.

-Czyli on chce dla ciebie dobrze, a ja nie? Czy to właśnie ci sugeruje? A więc się myli! Miłość oznacza, że pragniesz dla drugiego człowieka tego, co najlepsze.

-To jest najlepsze, mamo. Mam pracę. Potrafię sama się utrzymać.

-Jako kelnerka. Z minimalnej pensji. Jesteś taka naiwna.

-Wiem, że nie będzie mi się żyło tak wygodnie, jak z tobą i Fredem, ale będę miała własne mieszkanie...

-Do spółki z hipiską...

-...i jedzenie, i...

-Myślisz, że posyłałam cię do najlepszych prywatnych szkół, żebyś mogła obsługiwać stoliki? Czy masz pojęcie, ile kosztowała twoja edukacja? Lekcje muzyki, tańca, gimnastyka, lekcje dobrego zachowania, kurs dla modelek, obozy dla cheerlea- derek. Wydałam tysiące dolarów, nie wspominając o tysiącach godzin mojego czasu, kiedy się tobą zajmowałam i dawałam wszystko, co najlepsze, żebyś miała możliwości, których ja nigdy nie miałam. Poświęciłam się dla ciebie i twojego brata.

-Mamo, to niesprawiedliwe...

-Masz rację. To niesprawiedliwe. Wobec mnie. Nie zamieszkaż w San Francisco jak jakaś hipiska, w tym tanim mieszkanku Susan. Nie zrezygnujesz z Wellesley tylko po to, żeby pójść do jakiejś szkoły plastycznej. Czy nie sądzisz, że gdybyś miała prawdziwy talent, posłałabym cię na nauki do Paryża?

Nora dostrzegła grymas bólu na twarzy Annie.

I dobrze. Lepiej od razu postawić sprawę jasno i wyraźnie. Lepiej teraz sprawić jej małą przykrość, niż patrzeć, jak córka odrzuca wszystkie szanse na świetlaną, dostatnią przyszłość. Na te swoje głupie zajęcia plastyczne może chodzić fakultatywnie.

-Mamo, proszę, wysłuchaj mnie. Modliłam się o to od dawna i...

-Anne-Lynn, nie waż się znów mówić o Bogu! Słyszysz? Najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam, było wysłanie cię na ten obóz kościelny. Od tamtego czasu nie jesteś sobą!

Oczy Anne-Lynn zaszkliły się od łez, ale Nora nie zmiękła. Nie mogła sobie na to pozwolić, jeśli miała ujrzeć córkę pokonującą te rozstaje. Anne musi obrać właściwą drogę. Nora wiedziała, że jeśli teraz ulegnie, utraci wszelkie nadzieje, jakie z nią wiązała.

-Bardzo cię kocham, Anne-Lynn - powiedziała uspokajająco. - Gdybym cię nie kochała, pozwoliłabym ci robić, co chcesz. Zaufaj mi. Wiem, co jest dla ciebie dobre. Któregoś dnia mi podziękujesz. Teraz idź na górę do swojego pokoju i przemyśl wszystko jeszcze raz. - Widząc, że Anne otwiera usta, by coś

powiedzieć, Nora uniosła rękę. - Ani słowa więcej. Już wystarczająco mnie zraniłaś. Zrób teraz to, o co proszę.

Anne podniosła się powoli i stanęła przy stole ze spuszczonej rękoma. Nora ją obserwowała, oceniając, czy będzie jeszcze musiała walczyć, aby się upewnić, że Anne nie zmarnuje sobie życia. Taka piękna dziewczyna, dostatecznie wysoka na modelkę, ręce stworzone do gry na fortepianie, stopnie wystarczająco dobre, by dostać się do każdego college'u w kraju, ale ani krzty zdrowego rozsądku. Oczy piękły Norę od niewylanych łez, których nie starała się ukryć. Cóż za okrutna ironia! Czy Anne zamierza pozbawić ją wszystkich marzeń?

-Mamo, muszę zacząć samodzielnie podejmować decyzje.

Nora zacisnęła zęby, wyczuwając pogłębiającą się przepaść między nimi.

-Skoro ostatnio z takim upodobaniem sięgasz po Biblię, może powinnaś poszukać fragmentu, w którym jest mowa o szacunku dla ojca i matki.

Ponieważ twój ojciec jest nieobecny, masz szanować mnie. Idź do swojego pokoju, zanim stracę panowanie nad sobą.

Anne wyszła bez słowa.

Nora, wciąż roztrzęsiona, oparła się o kuchenny blat. Serce dudniło jej w bojowym rytmie. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że Anne może się sprzeciwić ułożonym dla niej planom. Może nie powinna była tak się cieszyć, że córka wcześniej ukończyła liceum. Przez to miała więcej czasu na myślenie o innych rzeczach.

Rozluźniła się nieco i westchnęła. Była taka dumna z Anne, entuzjastycznie opowiadała przyjaciółkom, że jej córka ukończyła szkołę w styczniu ze średnią 4,0, a tak naprawdę, zważywszy wszystko, co robiła, z jeszcze lepszym wynikiem. Ale jak można mieć średnią lepszą od doskonałej?

Powinna była znaleźć dla Anne jakieś zajęcie, żeby czymś jej zaprzątnąć głowę. Wtedy Anne nie miałaby czasu, żeby odwiedzać Susan w jej mieszkaniu i myśleć, jak wspaniałe i fascynujące jest samodzielne życie w biedzie.

Wprowadzę się do Susan.

Susan Carter! Ta dziewczyna nigdy do niczego nie dojdzie. Carterowie są całkiem mili, ale brakuje im klasy. Tom ze swoim robotniczym fachem, Maryann z nisko płatną posadą pielęgniarki. Nora nie potrafiła pojąć, jak zdołali wykarmić i ubrać szóstkę dzieci. Szkoda, że Tom Carter nie miał więcej ambicji, żeby Maryann mogła zostać w domu i opiekować się dziećmi. Ich syn Sam wylądował w więzieniu, a Susan prędzej czy później na pewno napyta sobie kłopotów.

Nora weszła do jadalni i z chińskiej mahoniowej serwantki wzięła kieliszek do wina na kryształowej nóżce. Wróciła do kuchni, otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę schłodzonego białego chablis. Musiała ukoić nerwy. Napełniła kieliszek, zakorkowała butelkę i odłożyła ją na miejsce, po czym wyszła na oszkloną werandę. Usiadła na białym wiklinowym szezlongu udekorowanym opastymi

poduszkami w kwieciste wzojy i wyciągnęła smukłe nogi.

Zakipiwały w niej dawne urazy. Czegóż by Nora nie oddała, żeby mieć takie możliwości, jakie stworzyła Annie. Ale czy córka to docenia? Skąd. Anne-Lynn, jak zepsute dziecko, chce postępować po swojemu. Chce sama dokonywać wyborów. Jeszcze nie powiedziała „To moje życie i sama chcę je przeżyć”. Ale wszystko się do tego sprowadza.

-Nie dopuszczę do tego. Nie pozwolę, żeby zmarnowała sobie życie. Wzięła głęboki wdech przez nos i powoli wypuściła powietrze, żeby się uspokoić. Upiła łyk wina. Musi pomyśleć o Annie i o tym, co zrobi, jeśli te mrzonki nie wywietrzeją jej z głowy. Pozostawała reszta wiosny i lato. Anne-Lynn ma za dużo wolnego czasu. W tym problem. Można go jednak całkiem prosto rozwiązać. Nora dopilnuje, żeby Anne się w coś zaangażowała. Korepetycje dla uczniów szkoły średniej przez cały czerwiec, potem pomoc w czasie letnich kursów

-to będzie dobrze wyglądać w jej papierach. Rozboliła ją głowa. Poczula, że zbliża się kolejny atak migreny. Gdy Anne zejdzie na dół, każe jej przygotować sobie zimny okład. To powinno córce dać jasno do zrozumienia, jak ten stres działa na matkę.

Och, dlaczego Anne-Lynn musiała się teraz zbuntować? Fakt, że tydzień temu skończyła osiemnaście lat, nie oznacza, iż jest gotowa samo dzielnie żyć! To Susan podsuwa jej takie pomysły. Albo ojciec. Nora miała wielką ochotę zadzwonić do niego i powiedzieć, żeby wreszcie przestał się wtrącać w wychowanie jej córki. Cal! Do Cal chodzi klasa średnia. Może gdyby zasugerował Uniwersytet Stanforda...

Ostatnie czteiy lata były takie cudowne. Po buntowniczych, nabrzmiałych od emocji latach dojrzewania, kiedy Nora często się zastanawiała, czy jej córka nie ucieknie z domu i nie zamieszka na ulicy, Anne wreszcie wzięła się ostro do pracy. We wszystkim miała świetne wyniki i tylko raz poprosiła, żeby wypisać ją z lekcji baletu i muzyki. Jednak gdy spotkała się z odmową, postępowała zgodnie z wyznaczonym dla niej programem. W szkole uczyła się i pracowała ciężko, inni uczniowie ją lubili i odbierała więcej telefonów od wielbicieli, niż mogła się spodziewać. W końcu Nora nie chciała, żeby Anne wyszła za jakiegoś przeciętnego Joe z okolic Zatoki.

Wellesley. Tam Anne spotka wartościowych ludzi, będzie obcować ze studentami

prestżowych uniwersytetów - i poślubi odpowiedniego człowieka.

Dlaczego Anne-Lynn chce teraz z tego zrezygnować?

Modliłam się...

Za każdym razem, gdy Nora słyszała te słowa, coraz bardziej działały jej na

nerwy. Dopiła wino i wstała, żeby nalać sobie następny kieliszek.

Z początku nie myślała wiele o „nawróceniu” Anne. To słowo naprawdę sprawiało jej ból. Było jak policzek, obelga. Bo kim niby jest Nora według tej dziewczyny? Poganką? Czyż regularnie nie prowadziła rodziny na msze? Biologiczny ojciec Anne był kiedyś diakonem, a Fred, choć nie ma czasu, zawsze daje hojne datki na kościół. Myśląc o tym wszystkim, Nora skrzywiła się ze złości. Wiele razy udzielała się w radzie kobiet, a kiedy organizowano charytatywne zbiórki żywności, zawsze zapępiała torby konserwami.

I nagle, ni z tego, ni z owego, po letnim obozie Anne-Lynn wchodzi do domu i mówi „Zostałam chrześcijanką, mam. Na obozie przyjąłem Jezusa Chrystusa jako mojego Pana i Zbawcę. Ochrzcił mnie pastor Rick. Jestem taka szczęśliwa, chcę, żebyś ty też tak się czuła”.

Została chrześcijanką? To kim była przedtem? Poganką?

Nora puściła te słowa mimo uszu. Choć uważała oświadczenie za głupie, w postawie i zachowaniu córki rzeczywiście zaczęła dostrzegać pozytywne zmiany. Jeśli Anne chciała przypisać je Jezusowi - proszę bardzo. Dla Nory najważniejsze było to, że upór i buntowniczność ustały. Anne stała się posłuszna i robiła, co jej kazano. Mówiła nawet „dziękuję”, dbała o czystość i porządek w swoim pokoju i oferowała pomoc w pracach domowych. Naprawdę błogosławiona odmiana po kilku latach zmiennych nastrojów charakterystycznych dla okresu dojrzewania. Skoro Anne wróciła z obozu jako młoda dama, która chętnie wypełnia polecenia - cóż, Bogu dzięki.

Jedynie z rzadka Nora dostrzegała u córki błysk w oku, świadczący o tym, że toczy się w niej jakaś wewnętrzna walka.

Przez kilka ostatnich lat wszystko tak cudownie się układało. Anne stała się córką, o jakiej Nora zawsze marzyła. Przyjaciółki zazdrościły jej tak wspaniałego, kochanego dziecka - zwłaszcza że ich własne córki odszczekiwały się matkom, próbowały narkotyków, wymykały się z chłopcami,

???

uciekały z domu lub zachodziły w ciąży, które musiały usuwać. Anne była doskonała. Anne była jej radością i dumą. I nie może popełniać głupich błędów. W pełnym słońca pokoju na górze Annie usiadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku pod koronkowym, szydełkowanym baldachimem. Kurczowo przyciskając do piersi różową satynową poduszkę, próbowała powstrzymać łzy spływające jej po policzkach. Dlaczego matka zawsze wyzwała w niej takie poczucie winy? Bez względu na to, jak bardzo Annie się starała, jak dobrze się zachowywała - to nigdy nie wystarczało. Jeden błąd, jedna myśl wbrew oczekiwaniom matki i mogła być pewna, że znowu usłyszy, jaka jest niewdzięczna, zbuntowana, uparta i głupia. Kiedy słowa nie wystarczały, następował atak silnej migreny. W tej chwili matka prawdopodobnie leży na werandzie na szezlongu i koi nerwy lampką białego wina i zimnymi okładami.

I to moja wina, pomyślała Annie, czując się bezradna. Tak jest za każdym razem, gdy próbuję się wyrwać. Kiedy to się skończy?

O, Boże. Wiesz, jak bardzo się staram ujarzmić każdą myśl i skupić się na Tobie. Mama wie, jak naciskać guziki. Dlaczego jest taka? Jezu, Ty wiesz, że próbowałam zrozumieć mamę, starałam się ją zadowolić, ale tego nigdy jej nie dość. Gorzej, już nic nie ma sensu. Matka skarży się, że poświęciła Annie tyle czasu i pieniędzy, ale nie pozwala jej znaleźć pracy ani żyć samodzielnie. To ona nalega, żebym poszła do Wellesley. Wiesz, ile to kosztuje, Boże. Nie mogę iść do tej szkoły, kiedy

czuję, że prowadzisz mnie w stronę sztuki, ale mama nawet nie chce mnie wysłuchać. Panie... Mama mówiła, że lubi Susan, a teraz nazywa ją hipiską i twierdzi, że nie jest dla mnie wystarczająco dobrą współlokatorką. Jak matka może w jednej minucie mówić, że jest dumna ze szkolnych osiągnięć Annie, a przy następnym wydechu oznajmić jej, że jest głupia i niezdolna do decydowania o własnym życiu?

„Skoro ostatnio z takim upodobaniem sięgasz po Biblię, może powinnaś poszukać fragmentu, w którym jest mowa o szacunku dla ojca i matki.”

Czy szacunek oznacza, że należy bezdyskusyjnie wykonywać polecenia? Czy oznacza szybką kapitulację? Rezygnację z siebie, żeby urzeczywistnić cudze marzenia? Bez względu na to, co to za marzenia?

Annie wiedziała, że jeśli pójdzie do Wellesley zgodnie z wolą matki, plany dotyczące jej przyszłości na tym się nie skończą. Mama będzie dzwonić i pytać, z

kim się umawia na randki i czy ów młody człowiek ma „potencjał”. Oczywiście oznacza to dobre wyniki z testów, doskonale stopnie i specjalizację, która gwarantuje dochodową karierę. Prawo. Medycyna. Handel. Matka będzie chciała wiedzieć, czy chłopak pochodzi z „dobrego środowiska”. Najlepiej, żeby był potomkiem jednego z pasażerów „Mayflower”. Kimś z drzewem genealogicznym sięgającym dwa stulecia wstecz. Kimś, kogo rodzice odnieśli sukces, mają dużo przekazywanych z pokolenia na pokolenie pieniędzy i wysoką pozycję społeczną.

Anne pokręciła głową. Mama potrafi być wolna od uprzedzeń. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby jej córka spotykała się z potomkiem imigrantów, byle pochodził z szanowanej i znanej rodziny.

Może Kennedy?

Owładnęło ją poczucie winy. Nie myślała rozsądnie. Matka nie jest taka zła.

Boże, czy ja się do niej upodabnam? Czy kiedy się od niej uwolnię, będę robić swoim dzieciom to, co ona robi mnie? A może całkiem postradam rozum i powiem im pewnego dnia „Ja nie miałam wolności, zatem wy róbcie, co chcecie”. Och, Ojczy, wybaczone mi, ale zaczynam jej nienawidzić.

Anne nie chciała, by zawładnęła nią złość i gorycz, ale to takie frustrujące! Matka nawet nie chce jej wysłuchać. A sytuacja tylko się pogarsza. Myślałam, że dorosnę, wyprowadzę się i będę samodzielnie żyć, ale jest tak, jakby zatopiła we mnie swoje szpony. Im usilniej walczę, tym głębiej mnie rani.

-Boże, pomóż mi... proszę.

Szacunek. Co to znaczy?

Może gdyby poszła do Wellesley...

Nie, to by tylko opóźniło nieuniknione. Nawet gdyby poszła do Wellesley, wciąż musiałaby słuchać, jak wiele matka poświęciła dla jej przyszłości. Jeśli zaś zrezygnuje z tej szkoły, wyrzuty, że okazała niewdzięczność i zmarnowała otrzymaną szansę, będą się ciągnęły w nieskończoność.

Panie, jestem w sytuacji bez wyjścia. Co robić?

W którąkolwiek stronę się zwróciła, Annie natrafiała na mur. Jak młode cielę, które ucieka od stada tylko po to, by poganiacz bydła je pojmał i spętał lassem. Ogień płonie i żelazo jest rozpalone do czerwoności, lecz to nie imię Boga matka chce wypalić na jej skórze. „Własność Nory Gaines” - ona chce właśnie tego. Czy to jednak wystarczy?

Gdy Annie mówi coś sprzecznego z oczekiwaniami matki, zawsze jest to niewłaściwe. „Wracaj do zagrody, Annie. Wiem, kim masz zostać, i dopilnuję, żeby tak się stało.” Ale czy rzeczywiście wie? Czego tak naprawdę mama chce?

Nie wiem, co robić, Panie. Czuję, że Ty prowadzisz mnie w jedną stronę, a mama ciągnie mnie w drugą. Jak mam się wyzwolić, żeby pełnić Twoją wolę bez sprawiania jej bólu? Dlaczego ona nie chce mnie puścić?

Annie pragnęła kochać matkę jak przykładna córka. Ale było to coraz trudniejsze. Ledwie znosiła przebywanie z nią w tym samym pokoju. Gdyby przed chwilą nie poszła na górę, wybuchłaby potokiem słów, których potem tylko by żałowała. Spuściła głowę, żeby ukryć przed matką swoje uczucia. Trzymała język na wodzy, bo wiedziała, że jedno jej słowo wznieci ogień, który rozprzestrzeni się jak pożar suchej trawy. Musiała zacisnąć pięści, żeby nie wstać i nie krzyknąć „Wynoś się z mojego życia, mamo! Nigdy nie jesteś zadowolona! Mam tego dosyć! Zajmij się wreszcie swoim życiem, żebym ja mogła mieć własne!”

Słowa popłynęłyby z niej jak lawa i spaliły więź z matką, pozostawiając tylko zgliszcza. Annie wiedziała o matce rzeczy, o których wolałaby nie mieć pojęcia. Na przykład to, że Nora Gaines potrafi doskonale pielęgnować urazy. Prowadzi rejestr doznanych krzywd oraz ludzi, którzy je wyrządzili. Przeszłość jest jak amunicja przygotowana do użycia. A mama potrafi szybko ładować i odpalać. Annie zna imiona wszystkich, którzy kiedykolwiek skrzywdzili matkę - a także sposób, w jaki tego dokonali. Nora Gaines zadbała, by tak było.

Od czasu do czasu matka robiła Annie wyrzuty za jej dawne wykroczenia. Rozpocynała się litania.

Jesteś taka sama, jak twój ojciec. On też nie miał dość rozsądku, żeby pomyśleć o przyszłości. .. Jesteś jak twój ojciec, ciągle bujasz w obłokach. Jesteś taka, jak on...

Albo gorzej.

Jesteś jak babcia Leota. Myślisz tylko o sobie. Nie dbasz o uczucia innych...
Moja matka nigdy nie miała dla mnie czasu. Popatrz, ile czasu ci poświęciłam. Ja
nigdy nie zaznałam takiej miłości, jak ty. Nie dostałam od matki ani jednej

rzeczy. Mając osiemnaście lat, musiałam iść na własne utrzymanie i samodzielnie ułożyć sobie życie... Zawsze chciałam stworzyć ci jak najlepsze warunki. Zadbłam o to, żebyś miała rzeczy, których ja nigdy nie miałam.

Annie nie pamiętała, żeby mama powiedziała choć jedną miłą rzecz o własnej matce, Leocie Reinhardt. To ją zastanawiało. Czy babcia Leota ponosi winę za to, jaka jest matka?

Ponieważ Annie знаła tylko wersję matki, nie potrafiła zbadać przyczyn ani skutków. Babcia Leota mówiła niewiele. Tak naprawdę Annie rzadko ją widywała. Choć babcia mieszka w Oakland, po drugiej stronie wzgórz, wszystkie wizyty, na które zabierano Annie, można by policzyć na palcach. Kiedy tylko rodzina docierała na miejsce, Annie i Michaela wysyłano do ogrodu za domem, żeby dorośli mogli porozmawiać.

Zmarszczyła brwi. To nie babcia ich wyganiała.

Kiedy tylko przyjeżdżali do babci Leoty, mama zawsze dostawała bólu głowy, więc nigdy nie zostawali tam dłużej niż godzinę lub dwie. W drodze do domu mama kipiała ze złości i wyliczała wady babci.

Pewnego razu, kiedy rodzice wciąż jeszcze byli małżeństwem, Annie podsłuchiwała, jak ojciec po wiedział, że lubi Leotę. Tylko raz. Rzucił te słowa jak rękawicę. Rozpętała się bitwa, długa i głośna, z trzaskaniem drzwiami, tłuczeniem szkła. Wspomnienie tamtej nocy głęboko i na stałe wryło się Annie w pamięć. Wspomnienie wzajemnych brutalnych oskarżeń. Pół roku później rodzice Annie wystąpili o rozwód. W wieku zaledwie ośmiu lat Annie doskonale zdawała sobie sprawę, że o babci Leocie nie należy mówić ani o nią pytać.

Annie leżała na łóżku i patrzyła w sufit przez szydełkowany baldachim. Dostała go w prezencie na czternaste urodziny. Matka urządziła dla niej przyjęcie i zaprosiła przyjaciół ze szkoły, baletu i z gimnastyki. Tego dnia dom był pełen ludzi. Matka postarała się, żeby jej prezent został otwarty na samym końcu, po czym opowiadała każdemu, jak zobaczyła ten baldachim na okładce pisma poświęconego dekoracji wnętrz i zadzwoniła do wydawcy, który skontaktował ją z producentem. „Przyjechał prosto z Belgii.” Wszyscy wznosili ochy i achy. Jedna z koleżanek nachyliła się do Annie i szepnęła „Chciałabym, żeby moja mama kupiła

mi coś takiego".

Annie miała ochotę wrzucić baldachim z powrotem do wielkiego, profesjonalnie opakowanego pudła z ogromnymi jedwabnymi kokardami i kwiatami i wręczyć go dziewczynce z najlepszymi życzeniami. Chciała krzyknąć Nie prosiłam o to! Ona to wykorzysta przeciwko mnie. Następnym razem, gdy ośmielę się jej sprzeciwić, powie „Jak możesz być taka niewdzięczna? Kupiłam ci taki śliczny baldachim. Musiałam zadzwonić na zamiejscowy numer do tego czasopisma i czekałam na linii całą wieczność tylko po to, żeby się dowiedzieć, skąd on pochodzi. Potem musiałam napisać do firmy w Belgii. Czy masz pojęcie, ile ten

31

baldachim kosztował? Oddałabym życie, żeby mieć coś tak pięknego w moim małym ponurym pokoju, kiedy byłam dzieckiem. A teraz nie chcesz zrobić najprostszej rzeczy, o którą proszę".

Annie poczuła, że coś w niej drgnęło, łagodne ciepło, maleńka iskierka światła. Błysk zaledwie, lecz był jak zapalka zapalona w ciemnym pokoju. Annie zobaczyła wszystko wyraźnie i przeszedł ją dreszcz.

O, Boże... Boże. Leżę tu na łóżku - tak jak mama leży tam na dole na swoim szezlongu. Tak jak ona użalam się nad sobą. Gardzę tym, co ona robi, a staję się dokładnie taka sama.

Annie usiadła, serce jej łomotało. Rozsunęła lustrzane drzwi szafy, sięgnęła na najwyższą półkę i zdjęła walizkę. Otworzyła szuflady w komodzie, wyjęła tylko potrzebne rzeczy i spakowała je w pośpiechu. Wystarczą jej do czasu, aż zadomowi się u Susan. Wzięła Biblię z nocnego stolika i położyła ją na ubraniach. Opuściła wieko walizki i zamknęła zamek.

Czy powinna porozmawiać z matką? Nie, nie miała odwagi ryzykować. Z góry znała przebieg sceny, jaka by się rozegrała, gdyby doszło do konfrontacji. Usiadła przy biurku, otworzyła boczną szufladę i wyjęła pudełko z ozdobnym papierem listowym. Długo siedziała i myślała. Bez względu na to, co powie, matka nie zmieni swojego zdania. Annie wytarła oczy i nos i zacisnęła usta.

Boże... Boże... Nie wiedziała, o co się modlić. Nie wiedziała, czy postępuje dobrze, czy źle.

Szacunek.

Co to w ogóle znaczy?

Mamo, napisała, jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Przez dłuższą chwilę starała się wymyślić, co jeszcze napisać, żeby złagodzić cios. Nic nie przychodziło jej do głowy. To i tak bez sensu. Była w stanie wyobrazić sobie jedynie złość. Kocham cię - napisała w końcu, i podpisała się zwyczajnie - Annie.

Położyła list na środku łóżka.

Nora usłyszała skrzypnięcie schodów i domyśliła się, że to Annie schodzi na dół. Bardzo dobrze. Miała czas, żeby wszystko przemyśleć. Przybrała rozluźnioną pozycję na szeszlunku, przycisnęła ciepły kompres do powiek i czekała, aż córka przyjdzie ją przeprosić.

Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły.

Zdziwiona i poirytowana, Nora usiadła.

-Annie?

Rozzłościła się, odrzuciła kompres i wstała. Weszła do pokoju dziennego i jeszcze raz zawołała córkę. Pewnie Annie poszła się dąsać na spacerze. Wróci w bardziej uległym nastroju. Jak zawsze. Jednak konieczność czekania była irytująca. Cierpliwość nie należała do cnót Nory, która wołała załatwiać sprawy od ręki i nie lubiła się martwić ani zastanawiać, o czym Annie myśli i co robi. Lubiła wiedzieć, gdzie jest córka i co jej chodzi po głowie.

Czemu ona jest teraz taka trudna? Ja tylko robię to, co dla niej najlepsze!

Weszła do salonu i przez satynowe firanki we frontowym oknie zobaczyła Annie. Córka wrzucała właśnie walizkę do bagażnika nowego saturna, którego ojciec podarował jej z okazji ukończenia szkoły. Nora stała zszokowana i patrzyła, jak Annie z trzaskiem zamyka bagażnik, obchodzi samochód dokoła, idzie w stronę fotela kierowcy, otwiera drzwi i wsiada do środka.

Gdzie ona się wybiera? Nie może wychodzić bez pozwolenia.

Kiedy Annie ruszyła, Norę dopadły jednocześnie dwa uczucia rozpalona do białości wściekłość i lodowata panika. Podbiegła do drzwi, otworzyła je i wypadła na dwór. Annie!

Nora Gaines stała na wypielęgnowanym trawniku przed domem, patrząc, jak tylne światła samochodu mignęły tylko raz, gdy córka na chwilę zatrzymała się na rogu ulicy. Potem Annie skręciła w prawo i znikła.

Leota Reinhardt umyła i opłukała ręcznie malowaną szklankę, zielony gliniany talerz, widelec oraz nóż, a następnie położyła je na plastikowym stojaku koło zlewu, żeby obeschły. W domu panowała cisza, wszystkie okna były zamknięte. Dawniej zostawiała je otwarte przez całą wiosnę, bo uwielbiała śpiew ptaków i zapach czystego, przesiąkniętego aromatem kwiatów powietrza z ogrodu. Ponieważ jednak artretyzm więził Leotę w domu, w ciągu kilku ostatnich lat ogród podupadł. Leota wyciągnęła zatyczkę i patrzyła na swoje sękaty dłonie zanurzone w ciepłej mydlanej wodzie spływającej ze zlewu.

Tak samo spływa czas. Mając osiemdziesiąt cztery lata, Leota wiedziała, że nie zostało jej go wiele. Poczowała wszechogarniający smutek i samotność, która zdawała się pogłębiać z każdym długim dniem i nocą spędzonymi na czekaniu.

Trzasnęły drzwi i Leota uniosła głowę. Tuż za białym, obdrapanym z farby płotem od zachodniej strony domu ujrzała trójkę dzieci. Sąsiedni budynek znajdował się tak blisko, że mogłaby rozmawiać z sąsiadami, gdyby ich znała. Ale

wszyscy jej znajomi odeszli. Wyprowadzili się lub umarli dawno temu. Do domu za ogrodem wprowadziła się młoda Murzynka z trójką dzieci - chłopiec liczył około dziewięciu lat, a dwie dziewczynki jakies siedem i pięć. Leota pozostała ostatnia z rodzin, które nabyły tutejsze domy tuż przed drugą wojną światową. Jej teściowie kupili ten dom, gdy był nowy. Leota na chwilę wróciła myślami do tamtego burzliwego okresu, kiedy Bernard poszedł na wojnę, a ona wprowadziła się do „Mamy i Papy” z dwójką małych dzieci. George miał wtedy trzy latka, a Eleonora uczyła się chodzić i wszystko ją ciekawiło.

Gdy Bernard wrócił do domu, całkiem odmieniony, Mama i Papa nalegali, żeby młodzi nadal z nimi mieszkali. Widzieli, że Bernard jest załamany, Leota zaś nie

miała wyboru. Przez pewien czas wszyscy żyli ze sobą zgodnie, jeśli nie szczęśliwie, aż Papa i Bernard powiększyli garaż i przerobili go na mieszkanie z jedną sypialnią i pokojem dziennym, którego okna wychodziły na ogród. O, goryczy tamtych lat...

Kiedy Mama i Papa opuścili „duży” dom i przenieśli się do mniejszego mieszkania, sytuacja uległa poprawie. W kilka tygodni później Papa zmarł na atak

serca, a Mama żyła jeszcze trzynaście lat, ale prawdziwy pokój zawarły dopiero w ostatnich latach jej życia.

-Źle cię oceniałam. - Nawet po tak długim czasie spędzonym w Ameryce Mama wciąż mówiła z wyraźnym akcentem. Wcześniej starała się go pozbyć, powrócił jednak, gdy zbliżała się śmierć, tak jakby Mama powracała myślami do dzieciństwa spędzonego w Europie. Kiedy Leota pochyliła się nad teściową, by otulić ją kołdrą, Mama, z niebieskimi oczami mokrymi od łez, dotknęła jej policzka.

-Byłaś dobra dla mojej rodziny, Leoto.

Serdeczne słowa po tylu latach nieporozumień. Tydzień później Mama umarła. Dziwne, że te słowa przypomniały jej się właśnie teraz, kiedy obserwowała mieszkające po sąsiedzku dzieci trójkę maluchów, które z powagą zeszyły gęsiego po schodkach na tyłach swojego domu i maszerowały przez podwórko. Chłopiec

niósł łopatkę, a starsza dziewczynka pudełko po butach. Młodsza płakała w nieutulonym żalu. Kiedy chłopiec kopał dół, żadne z dzieci się nie odezwało. W chwilę po tym, jak odłożył na bok łopatkę, z domu wyszła ich matka. Podeszła do nich i powiedziała kilka słów, podając im kwadratowy skrawek ładnej, kwiecistej bawełny. Starsza dziewczynka wzięła go i uklękła na ziemi, a jej siostra wyjęła z pudełka coś wiotkiego. Martwego wróbla. Matka zabrała puste pudełko i poszła je wyrzucić do kosza na śmieci, jej najmłodsza córka zaś owinęła drobniutkiego ptaszka śliczną tkaniną i troskliwie ułożyła go w małym grobie. Potem dzieci odśpiewały pieśń, nasuwającą Leocie wspomnienie nabożeństw, na których bywała w kościele przed wielu laty Skała wieków...

Lecz co oni wyprawiają z melodią, dodają nuty i trele? Czemu nie śpiewają pieśni tak, jak została napisana?

Gdy pierwsza grudka ziemi spadła do dołu, mała dziewczynka podskoczyła i uciekła do matki, chwytając się kurczowo jej długiej pasiastej spódnicy. Kobieta wzięła ją na ręce i mocno przytuliła, a kiedy chłopiec skończył pochówek, odwróciła się w stronę domu.

Taka uroczystość i tyle łez z powodu jednego wróbla.

Boże miłosierny, czy ktokolwiek się przejmie, kiedy ja odejdę? Czy ktokolwiek uрони chociaż jedną łzę? A może będę leżeć martwa w tym domu, dopóki nie zajrzy tu ktoś zwabiony odorem rozkładającego się ciała? Tak bardzo się starała utrzymać razem rodzinę, lecz jej wysiłki spełzły na niczym.

Starsza dziewczynka wsunęła rękę przez płot i urwała parę żonkili zasadzonych dawno temu. Leota chciała otworzyć okno i krzyknąć na dziecko, żeby trzymało swoje złodziejskie ręce z dala od tych kilku ostatnich kwiatów w jej ogrodzie, ale złość rozviała się tak szybko, jak przyszła. Jakie to miało znaczenie? Czy dziecko może je z powrotem przyczepić do łodyg? Dziewczynka położyła kwiatki na świeżym grobie ostatnia ofiara miłości dla zmarłego ptaka. Kiedy się odwróciła, ujrzała Leotę stojącą w kuchennym oknie. Krzyknęła przestraszona i uciekła przez ogródek, jednym susem pokonała kilka schodków, wpadła do domu i zniknęła, zatrząskując za sobą drzwi.

Leota, głęboko urażona, zamruwała powiekami. Wyraz twarzy dziecka był dla niej jak policzek. Ta szybka ucieczka nie wynikała z poczucia winy, nie chodziło

o kradzież, na której dziewczynka została przyłapana. Ona umykała ze strachu. Czy stałam się wiedźmą z dziecięcej bajki? To spojrzenie... biedna mała sądziła, że brzydka starucha, którą widzi, chce jej zrobić krzywdę.

Leota poczuła, że łzy zasnuwają jej oczy mgłą. Serce pękało jej z bólu.

Boże, co ja takiego zrobiłam, że doczekałam tak smutnego końca? Zawsze kochałam dzieci. Swoje dzieci kochałam najbardziej. Wciąż je kocham.

A jednak Eleonora dzwoniła nieczęsto i odwiedzała ją tylko kilka razy w roku. Nigdy nie zostawała dłużej niż godzinę i większość tego czasu spędzała, wyglądając przez okno w obawie, że jakiś chuligan ukradnie kołpaki z jej lincolna. A może to był lexus? George natomiast był zbyt zajęty, żeby przyjechać z wizytą, zbyt zajęty, by zadzwonić, zbyt zajęty, by napisać.

Leota odwróciła się od zlewu i przeszła kilka kroków do stolika stojącego przy oknie wychodzącym na ogród. Oparła się o niego i usiadła powoli, krzywiąc się z bólu, który przeszył jej kolana. Padające przez lato deszcze zostawiły na szybie plamy, rozmazując błoto i brud z zatkanych rynien, które Leota ostatni raz przepychała dziesięć lat temu. Okien nie myła od zeszłej wiosny, kiedy w dzień po tym, jak wyczyściła szyby, spadł deszcz.

Za tym brudnym oknem znajdował się jej dawno opuszczony ogród, ustronie i miejsce odnowy. Teraz jedynie zerkąła w tę stronę - widok postrzępionych róż w

nieokielzanej plataninie krzaków, niegdyś tak troskliwie przyszyganych, napawał ją zbyt wielkim bólem. Wszędobylskie chwasty zdławiły kwiaty. Trawa w niektórych miejscach uschła, gdzie indziej była przerośnięta. Wzdłuż ceglanego muru wciąż stały doniczki, lecz cenne rośliny, które Leota kupowała za ciężko zarobione pieniądze, powiędły - jedne z pragnienia podczas letnich miesięcy, inne zatopione przez zimowe ulewy. Opadłe w zeszłym roku wiśnie gniły na małym podwórku, pozostawiając po sobie plamy podobne do kropel zaschniętej krwi. Och, i ta piękna lawendowofioletowa glicynia...

Leota zamknęła oczy, by odegnać smutek. Glicynia zdziczała w miarę upływu czasu jej pędy skręcały się, plątały i stawały coraz grubsze, aż złamały nadmiernie obciążone ażurowe ogrodze nie, które się zapadło i zablokowało furtkę do ogródka warzywnego - ogródka, którego plony dawniej starczały dla całej rodziny i sąsiadów. Teraz rosła tam tylko gorczyca, trojeść i małe drzewa morelowe wyrosłe z owoców, które kiedyś spadły na ziemię i zgniły.

Ruszając niemrawo palcami, Leota sięgnęła po gazetę i zsunęła z niej niebieską gumkę receptur- kę, którą włożyła do plastikowego pudełka po margarynie. Te głupie gumki, jedna na każdy dzień każdego roku, odkąd czyta „Oakland Tribu- ne”. Co ma z nimi zrobić? Co zrobi z dziesiątkami plastikowych pudełek po margarynie, przechowywanymi w spiżarni? Albo z cynowymi formami do ciast? Albo z czasopismami? Dzięki Bogu, prenumerata czasopism wygasła i już ich nie dostarczano. Teraz przychodziła tak zwana poczta śmieciowa, diabelskie przekleństwo.

Choć Leota chciała przeczytać gazetę, ostatecznie uznała, że wystarczy jej rzut oka. Czy szczegółowe doniesienia o tym, że świat zamienia się w piekło, w czymś jej pomogą? Irak z tym swoim szaleńcem. Rozpadające się kraje sowieckie z bronią nuklearną i nieprzewidywalnymi przywódcami. Odwieczne urazy Japonii i Chin. Jeśli idzie o wiadomości lokalne, Leota wiedziała już, że w Oakland jest wyjątkowo dużo morderstw, zamętu i korupcji we władzach. Artykuły wstępne? Co roku te same stare historie. Po co o tym czytać? Całą ostatnią stronę gazety, którą przeczytała, zajmowała dyskusja na temat murzyńskiego slangu w szkołach! Co się stało z nauczaniem poprawnej angielszczyzny? Leota pomyślała, jak ciężko Mama Reinhardt ćwiczyła swój angielski, choć nie zamierzała pracować poza domem.

A Papa, który nie miał kłopotów z językiem, pracował tylko do wojny, potem strach i podejrzliwość ludzi sprawiły, że został bez pracy.

Nie, nie musiała czytać pierwszej strony, by się dowiedzieć, że świat niewiele się zmienił za jej życia. Jeśli chciała poznać szczegóły, mogła je obejrzeć w żywych kolorach na jednym z kanałów telewizyjnych serwujących programy informacyjne od czwartej po południu do jedenastej wieczorem. Od czasu do czasu oglądała wiadomości - co godzina ta sama jatka. Nie trzeba już wychodzić z domu, żeby się pogapić. Kto chce, może zobaczyć dokładną relację filmową zarejestrowaną z okna samochodu policyjnego. Wojnom można się przyjrzyć w CNN. I nie ma zbyt obrzydliwych lub perwersyjnych tematów, o których nie można by otwarcie rozmawiać w jednym z wielu talk shows.

-A o serialach komediowych lepiej nie mówić - wymamrotała w ciszę.
„Polityczna poprawność” to kolejny sposób powiedzenia, że każde zboczenie jest dozwolone. I cała ta szopka sław, z których większości nie znała.
Boże, dlaczego po prostu nie zabierzesz mnie do siebie? Jestem zmęczona. Cierpię. Dostyc mam patrzenia na to, co się dzieje na świecie. Jest coraz gorzej. Nikomu nie jestem potrzebna. Stałam się gderliwą staruchą, której boją się dzieci sąsiadów. Ci, których kocham, mają swoje życie. Czy to nie tytuł jakiejś mydlanej opery?

Kiedyś przysięgła sobie, że tej jednej rzeczy nigdy nie będzie robić. Oglądać mydlanych oper. Ale była zrozpaczona. Czasami włączała telewizor tylko po to, żeby usłyszeć czyjś głos.

Odnalazła w gazecie działy, których szukała historyjki obrazkowe i porady. Rubryki z poradami czytała od tak dawna, że dokładnie wiedziała, jak będą brzmiały odpowiedzi. Czytała o wszystkich problemach, jakie można sobie wyobrazić i o wielu takich, które jej zdaniem ludzie z pewnością zmyślili.

Nic nowego pod słońcem. Czasami czuła się jak podglądacz zerkający w prywatne życie innych ludzi. Czemu nie? Swojego życia już raczej nie miała. Gdyby ktoś zajrzał przez jej okno, zanudziłby się na śmierć. Zachichotała. Wyobraziła sobie, co by powiedział „Co ta staruszka robi? Siedzi przy stole w kuchni,

siedzi przed telewizorem, siedzi w łazience, leży w łóżku i nie może zasnąć, bo przez większość dnia drzemała w fotelu".

Usłyszała w jakimś talk show, że należy ćwiczyć umysł. Ponieważ nie mogła już gimnastykować ciała, uznała, że nie zaszkodzi ruszyć klepką. Zaczęła więc rozwiązywać krzyżówki i uczyć się niemieckiego z książki, którą Bernard kupił jej niedługo po ślubie. Szkoda, że nie zabrała się do tego wcześniej. Może łatwiej byłoby zbudować most między nią a Mamą Reinhardt. W każdym razie ciągle znajdowała jakieś zajęcie dla umysłu. Starcza demencja i Alzheimer należały do ostatnich rzeczy, których sobie życzyła. Niech Bóg ma ją w opiece, jeśli pewnego dnia wyjdzie z domu i wyruszy z Oakland w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Zgubiłaby się na ulicach. Skończyłaby, śpiąc na czyimś progu. Biedna Eleonora i George odebrali telefon, że ich znikowaną starą matkę znaleziono, drzemającą na ławce w parku.

Może wtedy by się nią zainteresowali.

Jej przyjaciółkę z czasów pracy dzieci zabrały do Chicago. Cosma Lundstrom pisała, że pewnego jasnego, słonecznego dnia wyszła na przyjemny spacer i omal nie zamarła na śmierć w jakieś bramie, nim odchodzące od zmysłów dzieci ją znalazły. Napisała o wszystkim do Leoty.

Na niebie świeciło słońce, ale nagle zaczęło wiać. Oczywiście mówili mi o wietrze - w końcu to „miasto wichrów” - ale nigdy nie przypuszczałam, że jest taki zimny. Usiadłam i nie mogłam wstać. Ganek był chłodny jak mosięzna ławka na biegunie południowym. Myślę, że zadek przymarzył mi do tego diabelstwa. A potem skleiły mi się sztuczne zęby, więc nawet nie mogłam poprosić o pomoc. Przechodnie pewnie myśleli, że świetnie się bawię, gdy tak sobie siedzę i się uśmiecham, tymczasem wargi po prostu przymarzły mi do dziąseł!

Jakże się uśmieiała nad tym listem. Cosma zawsze pisała zabawne rzeczy. Kiedyś pojechała z grupą seniorów na wycieczkę do Arizony napisała, że w słońcu było pięćdziesiąt stopni, a gdy wiał wiatr, temperatura spadała do czterdziestu pięciu.

Mówili, że latem jest taniej. Teraz wiem, dlaczego! Było mi tak gorąco, że kupiłam kostium kąpielowy i ani trochę się nie przejmowałam, kto ogląda moje prehistoryczne pomarszczone nogi. Bardzo dobrze mi to zrobiło. Po co, u licha, podgrzewa się tu baseny?

Pewnego roku bożonarodzeniowa kartka, którą Leota wysłała do Cośmy, przysłała z powrotem. Adres przekreślono jedną linią. Ktoś dopisał grubymi literami „Adresat nie żyje” i przybił na kopercie pieczętkę z rączką wskazującą adres zwrotny.

Adresat nie żyje.

Skończyła się pięćdziesięcioletnia przyjaźń. Ot tak.

Adresat nie żyje.

Co za zimne, nieczule sformułowanie. Nie pasowało do kobiety, która była tak pełna życia, śmiechu i bystrych spostrzeżeń. Przez te wszystkie lata, kiedy Leota pracowała, a Mama i Papa jeszcze żyli, Cosma była dla niej darem zesłanym przez niebiosy. Miały tego samego szefa, serdecznego człowieka, którego dwaj synowie służyli na Pacyfiku. Słusznie postąpił, zatrudniając żony wojskowych. Obydwie młode, obydwie z dala od mężów, którzy wyruszyli na wojnę - Leotę i jej nową przyjaciółkę łączyło wiele wspólnych spraw. Cosma zawsze wysłuchiwała jej żalów i udzielała rozsądnych rad dotyczących Mamy Reinhardt, rad, które Leota często wprowadzała w życie.

Łzy napłynęły jej do oczu. O, Boże, jak mi brak Cośmy. Nie mam już nikogo. Na pewno dopadła ją rozedma płuc. Zawsze jej powtarzałam, że papierosy nikomu nie służą. Ale musiała zacząć palić, myślała, że dzięki temu wygląda elegancko. Leota potrząsnęła głową. W niecały rok po przeprowadzce do Chicago dzieci musiały umieścić Cos- mę w domu spokojnej starości. Ja i moja butla tlenowa mamy nową chatę - żartowała w liście. - Pamiętasz, jak po pracy spacerowałyśmy wokół jeziora Merritt, a potem czułyśmy się świeże jak pączki róż? Teraz mogę przejść tylko od krzesła do łazienki. Największy wysiłek, na jaki się zdobywam, to pisanie listów. Tak długo, jak będę mogła utrzymać pióro i poruszać palcami, dam sobie radę.

A ile miały radości za młodu, chodząc do kina na takie filmy jak Poza podejrzeniem, Notońous i Gildap. Kilka razy udały się do położonego w centrum miasta oddziału USO i u boku żołnierzy na przepustce kołysały się w takt melodii Glenna Millera i

Harryego Jamesa, a w drodze powrotnej płakały, bo zdawało się, że wojna nigdy się nie skończy i ich mężowie już nie wrócą do domu.

A jednak podczas gdy Leota drżała, co się stanie, jeśli Bernard zginie w walce, Cosma stawiała do walki z życiem jak torreador. I życie ubodło ją dotkliwie, kiedy do jej drzwi zapukali żołnierze z wiadomością, że Jeremy poległ w akcji na Gualcanal.

Swojego drugiego męża, Alfreda Lundstroma, przystojnego niebieskookiego żołnierza piechoty morskiej z Minnesoty, Cosma poznała podczas jego pobytu w Stanach, kiedy leczył ranę, jaką mu zadano na Południowym Pacyfiku. Pobrali się miesiąc po pierwszej randce, na krótko przed jego powrotem do jednostki. Z wojny Al wrócił cały i zdrowy. Spakował Cosmę i wywiózł ją na północne wybrzeże, do Minnesoty. Ta miastowa dziewczyna doi krowy! - pisała. Zostali tam do czasu narodzin pierwszego dziecka, syna, a później sprowadzili się z powrotem do Kalifornii.

Kiedy Leota usłyszała o ich planach, przepelniła ją nadzieja, że zamieszkają nad Zatoką. Pragnęła odzyskać przyjaciółkę. Była wtedy rozpaczliwie nieszczęśliwa, pracowała do późna, kłóciła się z teściową, z którą dzieci związały się silniej niż z matką. Za każdym razem, kiedy Leota wydawała im jakieś polecenie, wkraczała Mama i mówiła, że nie muszą tego robić.

USO - organizacja zajmująca się wojskowymi stacjonującymi poza Stanami Zjednoczonymi oraz ich rodzinami.

Lecz jej nadzieje się nie spełniły. Al dostrzegł szansę na lukratywną przyszłość na południu kraju i, jak się okazało, miał rację. Zjawił się tam tuż przed okresem rozkwitu budownictwa i tak dobrze mu szło w przemyśle budowlanym, że w końcu otworzył własną firmę.

„Ten człowiek żyje po to, żeby pracować” - skarżyła się kiedyś Cosma przez telefon. W wieku sześćdziesięciu pięciu lat Al zmarł na atak serca.

Ze wstydem przyznaję, że jestem na niego wściekła - pisała w liście. - Po prostu przeszedł na emeryturę. Mieliśmy tyle planów, jak przyjemnie spędzić

wspólne złote lata, no i proszę, wybrał się beze mnie. Typowy mężczyzna. Nie włączy się bez potrzeby. Uderza prosto do celu.

Na szczęście Al był dobrze ubezpieczony, a synowie przyuczeni do prowadzenia rodzinnego interesu. Po paru miesiącach Cosma przestała się gniewać, ale opłakiwała męża przez kilka lat. Córka wyprawiła ją na wycieczkę do Meksyku. Potem Cosma zaczęła podróżować sama.

Leota uwielbiała listy Cośmy i przeżywała jej przygody jak swoje własne - a przecież życie przyjaciółek potoczyło się w tak różny sposób.

Bernard nigdy nie był ambitny ani szczególnie pracowity. Wrócił do domu cały na ciele, ale z poranionym sercem i duszą. Nie był już tym przystojniakiem, w którym się zakochała i którego poślubiła, mając dwadzieścia lat. Zachowywał się jak stary, zmęczony człowiek siadał w głębokim fotelu i zamykał oczy, nie po to jednak, by zasnąć, ale żeby odciąć się od świata. Próbowala wszelkich sposobów, by wydobyć go z depresji, lecz ugrzązł w niej na dobre. Potem, żeby uśmierzyć ból w sercu i utopić dręczące sumienie, zaczął pić. Nigdy nie upijał się zbyt mocno. Wypijał dokładnie tyle, ile było konieczne, żeby poczuć senność. Tylko raz przesadził i stracił kontrolę. Wtedy, na krótko, udało jej się pokonać zbudowany przezeń mur i zbliżyć się do jego umęczonych myśli na tyle, by dostrzec piekielną otchłań, w której przebywał. Wszystko jej opowiedział i poczuła, że i ją spowijają ciemności. Później przez jakiś czas próbował ją zatrzymać przy sobie w tej czeluści, ale się wyzwoliła, znalazła sposoby i środki, by się z niej wygrzebać. O, Boże, Boże! - wołała, i Bóg wyciągnął do niej rękę i wydobył ją na powierzchnię.

-To nie była twoja wina, Bernardzie! Nie ty to zrobiłeś!

-Nie rozumiesz! - Był zły i sfrustrowany. - Nie możesz rozumieć. Nie jesteś Niemką!

-Ani ty! Na litość boską, i ze względu na twoje dzieci, zapomnij o tym!

Bernard był zdecydowany pozostać tam, gdzie rzuciły go okoliczności. Nie potrafił ani ich pokonać, ani obejść nie potrafił wyswobodzić się z więzienia własnego umysłu. Po pewnym czasie przestał jej słuchać.

Kiedy wrócił z wojny, Mama i Papa zadali mu kilka niedwuznacznych pytań.

-Udało ci się czegoś dowiedzieć? - spytał Papa, podczas gdy Mama czekała w napięciu.

-Miasto było zniszczone. Nic nie zostało. Nic. - Surowy i zimny ton

Bernarda nie pozostawiał wątpliwości, że drzwi do jego wojennych doświadczeń zostały z hukiem zatrzaśnięte przed innymi i zamknięte od wewnątrz. Mama i Papa nigdy więcej nie pytali syna o wojnę.

To Leota musiała pozbierać wszystkie kawałki i starać się na nowo poskładać Bernarda w jedną całość.

Mama i Papa Reinhardt czekali, aż to nastąpi. Obserwowali ją i wytykali jej każde niepowodzenie. Tylko Papa od czasu do czasu zdawał się rozumieć, jak bardzo Leota się stara. Mama niczego nie pojmowała.

-Żona powinna wiedzieć, jak uszczęśliwić męża - mawiała, a Leota czuła, że cały ciężar winy za nieszczęście Bernarda złożono na jej barkach. Miała wielką ochotę przypuścić atak w odruchu samoobrony, ale wiedziała, czym by się to skończyło. Świadomość tego, co przeżył Bernard, była pułapką. Leota dysponowała straszliwą mocą, którą w każdej chwili mogła wykorzystać, by uciszyć swą dręczycielkę. Wystarczyłoby powiedzieć prawdę i patrzeć, jak jej miecz przeszywa Helenę Reinhardt. Mama już nigdy nie ośmieliłaby się spojrzeć na nią z tym wyniosłym lekceważeniem i wzgardą. Czasem pokusa bywała tak ogromna, że Leota musiała wyjść z domu, wiedziała bowiem, że nie wolno jej o tym mówić - inaczej zawiodłaby zaufanie męża. Tego zaś nie miała zamiaru uczynić. Obiecała, że nigdy nie powtórzy jego rodzicom, co jej powiedział tej przesiąkniętej winem nocy. Ile razy uciekała wieczorem do ogrodu i pracowała samotnie, dopóki nie zapadła noc? Siedziała w ciemnościach i płakała, a złość i bezsilność mieszały się z rozdzierającą miłością i żalem do Bernarda. Rozpacзлиwa nadzieja zamknęła Leocie usta. Wciąż kochała męża. Gdyby wykorzystwała swoją wiedzę do własnej obrony, drogo by za to zapłaciła.

Łzy paliły jej oczy, kiedy patrząc na gazetę, wspominała, jak ciężko walczyła i ile lat musiało upłynąć, zanim między nią a Mamą Heleną nastąpił rozejm. Lepiej się stało, że to Papa wyjawiał prawdę, a nie ona.

Dotrzymałam obietnicy, Bernardzie. Nigdy nie powiedziałam słowa, mój kochany.

Ogarnął ją smutek. Bernard umarł kilka lat po Alu. Nie na atak serca, ale z powodu komplikacji wywołanych alkoholizmem. Przez wiele lat, gdy Leota chodziła do kościoła, on zostawał w domu. „Po co mam tam iść? Boga nie ma - mawiał. - Czy może istnieć Bóg, skoro świat jest, taki, jaki jest?”. Leota jednak wiedziała

swoje. Bez Boga nie miałyby sił, żeby wytrwać. Dopiero pod koniec swoich dni Bernard żałował i płakał nad straconymi latami.

Leota wciąż chwyciła się nadziei. I czekała.

Wzięła ołówek i zaczęła rozwiązywać krzyżówkę. Brama na trzy litery? Łuk. Doskonałość na dziewięć liter - wzorowość? Perfekcja. Uważnie wpisała litery. Dzieło Keatsa - poezja podmokły teren - bagno przybrane nazwisko - pseudonim.

Z salonu dobiegło miękkie bim-bam ściennego zegara. Siedziała nad krzyżówką ponad godzinę. Położyła ołówek na gazecie i dźwignęła się z fotela. Ostatnio czuła ogromne odrętwienie i ból w stawach. Weszła do małej pralni, niegdyś tylnej werandy, i włożyła do pralki kilka ubrań. Zostało jej już niedużo proszku do prania. Niebawem znowu będzie musiała pójść po zakupy. Nie może tego dłużej odkładać. Zostały jej tylko dwa jajka, pół bochenka chleba i konserwy. Żadnego mięsa. Żadnych świeżych warzyw ani owoców. Ciastek też nie było, choć sądziła, że ma potrzebne składniki, by je upiec.

Od dzielnicowego sklepu Dimon, w którym od ponad sześćdziesięciu lat robiła zakupy, dzieliło ją tylko parę przecznic. Jeszcze kilka tygodni temu nie miała problemów z chodzeniem i przyniesieniem tych paru rzeczy kupionych w supermarkecie.

Lecz podczas ostatniej wyprawy wpadł na nią jakiś nastolatek na deskorolce. Pojawił się nagle, kiedy przechodziła przez parking.

Rozpaczliwie starając się nie przewrócić, upuściła torbę i zakupy rozsypały się na wszystkie strony. Sądząc po tym, jak chłopak na nią popatrzył, można by pomyśleć, że to ona była winna. Nigdy w życiu nie słyszała takich przekleństw, jakie padły z ust chłopca. Bez najmniejszego zażenowania bluznął stekiem niecenzuralnych słów, od których Leota spłoszyła. Potem wskoczył na deskorolkę i odjechał z terkotem, zostawiając ją wstrząśniętą, zażenowaną i wytrąconą z równowagi. Już po minucie jednak wrzała ze złości. Co się dzieje z dzisiejszą młodzieżą? Może rodzice chłopca nie trzymali go dość krótko. I stał się dzikusiem, który z satysfakcją traktuje filigranowe staruszki.

Dziewczyna pakująca klientom zakupy w sklepie odprowadzała właśnie wózki z parkingu - zobaczyła Leotę zbierającą rozrzucone produkty i zatrzymała się, by

jej pomóc.

-Ta torba chyba sporo waży, proszę pani. Może chce pani taksówkę? Co i rusz dzwonię po nie dla starych ludzi, którzy mieszkają w okolicy. Czeka się tylko piętnaście minut.

Leota się zjeżyła. Być może to sposób, w jaki dziewczyna powiedziała „starzy ludzie”, rozsierdził ją jeszcze bardziej.

-Nie upuściłam tych rzeczy! Jakiś mały chuligan na deskorolce prawie mnie powalił na ziemię! - Poprawiła sukienkę i wyprostowała ramiona z całą godnością, na jaką mogła się zdobyć. - Wasi klienci już nawet na parkingu nie są bezpieczni.

-Nie powinien jeździć przez parking. Ustawiliśmy napisy.

-Może nie umie czytać. - Wcale by jej to nie zdziwiło, zważywszy na system edukacji publicznej.

-Powiem dyspozytorom, żeby szybko przysłali...

-Nie, nie powiesz. Nie jestem taka stara i niedołężna, żeby nie móc dojść do domu.

-Przepraszam - mruknęła zaskoczona dziewczyna. - Nie chciałam panią obrazić.

-Pani.

-Pani co?

-Pani obrazić. - Mama Reinhardt lepiej mówiła po angielsku.

Dziewczyna coś wybełkotała, po czym wróciła do swoich wózków i trzaskając nimi, popchnęła je w kierunku sklepu.

To było w zeszłym tygodniu.

Leota zapisała „proszek do prania” na liście zakupów. Biorąc pod uwagę tempo, w jakim przybywało na niej pozycji, będzie musiała obrócić dwa razy, żeby dotaszczyć wszystko z powrotem na wzgórze. Pewnego razu widziała niedużego staruszka z czerwonym wózkiem - wtedy pomyślała, że zwariował. Teraz uznała, że prawdopodobnie był bardzo praktyczny. Do takiego wózka mogłaby włożyć dwie torby z zakupami i łatwiej byłoby je dociągnąć do domu, niż nieść w rękach. A gdyby chciała przystanąć i odpocząć, nie musiałaby stawiać wyładowanych toreb na ziemi, a potem schylać się, żeby je dźwignąć, ryzykując nadwężenie kręgosłupa.

Czerwony wózek.

Dobry pomysł, tylko gdzie można taki kupić?

Umyła karton po mleku, napełniła go wodą i wstawiła do lodówki. Dopóki nie zbierze się na odwagę, żeby znowu pójść do sklepu, woda będzie jej musiała wystarczyć. Stała i wpatrywała się w swoje zapasy. Pikle do chleba, kostka masła, resztki majonezu, cztery plasterki sera owinięte w folię i niewielki słoik z morelami. Ostatni z setek weków, które robiła przez tyle czasu. Ile moreli, wiśni i śliwek zgniło na ziemi w ciągu ostatnich kilku lat? Skandaliczne, karygodne marnotrawstwo!

O drzewa owocowe trzeba dbać. Nie żyją tak długo jak sekwoje lub dęby. Trzeba je przycinać i otaczać opieką. Zaniedbane niszczej, zamieniają się w chuderławie drzewa leśne i dają coraz mniej owoców. Atakują je insekty i zaczynają chorować. Gałęzie łamią się od wiatru. Po kilku latach drzewo, które kiedyś rodiło tyle owoców, że starczało dla wszystkich sąsiadów z okolicy, nie jest w stanie wykarmić nawet ptaków, nie mówiąc o jednej małej starszej pani.

Leota zatrzasnęła drzwi lodówki i poszła do salonu. Zmęczona, osunęła się na głęboki fotel Bernarda. Był dla niej idealny. Po śmierci męża przez niemal trzy tygodnie obszywała go ładną grubą tkaniną w kolorze szmaragdu. To była dobra

terapia. Teraz, po trzydziestu latach wdowieństwa, aksamit się wytarł poręcze, podglówek i poduszki do siedzenia były niemal całkiem wyłysiałe i powgniatane. Ale fotel odpowiadał jej tak samo, jak Bernardowi, kiedy każdego wieczoru siadywał w nim, by patrzeć przed siebie.

Stawała się taka jak on. Siedziała. Patrzyła w dal. Czekala.

Myślała o przeszłości.

Często wspominała dobre chwile, które ją spotkały. Najgorszym krzyżem, jaki musiała nieść, była po prostu starość. Kiedyś spacerowała wokół jeziora Merritt dla zwykłej przyjemności, jaką dawał jej śpiew ptaków, widok dzieci puszczających łódki, promienie słońca grzejące ramiona. Przez wszystkie lata pracy wystawała na krańcach miasta, czekając na autobus, który przywoził ją na przystanek oddalony od domu o cztery przecznice. Godzinami pracowała w ogrodzie, czasem tak długo, aż zaszło słońce, i jeszcze starczało jej energii, żeby pójść z przyjaciółką na tańce. Była silną,

pełną wigoru kobietą.

Teraz... teraz spacerowała wyłącznie z kuchni do salonu, do łazienki, do salonu, do sypialni. Wydeptała w dywanie ścieżkę. Tylko jej umysł wędrował, podróżując tam i siam. Z przeszłości do teraźniejszości. Przez miasto. Przez kraj. Dookoła świata. Czasami do nieba. Albo do samego piekła.

Panie, kiedyś marzyłam, żeby pojechać do Europy, chciałam zobaczyć Londyn, Rzym, Paryż, Wiedeń. Wciąż o tym marzę, ale jestem stara, tak stara, że męczy mnie sama myśl o przejściu czterech przecznic do sklepu spożywczego i z powrotem.

Może gdybym miała towarzystwo, nie byłoby tak źle.

Kogoś.

Kogokolwiek.

Przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić do Georgea, ale odrzuciła ten pomysł. Dopiero minęło południe. Będzie w pracy. Jej syn nie ma zwyczaju wychodzić na dwugodzinny lunch. Dał jej numer do biura, ale z jego twarzy wyczytała, że telefon od matki to ostatnia rzecz, na jaką czeka. „W nagłym wypadku” powiedział. Ale nawet wtedy...

Nie. Może jeszcze poczekać. Może o siódmej, jeśli wciąż będzie w nastroju. Raz zadzwoniła

O wpół do szóstej, myśląc, że zastanie Georgea w domu. W tle usłyszała samochody i ciężarówki. Kiedy spytała, gdzie jest, powiedział, że w samochodzie wtedy jeździł takim z opuszczanym dachem. Wyobraziła sobie, jak jedną ręką trzyma telefon, a drugą kieruje, jadąc po autostradzie, i śmiertelnie się przeraziła. Kazała mu położyć obydwie ręce na kierownicy i rozłączyła się. Czekala, aż do niej oddzwoni po powrocie do domu. Nie zrobił tego, więc sama zatelefonowała, myśląc, że zginął na autostradzie. Odebrała jego żona, Jeanne. Tak, dotarł bezpiecznie do domu. Nie, nie wspominał, że dzwoniła. Siedzi w swoim pokoju i pracuje nad jakimś projektem. Jeanne odłożyła słuchawkę

i poszła po męża. Podniosła ją kilka minut później. Zakłopotana powiedziała, że George nie może teraz rozmawiać. Właśnie coś robi. „Czy czegoś potrzebujesz? Nie. Jak się czujesz, mamó? Dobrze.” Wszystko w porządku. Jak zawsze.

George nigdy nie oddzwaniał. Nie rozmawiał przez telefon, jeśli to nie miało nic wspólnego z zarabianiem pieniędzy.

Leota nie chciała dzwonić do Eleonory. Nie chciała słuchać wyjaśnień córki, dlaczego nie dzwoni albo zagląda raz od wielkiego święta, ani że nie zaprasza matki do swojego domu po drugiej stronie wzgórza. Leota nie chciała udawać, że wierzy w kłamstwa Eleonory - kłamstwa, które nigdy nie były dość zawoalowane, by nie przeszywały jej serca.

-Och, mamó, tak mi przykro. Powinnam była wcześniej zadzwonić, wiem. Czas mi tak ucieka. Wiesz, jak to jest. Tyle się u nas dzieje. Właśnie przywiozłam Anne-Lynn od rodziny Freda w Newport Beach. Spędziliśmy tam dziesięć dni. Było cudownie. Wspaniale się bawiliśmy. Oni zawsze wszystko odwołują, kiedy ja i Anne-Lynn przyjeżdżamy z wizytą. Myślałam, że Anne-Lynn spodoba ją się plaże, ale chciała tylko zwiedzać muzea. Uważa się za artystkę, wiesz. Aha, nie wiedziałaś. No cóż, przypuszczam, że ma jakiś talent, ale to jej przejdzie. Jesienią idzie do Wellesley. Dostała stypendium. O, tak. Michael świetnie sobie radzi na Uniwersytecie Columbia. Dostał wyróżnienie. Właśnie posłaliśmy mu czek na nowy semestr.

Eleonora i jej subtelne aluzje do porażek matki. Eleonora i jej żale. Eleonora, jej pretensje i wieczne utyskiwania.

Mam tego dość, Boże. Wiesz, że nie chcę stać się ciężarem dla swoich dzieci. Czasami żałuję, że nie zabrałeś mnie do siebie.

Spowiała ją cisza. Czekwała bez ruchu w swoim fotelu na spokojny, cichy głos... na jakiś znak...

Na cios.

Nic się nie wydarzyło. Nie rozległ się głos z nieba. Światło nie rozblęskło w jej ciemnym salonie. I wciąż oddychała. Wciąż czuła bicie serca. Ma mocne serce. Prawdopodobnie dożyje setki. Co za radość. Wielkie dzięki. Zapiekle ją łyzy, poczuła narastający gniew.

Wszystko, co zrobiłam, jest bez znaczenia. Co dostałam za moją ciężką pracę?
Słońce wschodzi i zachodzi jak zawsze, i zawsze będzie wschodzić i zachodzić.
Oczywiście nie oczekiwałam, że świat stanie w miejscu, Panie. Miło byłoby

usłyszeć zwykle dziękuję. Ale nie. Pory roku przychodzą i odchodzą. Mijają dni. Jakie znaczenie będzie miało wszystko, co zrobiłam dla innych, kiedy odejdę? Czy chociaż o tym wiedzą? Czy rozumieją?

Wszystko, co mam, przypadnie moim dwojgu dzieciom, Panie, i co one zrobią? Sprzedadzą dom obcym. Zorganizują wyprzedaż rzeczy używanych i zbiorą kilka monet za przedmioty, które dla mnie są skarbem. Moje ubrania trafią do worka ze starzyzną, ogród zniknie, listy od kochających przyjaciół wylądują w koszu na śmieci.

Byłoby lepiej, gdybym umarła dawno temu, niż żyła po to, by zobaczyć, że to wszystko jest pozbawione sensu.

Czy zawsze tak było?

Och, Boże, jaki jest sens życia?

Leota odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Czekala. Myślała.

Może byłoby lepiej, gdybym zachorowała na Alzheimera, Panie. Miałam szczęśliwe dzieciństwo. Przyjemnie byłoby tam wrócić i żyć, zapomnieć o wszystkim, co zdarzyło się później. A gdybym naprawdę wszystko zapomniała? A inni? Czyż o mnie nie zapomnieli? Co by się stało, gdyby...

Myśli jej galopowały, pokonując susami żywopłoty, gnając w dół po zboczach wzgórz, przedzierając się z pluskiem przez strumienie wody, aż przyniosły ją z powrotem na krzesło, a serce załomotało jej w rosnącej panice. Co przyniesie przyszłość?

Zacisnęła wargi. I wiesz, co jeszcze, Boże? Dostyc mam jednostronnych rozmów z Tobą!

Wstała i włączyła telewizor. Nagrane dźwięki są lepsze niż żadne.

Było wczesne popołudnie i na ekranie królowały opery mydlane. To ci dopiero radocha. Zuchwali, niecierpliwi młodzieńcy, lubieżni lekarze, ścigający po szpitalnych korytarzach pielęgniarki i pacjentki, psychotyczni sąsiedzi odwiedzający ludzi z trującymi ciasteczkami. Kręciła gałką, zmieniając kanały. Nie miała zbyt dużego wyboru wiadomości o ostatnim szaleńcu, który chce rozpętać wojnę, filmiki informacyjnoreklamowe zachwalające najnowsze i najwspanialsze sposoby na to, jak poprawić sobie życie lub zostać milionerem, talk shows w świetle reflektorów, przy gwiazdach i krzykach publiczności pokazujące ból i ludzkie poniżenie... Nie potrafiła dostatecznie szybko zmieniać kanałów. Musi być coś, cokolwiek, co jednocześnie uczy i bawi. Powtórki z przygód starszych pań, spędzających złote lata w słońcu Florydy...

Boże, mój umysł zamienia się w papkę. Skończę jak biedna pani Abemathy. Pamiętasz ją, Jezu? Drobna staruszka, w czterdziestym piątym mieszkała na rogu ulicy. Widywałam ją, wracając z pracy do domu. Pytałam, jak się miewa, a ona wyliczała drastyczne szczegóły swojej fizjologii. Czy ze mną będzie tak samo? Pierwszy gość, który przekroczy mój próg, dowie się, co się stało podczas mojej ostatniej wycieczki do łazienki.

Wolę połknąć całą butelkę aspiryny, niż do tego dopuścić. Jak dotąd jeszcze nikomu nie mówiłam, czy moja hydraulika dobrze się sprawuje. Nie żeby ktoś pytał. Ale obiecuję Ci, Boże jeśli do tego dojdzie, kupię sobie kilka opakowań tabletek nasennych i popiję je butelką dżinu!

-Organizacje świadczące usługi dla starszych... - usłyszała mimochodem i cofnęła pokrętko, by dowiedzieć się czegoś więcej. - Gościmy dziś Nancy Decker, która opowie nam, czym zajmują się jej wolontariusze oraz na czym polega program.

Osoby do towarzystwa. Na telefon. Żadnych kosztów. Ochotnicy, którzy z przyjemnością towarzyszą staruszkom do sklepu i w załatwianiu różnych spraw. Wystarczy zadzwonić...

Hm, wystarczy zadzwonić? Cóż, czemu nie. Jaki miała wybór? Sama może sobie zrobić krzywdę i stanie się ciężarem dla dzieci. Mogła unikać wychodzenia z domu, ale wizja powolnej śmierci głodowej była mniej niż pociągająca.

Patrzyła na numer wyświetlony na ekranie telewizora. A więc do tego się to

srowadza, Boże? Poczekała jeszcze chwilę, mając nadzieję, że usłyszy lepszą odpowiedź. Kiedy ta nie nadeszła, Leota podniosła słuchawkę telefonu.

-Ciekawe, co za łaskawcę mi przyślą - wymamrotała z niesmakiem, wybierając numer.

Niezła okolica... Corban rozejrzał się nieufnie, parkując czarnego jak smoła pontiaka Trans Am przed niedużym domem z poszarzałym tynkiem. Zdenerwowany i

spięty, powiódł wzrokiem po zniszczonych budynkach i zapuszczonych ogródkach.
Po

drugiej stronie ulicy stał stary niebieski chevrolet, z jednej strony wgnieciony, z napisem N14 wymalowanym czarnym sprayem na drzwiach od strony kierowcy. Dom, przed którym stał samochód, wyglądał równie fatalnie jak wszystkie inne, z tą różnicą, że jego okna zdobiły fantazyjne żelazne pręty czarnego koloru.

Co ja tu robię?

Przez głowę przemknęło mu kilka niewybrednych epitetów pod adresem profesora Webstera i jego pomysłów na temat konieczności dodania „czynnika ludzkiego”.

Corban zacisnął usta i sprawdził, czy nic wartościowego nie leży w samochodzie na widoku. Nancy Decker ostrzegła go, czego może się spodziewać w tej części Oakland. „Najlepszą ochroną jest pełna świadomość otoczenia. Ofiarami napadów są zwykle ludzie, którzy nie zwracają uwagi

ng i.

Ir

na to, co dzieje się dookoła nich. Aha, i nie zostawiaj w samochodzie niczego wartościowego na widoku.”

Szkoda, że nie zainwestował w zestaw audio, który można wyjąć i zabrać ze sobą. Zacisnął zęby i założył blokadę na kierownicę, po czym wysiadł i pilotem zamknął samochód. Czułby się pewniej, gdyby jeździł starym poobijanym chevroletem. Jak ten z wgnieceniami. Takim, którego kradzież nikt by sobie nie zawracał głowy.

Wetknął kluczyki do przedniej kieszeni lewi- sów, obszedł samochód dokoła, stanął na chodniku i spojrzał na dom, w którym mieszkała jego podopieczna. Poza brązowymi plackami wyschniętej lub zwiędniętej trawy, trawnik był całkiem zarośnięty. Przed wejściem kłębiły się krzaki. Plama wilgoci ciągnęła się wzdłuż frontowego narożnika, w miejscu, gdzie odłamała się rynna - pewnie przeciążona liśćmi z drzewa, którego korzenie rozsadziły część betonowego krawężnika. Miejsce wyglądało niechlujnie, jakby brud, zbierający się przez dziesiątki lat, pokrył je warstwą kurzu od czasu do czasu omywanego zimowym deszczem.

Corban odchrząknął. Chciał mieć już z głowy swój wywiad. Ta kobieta mieszka na wysypisku śmieci. Spomiędzy płyt chodnika wyrastały chwasty. Wyglądało na to, że staruszka ma mało pieniędzy albo nie ma ich w ogóle. Prawdopodobnie żyje z zasiłku i jakichś skromnych oszczędności. Z pewnością to nie wystarcza na wynajęcie pomocnika, który zadbałby o ogród, ponury dom i zwisające rynny. To za mało, żeby sprzedać dom i przeprowadzić się do domu opieki.

Spełniała jego kryteria biedna, ale nie pozbawiona środków do życia.

Niski biały płot, wyznaczający granicę posesji, chylił się pod ciężarem splątanych, pozbawionych kwiatów pnączy róż. Corban widział cały podjazd aż do wiaty dla samochodu. Za wiatą znajdował się garaż, w którym ledwie zmieściłoby się cokolwiek większego niż ford T. Nad bocznymi oknami pyszniły się brudne, spłowiałe, zielono-białe metalowe markizy.

Schody prowadzące do wejścia były kiedyś pomalowane farbą. Zieloną i czerwoną, ni mniej, ni więcej! Frontowe okna od zewnątrz pokrywała gruba warstwa brudu. Staruszka pewnie nie widzi przez nie światła. Na niewielkiej werandzie stał stary fotel na biegunach, zamieszkiwany przez wielkiego pająka ogrodowego. Z wiszących donic sterczały brązowe kikuty. Drzwi wejściowe wyglądały solidnie i mogłyby odeprzeć atak szarżującego barana, chociaż potencjalny rabuś nie musiałby się z nimi mocować, z łatwością dostałby się do wewnątrz przez jedno z okien znajdujących się po obu stronach. Wystarczyłoby stłuc szybę, sięgnąć do środka, otworzyć drzwi i prosić, przestępca może brać, co mu się spodoba. Zakładając oczywiście, że staruszka posiada coś wartościowego, w co Corban szczerze wątpił.

Jedyną rzeczą, która utrudniała wejście i zapewniała trochę prywatności, były cienkie firanki. Zamiast wizjera - i tak zbędnego, zważywszy na dwa okna umieszczone po bokach - pośrodku ciężkich drzwi strategicznie wbudowano witrażowe okienko. Dla zachowania godności, jak przypuszczał, o ile było to możliwe w tak nędznej okolicy.

Corban zadzwonił do drzwi. Stał przed małym okienkiem, żeby starsza pani mogła mu się przyjrzeć. Przeczesał palcami włosy i uśmiechnął się.

Żadnej reakcji.

Lekko zirytowany pomyślał, że może jest głucha. Przyłożył kciuk do dzwonka i nacisnął go jeszcze raz, tym razem mocniej, uważnie nasłuchując. Usłyszał, jak

dźwięk dzwonka rozlega się wewnątrz domu. Nie było to ostre bzyczenie, lecz melodyjne bim bam. Odczekał kolejną minutę. Kiedy nadal nikt nie odpowiadał, chciał uderzyć pięścią w drzwi. Porzucił jednak ten pomysł i zerknął na wąskie okno z boku. Zastaniająca je firanka była na tyle przezroczysta, że mógł przez nią zajrzeć do salonu. Spróbował, ale przez grubą warstwę brudu niczego nie zobaczył. Skrzywił się, poszperał w kieszeni i wyjął wypraną i wyprasowaną chusteczkę z monogramem.

Leota usłyszała dzwonek z kuchni, wytarła dłonie w ściereczkę do naczyń i ruszyła w stronę drzwi. Zanim doszła do stołu, dzwonek rozległ się jeszcze raz. Kiedy była w połowie salonu, zobaczyła, jak jakiś mężczyzna przeciera okno przy drzwiach. Co on u licha robi? Zatrzymała się i patrzyła, coraz bardziej rozgniewana. Nie dość, że nie miała siły ani ochoty, żeby umyć szyby, to jeszcze przychodzi jakiś obcy i przeciera szyby w jej oknie. Teraz będzie musiała patrzeć na ten czysty skrawek, który będzie jej przypominać, że jest kiepską gospodynią.

Mężczyzna zaglądał do środka, starając się coś dojrzeć przez przezroczyste firanki. Fala gorąca zalała Leotę niczym lawa wzbierająca w kraterze wulkanu. Złość tak ją zelektryzowała, że zapomniała o artretycznym bólu w biodrach, kolanach i kostkach. Przeszła dziarsko kilka ostatnich kroków, odsunęła zasuwkę i otworzyła drzwi.

-Co pan wyprawia, czemu zagląda pan do mojego domu?

Młodzieniec cofnął się gwałtownie i poczerwieniał na twarzy.

-Ja... ja przepraszam. Jestem Corban Solsek, proszę pani. Nancy Decker przysłała mnie z...

-Nic mnie nie obchodzi, kim pan jest! - Co z tego, że ktoś go przysłał. To go nie usprawiedliwia! - Też mi coś! Przysłała pana, żeby mi pan zaglądał przez okno?

-Nie, proszę pani! Dzwoniłem dwa razy, nie wiedziałem, czy... - Przestał mówić, pąsowiejąc coraz bardziej.

-Czy nie umarłam?

Corban był przerażony.

-Nie to chciałem powiedzieć.

-Czyżby? - Niemal widziała, jak trybiki w jego mózgu kręcą się pracowicie, szukając sensownej odpowiedzi.

-Czy nie jest pani głucha. Nie wiedziałem, czy...

-Nie jestem ani głucha, ani martwa, jak pan widzi. - Zaczęło ją to bawić.

-Prz... przykro mi...

W orzechowych oczach młodzieńca pojawił się cień rozdrażnienia. Nie lubił być

besztany. Przypuszczała, że jest raczej niegrzeczny i uchodzi mu to na sucho. Postanowiła nie okazywać litości.

-Powinno być panu przykro. - Otworzyła drzwi na oścież. - No, proszę tak nie stać, jakby to pan miał stężenie pośmiertne. Niech pan wejdzie!

-Cofnęła się, robiąc mu przejście. Był duży. Pewnie jeden z tych atletów, co to robią jeden dobry uczynek dziennie jako rekompensatę za to, że przez resztę tygodnia urządzają ludziom piekło.

-Proszę iść do kuchni. Pod zlewem znajdzie pan płyn do szyb.

-Słucham? - Na jego przystojnej młodzieńczej twarzy pojawił się wyraz całkowitej konsternacji.

Leota uniosła podbródek i popatrzyła mu prosto w oczy. Przewyższał ją o głowę i pewnie ważył dwa razy więcej niż ona, ale nie miała zamiaru dać się zastraszyć. Wystarczająco dużo widziała w telewizji i czytała w gazetach, by wiedzieć, że nie może mu niczego puścić płazem.

-Pobrudził mi pan okno, młodzieńcze. Niech je pan wyczyści. - Otworzył usta, ale nie dała mu szansy na sprzeczenie się. - Albo to, albo wróci pan do pani Decker i powie jej, żeby przysłała kogoś innego! Kogoś, kto nie jest aż tak niegrzeczny, żeby przyklejać nos do mojego okna.

Corban zacisnął usta, przemaszerował przez salon, minął stół i wszedł do kuchni. Wystarczyło mu na to sześć kroków.

-Gdzie mam zajrzeć?

Leota musiała powstrzymać uśmiech. Młodzieniec był zdecydowanie naburmuszony.

-Pod zlew! A gdzie indziej, pana zdaniem, ludzie trzymają płyn do szyb? A może to pan ma problemy ze słuchem?

-Nie ma tu papierowych ręczników - wyburczał wystarczająco głośno, by go dosłyszała.

-Niech pan stanie prosto! Papierowe ręczniki wiszą tuż przed pańskim nosem, na wieszaku przy szafce na naczynia. Gdyby rolka była węzem, to by pana ukąsiła!

-Stała się pośrodku salonu i obserwowała go niczym jastrząb. - Dwa kawałki nie wystarczą. - Kiedy Corban gwałtownie szarpnął rolkę, oparła ręce na biodrach. - Nie mówiłam o całej rolce. Cztery albo pięć. To kosztuje. Teraz proszę starannie zwinąć resztę, tak jak było. Starannie, panie Solsek. Gdy wrócił z kuchni, drgał mu mięsień w policzku. Wychodząc przez frontowe drzwi, nawet na nią nie spojrzął, spryskał okno płynem od góry do dołu i zaczął je mocno i szybko trzeć. Widziała, że poruszał ustami. Bez wątpienia ją przeklinał.

I jej zadrżały kąćki ust. Ręczniki przesiąkły, choć okno nie było umyte nawet w połowie. Odwróciła się, poszła do kuchni i wyjęła z szuflady myjkę. Zmoczyła ją ciepłą wodą i zaniósła Corbanowi wraz z czterema papierowymi ręcznikami.

-Proszę. - Rzuciła w niego ścierkę. - Najpierw niech pan użyje tego. Potem pozostałych ręczników. - Wzięła od niego wilgotne, zabrudzone ręczniki i zrobiła krok do tyłu, żeby móc przyglądać się jego pracy. Po kilku minutach szyba w oknie była tak czysta, jak to tylko było możliwe, zważywszy na warstewkę kurzu pokrywającą okno od wewnątrz. Nawet w tym stanie różnica między na wpół umytą szybą a oknem z prawej strony drzwi była ogromna.

Nagle, patrząc na okna, Leota zapragnęła wejść do łóżka i naciągnąć kołdrę na głowę.

Wychodząc na zewnątrz i szorując okno, Corban musiał bardzo się starać, by opanować złość. Teraz wszedł z powrotem i spojrzął na okno od środka.

-No i jak?

Staruszka nic nie powiedziała. Stała i patrzyła to na jedno, to na drugie

okno. Nie dając jej czasu na zwerbowanie go do mycia pozostałych szyb, Corban wyciągnął przed siebie brudną ścierkę.

-Gdzie mam to położyć?

-W koszu na brudną bieliznę, stoi na tylnej werandzie. Papierowe ręczniki idą do kosza na śmieci pod zlewem. - Podała mu brudny zwitek papieru, który wcześniej od niego wzięła.

Corban wziął ręczniki i ruszył w stronę kuchni, wdzięczny, że to stare babsko nie kazało mu złapać się za wiadro i wyszorować całego domu. Co by się zresztą przydało. Warto by tu wyczyścić wszystko, od tłustego sufitu, po stare żółtoszare linoleum na kuchennej podłodze. Przynajmniej metalowy stolik kuchenny, pokryty żółtym laminatem w brązowe ciapki, był czysty, choć starej kuchni gazowej i lodówce z zaokrąglonym przodem przydałoby się porządne mycie.

-I niech pan nie zapomni odstawić płynu tam, skąd go pan wziął! Czyżby myślała, że chce go ukraść? Corban wetknął butelkę pod zlew, wyrzucił mokre ręczniki do papierowej torby na śmieci wyłożonej plastikowym workiem i z trzaskiem zamknął szafkę. Na maleńkiej tylnej werandzie znalazł pralkę i suszarkę obydwa urządzenia wyglądały na starsze od niego! Zauważył kosz na pranie, a w nim wypłowiały różowy ręcznik, ścierkę i pastelową sukienkę w kwiatki, ze sztucznego tworzywa, podobną do tej, którą kobieta miała na sobie. Brudną ścierkę rzucił na wierzch.

Dom przygnębiał Corbana. Był zakurzony, słabo oświetlony i ponury. I unosił się w nim ten zapach. Nie potrafił go określić... nie był to zapach samego domu, ale szczególna, niemożliwa do opisanego woń staruszki, która napawała Corbana lekką odrazą. Otoczenie domu było równie odpychające. Co gorsza, czuł wstręt do tej siwej, kędzierzawej starej baby w taniej sukience, zrobionym na szydełku rozpinanym swetrze z bąbelkami i w starych, różowych, sfilcowanych kapciach. Stojąc tak w tym obskurnym salonie, wyglądała jak stara kura gotowa go dziobnąć. Wpatrywała się w niego kaprawymi, niebieskimi oczyma, a z jej spojrzenia mógł wyczytać, że on też jej nic nie obchodzi.

To go rozżłościło. W końcu dobrowolnie poświęcał swój czas, żeby jej pomóc. Powinna okazać trochę wdzięczności.

Mieliśmy zły początek. Nie powinien był zaglądać przez okno, ale skąd miał wiedzieć, że dojście do drzwi zajmie jej pięć minut? Mimo wszystko musiał coś zrobić, żeby uratować sytuację. Jeśli nie będzie się cieszył jej względami, jak zdobędzie potrzebne informacje? Zmusił się do uśmiechu.

-Nancy mówiła, że musi pani iść do sklepu spożywczego. Zabiorę panią.

Otóż to. Stara jędza powinna się ucieszyć.

Leota zacisnęła wargi. Corban patrzył na nią i czekał. Na co? Żeby go poklepać po głowie? Ucałować? Nie chciała nigdzie chodzić z tym aroganckim młokosem. Widziała, jak rozglądał się po jej domu z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Bez wątpienia pochodzi z wytworniejszej dzielnicy. Wielka rzecz. Nie poruszyła się i nic nie powiedziała. Popatrzyła na jego spłowiałe lewisy. Kto to słyszał, żeby zakładać jasnobrązową zamszową kurtkę na biały podkoszulek? Miał krótko przystrzyżone włosy, jak rzymski cesar. No i to zadęcie. Król świata, co?

-Mam artretyzm. Nie nadaję się do klękania.

-Słucham? - Przechylił lekko głowę.

-Nic. Tylko głośno myślę.

Wpadł w zakłopotanie, a potem się zirytował. Jakby nie musiał jeszcze gdzieś pójść, spotkać się z innymi ludźmi. A ona marnuje jego cenny czas.

-Czy mam przynieść pani buty?

O, jaki grzeczny.

To, że jest stara, nie oznacza, że jest niedołączna. Wiedziała, że ma na nogach kapcie. A co w tym dziwnego? Jest u siebie domu. Ludzie chyba nie siedzą cały dzień w wyjściowych butach? Gdyby tak pilnie nie potrzebowała produktów spożywczych, kazałaby mu wracać, skąd przyszedł. Zostało jej jednak dość rozsądku, by wiedzieć, że nie ma wyboru. Myśl

o tym, że musi ulec temu nept- kowi, była sprzeczna z jej naturą. Ale głodzenie się też. Zostały tylko konserwy. Nie może czekać kolejnych trzech dni, aż ta pani Decker znajdzie i przyśle do niej innego ochotnika. Ochotnika? Wyglądał,

jakby przyszedł z poboru!

-Wiem, gdzie są moje buty, młody człowieku. Niech pan usiądzie i poczeka, przyniosę je. - Wskazała ręką na kanapę. Corban się nie poruszył, więc wzruszyła ramionami i poszła do sypialni. Świetnie. Niech sobie stoi. Wszystko jej jedno, czy mu wygodnie, a buty będzie zakładać dłużej niż zwykle, żeby tylko zrobić na złość temu paniczekowi!

Corban jeszcze raz spojrzął na kanapę. Wyglądało na to, że jest mniej więcej tak wygodna jak madejowe łoże. Dobrze, że nie usiadł. Westchnął, kiedy kobieta odeszła powłóczytym krokiem. Poruszała się bardzo wolno, więc mógł się rozejrzeć.

Salon i jadalnia łączyły się w jeden pokój przedzielony grubą drewnianą listwą biegnącą wzdłuż jednej ściany i sufitu. W jadalni stał staromodny stół z rzeźbionymi pazurami u nóg, wykonany z solidnego ciemnego drewna, na nim zrobiona na szydełku koronkowa serweta i wazon z zakurzonymi plastikowymi kwiatami. Przy tylnej ścianie znajdował się kredens wypełniony naczyniami i szkłem. Żadnych wyrobów marki Wedgwood ani Royal Doulton.

Dywan był wyblakły. Jakikolwiek kolor miał niegdyś, teraz był szaty i zniszczony. Ścieżka do kuchni. Ścieżka na korytarz, w którym kobieta zniknęła. Najjaśniejszą plamą koloru w obydwu pokojach była zrobiona na drutach narzuta przy

krywająca oparcie brzydkiej kanapy. Duży wyściełany fotel, przysadzisty i nierówny, stał obok niskiego stolika zawalonego książkami i czasopismami. Drugi, równie obładowany i zakurzony stolik, stał przy drugim boku kanapy. Para lamp wyglądała jak imitacje greckich urn z poźółkłymi abażurami. Nad kominkiem wisiała rycina przedstawiająca pejzaż, jedna z setek tysięcy reprodukcji, jakie można kupić razem z tandetną, bogato zdobioną, pozłacaną ramą. Na kominku sześć zdjęć i kilka figurek. Jedna przedstawiała dziewczynkę z trzema gęsiami. Był też chłopiec siedzący na płocie. Na ścianach tu i ówdzie wisiały oprawione obrazki. Największa była haftowana makatka z kwiatami powoju i grubym czarnym napisem „Ja

sam i mój dom służyć chcemy Panu. Jozue 24,15".

Przed kominkiem, którego nie rozpalano chyba od dziesięciu lat, leżał półokrągły dywanik z frędzlami. W małym ceglany palenisku tkwiła zakurzona muszla, zaśniedziały mosiężny świerszcz i para dużych starych czarnych butów.

Wszystko, co miała, to były stare, zepsute graty w spłowiałych kolorach. Najdroższymi przedmiotami w posiadaniu staruszki były duży brązowy fotel z podnóżkiem i stojący w kącie salonu ogromny telewizor. Nie dałoby się z tego

urządzić wyprzedaży rzeczy używanych. Raczej wyprzedaż rupieci.

Corban usłyszał szuranie stóp nadchodzącej staruszki. Rzucił okiem w stronę otwartych drzwi do łazienki, w której zauważył stary grzejnik podłogowy. Całe pomieszczenie, od podłogi aż do połowy ścian, pokiywała koszmarna mozaika

różowych, czarnych i zielonych kafelków.

Kiedy staruszka weszła do pokoju, wzdrygnął się w duchu. Miała na sobie długi brązowy płaszcz z kołnierzem i wielkimi plastikowymi guzikami, do tego brązowe mokasyny na grubej podeszwie. Ignorując go, podeszła do fotela i schyliła się po starą czarną torebkę miała minę, jakby ktoś ją złapał za gardło. Trzymała torebkę w obu dłoniach i smętnie patrzyła na Corbana.

-Potrzebna mi lista zakupów. Leży na blacie, z prawej strony koło zlewu.

Władcza starucha.

-Tak, proszę pani.

Po wyjściu skrupulatnie zamknęła drzwi na klucz. Zanim zeszli po schodkach, Corban zaproponował, by wzięła go pod rękę, co też uczyniła. Niechętnie. Czuł, że drży. Z nerwów? A może po prostu ze starości? Co prawda nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Wyjął z kieszeni kluczyki i wcisnął pilota.

-Otworzę pani drzwi. - Poklepał ją po dłoni i odszedł kilka kroków.

Wybałuszyła oczy, szczeka jej opadła.

-Nie wsiądę do tego sportowego wozu!

Brzmiało to tak, jakby chciał ją wsadzić do wyścigówki.

-To nie jest sportowy samochód, proszę pani. To tylko...

-Nie obchodzi mnie, co to jest. Nie wsiądę do tego. Do sklepu jest tylko kilka przecznic. Przejdziemy się.

-Przejdziemy? - Pięć przecznic w najgorszej okolicy, jaką w życiu widział? Czy jego samochód w ogóle jeszcze tu będzie stał, kiedy wróca?

-Oczywiście. Ponad pięćdziesiąt lat chodzę pieszo do sklepu.

-Pięć przecznic w jedną stronę i pięć z powrotem daje dziesięć przecznic, proszę pani - starał się zwrócić jej uwagę na odległość.

-Gratulacje. Umie pan dodawać. Dobrze wiedzieć, bo czytałam, że większość absolwentów szkół średnich nie potrafi nawet czytać.

Zagotował się w środku. Czyż nie zadzwoniła po pomoc dlatego, że sama nie mogła sobie poradzić? Próbował coś wymyślić, cokolwiek, żeby odwieść ją od tego zamiaru.

Wbiła w niego gniewne spojrzenie.

-Wygląda pan na krzepkiego młodzieńca, panie Solsek. Myślę, że da pan radę. Ruszyła bez niego i Corban zaklął pod nosem. Popatrzył na swój samochód,

powiódł wzrokiem po okolicy i poczuł narastającą panikę.

-Mogłaby pani chwilkę poczekać? Zaparkuję samochód na podjeździe. - Starał się mówić łagodnym tonem. - Nie chciałbym, żeby komuś blokowałam drogę.

Leota przystanąła. Odwróciła się i spojrzała na niego. Co za bzdura!

Wiedziała, co go naprawdę niepokoi - i uznała, że obawa jest uzasadniona. Będzie musiał przekonać się na własnej skórze, że nie można tu zostawiać drogich aut. Może następnym razem będzie miał na tyle rozumu, żeby pożyczyć czyjś zdezelowanego volkswage- na albo przyjechać autobusem.

-Proszę bardzo.

Obserwowała, jak niemal przeskoczywszy przez tył samochodu, wśliznął się na fotel kierowcy, usunął jakiś czerwony przyrząd z kierownicy i uruchomił silnik. Rozległ się przyjemny warkot. Samochód musiał kosztować jego rodziców ładną sumkę. Wprawnie wycofał go na środek ulicy, gwałtownie obrócił i z iękiem silnika wjechał na jej wąski podjazd.

Leota czekała z lekkim uśmiechem na twarzy.
Jedna minuta.

Dwie.

Trzy.

Wiedziała, co się dzieje, nawet bez patrzenia, choć bardzo ją kusiło, żeby

stanąć przed podjazdem i stamtąd obserwować całe przedstawienie. Stała jednak na środku chodnika, zadowolając się widokiem tej sceny w wyobraźni.

Raz usłyszała głos Corbana. Dostyc głośny, bezradny. Tylko jedno słowo, które z pewnością jasno obrazowało jego uczucia. Kiedy pomalutku wycofywał samochód, ujrzała wysuwający się lśniący zderzak. Zatrzymał samochód na podjeździe tuż za chodnikiem, tak żeby przednie drzwi otwierały się w stronę schodków prowadzących do jej drzwi wejściowych. Automatyczna szyba w oknie samochodu zasunęła się. Leota zacisnęła wargi. Kogoś tak dumnego nie wystarczy wyśmiać. Corban z

powrotem zainstalował czerwone ustrojstwo i wysiadł z auta. Zablokował drzwiczki za pomocą magicznego brzęczyka usłyszała kliknięcie. Wsunął kluczyki do kieszeni i przemaszerował przez środek jej nędznego, żałośnie wyglądającego trawnika porośniętego chwastami. Zdawało się, że zanim się z nią zrównał, odzyskał panowanie nad sobą.

-Nie mogłem otworzyć drzwi - powiedział z ponurym uśmiechem. - Pani podjazd jest zbyt wąski.

-To pański samochód jest za szeroki. - Uśmiechnęła się niewinnie. - Gdyby był o piętnaście centymetrów węższy, dałby pan radę wyjść przez okno.

Corban poczuł, jak rumieniec wstępuje mu na kark, rozlewa się po twarzy i dochodzi do linii włosów.

-Mogła mnie pani uprzedzić.

-Nauczyłam się, że doświadczenie jest o wiele lepszym nauczycielem. Uniosła rękę. - Pańskie ramię, jeśli można. Jestem stara, jak pan widzi. Jako osoba dziecięciniała potrzebuję wsparcia.

Już miał powiedzieć, że kupi jej laskę. Jaką tylko zechce. Ze smoczą główką! Jednak pragnienie, by być prymusem u profesora Webstera, zamknęło mu usta. Musi się trzymać planu. Powoli nabrał powietrza w płuca i zdobył się na sztywne

-Cała przyjemność po mojej stronie.

-Bzdura - zdawało mu się, że dosłyszał jej odpowiedź.

Kiedy mijali pięć kolejnych kwartałów, żadne nie odezwało się słowem, w sklepie natomiast Leota nie przestawała mówić.

-W życiu nie byłem taki zażenowany! - Corban cisnął sportową kurtkę na

krzesło. - Nie obeszlśmy połowy sklepu, a już miałem ochotę kupić taśmę klejącą i zalepić tej starej jędzy usta!

-Widzę, że masz doskonały humor - zaśmiała się Ruth. - Co się stało?

-Raczej co się nie stało! Najpierw kazała mi umyć okno. Szkoda, że nie widziałas tego brudu, Ruth. Potem nalegała, żeby iść pięć przecznic do sklepu na piechotę. Kiedy tam dotarliśmy, przez godzinę przebierała warzywa i owoce, skarżąc się kierownikowi, że dzisiaj nic już nie ma prawdziwego smaku. Trzeba było widzieć minę faceta, kiedy powiedziała „Równie dobrze można jeść plastik!” Potem zapchała wózek do działu mięsnego i nawymyślała sprzedawcy, że wszystko jest paczkowane dla rodzin. „Żeby zapłacić przyzwoitą cenę, trzeba kupić dziesięć kotletów wieprzowych. Czy pan wie, ile czasu zajęłoby mi zjedzenie dziesięciu kotletów?” Ale to wszystko jeszcze nic w porównaniu z gadką, jaką wystosowała do biednej kasjerki. Opowiedziała jej, jak to kiedyś kupowała kotlety wieprzowe po pięć centów za sztukę i że cena jednego pomidora to rozbój w biały dzień.

-Uspokój się, Cory. Nie mogło być aż tak źle.

-Trzy torby zakupów, Ruth. Czubate! Dwie z nich musiałem taszczyć pięć przecznic pod górę. Kilka razy przystawała, ale gdy tylko myślałem, że uda mi się postawić torby na ziemi i chwilkę odsapnąć, ruszała dalej. Potem postawiła swoją torbę na murku werandy i przez pięć minut grzebała w torebce, szukając klucza. Bolały mnie ręce. Kiedy byłem już gotów zostawić jej rzeczy i sobie pójść, ona nagle otwiera drzwi i każe mi wnieść te wory do kuchni. Wróciłem i po ten ostatni, bo wiedziałem, że inaczej musiałbym czekać kolejne pół godziny, aż zawlecze go od drzwi do kuchni. Zaproponowałem, że poukładam wszystko na swoim miejscu, ale powiedziała, że może to zrobić sama. A na koniec jeszcze wręczyła mi ćwierćdolarówkę!

Ruth się roześmiała.

-No, w jej czasach pewnie uznano by to za dobry napiwek.

Corban wiedział swoje.

-Zrobiła to złośliwie.

-Oj, daj spokój! Dlaczego miałaby być złośliwa?

-Żeby to zrozumieć, musiałabyś ją poznać. - Szarpnięciem otworzył drzwi lodówki i rozejrzał się po niej. Mamrocząc jakieś przekleństwo, wyjął butelkę czerwonego wina. Postawił ją na blacie i otworzył szafkę, szukając czystego kieliszka. Nie znalazł żadnego, więc zerknął do zlewu.

-Miałas gości czy co?

-Dziś po południu było tu spotkanie grupy wsparcia kobiet - odpowiedziała Ruth znad książki. - Przepraszam. Jeszcze się nie zabrałam za mycie naczyń.

Tłumiąc irytację, Corban z hukiem zamknął szafkę i otworzył inną. Wyjął

kubek.

-Nie pójdzie mi tak łatwo i szybko, jak sądziłem.

-Co?

-Z tą staruchą.

-A dowiedziałeś się już czegoś?

-Żartujesz? Nie miałem okazji zadać jej ani jednego pytania. Już po dziesięciu minutach wiedziałem, że dopóki jakoś nie zaskarbię sobie jej względów, nie wyciągnę z niej nic pożytecznego. A Bóg jeden wie, ile to potrwa.

-Jednym haustem wypił pół kubka wina. Głowa pękała mu z bólu. Nic tak nie pobudza pragnienia jak ból głowy wywołany długim napięciem. Po kilku godzinach spędzonych z Leotą Reinhardt miał ochotę chwycić butelkę za szyjkę i opróżnić ją do dna.

Ruth zapisała coś w zeszycie i rzuciła Corbano- wi przelotne spojrzenie, po czym znów skupiła się na tekście opartym o dwie książki ułożone jedna na drugiej.

-No to dlaczego nie poszukasz innego sposobu, żeby spełnić wymagania profesora? Idź na pogadankę do klubu seniorów czy coś takiego.

-Profesor Webster nie chce tuzina opinii. Chce opisu jednego konkretnego przypadku. Zainwestowałem w tę staruchę już trzy godziny. Nie zmarnuję tego czasu tylko dlatego, że z kimś innym może lepiej mi się poszczęści.

Słyszając jego ton, Ruth zmrużyła oczy.

-To twój projekt. - Wzruszyła ramionami. - Rób, co chcesz.

Jej obojętność zirytowała Corbana. Potrzebował się wyładować, a ona jasno dawała mu do zrozumienia, że nie ma ani czasu, ani ochoty go słuchać. Znowu pochyliła się nad podręcznikiem, zaznaczyła żółtym kolorem jedną linijkę, po czym zapisała w zeszytach coś zapewne ważnego. Równie dobrze mogłaby postawić znak „Spadaj. Uczę się”.

Dokończył wino i wstawił kubek do zlewu. Nie miał czasu na sprzeczki. Musiał się uspokoić i zasiąść nad zadanymi lekturami, których po każdym zajęciu przybywało. Ruth ma rację. Trzeba się skupić.

Zostawił ją samą przy kuchennym stole i poszedł do salonu. Jego biurko stało przy oknie, z którego było widać basen na dziedzińcu. Podobało mu się, że może wyglądać na zewnątrz. Ruth dokuczała mu kiedyś, że ogląda studentki w kostiumach kąpielowych, ale nie o to chodziło. Nie lubił przebywać w zamknięciu. Ruth nie zależało na tym, żeby mieć przed sobą okno. Mówiła, że lepiej jej się uczy, kiedy otaczają ją ściany i ma prywatność. Zauważył też, że lubi mieć pod ręką lodówkę i dzbanek do kawy.

Niezależnie od ich osobliwych upodobań, wszystko zdawało się dobrze układać. On miał własną przestrzeń, ona swoją.

Dlaczego więc był ciągle wściekły?

Usiadł przy biurku, poskładał papiery, które pozostały po babskim spotkaniu

Ruth, i rzucił je na podłogę. Któraś z dziewcząt zabazgrała całą stronę w jego notatniku. Zacisnął zęby, wyrwał kartkę, zgniótł ją i cisnął do kosza na śmieci. Otworzył środkową szufladę biurka i zobaczył, że w plastikowym pojemniku został tylko jeden pisak. Kupował je tuzinami.

- Wyświadczyć mi przysługę, Ruth, i powiedz swoim koleżankom, żeby trzymały się z dala od mojego biurka!

-Przepraszam - odkrzyknęła Ruth. - Czego brakuje?

-Pisaków. Znowu.

-Kupię ci kilka, jak pójde do sklepu.

-A kiedy się wybierasz?

-Nie w tej chwili. - W jej tonie słycać było zdenerwowanie. - Może napijesz się kawy?

Cokolwiek, byle się zamknął. Zastryk kofeiny był teraz ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. I tak zaraz chyba wybuchnie. Nie chodziło tylko o Leotę Reinhardt. Chodziło o szkołę. O profesora Webstera i jego absurdalne wymagania. O Ruth. O jej koleżanki wykorzystujące jego mieszkanie na miejsce swoich spotkań. O całe jego parszywe życie.

Powiódł wzrokiem po mieszkaniu zabałaganio- nym przez koleżanki Ruth, które przyszły tu rozmawiać o tym, jak świat znęca się nad kobietami. Uważały, że kobietom dzieje się krzywda, bo zaprzestano akcji feministycznych. Jasne, tylko kto tutaj jest pokrzywdzony? Rano wszystko uporządkował. Teraz poduszki walały się bez ładu i składu, na ławie piętrzyły się na wpół opróżnione pojemniki z

chipsami oraz miska tężejącego sosu. Dywan znowu wymagał odkurzenia. Na podłodze leżały pootwierane gazety. Czuł, że za chwilę trafi go szlag. Te kobiety miały takiego hysia na punkcie równouprawnienia, że całkiem zapomniały o zwykłej grzeczności.

Corban odepchnął krzesło i wszedł do kuchni.

-Nie skarżę się, że przychodzą tu twoje koleżanki, ale mam tego po dziurki w nosie. Mogą posprzątać, zanim wyjdą, albo niech się spotykają gdzie indziej.

W oczach Ruth pojawił się krótki błysk, jakby miała zacząć się z nim spierać potem na jej

twarzy odmalowało się lekkie rozdrażnienie, następnie zaś wyraz rezygnacji.

-W porządku. Zajmę się tym. - Wstała i odłożyła na bok książki. - Powinnam to była zrobić, zanim wróciłeś do domu. Tylko spróbuj się wyluzować, dobrze? Wściekasz się o byle co.

Weszła do salonu. W ciągu kilku minut pozbierała gazety, broszury i serwetki i wepchnęła je do kosza na śmieci stojącego przy jego biurku. Corban zaniósł chipsy i sos do kuchni, gdy tymczasem Ruth wyciągnęła z szafy i włączyła odkurzacz. Wrzucił wszystko do worka na śmieci.

-Tylko zostaw naczynia, Cory. Ja pozmywam!

-przekrzykiwała szum odkurzacza, którym jeździła w przód i w tył. Robiła to szybko i niedbale, potem szarpnęła za sznur, owinęła go kilka razy wokół rączki i wepchnęła maszynę z powrotem do szafy.

Wróciła do kuchni.

-Powiedziałam, że ja pozmywam naczynia.

-Odsunęła go na bok. - Przecież nie mogę robić wszystkiego jednocześnie.

Cofnął się. Chciał, żeby go zrozumiała.

-Nie lubię chaosu.

-No to życzę szczęścia. Chaos dominuje w życiu.

-Ale w moim mieszkaniu nie musi.

Ruth rzuciła zmywak i spojrzała na Corbana z gniewnym błyskiem i śladem łez w oczach.

-Słuchaj! Przykro mi, że miałeś kiepski dzień, ale nie wyzywaj się na mnie.

-Odwróciła się do niego plecami i wzięła się za zmywanie. - Czasami zachowujesz się niedorzecznie. Miałam zamiar posprzątać. Ale najpierw chciałam popracować. Wściekasz się, jakbym nigdy nie robiła tego, co do mnie należy.

-Tego nie powiedziałem.

-Czyżby? Co jest ważniejsze, Cory? Nieskazitelnie czyste mieszkanie czy ukończenie studiów z wyróżnieniem? Czasami mi się wydaje, że poprosiłeś mnie, żebym z tobą zamieszkała, tylko po to, by mieć służącą!

Na pewno nie, biorąc pod uwagę niezliczoną ilość razy, kiedy po niej sprzątał. Widział jednak, w jakim jest nastroju - Ruth dostatecznie wyraźnie dała mu do zrozumienia, że to wina jego złego humoru - i zacisnął usta.

Może i zachowuje się niedorzecznie. Może robi z igły widły. Są na świecie ważniejsze rzeczy niż pozmywane i odstawione na miejsce naczynia i poduszki ułożone na kanapie, gdzie być powinny. Trochę chaosu jeszcze nikogo nie zabiło, prawda? Dlaczego zaprosił ją do swojego życia? Ruth jeszcze zanim się wprowadziła, ostrzegła, że nie jest najporządniejszą osobą na świecie.

Może wściekł się dlatego, że widział, jak żyje ta staruszka w domu pokrytym skorupą brudu.

Obserwował Ruth. Wszystko się w niej gotowało. Ledwie obmyła i opłukała szklanki. Gdyby jeszcze powiedział choć słowo, z pewnością spakowałyby się i odeszła. Później się z nią pogodzi. Chińszczyzna na wynos. Czerwona róża.

Przejdzie

jej

Wrócił do salonu podenerwowany i niespokojny, usiadł przy biurku i zrobił kilka notatek

Leota Reinhardt. Zręczliwa. Wymagająca. Choruje na artretyzm. Potrzebuje opiekuna. Zniedo-
łączniała? Żadnych wzmianek o rodzinie. Żyje w brudzie i nędzy. Jedyne wsparcie finansowe - zasiłek socjalny? Wykształcenie?

Zważywszy na to, ile czasu z nią spędził, nie dowiedział się zbyt wiele.

Następnym razem nakłoni ją do rozmowy.

Włączył komputer, otworzył nowy dokument i zapisał wszystkie swoje obserwacje

o staruszce i jej otoczeniu. Im więcej o niej myślał, tym bardziej pasowała do jego pracy. Może ten dzień mimo wszystko nie był tak całkiem zmarnowany.

Kiedy skończył, poczuł trochę większą satysfakcję. Następnym razem lepiej się przygotuje. Teraz przynajmniej wie, czego się może spodziewać. Zaniesie jej też jakiś drobiazg. Może jeśli roztoczy swój urok, zdoła z niej wycisnąć parę informacji.

Jeszcze raz przeczytał swoje zapiski, uśmiechnął się, zgniótł kartkę z odręcznymi notatkami i wrzucił ją do kosza. Wcisnął w komputerze polecenie „zapisz”, zamknął dokument i zajął się pilniejszymi sprawami, pozostawiając Leotę Rein- hardt włączoną do akt i zapomnianą w cyberprzestrzeni.

-Nie dziwi mnie, że odeszłaś, królewno. Wiedziałem, że to kiedyś nastąpi. Wiesz, że w każdej chwili możesz przyjechać do San Diego i zamieszkać ze mną i z Moniką. Bardzo byśmy chcieli, żebyś była u nas.

Annie westchnęła.

-Wiem, tato, ale nie mogę tego zrobić. Wiesz, jak odebrałaby to mama. Całą winę za bunt zrzuciłaby na swojego drugiego męża, ojca Annie, Deana Gardnera. Przez lata był wygodnym kozłem ofiarnym w najróżniejszych sprawach.

-Co to za hałas w tle, Annie? - spytał. - Urządzasz prywatkę? - Sądząc po tonie jego głosu, aprobował to.

-Nie, tato. To papuga. Susan opiekuje się ptakiem. A on bywa hałaśliwy.

-Brzmi tak, jakby z kimś rozmawiał.

-Powtarza zdania z telewizora. Jej właściciel, kiedy wychodził do pracy, zostawiał włączony telewizor, żeby miała towarzystwo.

-Wracając do twojej mamy, kochanie. Ona widzi rzeczy tak, jak chce je widzieć. - W głosie ojca zabrzmiało wyraźne i znajome zdenerwowanie.

-Musisz zacząć żyć własnym życiem i przestać żyć dla niej.

-Rozumiem to, tato, ale nie chcę palić mostów. Kocham ją. Chcę móc się z nią widywać i rozmawiać bez...

-Życzę powodzenia.

Annie westchnęła. Potarła czoło. Wiedziała, że jej matka i ojciec żywili do siebie wiele gorzkich uczuć. Czasami ją to męczyło, czuła się, jakby siedziała na huśtawce. Tam i z powrotem, wte i wewte. Czy ich wzajemne żale, pretensje, słowa pełne jadu, nigdy się nie skończą? Dlaczego nie potrafią zrozumieć, że kocha ich oboje? Każde z nich po swojemu starało się zdobywać jej zaufanie. Wiedziała o tym. Rozumiała to. I raniło ją to, bo - czy sobie z tego zdawali sprawę, czy nie - rodzice wykorzystywali Annie jako broń przeciwko sobie.

Może telefonowanie do ojca nie było najlepszym pomysłem. Może powinna była poczekać, aż sama będzie lepiej wiedziała, co czuje.

-Przepraszam, kochanie. Słuchaj. Podaj mi swój adres, prześlę ci trochę pieniędzy na początek.

-Mam pieniądze, tato. Mieszkam z Susan Carter. Chyba ją pamiętasz? - Podała mu adres.

-San Francisco? Na pewno chcesz mieszkać w mieście?

W jego głosie pobrzmiwała nuta niepokoju.

-W domu jest system alarmowy. Wpuszczamy ludzi przez domofon. Mieszkanie jest przytulne, nieduże, z łóżkiem, które się chowa do szafy.

-Łóżko chowane do szafy? Z którego roku jest ten dom?

Roześmiała się.

-Nie martw się, tato. Jestem dużą dziewczynką, pamiętasz?

-Na pewno nie chcesz przyjechać do San Diego? Masz takie stopnie, że na pewno bez problemu dostałabyś się do Cal. Przyjęli cię do Berkeley, prawda? Nawet gdybyś musiała czekać do następnego semestru...

-Nie idę na studia, tato.

-W ogóle?

-Idę do szkoły, ale to nic w stylu Wellesley ani Cal. Zapisalam się na dwa kursy w Instytucie Sztuk Pięknych. - Ojciec się nie odzywał i Anne- -Lynn wyczuła, że jest zaskoczony. Czy jego milczenie także oznacza dezaprobatę? Czym innym było powtarzać córce, żeby robiła to, co dyktuje jej serce, a czym innym usłyszeć od niej, że dla jakiegoś kursu plastycznego odrzuciła okazałe stypendia na prestiżowych uczelniach. - Spróbuj się tym nie martwić, tato. Czuję, że coś mną kieruje. Jeszcze nie wiem, dlaczego, ale muszę iść tam, gdzie prowadzi mnie Bóg.

-Kochanie...

Starala się rozmawiać z ojcem otwarcie, lecz nie było to łatwe. Ojciec jest niewierzący i jej słowa zwyczajnie do niego nie przemawiają. Zawsze się denerwuje, kiedy Anne-Lynn mówi, że prowadzi ją Bóg. Ona jednak nie może kłamać

w tej sprawie. Trudno mu wytłumaczyć, że musi być tam, gdzie chce ją widzieć Bóg. A w swojej sztuce wyraźnie wyczuwała Jego obecność. Kiedy rysowała bądź malowała, czuła, że to jest w jakiś sposób słuszne, czuła bliskość ze Stwórcą, który otwierał jej oczy, uszy i serce na otaczający świat.

Świat, do którego zaliczają się członkowie rodziny rozbitej przez rozwód i niespełniającej swej roli.

I może babcia, która posiada klucz do zrozumienia mamy Annie i jej samej.

-Tato, przecież chodzi o to, żebym była samodzielna. Sam to mówiłeś. Nie będę opływać w dostatki, ale mieszkanie Susan jest ładne i przestronne. W pobliżu jest zoo i plaża, więc będę mogła tam biegać. Poza tym u Susan w pracy zwolnił się etat, więc mam już posadę.

-Jaką?

-Kelnerki. W świetnej restauracji. Zarobki wystarczą mi na pokrycie czynszu i innych kosztów.

-Jak się nazywa?

-„Śmierdzący ząbek”.

-Kto by chciał jeść w miejscu o takiej nazwie?

Annie wybuchnęła śmiechem.

-Každy, kto lubi czosnek. To bardzo popularna restauracja, tato. Czosnek jest w modzie. Jest bardzo zdrowy.

-Będę ci wysyłał czekki, które posyłałem matce.

Ojciec wyrażał dezaprobatę na swój własny sposób.

-Tato, nie zadzwoniłam po to, żeby prosić cię o pieniądze. Mam osiemnaście lat. Jestem już dorosła, pamiętasz? Zatrzymaj swoje pieniądze.

-W świetle prawa może i jesteś dorosła - odrzekł z żalem - ale wciąż jesteś moją małą córeczką.

W jednej sekundzie łzy napłynęły jej do oczu.

-Muszę być samodzielna.

Ojciec milczał przez chwilę.

-A więc nie chcesz ani pieniędzy, ani rady.

-Nie.

-Wiesz, że cię kocham, prawda? - zapytał czule.

-Tak. - Annie zacisnęła wargi. Serce jej krwawiło.

-Co się dzieje, kochanie? Co ci powiedziała matka na odchodne?

Annie zamknęła oczy. Krzywdzące słowa matki wciąż powracały i zapełniały jej umysł niczym niepotrzebne rupiecie. Jej ojciec był zbyt spostrzegawczy, nie miała jednak zamiaru raczyć go bolesnymi uwagami mamy. Po co dolewać oliwy do

ognia?

Możliwe, że żaden człowiek nie potrafi sprostać oczekiwaniom matki, ale ojciec też nie jest doskonały. Monika jest drugą kobietą, z którą się związał w ciągu ostatnich czterech lat - a do tego ponad dwa razy młodszą od niego. Matka twierdzi, że ojciec ma kompleks Piotrusia Pana, ojciec zaś - że kto raz skosztował małżeństwa z Norą, na całe życie wyleczy się z chęci do żeniaczki.

-Możesz mi coś opowiedzieć o babci Leocie, tato?

-Leota? Czemu o niej wspominasz?

-Jestem po prostu ciekawa. Już tylko ona mi została z dziadków, a ja nawet

dobrze jej nie znam. - Ojciec milczał przez chwilę i Annie wyczuła, że ostrożnie

dobiera słowa.

-Musi mieć jakieś osiemdziesiąt lat. Widziałem ją tylko parę razy.

-Jaka była?

-Oj, nie wiem. Chyba zwyczajna. Lubiałem ją.

-Możesz być bardziej konkretny?

Ojciec zaśmiał się sucho.

-Nie chcę sugerować, że lubiałem ją tylko dlatego, że twoja matka żywi do

niej jakieś głęboko skrywane urazy. Chcę powiedzieć, że ją lubiałem. Tych kilka razy, kiedy ją odwiedziliśmy, zawsze czułem się mile widziany. Na nasze ostatnie spotkanie przygotowała ciasto czekoladowe według niemieckiego przepisu i domowe kielbaski mięs- no-ziemniaczane z kiszoną kapustą. Cieszyłem się, że będzie prawdziwa uczta. Oczywiście byliś my tam za krótko, żeby czeokolwiek spróbować. Twoja matka zaczęła wygłaszać jakąś diatrybę o przeszłości.

Och, tato. Nie przerabiamy tego od początku.

-Czy babcia coś powiedziała?

-Nie. Słuchała. Nie przypominam sobie, żeby coś mówiła, zresztą i tak nie miała szansy, a poza tym żadne jej słowa niczego by nie zmieniły. Twoja matka była tego dnia w bojowym nastroju. Byłem naprawdę zażenowany. Nora zabrała ciebie i Michaela z ogrodu i poszła do samochodu. Nie miałem wielkiego wyboru, mogłem tylko przeprosić Leotę i wyjść.

-Dlaczego babcia nigdy do nas nie przyjeżdżała?

-Nie była zapraszana. To ona zawsze prosiła nas do siebie. Nie, cofam to. Twoja matka zaprosiła ją na nasz ślub.

-Przyszła?

-Tak. Przyszła też na przyjęcie. I była na twoim chrzcie.

-A zatem jeździ samochodem.

-Nie sędzę. Raczej nie widziałem u niej żadnego samochodu. Pracowała w biurze niedaleko jeziora Merritt. Zdaje mi się, że miała tę samą posadę przez wiele lat, choć nie umiałbym ci powiedzieć, co robiła. Cokolwiek to było, twoja matka powtarzała, że babcia kocha pracę bardziej niż własną rodzinę.

Annie zmarszczyła czoło. Czy właśnie to matka miała na myśli, mówiąc, że Annie jest podobna do Leoty Reinhardt? Czy chcąc studiować sztuki piękne, musi zawieść nadzieje matki?

Dlaczego muszę wybierać między pragnieniami matki a tym, do czego czuję się powołana?

-Skąd to nagle zainteresowanie babcią, Annie?

-Zawsze byłem jej ciekawa, tato. Tylko bałam się o niej rozmawiać z mamą.

-Nie dziwota. Ona nie potrafi zachować obiektywizmu, jeśli chodzi o matkę. Dlaczego nie odwiedź Leoty i nie przekonasz się sama?

-Zastanawiałam się nad tym, ale...

-Niech zgadnę. Matka źle by to przyjęła. Mam rację?

-No... - Gdyby matka Annie się dowiedziała, cierpiałaby. Czułaby się zdradzona. Tylko dlaczego musi tak być? Co takiego się stało, że w matce narosło tyle niechęci? I czy ta niechęć jest odwzajemniona? Ojciec mówi co innego, ale on realizuje własny program. Mimo wszystko Annie wciąż była ciekawa. Czy oziębienie stosunków między mamą a babcią wynika po prostu z różnicy charakterów? Czy też chodzi o coś znacznie głębszego?

„Jesteś taka sama jak Leota”

Co to tak naprawdę znaczy?

Kim jest Leota Reinhardt? Co takiego zrobiła, że stała się persona non grata?

-Posłuchaj, kochanie. Jeśli przez resztę życia będziesz się starała zadowolić matkę, czeka cię sporo cierpień.

-Tato...

Ojciec westchnął ciężko.

-W porządku. Nie będę się wtrącał. To twoja decyzja. - Zawahał się. - Masz wieści od brata? - Powiedział to tak suchym tonem, że Annie aż się wzdrygnęła. Ojciec nigdy nie miał dobrych stosunków z pasierbem. Michael był owocem pierwszego małżeństwa Nory z Bryanem Taggartem. Taggart wycofał się z życia swojego syna zaraz po rozwodzie. Michael miał wtedy trzy latka. Ojciec Annie powiedział jej kiedyś, że matka kilka razy próbowała wyciągnąć od taty Michaela pieniądze na utrzymanie dziecka. Jednak koszty prawne i wstrząs emocjonalny nie były warte tego, co nazywała „marną

zapomogą z poczucia winy".

Taggart wyprowadził się do innego stanu, powtórnie się ożenił i spłodził inne dzieci. Kiedy Michael skończył szesnaście lat, dowiedział się, gdzie mieszka jego ojciec, i próbował nawiązać z nim kontakt. Matka w jakiś sposób to zwietrzyła. W takich sprawach miała szósty zmysł. Ta jedna rozmowa przez telefon była jak wstrętny odór drażniący jej nozdrza. W kwestiach, które, jak uważała, godziły w jej autorytet, czasami zachowywała się niczym pies gończy. Wtedy zwęszyła niewyraźny trop, podążyła za nim i zapędziła Michaela na drzewo, osaczając go dopóty, dopóki się nie przyznał. Annie nigdy nie zapomni jej słów.

„Jak mogłeś mi to zrobić? Po tym wszystkim, co dla ciebie poświęciłam! Całe życie darzę cię miłością i jestem przy tobie, a ty mi tak dziękujesz? Co prawda Taggart nie otworzył drzwi przed Michael-lem. Ze straszliwej kłótni, która wybuchła między jej przyrodnim bratem a matką, Annie zapamiętała tyle, że Taggart jasno dał do zrozumienia, iż nie interesuje go dalsze utrzymywanie stosunków z synem.

Czy to samo spotka i ją, gdy porozmawia z babcią? Co się stanie, jeśli mama się dowie, że Annie pojechała się z nią zobaczyć?

-Annie? - Głos ojca sprowadził ją z powrotem do teraźniejszości.

-Och, u Michaela wszystko w porządku, przynajmniej tak było, kiedy się ostatnio odezwał.

-Czyli kiedy?

-Na Boże Narodzenie. Przysłał krótki list. - Woląłem nie mówić ojcu, że list był zaadresowany tylko do matki, więc zaczęła szybko opowiadać szczegóły. Chociaż ubóstwiała Michaela, on nigdy specjalnie się nią nie przejmował. Jego list był krótki i węzłowaty. Michael dostał awans i zarabiał teraz więcej pieniędzy - obydwie informacje miały ucieszyć matkę i usprawiedliwić fakt, że nigdy nie miał czasu na odwiedziny. - Zadzwoń do niego i zostawiam wiadomość na sekretarce, żeby wiedział, że się wyprowadziłam.

-Aha.

-On jest zajęty, tato. Wiesz, jak ciężko pracuje.

Na szczęście ojciec nic na to nie odpowiedział.

Żadne jego słowa nie złagodziłyby bólu, jaki czuła Annie. Prawda była taka, że jej przyrodni brat najwyraźniej troszczył się tylko o siebie. Z całą pewnością znajdował mało czasu dla matki, która go hołubiła i chełpiła się nim przy każdej okazji. „Mój syn, który ukończył Uniwersytet Columbia z wyróżnieniem... Mój syn,

o którego zabiegała firma Fortune 500 i w końcu go zatrudniła... Mój syn, który jest tak przystojny, że mógłby pracować jako model..." Nora Gaines jaśniała dumą z tego powodu, że jest matką Michaela Taggarta.

-Pozdrów ode mnie Leotę, gdy ją odwiedzisz, dobrze?

-Jeszcze nie postanowiłam, czy do niej pojedę, tato.

-Mam nadzieję, że pojedziesz, kochanie. Coś cię gnębi. A pozwalać innym, by myśleli za ciebie, nigdy nie popłaca. Nawet jeśli tym kimś jest twój cohający

ojciec.

Annie myślała o babci przez kilka następnych dni. Nie potrafiła wyrzucić Leoty Reinhardt z głowy. Odświeżała wszystkie, choć skąpe, wspomnienia o babci i rozmyślała nad tym, co mówiła jej matka - a nie były to dobre rzeczy. Nie potrafiła pozbyć się uczucia, że powinna pojechać do babci niezależnie od ceny, jaką przyjdzie jej zapłacić.

Cena zaś będzie wysoka, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Drobne ziarenko niepokoju zaczęło jednak zapuszczać w niej korzenie i się rozwijać.

Dlaczego po tylu latach wciąż ją to dręczy? Tylko z powodu oskarżenia matki, że jest podobna do babci? Ten strzał padł nie pierwszy raz. Dlaczego teraz okazał się celny? Czemu tak boli ją porównanie do kogoś, kogo nawet nie zna? Może to miał być sygnał, że chęć obrania drogi innej niż ta, którą matka dla niej zaplanowała, jest w jakiś sposób błędna i zła. Co takiego zrobiła Leota? I dlaczego?

Annie starała się omodlić całą tę sytuację i wszystkie sprawy, które zaprzętały jej głowę. Modliła się o wyzwolenie, lecz ono nie nadchodziło. Delikatne niegdyś sygnały nabierały coraz większej mocy. Babcia nawiedzała jej myśli nawet w czasie, który Annie poświęcała na studiowanie Biblii. „Ja jestem krzewem winnym, wy - latoroślami...” Annie wiedziała doskonale, że Pismo mówi o Jezusie, dlaczego więc za każdym razem, kiedy czytała te słowa, myślała o babci?

Czy brało się to stąd, że babcia Leota była nieznaną latoroślą w rodzinie ze strony matki? Dziadek Annie zmarł przed jej narodzeniem. Pradziadka i prababcie Reinhardtów znała tylko ze słyszenia. Matka przedstawiała ich w różowych kolorach, co kontrastowało z mrocznymi odcieniami, w jakich rysowała babcię Leotę. Powiedziała kiedyś „To byli najkochańsi ludzie, jakich znałam, i tacy szczerzy. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego tolerowali moją matkę. Ona nigdy nie miała czasu dla nikogo oprócz siebie”.

„Jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie..

Panie, nie wiem, co próbujesz mi powiedzieć. Czy to, że Leota Reinhardt w Ciebie nie wierzy? Nie wiem o niej nic prócz tego, że jeśli pojedę się z nią zobaczyć, a mama się o tym dowie, poczuje się skrzywdzona.

No a Leota Reinhardt? Może nie wie, że Jezus Chrystus jest jej Panem i Zbawicielem? Co wtedy?

Ta obawa zaczęła przeważać nad wszystkimi innymi. Co bowiem, jeśli nikt nie zatroszczył się o przekazanie Leocie Reinhardt dobrej nowiny o Jezusie Chrystusie? Jeśli nie będzie zbawiona? Poczucie winy nękało Annie na każdym kroku. Czuła się winna, że nie poszła do Wellesley czuła się winna, że rozczarowała matkę czuła się winna, że zadzwoniła do ojca, próbując dowiedzieć

się czegoś o Leocie Reinhardt - bo to tylko podsyciło jego nienawiść do matki. Czuli się winni, że nic nie robi.

Najgorsze było to, co cała ta sytuacja mówiła o głębi jej wiary. Skoro tkwi w miejscu, bezpieczna i milcząca, równie dobrze może odrzucić swoją wiarę. Jeśli nie jest skłonna zaryzykować niczego wszystkiego - żeby przynieść słowo Boże własnej babci, równie dobrze zamknąć Biblię, i pójść do Wellesley, Cal czy jakiegokolwiek college, który ojciec lub matka

-zależnie od tego, które okaże się silniejsze - uzna za stosowny. Panie, dłużej tak nie mogę. Nie potrafię. Jestem słaba. Potykam się. Na co przyda się moja wiara lub moje świadectwo, jeśli w mojej rodzinie panuje taki rozgardiasz? Im dłużej Annie rozmyślała o tym, jak mało wie o tej staruszce, tym większą miała pewność, że sama musi odkryć, czy babcia wierzy w Boga. przy okazji może się dowie, jakie zdarzenie wzniosło tak wysokie, grube mury pomiędzy mamą a babcią.

Błogosławieństwo i przekleństwo, które ci obwieściłem. ..

Którym z nich jest Leota Reinhardt?

Mamo, co takiego we mnie przypomina ci własną matkę, którą tak gardzisz?

Leota siedziała zapatrzona w telewizor. Rozszyfrowała już słowa powiedzenia i czekała, aż posągowa blondynka w zielonej satynowej sukience odkryje kolejne pole.

-Jot - powiedziała na głos. - Jot!

Nic prostszego. UEK SM C PTEUE. Widziała hasło tak wyraźnie, jakby pozostałe litery były już odwrócone. Wujek Sam cię potrzebuje. Przypomniała sobie nawet plakat ze starym siwo- brodym mężczyzną w cylindrze, z wyciągniętym palcem.

-Chciałabym kupić jeszcze jedną samogłoskę - powiedziała zawodniczka i zażądała „o”.

Leota wstała z niesmakiem i podeszła do telewizora. Pochyliła się i kręciła gałką, zmieniając kanały, rozpaczliwie szukając interesującego lub zmuszającego do myślenia programu, który skróciłby długie godziny, nie przyprawiając jej o chęć rozbicia kwadratowego ekranu.

Powtórka Dallas. Pstryk. Wiadomości. Pstryk. Talk show na temat matek, które odbiły chłopaków swoim córkom.

Świetnie.

Pstryk. Film o matce, która zaplanowała morderstwo licealistki biorącej udział w wyborach na najlepszą cheerleaderkę, żeby jej córka mogła wygrać. Zapowiedź głosi, że to fabularyzowany dokument!

Śmieć to śmieć, choćbyście nie wiem jak fikuś- nie go nazwali.

Pstryk. Muzyka prosto z Hadesu, w rytm której tańczą demony. Pstryk. Stary film. Leota widziała go chyba w 1947 roku. Wtedy nie był szczególnie dobry. Upływ czasu raczej nie uczynił go lepszym. Pstryk. Boks. Stosowny do jej nastroju, ale nie wrażliwości. Pstryk. Prawdziwi policjanci w akcji. O, to musi być równie ciekawe jak powtórki z przesłuchań Clintona.

Po co ktoś miałby oglądać takie widowiska? Ludzie są już wystarczająco przygnębieni. Czy sieci telewizyjne chcą w nas wzbudzić skłonności samobójcze? Może właśnie o to chodzi. Rządowy spisek. Oliver Stone pewnie pracuje już nad filmem na ten temat. Jak mi się poszczęści, umrę, zanim puszczą go w telewizji.

Pstryk. Telezakupy. Co u licha dziś sprzedają? Bizuterię z jadeitu przywiezioną z krajów Orientu, Chin i Japonii. Nasi nowi najlepsi przyjaciele. Zdumiewające, jak szybko ludzie puszczają w niepamięć historię, gdy na rynku pojawiają się tanie towary.

-Do diabła z tym! - Leota grzmotnęła telewizor. Rozprostowała się i wyjrzała przez okno. Na dworze było ciemno, tylko latarnie rzucały słabe światło. Zegar na kominku wybił jedenastą. W ogóle nie czuła zmęczenia. Nic dziwnego, skoro całe popołudnie drzemała w fotelu. Domyśliła się, że musiała zasnąć, bo zeszywniał jej kark. Może się teraz spodziewać długiej bezsennej nocy. Popatrzyła na zdjęcia ustawione na gzymsie kominka. Najnowsze zdjęcie Eleonory ma już pięć lat. Portret rodzinny zrobiony na Boże Narodzenie. Profesjonalny. Wymuskany. Eleonora w czerwonej satynowej bluzce, ze sznurem pereł na szyi.

Oczywiście prawdziwych. Jej mąż, Fred, wygląda atrakcyjnie z burzą siwych włosów i w drogiej ciemnej marynarce. Michael spogląda w aparat ciemnymi, aroganckimi oczyma, a mała Annie wygląda prześlicznie z długimi jasnorudymi włosami.

Kręconymi, rzecz jasna - po ojcu.

Dean Gardner był bardzo przystojny. Wielka szkoda, że to małżeństwo się rozpadło. Leota go lubiła. Nie był hulaką jak pierwszy mąż Eleonory, ani tak pochłoniętym pracą biznesmenem jak Fred Gaines. To przykre, że nie rozwiązali problemów na początku. Zostawione samym sobie, problemy rozpleniają się jak chwasty w ogrodzie. Gdy się im pozostawi pełną swobodę, zaczynają żyć własnym życiem, dławiąc wszelkie dobre wspomnienia, nauki wyniesione z doświadczenia, cele i jasny ogląd spraw. Wreszcie zabijają samą miłość.

Boże, jak to się stało, że dziecko, które tak bardzo kochałam, mną pogardza?
Odpowiedz mi, Panie. Gdzie popełniłam błąd?

Leocie przykro było nawet myśleć o Eleonorze. Co jest nie tak z jej córką?
Trzy małżeństwa, dwoje dzieci, które celują we wszystkim, czego się tkną, dom za żelazną bramą, wymyślne samochody, wakacje w Europie - a jednak Eleonora nie jest szczęśliwa.

Od lat się za nią modłę i jaki jest z tego pożytek? Poddaję się, Panie. Teraz Ty się nią zajmij.

Leota zamknęła oczy, bolało ją serce. Choć raz chciałabym usłyszeć od własnych dzieci, że kochają mnie taką, jaka jestem. Chciałabym, żeby córka mnie odwiedziła i zamiast wyliczać moje porażki, choć raz podziękowała mi za wszystkie poświęcenia. Ten jeden raz chciałabym usłyszeć, jak Eleonora lub George mówią „Dziękuję, mamó. Doceniam wszystko, co zrobiłaś”.
Marne szanse.

Boże, dlaczego nie mogę teraz pójść do Ciebie? Na co czekasz? Zrobiłam tu już wszystko, co mogłam. Jestem stara. Bezużyteczna. Wszystko mnie boli, w środku i na zewnątrz. Sterczę w tym salonie i patrzę na zdjęcia rodziny. Chce mi się płakać. Każde z nich ma teraz własne życie, w którym nie ma miejsca dla starej kobiety. Mam już dość wysłuchiwania od Eleonory, że byłam kiepską matką. Mam dość nadstawiania drugiego policzka. Mam dość włączania telewizora tylko po to, żeby usłyszeć głos drugiego człowieka. Mam dość siedzenia w kącie i wpatrywania się w mój umierający ogród. Mam dosyć życia! Och, Boże, chcę iść do domu.

„Ja przyszedłem po to, aby owce miały życie, i miały je w obfitości.”

Leocie załomotało serce i zalała ją fala gniewu. Życie w obfitości? Może na tym drugim świecie, bo na pewno nie tutaj. Nie teraz. Dlaczego mi to robisz, Panie? Czym sobie zasłużyłam na takie traktowanie? Chciałabym to wiedzieć.

„Gdzie byłeś, gdy zakładałem podstawy ziemi? Czyś w życiu rozkazał rankowi, by nastał? Czy powstrzymasz ruch gwiazd? Czy gwiazdy Plejad ołączysz? Rozluźnisz więzy Ońona?”

Leota załkała i usiadła w wytartym fotelu. Wiem, kim jesteś. Wiem, że możesz zrobić wszystko. Przecież odkąd pamiętam, oddaję Ci cześć. Czyż nie spotykałam się z Tobą każdego dnia w moim ogrodzie, nie wspierałam na Tobie przez e wszystkie lata... Boże, czy nie rozumiesz? Zmę- ył mnie już brak zrozumienia. Męczy mnie ból ycia. Męczy mnie samotność.

-Zabierz mnie do siebie. Proszę, zabierz mnie o siebie. - Leota oparła głowę o podglówek i po zwoliła łzom spływać po policzkach. Dlaczego On czeka? Przestań jęczeć.

W jej umyśle pojawił się obraz... sagan pełen złota. Złoto się gotuje, a na powierzchni złotego płynu wypływają czarne, spienione nieczystości.

Czy to ja, Panie?

„Trwaj w Panu, a zobaczysz, co uczynię.”

Jakby miała jakiś wybór...

Corban usiadł przy biurku i zanotował kilka pomysłów na to, jak wzbudzić u Leoty Reinhardt dobre odruchy i ułatwić sobie zadanie. „Podarować jej wózek na zakupy. Kupić laskę. Umyć okna.” Skrzywił się. Nie miał najmniejszej ochoty myć jej okien, ale zrobi to, jeśli dzięki temu Leota będzie z nim rozmawiać. Postukał ołówkiem. Coś łatwego. Coś, co nie wymaga wiele wysiłku ani czasu. Może

czekoladki? Kwiaty? Odrzucił obydwie pomysły. Znał tę kobietę ledwie od paru godzin, lecz był pewien, że jeśli przyniesie jej słodycze albo kwiaty, przygwoździ go za uszy do ściany i zacznie w niego ciskać rzutkami za to, że się jej podlizuje.

Zerknął na swojego rolexa i stwierdził, że jeśli natychmiast nie wyruszy na uczelnię, spóźni się na zajęcia z profesorem Websterem. Rzucił ołówek i chwycił plecak. Założył go na ramiona i wyszedł z domu, pozwalając, by drzwi same się za nim zamknęły. Maszerując wielkimi krokami w stronę uniwersytetu, starał się

wymyślić argumenty na przekonanie profesora, by zrezygnował ze swych wymagań. Musi być jakiś sposób, żeby więcej nie oglądać tej starej jędzy.

Wstąpiwszy do biblioteki po książki o Monecie i van Goghu, Annie wyszukała w podręcznym księgozbiorze książkę telefoniczną Oakland. Numer Leoty Reinhardt figurował w spisie razem z nazwą ulicy. Może gdyby Annie zobaczyła dom, przypomniaby go sobie? W drodze powrotnej zatrzymała się przed dużą księgarnią i kupiła mapę Oakland.

Susan otworzyła drzwi kluczem i weszła do środka z wielką torbą zakupów.

-Dzwoń na policję! - zaskrzeczała tęczowa lora.

-Barnaba, ja tu mieszkam. Niegrzeczny ptak. Znów nabrudziłeś?

-Przed chwilą odkurzyłam - Annie się uśmiechnęła.

Susan postawiła torbę na kuchennym blacie.

-To na nic. Znów zaczął rozrzucać ziarna. Jemu się chyba zdaje, że musi

zasiać zboże, żeby w przyszłym roku miał co jeść. Jesteś durnym ptakiem, Barnaba. Durny ptak!

Barnaba rozpostarł skrzydła i nastroszył się, jakby oburzony taką zniewagą,

po czym wygładził pióra i z pogardą spojrział na Susan.

-Co bedzieta robić?

Susan i Annie parsknęły śmiechem.

-Masz okropne maniery, Barnaba. Nie pojmuję, po co policjant trzyma w domu

zwierzę. Oczywiście Raoul nie musiał cię wyprowadzać na dwór, prawda? Żeby cię uszczęśliwić, wystarczyło włączyć telewizor i zostawić ci mnóstwo jedzenia.

Niestety u nas nie ma telewizora.

-Jest takie miejsce, gdzie każdy zna imię twe - ptak zanucił słowa piosenki.

-Wiesz, nie będziemy wiecznie skazane na twoje towarzystwo. - Susan zaczęła rozkładać kupione rzeczy.

-Chyba będziesz go miała dłużej, niż planowałaś. Raoul powiedział, że wraca z Los Angeles za jakiś tydzień.

Susan zerknęła na ptaka.

-Słyszałeś, Barnaba? Za tydzień już cię tu nie będzie, kolego.

Annie się uśmiechnęła.

-Na sekretarce jest wiadomość do ciebie. Od Raoula.

Susan przewróciła oczami.

-O, nie. Złe wieści?

-Zależy, jak na to spojrzysz. - Annie wyszczerzyła zęby. - Dostał pracę.

Wpłacił już zadatek na umeblowane mieszkanie. Problem w tym, że nie wolno tam trzymać zwierząt.

-To nie jest zwierzę... - Susan wycelowała palcem w ptaka. - A co z jego rzeczami? On musi wrócić...

-Przed wyjazdem spakował wszystko w pudła.

-A więc wiedział. Dlaczego po prostu nie sprzedał ptaka?

-Kici, kici! - zaskrzeczała papuga.

Annie się uśmiechnęła.

-Wiedział, że dobrze się zaopiekujesz Barnabą. Mógł go powierzyć tylko komuś, kto kocha ptaszki.

-Raczej kto ma ptasi mózdzek! - Spojrzała na papugę. - Świetnie. Po prostu świetnie.

-Dzwoń na policję! - zawołał Barnaba, znakomicie imitując głos Williama Shatnera, i wydał z siebie dźwięk syreny policyjnej. - Policja!

-Jeszcze jedno słowo i cię oskubię, pokroję na porcje i zamrozę jak tego kurczaka! - Wrzuciła paczkowany drób do małej zamrażarki.

Annie się roześmiała.

-Ona tak nie myśli, Barnaba.

-Tak sądzisz? Zgodziłam się zaopiekować tym ptakiem tylko dlatego, że tęskniłam za moim kanarkiem. Był taki słodki. A to jest pirania z piórami! Spojrzała na mapę, którą Annie rozłożyła na podłodze. - Planujesz wycieczkę?

-Krótką. - Annie wygładziła mapę i dokończyła zaznaczanie trasy żółtym

markerem.

-A kto mieszka w Oakland?

-Moja babcia. - Annie uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Nawet nie wiem, co

jej powiedzieć.

-Wymyślisz coś. - Susan opadła na starą kanapę, którą kupiła na wyprzedaży.

Jej ojciec i dwaj bracia wieźli ją przez cały most nad Zatoką w furgonetce, a

potem wtaszczyli do budynku. Gdy się okazało, że kanapa nie mieści się do starej windy, wnieśli ją po schodach na czwarte piętro, do mieszkanca, w którym czekały przygotowane przez Susan kanapki, świeżo upieczone ciasteczka i napoje gazowane.

-Kiedy chcesz jechać? - Susan otworzyła butelkę z wodą sodową.

-Jutro. Pracuję dopiero od czwartej, a rano nie mam zajęć.

-Kiedy ostatnio widziałaś się z babcią?

Annie się zarumieniła.

-Zdaje się, że cztery lata temu. Nie pamiętam dokładnie.

-Cztery lata? - Susan upiła łyk wody i potrząsnęła głową. - Ja nie wytrzymuję dłużej niż dwa tygodnie bez spotkania z kimś z rodziny.

Podczas wizyt u Susan Annie poznała przynajmniej trzech jej wujków i kilkunastu kuzynów. W niedużym domu Carterów, wyładowanym krewnymi od piwnicy po dach, zawsze czuła się lekko przytłoczona. Wszyscy mówili jednocześnie i robili dużo hałasu. Mężczyźni zbierali się wokół telewizora i oglądali mecze, a kobiety gromadziły się w kuchni, gotowały, rozmawiały i śmiały się.

-Czy oni się czasem kłócą?

-No jasne! Ktoś się zawsze o coś wkurza. Naj- burzliwsze kłótnie wybuchają przy obiedzie, kiedy wujek Bon i wujek Chet wchodzi na politykę albo kiedy Maggie zaczyna mówić o równouprawnieniu. Tata podkreca się na każdy temat.

Annie widziała starszą siostrę Susan tylko kilka razy i uznała ją za błyskotliwą i bardzo sympatyczną osobę.

-Czy Maggie należy do wojujących feministek?

-Tylko wtedy, kiedy sytuacja tego wymaga, czyli za każdym razem, gdy przychodzi z wizytą do rodziców. - Susan się uśmiechnęła. - Tata twierdzi, że zamężne kobiety wychowujące dzieci idą do pracy tylko dlatego, że są zachłanne i za dużo chcą. Mama też pracuje, ale to się oczywiście nie liczy, bo ona ma powołanie. Nigdy nie wiadomo, kto pierwszy zacznie. Maggie zaraz odparowuje, że niektórzy chcieliby mieć ładny dom w przyzwoitej, bezpiecznej dla dzieci

okolicy, i że można sobie na to pozwolić tylko wtedy, gdy dwoje rodziców pracuje. Na co tata odpowiada, że te okolice byłyby dużo przyjemniejsze, gdyby matki siedziały w domu i zajmowały się dziećmi, tak jak powinny. Wątkują to na okrągło. - Zaśmiała się. - Potrafią się czasem nieźle zdenerwować.

-I długo są na siebie wściekli?

-Nie dłużej niż godzinę. Najśmieszniejsze, że Maggie mi powiedziała, że postanowili już razem z Andym, że kiedy będą się spodziewać dziecka, Maggie zostanie w domu. Słuchając jej, można by pomyśleć, że opowiada się za brakiem kontroli narodzin i popiera rządowe ośrodki opieki dziennej. Tak naprawdę jest podobna do taty. I dla niej, i dla niego nie ma nic lepszego na świecie niż porządna, płomienna dyskusja. Tata uwielbia zabawiać się przy stole w adwokata diabła. Niezależnie od tego, po której jesteś stronie, on stanie po przeciwnej. Mówi, że w ten sposób człowiek uczy się myśleć. Nazywa to intelektualną szermierką. - Susan pociągnęła łyk wody. - Nikomu nie dzieje się krzywda.

Annie nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jak by to było dyskutować z matką dla samej zabawy. Przeciwnicy musieliby włożyć emocjonalne kamizelki kuloodporne, bo wszelkie potyczki słowne w jej domu odbywają się bez sekundantów. Po dwóch minutach matka zamieniłaby mecz w krwawą jatkę. „Mów choć do woli, od słów nie boli.” Ktokolwiek wymyślił ten banał, nie znał jej matki. Nora Gaines potrafi ćwiartować ludzi językiem.

Poczucie winy sprawiło, że Annie niemal zebrało się na mdłości. Co z niej za córka?

Susan wstała z kanapy.

-Schowam resztę zakupów. - Wyjęła z lodówki pojemnik i otworzyła go. - Faj! Powinnam to podrzucić młodszemu bratu do eksperymentów naukowych.

Annie była roztargniona i nie słuchała.

Odległość między Black Hawk po wschodniej stronie wzgórz a Oakland nad Zatoką

San Francisco jest stosunkowo nieduża. Przez góry przechodzi tunel. Łatwa i krótka droga. Maksimum pół godziny? Biorąc pod uwagę wszystek czas spędzony z rodziną, babcia Leota mogłaby równie dobrze mieszkać w stanie Nowy Jork.

Głos Susan dobiegał zza drzwi lodówki.

-Co dzisiaj robiłaś?

-Dzwoniłam do mamy. - Wymawiając te słowa, Annie poczuła zakłopotanie.

Zabrzmiały tak,

jakby telefon do matki był najgorszym z przykrych obowiązków roku.

Susan przerwała polowanie najedzenie.

-I?

I matka miała atak. „Czy się wreszcie opamiętałaś, Annie? Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo mnie zraniłaś i rozczarowałaś?”

Annie nie podniosła oczu na Susan.

-Powiedziała jej, że mam pracę. Zaczęłam opowiadać o zajęciach plastycznych, ale odłożyła słuchawkę.

-Oj, Annie... - W ciemnych oczach przyjaciółki pojawił się gniewny błysk. - Daj mi znać, jak tylko będziesz chciała, żeby ktoś cię zaadoptował. Moi rodzice cię kochają.

Annie połknęła łyżę i popatrzyła na mapę. Uwielbiała rodziców Susan, nikt jednak nie zastąpi jej matki. Chciałaby, żeby wszystko wyglądało inaczej. Chciałaby, żeby matka kochała ją tak bezwarunkowo, jak Carterowie kochali swoje dzieci, z których żadne nie było doskonałe. Dwoje z nich od szczenięcych lat regularnie pakowało się w tarapaty. Starszy brat Susan, Sam, spędził nawet kilka miesięcy w poprawczaku. Jednak ich miłość i cierpliwość go zmieniły. Susan wczoraj o nim wspominała.

-W czerwcu kończy studia. Niewiarygodne, co? A taki był z niego ladaco! Wszyscy już machnęliśmy na niego ręką, ale mama i tata ciągle mówili, że kiedy Bóg zechce, Sam się zmieni. I tak się stało. Chociaż oczywiście i teraz lubi czasem porozra- biał... - Sam. Szalenie. Ponowne wcielenie Jamesa Deana, jak go kiedyś określiła Susan. „Wściekły byk, ale bardzo przywiązany do rodziny...”

Annie pochyliła się nad mapą, znacząc markerem przebieg trasy.

-Moja mama jest w porządku, Suzy. Ona chce tylko tego, co według niej jest dla mnie najlepsze. - Czy jednak matka ją kocha? Annie zdawała sobie sprawę, że jej pragnienie, by postępować dobrze, było częściowo powodowane nadzieją, że zadowoli tym matkę. Co by było, gdyby nie miała średniej 4,0? Albo gdyby nie grała na pianinie dla Stowarzyszenia Kobiet, którym matka to obiecywała? Mimo tego zawsze, gdy Annie dobrze się spisała, poprzeczka wędrowała w górę, czekało ją kolejne zadanie, trochę trudniejsze. Zajęcia na uniwersytecie dla wyróżniających się uczniów. Pomoc rówieśnikom. Letnia praca na rzecz lokalnej społeczności. Testy. Za pierwszym razem nie osiągnęła dostatecznie dobrych wyników, więc przed kolejnym podejściem matka zafundowała jej korepetycje. Wreszcie stypendium i podania
O przyjęcie na studia. A potem największe wyzwanie, cel celów Wellesley. „Te wszystkie bogate dziewczęta z liczących się rodzin. Pomyśl, jaką mogłabyś mieć przyszłość, Annie!”

Wtedy Annie spanikowała. Sama myśl o tym, co ją czeka, przeraziła ją i zmusiła do ucieczki. Czuła, że już nie może oddychać. Presja oczekiwań matki ją przytłaczała. Za każdym razem, kiedy zadowoliła matkę, sytuacja nie stawała się lepsza, lecz gorsza. Matka z dumą patrzyła na sukces i dostrzegała „możliwości”, które prowadziły do dalszych żądań i oczekiwań.

„Pomyśl, ile mogłabyś zdziałać, Annie, gdybyś tylko trochę bardziej się starała. Gdybym ja miała takie możliwości jak ty...”

Annie wiedziała, że bez względu na to, co zrobi, nigdy nie zaspokoi mamy.

A może tylko próbuje usprawiedliwić swoją ucieczkę z domu?

Upuściła marker i oparła głowę na skrzyżowanych ramionach.

Boże, czy brak mi wytrwałości, jak mówi mama? Czy jestem tchórzem? Czy boję się, że na prawdziwych studiach nie dałabym sobie rady?

„Jesteś taka sama jak Leota!”

Wciąż jeszcze pamiętała wyraz oczu matki wypowiadającej te słowa.

-Annie? - zapytała cicho Susan. - Dobrze się czujesz?

-Tak. - Annie potarła czoło. - Próbuję tylko poskładać wszystko w całość.

-Może po prostu powinnaś odejść. Dać jej czas.

Annie spojrzała na przyjaciółkę zbolalym wzrokiem. Wiedziała, że Susan niezbyt lubiła jej mamę. Nora Gaines nigdy nie zrobiła niczego, by dać odczuć Susan, że jest mile widziana. Czasami, kiedy Susan dzwoniła, matka nawet nie pytała, czy coś przekazać Annie. „Ta dziewczyna” - mawiała, zawsze przybierając specyficzny ton, jak gdyby Susan była nosicielką jakiejś wstydlivej choroby. „Dlaczego nie zaprzyjaźnisz się z Laurą Denvers? Ona pochodzi z dobrej rodziny.” Oczywiście oznaczało to rodzinę zamożną i liczącą się... Kogoś, kto także mieszka w ogrodzonej posiadłości.

Mama nic nie rozumie. Prawdopodobnie wiele się zmieniło od czasów, kiedy

chodziła do szkoły średniej. Może wtedy wszystko było takie, na jakie wyglądało. Teraz jest inaczej. Laura Denvers jest śliczna i ładnie się ubiera, ale jest też uzależniona od kokainy.

„Matka Laury mówi, że jej córka ciągle chodzi na prywatki i świetnie się bawi. Dlaczego ty nie chodzisz, jak cię zapraszają?”

Bo Annie wie, co się dzieje na prywatkach. Ten obrazek jej nie ęci. Nie chce się w niego wpasować, jeśli ma to oznaczać palenie trawki, picie alkoholu czy uprawianie seksu. Pewnie, że Laura jest lubiana. Kiedy jest na haju, idzie do łóżka z każdym, kto się nawinie. Wszyscy w szkole wiedzą, że zanim skończyła siedemnaście lat, dwa razy usuwała ciążę. A tuż przed rozpoczęciem praktyk dla absolwentów szkół średnich jedna z koleżanek z lekcji gimnastyki powiedziała, że Laura ma dodatni wynik testu na HIV.

Mama nie miała o tym wszystkim zielonego pojęcia, Annie zaś nie czuła się upoważniona do rozmawiania o życiu osobistym Laury. Ze znajomymi Laury także nie chciała się zadawać. Wszyscy uważają, że są tacy odlotowi, tymczasem oni po prostu własnoręcznie niszczą sobie życie.

Poza tym nawet gdyby Annie powiedziała matce o wszystkim, co się dzieje na korytarzach liceum lub w czasie prywatek, to nie miałyby znaczenia. Mama prawdopodobnie by jej nie uwierzyła. Nora widziała tylko to, co chciała zobaczyć. Patrząc na Susan i jej długie farbowane, czarne włosy i koleczyk w nosie, dostrzegała kłopoty. Patrząc na Laurę Denvers z fryzurą za osiemdziesiąt dolarów i ciuchami z Saks Fifth Avenue, widziała klasę. Koniec, kropka. Miała wyrobioną opinię.

Panie, ja też jestem winna. Nie jestem taka, jaką mnie widzą. Noszę maskę. Udawałam, że wszystko jest w porządku, bo nie chciałam występować przeciwko matce. Byłam jej posłuszna, Panie. Tak bardzo się starałam. Ale przyznaję też, że się bałam. Bałam się stawić czoło jej gniewowi. A teraz, kiedy odeszłam z domu, boję się, że jeśli posunę się jeszcze o krok i spotkam się z babcią, mama nigdy mi nie przebaczy.

Kochaj Pana, Boga swego...

-Annie? - Poczula rękę Susan na plecach. Westchnęła i wyprostowała się. Przeszła ręką włosy, skrzyżowała nogi, siadając po turecku, i spojrzała na swą najdroższą przyjaciółkę.

-Suzie, nie wiem, czy dobrze robię.

Susan usiadła koło niej na dywanie.

-Co może być złego w spotkaniu z własną babcią?

-Nie rozumiesz. Moja rodzina jest inna niż twoja. Wszystko jest skomplikowane. - Tak skomplikowane, że Annie nie widziała początku, środka ani końca całego bałaganu. Wystarczyłaby jej nieć, tylko tego potrzebuje - cienka nieć, której mogłaby się chwycić i zrozumieć, co się wydarzyło i uczyniło matkę tak rozgoryczoną. Może wtedy mogłaby zacząć rozplątywać przynajmniej niektóre zapętlone supły.

Panie, chcę zrozumieć mamę. Nie chcę zniechęcić jej tak samo, jak ona nienawidzi własnej matki. Powiedziałaś miłujcie się wzajemnie. Pomóż mi w tym. Błagam, pomóż.

-Jestem taka zdenerwowana - Annie wyciągnęła przed siebie drżące ręce. Susan ujęła je w swoje dłonie.

-Będzie dobrze.

-Suzie, ja nawet nie wiem, od czego zacząć. O czym się rozmawia z dziadkami?

-O wszystkim! Uwielbiają mówić o przeszłości. Babcia Addie cały czas opowiada o swoim ojcu. Nigdy nie widziałam pradziadka, ale czuję się, jakbym go znała, bo tyle mi o nim opowiedziała. W 1905 roku przyплыł na gapę statkiem do San Francisco i był tu rok później podczas trzęsienia ziemi. Żył jeszcze, kiedy Neil Armstrong spacerował po Księżycu. Super, co? Babcia i dziadek

dorastali w czasach Wielkiego Kryzysu i oboje przeżyli drugą wojnę światową. Zadajesz im parę pytań, a oni zaczynają snuć tuzin opowieści. Niektóre słyszałam setki razy, ale to i tak fajne. Zwłaszcza gdy opowiadają, jak moja mama czy tata byli małymi dziećmi i wszystko ich interesowało. Mówię ci, jest z tego kupa uciechy.

-Moja mama twierdzi, że babcia przejmowała się tylko swoją pracą.

Susan zmarszczyła czoło.

-Czym się zajmowała?

-Nie wiem - Annie wzruszyła ramionami. - Mama nigdy o tym nie mówiła.
-No to możesz zacząć właśnie od tego, Annie. Zapytaj babcię o pracę.
-Tyle jest rzeczy, o które chcę ją spytać. - Spojrzała na mapę i żółtą linię wyznaczającą trasę podróży. Leota Reinhardt mieszka kilka przecznic od autostrady Mac Arthura. Znalezienie jej domu powinno być łatwe.
-Mam z tobą jechać? Mogę zadzwonić do Hanka i spytać, czy znajdzie kogoś na zastępstwo.
-Dzięki, Suzie, ale tym razem pojedę sama.
-Dzwoń na policję! - zaskrzeczał Barnaba.
Annie i Suzie wybuchnęły śmiechem.

Z autostrady Mac Arthura Annie zjechała na Fruitvale. U podnóży wzgórza zbcoczyła w prawo, przejechała odcinek do następnej przecznicy, po czym skręciła w lewo. Na rogu stromej, wysadzonej drzewami alei majestatycznie wznosił się stary ceglany kościół. Ulica była wąska i stały przy niej kryte tynkiem drewniane domki. Każdy miał ganek od frontu i choć niektóre budynki wyglądały na zniszczone - warstwa świeżej farby i trochę pracy w ogródku przywróciłyby im urok. Pradziadkowie Reinhardtowie prawdopodobnie żyli tu w czasach, kiedy mieszkańcy siadywali przed domem w gasnącym świetle wieczoru, odwiedzali sąsiadów i obserwowali bawiące się dzieci.

Na końcu ulicy przed starą murowaną szkołą podstawową Annie zawróciła. Powoli jechała z powrotem i zatrzymała się przed domem z numerem adresu babci. Na chodniku przed sąsiednim budynkiem dwie czarne dziewczynki grały w klasy. Obydwie były ubrane w jednakowe niebieskie dżinsy i jaskrawe różowe sweterki, a w ich włosach, zaplecionych w cienkie warkoczyki i zaczesanych do tyłu, mieniły się koraliki. Kiedy Annie wysiadła z samochodu, przerwały zabawę i spojrzały na nią nieufnie.

Uśmiechnęła się.

-Cześć!
Dziewczynki odwzajemniły uśmiech, lecz nie odpowiedziały. Pewnie rodzice zabronili im rozmawiać z nieznajomymi.
Annie schyliła się, żeby wyjąć z auta torebkę i prezent, który kupiła dla babci. Powiesiła torbę na ramieniu i zamknęła drzwi samochodu. Uważnie przyjrzała się stojącemu przed nią domowi i pomyślała, że kiedyś musiał być jednym z najładniejszych budynków na ulicy. Od frontu rosły rododendrony i azalie. Teraz nie miały kwiatów, ale za kilka miesięcy będą nimi pokryte. Trawnik był w opłakanym stanie, jednak wystarczyłoby go odpowiednio skosić,

wyrwać chwasty i podsypać nawozem, żeby w niedługim czasie przywrócić mu ładny wygląd. Pozbawione owoców drzewo przed domem wyglądało jak uspiona w zimie śliwa w porze kwitnienia musi być piękne. Kilka takich drzew rośnie w ogrodzie matki i ojczyma wszystkimi troskliwie opiekowała się ogrodnicza firma Marvinina Tikado.

Wzdłuż ścian domu rosły splecione krzewy pnących róż. Annie pamiętała, że mają różowe kwiaty. Płot z białych sztachetek będzie się wspaniale prezentował, kiedy oplotą go kwitnące czerwono winoroślą. Na końcu podjazdu zobaczyła pochyloną nad samochodową wiatą glicynię. Niebawem lawendowe kwiaty zawisną na niej jak przejrzałe kiście winogron, a ich zapach zmiesza się z wonią róż.

Wiosną dom musi wyglądać cudownie.

Powitały ją prowadzące do wejścia jaskrawo pomalowane schodki i stary fotel na biegunach wciśnięty w kąt ganku wytarte siedzisko świadczyło o tym, że babcia spędziła wiele godzin, siedząc przed domem. Teraz fotel pokrywał kurz i pajęczyny, ale kiedy miną chłodne dni, być może babcia znów będzie na nim siadać. Wybijały rododendrony zasłaniały widok na ulicę, ale można by temu szybko zaradzić. Annie zauważyła też wiszące doniczki - pomyślała, że ładnie wyglądałyby w nich fuksje z opadającymi jask-raworóżowymi i fioletowymi kwiatami w kształcie komet.

Z bijącym sercem zadzwoniła do drzwi. Zdawało jej się, że słyszy dobiegający ze środka dźwięk telewizora. To znaczy, że babcia Leota jest w domu. Tylko czy otworzy drzwi komuś, kogo nie widziała od lat... kogo pewnie nawet nie rozpozna?

Panie, spraw, proszę, żeby babcia zaprosiła mnie do środka. Przyjdź mi z pomocą, żebym nie powiedziała niczego, co mogłoby ją zdenerwować i uniemożliwiło porozumienie między nami. Pomóż mi widzieć wszystko wyraźnie z każdej strony. Boże, pomóż.

Czekała z nadzieją, podekscytowana, drżąc ze strachu i niepewności. Niby dlaczego miałyby się spodziewać miłego powitania? Nawet nie zadała sobie trudu, żeby wcześniej napisać. Na każdym kroku, nie zdając sobie z tego sprawy,

okazywała babci lekceważenie. Nie wiedziała nawet, kiedy Leota ma urodziny.

Drzwi uchyliły się lekko.

-Jeśli pani coś sprzedaje, to nie jestem zainteresowana.

-Babcia Leota? Jestem Annie. Annie Gardner.

Staruszka spojrzała na nią dziwnie.

-Annie?

Najwyraźniej nie pamiętała. Bo czemu miałyby pamiętać?

-Annie Gardner - powtórzyła z nadzieją, że odświeży babci pamięć. Minęło tyle czasu. Matka i ojciec rozwiedli się, kiedy Annie miała pięć lat spotkania z babcią, na które ją zabierano, mogła policzyć na palcach jednej ręki. - Córka Nory.

Popatrzyła w brązowe oczy babci, lecz nie mogła z nich nic wyczytać. Czy babcia w ogóle coś pamięta? Może zapomniała nawet, że ma wnuki.

Serce Annie zamarło.

Leota pamiętała. O, bardzo dobrze pamiętała. Lecz słowa uwięzły jej w gardle, gdy patrzyła na tę piękną dziewczynę stojącą na jej ganku. Ile to lat minęło, odkąd ostatni raz widziała wnuczkę? Anne- -Lynn Gardner już nie jest tamtą małą dziewczynką. Wysoka i szczupła, z kaskadą wspaniałych jasnorudych włosów. Trzymała w ręku małą różową ceramiczną doniczkę z fiołkiem afrykańskim pokrytym purpurowymi kwiatami. Skąd wiedziała, że fiołki to jej ulubione kwiaty?

-Córka Nory, babciu Leoto - powtórzyła dziewczyna, wyraźnie przygnębiona.

-Wiem, kim jesteś. - Leota przeraziła się, że jej słowa zabrzmiały szorstko i niecierpliwie. Szerzej uchyliła drzwi, by okazać dziewczynie, że jest mile widziana. Przez te wszystkie lata Annie stała się młodą kobietą. O, Panie, tyle straconych lat. Leota poczuła ucisk w gardle.

Annie weszła do środka i spojrzała w stronę wciąż włączonego telewizora.

-Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Leota podeszła do telewizora i zgasiła go.

-Geraldo obejdzie się beze mnie.

W pokoju zaległa cisza. Leota odwróciła się i z uwagą popatrzyła na Annie. Dostrzegła podobieństwo do Eleonory. Wnuczka miała usta i nos jej córki, ale było w niej też coś z ojca. Te piękne niebieskie oczy. Leota napawała się jej widokiem i myślała, co powiedzieć, zastanawiała się, dlaczego wnuczka przyszła. Po tylu latach musiała mieć jakiś powód. Wyglądała na zdenerwowaną i speszoną.

-Te fiołki to dla mnie? - uśmiechnęła się, chcąc sprawić, by wnuczka poczuła się swobodnie.

-Och! Tak. Oczywiście. - Wyciągnęła przed siebie kwiaty, trzymając je w obydwu dłoniach, jakby wręczała ofiarę.

-Moje ulubione - powiedziała Leota, biorąc kwiaty i podziwiając delikatne, aksamitne płatki. - Skąd wiedziałaś?

-Nie wiedziałam - odparła cicho Annie. - Wydały mi się ładne i pomyślałam, że może ci się spodobać.

-Podobają mi się. Bardzo. Dziękuję. - Pomyślała o fiołkach, które niegdyś

posadziła w ogrodzie, i o tym, jak ślicznie wyglądały, ożywiając pierzasty mech. Popatrzyła na Annie, zastanawiając się, czemu zawdzięcza tę wizytę, ale bała się zapytać. Po co psuć tę chwilę? - Napijesz się czegoś? Kawy? Herbaty?

-Może być cokolwiek.

-No to chodź do kuchni. Zaparzę herbatę.

Herbata. Z wnuczką.

Ciekawe, kiedy się obudzę z tego przepięknego snu?

Annie podążyła za babcią. Nie spodziewała się, że Leota będzie taka mała. Miała ledwie półtora metra wzrostu i była chuda. Siwe włosy upięła w kok, z którego wystawały pojedyncze kosmyki. Miała na sobie staromodny biały, rozpinany swe ter, niebieską sukienkę w kwiatki i różowe papucie. Jej wygląd zachwycił Annie. Babcia trzymała doniczkę z fiołkami, jak gdyby były jej najcenniejszą rzeczą. Przyglądała im się przez chwilę, po czym ostrożnie postawiła na niedużym stoliku pod oknem. Annie zobaczyła rozłożoną gazetę z rozwiązana do połowy krzyżówką. Potem zauważyła ogród. Och, jaki smutny...

-Pamiętam twój ogród. Myślałam, że to baśniowa kraina.

Leota podniosła oczy.

-Baśniowa kraina? - Zdawało się, że ten opis sprawił jej przyjemność. Potem jednak, kiedy powędrowała wzrokiem za spojrzeniem wnuczki, ogarnął ją smutek.

Cóż, teraz to już nie bajka, tylko dżungla. Od bardzo dawna nie pracowałam w ogrodzie.

-Elfy wciąż tam są?

-Elfy? - Leota myślała przez chwilę, ale nie mogła sobie przypomnieć.

-Na różowej drewnianej kratce za ogródkiem warzywnym. Na sztachetkach siedziały zielone porcelanowe elfy. Chyba trzy. Mieściły się w dłoni.

-Ojej, całkiem o nich zapomniałam. - Wystawiła te figurki wiele lat temu, kiedy Michael był jeszcze dzieckiem. Miała nadzieję, że go zachwycą i wprawią w zdumienie. Ponieważ nigdy o nich nie wspomniał, zupełnie wyleciały jej z pamięci.

-Była tam też wielka zielona żaba. - Annie uśmiechnęła się, spoglądając przez okno. - O tam, na końcu, gdzie rosną kalie.

Kiedy słuchała, jak Annie mówi o ogrodzie, Leocie zrobiło się ciepło na sercu.

-Pewnie wciąż tam jest. Nie przestawiałam jej. - Ustawiała w ogrodzie te śmieszne przedmioty, żeby sprawić radość wnukom, ale one zawsze gościły u niej zbyt krótko i Leota nie wiedziała, czy w ogóle zauważyły ogrodowe figurki. Kiedyś, dawno temu, marzyła, by urządzić polowanie na wielkanocne jaja czekoladowe i...

Przegnała myśli z tej wyboistej ścieżki, na którą nie chciała teraz wchodzić. Jaki pożytek niesie rozpamiętywanie dawnych krzywd i rozczarowań? Rozmyślanie o tym, co mogło się stać, niczego nie naprawi.

Annie rozglądała się po kuchni, a Leotę ciekawiło, co jej wnuczka sądzi o tym niedużym, przytulnym pomieszczeniu. Dawniej było tu wesoło ściany miały barwę

kanarkowej żółci, a szafki były białe. Okno nad zlewem wychodziło wprost na okno w kuchni sąsiadów. Annie nie wiedziała, że gospodynie mogły je otwierać i rozmawiać, zmywając naczynia, gdy dzieci bawiły się w ogródku.

-Na co masz ochotę? - Leota obserwowała twarz rozglądającej się wokół Annie. Miała taką słodką minę. Zupełnie odwrotnie niż tamten młokos, który przyszedł tu „na ochotnika”.

-Wszystko jedno, babciu. Możemy tutaj posiedzieć?

-Siedź sobie, gdzie tylko chcesz, kochanie - Leota opadła na krzesło i obserwowała wnuczkę. Annie wyglądała przez okno na ogród ani trochę niezrażona tym, że był zaniedbany. Może widziała to, co było kiedyś, a nie to, co jest teraz? Leota żałowała, że odpuściła sobie pracę w ogrodzie, lecz artretyzm utrudniał jej poruszanie się. Oczywiście nie był to jedyny powód. Nie ma sensu tego ukrywać. Zaniedbała wszystko, bo się poddała. Po co miała spędzać długie godziny w ogrodzie, skoro nikt inny się nim nie cieszył? Teraz tego żałowała. Nie powinna była tego robić. Powinna się o niego troszczyć. Teraz już na to za późno. Nie potrafi cofnąć spustoszenia, jakie się dokonało przez kilka ostatnich lat. Jest za stara.

Ale nie czas teraz wyliczać żale. Wnuczka przyszła w odwiedziny. Bogu niech będą dzięki.

Leota miała ochotę uczcić tę okazję czymś specjalnym. Otworzyła szufladę, pomyszkowała w niej chwilę i znalazła kilka torebek herbaty ekspresowej Constant Comment, którą schowała po śmierci Mamy Reinhardt. Mama uwielbiała tę herbatę często razem ją piły w popołudniowej porze. Ciekawe, czy ma gdzieś jeszcze ciastka? Jeśli są, to pewnie tak stare jak herbata, tak zeschnięte i twarde, że trzeba by je kruszyć w móżdżerze. Herbatniki? Nic z tego. Och, jaka szkoda, że Annie nie uprzedziła jej o wizycie. Kupiłaby potrzebne produkty i upiekła pieguski albo ciasteczka z masła orzechowego. Może następnym razem.

Czy będzie następny raz?

Boże... proszę.

Ręka jej drżała, gdy wlewała wodę do czajnika. Postawiła go na piecyku i włączyła gaz.

-To nie potrwa długo. - Czy Annie znudzi się czekaniem i będzie chciała wyjść? Młodzi ludzie żyją dziś w takim pośpiechu. A to muszą gdzieś pójść, a to coś zrobić. Wiedziała o tym od Cośmy. „Może to przez te gry wideo, w które nieustannie grają. Wszystko tam się tak szybko rusza. Jak komary, które odbijają się o moskitierę, doprowadzając człowieka do szału.”

-Nie spieszy mi się - odpowiedziała Annie, spoglądając na babcie.

-Jesteś głodna? Nie mam żadnych ciastek, ale mogę ci zrobić... - Co? Nie miała żadnego mięsa na obiad. Nie kupiła tuńczyka. Nie miała nawet masła orzechowego pod ręką. - ... kanapkę z jajkiem? Masz ochotę?

-Nie jestem głodna. Chciałam się tylko z tobą zobaczyć i porozmawiać.

Leota usadowiła się na krześle naprzeciw Annie.

-Co słyhać u twojej mamy?

W oczach Annie pojawił się krótki błysk, spuściła głowę. Powróciło napięcie.

Leota patrzyła, jak wnuczka kurczowo przyciska dłonie do stołu. Działo się coś złego.

-Eleonora jest chora?

-Nie, babciu. Mama czuje się dobrze. Tylko... - Znowu spojrzała w okno, a w oczach zalśniły jej łzy.

Ojej. Znowu coś nie w porządku. Czy to się kiedyś zmieni?

Leota czekała, zastanawiając się, dlaczego Annie przysłała. Wcześniej nie zaliczano jej do rodzinnego grona. Skąd ta zmiana?

-Ostatnio nie układa nam się najlepiej - powiedziała Annie po dłuższej przerwie.

Leota czuła rozdzierający dziewczynę ból. Lecz czy ośmieli się wściubić nos w nie swoje sprawy? A jeśli zada nieodpowiednie pytanie i wnuczka sobie pójdzie? Chciała ją jakoś pocieszyć, ale co mogłaby powiedzieć, żeby Annie opacznie jej nie zrozumiała? Z czasem wszystko się ułoży? To niekoniecznie prawda. Między nią a Eleonorą nigdy się nie ułożyło.

-Chcesz o tym porozmawiać? - zapytała ostrożnie.

Annie spojrzała na nią oczyma, w których było tyle bólu i troski, że Leocie ścisnęło się serce. Och, Eleonoro, co zrobiłaś naszej małej Annie?

-Mama mówi, że jestem taka, jak ty.

-Ojej - powiedziała Leota smutno, na co Annie oblała się rumieńcem.

Biedulka bardzo się speszyła i zmartwiła Leota pożałowała, że się w ogóle odezwała. Wiedziała, o co Eleonora ją obwinia, choć niełatwo było zrozumieć, dlaczego tak jest.

-Dlaczego tak powiedziała?

Annie patrzyła na swoje kurczowo splecione dłonie.

-Postanowiłam iść do szkoły plastycznej w San Francisco, zamiast jechać na wschód do Wellesley.

-Jesteś w tym dobra?

Annie podniosła oczy i popatrzyła na Leotę, cicho westchnąwszy.

-Mama mówi, że gdybym rzeczywiście miała jakiś talent, to by mnie wysłała na studia do Paryża.

Leota nie zauważyła, by w słowach Annie, powtarzającej ocenę swej matki, kryła się gorycz czy uraza. Och., Eleonora. Wieczny sędzia. Zapłonęła w niej iskra gniewu.

-A co ty myślisz, Annie?

Dziewczyna uśmiechnęła się posępnie.

-Może nie jestem tak dobra, jak mi się zdaje, ale kocham to.

-Jaką dziedziną sztuki się zajmujesz?

-Próbowałam wszystkiego. Jeszcze nie jestem pewna swoich mocnych stron, jeśli w ogóle jakieś mam. W liceum robiłam dużo szkiców ołówkiem. Ale szkoła

miała tak mały budżet, że mogła zaoferować tylko dwa kursy. Sztuk pięknych nie traktowano priorytetowo.

-Co masz zamiar studiować?

-Zapisałam się na wychowanie plastyczne i zajęcia z formy. Chciałabym spróbować akwareli i akryli. Może w swoim czasie dowiem się, co powinnam robić.

-To się nie wzięło ni stąd, ni zowąd. Jedna z twoich krewnych robiła reklamy.

-Naprawdę? Nie wiedziałam.

Czy Eleonora w ogóle o tym wie? Leota nie pamiętała, czy kiedykolwiek rozmawiała o dawno nieżyjących krewnych.

-Twoja cioteczna babka Joyce. Pochodziła z mojej strony rodziny. Zmarła przed narodzinami twojej mamy. Kiedy umarła moja matka, dostałam po babce Joyce parę rzeczy. Chyba mam gdzieś kilka jej obrazków. Całkiem nieźle zarabiała, rysując modne ubrania dla pań, kuchenki i narzędzia rolnicze. Rzeczy w tym stylu. Nic szczególnie ekscytującego. Namalowała też kilka kart okolicznościowych, o ile dobrze pamiętam.

-Chciałabym je obejrzeć.

-Zobaczę, czy uda mi się je znaleźć. - Przez lata o nich nie myślała. Gdzie mogą się podzi- wać? Może w skrzyni posagowej? Albo w pudle na strychu? Jak ona się tam dostanie, żeby ich poszukać?

Zagwizdał czajnik. Leota wstała i wyłączyła gaz. Zalała torebki z herbatą

gorącą wodą i odstawiła czajnik na kuchenkę.

-Lubisz mocną herbatę?

-Napiję się takiej, jak ty, babciu.

Leota parzyła herbatę tak długo, aż nabrała bursztynowej barwy.

-Cukier?

-Nie trzeba.

Leota miała wrażenie, że Annie lubi słodką herbatę, tylko nie chce sprawiać

kłopotu. Filiżanki lekko zagrzechotały, kiedy stawiała je na stole, jedną przed Annie, drugą na swojej krzyżówce. Otworzyła szafkę i wyjęła kobaltową cukiernicę. Zdjęła wieczko, poruszyła cukrem w środku i postawiła cukiernicę przed Annie. Otworzyła szufladę, wyjęła łyżeczkę i ją także położyła na stole. Nie mogła zaproponować śmietanki, skończyła się. Nie miała też mleka. Będzie musiała jeszcze raz pójść do sklepu.

Kiedy wróci ten student? Jak mu było na imię? Corban. Tak. Corban Solsek. Ma przyjść w środę. Ale czy przyjdzie? Nie była dla niego zbyt miła. Nadęty chłopyś. Jaki dziś dzień? Może powinna zadzwonić do tej miłej pani Decker i zapytać, czy nie przysłałaby kogoś innego.

-Pachnie smakowicie, babciu. Dziękuję.

Leota usiadła z wnuczką przy stole. Uśmiechnęła się do siebie, widząc, że Annie wsypuje do herbaty dwie łyżeczki cukru. Postanowiła, że następnym razem kupi w sklepie puszkę tej smakowej kawy rozpuszczalnej, którą reklamują w telewizji. Niezależnie od ceny. Waniliową. Cappuccino. Z dodatkiem czekolady. Coś specjalnego. I kupi też składniki na ciasteczka. Następnym razem, kiedy wnuczka przyjdzie z wizytą, poczęstuje ją jakimś smakołykiem.

Oczywiście jeśli będzie następny raz.

Leota zaczęła się niepokoić. Ta wizyta jeszcze się dobrze nie zaczęła, a ona potrafiła myśleć tylko o tym, że może zostało jej niewiele czasu, by poznać dziewczynę, nim odejdzie. Miała poczucie, że kiedy Annie wyjdzie przez frontowe drzwi, wszystko się skończy. Boże, pomóż mi! Czy jest taka wrażliwa jak Eleonora? Czy wystarczy jedno niewłaściwe słowo, by sobie poszła, a ja nigdy więcej jej nie zobaczę?

Boże... pomóż!

Annie siedziała bez słowa, starając się powstrzymać łzy, które nagle zaczęły napływać jej do oczu. Czy dobrze zrobiła, przychodząc tutaj? Co babcia o niej myśli? Jak przyjęła to, co powiedziała o mamie?

W końcu to babcia przerwała milczenie.

-A więc masz już dostatecznie dużo lat, żeby żyć na własną rękę.

-Tak. Wprowadziłam się do koleżanki z liceum. Susan Carter. Skończyła szkołę rok przede mną. Jest bardzo zabawna.

-Zabawna?

-Ale nie w jakiś zły sposób - powiedziała szybko Annie, pamiętając, jak jej matka oceniła Susan. Nie chciała, żeby babcia odniosła mylne wrażenie. - Susan jest bardzo odpowiedzialna. Uczy się na uniwersytecie stanowym w San Francisco i sama pokrywa wszystkie koszty.

-Co takiego studiuje?

-W tej chwili jest sklasyfikowana jako „niezdecydowana”, ale prawdopodobnie będzie się specjalizować w pielęgniarstwie. Jej mama jest pielęgniarką. - Annie opowiedziała babci o mieszkaniu i korzyściach płynących z jego lokalizacji. Lubię biegać.

A więc dlatego jest taka szczupła - pomyślała Leota.

-Mieszkanie jest niedaleko zoo, a do plaży jest tylko około półtora kilometra. Jest tam ścieżka dla biegaczy.

Annie chyba rzeczywiście uprawiała sport. Eleonora musiała kiedyś o tym wspomnieć, lecz Leota nie wiedziała nic więcej, i to wprawiało ją w zakłopotanie.

-Należałaś do drużyny biegaczek?

-Nie. Mama uważała, że biegi nie są dla dziewcząt, więc do piętnastego roku życia uprawiałam gimnastykę.

-Czemu przestałaś?

-Upadłam i złamałam rękę. Przez tę kontuzję nie mogłam dłużej trenować.

-Za moich czasów panie nie biegały, ale ja w przerwie obiadowej zwykle spacerowałam wokół jeziora Merritt. Potrafiłam utrzymać całkiem szybkie tempo. I uwielbiałam przebywać na powietrzu. W dolnej szufladzie biurka w pracy trzymałam

buty do wędrowek. Niejednego to dziwiło, wierz mi. Ale mnie to oczywiście nie przeszkadzało. Od tamtego czasu dużo się zmieniło. Słyszałam, że dzisiaj to normalne, że kobiety chodzą w tenisówkach do pracy. To prawda?

Annie się uśmiechnęła.

-Na mieście wciąż widzę panie w garsonkach i tenisówkach. Wiele kobiet zakłada buty na obcasach dopiero, gdy dotrą do biura.

-Odbierając pracę biednym ortopedom - zachichotała Leota.

Annie się rozluźniła. W babci było coś takiego, co sprawiało, że czuła się z nią swobodnie w tym małym domu. Przebłysk humoru w oczach babci dodawał odwagi... sprawił, że Annie postanowiła zaryzykować i zadać osobiste pytanie.

-A ty jaki miałaś zawód, babciu? - Jaka to kariera była bardziej interesująca niż własna rodzina?

-Byłam sekretarką. Zwykłą sekretarką.

-Lubiłaś tę pracę?

-Byłam w tym dobra.

-Jak długo pracowałaś?

-Przez trzydzieści lat.

Czyli jeszcze długo po tym, jak matka wyniosła się z domu. Być może jej przypuszczenia nie były bezpodstawne.

-Przez cały czas pracowałaś w jednej firmie?

-O, nie. W sumie pracowałam w czterech różnych przedsiębiorstwach. Wszystkie mieściły się w tym samym biurowcu, który od jeziora Merritt dzieliły tylko dwie przecznice. Kiedy odeszłam z firmy, natychmiast zatrudnił mnie jeden z konkurentów. Potem, gdy ten szef odszedł na emeryturę, pracowałam dla dżentelmena, który kupił jego firmę. Później ta firma połączyła się z inną. Zostałam tam i pracowałam również dla nich.

-Dlaczego w końcu odeszłaś?

Leota uśmiechnęła się lekko.

-Skończyłam sześćdziesiąt pięć lat.

-Zwolnili cię z powodu wieku?

-Nie. Wręczyłam wymówienie na dwa tygodnie przed urodzinami.

Zabrzmiało to tak, jakby nie mogła się doczekać, aż odejdzie. Dlaczego?

-Czy praca dawała ci satysfakcję?

-Satysfakcję? Nie, nie powiedziałabym, że praca sekretarki jest szczególnie satysfakcjonująca. Miałam z niej pieniądze na rachunki. I lubiałam ludzi, z którymi pracowałam.

Annie zmarszczyła brew. Jak to możliwe, że ktoś, kto podobno tak bardzo kochał swoją pracę, nie wydaje się ani trochę zainteresowany opowiadaniem o niej, kiedy nadarza się okazja? Może to ci ludzie, z którymi babcia pracowała, tak ją pociągali. Czy była uwikłana w jakiś związek? Czy właśnie to spowodowało rozłam pomiędzy nią a matką? Nie wydawało się to prawdopodobne. Gdyby Nora wiedziała o jakichś sekretnych układach, na pewno by o tym wspomniała. Nigdy nic nie wskazywało na to, że mama chciałaby chronić reputację babci Leoty. Już raczej wykorzystałaby takie informacje jako ostateczny gwóźdź do trumny babci.

-Wyglądasz na zmartwioną - odezwała się cicho babcia. - Czy powiedziałam coś nie tak?

-Nie. Tylko się zastanawiałam... - Uświadomiwszy sobie tok swoich myśli, Annie oblała się rumieńcem. Potępiła mamę dokładnie tak samo, jak ona przez te wszystkie lata potępiła babcię Leotę. Jakie ma prawo krytykować matkę, choćby w myślach? Czy kiedykolwiek była na jej miejscu? Czy patrzyła jej oczyma?

Bierzcie pod rozwagę wszystko, co jest prawdziwe, sprawiedliwe i mile.

Potarła skroń. Co jest prawdziwe? Co jest sprawiedliwe?

-Boli cię głowa? Mam aspirynę.

-Nie, nic mi nie jest, babciu. Naprawdę. Tylko jest tyle spraw... Zacisnęła wargi z obawy, że się rozplące. Spodziewała się, że babcia, tak jak mama, zacznie jej zadawać pytania. Co ma powiedzieć?

Leota nie poruszyła się i nie odezwała, jakby wciąż czekała.

Annie poczuła się nieswojo. O wiele bardziej przywykła do słownego ostrzału matki, pragnącej uzyskać odpowiedź.

-Powiedz, o co chodzi tym razem.

-O nic, mamo.

-Pewnie znów chcesz rzucić lekcje pianina. Cóż, nie zamierzam ci na to pozwolić. Słyszysz? Któregoś dnia podziękujesz mi za to, że nie pozwoliłam ci

przerwać. Gdybym decyzje zostawiała tobie, z wszystkiego byś zrezygnowała.

-Mamo, ja tylko potrzebuję trochę czasu...

-Masz tyle czasu, ile dusza zapagnie. Równie dobrze możesz się dąsać na lekcjach pianina zamiast w swoim pokoju. A teraz idź ćwiczyć! Obiecałam tym paniom, że zagrasz na uroczystym obiedzie...

Annie zamknęła oczy, odcinając się od głosów, które nie chciały zostawić jej w spokoju. Leota zauważyła zmagania dziewczyny. Annie była czymś strasznie zdenerwowana.

-Dlaczego przyszłaś, Annie? - Co może zrobić, by pomóc wnuczce?

Annie opuściła dłonie. Drżały. Objęła nimi filiżankę.

-Sama do końca nie wiem, babciu.

Leota bardzo chciała odpowiedzieć, wyrzucić z siebie, że wolałaby, aby było inaczej. A jednak nie śmiała wypowiedzieć tak prowokacyjnych słów. Zbyt łatwo można je błędnie zinterpretować. Nie chciała przykładąć ręki do obwiniania kogokolwiek, nawet Eleonory, która ponosi winę. Zbyt długo musiała znosić wyrzuty córki. Zamiast tego powiedziała bardzo ostrożnie

-Możemy to naprawić.

Annie podniosła głowę i spojrzała na babcię. Jej niebieskie oczy szklily się od łez, malowało się w nich cierpienie. Była taka delikatna, całkiem nie jak młoda kobieta, ale raczej jak mała dziewczynka skrzywdzona przez kogoś, kogo kocha. Leota rozpoznawała to spojrzenie. Czyż nie widziała go niezliczoną ilość razy na twarzy Eleonory, kiedy była dzieckiem? Serce ścisnęło się jej tak mocno, że ledwie mogła oddychać, co dopiero wymówić słowa otuchy.

-Tęskniłam za tobą, babciu.

Leota cichutko jęknęła. Nie była w stanie mówić. Nie dlatego, że zabrakło jej słów miała ich zbyt wiele. Słów miłości gromadzonych przez wszystkie samotne lata. Lata jeszcze przed narodzinami Annie. Przez cały ten czas, który minął od dnia, kiedy umieściła Eleonorę w ramionach Heleny Reinhardt. Eleonora płakała. Och, jak ona płakała. Tak samo jak Leota - jadąc autobusem do śródmieścia, by zrobić to, co musiała.

Boże, czy dajesz mi drugą szansę?

Na twarzy Leoty musiały się pojawić jakieś oznaki wewnętrznej walki, która się w niej toczyła, bo Annie wyciągnęła rękę nad stołem i dotknęła jej dłoni. Raz. Delikatnie. Niepewnie badając. Leota chciała chwycić tę młodą, smukłą, silną dłoń i już nigdy jej nie puścić. Siedziała jednak w milczeniu, bez ruchu, obawiając się, że jeśli wyda choć jeden dźwięk, da upust całemu swemu przerażającemu żalowi i nadziei. To tak bardzo bolało. Och, jakim ciężarem może być nadzieja, zwłaszcza dla kogoś tak młodego i najwyraźniej obciążonego własnym cierpieniem.

-To chyba nie ma sensu, prawda? - powiedziała Annie cichym, lekko łamiącym się głosem.

Dla Leoty był w tym cały sens świata.

-Ja też za tobą tęskniłam - rzekła w końcu. Było to strasznym niedomówieniem, ale gdyby powiedziała więcej, gdyby napomknęła o głębi swych prawdziwych uczuć, dziewczyna mogłaby się spłoszyć. Boże, ona nie ma pojęcia, kim jestem. Nic nie wie o podtekstach przeszłości. Biedna Eleonora tkwiła w samym środku tego wiru i nigdy nic nie rozumiała. Nie chciałam wyjaśniać. Jak mogłabym to zrobić, nie niszcząc wszystkich jej iluzji na temat rodziny? Jezu, spraw, by te delikatne słowa wystarczyły, ale nie wyjawily zbyt wiele.

I chyba wystarczyły, bo Annie uniosła głowę i badawczo spojrzała na Leotę. Potem jej oczy zajaśniały ciepłym blaskiem. Zamknęła powieki i pochyliła głowę, jakby odmawiała cichą modlitwę.

Corban nie wierzył własnym uszom. Zabrał staruszkę do sklepu spożywczego,

gdzie kupiła cu

kier brązowy i cukier kryształ, sodę, jajka, wiórki czekoladowe i dwa kilogramy mąki. Dwa kilogramy, które musiał nieść, do tego pół kilo cukru i inne rzeczy. Tym razem naprawdę zaszalała. Kupiła cztery litry mleka zamiast jednego, jak zazwyczaj, oraz karton waniliowej śmietanki. Po małej paczce herbaty Constant Comment i Orange Spice. Nawet dwie puszki wybornej kawy rozpuszczalnej, choć prawie wpadła w szal, kiedy zobaczyła, ile ją to będzie kosztować. Oczywiście nie omieszkała wypomnieć ceny biednej kasjerce. „Trzy dolary i osiemdziesiąt pięć centów za taką małą puszkę? Toż to rozbój! Osiemnaście deko tak tu jest napisane. Z czego to jest zrobione? Ze złota?”

Corban nie odezwał się ani słowem. Tak naprawdę był wzruszony, myślał, że po tym wszystkim, co dla niej robił, staruszka zaproponuje mu cappuccino. Postanowił nawet, że wybaczy jej bezlitosne obelgi, którymi obsypała go podczas pierwszej wizyty. Przeliczył się jednak. Kiedy dotarli do domu, powiedziała, że w lodówce jest trochę schłodzonej wody - wyglądał tak, jakby jej potrzebował. Pozwoliła mu nawet zmoczyć papierowy ręcznik i delikatnie przemyć twarz.

-Jest pan trochę czerwony.

No cóż, każdy by się zaczerwienił, taszcząc dwie torby zakupów, po dziesięć kilo każda.

Wciąż nie chciała jeździć samochodem.

A potem wyznaczyła mu kolejne zadanie.

-Chciałabym, żeby przed wyjściem zniósł mi pan jeszcze coś ze strychu.

-Ze strychu?

-Tak, ze strychu. No wie pan, to taka przestrzeń, którą budowniczowie zostawiają między sufitem a dachem. Dom jest mały, owszem, ale wystarczająco duży, żeby mieć strych.

M

Przecierpiał jej sarkastyczny wykładzik, zaciskając zęby.

-Jasne. Jak pani sobie życzy.

Im prędzej spełni jej prośbę, tym prędzej będzie mógł zapytać, czy mogą chwilkę porozmawiać. Chciał jej zadać parę pytań.

Z szuflady w kuchni wyjęła latarkę i dziarskim krokiem weszła do salonu. Czy

tylko mu się zdawało, czy rzeczywiście stąpała dzisiaj z większą werwą? Leota Reinhardt stanęła w wąskim przedpokoju na wprost ohydnej łazienki wyłożonej różowo-zielonymi kafelkami i dwóch małych sypialń po każdej stronie, po czym władczo wskazała ręką w górę. Przypominała mu Statuę Wolności z latarką w dłoni.

-Tam są drzwi. - Spojrzała na niego z niesmakiem. - Na litość boską, czemu nie przyniósł pan krzesła? Chce pan tam wskoczyć jak Superman?

Miał ochotę wrzucić ją na ten strych przez klapę w suficie. Dołączyłaby do innych nietoperzy, które zapewne zwisają z krokwi.

-Myślałem, że będzie jakaś drabina - odparł, rozpaczliwie starając się powiedzieć coś sensownego. Wiedział, że to głupie, już w chwili, kiedy się odezwał. Uczepiła się jego słów jak kot myszy.

-A, chce pan drabinę. No cóż, może znajdzie się jakaś w schowku za furką do ogrodu. Używałam drabiny, kiedy przycinałam drzewa. Jeśli chce pan z niej skorzystać, niech pan ją sobie przyniesie. Może nie być w najlepszym stanie, ale pewnie ułatwi wspinaczkę. Jeśli się panu uda wnieść ją do domu.

-Przyniosę krzesło - rzekł przez zaciśnięte zęby.

Ustawił je ostrożnie w małym przedpokoju, pilnując, aby znalazło się na twardym drewnianym podłożu, nie na kratce podłogowego grzejnika. Kiedy na nie wszedł, krzesło lekko się zachwiało. Otworzył niewielkie drzwiczki na strych i spojrzał w ciemność. Pachniało kurzem i starym drewnem.

-Tam mogą być szczury.

Serce podskoczyło mu do gardła.

-Słyszała je pani tu na górze? - Spojrzał na nią.

-Słyszałam w nocy, jak coś tam biegało - odparła spokojnie. Tu na dole nie musiała się obawiać gryzoni, które mogły wyskoczyć z ciemnych kątów. To jego zjedzą na przekąskę.

-Ale nie przejmowałabym się tym zbytnio, panie Solsek. Na pewno one boją się pana bardziej, niż pan ich.

Co znaczy ten błysk w jej oczach? Czyżby stroiła sobie z niego żarty?
Rozzłościł się jeszcze bardziej. Czy wszyscy starzy ludzie są tacy trudni?

-Poza tym może tylko mi się zdawało - dodała słodko. - Wie pan, jakie są staruszki, które przez długi czas mieszkają samotnie. Trochę szwankują na umyśle. Nieprawdaż? Ale pająki są, tego jestem pewna.

On też nie miał co do tego wątpliwości i właśnie dlatego nie spieszyło mu się wdrapywać na ten piekielny strych. Jakie jeszcze stworzenia mieszkały w ciemnościach na górze?

Stuknęła go latarką w udo.

-Bez tego nic pan nie zobaczy.

-Dzięki. - Cały w nerwach, Corban zapalił latarkę i powiódł promieniem światła po niewielkiej przestrzeni. Trudno to było nazwać strychem. Dojrzał stos pudeł, starą drewnianą kołyskę, drewnianą skrzynkę na jabłka z pustymi wekami

oraz starą klatkę dla ptaków, która mogła pomieścić zwierzę wielkości papugi lub kanarka.

-Chciałabym, żeby zniósł pan pudła.

-Wszystkie?

-A ile ich jest?

-Trzy.

-Tylko trzy? Sądziłam, że więcej. Proszę się obrócić i spojrzeć za siebie.

Corban odwrócił się i poczuł na twarzy pajęczynę. Wypowiedział niezbyt cenzuralne słowo i szybkim ruchem omiótł twarz, mając nadzieję, że ośmionogi mieszkaniec sieci nie wszedł mu we włosy ani nie spadł za koszulę. Tymczasem pająk umykał w stronę pudeł, które należało znieść. Corban go rozgniół.

-Co u licha pan tam wyprawia? - krzyknęła z dołu Leota Reinhardt.

-Zabijam pająka.

-Jak duży jest ten pająk? Jak mój stół w jadalni? Wybije mi pan dziurę w suficie.

Światło zamigotało. Corban znowu zaklął i potrząsnął latarką.

-Czy zna pan tylko to jedno słowo, panie Solsek?

-Przepraszam - wymamrotał, uzmysławiając sobie, co powiedział.

-Jak na studenta jednej z najlepszych szkół w kraju ma pan bardzo ograniczone słownictwo.

-Przepraszam, pani Reinhardt. - Dosyć tego!

-To bardzo dobrze, młody człowieku, ale jeśli zepsuł mi pan latarkę, będzie pan musiał kupić nową!

Snop światła znów się pojawił.

-Wciąż działa.

-Lepiej, żeby tak było. Niechże pan już znieście te pudła, zanim zniszczy mi pan dom do szczętu.

Corban chodził na górę i na dół sześć razy. Zadyszał się i spocił o wiele bardziej niż podczas

wędrówki na wzgórze. Już zaczynały go łapać skurcze w mięśniach nóg, gdy wreszcie powiedziała

-O to pudło mi chodziło.

Oczywiście. To było ostatnie.

Z wielką niechęcią zaproponował

-Mam wnieść pozostałe pudła z powrotem?

Przyjrzała mu się uważnie.

-Nie. Najpierw je przejrzę. Jak skończę, wsunę je do pokoju gościnnego.

-Dobry pomysł - odparł, wdzięczny za jej łaskawość.

-Może je pan odstawić na miejsce w następną środę.

-Wiesz, co mnie naprawdę wkurza? - rzekł Corban tego wieczoru do Ruth. Byłem tam już trzy razy i wiem o niej tyle, co nic.

-W czym problem? Nie chce ci odpowiadać na pytania?

-Jeszcze jej o nic nie spytałem! Kiedy wreszcie przestaje mnie traktować jak niewolnika, jestem tak zmęczony, że zapominam, po co przyszedłem.

-Co zamierzasz zrobić? - spytała Ruth, kontynuując ćwiczenia. Siedziała na macie z wyciągniętymi przed siebie, rozsuniętymi nogami i głową dotykała kolana. Pac, pac, pac, potem przechył do drugiej nogi, głowa dotyka kolana. Pac, pac, pac.

-Mam zamiar pojechać do niej w ten weekend i opowiedzieć o moim raporcie.

-Myślisz, że będzie chętna do współpracy?

-Jeśli nie, to nie będę na nią marnował więcej czasu.

W ciągu dwóch następnych dni Leota otworzyła wszystkie sześć pudeł. Z każdego wysypywały się wspomnienia. Niektóre były dobre inne lepiej było trzymać pod kluczem w zakamarkach serca.

W pierwszym pudle znajdowały się ozdoby choinkowe. Właściwie była to skrzynka z dwunastoma przegródkami, przeznaczona do transportu win. Leota przez dwie godziny zdejmowała bibułę z każdej pieczołowicie owiniętej zabawki, wyjęła błyszczącą, zdobioną paciorkami girlandę oraz sznury lampek nawinięte na rolki od bibuły. Od dziesięciu lat nie ubierała choinki drzewka były drogie. Jedna choinka kosztowała tyle, co jej miesięczny rachunek za prąd! Zresztą nawet gdyby miała pieniądze, nie poradziłyby sobie z przyniesieniem choinki do domu.

Najlepsze święta Bożego Narodzenia to były te najwcześniejsze, kiedy ona i Bernard mieszkali sami z dziećmi we własnym niedużym mieszkanku. Ileż radości sprawiał im widok zachwyty w jasnych oczach dzieci, patrzących na choinkę.

Pamiętała, jak wieczorami czytała im bajki Eleonora siedziała jej na kolanach, George się do niej tulił. To były najcenniejsze wspomnienia, bo gdy wprowadzili się do tego domu, właściwie nie było czasu na nic poza pracą. Mama Reinhardt szybko przejęła opiekę nad wnukami.

Leota starannie zapakowała każdą ozdóbkę i odłożyła z powrotem na miejsce. Wetknęła girlandę i lampki do przegródek i odsunęła skrzynkę na bok.

Następne pudło było wypełnione starymi ubraniami, z których każde przypominało jej, dlaczego je zachowała. Suknia ślubna piękny atlasowy szlafrok, który Bernard podarował jej na pierwsze wspólne Boże Narodzenie czerwona sukienka, prezent na urodziny, kiedy Bernard był w wojsku. Przesłał pieniądze i kazał, żeby kupiła sobie coś ładnego. Mama Reinhardt była oburzona, że Leota wydała wszystkie pieniądze na siebie, nie przeznaczając nic dla dzieci. Papa stanął w obronie Leoty, ale to nie wpłynęło na surową opinię Mamy.

Kiedy teraz przesuwała ręką po sukience, Leocie przypomniła się złość, jaką wtedy czuła. Mama Reinhardt tak bardzo się na nią zawzięła. Jakkolwiek Leota by się nie starała, Mama nigdy nie była zadowolona. Papa mówił, że wielu rzeczy nie rozumie - i faktycznie tak było. Leota włożyła sukienkę tego samego wieczoru, kiedy ją kupiła. Była wściekła, zachowywała się wyzywająco. Kiedy wróciła wieczorem do domu, Mama na nią czekała. Jeszcze nie było późno - dochodziła dziesiąta - ale dzieci już dawno powinny były spać. Mama powiedziała, że nie poszły do łóżek, bo się o nią martwiły. I że wyjaśniła im, iż nie ma powodu niepokoić się o kogoś tak samolubnego. Ich matka z pewnością potrafi o siebie zadbać.

Tego było już za wiele. Leota ułożyła dzieci do snu i wróciła do Heleny Reinhardt, żeby zagrać z nią w otwarte karty. Jednak zanim zdążyła powiedzieć słowo, teściowa wylała z siebie całą złość i wszystkie pretensje. Papa Reinhardt interweniował i powiedział dostatecznie dużo, by zamknąć żonie usta.

Nawet wtedy Mama nie pojęła wszystkiego.

Leota nie sądziła, że dzieci słyszały, co się działo tamtej nocy. Dowiedziała się o tym dopiero kilka lat temu, gdy Eleonora poinformowała ją, że omawiała to ze swoim psychologiem. Cisnęła w nią tą informacją jak granatem eksplodował w

salonie, okrutnie raniąc je obydwie. Eleonora myślała, że wszystko wie. Jakże się myliła... Jednak nie miało sensu jej wyjaśniać, że słyszała tylko wersję jednej ze stron. Po cóż jej przypominać, że miała wtedy zaledwie pięć lat i nie była w stanie zrozumieć wszystkiego, co usłyszała, nie wspominając już o głębi cierpienia, które się z tym wiązało? Jeśli Eleonora wbiła sobie coś do głowy, nie było sposobu, by to zmienić. Zachowywała się jak pitbul, który zaciska szczękę na jakimś stworzeniu i wyszarpuje z niego życie.

-Tamtej nocy tak bardzo zraniłaś babcię Helenę, że nigdy się z tego nie otrząsnęła - oskarżała ją Eleonora.

W pewnym sensie była to prawda. Kiedy Mama zrozumiała, dlaczego Papa zachęcał Leotę, by z nimi zamieszkała, już nigdy nie doszła do siebie. Biedny Papa. Nawet po tym zajściu dalej chadzał do parku Dimonda i siedział tam całymi godzinami, w słońce czy deszcz. W późniejszych latach Mama chodziła tam razem z nim.

Leota przyglądała się czerwonej sukience, która spowodowała tyle zamieszania. Wciąż była nowiuteńka. Leota miała ją na sobie tylko raz, tamtego wieczoru. Po tamtych wydarzeniach złożyła ją i schowała.

Następną rzeczą, którą wyjęła z pudła, była stara wełniana koszula Bernarda. Podarowała mu ją na urodziny w pierwszym roku po powrocie z wojny. Wkładał ją do niedzielnego obiadu. Wciąż widziała go siedzącego na końcu stołu naprzeciw Papy. Kochali się i rozumieli nawzajem. To Mama nigdy nie rozumiała wszystkiego do końca. Nie chciała stawić czoła temu, co życie im zaserwowało. A była to gorycz i smutek. Tyle smutku.

Na dnie pudła leżał wojskowy mundur Bernarda. Do niego przypięte były medale, które otrzymał Srebrna Gwiazda, Brązowa Gwiazda i Purpurowe Serce. Bernard kazał jej spalić mundur, lecz ukryła go głęboko. Była dumna z męża. Walczył, nie bacząc na cenę, jaką przyjdzie mu za to zapłacić. A cena była bardzo wysoka. Na wspomnienie tego, co wyznał jej w chwili słabości, przeszył ją dreszcz. Kiedyś zapytała męża, czy rozmawiał o wszystkim z Papą. Powiedział, że nie. Jednak Leota przez lata zastanawiała się, czy Papa i tak o wszystkim nie wiedział.

O niektórych sprawach lepiej milczeć.

Co do Leoty, to postanowiła nie myśleć o tym, czego nie potrafiła zmienić. W życiu jest zbyt wiele dobrych rzeczy, żeby pozwolić się zniszczyć tym, na które nie mamy wpływu.

Gdybyż tylko Bernard myślał tak samo.

Następne dwa pudła zawierały dziecięce zabawki, gry i książki. Leota wyjmowała je pojedynczo pudełko po cygarach pełne kowbojów i Indian dzinsowy woreczek z drewnianymi klockami uszyta ręcznie lalka w kwiecistej sukience z haftowanym brzegiem i rękawkami kości do gry, szachownica i pudełko z pionkami blaszane pudełko z używanymi akwarelami puszcza z kredkami i kilka starych, zniszczonych książek - między innymi Porwany za młodu, ulubiona książka Georgea. Leota schowała te rzeczy, kiedy George i Eleonora z nich wyrosli miała nadzieję, że pewnego dnia da je wnukom do zabawy. Marzyła, że trzymając wnuki na kolanach, będzie im czytać.

Przejrzała książki pierwsze wydanie Ciekawskiego George a Rudolf, czerwono nosy renifer - stara wyblakła broszura z domu wysyłkowego Montgomery Ward Piotruś Królik-, zniszczony zbiór bajek Dziecięcy ogród poezji Roberta Lewisa Stevenson'a i Czarnoksiężnik z krainy Oz. Układając je z powrotem w starym pudle, Leota ponownie spakowała utracone nadzieje i rozwiane marzenia.

Czyż nie każda młoda żona marzy o radości i spełnieniu w życiu? Lecz rzeczywistość niszczy marzenia i trzeba robić to, co konieczne i słuszne w danym momencie. Nikt nie potrafi przewidzieć, co przyniesie bieg wypadków. Życie pełne jest zgryzot.

Odwagi, umiłowana. Jam zwyciężył świat.

Wiem, Panie, ale Ty jesteś tam w niebie, a ja ciągle tutaj. Żyłeś na ziemi trzydzieści trzy lata. Wiesz, jak to jest. Ja tkwię tu już ponad osiemdziesiąt lat. Zmęczyło mnie to. Młodość była wspaniała, dziękuję Ci za te pierwsze dwadzieścia lat. Co by się ze mną stało, gdybym nie miała wspomnień z dobrych czasów? Musisz jednak wiedzieć, Boże, że ostatnie sześćdziesiąt parę lat nie było zbyt wesołe.

Pomyślała o ludziach ze Starego Testamentu, którzy żyli setki lat. To dopiero przytłaczająca myśl.

W piątym pudle była zbieranina osobistych pamiątek Mamy, Papy i dzieci. Mama pomagała Eleonorze wklejać specjalne pamiątki ze szkolnych lat do albumów wykonanych domowym sposobem. Robiła je z dużych pudeł, które dostawała za darmo ze sklepu spożywczego. Papa przycinał tekturę, a Mama i Eleonora naklejały na nią zdjęcia z czasopism. Na okładce jednego z albumów widniał kolaż z fotek hollywoodzkich gwiazd filmowych. W środku znajdowały się wypracowania Eleonory, upominki ze szkolnych potańcówek, programy imprez, na których bywała, oraz zdjęcia ze szkoły. Drugi album był oblepiony fotografiami miejsc do obejrzenia Wielki Kanion, kalifornijskie sekwoje, plaże Oregonu, Góry Skaliste. W środku były pamiątki Georgea ze szkolnych lat.

Kiedyś Leota miała zdjęcia rodziny, lecz wszystkie przepadły. Zostało tylko parę fotografii dzieci ze szkolnych lat. Wszystkie zdjęcia, które Leota posiadała, stały na gzymsie kominka. Miała tylko trzy fotografie Bernarda. Jedno, zrobione w dniu ich ślubu, wisiało w sypialni. Na drugim była ona, Bernard, mały George i Eleonora - wtedy jeszcze niemowlę. Trzecia fotografia przedstawiała Bernarda w mundurze wojskowym. Zrobiono ją i przysłano, kiedy ukończył obóz dla rekrutów. Podarowała to zdjęcie rodzicom Bernarda z dumą prezentowali je na gzymsie kominka do czasu, gdy Bernard wrócił do domu i oznajmił, że nie życzy sobie żadnych pamiątek z wojny. Wtedy Mama je schowała. Nie powiesiła go nawet na ścianie w pokoiku za samochodową wiatą. Po śmierci Bernarda Mama postawiła fotografie na telewizorze patrzyła na nie w każdy ranek, południe i wieczór przez pozostałe dziesięć lat swego życia.

Między różnymi pamiątkami leżało schowane stare pudełko po butach. Leota odwiązała różowe wstążki i uniosła wieko. W środku znajdowały się ocalone przez Mamę Reinhardt listy ze starego kraju. Były napisane po niemiecku niezrozumiałe dla Leoty. A jednak po śmierci Mamy Reinhardt nie potrafiła ich spalić ani wyrzucić. Jakże miała prawo się ich pozbyć, skoro były na tyle cenne dla Mamy Reinhardt, że trzymała je przez te wszystkie lata? Listy były starannie posegregowane w małe pakiety przewiązane cienkimi różowymi wstążeczkami. Jeden plik na każdy rok, począwszy od tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku, w którym Mama i Papa Re

inhardt wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Po tysiąc dziewięćset czterdziestym nie było już listów.

Leotę ciekawiło, co było w nich napisane. Może powinna je zniszczyć? Ta myśl ją niepokoiła. Pudełko z listami zajmowało bardzo mało miejsca. Możliwe, że pewnego dnia ktoś z rodziny nauczy się czytać po niemiecku i je odszyfruje. Z drugiej strony mogłoby się okazać, że to nie najlepszy pomysł.

Wiedziała, czego by pragnął Bernard.

Zważyła pudełko w dłoniach. Panie, co powinnam zrobić? Histońa naszej rodziny może i nie jest bez skazy, ale to nasza historia. Jakie ryzyko niesie ze sobą ocalenie tych listów? Kogo może zranić ich treść? I ile z tego, kim jesteśmy, poszłoby z dymem, gdybym je spaliła?

Westchnąwszy, Leota odstawiała pudełko na bok. Nie wiedziała, co zrobić z listami. Pomyśli o tym przez kilka dni i coś postanowi, a jeśli nie będzie w stanie tego zrobić - ktoś inny będzie musiał zdecydować. Niech Eleonora albo George spalą przeszłość, jeśli zechcą.

Nim na powrót przykryła pudełko wieczkiem, zauważyła w nim długą, brązową kopertę. Wyjęła ją i obróciła w dłoniach. Żadnych oznaczeń, koperta nie była też zaklejona. Leota otworzyła ją i wyjęła jakieś urzędowe papiery. Rozłożyła je i przeczytała. Dokumenty naturalizacyjne Mamy i Papy Reinhardtów! Oboje zdali egzamin przed sędzią i w maju tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego stali się obywatelami amerykańskimi.

Te dokumenty nie przypadkiem znalazły się w jednym pudełku z listami z Niemiec. - „Och, Mamo, a więc byłaś rozdarta między dwoma światami?” To także była jakaś wiadomość.

Leota starannie złożyła papiery i schowała je z powrotem do koperty, na wierzchu napisała „Dokumenty naturalizacyjne Gottlieba i Heleny Reinhardt”. Położyła kopertę na listach, żeby każdy, kto otworzy pudełko, zobaczył ją najpierw. Potem zakryła pudełko wieczkiem, przewiązała wstążkami i odstawiała na

bok. Już nie potrzebowała kilku dni na przemyślenia. Postanowiła zachować listy.

W ostatnim pudle znajdowały się jej własne pamiątki. Kiedy ostatni raz tu zaglądała, przebrała je. Było to w miesiąc po śmierci Mamy Reinhardt, gdy poszła na strych schować jej rzeczy. Wzięła do ręki plik listów od Bernarda, pisanych, gdy był na wojnie w drugim pliku były kartki okolicznościowe, które mąż kupował jej przez wiele lat na urodziny i Dzień Matki.

Czytała je przez resztę dnia. Przy niektórych - zwłaszcza tych z wojny płakała. Kiedy go poznała, Bernard był pełen energii, ale młodzieńczy optymizm i entuzjazm szybko ustąpiły miejsca wojennym doświadczeniom. Leota czytała do północy, póki nie poczuła zmęczenia pozostałe listy i karty zostawiła na stole w jadalni, żeby dokończyć lekturę następnego dnia.

Wszystkich listów było pięćdziesiąt trzy. Czytając je, słyszała głos Bernarda, młodego Bernarda, płomiennego i pełnego nadziei na przyszłość. Przeczytała każdą z osiemdziesięciu dziewięciu kart. Wszystkie były podpisane u dołu Gorące pozdrowienia, zawsze Twój Bernard... Bez Ciebie nie wytrzymałbym ani dnia... Jesteś moim światłem... Zawsze Twój z łaski Boga... zawsze kochający... zawsze kochający ... zawsze kochający.

Może któregoś dnia przeczytają je dzieci. Może wtedy zrozumieją. Te karty były jej dowodem na to, że Bernard zawsze ją kochał, nawet w latach intensywnego picia i w okresach głębokiej depresji i milczenia.

Panie, połóż kres tym wszystkim zarzutom, jakimi dzieci mnie obsypują. Otwórz im oczy i spraw, żeby zobaczyły i nareszcie zrozumiały, choć w małej części, dlaczego było tak, jak było. Nie muszą wiedzieć wszystkiego, Boże. Nie aż tyle, żeby im to zrujnowało życie. Niech dowiedzą się wystarczająco dużo, żeby mogły odłożyć na bok żal, który do mnie czują, i zaczęły liczyć błogosławieństwa. Postępowałam najlepiej, jak mogłam, zważywszy na to, co miałam.

Leota zebrała listy, starannie układając je w kolejności.

Przypuszczała, że Eleonora wciąż będzie obsta- ac przy własnym zdaniu na temat przeszłości, ędzie się trzymać postrzępionej peleryny do- wiadczeń pozszywanych przez jej bujną wyob- ażnię. Strzępy rozmów, rzeczy, które jej powie- ziano lub które podsłuchiwała - fragmenty praw- y, ale nie cała prawda.

Cofnij się, Eleonoro. Cofnij się i dobrze się przyj- W-
Leota poskładała listy, przewiązała je wstążką- i i przejrzała resztę rzeczy w
ostatnim pudle, jakie skarby jeszcze tu znajdzie? Wydobyła wyzywaną koralikami

wieczorową torebkę, koronowy kołnierzyk z perłowymi guzikami, modlitew- ik w zniszczonej skórzanej oprawie i teczkę z ry- unkami ciotecznej babki Joyce. Przejrzyj je póź- lej razem z Annie.

Na dnie pudła znalazła trzy białe chusteczki winięte bibułą. Dwie obrobione koronką, a trze- cia z pięknie wyhaftowanymi niezapominajkami. Dzieła jej matki. Wspaniałe. Leota nigdy się nie ośmieliła wydmuchać w nie nosa, sama myśl o tym wydawała się niemal świętokradztwem. Biorąc do ręki każdą chusteczkę, myślała o Annie. Jako artystka, jej wnuczka doceni czas i wysiłek włożony w wykonanie tych pięknych rzeczy. Powinny należeć do niej.

Na samym spodzie leżały dwa komplety ubranek. W jednym chodził George, gdy był jeszcze małym brzdącem para zniszczonych dżinsów z dziurami na kolanach, koszulka w niebieskie, czerwone i zielone paski, kowbojski kapelusz i para butów. Drugi komplet należał do Eleonory niebieska plisowana sukienka ze stanikiem obszytym różową wstążką, z kołnierzykiem i brzegiem haftowanym w białe kwiaty. Uszyła ją Mama Reinhardt.

Obok sukienki leżała para białych zdartych dziecięcych bucików zapinanych na pasek.

Leota położyła komplecik na kolanach i zapłakała.

6

Leota wyjrzała przez judasza w drzwiach i zobaczyła stojącego na ganku Corbana Solseka. Po co przyszedł? Czyżby była już środa? Niemożliwe. Annie mówiła, że przyjedzie w poniedziałek. Jej zajęcia odbywają się we wtorki, czwartki i piątki po południu.

Otworzyła drzwi i zobaczyła, że Corban ma w ręku notes w spiralnej oprawie.

-Nie przyjechał pan o parę dni za wcześniej?

-Chciałem z panią porozmawiać, pani Reinhardt. Jeśli ma pani kilka minut.

-Kilka mogę panu poświęcić. - Otworzyła mu drzwi. - No, niechże pan wchodzi

-dodała, kiedy się zawałał. Było widać, że bardzo czekał na to spotkanie. Surowo zaciśnięte usta układały mu się w beznamiętną kreskę. Nie wyglądał na zdenerwowanego był poirytowany. - Co panu leży na sercu? Pewnie powie, że jest starą wariatką i nie ma zasu na jej błazenady. Szkoda. Gdyby zechciał, mógłby się od niej czegoś nauczyć. Z drugiej stro- ly ona mogłaby nauczyć się czegoś od niego, dyby tak bardzo jej nie irytował tym swoim mędr- cowałym wyglądem. Za każdym razem, kiedy spoglądała w jego świętoszkowatą twarz, miała ochotę natrzeć mu uszu.

-Czy możemy usiąść? - spytał, gdy stali w salonie.

Najwyraźniej wyjaśnienie tego, co go gryzie, zajmie więcej niż kilka minut. Zerknęła na notes.

-Zamierza pan robić notatki?

-Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

-A gdybym powiedziała, że mam?

Zacisnął, a potem rozluźnił szczękę.

-Nie notowałbym.

-Nie. Zapewne wróciłby pan do domu i dopiero wtedy zapisałby pan wszystko po swojemu.

Corban spochmurniał.

-Proszę posłuchać, dała mi pani niezwykle jasno do zrozumienia, że mnie pani nie lubi. Nie wiem, w czym tkwi problem.

-Nie? Podpowiem panu. Ma pan maniery jak kozioł na targu.

Otworzył usta.

-Pani też bym nie nazwał królową dobrych manier.

Leota się roześmiała. Zamknęła wejściowe drzwi i spojrzała na niego. Nie przestawała się śmiać.

-Co panią tak bawi?

Biedak prawie na nią fuknął. Leota go ominęła, idąc w stronę swojego fotela, i dalej rechotała. Wyjęła z pudełka chusteczkę higieniczną i otarła oczy.

-No, chyba pierwszy raz, odkąd się pan u mnie pokazał, jest pan szczery.

Corban gapił się na nią, nie wiedząc, co powiedzieć.

-Przynajmniej ma pan na tyle przyzwoitości, żeby się zarumienić - dodała bezlitośnie. Pokręcił głową i usiadł na skraju kanapy.

-Może będzie lepiej, jeśli opowiem coś o sobie.

-Przede wszystkim niech pan powie, w jakiej sprawie pan przyszedł.

Corban dziwnie się zawstydził, ale dlaczego? Przecież stara się pomóc starszym

ludziom. Skrzywił się lekko, nie wytrzymując jej spojrzenia. Spokój Leoty wprawiał go w zakłopotanie. Wpatrywała się weń, a on miał krępujące uczucie, że zagląda do jego duszy głębiej niż ktokolwiek inny, że dostrzega rzeczy, których on sam nie jest świadomy.

-Do rzeczy, panie Solssek.

-Jestem studentem Berkeley. Pracuję nad pracą semestralną z socjologii. Potrzebny mi jeden przypadek, który mógłbym szczegółowo opisać.

-Tylko jeden?

Potaknął.

-To wymóg mojego profesora.

-Jaki jest temat pańskiej pracy?

-Przedstawiam koncepcję, jak zaopiekować się rosnącą liczbą starszych ludzi w naszym kraju.

-Może ich wytępić?

Starął się nie obrazić. Ta kobieta doskonale wiedziała, jak go sprowokować.

-No dobrze - uśmiechnęła się cierpko. - Jaki jest pański pomysł?

-Budowa ośrodków opiekuńczych na obszarach o dużym zagęszczeniu ludności.

Koncepcja opiera się na dwóch założeniach: opiece nad starszymi i stworzeniu im nowych warunków bytowych w centrach miast. Rząd mógłby subsydiować przejęcie niektórych biurów i hoteli usytuowanych w śródmieściu, odnowić je i przeczłaić

w domy opieki. Użytkownicy będą wpłacać pewną kwotę, żeby mieszkać w takim ośrodku

do końca życia. Na jednym piętrze będzie się znajdować centrum medyczne, drugie można przeznaczyć na zajęcia rekreacyjne. Oczywiście to tylko szybkie streszczenie. W tym systemie oferowano by najróżniejsze usługi.

Spojrzał na nią wyczekująco, spodziewając się oznak aprobaty. Tymczasem Leota wpatrywała się w niego z kamienną twarzą.

Odchyliła się na fotelu, dobry humor prysł. Jak to możliwe, by ktoś na tyle

bystry, że dostał się do Berkeley, był tak naiwny?

-Czy mieszkańcy mieliby prawo widywania dzieci?

-Nie projektuję systemu więziennego, pani Reinhardt. Goście będą oczywiście

mile widziani. Za niewielką opłatą i przez ograniczony czas goście będą mogli

korzystać ze specjalnych pokojów.

-A jeśli ktoś chciałby się wyprowadzić z ośrodka?

-Mało prawdopodobne, żeby ktoś chciał się wyprowadzać.

-Zwłaszcza jeśli wkłady początkowe nie podlegałyby zwrotowi. Lub gdyby się

wyczerpały. Albo gdyby personel dodawał do jedzenia środki uspokajające!
Corban zmarszczył brwi.

-Chodzi o to, że wszyscy mieszkańcy w późnych latach życia byłiby otoczeni

troskliwą opieką. Żyliby w bezpiecznym środowisku, mieliby zapewnioną dobrą opiekę, komfortowe warunki i wspólne zajęcia. Wielu ludzi teraz tego nie ma.

-Ma pan na myśli takich ludzi jak ja. Którzy mieszkają nieopodal śródmieścia i utrzymują się z zasiłku socjalnego. Starych ludzi, którzy podupadają na zdrowiu i mają niewielkie, jeśli w ogóle jakiegokolwiek, wsparcie od rodziny.

Corban rozparł się na kanapie i uśmiechnął się

-Tak, myślałem o takich ludziach jak pani.

-Ile lat ma pański profesor, panie Solsek?

-Dlaczego pani pyta?

-Myślę, że chciał panu zwrócić uwagę na coś innego. Pewnie jest koło sześćdziesiątki.

-Chyba blisko. A dlaczego?

-Nieszczęśnik już teraz myśli o emeryturze i schyłku życia. Prawdopodobnie przeraża go sama myśl, że ktoś taki jak pan będzie decydować o tym, co się z nim stanie.

Corban spąsował oczy zapałały mu gniewem.

-To strzał poniżej pasa! Marnuję tylko czas. Jakie ma pani pojęcie o tym, co się wokół pani dzieje? Przez cały dzień siedzi pani zamknięta w tym niszczącym domu, ogląda teleturnieje 1 powtórki seriali! A największą rozrywkę znajduje pani w zamęczaniu kasjerów w supermarkecie.

Wstał, wetknął notes pod pachę i ruszył w stronę drzwi.

-Dokąd się pan wybiera?

-Wychodzę. A jak się pani zdaje? Zmarnowałem trzy tygodnie, przychodząc

tutaj, mając nadzieję, że panią poznam. Zadzwońię do Nancy i powiem jej, żeby znalazła dla pani innego ochotnika.

-No proszę, to dopiero postawa, która otwiera serca i umysły.

Ogień w oczach Corbana zgasł, a Leocie prawie zrobiło się go żal. Prawie.

-Mam osiem tygodni na napisanie tej pracy, pani Reinhardt - wydawał się zmęczony i przygnębiony. - Muszę znaleźć kogoś, kto jest gotów mi pomóc.

Zdawała sobie sprawę, kto jego zdaniem powinien ustąpić. Był ślepy jak kret w tunelu. I trapił

się tym. To dobry znak. Czy rozpacza tylko z powodu pracy semestralnej, czy też w jego życiu liczy się coś więcej niż zajęcia z socjologii? Może nawet sam nie wie, co go gryzie. Bo i skąd? Ledwie wyszedł z okresu dorastania.

-Jeśli pan usiądzie, powiem panu, co o tym myślę.

Zmarszczył brwi zachowywał wyraźną czujność.

-Domyślam się.

Kiedy się nie odezwała, wolnym krokiem podszedł do kanapy i usiadł.

-W porządku. Słucham.

Entuzjazmu było w nim tyle, co w człowieku z jabłkiem na głowie, zdanym na jej łaskę, podczas gdy ona dzierżyła łuk i strzały.

-Wygłaszam teraz swoje zdanie. Nie należy go traktować jak wyroczni w sprawie populacji sklerotyków, rozumie pan?

Skinął głową z posępną miną.

-Życie w ośrodku zamieszkanym wyłącznie przez starców byłoby dla mnie czymś przerażającym.

Pochylił się do przodu.

-Nie wszyscy w ośrodku byłiby starzy, pani Reinhardt. Byłyby tam pielęgniarki i lekarze, pokojówki i kucharze, kierownicy do spraw rozrywki...

Powstrzymała tę wyliczankę gestem ręki.

-Ujmę to inaczej, panie Solsek. Byłabym przerażona, gdyby jedynymi młodymi ludźmi dokoła były osoby opłacane przez rząd, żeby troszczyć się o moje potrzeby.

Wyglądał na zmieszanego.

-Niech pan o tym pomyśli. Zanim pan wyjdzie, zadam panu pytanie - i nie oczekuję odpowiedzi

dzisiaj. Chcę, żeby się pan zastanowił i odpowiedział mi w środę. Oczywiście jeśli zdecyduje się pan wrócić.

-Słucham - rzekł ostrożnie.

-Dlaczego chce pan umieścić starców takich jak ja w ośrodku finansowanym

przez rząd i trzymać nas z dala od reszty społeczeństwa?

-Częściowo finansowanym, pani...

-W środę, panie Solsek. Niech pan to przemyśli.

Corban podniósł się powoli. Na jego twarzy malowały się oznaki wewnętrznej

walki. Nie mniejszej niż ta, którą w tej chwili toczyła z sobą Leota. Niepokoiły ją jego koncepcje. W odróżnieniu od niego zdawała sobie sprawę, z czego się brały. Powiedzenie mu tego wprost nie przyniosłoby jednak pożytku. I tak by jej nie uwierzył. Czy potrafiłaby sprawić, żeby sam to dostrzegł? Prawdopodobnie nie. Był zbyt pewny siebie. Młodzi ludzie zawsze chcą ulepszać świat.

O, Boże, czy to się zawsze tak zaczyna?

-Zawrzyjmy układ - rzekła. - Jeżeli w środę będzie pan gotów dać mi szczerą odpowiedź, ja odpowiem na każde pytanie, jakie chciał mi pan zadać pierwszego dnia, kiedy pan tu przyszedł.

Corban uważnie się jej przypatrywał. Ta propozycja chyba go nie zachwyciła. Być może uznał, że chciała, by nadal do niej przychodził, dla jej własnej wygody. Oczywiście coś w tym było.

-Nie mam dużo czasu do stracenia, pani Reinhardt.

-Ani ja, panie Solsek. - Nigdy nie tolerowała głupców, ale tym razem miała dla niego trochę zrozumienia. Co ten chłopak wie o świecie? Być może kieruje nim współczucie. Tym bardziej trzeba zapalić latarnie i wpuścić trochę światła do

jego ciemnego umysłu. Po trochu, żeby go nie oślepić.

A wszystko i tak zależy od Ciebie, prawda, Panie?

Corban głęboko odetchnął i wstał. Tym razem bez nerwów. Wetknął notes pod

pachę, podszedł do drzwi i otworzył je. W progu przystanął i spojrzał na Leotę.

-Zastanowię się i porozmawiamy w środę.

-Jak Bóg da, jeszcze tu będę.

Leota przez całą niedzielę czuła niepokój. Choć wnuczka obiecała przyjechać, myślała, że Annie nie wróci.

Tyle razy zapraszała Eleonorę na obiad w Święto Dziękczynienia, na Boże Narodzenie, Wielkanoc, urodziny. Czasami córka mówiła, że to bardzo miło i że przywiezie ze sobą rodzinę po jakimś czasie dzwoniła, by powiedzieć, że jednak nie uda się jej przyjechać. Zawsze miała powód któregoś z dzieci było chore, mąż musiał iść do pracy, przyjaciele niespodziewanie zostaną na weekend. Prawdziwy przekaz zawsze grzmiał jak trąba Ty nie miałaś dla mnie czasu, więc dlaczego ja mam go mieć dla ciebie? A kiedy już przyszła, przez cały czas rozglądała się za czymkolwiek, czego mogłaby się uchwycić, żeby odgrzebać przeszłość i jeszcze raz wytknąć matce jej liczne wady.

Panie, wiem, że nie byłam doskonała, ale tak bardzo się starałam.

Czas nie pomógł Eleonorze zobaczyć, jak było naprawdę. Leota miała nadzieję, że może pojawienie się dzieci otworzy Eleonorze oczy i jej córka spoglądając z szerszej perspektywy dostrzeże, że życie jest mniej niż doskonałe. Nic z tego.

Eleono

ra była mistrzynią w kontrolowaniu życia, zarówno własnego, jak i swoich bliskich. Zawsze była w domu wtedy, kiedy były w nim dzieci. Pilnowała, żeby niczego im nie zabrakło. Żadnych ubrań ze sklepów z używaną odzieżą. Jej dzieci nosiły ciuchy tylko od Macys Capwells. Żadnego chleba z poprzedniego dnia. Trzy pełne posiłki dziennie dawowane tak, żeby zapobiec problemom z wagą czy skórą. Żadnych domowych lekarstw, gdy zabolą brzuch. Pomoże tylko lekarz - albo psycholog, jeśli zaczną się kłopoty emocjonalne.

Leota usilnie pragnęła wierzyć w te kiepskie wymówki. Chciała ignorować afronty i udawać, że nie słyszała słów, które miały ją zranić. Kiedy podczas paru wizyt córki próbowała się bronić, Eleonora wychodziła, nie wysłuchawszy jej.

W końcu się tym zmęczyła. W zeszłym roku ani razu nie zadzwoniła do Eleonory. Odebrała cztery symboliczne telefony w Boże Narodzenie, Wielkanoc, w swoje urodziny i w Święto Dziękczynienia. Dzień Matki minął bez telefonu ani kartki z życzeniami.

Na święta przychodziły kartki od syna. „Pozdrawiamy, George i Jeanne” to

Jeanne je podpisywała i adresowała. Kiedy Leota widywała George, nie dostrzegą w nim goryczy. Zamykał się w swoim świecie, we własnych zmartwieniach.

Nigdy sobie nie uświadomi, jak bardzo jest po-lobny do Bernarda.

Panie, muszę wierzyć, bo inaczej stwierdzą, że nie ma nadziei na pojednanie. Tak długo marzy- am o dobrych kontaktach z dziećmi i wnukami... Czy Annie przyszła tylko po to, żeby rozbudzić we mnie nadzieję? To boli. Wciąż myślę o straconych atach.

Czy Annie zadzwoni i powie, że jej przykro, ale nie może przyjechać? Młodzi ludzie są dziś tacy zajęci. Chodzą w różne miejsca, oglądają różne rzeczy. Spotykają się z interesującymi ludźmi. Niby dlaczego piękna osiemnastolatka miałaby spędzać czas ze staruszką?

Chcąc zapomnieć o swoich troskach, Leota próbowała czytać Biblię, ale nie mogła się skupić. O szóstej wieczorem zadzwonił telefon. Ten dźwięk zawsze ją przestraszał. Niewiele osób do niej dzwoniło. Tym razem dzwonek telefonu napełnił ją tak wielkim uczuciem strachu i rozpacz, jak nigdy dotąd. Pozwoliła, by rozbrzmiał czterech razy, nim podniosła słuchawkę, i dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, że głos po drugiej stronie nie należy do jej wnuczki, lecz do jakiejś akwizytorki. Poczowała tak wielką ulgę, że nawet jej wysłuchała. Zwykle odkładała słuchawkę, zanim dzwoniący skończył mówić pierwsze zdanie. Tego wieczoru nie mogła przestać myśleć o Annie. A jeśli jej wnuczka też zarabia na życie, nagabując klientów przez telefon?

Kiedy kobieta wreszcie skończyła wyuczoną na pamięć nawijkę podaną w zdwojonym tempie i zapytała, czy Leota jest zainteresowana jej cudowną ofertą, rzekła

-Bardzo ładnie to pani zrobiła, kochanieńka, ale jestem staruszką utrzymującą się z zasiłku socjalnego. Nawet nie mam odtwarzacza CD.

-Och - westchnęła. - Przepraszam, że zajęłam pani czas.

-Mam nadzieję, że w następnej rozmowie bardziej się pani poszczęści.

-Dziękuję, proszę pani. - Głos biednej dziewczyny brzmiał tak, jakby się miała zaraz rozpląkać. - Jest pani pierwszą osobą, która była dziś dla mnie uprzejma.
-Proszę mi nie przypisywać zbyt wielkich zasług, moja droga. Zwykle się

rozłączam.

Akwizytorka się zaśmiała.

-Jak większość ludzi. Miałam dziesięciu klientów, którzy cisnęli słuchawką z taką siłą, że aż mi zabręczało w uchu, a paru obrzuciło mnie wyzwiskami. Zależy od dzielnicy. Tak czy owak, dziękuję, że mnie pani wysłuchała. Mam nadzieję, że będzie pani miała przyjemny wieczór.

-Mam nadzieję, że znajdzie pani inną pracę.

Kobieta się roześmiała.

-Ja też!

Leota delikatnie odwiesiła słuchawkę. Przez następne pół godziny czytała Biblię, aż wreszcie zrezygnowała i odłożyła ją na bok. Wiedziała, co jest w niej napisane, czasem jednak trudno rozmyślać o dobrych rzeczach. Włączyła telewizor, sprawdziła wszystkie kanały i wyłączyła go.

Co robi ze wszystkimi czekoladowymi piegus- kami, jeśli Annie nie przyjedzie?

Upiekła ich trzy tuziny. Całkiem smaczne. Skosztowała jednego, żeby sprawdzić, czy nie spartaczyła przepisu. W końcu ostatnio piekła je trzy lata temu.

O wpół do ósmej telefon zadzwonił ponownie. Długo nie odbierała, czując, że tym razem to Annie.

-Babcia Leota? Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

-Zwykle kładę się spać dopiero po wiadomościach o dziesiątej.

-Aha. Dobrze. A o której wstajesz?

Leota od lat budziła się o wpół do szóstej rano. Miała nadzieję, że ten nawyk jej przejdzie, lecz wczesne wstawanie przez wiele lat, kiedy musiała zdążyć przyszykować się do pracy i złapać autobus, weszło jej w krew. Budzik zepsuł się dawno temu, a jednak każdego dnia wciąż otwierała oczy o tej samej godzinie. Żyła według stałego, pozbawionego urozmaiceń rozkładu dnia. Budziła się o wpół do szóstej, o szóstej wstawiała, brała kąpiel, przygotowywała śniadanie i czytała Biblię, potem czytała gazetę i rozwiązywała krzyżówkę. Zawsze w tej kolejności. Przez resztę dnia - odkąd musiała zrezygnować z pracy w ogrodzie - dręczyła ją straszliwa nuda.

Czekam na śmierć, Panie. Nic innego nie robię.

-Babciu?

-O wpół do ósmej jestem już na nogach.

-A, to świetnie. Czy mogłabym przyjechać wcześniej?

-Wcześniej?

-No, planowałam przyjechać o tej samej porze, co ostatnio, koło pierwszej, ale wolałabym wpaść rano i zostać na cały dzień. Nie masz nic przeciwko temu? Przywiozę coś na obiad.

Leota nie wiedziała, co powiedzieć. Cały dzień? Ojej! Cały dzień!

-Babciu? Jeśli wolisz, przyjadę później, nie ma sprawy.

-Nie, nie. Im wcześniej, tym lepiej. I nie musisz nic przywozić. Tylko siebie.

Annie roześmiała się z wyraźną ulgą.

-Tak się cieszę, babciu. Od tyłu dni czekam na to spotkanie.

Leota położyła rękę na sercu. Jejku, ja czekam na to spotkanie od tylu lat!

-Upiekłam ciasteczka.

-Naprawdę? A kiedy ostatnio jadłaś chińsz- czyznę? - spytała Annie chrapliwym głosem.

-Nie mam pojęcia. Lata temu.

-Na rogu mojej ulicy są świetne delikatesy, mają tam najlepsze chińskie potrawy na świecie. Przywiozę. Obiecuję, że będziesz zachwycona. - Była taka podekscytowana.

-Do zobaczenia jutro rano.

Leota długo siedziała na krześle, rozkoszując się tym, co czuła. Potem znów naszły ją niepokoje. A jeśli Annie będzie miała wypadek? Albo ktoś ją napadnie w drodze do delikatesów? Albo...

Panie, miej ją w swojej opiece. Ludzie mówią, że teraz San Francisco jest jak Sodoma i Gomora. Miasto jest inne niż w czasach, kiedy Cosma i ja musiałyśmy się wystroić, żeby tam pojechać. Zakładałyśmy nawet kapelusze i rękawiczki. Słyszała w spożywczym, że w dzisiejszych czasach na ulicach panuje okropny ruch. Wszędzie pełno narkomanów szukających łatwego łupu. Leota zmarszczyła czoło. Czy nie wczoraj czytała, że w San Francisco jest czternaście tysięcy bezdomnych, a wśród nich wielu nałogowców wszelkiego rodzaju? Boże, proszę, spraw, żeby była bezpieczna. Nie pozwól, by stała jej się krzywda. Otocz ją aniołami.

Kiedy o jedenastej wreszcie poszła do łóżka, przez godzinę lub dłużej leżała z otwartymi oczyma, a w głowie wirowały jej wszelkie straszliwe niebezpieczeństwa, jakie mogą spotkać śliczną dziewczynę w złym świecie.

Annie dotarła bezpiecznie o dziewiątej. Miała na sobie dżinsy, białą koszulkę z krótkim rękawem i jasnobrązową marynarkę. Rozpuszczone kręcone włosy otaczały jej ładną buzię i spływały na ramiona i plecy. Leota pomyślała, że jej wnuczka jest najładniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziała. O wiele ładniejszą od tych wszystkich anorektycznych modelek z okładek kolorowych magazynów.

-Mam nadzieję, że jeszcze nie jadłaś - Annie weszła z dwiema torbami w rękach i torebką przewieszoną przez ramię. - Nie mogłam się oprzeć, żeby nie kupić słodkich bułeczek.

Leota za bardzo się martwiła, żeby zjeść śniadanie. Ciągle spoglądała na zegar, zastanawiając się, czy Annie nic się nie stało.

-Miałaś problemy z dojazdem?

-Żadnych. Ruch był w przeciwnym kierunku. Przejechałam przez San Francisco i przez most jak po maśle, a z autostrady do ciebie jest zaledwie rzut kamieniem. Schować chińszczyznę do lodówki?

-Połóż, gdzie chcesz. - Dom wydawał się inny, kiedy była w nim Annie. Napelniała go życiem. - Chcesz kawy do tych bułeczek? - Leota szła za Annie, wolniej niż wnuczka.

Annie schowała torbę z chińskim jedzeniem do starej lodówki i zamknęła drzwiczki.

-Doskonały pomysł.

-Zwykła czy smakowa? - Leota się uśmiechnęła, pewna, że jest przygotowana

na każdą możliwość. Miała wszystko, czego wnuczka mogła sobie zażyczyć.

-Co masz, babciu.

Ten brak zainteresowania ucztą skonsternował Leotę. Pomyślała o skandalicznej cenie, jaką musiała zapłacić za kawę - i nagle zapragnęła powiedzieć Annie, ile kosztowała, tylko po to, żeby dać wnuczce do zrozumienia, jak wiele dla niej znaczy ta wizyta. Postanowiła jednak milczeć. Ledwie знаła wnuczkę. A nuż Annie opacznie ją zrozumie i się obrazi?

Zamiast tego spytała

-Jak minął ci tydzień? - Była spragniona informacji.

Annie opowiedziała o zajęciach z historii sztuki i nauce szkicowania. Obydwa kursy zdawały się interesujące, a także czasochłonne. Na jeden trzeba było dużo czytać, na drugi przygotowywać mnóstwo prac, ale wyglądało na to, że Annie jest tym bardzo podekscytowana. Leota, oczarowana, siedziała przy kuchennym stole i słuchała. Pomieszczenie aż wibrowało od młodzieńczego entuzjazmu dziewczyny. Leota przekonała się, że Annie jest zrównoważoną młodą damą, która zamierza maksymalnie wykorzystać życie. Jakże to pokrzepiające! Zamiast widzieć tylko słabostki klientów, których obsługiwała w restauracji, uważała, że wszystko jest w nich interesujące. Bez wątplenia oni też ją lubili. Jak mogliby jej nie lubić?

Leota raz wstała od stołu, żeby nasypać słodkiej rozpuszczalnej kawy do filiżanek, które wczoraj wyjęła z kredensu. Napelniła je gorącą wodą, a potem, gdy kawa była już gotowa, stanęła niezdecydowana. Może grzeczniej byłoby podjąć Annie gdzie indziej, a nie w tej małej, zagraconej kuchni.

-Chcesz zjeść bułeczki z kawą w jadalni?

-A możemy tu zostać? - Annie uśmiechnęła się słodko. - Tak przyjemnie jest patrzeć stąd na ogród.

Całkiem rozbroiła tym Leotę.

-Ja też lubię tu siedzieć. Zawsze wolałam kuchnię od frontowego pokoju. Złożyła gazetę i odsunęła ją na bok. Co z tego, że panuje tu lekki bałagan?
Annie zdawało się to nie przeszkadzać. - Choć od paru lat ten widok trochę mnie przygnębia.

-Dlaczego, babciu?

-Już nie mogę pracować w ogrodzie. Nie mam siły. Żeby utrzymać go w dobrym stanie, trzeba robić mnóstwo rzeczy. - Przypomniała sobie o słodkich bułkach i wyjęła jeszcze dwa talerzyki, które wiele lat temu dostała od Cośmy. Były ręcznie malowane, miały złotą otoczkę i wyglądały tak pięknie, że nigdy nie ośmieliła się ich użyć. Sama myśl, że mogłyby się stłuc, ją powstrzymywała. Miała niewiele cennych rzeczy, a jeszcze mniej takich, które dostała od bliskich. Cóż, najwyższy czas, żeby z nich skorzystać. Choć Annie o tym nie wiedziała, Leota dziś świętowała. Do tego potrzebna jest najlepsza zastawa, a

jeśli coś się stłucze - trudno. Na co się zda piękna porcelana, gdy jej

właścicielka umrze i spocznie w grobie?

-Piękne są te talerze, babciu.

-Dostałam je wiele lat temu od przyjaciółki. Przywiozła je z jednej ze swoich podróży. Chyba z Francji. - Opowiedziała Annie o Cosmie. Siedziały przy kuchennym stoliku, popijając kawę i jedząc słodkie bułeczki.

Annie przyłapała się na tym, że patrząc na ręce babci, myśli o dłoniach matki. Mama miała perfekcyjnie wypielęgnowane paznokcie, często chodziła do kosmetyczki, żeby przykleić tipsy i pomalować je ładnym kolorem. Paznokcie babci Leoty były starannie obcięte i naturalne. Mimo skutków art- retyzmu miała smukłe, zgrabne palce. Nadal nosiła prostą złotą obrączkę. Nie rozstawała się z nią tak długo, że obrączka wydawała się częścią palca.

-Mama nie lubi pracować w ogrodzie - westchnęła. - Lubi, kiedy ogródek ładnie wygląda, ale woli zatrudnić kogoś do pracy. - Ogrodnik od Marvina Tikado przychodzi co tydzień skosić trawę wokół domu, przystrzyc krzaki i powyrywać chwasty. Co pewien czas sadi nowe kwiaty na rabatce wzdłuż brukowanego chodnika prowadzącego do drzwi wejściowych.

-Ja uwielbiałam pracować w ogrodzie - Leota patrzyła przez okno. Spędzałam w nim wiele godzin. - Ogród był dla niej schronieniem. Zaczęła się nim zajmować zaraz po przeprowadzce do domu Mamy Reinhardt. Mama nie chciała pomocy w kuchni, a Leota czuła się niezręcznie, siedząc w salonie z Papą, czytając gazetę czy książkę. Zajęła się więc ogródkiem warzywnym. Wiedzę zdobywała od sąsiadów, którzy dawali jej sadzonki hodowane w słoikach lub nasiona wysiewane w kartonach po jajkach. Uwielbiała patrzeć, jak wszystko rośnie, i ze zdumieniem i radością odkryła, że ma do roślin dobrą rękę. - Teraz nie da się powiedzieć, żeby ktoś tam przesiadywał.

Dosyć tego, powiedziała do siebie. Odwiedziny u zręczliwej staruszki to żadna przyjemność dla młodego człowieka.

-Znalazłam rysunki twojej ciotecznej prababki Joyce. Niektóre to tylko reklamy...

Przeszły do pokoju, w którym Leota zostawiła na stole teczkę z rysunkami. Annie ostrożnie ją odwiązała i otworzyła. Pierwszy obrazek reklamował młynek do kawy. Kolejny przedstawiał żeliw-ly piecyk na drewno, jakiego kiedyś używało się v kuchni. Była też furmanka, jakaś maszyna olnicza, rysunki foteli ogrodowych i serwantek, larzędzi, a także wózków dziecinnych, latarni

sanek. Po niedługim czasie stół był pokryty ozółkłymi od starości rysunkami zrobionymi tuszem.

-Te są wspaniałe! - zawołała Annie, podziwia-ąc reklamę męskiego zegarka z łańcuszkiem i projekt okładki książki. Bajki i figle - głosił napis na kartce przedstawiającej dziewczynę, która siedziała pod sękatym pniem drzewa i patrzyła na trzymającego latarnię konika polnego w smokingu. Odłożywszy te karty na bok, Annie sięgnęła po rysunek wirujących liści, kwiatów i rozmaitych esów-floresów, na którym widniał czarny napis „Menu”, namalowany gotyckimi literami. - Spójrz na te piękne bordiury, babciu - powiedziała, oglądając z zachwytem kilka dużych arkuszy z próbkami deseni, począwszy od kiści winogron, aż po misterne sploty celtyckie i mauretańskie wzory. Jeden z obrazków przedstawiał kobietę w wikotriańskiej sukni, stojącą pośród słoneczników. Rysunek był obwiedziony ozdobnym szlaczkiem, poniżej zaś widniał podpis drukowanymi literami „Praktyczne prezenty świąteczne”. Annie uważnie oglądała stronę z literą H pisaną wszelkimi rodzajami pisma, począwszy od najprostszego bloku, a skończywszy na niezwykle ozdobnym kroju.

Była tam także reklama fotela na biegunach z kunsztowymi podłokietnikami, drewnianą ramą i poduszkami wyglądającymi jak gobeliny. Cioteczna prababka Joyce

wprawiała się również w szkicowaniu ludzi robiła liczne rysunki mężczyzn i kobiet w najrozmaitszych strojach - od ubrań roboczych po ślubne kreacje.

-Ten mi się bardzo podoba - Annie wyciągnęła narysowaną tuszem kobietę siedzącą na taborecie do pianina. Miała na sobie długą do podłogi suknię z wysokim stanem i bufiastymi rękawami. Lekko odwracała się do tyłu, ukazując wytworną linię szyi i związane w kok włosy. Przy jej skroni wiły się miękkie

loki. Unosiła ręce, jakby za chwilę miała zagrać na pianinie, którego tam nie było.

Inne rysunki przedstawiały zwierzęta studium konia pociągowego z klapkami na oczach - prawy i lewy profil, widok od przodu studium krowy mlecznej - stojącej,

idącej, pasącej się. Annie wzięła do ręki arkusze z rysunkami maszyn i po kolei uważnie je oglądała.

-Pewnie zarabiała tym na życie - rzekła Leota, podejrzewając, że rysunki nie są zbyt interesujące. Lecz Annie patrzyła na nie szeroko otwartymi oczyma.

-Są niesamowite, babciu. Spójrz na detale! Wszystkie nakrętki i śrubki. Nigdy nie będę umiała tak rysować.

-Nigdy nie mów nigdy.

-Ojej... - westchnęła Annie, biorąc do ręki olejny z niezliczonych rysunków. Był to namalowany tuszem dywan w kwiaty, tak szczegółowy, że wyglądał jak czarno-biała fotografia.

-To, czym naprawdę się interesowała, widać na sunkach na spodzie teczki powiedziała

Leota,

iedząc po drugiej stronie stołu i obserwując twarz Tiuczki. Annie podobało się wszystko, co oglądała, jej zadowolenie sprawiało Leocie przyjemność. Annie ostrożnie wzięła do ręki cienkie arkusze apieru z rysunkami budynków prosty kościółek ejski, katedra, trzypiętrowy wiktoriański dom werandą, czteropiętrowy biurowiec z cegły, wydzana drzewami ulica ze staroświeckimi sklepami, kościół misyjny z cegły suszonej na słońcu, mek w stylu epoki królowej Anny z płotem ergolą porośniętą różami, chata z bali, przybudówka pośród sekwoi, oświetlona płomieniami niska. Wszystko namalowane piórkiem i tušem. Z najdrobniejszymi detalami. Róża na trzecim piętrze. Ptak na poręczu ku. Krzyż na iglicy.

-Mama nigdy nie wspominała o babce Joyce.

-Eleonora prawdopodobnie... - Leota przerwała i poprawiła się. - Twoja mama prawdopodobnie o niej nie wiedziała. Nigdy nie rozmawialiśmy o krewnych z mojej strony.

Annie spojrzała znad rysunków ze zdumieniem.

-Dlaczego?

Leota wzruszyła ramionami.

-Byłaś zżyta ze swoją mamą, babciu?

Pomyślała, że to dziwne pytanie.

-Moja matka zmarła, kiedy miałam dwanaście lat. Właściwie pamiętam tylko tyle, że długo chorowała.

-A ojciec?

-Niezczęsto go widywałam. Pracował w marynarce handlowej.

Annie całkiem zapomniała o rysunkach.

-Co się z tobą stało, kiedy zmarła twoja mama? Gdzie pojechałaś? Miałas braci lub siostry? Jakichś krewnych?

Pytania następowały po sobie tak szybko, że Leota nie wiedziała, od czego zacząć. Ani czy w ogóle o tym mówić. Przez chwilę się zastanawiała.

Annie splonęła rumieńcem, po raz pierwszy od chwili przybycia wyglądając na

zakłopotaną.

-Przepraszam, babciu. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało jak przesłuchanie.

Po prostu wiem

o tobie tak mało.

-Nie dziwię się - powiedziała ze smutkiem

1 szybko dodała - ale niewiele jest do opowiadania. Miałam starszą siostrę.

Zmarła na suchoty w wieku dwudziestu kilku lat. Miałam też brata, który został marynarzem, tak jak ojciec. Odszedł od nas, mając piętnaście lat. Już nigdy potem nie miałam od niego żadnych wiadomości. - Zmarsz

czyła lekko brwi. - To dziwne. Przez tyle lat o nim nie myślałam...

-Co się stało, kiedy umarła twoja mama?

-Przygarnęła mnie pewna kobieta z kościoła. Panna Maiy OLeaxy. Irlandka w każdym calu. - Leota zaśmiała się cicho i zamknęła oczy, zatapiając się w fali słodkich wspomnień. - Och, nie myślałam o niej od lat.

-Byłaś z nią szczęśliwa?

-O, tak. Była bardzo krzepką osobką, miała doskonale zdrowie. W soboty uwielbiała długo spacerować po wzgórzach. Czasem robiła to pew- lie po to, żeby mnie zmęczyć. Żebym nie miała sił na psoty.

Annie się roześmiała.

-A psociłaś?

-Czasami. Zdarzyło mi się splatać kilka psikusów. Panna OLeary uczyła w szkole średniej. Zadbala o moje wykształcenie. Bardzo dobrze się sprawowałam pod jej kuratelą. - Uśmiechnęła się.

-Poszłaś do collegeu?

-Na litość boską, nie. Nie było pieniędzy na jakie wydatki, poza tym w tamtych czasach bar- Izo niewiele kobiet szło na studia.

-Żałowałaś, że nie mogłaś studiować?

Leota cofnęła się do czasów, kiedy przyszłość ozpościerała się przed nią jak zorza poranna na loryzoncie. Życie pełne było możliwości. Jak po- zątek podróży za każdym zakrętem drogi czaiło ię coś nowego.

-Marzyłam o wielu rzeczach. O lepszym wy- ształceniu. O domu i rodzinie.

Chciałam podró- ować. - Uśmiechnęła się do Annie. - Marzenia ic nie kosztują.

-Nadal marzysz o różnych rzeczach?

-Nie tak bardzo. Teraz moje pragnienia są zupełnie inne od tych, jakie miałam za młodu. - Pojednanie. Tak, Panie, pragnę tego z całego serca. Jednak Leota wiedziała, że w przypadku Eleonory równie dobrze mogłaby pragnąć gwiazdki z nieba. Wyraz „pojednanie” nie istniał w słowniku jej córki. Miała w sobie upór i dumę niemieckich przodków. Dopomóż jej, Boże.

Leota nie chciała, by jej myśli dalej podążały tym tropem i zmieniała temat.

-Może masz talent po babce Joyce.

-Mogę tylko o tym pomarzyć. - Annie wpatrywała się w rozłożone na stole rysunki. - Są takie dobre.

-Oczywiście. Zachowała je w swoim portfolio. To jej najlepsze prace, prawdopodobnie była z nich najbardziej dumna. Nie wiadomo, ile wyrzuciła. Z pewnością dochodziła do wprawy przez wiele lat.

Annie się uśmiechnęła.

-Nie pomyślałam o tym.

-Ludzie zwykle nie myślą o takich rzeczach. Patrzą na van Gogha i otwierają buzię z podziwu. Większość z nich nigdy się nie dowie, ile lat malował ani że za życia nie sprzedał ani jednego obrazu. Czytają o milionach, które muzeum płaci za jego jeden obraz, a przecież van Gogh umarł w biedzie.

-Wiesz co nieco o historii sztuki.

Leota zachichotała.

-Wiem co nieco o wielu rzeczach. - Postukała palcem w rysunek. - Poza tym, Annie, być może wybierzesz zupełnie inny rodzaj sztuki.

Annie wyglądała na przygnębioną.

-Nie mam pojęcia, co będę robić.

-A skąd masz wiedzieć? Masz dopiero osiemnaście lat.

-Powinnam już mieć jakąś koncepcję.

-No cóż, masz ją. Będziesz studiować sztuki piękne. Właśnie zaczęłaś iść własną drogą. Ciesz się tym, co widzisz wokół siebie. Niebawem pojawią się drogowskazy.

Rozmawiały o rysunkach. Leota wolała portrety ludzi, Annie zaś fascynowały misterne desenie i bordiury. Powiedziała, że chce je naszkicować, by później poeksperymentować z kolorem. Wyobrażała sobie płomienne spirale, czerwienie przechodzące w oranże i żółcie, głębokie błękity przemieniające się w fiolety i odcienie lawendy przetykane złotymi smugami.

Leota patrzyła na jej twarz i dostrzegała zachwyty. Och, jest taka młoda, Panie. Nie pozwól, by życie zgasło to światło w jej oczach.

-Z rysunków można wiele wyczytać o człowieku - rzekła Annie. - Ona lubiła ludzi i architekturę.

-A co ty byś rysowała, Annie?

-Kwiaty - Annie uśmiechnęła się do Leoty.
-Kiedyś chciałabym namalować angielski ogród.

Leota westchnęła, ogarnięta żalem. Nic dziwnego, że Annie pamięta ogród za domem.

-O co chodzi, babciu? Powiedziałam coś złego?

-Ależ skąd. Tylko mi szkoda, że nie widziałaś ogrodu kilka lat temu, kiedy był dokładnie taki, jak sobie wymarzyłam. - W obawie, że wnuczka zauważy napływające łzy, podniosła się z trudem i ruszyła do kuchni. - Podgrzeję obiad.

Jadły chińską potrawę, siedząc przy kuchennym stole, a z sąsiedniego podwórka dobiegały odgłosy bawiących się dzieci. Leota myślała o pochowanym przez nie wróble i kwiatku zerwanym przez płot. Może Annie położy kiedyś kwiat na jej grobie. W tej myśli była pewna pociecha, bo niosła nadzieję, że jej śmierć kogoś obejdzie.

Annie dziobała widelcem jedzenie i wpatrywała się w ogród. Leota żałowała, że w ogóle o nim wspomniała. A jednak nie mogła przestać myśleć o tym, jak bardzo

podobałby się wnuczce kilka lat temu, w czasach swojej świetności. Kwiaty tętniły feerią barw, były prawdziwą uczcią dla oczu. Tylko że nikt poza Leotą ich nie podziwiał.

Czy to wtedy straciła chęć do pracy na słońcu? Z żalu, że nikt nie ma ochoty oglądać owoców jej pracy? W zeszłą Wielkanoc ostatni raz zaprosiła dzieci na świąteczny obiad. Ostatni raz powiedziały jej, że mają inne plany.

Ogarnął ją wielki smutek. Musiała wyteńczyć wszystkie siły, żeby wcisnąć go tam, skąd się nie wydostanie na wierzch. Gdyby pozwoliła mu wypłynąć, Annie być może już nigdy by nie wróciła. Bo niby czemu miałyby spędzać czas z płacziwą staruszką, która nie potrafi zapomnieć o ranach z przeszłości?

-Mama nigdy nie pozwalała mi pracować w ogrodzie - powiedziała Annie. - Nie chciała, żebym przeszkadzała w pracy panu Tikado. Mówiła, że on wszystko zaplanował w taki sposób, żeby uzyskać określony efekt i sadzenie innych roślin popsuje jego zamysł. Poza tym chodziłam na lekcje pianina, gimnastykę, do szkoły i naprawdę nie zostawało mi zbyt wiele wolnego czasu. - Odwróciła wzrok od okna.

Leota spojrzała w te jasne, niebieskie oczy i dostrzegła w nich cierpienie.
-Zepsułam twoje odwiedziny. Przepraszam, kochanie. - Co innego mogła

powiedzieć?

Oczy Annie zaszły łzami.

-Niczego nie zepsułaś, babciu. Myślałam o tych wszystkich razach, kiedy

możliśmy do ciebie przyjechać i tego nie zrobiliśmy. To nie było w porządku. To nie jest w porządku. Mama jest...

-zacisnęła usta i odwróciła wzrok. Leota widziała, jak dziewczyna z trudem przełyka ślinę, i serce pękało jej z bólu. - ... taka bezwzględna - wydusiła wreszcie.

Leota podejrzewała, czego obawia się Annie. Chciałaby zapewnić wnuczkę, że Eleonora wybaczy jej bunt, ale nie miała takiej pewności. Nie chciała dawać temu cierpiącemu dziecku fałszywej nadziei. W kontaktach z własną matką Eleonora okazała się nieustępliwa. Czy w przypadku córki będzie tak samo? To by była okropna strata.

-Chciałabym zrozumieć moją mamę.

Ija - moją córkę.

Annie drżącymi dłońmi objęła filiżankę i przez chwilę się w nią wpatrywała. Gdy podniosła głowę, Leota dostrzegła w jej oczach rozpacz. Czy ukrywała ją przez wzgląd na nią?

-Muszę wiedzieć - odezwała się cicho Annie.

-Co mama ma przeciwko tobie?

Leota westchnęła.

-Zastanawiam się nad tym od lat, Annie. Zawsze powtarzała, że nie troszczyłam się o nią ani o jej brata i że byłam złą matką.

-A... a troszczyłaś się?

Annie wypowiedziała to pytanie tak niepewnie, że Leota współczuła jej bardziej niż sobie samej.

-Bardzo się troszczyłam i byłam najlepszą matką, jaką mogłam być, zważywszy na okoliczności.

-Jakie okoliczności, babciu?

-Wszystko, co przynosi życie. - Nie chciała o tym rozmawiać. Nie mogła wyjawiać wszystkich szczegółów, nie stawiając innych osób w złym świetle. Bronić się przed własną córką? Na cóż by się to zdało? Tylko wciągnęłoby Annie w sprawy, których nie mogła w pełni zrozumieć. Mogłaby poczuć się zawstydzona. Składało się na to tyle rzeczy, o których Leota nigdy nie mówiła Eleonorze. O niektórych sprawach lepiej milczeć.

Czyż nie?

Gdyby Mama Reinhardt wiedziała o wszystkim od początku, być może ich życie potoczyłoby się inaczej. Nie wiedziała tego, a pochopne słowa słono ją kosztowały. Leocie przypomniało się, jak biedna staruszka w ostatnich latach życia chciała naprawić dawne błędy - i wiedziała, że już na to za późno. Wydawało się, że zatryumfował mrok i żadne światło go nie rozproszy. Póki co.

-Nie wiedziałam. Nie powiedział mi...

-Wiem, mamó. A ja nie mogłam. Teraz już po wszystkim. Zapomnijmy o tym. I tak już będzie zawsze. Pogodziła się z tym.

W żyłach Eleonory płynęła krew silnego niemieckiego rodu. Ta krew była

błogosławieństwem i przekleństwem. O, Boże, czemu jej upór nie wyrażał się w

czym innym niż pretensje i rozczarowania? Co musiałyby się stać, by Eleonora dojrzała prawdę - całą - i wreszcie wyzbyła się goryczy? Leota była znużona walką. Minęło zbyt wiele czasu co się stało, to się nie odstanie i nie da się tego naprawić.

Leota już prawie straciła nadzieję, że cokolwiek się zmieni - aż pojawiła się Annie. Nie mogła jednak obciążać wnuczki swoimi marzeniami. Zyskała nadzieję na swoje ocalenie i to wystarczy. Przyjdzie śmierć i skończy się ból.

Annie ujęła Leotę za rękę, wytrącając ją ze smętnej zadumy.

-A może byśmy go przywróciły do życia?

-Co przywróciły do życia? - Myśli Leoty potykały się w przeszłości,

szukając drogi, którą mog

ła wtedy obrać. Po co? Już jest za późno. Życia nie można przeżyć powtórnie ani zmienić jego biegu.

-Ogród, babciu. Może byśmy razem popracowały i przywróciły mu dawny wygląd?

Leocie podskoczyło serce, ale tylko na ułamek chwili. To urocza propozycja ze strony Annie, ale dziewczyna nie ma pojęcia, o czym mówi. Pięć lat temu podeszły wiek wygonił Leotę z ogrodu. Jej stawy dręczył artretyzm. Ciepło popołudniowego słońca przyprawiało ją o zawroty głowy. Jesienią nie wystarczały nawet dwa swetry, by odpędzić chłód, który zdawał się na wskroś przenikać kości. W końcu pewnego dnia weszła do domu, zdjęła robocze rękawice i je wyrzuciła. Po co tak się trudzić, skoro tylko ona oglądała rezultaty? Poza tym praca wpędzała ją w chorobę...

Nie, już za późno. Pokręciła głową to niemożliwe. Annie nie może tego

wiedzieć. Nie potrafi nawet sobie wyobrazić, ile trzeba pracy, żeby ogród kwitł.

A jednak...

Czyż nie marzyła o tym od lat? Żeby razem z dziećmi i wnukami pielęgnować

ogród?

Nie, musi być rozsądna. Annie powiedziała tak tylko przez grzeczność.

-Jestem za stara. - Nie wespnie się już na drabinę, żeby przyciąć drzewa,

ani nie przekopie ziemi. Nie może już pracować na kolanach. Gdyby uklękła, nigdy

więcej by się nie podniosła.

-Ty masz wiedzę, babciu, a ja mam siłę. Mogłabyś mi mówić, co trzeba robić.

W oczach Annie tlił się zapał bez wątpienia zapał zrodzony z niewiedzy.

-Na to trzeba czasu, Annie. Ty masz szkołę, pracę, przyjaciół. Masz swoje

własne życie.

-Chcę spędzać z tobą więcej czasu.

-Jesteś tu zawsze mile widziana, kochanie. Nie myśl ani przez chwilę, że musisz pracować, żeby być mile widzianą.

Annie zajrzała jej głęboko w oczy.

-Nie mogłybyśmy spróbować, babciu?

-No, nie...

-Proszę.

Opór Leoty słabł. Spojrzała przez okno, przypominając sobie, jak ogród wyglądał kiedyś. Po chwili obraz nabrał ostrości i Leota zobaczyła ogrom pracy, jaką trzeba by wykonać.

-Nie dziś - powiedziała wreszcie, znużona i przygnębiona. - Porozmawiamy o tym następnym razem.

Do następnego razu Annie będzie miała dość czasu, żeby wszystko dokładniej przemyśleć i zda sobie sprawę, że ma lepsze rzeczy do roboty.

-Gdzie jest Anne?! - Nora mocno zacisnęła dłoń na słuchawce telefonu, czerwieniejąc na twarzy.

-Pojechała odwiedzić babcię w Oakland - powtórzyła Susan.

W żyłach Nory buzowała wściekłość. Córka by jej tego nie zrobiła. Nie mogła. Susan Carter kłamie. Na pewno. Anne-Lynn nie śmiałyby jej zdradzić w taki sposób.

-Pani Gaines?

-Musiałaś się przesłyszeć, Susan.

-Leota Reinhardt. Tak chyba nazywa się jej babcia?

Norze waliło serce.

-Mam coś przekazać Annie, pani Gaines?

-Czy Anne-Lynn mówiła, o której wróci? - Tak mocno zacisnęła dłoń na słuchawce, że aż zabolęły ją palce. Nie miała zamiaru przekazywać wiadomości przez Susan Carter. Z pewnością zaraz zapomni albo coś pokręci.

-Dziś po południu.

-Czy możesz być bardziej konkretna, Susan?

-Nie, proszę pani. Przykro mi. Nie mogę. - W jej tonie słychać było wszystko prócz tego, że jest jej przykro. - Ale w tym tygodniu obydwie pracujemy w restauracji. Jestem pewna, że Annie wróci na czas, żeby się przygotować do pracy.

Nora nie potrafiła już opanować gniewu. To pospolite, nic nie warte dziewczysko śmie nazywać jakąś norę domem Annie! W tle usłyszała czyjś głos. - Jest u ciebie mężczyzna. - Jakiś chuligan, na pewno ćpun. Każdy szanujący się człowiek siedzi o tej godzinie w pracy. Albo w szkole.

-Nikogo u mnie nie ma, pani Gaines. Jestem sama.

-Nie musisz kłamać, Susan. Słyszę go.

-A jeśli to nie człowiek?

-Pewnie telewizor.

-Nie mamy telewizora.

Bezczelna dziewczyna. Nora nigdy jej nie lubiła. A teraz, kiedy córka z nią mieszka, nie może jej znieść. Doskonale sobie wyobraża, jak Susan Carter wpłynie na Anne. Mężczyzna w tle wciąż mówił, a Norze włos się jeżył na głowie od tego, co słyszała. - Co on mówi? Żeby wezwać policję? Co się dzieje, Susan?

-Och, nic takiego. Przypuszczam, że mówi o kolejnym napadzie - odparła Susan z beztroską obojętnością.

-On ci każe dzwonić na policję!

-Staij, poczciwy Barnaba. Zawsze przesadza.

-Wiedziałam, że jeśli moja córka z tobą zamieszka, będą kłopoty.

-Powiem Annie, że pani dzwoniła, pani Gaines.

W uchu zabrzmiał jej trzask odkładanej słuchawki. Skrzywiła się. Chwyliła z wściekłością notes z numerami telefonów, przerzuciła energicznie kilka kartek, szukając numeru i wystukała cyfry.

Telefon zadzwonił cztery razy, po czym zgłosiła się automatyczna sekretarka. „Mieszkanie państwa Carterów”. Spokojny słodki głos w słuchawce brzmiał dla Nory jak drapanie paznokciami po tablicy. „Przykro nam, ale nie możemy podejść do telefonu. Proszę zostawić wiadomość po sygnale”.

-Mówi Nora Gaines. Proponuję, żeby państwo sprawdzili, co się dzieje u waszej córki, zanim ją aresztują za niewłaściwe zachowanie! Kiedy tam dzwoniłam, jeden z mężczyzn, których przyjmuje Susan, wzywał policję. - Trzasnęła słuchawką i wstała. Aż trzęsła się ze złości.

Jak Anne-Lynn mogła jej to zrobić? Za pół godziny Nora ma zjeść lunch z dwiema przyjaciółkami. Co im powie? Musi się opanować, bo inaczej kobiety napadną na nią jak rekiny, które zwęszyły krew. Będą chciały wiedzieć, co się stało. Będą chciały wiedzieć, co takiego wytrąciło ją z równowagi. Co ma im powiedzieć? Że jej doskonała córka uciekła z domu? Że mając same piątki i świetne wyniki testów, Anne-Lynn zrezygnowała ze studiów na prestiżowej uczelni na wschodzie kraju? Że woli mieszkać ze zwykłą łajzą w jakiejś taniej norze w San Francisco, niż spędzić kolejny dzień w Black Hawk z własną matką?

-Głupia! Jest głupia! - Nora weszła do kuchni i trzaskając szafkami, wyjęła młynek do kawy, filiżankę i cukier. Kiedy wkładała filtr do ekspresu, serce jej łomotało. Za szybko wsypała kawę do młynka i ziarna potoczyły się po stole. Potrząsała buczącą maszyną. Zdjęła przykrywkę i niedbale napełniając filtr zmieloną kawą, rozsypała połowę na ceramiczny blat. Zakłęła i cisnęła sitko do zlewu, pozostawiając na podłodze ślad z fusów. Sprzątaczką przychodzi po południu. Niech posprząta ten bałagan!

Wcale nie miała ochoty na kawę - zresztą i tak jej nie potrzebuje, serce samo zaraz jej eksploduje. Jedna filiżanka i kofeina ostatecznie przyprawi ją o atak serca.

To będzie twoja wina, Anne-Lynn Gardner. Tylko twoja. Jeszcze pożałujesz, że mnie tak zraniłaś. Przyjdiesz do szpitala, staniesz przy moim łóżku i będziesz błagać o przebaczenie. Powiesz „Przepraszam, mamó. Miałaś rację. Powinnam była pójść do Wellesley. Powinnam cię posłuchać”. Nora załkała i przygryzła dolną wargę.

Opuszcza mnie i jedzie odwiedzić moją matkę!

Miała ochotę chwycić kluczyki do samochodu i pojechać do Oakland. Chciała powiedzieć córce, co myśli i jak się czuje. Piekące słowa już w niej bulgotały, gromadziła się para. O, wszystkie jej poświęcenia! Czy Anne je kiedykolwiek doceniła? Nie! Dość, że odmówiła pójścia na uczelnię. Dość, że przekreśliła wszystkie wspaniałe, obmyślane w najdrobniejszych szczegółach plany robione z

myślą o niej. Dość, że poszła sobie żyć jak jakaś Cyganka w centrum miasta. Ale

to...

„Pojechała odwiedzić babcię w Oakland”.

Annie jechała przez Bay Bridge z teczką rysunków babki Joyce leżącą na

siedzeniu obok. Babcia Leota nalegała, żeby Annie zabrała ją do domu. „Przez te wszystkie lata leżała na strychu, kochanie. Weź ją. To część twojego dziedzictwa. Być może patrzenie na te rysunki doda ci otuchy przy robieniu własnych prac”.

Dała jej też blaszane pudełko, w którym znajdowała się misternie haftowana chusteczka obszyta koronką. „Zrobiła ją twoja prababka. Sprzedawała takie rzeczy. Miała słabe zdrowie, więc nie mogła robić nic innego. Tylko chusteczki, haftowane poszwy na poduszki i temu podobne. Robiła koronki na szydełku, ale chyba żadnej już nie mam, żeby ci pokazać. Posyłała mnie do eleganckiego sklepu modniarskiego o kilka przecznic od domu i kazała mi sprzedawać swoje wyroby ekspedientce. Pamiętam, jak mama siadywała przy oknie, w promieniach słońca. Siedziała tak cały dzień nad swoimi robótkami”.

Annie powiedziała, że nigdy nie widziała niczego równie pięknego. Babci zrobiło się bardzo przyjemnie. „Jest śliczna, prawda? Wiedziałam, że to docenisz”.

Chusteczka będzie się wspaniale prezentować na czarnym aksamicie oprawionym w staromodną ramkę. Następnym razem, kiedy Annie zajdzie do sklepu z artykułami dla plastyków, kupi wszystkie potrzebne rzeczy.

Gdy weszła do mieszkania, Barnaba wrzasnął

-Dzwoń na policję! Dzwoń na policję!

-Och, ucisz się, głupi ptaku! - zawołała Susan z łazienki, szcztokując

włosy. - Wystarczająco już dzisiaj narozrabiałeś!

-Co się stało?

-Nie chcesz wiedzieć.

Annie się roześmiała.

-Aż tak źle?

-Gorzej niż źle. Katastrofalnie. - Wystawiła głowę zza drzwi. - Ale teraz

nie ma czasu na opowieści. Za piętnaście minut musimy wyjść do pracy. Zjesz coś?

-Wzięłam do babci chińszczyznę. - Włożyła do ptasiej miseczki parę kawałków owoców. - Masz, mój piękny, pierzasty przyjacielu.

-Polly chce krakersa.

-Durny ptak - powiedziała Susan, wychodząc z łazienki. - Masz na imię Barnaba i nie jesz krakersów!

-Polly chce krakersa.

-Trudno. To jest owoc, kolego.

-Dzwoń na policję!

Annie się roześmiała i poszła się przebrać do łazienki, a Susan stała, piorunując ptaka wzrokiem.

-Co jest z tym ptakiem? Wystarczy, że się odezwę, a on już wzywa policję.

-Uważa, że go nie lubisz.

-Coś takiego. Ciekawe skąd mu to przyszło do głowy? - Susan patrzyła spode łba na ptaka, który chodził tam i z powrotem po grzędzie.

-Wezwijcie gliny! Napisala morderstwo.

-Kiedy dzwoni telefon, powinniśmy mu zakładać kaptur na głowę. Wiesz, taki jak się zakłada sokołom. Może wtedy by się zamknął!

-Policja!

-Gdybyś był psem, Barnaba, tak mocno zacisnęłabym ci obrożę, że kręciłoby ci się w głowie!

-Polly chce krakersa!

-Giń z głodu, wyliniały myszołowie!

-Ona tak nie myśli, Barnaba - zanuciła Annie półgłosem, wychodząc z łazienki ubrana w prostą czarną spódniczkę i białą bluzkę. Szybko wyszczotkowała włosy i zaplotła je w warkocz. - Będę gotowa za minutkę, Suzie. Podeszła do klatki i stanęła koło papugi, kończąc zaplatanie. - Jesteś ładnym ptaszkiem, Barnabo. Bardzo ładnym.

-Zmienisz zdanie, jak ci powiem, co dzisiaj zrobił. Dzwoniła twoja matka. Annie się odwróciła i spojrzała na Susan. Smutny wyraz twarzy przyjaciółki był dość niepokojący.

-Co się stało? - spytała, gdy wyszły z mieszkania.

-Słyszała, jak Barnaba wzywa policję. Zadzwoiła więc do mojej mamy, a moja

mama zadzwoniła do mnie. Chciała się dowiedzieć, czy to prawda, że miałam zostać aresztowana.

-Och, Suzie - Annie zamknęła oczy.

Susan się roześmiała.

-Wciąż uważasz, że Barnaba to ładny ptaszek? Nie chcesz wrócić i ukręcić mu główki?

-Przykro mi. - Przepraszała za coś, co powiedziała jej matka.

-Dlaczego przepraszasz? Zawsze to robisz, Annie. To nie twoja wina. Zeszła po schodach.

-Co powiedziałaś swojej mamie?

Susan wzruszyła ramionami.

-Że urządzamy orgie i balangi przy piwie i hodujemy trawkę w salonie. A cóżby innego?

-Nie! - Annie zmroziło w środku na myśl, jak jej matka potraktowałaby takie oświadczenie.

Susan się roześmiała.

-Oczywiście, że tak. Mama dobrze mnie zna. Nie uwierzyła mi ani na chwilę. Nawet się ob- śmiała. Zwłaszcza gdy jej opowiedziałam o naszej papudze. - Jej uśmiech zamienił się w smutek. - Szkoda, że twoja mama nas nie zna.

Niedługo po wyjściu Annie przyszedł listonosz. Leota otworzyła drzwi i z zamontowanej na ścianie metalowej skrzynki na listy wyciągnęła skąpy plik. Zamknęła drzwi i zasunęła zasuwkę.

No, no. Wygrała milion dolarów od jakiejś firmy wysyłkowej i przysłali jej wiadomość pocztą. Co oni sobie myślą? Że urodziła się wczoraj? Idąc do kuchni, przeglądała pozostałą korespondencję.

Reklama pralni dywanów. Czterdzieści dziewięć dolarów za wyszorowanie chodników

w dwóch pokojach. Rozbój w biały dzień. Pięć lat temu wypożyczyła sprzęt za mniej niż dziesięć dolarów i wyszorowała cały dom.

Oczywiście wtedy jeszcze się nie prało dywanów na sucho i wysiłek omal jej nie zabił.

Spojrzała na poszarzały dywan. Pięć lat? Może dawniej. Sześć? Siedem? Za długo.

Po drugiej stronie reklamy była informacja o zaginionej dziewczynce.

Porwanie. Zaginęła 15 grudnia 1997 roku. Leota każdego dnia znajdowała w swojej skrzynce na listy takie przygnębiające wiadomości. Co się wyrabia na tym świecie, że ginie tak dużo dzieci?

Dwa listy od organizacji charytatywnych, niewątpliwie poszukujących dotacji. Jeden nadesłany przez instytucję zatrudniającą Corbana Sol- seka. Powinna się była domyślić, że trafi do ich bazy danych. Może wyśle im czek na dziesięć dolarów, jeszcze raz wypożyczy sprzęt do czyszczenia dywanów, a Corban je dla niej wypierze. Ten pomysł z pewnością go ucieszy. Zachichotała na samą myśl. Gdy przyjdzie następnym razem, zaproponuje mu to tylko po to, żeby zobaczyć wyraz jego twarzy.

Jeśli przyjdzie...

Wrzuciła większość przesyłek do kosza, rozerwała kopertę z wyciągiem bankowym i usiadła w przy stole w kuchni, żeby przeczytać dokument. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku. Opieka socjalna zdeponowała jej miesięczny zasiłek na koncie. Dołożyli dywidendę. Robili tak dwa razy do roku wystarczy na zapłacenie podatków i drobne wydatki. Oszczędzała na wypadek, gdyby dom wymagał remontu. Ale nie w tym roku.

Wypisywała bardzo mało czeków, więc bilansowanie rachunku zawsze było łatwe. Dostawała nawet odsetki - wystarczyły na kupno znaczków, by wysłać tych kilka rachunków. Opłaty za usługi komunalne. Woda. Telefon. Ubezpieczenie od pożaru i kradzieży.

Odsunęła wyciąg na bok i popatrzyła na ogród. Czas pokaże, czy Annie poważnie mówiła o przywróceniu mu dawnej postaci. Jakkolwiek by się nie stało, była to słodka myśl, tak słodka, że pierwszy raz od długiego czasu w sercu Leoty zapalił się mały płomyk. Uśmiechnęła się.

-A niedużo zostało ognia we mnie, starej, Panie. - Cóż to był za dzień.

Właściwie doskonały. Annie jest cudowna, prawda, Panie? Miło jest wiedzieć, że w jej żyłach płynie trochę mojej krwi.

Zadzwoił telefon. Kto telefonuje o tej porze? Może to Annie chce powiedzieć, że bezpiecznie dotarła do domu. Leota doszła do aparatu, kiedy wybrzmiał siódmy dzwonek.

-Mamo, czy jest u ciebie Anne-Lynn?

Leota zamrugwała.

-Eleonora? - Kiedy dzwoniła ostatni raz?

-Nora, mamo. Pamiętasz? Nora. Nie cierpię imienia Eleonora. Dlatego nigdy

go nie używam.

-Dyszała ciężko, jakby próbowała się uspokoić.

-Dzwonię do Anne-Lynn. Jest u ciebie?

-Nie. Nie ma jej tutaj. - Leota próbowała stłumić bolesne uczucia, które znów się odezwały. Córka nigdy nie rozumiała, nigdy nawet nie próbowała. ..

-A była dziś po południu? - Eleonora przemawiała do niej jak do dziecka opóźnionego w rozwoju.

-Tak. Wyszła ponad godzinę temu. Co się stało?

-Nic, z czym bym sobie nie mogła poradzić.

-Jak się miewasz, kochanie? Minęło sporo czasu, odkąd...

-Po prostu świetnie. - Eleonora wyraźnie kpiała. Jej złość rozchodziła się po kablach telefonicznych. - Byłam zajęta, bardzo zajęta.

-Wychowałam wspaniałą córkę. Powinnaś być...

-Potrafię sobie wyobrazić, o czym dziś rozmawialiście.

Gniew wziął górę nad bólem.

-Nie, myślę, że nie potrafisz.

-Cóż, przepraszam, mamo, ale nie mam teraz czasu z tobą rozmawiać. Muszę skontaktować się z córką.

Leota nie miała wątpliwości, co to oznaczało.

-Postaraj się nie powiedzieć niczego, czego będziesz żałować, Eleonoro.

Nora się rozłączyła.

Leota powoli odłożyła słuchawkę i usiadła w fotelu. Powinna była ugryźć się w język. Eleonora nigdy nie słuchała, co matka miała jej do powiedzenia. Po co w ogóle się odezwała? Odchyliła do tyłu głowę i zamknęła oczy całą radość z dnia spędzonego wspólnie z Annie się ulotniła.

To mi nie było potrzebne, Panie. Tego jednego nie potrzebowałam.

Corban zastanawiał się nad pytaniem Leoty Reinhardt przez kilka dni. Właściwie nie potrafił wyrzucić go z myśli. Dlaczego chciał odseparować starszych ludzi od reszty społeczeństwa i umieścić wszystkich w jednym miejscu? Myślał o najróżniejszych praktycznych powodach. Opieka medyczna byłaby na wyciągnięcie ręki. Można by

świadczyć więcej usług po niższych kosztach. Nie znajdował ani jednej negatywnej strony swojego pomysłu stworzenia ośrodków finansowanych z prywatnych pieniędzy

i wspomaganych z rządowych funduszy. Co takiego dostrzegła Leota, czego on nie zauważał? Dlaczego stroiła sobie żarty z profesora Webstera? Dlaczego jego koncepcje miałyby kogoś przerażać? Były rozsądne. Brały się ze współczucia.

A ona uznała jego pomysły za odrażające. Czemu?

To pytanie tak go dręczyło, że w końcu zadzwonił do Leoty Reinhardt i powiedział, że owszem, chciałby przyjść w środę i znów z nią porozmawiać. Chyba zdziwiła się, że go słyszy, ale pozwoliła mu przyjść, pod warunkiem, że pójdzie z nią do banku.

-Otwierają o ósmej. Proszę przyjść wcześniej.

-Dobrze. - Nie potrafił ukryć rozdrażnienia. Miał nadzieję, że z nią usiądzie, porozmawia godzinę lub dwie i wyjdzie. Tymczasem wygląda na to, że będzie musiał się udać na kolejną wyprawę do Dimonda.

-Myślę, że możemy iść i rozmawiać jednocześnie, panie Solsek. Niech pan będzie o dziesiątej. Minuta spóźnienia i nie zastanie mnie pan.

Następnego ranka zadzwonił do jej drzwi punktualnie o dziewiątej trzydzieści, pewien, że gdyby przyszedł choć chwilę później, już by jej nie było w domu - wyszaby tylko po to, żeby zrobić mu na złość.

-Dzień dobry - wpuściła go do środka. - Jaki pan dziś rześki. Dobrze wiedział, jak wygląda. Miał zaczerwienione oczy, poza tym zaciął się przy goleniu.

-Pracowałem do późna.

-Nad pracą semestralną?

-Nie. Inne zajęcia. Filozofia.

Uśmiechnęła się sardonicznie.

-Jest aż tak interesująca?

-O pierwszej nad ranem trochę trudno się w tym połapać. - Przy tej kobiecie

wciąż miał uczucie, że musi się bronić.

-Wolno pan czyta?

-Nie, nie czytam wolno. Niech pani sama spróbuje przeczytać dwieście stron w ciągu jednej nocy. - Dostrzegł iskry w jej oczach.

-Zadałam panu proste pytanie, panie Solsek, nie oskarżałam pana.

-Przepraszam. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało bezczelnie.

Zaśmiała się zimno i poszła do kuchni. Corban ruszył za nią, tłumiąc irytację. Stał w drzwiach i patrzył, jak przekręca gałkę na kuchence. Pstryknęło i na przednim palniku zabłysnął się płomień.

-Gdy przeczyta pan wystarczająco dużo, dowie się pan, że nie ma niczego nowego pod słońcem - powiedziała i stanowczym ruchem postawiła czajnik na gazie.

-Niech pan siądzie, panie Solsek. Kawy czy herbaty?

Sposób, w jaki powiedziała „panie Solsek” sprawił, że Corban poczuł się nieswojo. Chciał zacząć wszystko od nowa. Chciał ją polubić i chciał, żeby ona obdarzyła go sympatią. I wiedział, że wszystko psuje.

-Proszę mi mówić Corban, pani Reinhardt.

Spojrzała na niego badawczym wzrokiem.

-Niech będzie Corban. Kawy czy herbaty?

Znów z niego drwi?

-Poproszę kawę.

-Zwykłą czy smakową?

Nie wierzył własnym uszom. Co się dzieje? Czuł się jak indyk przed Świętem Dziękczynienia.

-A pani będzie piła?

-To nie ja jestem nieprzytomna.

-Jestem przytomny.

-Ledwo co. Siadaj. Śniadania pewnie też nie jadłeś?

-Nie. - Nigdy nie jada śniadań. Żłocie czarną kawę i pędzi na zajęcia. Je dopiero po południu.

-Chyba jeszcze znajdzie się dla ciebie słodka bułka.

Patrzył podejrzliwie, jak staruszka krząta się po kuchni, wyjmując kubek z szafki i brązową torbę z pojemnika na chleb. Na pewno chce, żeby zrobił coś więcej, niż tylko poszedł z nią do banku.

-A zatem - naląła wrzątek do kubka - znalazłeś już odpowiedź na moje pytanie? - Nasypała łyżeczkę rozpuszczalnej czekoladowej mokki.

-Nie.

-Myślałeś nad tym? - spytała, stawiając przed nim kubek.

Corban wpatrywał się weń ponuro, a aromat parującej kawy zmieszanej z czekoladą drażnił jego zmysły. Pamiętał, jak narzekała na cenę. Nie śmiał jej teraz powiedzieć, że nie cierpi słodkiej kawy. Zawsze parzył sobie mocną, czarną. W czasie sesji przy życiu utrzymywał go Szalony Maks potrójne espresso na jedną filiżankę.

Wzdrygnął się i obrócił kubek w dłoniach. Nie zawali tej rozmowy, niezależnie od tego, co będzie musiał przełknąć.

-Myślałem nad pani pytaniem. O innych rzeczach też.

-To dobrze. - Usadowiła się wygodnie na krześle naprzeciwko. Położyła ręce na gazecie i czekała.

Corban pociągnął łyk kawy, usiłując się nie skrzywić.

-Byłbym wdzięczny, gdyby przedstawiła pani wprost swoje zastrzeżenia do

mojej propozycji, pani Reinhardt. Tak będzie łatwiej.

-Może i będzie łatwiej, ale nie wbije ci się głęboko w świadomość.

Przez chwilę przyglądała mu się bez słowa. Niemal widział, jak w głowie kręca

się jej trybiki. Miała takie smutne oczy, że poczuł się nieswojo. W jakiś sposób

ją rozczarował i nie potrafił nic poradzić na to, że ukłuło go sumienie.

-Chcę pomóc takim ludziom, jak pani, pani Reinhardt. - To była prawda.

-Powiem to prostymi słowami, Corbanie. Nie wszystko, co płynie z

miłosierdzia, dobrze się kończy. Mam zastrzeżenia, ale nie wszystkie potrafię wyrazić słowami. To... - zmarszczyła brwi w zamyśleniu - ... przecucie nadciągającej katastrofy.

Powinien się poczuć urażony, lecz powstrzymał go sposób, w jaki to

powiedziała.

-Może pani po prostu nie rozumie, co chcę zrobić.

-Corbanie, wydaje ci się, że wytyczasz nowy szlak, ale idziesz tylko starą

wydeptaną ścieżką. Jak myślisz, do czego to doprowadzi?

-Do czegoś lepszego niż teraz. Podobne ośrodki już istnieją, ale są w pełni finansowane z prywatnych pieniędzy. Mogą się tam dostać tylko bogaci. Żeby przekroczyć próg niektórych z tych miejsc, trzeba mieć sto do dwustu tysięcy dolarów. Ci, którzy się tam dostaną, mają zapewnioną opiekę do samej śmierci. A ja próbuję opracować program dla ludzi, którzy przez całe życie pracowali, ale nie mają z tego kokosów.

Pokręciła smutno głową.

-Nie rozumiesz, co? Niebezpieczeństw. Nie widzisz tego, co ja. - Jej oczy były wilgotne od łez i zatroskane. - Ale pewnie wyolbrzymiam swoje obawy. Jestem tylko starą kobietą. Co ja mogę wiedzieć?

Wychwycił tę subtelną przyganę, ale nim zdążył odpowiedzieć, Leota kontynuowała

-Zostawmy to w spokoju na jakiś czas, dobrze? Niech ta myśl dojrzeje. Po pewnym czasie poczujesz jej prawdziwy smak. - Spojrzała na jego kubek. - Kawa ci nie smakuje!

Corban przez chwilę chciał skłamać, ale gdyby to zrobił, musiałby wypić wszystko. Wciąż czuł na języku słodki posmak pierwszego łyku.

-Przepraszam, jest dla mnie trochę za słodka.

-Widząc, że zeszywniała, dodał szybko - Kupię pani jeszcze jedną puszkę. Miał nadzieję, że dzięki temu nie będzie musiał wysłuchiwać, jak się wykosztowała na tę kawę.

Leota wzięła kubek i wylała zawartość do zlewu.

-Dziękuję, ale puszka, którą kupiłam, pewnie będzie tu stać jeszcze długo po mojej śmierci.

-Opłukała naczynie i postawiła je do góry nogami na ręczniku rozłożonym na suszarce. - Założę sweter i możemy iść do banku. - Mówiła takim tonem, jakby musztrowała żołnierzy. Poszła do pokoju.

Kiedy schodzili ze wzgórza, mocno chwyciła go za ramię. Corban zauważył, że spacer do sklepu i do banku nie jest dla niej igraszką. Nie mógł zrozumieć, dlaczego uparcie odmawiała jazdy samochodem.

-Może panią zawiozę, pani Reinhardt? - spytał troskliwie, pamiętając, jak się ostatnio umęczyła.

Szła dalej, patrząc prosto przed siebie.

-Teraz to moje jedyne przechadzki. Kiedyś w przerwie obiadowej spacerowałam wokół jeziora Merritt, a teraz mój świat zawęził się do tych kilku przecznic między domem a sklepem. - Spojrzała na niego. - Chciałbyś mi go zawęzić jeszcze bardziej?

Wiedział, do czego zmierza i ucieszył się, że temat nie został zamknięty.

-Te ośrodki nie muszą ograniczać pani życia. Będą tam organizowane różne zajęcia.

-Brzmi złowieszczo.

-Dlaczego?

-Ty mi powiedz. Jakież to zajęcia dla nas, starców, masz na myśli? Może zmienię zdanie o tym twoim pomysle.

Zaczerpnął tchu, licząc, że ją przekona.

-Sztuka i rzemiosło?

-Ach - Leota Reinhardt nie powiedziała nic więcej.

Skręcili za rogiem, doszli do przejścia dla pieszych i poczekali, aż zapali się zielone światło. Minęli kolejny kwartał, przeszli kładką nad autostradą i dotarli do kolejnych świateł. Corban cały czas milczał. W końcu się poddał. Wiedział, że jeśli jej nie przycisnie, Leota nic nie powie.

-Rozumiem, że nie podoba się pani ten pomysł.

-Och, to zależy, jakiego rodzaju sztuka czy rzemiosło wchodzi w grę. Miałaś na myśli sklepanie klatek dla ptaków z patyczków po lodach? Rzeczy w tym stylu? Dla przedszkolaków?

-Niezupełnie. - Ale co konkretnie? Nie zastanawiał się nad tym.

-Może kolorowanki według numerów? To dopiero wyzwanie.

-No dobrze - powiedział ponuro. - Nie myślałem o tym dokładnie. Może ma pani jakieś sugestie?

-Co powiesz na kurs obsługi komputera?

Roześmiał się. Nie mógł się powstrzymać.

-Komputer? Pani chyba żartuje.

-Dlaczego? Uważasz, że w moim wieku nie można się nauczyć niczego nowego?

-Można. Ale po co?

-Takie pytania zadaje się ludziom, którzy chcą się wspiąć na Mount Everest. Bo istnieje. Po cóż by innego?

-Zwariowałyby pani od tego.

-Doprowadziłoby mnie to do całkowitego ośpienia, he? Ciebie doprowadza? Uśmiechnął się.

-Czasami.

-Wbiłeś sobie do głowy, że starego psa nie da się nauczyć nowych sztuczek. A jeśli ten stary pies chciałby się jeszcze czegoś nauczyć?

Czuł, że Leota się z nim drażni.

-Przypuszczam, że mogłaby się pani nauczyć podstaw. Zajęcia mogłyby się ograniczać do samych podstaw.

-Dlaczego? Bo umrę, zanim pojmę więcej?

Czyżby postanowiła wyprowadzić go z równowagi?

-Tego nie powiedziałem.

-Sądysz, że lepsze byłyby zajęcia, które nie wymagają myślenia, tak? Coś, co za bardzo nie nadweręży biednych staruszków. Boże uchwaj, nie znieśliśmy przecież większego wysiłku umysłowego. Był stres i bach, wykitujemy. I kto wtedy będzie za to odpowiedzialny?

Corban pomyślał pośepnie, że Leota zapala się do tematu. Już nie szła normalnym krokiem, lecz maszerowała dziarsko, ciągnąc go za sobą. Co za kłótlivy babsztyl! Szukał jakiegoś sensownego argumentu.

-Dlaczego chciałyby pani się nauczyć, jak korzystać z komputera?

-Nie mówiłam, że bym chciała.

-Przed chwilą to pani sugerowała!

-Myślałam na głos. Tobie się to pewnie nie zdarza.

-Czasami głośno ze sobą rozmawiam. - Zwłaszcza po wizycie u niej! Świetnie. Zajęcia z obsługi komputera. Czemu nie?

-Potraktuj to jak medycynę prewencyjną. - Zwolniła tempo. - Czytałam artykuł, w którym twierdzono, że aktywność umysłu zapobiega chorobie Alzheimera. - Boi się pani, że zachoruje na Alzheimera? Łypnęła na niego groźnie.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że staruszka jest zdrowa na umyśle. Przynajmniej w tej chwili. - Czy w tym artykule pisali, jakie to powinny

-Gry, na przykład szachy. Nauka obcego języka. Skomplikowane układanki. Lekcje muzyki. Tego typu rzeczy.

-Robi pani coś w tym rodzaju?

-No, w szachy nie gram. Do tego trzeba dwóch osób. - Spojrzała na niego. - Ty grasz?

-Nie. Nigdy mnie to nie ciągnęło.

-Szkoda. Muzyka odpada. Nie mam pianina. Język obcy mógłby być interesujący, ale jakoś mnie to szczególnie nie podnieca. Co innego uczyć się francuskiego, gdy się planuje podróż do Francji. Nigdzie się nie wybieram, więc to raczej smutna strata czasu. Może slang murzyński. To by miało więcej sensu.

Zaśmiał się, wyobraziwszy sobie, jak drobna staruszka uczy się ulicznego slangu.

-Nie wiem. Nie pamiętam.

być zajęcia?

-Albo mogłabym robić to, co teraz - ciągnęła.

-Rozwiązywać krzyżówki. Czytać gazety. Czytać moją Biblię.

-Zauważyłem, że ma pani dużo książek.

-Należały do mojego męża. Ja nigdy nie miałam za dużo czasu na czytanie.

Corban postanowił pójść tym tropem.

-Dlaczego? - Może dowie się czegoś o jej rodzinie.

-Wolny czas wolałam spędzać w ogrodzie.

-Spojrzała na niego. - W tych twoich ośrodkach pewnie nie będzie ogrodów, co? Tylko kwiaty w doniczkach. Czy wiesz, że rośliny hodowane w szklarniach prawie wcale nie pachną? Równie dobrze można postawić sobie na oknie te jedwabne sztuczne kwiaty, które więdną w świetle słońca.

Corban jęknął w duchu. Pojął, że Leota nie odbiega myślami w bok. Kurczowo trzymała się jednego tematu.

-Chyba wiem, o co pani chodzi. - Żeby sprowadzić Leotę Reinhardt do takiego przyszłościowego ośrodka, trzeba by ją odurzyć, związać, zakneblować i siłą zawlec na miejsce.

Kręcąc głową, otworzył przed nią drzwi banku i wszedł do środka. Dlaczego

jest taka uparta? Dlaczego uważa jego pomysły za odrażające? Dała mu już jasno do zrozumienia, że nie powie tego wprost. Chce, żeby sam „poczuł ich prawdziwy smak”.

Czuł się jak dziecko, które pierwszy raz znalazło się w przedszkolu i uczy się, dotykając wszystkiego. Musi odkryć, co ona myśli. Musi spojrzeć z jej perspektywy. Jedyne sposoby to spędzać z nią więcej czasu. Ku jego zdumieniu, ta myśl nie wywołała w nim przygnębienia, jakie z pewnością by poczuł kilka tygodni temu. Im dłużej z nią przebywał, tym bardziej go ciekawiło, co ona myśli. I dlaczego.

Leota Reinhardt stawiała się interesującym wyzwaniem.

Annie siedziała przy kontuarze w kuchni i czytała książkę o historii sztuki, robiąc notatki w skoroszycie. Jak dotąd była na zajęciach tylko trzy razy, ale wszystkie okazały się fascynujące. Wykładowca - artysta - znał dzieje sztuki na wylot. Bijąca z niego pasja rozpaliała jej wyobraźnię.

Nagle zadzwonił telefon, przyprawiając ją o przyspieszone bicie serca. Zadzwonił jeszcze raz i już miała podnieść słuchawkę, ale się powstrzymała. Po czwartym dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka. „Tu numer 555-7836. Nie możemy teraz rozmawiać. Po sygnale proszę podać nazwisko i numer telefonu”.

Odetchnęła z ulgą, słysząc, że Susan nie zrobiła kolejnego dowcipu i nie zmieniła wiadomości. Ostatnie jej nagranie brzmiało „Siedzę za kratkami. Potrzebuję kasy. Jak nie masz czym płacić, nie zabieraj mi czasu”. Co prawda ojciec Annie setnie się uśmieł i zostawił wiadomość, ale matka nie widziała w tym nic śmiesznego. „Pewnie ci się zdaje, Susan, że to zabawne. Ani trochę! Annie, tu mama. Zadzwoni do domu”.

Annie zadzwoniła i przez piętnaście minut wysłuchiwała matczynej diatryby, że nie raczyła odezwać się wcześniej. „Czy masz pojęcie, jak ja się o ciebie martwię? Zeszłej nocy musiałam wziąć pigułkę na sen...”

-Po prostu skasuj wiadomość, Annie - poradziła jej Susan. - Na litość boską, przecież wiesz, co ona powie. Odkąd cię znam, wzbudza w tobie poczucie winy.

-To moja mama. Nie mogę jej tak po prostu zignorować. - Choćby bardzo tego pragnęła. Sumienie jej na to nie pozwala. W ciągu kilku ostatnich dni mama dzwoniła co najmniej dziesięć razy. Za każdym razem usilnie odwołując się do jej sumienia.

„Tak bardzo cię kocham... Za każdym razem, gdy oglądam wiadomości, zastanawiam się, czy...”. Reszty nie trzeba dopowiadać. Annie zna ciąg dalszy. Mama nie martwiłaby się tak bardzo, gdyby Annie chodziła do Wellesley. Przecież mieszkałaby w żeńskim akademiku byłaby pod kontrolą obracałaby się wśród dziewcząt z dobiych domów.

Rozległ się sygnał automatycznej sekretarki. Annie usłyszała męski śmiech.

-Co się stało z poprzednią wiadomością? Zwolnili cię warunkowo? Tu twój starszy braciszek, na wypadek, gdybyś zapomniała mojego głosu. W ten weekend wpadnę do miasta. Co powiesz na wytworny obiad w jakiejś fajnej restauracji? Byle nie w tej twojej czosnkowej speluncie. Od- dzwoń, Suzie Q”.

-Niegrzeczni chłopcy... niegrzeczni chłopcy... co bedzieta robić... zaśpiewał na całe gardło Barnaba, kiwając głową.

Annie zachichotała i wróciła do lektury, rada, że nie dzwoniła jej matka. Nie odpowiedziała na jej dwa ostatnie telefony - wczoraj wieczorem i dziś rano - ale wkrótce będzie musiała to zrobić, bo inaczej telefon odezwie się znowu. Termin, kiedy Annie mogła zmienić zdanie i pojechać na uniwersytet, już minął. Czemu mama nie daje jej spokoju? Uczepiła się swoich myśli jak pitbul ofiary.

Godzinę później przyszła Susan. Annie właśnie skończyła czytać ostatni zadany rozdział i przeglądała swoje notatki.

-Masz pozdrowienia od mamy i taty - powiedziała Susan, rzucając torbę na kanapę. - Dzwonił ktoś?

-Sam.

Susan wcisnęła przycisk sekretarki i stała, słuchając głosu brata.

-Fantastycznie! - Uśmiechnęła się. - Poprośmy go, żeby nas zabrał do Carnelian Room. Dostanie zawału!

-Ty go poproś. Mnie nie będzie.

Susan uniosła brwi.

-Jedziesz do mamy?

-W tym tygodniu pracuję w czwartek i piątek, zapytałam więc babcię, czy mogę z nią spędzić sobotę. Chętnie zostałabym tam na noc, ale nie chcę jej sprawiać kłopotu. Mogę pożyczyć twój śpiwór?

-Jest twój.

-Dzięki, Suzie.

Oby tylko udało jej się namówić babcię Leotę, żeby pozwoliła jej popracować w ogrodzie.

-Naprawdę wciągnął cię ten cały wolontariat, co? - Ruth uśmiechała się drwiąco, wykonując ćwiczenia rozciągające na podłodze. Miała na sobie czarne spodnie od dresu i białą podkoszulkę. - Najpierw środy, a teraz jeszcze soboty.

-Chyba nie mieliśmy żadnych planów, prawda?

-Nic mi o tym nie wiadomo. - Nie gubiąc taktu muzyki, dotknęła czołem prawego kolana, potem wyciągnęła ręce przed siebie, złapała się za lewą piętę i zbliżyła czoło do lewego kolana. - Pewnie przez cały dzień będę się uczyć.

Corban patrzył na nią z rozdrażnieniem. Włączyła kasetę wideo z ćwiczeniami i głośno nastawiła dźwięk. Wykonywała przy nim tę serię ćwiczeń tyle razy, że wiedział, iż do końca zostało jej jeszcze jakieś czterdzieści pięć minut.

-Poczuj napięcie w mięśniach - monotonie cedziła nad wyraz żwawa instruktorka. - Stop. Wystarczy. Raz. Dwa. Trzy. Cztery...

Kiedy Ruth ćwiczyła w salonie, z trudem się koncentrował. Muzyka nie była zła, gdy słuchał jej pierwszych kilkanaście razy, ale potem zaczęła mu działać na nerwy. Miał ochotę rozwalić telewizor i posłać Jane Fondę do diabła.

-Chyba uzgadnialiśmy, że będziesz to robiła rano - powiedział spokojnie.

-Wiem, ale dziś nie miałam nastroju. Już nawet chciałam sobie odpuścić, ale potem pomyślałam, że lepiej nie. To tak się mówi, jeden dzień, ale zaraz byłby następny.

Czy w związku z tym on ma sobie odpuścić naukę przez najbliższą godzinę?

-Mam dwie godziny, żeby się pouczyć, zanim wyjdę, a przy tej muzyce nie mogę się skupić.

-Nic ci się nie stanie, jak poczekaś pół godziny!

Ton jej głosu go rozjuszył. Grzotnął w przycisk i wyłączył odtwarzacz.

-A tobie nic by się nie stało, gdybyś się trzymała naszych ustaleń.

Ruth poczerwieniała nie wiedział, czy od gimnastyki, czy też ze złości. W tej chwili zresztą specjalnie go to nie obchodziło. W jej ciemnych oczach pojawił się błysk wściekłości. Corban czekał. Zaczynał myśleć, że popełnił straszliwy błąd, prosząc, by się do niego wprowadziła.

Skrzywiła się lekko, patrząc mu w oczy. Potem odwróciła wzrok, wyprostowała się i wstała jednym zwinnym ruchem.

-Przepraszam. Masz rację. - Wcisnęła inny guzik i wyjęła kasetę z odtwarzacza. Wsunęła ją do pudełka i zatrasnęła je. - Pójdę pobiegać. - Rzuciła pudełko na ławę, zamiast odłożyć je na półkę, i wyszła do sypialni.

Corban siedział na kanapie z otwartą książką do filozofii. Miał tak mocno zaciśnięte zęby, że rozboleła go szczęka. Nie chciał się zastanawiać, o czym teraz myśli Ruth. Ale i tak się domyślał zawsze wiedziała, kiedy skapitulować dokładnie w ostatniej chwili.

Wyszła z sypialni ubrana w czerwone satynowe spodenki i biały stanik do biegania. Założyła na głowę białą przepaskę i poprawiała ją, patrząc na niego. Znał to spojrzenie. Zdawała sobie sprawę, że dobrze wygląda - tak dobrze, że może go powalić na kolana, kiedy tylko zechce. W pierwszych miesiącach wspólnego pożycia to się sprawdzało. Przesunął po niej wzrokiem, od głowy po czubki tenisówek, lecz tym razem to nie pożądanie go paliło.

-Może coś porobimy, jak wrócę. - Posłała mu koci uśmiech. - Nie będę długo biegać.

-Nie spiesz się - odparł, zaglądając z powrotem do rozłożonej na kolanach książki.

Stała jeszcze przez chwilę. Czuł na sobie jej spojrzenie, ale nie dał jej satysfakcji i nie podniósł oczu. Wcześniej jej taktyka odnosiła skutek, lecz nie tym razem. Nie był marionetką, którą mogła manipulować, pociągając za sznurki. Zależało mu na niej. Bardziej niż chciałby przyznać. Wiedział też, że jeśli na nią spojrzy, powie wszystko, co w tej chwili myśli, a potem będzie tego żałował. Czasem zastanawiał się, czy jej w ogóle na nim zależy.

Podeszła do drzwi. Otworzyła je i odwróciła się, by jeszcze raz na niego spojrzeć.

-Wiesz, Cory, czasami się zastanawiam, dlaczego chciałeś, żebym z tobą zamieszkała. Sądziłam, że mnie kochasz. Czy to nie głupie? Sprawiasz, że czuję się wykorzystywana.

Podniósł wzrok znad książki.

-W takim razie powiedziałbym, że oboje w naszym związku jesteśmy w tej samej sytuacji.

Z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi.

Nora zatrzymała samochód przed domem matki. Serce jej łomotało przez kilka sekund siedziała nieruchomo, próbując uspokoić nerwy. Potrzebowała papierosa. Kieliszka wina. Zamknęła oczy i powoli wciągnęła powietrze, wstrzymała je, po czym wolno wypuściła. Jej instruktor jogi powiedział kiedyś, że to powinno ją uspokoić. To samo twierdził psycholog.

Wciąż dygocząc, Nora wysiadła z samochodu, zamknęła pilotem drzwi i ruszyła w stronę domu. Nienawidziła wracać do tej okolicy, bo za każdym razem dręczyły ją wspomnienia. Wetknęła czerwoną skórzaną kopertówkę pod ramię i energicznie nacisnęła dzwonek. Kiedy ostatni raz widziała się z matką? Poczula nagle ukłucie sumienia, ale szybko zagłuszyła je pretensjami.

Dlaczego ona ma się czuć winna? Co z tego, że odrzuciła kilka zaproszeń matki w ciągu ostatnich lat? Czy matka miała dla niej czas, kiedy Nora dorastała? Nie. Wprowadziła ją i Georgea do domu babci i dziadka Reinhardtów, po czym zajęła się sobą. Czy była przy niej w pierwszym dniu szkoły? Nie. To babcia Helena trzymała ją za rękę i zaprowadziła do szkoły. W rzeczywistości babcia Helena odprowadzała ją do szkoły codziennie aż do czasu, gdy Nora zdała do drugiej klasy i zaczęto wysyłać ją na lekcje samą.

Czy matka była kiedyś na szkolnej wycieczce? Nie. A babcia Helena pojechała. Raz. Nora się skrzywiła, przypomniawszy sobie swoje zażenowanie, gdy uczniowie robili uwagi na temat silnego niemieckiego akcentu babci.

Czy matka uszyła dla niej suknię na bal maturalny? Oczywiście że nie. Nora uszyła ją sobie sama!

Czy praca matki komukolwiek poza nią samą przyniosła pożytek? Nigdy nie było pieniędzy na żadne przyjemności. Inne dziewczynki miały lśniąca buciki z eleganckimi strzemiaczkami, a Nora nosiła sznurowane półbuty. Inne dziewczynki brały lekcje pianina i tańca, a Nora musiała się uczyć gry na klarncie, bo szkoła organizowała darmowe lekcje. Inne dziewczynki wyjeżdżały z rodzicami na wycieczki i wspólne wakacje, a jej rodzina zostawała w domu.

Pamiętała, jak babcia i dziadek się sprzeciali, zawsze po niemiecku, żeby nie mogła ich zrozumieć. Pamiętała, jak ojciec pił i godzinami przesiadywał w fotelu

-milczący, posępny, samotny - podczas gdy ona szalała ze strachu.

I gdzie przez te wszystkie lata była matka?

Żyła swoim życiem, nikim się nie przejmując. Pracowała!

Zasłużyła sobie na samotność. Dowie się, co znaczy być porzuconym.

Kiedy Leota w końcu otworzyła drzwi, Norę ponosiły już emocje.

-Czemu tak długo nie otwierałaś, mamó? - Czyżby wyjrzała przez judasza, zobaczyła, kto stoi za drzwiami i miała nadzieję, że sobie pójdzie?

-Byłam w kuchni. Nie poruszam się już tak szybko jak kiedyś. - Leota uniosła podbródek i cofnęła się o krok.

Nora weszła do środka i powiodła wzrokiem po salonie. Zapach domu przywodził falę wspomnień. Niewiele z nich było dobrych.

-Nic się nie zmieniło?

-A czemu coś miałoby się zmieniać? - Matka cicho zamknęła drzwi. Nie założyła łańcucha.

-Napijesz się herbaty albo kawy?

-Nie, dziękuję. - Chętnie wypiłaby herbatę, ale nie chciała niczego przyjmować od matki. Nie teraz. Matka mogłaby jej zaproponować gwiazdkę z

nieba,
a Nora by jej nie wzięła. Już za późno. - Przyjechałam tylko na chwilę, mamó.
Musimy sobie wyjaśnić parę spraw dotyczących Anne.

Matka ostrożnie usadowiła się w fotelu i splotła dłonie na kolanach. Wydawało się, że cierpi, poza tym bardzo się postarzała, odkąd Nora widziała ją ostatni raz.

Nie będę jej żałować. Nie po tym, jak przez większość życia mnie ignorowała!
Nora przycupnęła na brzegu kanapy, położyła przy sobie torbę i oparła dłonie na kolanach.
-Anne jest w wieku, w którym łatwo ulega się wpływom. Trzeba nią kierować.

Jeszcze kilka tygodni temu była wzorową córką. Teraz wbiła sobie do głowy, że zrezygnuje ze studiów, zamieszka z przyjaciółką-hipiską w San Francisco i, przede wszystkim, zostanie artystką. Ale być może już to wszystko wiesz, skoro była u ciebie z wizytą.

Leota zmrużyła oczy, lecz nic nie powiedziała. Nora się tego spodziewała. Żadnej współpracy.

-To zdolna uczennica, mamó. Ukończyła szkołę z najlepszymi ocenami, dostała bardzo dobre wyniki z testów. Ma nieskazitelne referencje i rekomendacje. Zaoferowano jej wspaniałe stypendium na prestiżowej uczelni na wschodzie. A ona pewnego dnia ni stąd, ni zowąd stwierdziła, że nie chce tam iść. Wsiadła do samochodu i odjechała bez zastanowienia. - Nora wygładziła spódnice i znów oparła ręce na kolanach. - Na pewien czas załatwiłam sprawę, jeszcze może tam wrócić. Rozmawiałam z dziekanem odpowiedzialnym za przyjmowanie studentów i powiedziałam, że Anne zachorowała i nie może przyjść do szkoły. Zgodzili się utrzymać jej stypendium do następnego semestru.

-Okłamałaś ich?

Nora poczerwieniała. Zawrzała w niej złość czuła, że wszystko się w niej gotuje. Matka widzi tylko negatywne strony! Zawsze powtarzała „Rób to, co trzeba”. Rób to, co trzeba! A czy ona to robiła?

-Ona jest chora, mamó! Musi mieć coś z głową, skoro odrzuciła taką szansę!

-Bo jest to coś, czego ty chcesz?

-Tak - powiedziała przez zaciśnięte zęby, wstając. - Tak, tego dla niej chcę. Każdy z odrobiną oleju w głowie by tego chciał. Przygotowywała się do studiów przez lata, a teraz nagle ucieka. Cóż, nie pozwolę jej tak stchórzyć. Nie pozwolę jej wszystkiego zmarnować.

-A jeśli ona tego nie chce?

-Ona tego chce. Zawsze tego pragnęła. Rozmawialiśmy o studiach, odkąd poszła do przedszkola.

Matka cicho westchnęła była zmęczona i wyglądała staro.

-Może powinnaś na jakiś czas dać sobie spokój i pozwolić jej poszukać własnej drogi...

-Czyli postąpić tak jak ty. Całkiem się wycofać. - Nora mogła się tego spodziewać. - Powinnam być taka jak ty? - W spojrzeniu matki dostrzegła przeblysłk bólu, wywołanego jej sarkazmem, lecz złość całkiem nią zawładnęła. - Czy o to chodzi, mamó? Mam sobie odpuścić dbanie o przyszłość moich dzieci? - Oczy matki zaszkliły się od łez i Nora poczuła wstyd, lecz po chwili wezbrała w niej kolejna fala gniewu. Jakim prawem matka wzbudza w niej poczucie winy? - Powinnam była wiedzieć, że mi nie pomożesz ani nawet nie spróbujesz zrozumieć. Nigdy nie próbowałaś.

-Rozumiem. Aż za dobrze. - W jej głosie było tyle smutku, zmęczenia i rozpacz.

Norze także oczy zaszyły łzami. Zwalczyła je, nie wiedząc nawet, dlaczego się pojawiły i dlaczego miała ochotę się rozpłakać. Jakaś część niej rozpaczliwie pragnęła wyciągnąć ręce do matki, przeprosić ją, przytulić się do niej. Inna część chciała ją rozszarpać za wszystkie chwile, w których matki nie było, gdy Nora rozpaczliwie jej potrzebowała. - Chcę dla mojej córki jak najlepiej!

-Wiem, moja droga. Ale to, co jest najlepsze według ciebie, niekoniecznie jest najlepsze według Boga.

Słyszając te łagodne słowa, Nora zeszywniała, gdyż były ostrą naganą.

-Co ty o tym wiesz? Kiedy ostatni raz byłaś w kościele, mamó? Dziesięć lat temu? Ja chodzę na mszę w każdą niedzielę. Anne-Lynn powinna szanować moje plany w stosunku do niej. Zamiast tego upiera się i buntuje. A ty jej w tym pomagasz!

Matka zamknęła oczy, jakby nie chciała patrzeć na córkę.

-Nie powinnam była tu przychodzić - powiedziała Nora łamiącym się głosem.

Wcześniej

też nigdy nie mogłam na ciebie liczyć. Byłam głupia, sądząc, że teraz mi pomożesz. - Podniosła torebkę z kanapy i ruszyła do drzwi.

-Zawsze mogłaś na mnie liczyć - powiedziała Leota zdławionym głosem. Każdego dnia mojego życia, tylko nigdy tego nie rozumiałaś. Nigdy nawet nie próbowałaś zrozumieć.

Nora odwróciła się gwałtownie.

-Kiedy mogłam na ciebie liczyć? Wymień choć jeden raz!

Matka nie odpowiedziała na atak. Powiedziała cicho

-Zawsze mówisz, że zniszczyłam twoje marzenia. Dlaczego chcesz mnie namówić, żeby zrobić to samo twojej córce?

Nora drżała. Zaczepnęła tchu.

-Zawsze przekręcasz moje słowa, żeby wzbudzić we mnie poczucie winy.

-Nie potrafię w tobie wzbudzić żadnego uczucia.

-O, potrafisz. - Uraza i gojycz wypełniły ją po brzegi. - Chcę, żebyś wiedziała, że Anne-Lynn spędza z tobą czas tylko dlatego, iż wie, że mnie tym krzywdzi. Wykorzystuje cię, żeby się na mnie odegrać. Tylko ty tego nie widzisz.

-Doskonale cię rozumiem, Eleonoro.

Nora szarpnięciem otworzyła drzwi, trzęsąc się niepoohamowanie.

-Oto, jak się przejmujesz, mamó. Wciąż nazywasz mnie tym imieniem, chociaż, wiesz, że go nienawidzę!

-Dla mnie zawsze byłaś i zawsze będziesz Eleonorą.

-Z tobą się nie da rozmawiać! Wszystko musi być po twojemu. Zatem życzę przyjemnej samotności! - Zatrzasnęła za sobą drzwi. Jej obcasy zastukały na schodach. Dwoje murzyńskich dzieci kolorową kredą narysowało na chodniku grę w klasy. W Black Hawk żadnemu dziecku nie pozwolono by tak zapaprać ulicy. Dzieci przerwały zabawę i spojrzały na Norę. Odwracając wzrok, wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Zjechała z krawężnika, szybko pomknęła ulicą, skręciła w prawo i pojechała w kierunku autostrady.

Przez całą drogę do domu płakała.

Mimo że po powrocie Ruth go przeprosiła, Corban wciąż był przygnębiony. Drażniło go, kiedy dawał się ponieść emocjom. Odkąd Ruth z nim zamieszkała, pierwszy raz nie cofnął swoich słów. Oczywiście zauważyła to, ale nic nie powiedziała.

Zdawało mu się, że przez następne dwa dni bardziej się starała. Wypełniała swoją część obowiązków i zachowywała się cicho, gdy on się uczył.

Wiedział jednak, że żyje w oku cyklonu.

Jej zachowanie zmieni się po kolejnym spotkaniu z przyjaciółkami. Jak zwykle. Na niebie gromadziły się burzowe chmury tornado wessie ich, nim Ruth znów się uspokoi. Jeśli się uspokoi.

Na podstawie jej opowieści oraz przypadkiem usłyszanych rozmów Corban ustalił, że większość dziewcząt, z którymi Ruth się spotyka, pochodzi tak jak ona z rozbitych rodzin. Dwie były wykorzystywane seksualnie przez swoich krewnych. Potrafił zrozumieć ich nienawiść do mężczyzn, którzy je skrzywdzili, ale czy to daje im podstawy, by wszystkich uważać za brutali? Albo czy to jest słuszny powód, żeby zostać lesbijką? Trzy z dziesięciu dziewcząt z grupy „wyszły z ukrycia”. Dwóm odpowiadał nowy styl życia i miały dobre stosunki z rodziną trzecia była w emocjonalnej rozsypce, a jej nastroje wahały się od zapalczywej wrogości do rozpacz.

-Ona się kiedyś zabije - powiedziała beznamiętnie Ruth po szczególnie przygnębiającym wieczorze, kiedy dziewczyna zdominowała spotkanie, dając upust swojej złości. - I to będzie wina jej rodziców, bo nie pozwalają jej być sobą. Powinno się im wbić do głowy, że to zupełnie naturalne, że niektórzy są homoseksualistami. Ona się taka urodziła.

-Bzdura! To ona nie akceptuje faktów.

Oczy Ruth zapłonęły.

-Jest szczęśliwa, że jest tym, kim jest.

-Szczęśliwa? Ty to nazywasz szczęściem?

-Gdyby ciebie obrzucano wyzwiskami, też nie tryskałbyś radością!

-Jedynе wyzwiska, jakie dziś słyshałem, wyszły z jej ust.

-Jesteś taki ograniczony, Cory. To żałosne. Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że jesteś homofobem.

-Ja jestem ograniczony? Może więc powinnyś- cie się spotykać gdzie indziej, bo jak dotąd to do mojego mieszkania przychodzą te wszystkie baby, żeby się wyżywać na facetach.

W tym miejscu zoczyli z tematu. To była jedna z ich najgorszych kłótni. Kiedy się wykrzyczeli i spędzili noc w osobnych łózkach, postanowili zostawić ten temat w spokoju. Przez dwa tygodnie Ruth umawiała się z przyjaciółkami gdzie indziej. Potem znów się pojawiły - najwyraźniej jego mieszkanie było najwygodniejsze ze wszystkich znanych im miejsc.

Denerwowały go te kobiety rozprawiające o nie- tolerancyjnych mężczyznach, patriarchalnym społeczeństwie i równouprawnieniu. Równość oznaczała dla nich, że powinny mieć pierwszeństwo zatrudnienia na najlepszych stanowiskach. Kolejny przypadek wypaczonego feminizmu. Nowy zastęp bojowniczek, które żeby skończyć z dyskryminacją - chcą dyskryminować.

-Spotkamy się w sobotę rano, tylko na godzinkę lub dwie. - Ruth podała mu

makaron polany sosem pręgo i posypany parmezanem.

-Jest tabasco?

Postawiła przed nim buteleczkę.

-Za parę tygodni w San Francisco odbędzie się marsz, i chcemy się do niego

przygotować.

-O co chodzi tym razem?

-Fundusze na badania nad AIDS. Chcemy zrobić transparent.

Ochlapując spaghetti sosem tabasco, Corban postanowił, że w sobotę gdzieś

sobie pójdzie.

W piątek po południu, wkrótce po tym, jak Annie skończyła szykować się do

pracy, zadzwonił dzwonek u drzwi. Wcisnęła przycisk domofonu.

-Kto tam?

-Sam.

-Wejdz na górę. - Wcisnęła inny guzik, otwierający drzwi do budynku. - Suz, idzie twój brat.

-Dzisiaj? Miał przyjechać dopiero jutro.

-No ale już tu jest. - Annie poklepała poduszki i rzuciła je na kanapę, pozbierała ubrania Susan, poskładała je szybko i schowała do komody. Po drodze do aneksu kuchennego pozbierała szklanki i talerze, wstawiła je do zlewu, spryskała płynem i poliała wodą, żeby się namoczyły. Mycie naczyń przypadało na Susan, a obie wychodziły do pracy.

Susan wyszła z łazienki ubrana w prostą czarną spódniczkę i białą bluzkę.

Zabręczał dzwonek szła otworzyć drzwi, gorączkowo czesząc włosy.

-Co tu dzisiaj robisz? Jest piątek. Miałeś być w sobotę.

-Wyluzuj, Suzie Q. Przyszedłem tylko powiedzieć, że się zameldowałem w...

Annie odwróciła się od zlewu i poczuła na sobie jego wzrok. Susan się roześmiała, patrząc na brata, a potem na Annie. Mrugnęła porozumiewawczo okiem.

-Chyba pamiętasz Annie Gardner, co, Sam?

-To jest Annie? A co się stało z repliką Fizi Pończoszanki?

Annie się zarumieniła.

-Mnie też miło cię widzieć, Sam. - Zawstydziała się, gdy przypomniał, jak zaplatała swoje mar-
chawkoworude włosy w warkoczyki. Kolor włosów nieco wyblakł, tak samo zresztą piegi, którymi niegdyś był upstrzony jej nos.

Sam spojrział na nią ciepło, a na jego twarzy pojawił się drapieżny uśmiech.

-Całkiem dorosła...

-Ale musi gdzieś iść.

-Niedobre chłopaki, niedobre chłopaki - zaśpiewał głośno Barnaba i wszyscy się roześmiali.

-Idziemy do pracy, Sam, ale jak chcesz, możesz tu zostać.

-Nie ma mowy. Przyjechałem do miasta, żeby się zabawić.

-Co bedzieta robić... co bedzieta robić... - zaśpiewał znów Barnaba, kiwając głową.

-Wygląda na to, że ptak chciałby pójść ze mną - Sam wyszczerzył zęby w uśmiechu.

-Chcesz go? - rozpromieniła się Susan. - Dostaniesz go razem z moim błogosławieństwem.

Sam się zaśmiał.

-Nie ma mowy.

Annie zdjęła z oparcia krzesła marynarkę.

-Muszę przerwać to rodzinne spotkanie - powiedziała z uśmiechem - ale musimy już iść, Suzie. Spóźnimy się.

-Wiecie co, jeszcze nie jadłem - rzekł Sam, wychodząc za nimi. - Może zajrzę do „Śmierdzącego Ząbka”?

-Nienawidzisz czosnku.

-Nienawiść to za mocne słowo. Poza tym słyszałem, że czosnek ma właściwości lecznicze.

-Owszem, ma.

-No, a chyba właśnie się przeziębilem. Muszę coś zażyć profilaktycznie. Co wy na to?

Kiedy schodzili na dół do samochodu Annie, Susan podała mu adres i wyjaśniła, jak dotrzeć do restauracji.

-Do zobaczenia. - Sam pomachał im nonszalancko i przeszedł przez ulicę do swojej furgonetki.

Susan wślizgnęła się na fotel i zapięła pas.

-No, no. Coś czuję, że będziemy często widywać mojego brata. - Zerknęła na Annie i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Sam nie przyjechał za nimi do restauracji i Annie pomyślała, że zmienił zdanie. Czowała raczej ulgę niż rozczarowanie. Choć jego wyraźne zaloty uderzyły jej do głowy i zdecydowanie wpłynęły na poczucie pewności siebie, wiedziała, że Sam jest pod wieloma względami niebezpieczny.

Kiedy miała piętnaście lat, uważała, że Samuel James Carter, zbuntowany młodociany przestępca, jest czymś w rodzaju romantycznego bohatera. W swoich fantazjach była heroiną rodem z Hollywood, której miłość i czystość kruszą arogancję i cynizm bohatera.

Ale w ciągu ostatnich trzech lat dorosła. Dowiedziała się, jak niszczycielski i bolesny był bunt Sama dla rodziny. Teraz żartowali na ten temat, lecz Annie pamiętała złość Suzie i lży pani Carter. Sam musiał upaść i dokonać dzieła samozniszczenia, nim jego życie się zmieniło. Sam to głęboka woda, a jeśli chodzi o sprawy doczesne - Annie nie potrafi pływać.

-Musiał dać napiwek Halowi - powiedziała Susan, przechodząc obok.

-Co proszę?

-Sam. Siedzi w twoim rewirze.

Annie wzięła kilka talerzy z jedzeniem i rozniosła je stałym klientom,

pytając, czy życzą sobie czegoś jeszcze. Zauważyła Sama przy małym stoliku w rogu, skąd miał widok na całą salę. Barmanka dopiero co od niego odeszła kilka młodych kobiet siedzących nieopodal przyglądało mu się z zainteresowaniem. Zdawało się, że ich nie zauważa. Całą uwagę skupił na niej. Uśmiechał się łobuzersko i wyzywająco.

Przeszła obok niego.

-Za chwilę do pana podejść.

-Nigdzie się stąd nie ruszę, proszę pani.

205

Dolała kawy kilku klientom i wróciła do Sama.

-Czy już pan wybrał danie? Czy może chciałby pan się jeszcze przez chwilę zastanowić?

-Już wybrałem. - Zamrugnął oczami z uciechy.

Z kieszeni krótkiego czarnego fartuszka Annie wyjęła notes w skórzanej oprawie i otworzyła go.

-Chętnie jednak się dowiem, jaka jest specjalność dnia - oparł się wygodnie

o krzesło, przyglądając się jej bez pośpiechu.

Przed wejściem do restauracji stała tablica z wypisanymi kredą sześcioma daniami. Zapamiętanie ich należało do jej obowiązków. Opisała każde po kolei, używając wszystkich soczystych przymiotników przewidzianych przez kierownictwo,

świadoma, że podczas jej recytacji zachwycony Sam uważnie czyta opis dań. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

-Bardzo ładnie to pani zaprezentowała.

-A zatem co pan zamawia? - Rozmawiała z nim jak z zupełnie obcym człowiekiem, który przyszedł do tej restauracji pierwszy raz.

-Królika z dwudziestoma ząbkami czosnku.

-Dobry wybór - powiedziała, zapisując zamówienie. - Zupa czy surówka?

-Jaką macie zupę?

-Czosnkowe gazpacho.

-Surówka. Z sosem czosnkowo-ziołowym. Dużo pieprzu.

-Przyniosę pieczywo.

-Proszę też o wielki dzban wody.

Zaśmiała się, zamknęła notes i wsunęła go do kieszeni.

W piątki zawsze był duży ruch. Annie obsługiwała osiem stolików i szybko się poruszała, dbając o to, by każdy klient dostał swoje zamówienie. Gdy tylko jakiś stolik się zwalniał, zaraz siadało

przy nim nowe towarzystwo. Po dwóch godzinach zarobiła na napiwkach tyle, że będzie mogła kupić jedzenia na cały tydzień.

A Sam wciąż siedział przy stoliku.

Dolewając mu po raz trzeci wody do szklanki, Annie spojrzała na talerz.

-Nie smakuje ci królik?

Skrzywił się.

-Powiedzmy, że nie zamierzam wchodzić w drogę wampirom. Przez następny

tydzień czosnek będzie ze mnie wychodził wszystkimi porami.

Zdołała powstrzymać uśmiech.

-Nie przeziębisz się.

-Nie, ale zacznam drzeć z zimna - zażartował i uniósł pytająco brwi.

-Z tym chyba nie będzie problemu. Przy tamtym stoliku siedzą trzy panie, które przez cały wieczór starają się zwrócić twoją uwagę.

-Spławiasz mnie, Annie? Ja cierpię.

-Masz skórę pancernika, Sam.

-A myślałem, że się we mnie durzyłaś.

-To było, zanim zmadrzałam.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

-Teraz będę się chwycił wszystkiego.

Nim zdążyła się odwrócić, zapytał

-Przy okazji, spod jakiego jesteś znaku?

Wiedział, że to wyświechtany tekst. Przyszedł

czas, by wyjaśnić sobie parę spraw. Być może potem nie będzie marnował czasu.

-Ryba.

-Ryby. - Łobuzerski uśmiech powrócił, a wraz z nim zdecydowanie szelmowski błysk w oku. - Dobry znak.

-Owszem. Ale ja powiedziałam „ryba”, a nie „ryby”.

Zmarszczył brwi.

-Nie rozumiem?

-Ichtius. Jezus Chrystus, Syn Boży, Zbawiciel.

W jednej chwili przestał się z nią droczyć i spojrzał jej w oczy z niezwykłą uwagą, której się nie spodziewała.

-W tych słowach jest wiadomość dla mnie, przyjmuję ją.

-Mam nadzieję.

Skrzywił się ze smutkiem.

-Bałaś się, że lew chce spocząć z barankiem?

Krew napłynęła jej do policzków. Myślała, że

Sam się roześmieje, ale nie zrobił tego. Spoważniał i zamyślił się. Jego wdzięk działał jak magnes gdy spojrzał jej głęboko w oczy, przebiegł ją dreszcz. Powoli i z rozważą położyła na stoliku rachunek, zamknęła notes i wetknęła go do kieszonki.

-Miłego wieczoru, Sam. Postaraj się unikać kłopotów.

Nora siedziała w pokoju owinięta białym szalem. Patrzyła w telewizor, ale nie wiedziała, o czym był film. Myśli jej błądziły.

Była dziesiąta, a Fred jeszcze nie wrócił do domu. Zostawił na sekretarce wiadomość, że zabiera klientów na kolację. Z pewnością nie trwała tak długo, chyba że pojechali do centrum.

Myśląc o kolacji w mieście, przypomniała sobie, że Anne pracuje w restauracji.

Może właśnie tam Fred zabrał klientów, by powiedzieć jej przy okazji, jak matka się przez nią martwi. Nie, Fredy by tego nie zrobił. Nigdy się nie mieszał w wychowywanie Anne. Jako ojczym czuł się z tego wyłączony. Dopóki Annie nie

ingerowała w jego życie,
dopóty on nie wtrącał się do niej. Byli ze sobą w przyjaznych stosunkach.

Czasami Norę złościło, że Fred nie chce się bardziej angażować.

-Ty o wszystkim decydujesz - mawiał. - To twoja córka, Nora, nie moja.
Tym razem potrzebowała sojusznika. Potrzebowała wsparcia kogoś silnego.
Dlaczego Anne już jej nie słucha? Dlaczego córka zwraca się przeciwko niej i
ucieka do babki?

Gdy wybiła jedenasta, Nora poczuła ssanie w dołku. Przeszłość znowu dawała o
sobie znać, dręcząc ją, jak zawsze, wspomnieniami dawnych błędów. Gdy miała
szesnaście lat, zakochała się w Bryanie Taggarcie. Był od niej starszy o cztery
lata, miał pracę i szedł na studia. Przystojny, bystry i pełen wdzięku. Nora
była pewna, że spełni wszystkie jej nadzieje na lepsze życie.

Romantyczna przygoda szybko zamieniła się w koszmar kłótni, rachunków do
zapłacenia, nieprzespanych nocy i rozwianych marzeń.

Nora rozpaczliwie starała się uratować małżeństwo i myślała, że dziecko zmusi
Bryana do utrzymania posady, która zdawała się zapewniać obiecującą przyszłość.
Jednak wiadomość, że jest w ciąży, nie utrzymała małżeństwa przeciwnie,
przyspieszyła koniec. Bryan wpadł w furję, nazwał ją oszustką i egoistką.
Powiedział, że zrobiła wszystko, by zrujnować mu życie i że ma jej dość. Opuścił
ją, zanim urodził się Micheal, nie zostawiając jej innego wyboru, jak tylko

wprowadzić się z powrotem do matki i ojca.

Wciąż pamięta, co matka powiedziała jej pierwszego wieczoru po powrocie do domu. To było najgorsze okrucieństwo, jakie ją spotkało po wszystkim, co przeszła w ciągu dwóch lat małżeństwa. „Oczekiwałaś zbyt dużo zbyt wcześnie”. Zdruzgotana, w poczuciu, że została zlekceważona, szukała pociechy u babci Heleny, która się z nią w pełni zgadzała. Bryan Taggart nie był jej wart.

Podczas tych pełnych udręki miesięcy przynajmniej ukończyła szkołę średnią.

Drugie małżeństwo było niewiele lepsze od pierwszego. Dean Gardner miał wszystkie cechy królewicza z bajki. Absolwent Stanforda ze specjalizacją z handlu i księgowości, już wspinał się po drabinie kariery bankowej. Jako żona Deana miałyby zabezpieczenie i możliwości, których wcześniej jej brakowało. Tak samo Michael. Zapisła się na zajęcia na uniwersytecie i uczęszczała na nie, kiedy Michael był w szkole. Zabierała syna na wszystkie wydarzenia kulturalne. Stawała na głowie, żeby ona i Michael mogli się obracać w najlepszym towarzystwie.

A kiedy ona się doskonaliła, Dean ją zdradzał.

O jego romansie z sekretarką dowiedziała się kilka lat później. Wtedy nie wszystko się układało, ale kiedy była w ciąży z Anne, Dean znów stał się kochającym mężem, jakim był z początku. Po urodzeniu Anne stał się jeszcze bardziej kochającym ojcem.

Gdy Anne podrosła, Nora na nowo podjęła wysiłki, żeby zapewnić Michaelowi jak najlepsze wykształcenie. Zaczęła też robić plany dla Anne. Kiedy córka leżała w łóżeczku, puszczała muzykę klasyczną, żeby rozwijać jej inteligencję. Nawet zabawy z Anne miały na celu rozwój intelektu i umiejętności fizycznych córki.

Pragnęła dać dzieciom szansę, jakich sama nie miała chciała rozwijać ich potencjał.

Deana w końcu zaczęła oburzać uwaga, jaką poświęcała dzieciom. Przede wszystkim raziła go jej miłość do Michaela. „Chłopak nie zna żadnej dyscypliny!” Nie potrafiła pojąć tego oskarżenia, bo każda chwila w życiu Michaela była

uregulowana. Całe jego życie było poddane dyscyplinie. Czyż o to nie dbała?

A jednak, mimo wszystkich jej wysiłków, Michael też ją zdradził. Odszukał Bryana Taggarta. Spotkali się, choć nie nawiązali głębokiego kontaktu. Tak czy siak zdawało się, że w jej stosunkach z synem coś pękło. Im więcej Michael odnosił sukcesów, tym bardziej się od niej odsuwał. Przełała na niego tyle miłości i starań, a on nie miał dla niej czasu.

Dean nigdy nie rozumiał, jak bardzo była rozdarta, zraniona. Starła się zachować jak osoba, która wie, czego chce. Odwrotnie niż jej matka, zabierała Anne wszędzie, nawet na zajęcia na uczelni. Kiedy stało się to niemożliwe, zrezygnowała z własnych marzeń, by tylko zapewnić Anne możliwości, jakich sama nie miała. Czyż nie robiła tego samego dla Michaela?

A potem Dean zaszokował ją, mówiąc, że rzuca pracę, która przynosiła mu sześciocyfrowy dochód rocznie, i zakłada własną firmę. Nagle całe jej poczucie bezpieczeństwa ulotniło się z dymem. Wtedy zaczęły się kłótnie i nie ustały aż do chwili, gdy Dean złożył pozew o rozwód. Jej adwokat twierdził, że Dean okazał niebывałą hojność, pozostawiając Norze dom i oszczędności. Żądanie alimentów byłoby już przesadą, tym bardziej że jedyny dochód Deana stanowiło marne wynagrodzenie z nowej działalności gospodarczej. O Deanie Gardnerze mogła powiedzieć jedynie tyle dobrego, że nigdy się nie wykręcał od płacenia na dziecko. Czeki zawsze przychodziły pierwszego dnia miesiąca.

Tego roku, gdy się rozwiedli, usłyszała od sześciolatniej wówczas Anne, że Dean zamieszkał z kobietą, która była jego sekretarką w banku. Ale gdy przeniósł firmę do południowej Kalifornii, ona za nim nie pojechała. Po wakacjach spędzonych z ojcem Anne powiedziała matce, że wciąż są przyjaciółmi. Nora nie znajdowała odrobiny sensu w życiu byłego męża, nie chciała też mieć z nim nic wspólnego poza tym, by dostawać swoje miesięczne czeki. Nakaz sądowy zmuszał ją jednak, żeby wysłała Anne na lato do ojca.

Kiedyś po powrocie córki Nora się dowiedziała, że Dean ma nową kobietę. Mieszkał z nią przez kilka lat, dopóki nie przyjął lukratywnej posady w Nowym Jorku i nie odeszła. Znów po przyjacielsku. Teraz Dean mieszka z kolejną kobietą, tym razem młodszą.

Dlaczego pokochała Freda?

Mówią, że za trzecim razem to oczarowanie. Jak dotąd uważała swoje małżeństwo za idealne.

Aż do dziś.

Gdzie jest Fred? Dochodziła druga nad ranem, a jego wciąż nie było w domu.

Czy on też ją zdradza, tak jak zdradzili ją wszyscy, których kochała?

Boże, dlaczego oni to robią? Dlaczego wszyscy się ode mnie odwracają? Oddaję im całe swoje życie, a oni się odwracają. Matka nie dość mnie kochała, by poświęcać mi swój czas. Ojciec prawie się do mnie nie odzywał. Bryan mnie porzucił. Dean mnie zdradził. Michael nigdy nie ma dla mnie czasu. Anne chce robić wszystko po swojemu. A teraz Fred...

Zahuczały drzwi do garażu. Serce załomotało jej jak szalone, poczucie ulgi zmieszało się ze złością. Jak Fred śmie tak późno wracać do domu? Siedziała w fotelu na wprost hallu. Fred zobaczy włączone światło i zajrzy do niej. Usłyszała, jak otwierają się drzwi z garażu do domu. Wszedł Fred, wciąż w marynarce, z prochowcem przewieszonym przez ramię i teczką w ręce. Wyglądał na zmęczonego.

-Gdzie byłeś, Fred? Umierałam ze strachu o ciebie. Jest wpół do trzeciej.

-Byłem w „Scomie” w San Francisco. Dziś rano przyjechali Japończycy. Pamiętasz? - Z irytacją zacisnął usta.

Uniosła lekko brwi i złość się z niej ulotniła. Coś było nie tak.

-Nie pamiętasz, co, Noro? - spytał cicho. Patrzył na nią i czekał. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Uśmiechnął się ponuro. - Myślisz tylko o Anne, wszystko inne wylatuje ci z głowy. - Oczy mu lekko pociemniały. Mówiłem ci miesiąc temu, że przylecą ci ludzie. Mówiłem ci, jak ważny dla firmy może być ten kontrakt. Będą tu do soboty.

W jego oczach dostrzegła oskarżenie.

-Dlaczego jesteś na mnie zły? Co zrobiłam źle?

-Wczoraj rano powiedziałem, że zadzwonię
i dam ci znać, gdzie będziemy jedli kolację. Miałaś się tam ze mną spotkać,
Noro.

Nagle wszystko sobie przypomniała i przeszedł ją dreszcz. Jak mogła
zapomnieć?

-Gdzie ty byłaś, Noro?

-U matki - powiedziała łamiącym się głosem, przerażona, że tak bardzo go
zawiodła. To wszystko przez córkę! Gdyby Anne nie uciekła, przyprawiając ją o
załamanie nerwowe, nie zaniedbałaby swojego obowiązku wobec Freda.

Twarz mu się zmieniła.

-Twoja matka jest chora?

-Wygląda gorzej niż kiedykolwiek. - To była prawda. Nora przeżyła wstrząs,
widząc, jak bardzo jej matka się postarzała od czasu, gdy widziały się ostatni
raz.

-Dzwoniła do ciebie?

-Nie. Tylko... tylko miałam przeczucie, że coś jest nie tak. - Myśląc o
zdradzie Anne, zakryła twarz dłońmi i zaczęła płakać. - Musiałam się z nią
zobaczyć. Wszystko inne wyleciało mi z głowy. To był najgorszy dzień w moim
życiu. A teraz jeszcze ty się na mnie gniewasz.

Dawniej Fred zawsze szybko ją pocieszał. Teraz jednak nie ruszył się z
miejsca. Westchnął, rzucił płaszcz na oparcie kanapy i postawił teczkę na
podłodze.

-Muszę się napić. - Podeszedł do barku, wyjął z szafki whisky i nalał sobie pół szklanki.

Nora pociągała nosem, muskając go koronkową chusteczką i nie potrafiła opanować urazy, że Fredowi nawet nie przyszło do głowy, by zaproponować jej drinka.

-Będę musiał włożyć sporo wysiłku, żeby zachować twarz - powiedział wsielczym tonem. Wypił łyk whisky i postawił szklankę na blacie. Spojrzał na nią bez wyrazu. - W kontaktach z Japończykami to ma duże znaczenie. Była z nami żona pana Yamamoto i bardzo chciała cię poznać, a fakt, że moja żona się nie zjawiała, powiedział im więcej niż sto stron dokumentów, nad którymi siedziałem przez ostatnie pół roku.

W jego oczach tliła się nie tylko złość. Był urażony i rozczarowany. Ze strachu poczuła ucisk w dołku. Czy on zostawi ją tak jak inni? Bardzo się starała, ale coś zawsze krzyżowało jej plany.

-Przepraszam, Fred.

-Trochę za późno na przeprosiny. - Dopił whisky i odstawił szklankę.

Jeszcze raz spojrział na Norę i wolno pokręcił głową, jakby starając się wszystko

zrozumieć.

-Noro, czasem się zastanawiam... - powiedział i zamilkł.

-Nad czym? - zapytała cicho.

Był wyczerpany i wyglądał na więcej niż swoje pięćdziesiąt siedem lat.

-Będzie lepiej, jeśli teraz nie powiem nic więcej. Jestem zmęczony. Idę do łóżka.

Co to miało znaczyć? Że to wszystko jej wina? Czemu nawet nie spróbował zrozumieć, jaki miała straszny dzień? Gdyby jej wysłuchał, zrozumiałby, dlaczego zapomniała o kolacji. Pomimo wszystkich jej wysiłków, wszystkich poświęceń dla tych, których kocha, nikt zdaje się nie przejmować jej cierpieniem.

Fred wziął z kanapy płaszcz i schylił się po teczkę.

-Porozmawiamy rano.

Te słowa zabrzmiały złowieszczo.

Gdy wyszedł z pokoju, Nora załkała, tym razem ze strachu przed tym, co przyniesie jutro.

9

Corban zatrzymał się na podjeździe Leoty Reinhardt i ujrzał zaparkowany przed domem samochód z chrześcijańskim znakiem ryby. Zauważył też inne rzeczy. Trawa była świeżo skoszona, a starannie przycięte krzewy przed domem odsłoniły frontową werandę. Usunięto też wiszące doniczki.

Wszedł po schodach i zobaczył, że fotel na biegunach jest umyty. Siedzisko wciąż było mokre, tak jak i cały ganek. Zniknęły pajęczyny i kurz, unosił się tylko zapach wilgoci i świeżo przyciętej trawy.

Czyżby przyjechał nowy wolontariusz? Corban się zdenerwował, że w domu jest jakiś intruz. Zadzwoił do drzwi i czekał. Po trzecim dzwonku zaniepokoił się, że coś mogło się stać pani Reinhardt. Czemu nie otwiera? Ponieważ nie słyszał żadnych odgłosów z wewnątrz, chciał zajrzeć przez okno, ale przypomniał sobie, co Leota powiedziała przy pierwszym spotkaniu. Nie musi go wpuszczać, jeśli nie ma na to ochoty.

Zrezygnowany zszedł po schodach, zastanawiając się, co zrobić. Kiedy otwierał drzwi samochodu, usłyszał głosy dochodzące zza domu. Przecisnął się obok auta i ruszył przed siebie wąskim podjazdem.

-Pani Reinhardt? - zawołał, wychodząc zza rogu. Stała w ogrodzie na niewielkim podwórku obok tylnych drzwi miała na sobie kwiecistą sukienkę z

poliestru i biały sweter. Była z nią jakaś dziewczyna.

Bardzo ładna dziewczyna.

-Corbanie, co ty tu robisz? Jest sobota.

-Pomyślałem, że wpadnę - rzekł, starając się nie gapić na jej towarzyszkę.

-To moja wnuczka, Anne-Lynn Gardner. Annie, to Corban Solsek. Należy do organizacji charytatywnej, która przysyła ochotników do pomocy starszym.

Dziewczyna była niewiele wyższa od staruszki. Miała smukłą, wysportowaną sylwetkę i długie jasnorude włosy luźno związane na karku. Była ubrana w powalany ziemią biały podkoszulek, wyblakłe niebieskie dżinsy i brudne tenisówki. Zdjęła rękawicę ogrodniczą i podeszła do niego z wyciągniętą dłonią.

-Miło cię poznać, Corbanie. - Na jej czole perliły się kropelki potu i miała brudną smugę na policzku. Wyglądała niechlujnie, ale promieniowała z niej niewinność i szczerą życzliwość, które sprawiły, że Corban odwzajemnił uśmiech.

-Mnie również.

-Przyjechałeś w samą porę - odezwała się Leota z błyskiem w oku.

To od razu obudziło jego czujność. Uniósł brwi i spojrzał na staruszkę.

-Aż się boję pytać.

Leota zachichotała.

-Właśnie miałyśmy przyciąć drzewa za domem. Pora roku nie jest na to najlepsza, ale

drzewom to bardzo potrzebne. Ty zaś jesteś mężczyzną, który doskonale się do tego nadaje.

-Zdaje się, że jestem jedynym mężczyzną pod ręką.

-Nie psuj komplementu.

Roześmiał się. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak dobrze. Świeże powietrze wyraźnie jej służyło.

-Mamy zamiar przywrócić ogrodowi dawny wygląd - powiedziała Anne z uśmiechem.

W co też on się pakuje?

-Nie mam bladego pojęcia o ogrodnictwie.

-Ani ja. - Anne była zachwycona. Z powrotem nałożyła rękawicę. - Ale się nauczymy. Babcia wykona pracę koncepcyjną, a my fizyczną.
-Corban zaraz zaprotestuje, Annie. - Leota uśmiechnęła się do niego. - Jest na ostatnim roku studiów, a wiesz, jakie mądrale chodzą na uniwersytet. Annie się śmiała, a Corban groźnie spojrzał na staruszkę, udając irytację.
-Myślę, że nic mi nie będzie, jak ten jeden raz pobrudzę sobie ręce.
-Dobry chłopak. No to do dzieła! Narzędzia są w szopie na prawo od furtki. Nie brałby się do pracy w ogrodzie, gdyby nie zauważył, że Leota jest w nastroju do rozmów. Może sprawiała to obecność tej ślicznotki, która szła przed nim po brukowanej ścieżce. Cokolwiek było tego powodem, zamierzał kręcić się w pobliżu i notować wszystko w pamięci.
-Drabina stoi pod tylną ścianą - zawołała Leota, podążając za nimi dużo wolniejszym krokiem. Jakby dla lepszego zachowania równowagi lekko rozpostarła ramiona. - I piła. Powinna wisieć na prawo od drzwi. Weźcie jeszcze puszkę farby lateksowej i pędzel.

Corban nie rozumiał, dlaczego Leota mówi o farbie. Mieli przycinać drzewa, a nie malować dom.

-Uważajcie na czarne wdowy. - Leota stanęła przy otwartej furtce pod zapadającą się pergolą. - Lubią ciemne miejsca.

-Dobrze, babciu.

Stęknąwszy w duchu, Corban zwolnił kroku. Miał nadzieję, że dziewczyna nie będzie od niego oczekiwać, by stawił czoło pająkom.

Nawet nie mrugnęła okiem w jego stronę. Zaatakowała pajęcze sieci jak wojownik uzbrojony w miecz - siekła w górę, na dół, w przód, wkraczając nieustraszenie w głąb ciemnego, zakurzonego pomieszczenia. Tłukła się tam przez chwilę, po czym podała Corbanowi piłę i wyszła, niosąc drabinę.

-Nie stój tak, Corbanie - zawołała staruszka. - Na ścianie wisi sekator na wisięniku. Będzie nam też potrzebna farba i pędzel. Powinny stać na półce.

-Ja wygląda ten sekator? - Nim wszedł do zakurzonej, ciemnej szopy uważnie się rozejrzył.

-Takie dwa dopasowane do siebie drągi. Jeden zakończony cążkami.

Znalazł sekator i zaplątał się w linę przywiązaną do cążek. Szybko owinał sznur wokół dłoni, wziął obydwie drągi i wyniósł je na zewnątrz, szczęśliwy, że znów widzi światło dzienne. Nie czuł, żeby coś po nim łąziło.

Anne już ustawiła drabinę pod największym drzewem stojącym pośrodku ogrodu.

-Co to za drzewo, babciu?

-Morela. A tamto to wiśnia. Dalej śliwa. - Pokręciła głową. - Ależ tu plątanina...

Corban w pełni się z nią zgadzał. Gałęzie sterczały na wszystkie strony. Ziemia była pokryta chwastami niektóre sięgały kolan, a te rosnące z tyłu były jeszcze wyższe. Co najgorsze, pod drzewm leżała warstwa kilkuletnia, sądząc po wyglądzie - uschniętych i zgniłych owoców. Tu i ówdzie kielkowały małe drzewka.

-Okej, babciu. Mamy wszystkie narzędzia. Od czego zaczynamy? - Anne stała z piłą w ręku, gotowa na rozkazy.

Leota Reinhardt podeszła do nich ostrożnie. Chwyciła jedną z opadających gałęzi i odłamała kawałek. Obejrzała go, a potem spojrzała na drzewo.

-Najpierw trzeba usunąć wszystkie martwe, połamane i chore gałęzie. Tę i tamtą - wskazała palcem. - Zaczynajcie od tego miejsca i posuwajcie się w dół i ku brzegowi. Musicie ciąć tuż nad pączkami. - Spojrzała na niego. - Corbanie, zmontuj ten sekator i bierz się do roboty. Annie nie może wszystkiego robić sama.

-Uwaga tam na dole - zawołała Annie, kiedy spadała pierwsza gałąź.

-Spokojnie - powiedziała pani Reinhardt. - Gałęzie nie mogą się o siebie obijać. Podaj jej puszkę, Corbanie. Annie, pomaluj miejsce cięcia, żeby bakterie nie dostały się do środka i żeby soki nie wyciekały zbyt długo. Użyj tego scyzoryka, który ci dałam.

Annie wyjęła nożyk z tylnej kieszeni, podważyła nim wieczko puszek i schowała scyzoryk. Corban obserwował, jak delikatnie nakłada farbę na obciętą gałąź. Umocowała puszkę w miejscu, gdzie łączyły się gałęzie, i schyliła się po piłę leżącą na tacy przy drabinie.

-Sekator, Corbanie. Sekator!

Staruszka zachowywała się jak generał podczas bitwy! Stała na straży przy furtce i obserwowała pole walki.

-Tę zostaw, Annie. Zetnij tę po prawej stronie. Chcemy mieć smukłe drzewo, żeby powietrze swobodnie krążyło między gałęziami i żeby padało na nie więcej światła.

-Tę, babciu?

-Tak. Właśnie tę. Corbanie, sprawdź, czy dosięgniesz do tamtej gałęzi. Pociągnij. Nie bój się jej. Widzisz? Ten konar obciera większą gałąź. Kaleczy ją. Pewnie jest tam rana. Annie, musisz pomalować to miejsce, żeby nie zaczęło gnąć. Tamtą gałąź też trzeba obciąć. Pewnie złamał ją wiatr. Widzisz? Ta z brązowymi liśćmi. Dasz radę się tam wspiąć, kochana?

Annie się roześmiała.

-Jasne! - Przelazła z drabiny na drzewo z piłą majtającą na haczyku przyczepionym do paska. Poruszała się z wdziękiem i łatwością. Na chwilę przystanąła, żeby sięgnąć po puszkę i przyczepić ją do paska obok piły. Nie przejmowała się, że farba plami jej lewisy. Corban pracował niżej i zerkał na nią. Zachowywała się jak dzieciak na pikniku.

-Uwaga! - krzyknęła Annie, zrzucając kolejną gałąź.

Staruszka pouczała swoje sługi, a drzewo nabierało kształtu. W środku otworzyła się przestrzeń, przez zielone listki sączyło się światło i zabarwiało ich krawędzie na złoto. Gałęzie nie sterczały już na wszystkie strony, ciężkie i pozostawione samym sobie. Ich kształt był uregulowany, zaokrąglony się ku górze, na szczycie przycięte płasko jak kielich do wina.

-No - westchnęła z zadowoleniem pani Reinhardt. - Gotowe.

Annie zeszła z drabiny. Cofnęła się niemal do furtki, przy której stała jej babcia, i spojrzała w górę. Staruszka cieszyła się jak dziecko.

-W tym roku to drzewo da owoce - powiedziała. - Dużo owoców.

Corban uniósł brwi.

-Myślałem, że im mniej gałęzi, tym mniej owoców.

-Dobre przycięcie drzewa stymuluje odpowiedni rozwój. To samo odnosi się do niektórych ludzi.

Corban już miał zapytać, co Leota przez to rozumie, lecz Anne mu przeszkodziła

-A co zrobimy z obciętymi gałęziami, babciu? Szkoda, że nie mamy wiórkarki. Widziałam ekipy obrabiające tym drzewa wzdłuż ulicy. Gałęzie wkłada się do środka, a maszyna w kilka minut mieli je na drobne ścinki, które się rozsypuje pod drzewem.

-Mamy coś lepszego niż wiórkarka. - Leota Reinhardt uśmiechnęła się łobuzersko. - Mamy Corbana. - Spojrzała na niego i rozkazująco machnęła ręką. Połam większe gałęzie na półmetrowe kawałki. Przyniosę sznurek, zrobisz nieduże wiązki i ułóżysz je w stos z tyłu pod drzwiami. Będę nimi palić w kominku, gdy przyjdą chłody.

-A ja w tym czasie zajmę się wiśnią, babciu - rzekła Anne, składając drabinę.

Corban zdusił w sobie irytację. Mała pani pracuś i poganiaczka niewolników. Co one sobie myślą? Że przyszedł z hufca pracy? Złamał martwą gałąź na kolanie, rzucił na bok, wziął następną. Prościej będzie szybko wykonać robotę, niż się od niej wymigać.

Śliczna mała Anne-Lynn Gardner stała już na drabinie pod wiśnią. Corban złamał następną gałąź. Gdyby przynajmniej udało mu się wydobyć od dziewczyny jakieś informacje, dzień nie poszedłby na marne.

-Pewnie jesteś z babcią w bliskich stosunkach?

-Nie tak bliskich, jak bym chciała. - Spojrzała na niego z góry, trzymając w ręku piłę. - Nasza rodzina nie odwiedzała jej często, a kiedy już przyjeżdżaliśmy, mama odprawiała mnie do ogrodu. Prawie nie znam mojej babci, Corbanie. - Zaczęła piłować uschnięty konar. - Ale mam zamiar to naprawić.

Leota znalazła w szafce na bieliznę stojącej na tylnej werandzie kłębek szpagatu. Była już zmęczona. Wyczerpało ją samo stanie przy furtce. Dobrze było czuć na twarzy promienie słońca, ale ciepło pozbawiło ją resztek energii. Zbyt wiele miesięcy spędzonych w domu przy sztucznym świetle - pomyślała. Zrobiła się blada jak rozkładające się zwłoki. No, ale dziś nie siedzi już w domu!

Zdjęła kapelusz przeciwsłoneczny ze ściany, na której wisiał od dwóch lat, i wyszła na dwór. Nogi miała jak z ołowiu, gdy schodziła po czterech murowanych schodkach prowadzących na wybrukowaną kamieniami ścieżkę przed mieszkaniem, które Bernard zbudował dla rodziców.

Gdziekolwiek spojrzała, widziała rośliny wymagające przycięcia,

przerzedzenia, podwiązania lub usunięcia. Godziny pracy. Dla niej zawsze była to praca z miłości. Ale czy będzie taka również dla Annie? Biedny Corban jest taki posępny. Leota doskonale wiedziała, dlaczego zgodził się jej pomóc chce zdobyć informacje, prawdopodobnie przesłuchuje teraz Annie. Tyle że ona niewiele mu powie. Ta słodka dziewczyna nawet sobie nie zdaje sprawy, że jest przepytwana. Nie przyszłoby jej do głowy, że ktoś mógłby ją wykorzystywać.

A może niesprawiedliwie ocenia Corbana? To nie całkiem jego wina, że chociaż tak napompowany wiedzą, nie ma za grosz zdrowego rozsądku. W dzisiejszych czasach edukację traktuje się nie mniej bałwochwalczo niż w przeszłości. Corban nie miał tego doświadczenia co ona. Twarda szkoła życia uczy czasem więcej niż najlepsze uniwersytety w kraju.

I Ty, Panie. Ty uczysz serca i umysły. Czasami prawdę trudno znieść, ale lepiej jest żyć w jej świetle niż w mroku kłamstw.

Zanim doszła do furki, dostała lekkiej zady- szki.

-Szybko pracujesz - powiedziała do Corbana.

Przeniósł wzrok z Annie na nią. Potknęła się

o kamień na ścieżce. Próbując utrzymać równowagę, złapała się słupka pergoli.

-Dobrze się pani czuje, pani Reinhardt? - Corban wyglądał na zatroskanego.

Co on sobie myśli? Że upadnie i skona u jego stóp, a praca semestralna pójdzie z dymem?

-Nic mi nie jest. Jestem tylko stara i niezdarna.

-Przyniosę krzesło ogrodowe.

-Podlizujesz się?

Przystanął i roześmiał się ironicznie.

-Łatwiej będzie rozmawiać, jeśli będzie pani przytomna.

Zachichotała. Chłopakowi brakowało oglądy, ale miał ikrę. To się jej podobało.

-No i co? Przepytawałeś Annie, jak staruszka była w domu?

-Próbowiałem.

Przynajmniej uczył się mówić prawdę.

Annie rozdzieliła dwie gałęzie i uśmiechnęła się do niej.

-Jesteś wielką zagadką, babciu.

-Być zagadką to dobra rzecz. Wzbudza się zainteresowanie. Gdybym opowiedziała Corbano- wi wszystko o sobie, nie chciałoby mu się tu przychodzić i musiałabym się przyzwyczajać do nowego wolontariusza. - Corban wrócił z metalowym krzesłem i postawił je na małym zachwaszczonym trawniku. Był wyraźnie zirytowany.

-No co, czy to nieprawda?

-Nie drażnij go, babciu. Jestem pewna, że nie zapomni o tobie, gdy tylko zdobędzie informacje do swojej pracy.

-Musisz w nim widzieć coś więcej niż ja. - Corban poczerwieniał, choć Leota nie wiedziała, czy to z gniewu, czy z zakłopotania. Spojrzała mu w oczy. - Powiedz mi, jeśli się mylę.

-Zaraz sobie pójdę.

-Oj, przestań się dąsać. Zanim się wyniesiesz, przestaw to krzesło na słońce. Będę lepiej widzieć, co Annie wyrabia z tą wiśnią.

Corban złapał krzesło, zręcznie prześlizgnął się z nim przez furtkę i zdecydowanym ruchem postawił je na ziemi. Wrócił po Leotę i zaproponował, by wsparła się na jego ramieniu.

-Nawet nie musiałam prosić! - Uśmiechnęła się do niego. Kroczyła po nierównej ziemi, trzymając się go kurczowo. - Taki dobry chłopiec, troszczy się

o potrzeby starszej pani. - Rozsiadła się wygodnie na krześle. - Dziękuję, mój drogi.

-Ależ nie ma za co - wycedził przez zęby.

Wyjęła kłębek szpagatu z kieszeni swetra i podała go Corbanowi.

-Na wypadek, gdybyś zmienił zdanie i został. - Popatrzył tylko na sznurek, więc dodała - To do gałęzi. Półmetrowe kawałki. Już zapomniałeś?

-Miałem nadzieję, że pani zapomniała. - Wziął szpagat i wrócił do pracy.

Leota zaczynała go lubić. Był sztywny, wyniosły i samolubny, ale chyba nie

taki całkiem nieprzystępny. Odchyliła się do tyłu, ciesząc się promieniami słońca, muskającymi jej twarz.

-Wiecie, że drzewo morelowe żyje nawet do stu lat?

-A ile lat ma twoje, babciu?

-Sześćdziesiąt pięć albo coś koło tego. Kiedy wprowadziłam się do Mamy i

Papy Reinhardtów, w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, dopiero zaczęło

rodzić owoce. W czterdziestym drugim zasadziłam dwie wiśnie. Jedna uschła. Nigdy nie odkryłam, co ją zabiło. Z dnia na dzień obumarły jej liście. Bałam się, że wdała się jakaś zaraza, która może się rozprzestrzenić na inne drzewa, więc szybko ją ścięłam i spaliłam. Zanim na jej miejsce posadziłam tę śliwę, włożyłam w tę ziemię dużo pracy i modlitw.

-Sporo zmartwień jak na jedno drzewo. - Corban odrzucił na bok wiązkę gałęzi związanych sznurkiem i wziął się za układanie następnej.

-Był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty. Zmartwienia były naszą codziennością. Wojna przybierała na sile. Mój mąż był w wojsku, walczył w Europie. Widząc, jak umiera to drzewo, niepokoiłam się o niego jeszcze bardziej.

Corban przerwał na chwilę pracę i zmarszczył czoło.

-Nie rozumiem. Jaki związek ma umierające drzewo z pani mężem w Europie?

-Pewnie żaden, tyle tylko, że to był mój ogród zwycięstwa. Trudno wierzyć, że wszystko dobrze się skończy, gdy drzewo owocowe umiera w ciągu jednej nocy.

-Aha. - Wciąż wyglądał na zdezorientowanego. Uśmiechnął się grzecznie, ale wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Uznał, że pomieszały jej się klepki.

-Pani mąż wrócił do domu?

-Tak, wrócił. - Corban patrzył na nią, czekając na ciąg dalszy. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Nie zaszkodzi, jak poczeka jeszcze trochę. Nie doceniłby tego, co ma mu do powiedzenia. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

-Jaki był dziadek? - spytała Annie, stojąc wciąż na szczycie drabiny. Obcięła kolejną gałąź, ostrożnie ją wysunęła spomiędzy innych konarów i rzuciła na ziemię.

-A co ci opowiadała mama?

Annie znieruchomiała na drabinie.

-Niewiele - powiedziała po chwili i wróciła do pracy.

Biedna Eleonora. Tyle gniewu, tyle wstydu. A wszystko przez to, że jest zbyt ślepa i uparta, żeby zobaczyć prawdę. Panie, czasami chciałabym potrząsnąć tą dziewczyną tak długo, aż runie mur, którym się otoczyła. Na pewno dobrze wiesz, jak się czuję.

-Był dobrym człowiekiem, Annie - powiedziała stanowczo. - Miał dobre serce. Przejmował się wieloma sprawami. Tylko był... cichy.

Bernard nie zawsze bronił do siebie dostępu. Kiedyś był jak rycerz na wielkim rumaku, gotów rzucić się w każdy bój. Czyż nie przypuścił ataku na jej cytadelę i nie zdobył jej serca? Zgodziła się go poślubić po czterech randkach, co wprawilo jego rodziców w głębokie zdumienie, z którego nigdy się całkiem nie otrząsnęli. Papie może się udało, ale Mama nie akceptowała jej do samego końca aż wreszcie było już za późno, żeby cofnąć lata krzywd.

Byli z Bernardem szczęśliwi przez trzy lata. Potem Japończycy zbombardowali Pearl Harbor i wyrócili ich świat do góry nogami. Bernard wolał sam wstąpić do armii, niż czekać, aż go powołają. Rozumiała jego powody, lecz to nie umniejszało strachu, który przez cały czas jego nieobecności ją pożerał. Tak bardzo go kochała... myślała, że umrze bez niego. Dopiero później zrozumiała, że są rzeczy gorsze niż śmierć.

Bernard Gottlieb Reinhardt poszedł na wojnę młody i dumny z tego, kim był lojalny Amerykanin gotów ryzykować życie, żeby obalić Hitlera. Rodzice Bernarda tak samo jak on pragnęli klęski Hitlera śledzili wiadomości i wiedzieli, co ów ego- tyczny, szalony dyktator wyprawiał w Europie. Umierali ze strachu o krewnych mieszkających w Niemczech i modlili się za nich. Dostawali druzgoczące wieści. Dlaczego inni nie widzieli, co tak naprawdę się działo, i nie wyjechali z Niemiec, nim było za późno? Mogli przyjechać do Ameryki, kraju, w którym panowała wolność, otwierały się możliwości.

Wolność, możliwości...

Dla tych, którzy wciąż mówili z silnym niemieckim akcentem, możliwości szybko się skurczyły. Szerzyła się nieufność.

Biedny Bernard dźwigał na swoich barkach wielką odpowiedzialność. Pojechał nie tylko na wojnę miał także odszukać krewnych i dowiedzieć się, co się z nimi dzieje.

I znalazł ich, zgodnie z wolą Boga.

Weteran Bernard Gottlieb Reinhardt nie był tym samym człowiekiem, który dumnie pomaszerował w bój. Stał się obcy, miał złamaną duszę i dręczyło go tak wielkie cierpienie, że już nigdy nie zdołał się wydobyć z otchłani depresji.

Nawet

alkohol nie mógł uśmierzyć bólu, który Bernard nosił w sobie aż do śmierci.

Corban coś powiedział i Leota spojrzała na niego zdezorientowana, wciąż zatopiona we wspomnieniach.

-Pani mąż. Jak zarabiał na życie?

-Och, robił różne rzeczy. Przez jakiś czas malował domy. Potem stawiał ścianki gipsowe. Przez pewien czas był zatrudniony u dekarza. Imając się tylu prac, w końcu stał się majstrem od wszystkiego. Musicie obejrzeć mieszkanie za wiatą samochodową. Bernard zbudował je dla rodziców. Zrobił wszystko sam, łącznie z instalacjami hydraulicznymi.

Nie chciała im mówić, że po wojnie Bernard nie potrafił utrzymać posesji dłużej niż przez rok. Zawsze znalazł się jakiś powód zranione uczucia, kłótnia, niskie płace, zwolnienia.

-Po pewnym czasie został złotą rączką. Ludzie zatrudniali go do różnych dorywczych prac. Wszystko, co robił, robił dobrze.

Annie patrzyła na nią z wysokości. W jej uśmiechu Leota dostrzegła coś, od czego zachciało jej się płakać. Może Eleonora powiedziała jej więcej, niż Annie chciała przyznać.

-Z takim fachem trudno zapracować na godziwą emeryturę - rzekł Corban.

Leota zacisnęła usta. Corban z pewnością chciał dać do zrozumienia, że Bernard pozostawił ją bez środków do życia. Tak było w istocie, ale nie miała ochoty się nad tym rozwodzić.

-W życiu liczą się nie tylko pieniądze, młody człowieku. - Nie miała zamiaru wyliczać wad Bernarda jako męża lub ojca. Starał się najlepiej, jak mógł.

-Nie chciałem powiedzieć nic złego o pani mężu, pani Reinhardt.

Głupi chłopak wciąż myślał tylko o swoim sprawozdaniu, gromadził fakty, stawiał hipotezy. Wszystko na opak.

-Fakt, że nigdy nie rozmawialiśmy o emeryturze - odparła. - Nie było czasu. Większość ludzi z naszego pokolenia pracowała do sześćdziesiątego piątego albo siedemdziesiątego roku życia, chyba że wcześniej wyciągnęli nogi. Niektórych wyrzucano z pracy na miesiąc przed emeryturą. Bernard umarł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym. I nie pytaj mnie, na co. Nie prosiłam o sekcję.

Corban się wzdrygnął i Leota zamknęła oczy, żalując, że była tak obcesowa. Westchnęła i spojrzała na niego.

-Są rzeczy, których nigdy nie zrozumiesz, Corbanie, a ja nie mam siły ich wyjaśniać.

Uniósł brwi, patrząc jej badawczo w twarz. Po raz pierwszy dostrzegła u niego cień współczucia. Uśmiechnęła się.

-Nie pójdzie ci tak łatwo, jak myślałeś, co? To twoje wypracowanie.

-Nie.

-Co ci się stało? - spytała Ruth, gdy Corban wszedł do domu.

-Pracowałem fizycznie - odparł sucho, osuwając się na wysłużoną kanapę. Był wyczerpany, brudny i rozdrażniony. Rozejrzawszy się po mieszkaniu, poczuł się trochę lepiej. Spodziewał się bałaganu, jednak Ruth nie próżnowała. Dywan był odkurzony, poduszki na kanapie poprawione, a ława uprzątnięta z okruchów, które zwykle zostawały po zebraniach z koleżankami.

-Co się stało? Odwołałyście spotkanie?

-Nie - odparła zirytowana. - Właśnie skończyłam sprzątać. Dziewczyny wyszły godzinę temu. Gdzie byłeś, Coiy?

-U pani Reinhardt, pomagałem jej wnuczce przycinać drzewa.

-Wnuczce?

Corban wyczuł napięcie w jej głosie. Zazdrość? Miło wiedzieć, że się go docenia.

-Ma na imię Annie. Osiemnaście lat albo coś koło tego. Chodzi do jakiejś szkoły plastycznej w San Francisco.

Ruth oparła się ramieniem o framugę drzwi kuchennych, krzyżując nogi.

Uśmiechnęła się enigmatycznie.

-Ładna?

-Bardzo. Drobna. Włosy do pasa. Blondynka.

-Naturalna?

-Nie bądź podła.

Zaśmiała się.

-Oj, daj spokój. W San Francisco mieszka mnóstwo ludzi, którzy uważają się za artystów. Pewnie jakaś słodka idiotka.

-Dość nonszalancka uwaga jak na kogoś, kto przed chwilą miał spotkanie z feministkami.

Oderwała się od framugi z gniewnym błyskiem w oku i weszła do kuchni.

-Chcesz kolację? Zrobiłam zapiekankę z tuńczyka.

-Jadłem już u pani Reinhardt. Kotlety wieprzowe - trzy dolary, pięćdziesiąt dziewięć centów za funt. - Zaśmiał się. Pani Reinhardt nie zapomniała go poinformować, ile ją kosztował jego posiłek.

-Z czego się śmiejesz? - Ruth stanęła w drzwiach z ręcznikiem przewieszonym przez ramię. - Ta staruszka nie wygląda na zbyt uprzejmą.

-Tak, to prawda - położył głowę na oparciu kanapy. - Nie jest przyjemna. Co chwila się na mnie zżyma. Rozkazuje mi, jakbym był jej służącym. Nie ma dla mnie za grosz szacunku.

-Wie, że studiujesz na uniwersytecie?

-Wie. To kolejny powód do ataków na mnie.

-Dlaczego?

Pochylił się do przodu i zdenerwowany przeczesał palcami włosy.

-A jak sądzisz? Wie, że jest częścią mojego projektu.

-Powiedziałaś jej?

-Nie miałem wyboru. Przygwoździła mnie do muru, gdy byłem tam ostatni raz. Musiałem powiedzieć jej prawdę, bo inaczej wyrzuciłaby mnie za drzwi. Mówiąc metaforycznie, rzecz jasna.

-No i co, udziela ci potrzebnych informacji?

-Same strzępy. Wydziela mi fakty jak psu smakołyki. Siad, Corban. Aport, Corban. - Pomyślał o kilkunastu wiązkach gałęzi, ułożonych równo na jej werandzie. Ile kasków wyciągnął z niej dzisiaj? Za każdym razem, gdy dowiadywał się o staruszce czegoś nowego, pojawiała się coraz więcej pytań.

Leota Reinhardt była bardziej złożoną postacią, niż przypuszczał.

-Więc daj sobie z nią spokój, Cory. Idź do jakiegoś klubu seniora i porozmawiaj z paroma osobami. Albo idź do domu opieki. Na litość boską, nie rób takiego zamieszania z powodu jednej staruszki.

Łatwo jej mówić.

-Zaszedłem już tak daleko z panią Reinhardt, że teraz się nie poddam. -

Rzeczy, które dziś powiedziała, wzbudziły w nim głębsze zainteresowanie. Mimo to rozmowa z nią była jak wyrywanie

pojedynczych włókien z gobelinu, podczas gdy jemu zależało na całościowym obrazie. - Dzisiaj zachowywała się inaczej. Zobaczyłem w niej cechy, których wcześniej nie dostrzegałem.

-Na przykład?

-Ma poczucie humoru. Jest bystra i potrafi cię zbić z pantalyku.

-Pięknie - powiedziała sucho Ruth. - Czy dzięki tym nowym spotrzeżeniom

napiszesz pracę?

Nie to ją niepokoiło i oboje o tym wiedzieli. Corban wstał i podszedł do

komputera. Włączył go i usiadł.

-Muszę zrobić parę notatek, póki mam wszystko świeżo w pamięci. - Ruszył myszką i kliknął ikonę edytora tekstu. Wiedział, że Ruth wciąż stoi w drzwiach czuł na sobie jej spojrzenie. Powietrze aż buzowało z napięcia.

-Może jutro coś wspólnie porobimy, Cory? Wybierzemy się do kina albo pojedziemy promem na Angel Island? Coś. Martwię się. Nie sądzisz, że popadamy w rutynę?

Popadli w rutynę, zgadza się. Ona ją ustaliła. Zabawne, że teraz to zauważyła. Może czuje się mniej pewna jego uczuć i swojej sytuacji. Cóż, niech tak zostanie.

-Zobaczymy. - Otworzył plik i zaczął pisać.

Wnuczka R. przyszła dziś w odwiedziny. Zauważyłem zmianę w nastawieniu R. Wesoła. Skoncentrowana. Inteligentne poczucie humoru. Dowcipkowała moim kosztem.

Mówiła więcej niż zwykle. Opowiadała trochę o mężu.

Zdobyć informacje o Bernardzie Reinhardcie.

Annie mówiła, że nie wie dużo o babce. Rodzina rzadko ją odwiedzała.

-Może pójde bez ciebie - powiedziała Ruth. W tej deklaracji niezależności pobrzmiwała

nieśmiała groźba Jak nie pójdziesz ze mną, to może znajdę sobie kogoś atrakcyjniejszego, koleżko. Spojrzał na nią ze złością.

-Rób, co chcesz, Ruth. Tylko bądź ostrożna. - Miał nadzieję, że domyśliła się reszty. Nie myśl, że będę tańczyć, jak mi zagrasz. Twój czar słabnie. Iskry w jej oczach zgasły.

-Miło wiedzieć, że się o mnie martwisz. - Odwróciła się i wyszła do kuchni. Corban wrócił myślami do Leoty Reinhardt. W kuchni trzasnęły drzwi szafki. Co spowodowało oziębienie stosunków w rodzinie? Poznać lepiej Anne-Lynn Gardner. Czy Annie nie wspomniała, że zostanie u babci na noc? Może jutro znów tam zajrzy i zdobędzie jej numer telefonu.

Leota siedziała w ławce pośrodku kościoła razem z Annie. Splotła dłonie na kolanach i wpatrywała się w witrażowe okna na wschodniej ścianie. Tęczowe kolory intensywnie płonęły we wczesnym świetle poranka. Na wprost Leoty znajdował się stary ascetyczny krzyż. Po lewej i prawej stronie wisiały atlasowe, misternie haftowane złotem i purpurą chorągwie głoszące chwałę Króla Królów i Boga nad Bogami.

Kobiety i mężczyźni w różnym wieku i o różnym kolorze skóry, ubrani w bordowe stroje z białymi kołnierzykami, siedzieli w chórze tuż pod krzyżem. Pastor - nie ten, którego pamiętała Leota - zasiadał na lewo od pulpitu na krześle podobnym do tronu. Odziany w długą czarną szatę i haftowaną sułę, wyglądał dostojnie.

Ile lat temu ostatni raz przekroczyła próg tego okazałego gmachu starego kościoła z pięknymi oknami? Ile lat temu otaczali ją parafianie? Sześć? Dziesięć? Kościół stał się własnością innej wspólnoty - choć się tym nie przejmowała. Miejsce tchnęło ciepłem i serdecznością. Oprócz dwóch witających u wejścia, do Leoty i Annie uśmiechnęło się lub pozdrowiło je jeszcze kilkanaście osób.

Poprzednia wyprawa do kościoła była bardzo męcząca i denerwująca. Leota wiedziała, że więcej tu nie przyjedzie. Dopadła ją starość i związane z tym ograniczenia. Spacer na przystanek autobusowy wymagał wiele wysiłku. Czekanie kosztowało ją sporo nerwów, zwłaszcza że paru młodych chuliganów łypało na jej torebkę w oczekiwaniu, aż ewentualni świadkowie odejdą, zostawiając ją na pastwę łobuzów. Na szczęście autobus przyjechał, zanim została napadnięta.

Jazda obyla się bez przygód, lecz gdy Leota dotarła już do kościoła, musiała natychmiast skorzystać z toalety znajdującej się w podziemiach. Dwa czy trzy stopnie nie stanowiły kłopotu, ale ciąg schodów w wąskim krętym korytarzu oznaczał ryzyko. Parę razy potrafiły ją dzieci gnające do szkoły niedzielnej. Poruszała się powoli, trzymając się kurczowo poręczy, bojąc się, że spadnie i połamie kości. Młodszy i sprawniejszy mu- j sieli się przeciskać obok niej.

Gdy już pokonała schody do toalety i weszła z powrotem na górę, do sanktuarium, była kompletnie wyczerpana. Usiadła w tylnej ławce, przygnębiona i niezauważona, i ledwo słyszała kaza- i nie. Nie potrafiła się skupić na nabożeństwie. Myślała tylko o długiej podróży do domu. Jak długo będzie czekać na autobus? Kto może jej zagrozić na przystanku? Wpółżywa z wyczerpania drżała na myśl o tym, jak pokona cztery przecznice na płaskim terenie, nim dojdzie do wzgórza, na którym stoi jej dom.

To przerastało jej siły. Życie i bez tego niosło dość napięć. Od tamtej pory Leota nie poszła więcej do kościoła. Przez kilka pierwszych nie dziel spędzonych w domu oglądała msze w telewizji. Bogu z pewnością to nie przeszkadzało. Lecz przerwanie długiego nawyku chodzenia co niedzielę do kościoła było dla niej bolesnym przeżyciem. I ci telewizyjni kaznodzieje z teatralnymi wystąpieniami, zawodowi śpiewacy, efekciarski wystrój i wywołujące poczucie winy prośby o pieniądze. Niekiedy czuła się z tego powodu tak źle, że chciała im wysłać pokaźną część swojej emerytury.

Zamiast tego wyłączała telewizor.

Najsmutniejsze było to, że nikomu jej nie brakowało. Chodziła do tego samego kościoła od lat, a kiedy przestała, nikt nie zadzwonił, żeby się dowiedzieć, dlaczego jej nie ma. Być może zauważono by jej nieobecność, gdyby się bardziej angażowała w sprawy parafii. Ale nie uczestniczyła w życiu wspólnoty. Nikt się nie przejął, gdy odeszła.

Przez pewien czas spotykała się z Bogiem w ogrodzie. Potem i ten cenny czas został jej odebrany. Zastanawiała się, czy z Nim jest tak samo jak z ludźmi. Pewnie Bóg jej nie potrzebował. Cóż znaczy jedna aspołeczna staruszka w porównaniu z tysiącami tych, którzy służą Mu ze wszystkich sił?

Na jakiś czas przestała z Nim rozmawiać. Potem znowu zaczęła. Nie miała nikogo innego, z kim mogłaby gawędzić w długie samotne dni.

Rozejrzała się ukradkiem, szukając znajomych twarzy. Nie dostrzegła żadnej. Wśród wiernych więcej było czarnych niż białych, tu i ówdzie siedział Azjata lub Latynos. Tak jak w jej sąsiedztwie. Niektórzy byli ubrani w eleganckie garnitury i sukienki, inni mieli na sobie podkoszulki i dzinsy.

Czuła się swobodnie, dużo swobodniej niż w dawnych czasach. Może dlatego, że obok siedziała Annie. A jednak chodziło o coś więcej... w tym kościele wyczuwało się ducha, który łączył ludzi. Rasa i pochodzenie nie miały znaczenia. Wszyscy się znali i witali z sympatią.

Czyż nie tak powinno być? Gdzie na świecie może panować taki pokój między ludźmi, jak nie przed Jezusem Chrystusem? Pierwszy raz to poczuła, będąc w kościele. Jak ciche orędzie Zjednoczeni w Chrystusie, wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami.

Panie, nie znam już moich sąsiadów, ale wyraźnie czuję, jakbym znała wszystkich w tym kościele. Nie z ich imion, lecz z Twojego Imienia. Promieniuje z nich, przynajmniej z większości, światło Jezusa. Pastor mógłby się czasem uśmiechnąć, ale może rozmawia z Tobą, zanim przemówi do nas.

Wszyscy wstali i zaśpiewali Amazing Grace, a po policzkach Leoty niespodziewanie spłynęły łzy. Miała nadzieję, że Annie niczego nie zauważyła i nie będzie zakłopotana. Biedactwo zachodziłoby w głowę, dlaczego jej głupia stara babcia płacze.

Ale, Panie, nic na to nie poradzę. Tak mi dobrze. Czuję się, jakbym przyszła do domu. Słuchanie tej starej pieśni to jak przedsmak niebios. A jednocześnie boję się, Boże, bo wiem, że za chwilę stąd wyjdziemy i może upłynąć wiele czasu, nim znowu stanę, usiądę, pomodłę się i zaśpiewam w kościele. Och, Panie, może to już ostatni raz. Koniec i kropka. Chyba że Annie odwiedzi mnie w następny weekend. Ale nie mogę na to liczyć, prawda, Panie? Nie mogę liczyć na nikogo ani na nic. Nie mam prawa. Ona ma swoje życie.

Leotę coś ścisnęło za gardło, tak że nie mogła śpiewać. Nadal jednak poruszała wargami, by nikt przypadkiem nie zauważył tego uchybienia. Słyszała śpiewającą Annie miała jasny, piękny głos. Eleonora pewnie posyłała ją na lekcje śpiewu. Sama, gdy była nastolatką, bardzo chciała się uczyć śpiewu, ale nie było na to pieniędzy. Leota sugerowała jej, żeby wstąpiła do chóru kościelnego, lecz

córka uznała, że to najokrutniej sza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszała.

Inni też zauważyli, jak pięknie śpiewa Annie. Młoda czarnoskóra kobieta odwróciła się i spojrzała na nią z uśmiechem. Leota popatrzyła na wnuczkę z dumą. Annie niczego nie widziała, bo śpiewała z zamkniętymi oczyma.

Och, Panie, jest śliczna, prawda? Prawdziwe błogosławieństwo. Wiem, że powinnam być wdzięczna za ten krótki czas, który mogę z nią spędzić. Nie powinnam oczekiwać więcej. I jestem wdzięczna, Panie, bardzo wdzięczna. Ale musisz wiedzieć, jak to boli. Za kilka godzin moja wnuczka odjedzie na drugą stronę Zatoki i może upłynie dużo czasu, zanim znowu ją zobaczę. Wiem, że powinnam rozkoszować się chwilą, cieszyć się tym, co jest. Pomóż mi nie myśleć o jutrze...

Czasem, choć przyznawała to z przykrością, Leota się zastanawiała, czy nie byłoby lepiej, gdyby Annie nigdy do niej nie przyjechała. To tak jak wtedy, gdy do odrętwiałej stopy wraca czucie. To bardzo boli. Och, Boże, życie jest takie bolesne. Zapomniałam już, jak bardzo.

Usiedli. Pastor zaczął kazanie. „Wszystko ma swój czas...”. Kiedy czytał Biblię, wybiegała myślami w przód, przypominając sobie Pismo „Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem”. Eklezjastes. Słowa spisane przez starego króla, który roztrwonił życie na daremnej gonitwie. Pastor przeczytał jedynie urywek, po czym zaczął mówić o zaangażowaniu chrześcijan w sprawy społeczeństwa, o zabieraniu głosu w kwestiach dotyczących polityki, o zachowaniu czynnej, a nie biernej postawy.

Leota nie mogła się skupić. Słuchała pastora przez chwilę, po czym myśli zaczynały jej błądzić, kluczyć korytarzami przeszłości jak króliki pędzące przez labirynt. Znała księgę Eklezjastes. Dobrze pamiętała ten fragment. A jednak kazanie zdawało się jej nie dotyczyć. Wolałaby, żeby pastor trzymał się Pisma, zamiast rozwodzić się nad tym, co trzeba robić, żeby zmienić świat. W swoim długim życiu nauczyła się, że w sprawy świata należy angażować się mniej niż w porozumienie z Panem Bogiem. To Bóg odmienia serce. A odmienione serce to odmienione życie. Wystarczy dużo takich serc i wtedy, jak Bóg da, zmieni się świat.

Jednak wydawało jej się to mało prawdopodobne. Wszystko, co przez minione

lata czytała w Biblii, wskazywało na to, że świat chyli się ku upadkowi. Nic się nie poprawi. Będzie tylko coraz gorzej. Aż w końcu wszystko strawi ogień.

Ten młody pastor pewnie chce, żeby czekając na powtórne przyjście Jezusa, ludzie ciężko pracowali, starali się zmieniać świat na lepsze.

Ta myśl ją wyczerpała.

Dla niej minęły już lata zaangażowania, aktywności, naprawiania świata. Tak naprawdę już jej na nim nie zależało. Niech przyjdzie ogień. Leota bliższa była śmierci niż czegokolwiek innego. Nie winiła młodego pastora za jego gorliwość, za wielką nadzieję, że ujrzy lepszy, bezpieczniejszy świat, w którym ludzie będą się kochali. Czyż jednak nie czytał Objawienia?

- „Wszystko ma swój czas...” - zacytował znowu. Jakby bił w dzwon.

Leota znów się zamyśliła. „Jest czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono...” Drzewa są już przycięte, pierwszy raz od lat. Za kilka miesięcy pojawią się owoce wystarczająco dużo, by je włożyć do weków i rozdać ludziom. Czy Annie zechce się nauczyć, jak to się robi? Czy przekopie ziemię w ogródku i zasadzi warzywa? A co z kwitnącymi krzewami i bylinami? Leota zatopiła się we wspomnieniu kolorów - różu, błękitu, czerwieni, fioletu, żółci. Och, ogród przy domu wyglądał pięknie, Panie. Prawda? Ty pamiętasz. Oczyma wyobraźni zobaczyła wszystko jeszcze raz, tak jak było, tak jak może być znowu. Ogród skrzył się jaskrawą tęczą barw. Żywych ognistych barw... piękniejszych niż witraże w oknach kościoła.

Czy Annie zobaczy ogród takim, jakim widziałam goja? Czy poczuje w nim Twoją obecność, tak jak ja ją czułam? Czy też będzie to dla niej nudna praca, tak jak dla Eleonory?

Wspomnienie przykrych słów wypowiedzianych w złości przez Eleonorę zalało ją falą bólu.

- Wolisz zajmować się ogrodem, niż spędzać czas z własną córką!

-Przyłącz się do mnie, Eleonoro. Chodź ze mną na dwór i popatrz moimi oczyma, chociaż przez godzinę...

-Nienawidzę pracy w ogrodzie. Nie chcę mieć takich brzydkich rąk jak ty, z odciskami i brudem pod paznokciami. Chcę mieć dłonie jak babcia Helena... Nienawidzę klęczeć. Babcia powiedziała, że nie możesz mnie zmusić...

Och, Boże, czemu Eleonora nie potrafiła zrozumieć? Dlaczego nie umiała poczuć tej radości?

Dlaczego nienawidziła wszystkiego, co ja kochałam?

-,„Czas burzenia i czas budowania...”

Rodzina Leoty była zburzona. Zniszczona. Czy mogę odbudować więź, jaką miałam z dziećmi, gdy były małe, Panie? Czy dla mnie i Eleonory jest jeszcze jakaś szansa? A George? Gdybym tylko mogła, gołymi rękoma zburzyłabym mur, którym się otoczył! Ma w sobie tyle z Bernarda, chciałabym go ochronić przed nim samym, ale on nie pozwala mi się do siebie zbliżyć. Nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest podobny do ojca.

O, Boże... czy właśnie o to chodzi? George jest taki jak Bernard. Ojczy, dlaczego mój syn się chowa? Z czym boi się zmierzyć? Może z porażką?

-,„Czas płaczu i czas śmiechu...”

Leota dość już wyplakała w życiu łez. Chciała się znowu śmiać. Chciała przestać rozpaczać nad wszystkim, co mogło być, ale się nie stało...

Chciałabym przed śmiercią jeszcze zatańczyć, Boże. Chcę radować się życiem jak kiedyś. Gdzie się podziała moja dawna siła? Tak na Tobie polegałam, byłam pewna, że wszystko obróci się na dobre. „Bóg się mną zaopiekuje”. Zawsze to sobie powtarzałam. Czyż nie to mówią w kościele? Bóg sprawi, że wszystko dobrze się skończy. Czuję się opuszczona.

Przeszedł ją lekki dreszcz, jakby usłyszała cichy szept, poczuła delikatny

pocałunek.

Tak, wiem. Teraz mam Annie. Dziękuję Ci za nią, Jezu. Nie chcę być niewdzięczna. Wciąż jednak tęsknię do mojej córki i syna, Panie...

Przypomniały jej się dni, kiedy Eleonora i George byli jeszcze mali i mogła ich przytulać, całować, kochać bez żadnych ograniczeń. To było dawno temu, zanim w drogę weszła konieczność prze trwania. Dzieci nigdy nie rozumiały, dlaczego musiała iść do pracy, ona zaś nie mogła tego wyjaśnić, nie raniąc innych. Myślała, że z czasem...

-„Jest czas...”

Leota zamknęła oczy, starając się powstrzymać łzy. Myślałam, że kiedy dorosną, zobaczą wszystko wyraźniej. Że w końcu zrozumieją moje poświęcenie. Że

będą zadawać pytania... Dlaczego? Co się wydarzyło? Jak?

Tak się nie stało. Nigdy na tyle im nie zależało, żeby zacząć pytać. Aż do dziś. I wciąż nie wiedzą.

Kiedy poznają prawdę, Panie? Kiedy zapytają, dlaczego było tak, jak było? Kiedy spojrzą z mojej perspektywy? Czy też jest Twoją wolą, by prawda umarła wraz ze mną? Tak, Jezu? To raczej nie w stylu Boga.

-„Ja jestem prawdą... prawda cię wyzwoli...”

Prawda sprawia ból. Eleonora jest bez reszty pochłonięta sobą, a George odciął się od Leoty. Czy to możliwe...? Czy robi swojej żonie i dzieciom to samo, co Bernard wiele lat temu zrobił jej? Czy ból Georgea jest tak wielki? Czy on ma złamane serce?

Przez co, Ojcze? O, Panie Boże, serce mi się kraje na myśl o dzieciach. Tak bardzo je kocham. Chcę je odzyskać. Wiem, że proszę o zbyt wiele. Zawsze prosiłam o zbyt wiele, Panie. Tyle dla nich pragnęłam. Chciałam, żeby dostały wszystko, co możesz dać. Czemu nie chciały nic przyjąć? Czy dlatego, że ofiarowałeś to moimi rękoma? Czy w tym tkwił mój błąd, Panie?

Coś ścisnęło ją w gardle do oczu napłynęły łzy. Zawiodła ich.

-„Czas szukania i czas tracenia...”

Leota zamknęła oczy. Panie, utraciłam moje owieczki. Czy rozpoznają Twój głos, kiedy je zawołasz? Czy puszczą go mimo uszu? A może usłyszą, lecz uciekną w przerażeniu? Czy odejdą, odtrącając wyciągniętą do nich pomocną dłoń?

Tak bardzo się starała i wszystko poszło na marne. A ten żywiołowy młody pastor stoi tu i mówi Róbcie... róbcie... róbcie... Cóż, ona zrobiła już wszystko, co mogła, i nic dobrego z tego nie wynikło. Wciąż brakowało jej czasu. Uciekały dni, tygodnie, całe lata.

Annie wzięła ją za rękę. Leota spojrzała na nią spłoszona. Wnuczka uśmiechnęła się czule, z troską w oczach. Leota połknęła łzy i odwzajemniła uśmiech, mając nadzieję, że nie widać po niej cierpienia. Oczy Annie także zaszkliły się od łez ujęła dłoń Leoty i położyła ją sobie na kolanach.

Leota znów zamknęła oczy. Nie uczyniłam nic dobrego, Panie, a jednak siedzę tu i widzę, co Ty zrobiłeś. Może jest jeszcze nadzieja. Jeśli potrafi zapomnieć. Jeśli powie prawdę. Jeśli jej wysłuchają...

-„Czas zachowania i czas wyrzucania...”

Te łagodne słowa napełniły ją spokojem.

O, Panie, będę mocno obstawać przy swojej miłości i nie pozwolę jej odejść. Odrzucę wszystkie okrutne słowa, których mi nie szczędzono. Odrzucę gniew, ból, i rozpacz. Nie będę rozpamiętywać fałszywych oskarżeń, zniewag, długiego milczenia i odtrącenia. Będę myśleć o Tobie. Będę myśleć o Annie. Będę myśleć o kwitnących drzewach owocowych. Będę myśleć o roślinach, które wzejdą nawet bez opieki. Gdy nie pada deszcz, nie rosną kwiaty, ale deszcz właśnie spadł, Panie. Och, i pada już długo, długo.

-„Czas rozdierania i czas zszywania... czas milczenia i czas mówienia... czas miłowania i czas nienawiści... czas wojny i czas pokoju”.

Leota zacisnęła wargi. Zburzy mury i pogodzi się ze wszystkimi. Już nie będzie milczeć. Już czas, Ojczy, czyż nie? Już czas opowiedzieć o przeszłości, wyjawić prawdę. Kochałam długo i mocno, ale przyszedł czas, by znienawidzić zło, które trzymało moje dzieci z dala ode mnie. Pójdę na wojnę z Eleonorą i Georgeem, czy im się to spodoba, czy nie. Bitwa się nie skończy, póki nie wydam ostatniego tchu. Czekałam i czekałam, ale dłużej już nie będę zwlekać. Wstrząsnę nimi tym, co mam do powiedzenia. Wstrząsnę nimi do głębi duszy. Może to wystarczy, by zburzyć ich ołtarze, roztrzaskać ich bożki i raz na zawsze zwrócić ich do żywego Boga, który ich stworzył, aby byli Jego dziećmi.

-Chwała Ojcu - zaśpiewali nagle wierni, i zdawało się, że krokwie zadrżały od głosów - i Synowi, i Duchowi Świętemu. Jak była na początku, teraz i

zawsze...

Kiedy Leota wraz z pozostałymi parafianami podniosła się z ławki, nie pamiętała ani słowa z kazania pastora, ale czuła się pokrzepiona. Nie śpiewała z innymi czuła, jak spływa po niej deszcz słów. Panie, oczyść mnie znowu. Obmyj żywą wodą i pokrop hizopem. Twoja krew sprawiła, że jestem biała jak śnieg. Ulecz me zranione serce. A potem, Panie, daj mi swój miecz!

Czterech mężczyzn poszło w stronę ołtarza zanim wzięli tace ofiarne, odmówiono modlitwę. Młoda Murzynka śpiewała. Leota rozpoznała pieśń, ale śpiew dziewczyny nie przypominał zbytnio tego, co pamiętała. Melodia niemal całkiem

ginęła w trelach i fantazyjnych koloraturach. Pewnie właśnie to nazywają muzyką soulową, jednak słysząc ją, Leota miała ochotę krzyknąć „Śpiewaj normalnie, tak jak jest napisane! Śpiewaj to normalnie!”.

Annie się uśmiechała. Zarówno jej, jak i pozostałym wiernym w ławce, muzyka zdawała się podobać. Było to wyraźnie widać. Młoda kobieta obok Leoty wkładała w pieśń całe serce. Dziewczyna z chóru sięgnęła wysokich tonów i Leota dostała gęziej skórki. Przypomniła jej się dzień, kiedy dzieci z sąsiedztwa chowały ptaszka. One i ich mama śpiewały pieśń w ten sam sposób. Tylko ciszej, bo to był pogrzeb ptaka...

Na Boga, to chyba nie ta sama Murzynka? Wyglądała jakby znajomo.

Leota zauważyła zbliżającą się tacę na ofiarę i poczuła ogromne zakłopotanie. Poszperała w portmonetce, próbując nie myśleć o tym, ile jeszcze dni zostało do wypłaty kolejnego zasiłku. Znalazła tylko dziewięć dolarów. Dziewięć dolarów! Cóż za nędzne grosze na ofiarę dla Pana wszechświata, Stwórcy wszystkiego. Skrępowana, zwinęła banknoty i ścisnęła je w dłoni. Gdy podano jej tacę, wsunęła pieniądze pod stos białych kopert ofiarnych i podała ją dalej.

Gdy mężczyźni odnieśli tace i postawili je na ołtarzu, zaśpiewano stary znany hymn do Trójcy Świętej. Pastor zmówił ostatnią modlitwę, prosząc Boga o siłę dla zgromadzonych, żeby zrobili jakiś wielki uczynek dla Jezusa. Potem zszedł z kazalnicy i wierni, klaszcząc do rytmu, odśpiewali ostatnią porywającą pieśń o lekko żydowskiej melodii. Leota była wstrząśnięta podniosła się bez słowa. Ten popis gorliwości daleki był od powagi dawnych nabożeństw. Ci ludzie zaś ani trochę nie przypominali spokojnych parafian, którzy niegdyś zasiadali w tych ławach.

Gdy pieśń dobiegła końca, wszyscy zaczęli rozmawiać i wychodzić z ławek.

Niektórzy stłoczyli

się w środkowym przejściu, zmierzając w kierunku drzwi wyjściowych, przy których czekał pastor i pozdrowiał wiernych, innym jednak nie spieszyło się z wychodzeniem. Zbili się w małe grupki, śmiali się i rozmawiali.

Wiele się zmieniło.

Leota i Annie postąpiły dwa kroki. Młoda Murzynka z rzędu przed nimi odwróciła się, by je pozdrowić. Nazwisko od razu wypadło Leocie z głowy.

-To moja babcia - powiedziała Annie. - Pani Leota Reinhardt.

-Miło mi, pani Reinhardt - odparła kobieta. - Panie są spoza miasta?

-Nie, chodziłam do tego kościoła przez dwadzieścia lat.

Kobieta wyglądała na dezorientowaną.

-No, to mnie pani wprawiła w zakłopotanie. Myślałam, że znam tu wszystkich.

-Nie przychodziłam przez kilka lat. Stamtąd, gdzie mieszkam, niełatwo się tu dostać. Kiedyś jeździłam autobusem. - Wsunęła dłoń pod ramię Annie, szukając oparcia. Zdenerwował ją widok tylu kłębiących się ludzi. Poruszała się z trudem. Nie chciała zostać potrącona, upaść na twarz i się ośmieszyć. Anne położyła dłoń na jej ręce.

-A gdzie pani mieszka, pani Reinhardt?

-W dzielnicy Dimond.

-Znam tę okolicę. Na jakiej ulicy?

Annie wymieniła nazwę.

-Coś takiego! Arba Wilson mieszka na tej samej ulicy. Musi ją pani znać.

-Nie znam już nikogo z mojej ulicy - Leota pragnęła wyjść i oszczędzić sobie dalszego zakłopotania. Arba Wilson. Zatem już wie, jak nazywa się sąsiadka z naprzeciwka.

Annie spojrzała na nią skonsternowana. Musiała wyczuć jej skrępowanie, bo zaczęła wolno zmierzać ku wyjściu. Poza tym rozmawiająca z nimi kobieta w oczywisty sposób nie wiedziała, co powiedzieć. Annie uścisnęła jej dłoń i powiedziała, że było im miło ją poznać, ale powinny już iść.

Ludzie wymieniali ukłony i pozdrowienia. Annie przedstawiła Leotę pastorowi, ten zaś uścisnął jej dłoń - na tyle mocno, że Leota się skrzywiła.

-Mam nadzieję, że zostawiła pani wizytówkę na tacy ofiarnej - rzekł.

-Nie. - Zauważyła bilecik, siadając w ławce, ale nie przyszło jej do głowy, by się podpisać.

-No cóż, mam nadzieję, że podobało się pani nabożeństwo, pani Reinhardt.

-Było inne od mszy, do których jestem przyzwyczajona. - W istocie wszystko było inne. I odświeżające.

-Ale podobało ci się, babciu, prawda? - spytała z uśmiechem Annie.

-Nie mówiłam, że nie.

-Cieszę się - odparł pastor. - Myślałem, że ta dziewczyna rozsądzi dach swoim śpiewem! - Uśmiechnął się i oczy mu rozblęły. - Śpiewa natchniona Duchem,

proszę pani, nie ma co do tego wątpliwości.

-Tak wygląda pastor dużo lepiej - odezwała się Leota bez namysłu.

-Jak?

-Kiedy się pastor uśmiecha.

-Babciu! - zawołała Annie ze śmiechem. - Chyba już pójdziemy.

Pastor się roześmiał.

-Proszę koniecznie znów przyprowadzić babcię, panienko Gardner. - Odwrócił się, by pozdrowić kolejną wychodzącą osobę.

Przez całą drogę do samochodu Annie chichotała.

-Co cię tak rozbawiło? - spytała Leota, lekko poirytowana.

-Niezły z ciebie numer, babciu. - Annie wciąż się śmiała, sadzając ją na fotelu dla pasażera i zapinając pas. Pocałowała ją w policzek, a potem ostrożnie zamknęła drzwi.

Gdy znalazły się na wzgórzu, na podjeździe Leoty ujrzały znajomy czarny samochód. Co u licha Corban Solsek robi tu w niedzielę? Zszedł po schodkach i czekał na chodniku, aż Annie zaparkuje przed domem.

-Cześć, Corban - Annie wysiadła z auta i podeszła do drugich drzwi, żeby pomóc babci.

Leota szamotała się z pasem bezpieczeństwa, bezskutecznie próbując znaleźć przycisk zwalniamy.

-Ja to zrobię, babciu - Annie pochyliła się nad Leotą. Pas wyskoczył z uchwytu, Annie ostrożnie go odwinęła i pozwoliła mu wsunąć się na miejsce.

-Wróciłeś popracować w ogrodzie? - spytała Leota Corbana, gdy Annie pomogła jej wysiąść z auta. Po jego minie poznała, że się przestraszył, sądząc, że mówi poważnie.

Annie zaśmiała się cicho.

-Bądź grzeczna, babciu - wyszeptwała. - Jak dasz mu dzisiaj odpocząć, może w przyszły weekend nam pomoże.

Leota zachichotała. Takie dziewczyny lubi!

-Wpadłem tylko na parę minut.

Jeszcze nie powiedział, po co przyszedł, a już się tłumaczy.

-W takim razie dzień dobry i do widzenia. - Mocno wsparta na ramieniu

Annie, Leota prze

szła obok niego. Musiał się cofnąć na trawnik, by zejść im z drogi.

-Chyba nadużyłem pani gościnności - powiedział cierpko. - Annie, czy możesz mi dać swój numer telefonu?

Leota się zatrzymała i spojrzała na niego.

-Po co? Myślałam, że już masz dziewczynę? - Jeszcze nie widziała, żeby ktoś tak szybko oblał się rumieńcem.

-Mam i nie proszę Annie o telefon po to, żeby się z nią umówić.

-W takim razie po co?

-Bo pomyślałem, że jeśli coś się pani stanie, dobrze byłoby mieć telefon do kogoś z rodziny.

Spojrzała mu w oczy i Corban przestąpił z nogi na nogę, czując się nieswojo. Powinien już wiedzieć, że kłamstwo nie ujdzie mu płazem.

-Masz zamiar niebawem zrzucić mnie ze schodów?

Oczy mu zapłonęły i rumieniec znikł.

-Gdy tylko nadarzy się okazja.

Zachichotała.

-W takim razie zapraszam. Wejdz do środka, jeśli masz więcej niż minutę.

Jestem zmęczona i muszę skorzystać z łazienki.

-Przy tobie jest inna, Annie. Bardziej otwarta - powiedział Corban, kiedy starszka zostawiła ich samych. Pokrótce wyjaśnił, na czym polega jego projekt.

-Wczoraj dowiedziałem się o twojej babci więcej niż przez parę tygodni.

-Czy ona wie, że piszesz tę pracę?

-Wie. Co prawda nie powiedziałem jej od razu. Duży błąd.

-Potrafię to zrozumieć, ty nie? To tak, jakbyś przychodził do niej, podszywając się pod kogoś innego.

Uwaga była przykra, ale zgodził się z nią.

-Pewnie tak.

-Musiała ci już wybaczyć.

-Cieszę się, że tak myślisz.

Annie się uśmiechnęła.

-Lubi cię.

-Aha, jasne. Mnie i dzumę.

Roześmiała się.

-Od niedawna znam babcię, Corban, ale wiem, że mówi to, co myśli. Gdyby nie chciała cię zaprosić, kazałaby ci odejść.

-Może po prostu jest uprzejma.

Annie zachichotała.

-Jest szczerą. Byłyśmy dziś rano w kościele i wywołała lekką konsternację u paru osób.

-Nie podobało jej się?

-Myślę, że była zachwycona, ale nabożeństwo wyglądało inaczej, niż się spodziewała.

-Nie wiedziałem, że jest religijna. - Zanotował to w pamięci. - Jakiego jest wyznania?

Annie westchnęła.

-Mogę coś zasugerować?

-Jasne. Mów.

-Przestań przeprowadzać z babcią wywiad i staraj się ją poznać jako człowieka.

-To właśnie próbuję robić, Anne.

-Naprawdę? - Coś w jej spojrzeniu bardzo przypominało mu Leotę Reinhardt. Dostrzegała głębszą treść, kryjącą się za jego słowami. Czy on sam zna pobudki, które nim kierują? Czasami się nad tym zastanawiał. W twarzy Annie jednak, inaczej niż u staruszki, nie było najmniejszych oznak nieprzychylności.

-Staram się dobrze wykorzystać to, czego się od niej dowiaduję. - Chciał, żeby Annie zrozumiała. Uporczywie wpatrywała się w niego jasnymi niebieskimi oczyma. Jakby mówiła Proszę, nie wykorzystuj jej. - W porządku - skinął głową. Żadnych

notatek, ani w głowie, ani na papierze. - Może jeśli Annie bliżej pozna jego koncepcje, okaże więcej zrozumienia dla jego sprawy i trochę mu pomoże. Chciałbym cię zaprosić na kawę i wyjaśnić...

-Możemy wypić kawę tutaj - powiedziała Leota, stojąc w drzwiach. - Dobrze ci zrobi, jak wyłożysz karty na stół, a Annie je sobie obejrzy. Zobaczmy, co ona powie o rządowych projektach, które chciałbyś wprowadzić dla nas, biednych starców.

Corban podjął wyzwanie. Dzięki pani Reinhardt przemyślał parę spraw i miał

teraz bardziej sprecyzowaną wizję, jakiego rodzaju zajęcia rekreacyjne mogłyby oferować domy opieki nad starszymi ludźmi. Być może spodobają jej się nowe pomysły.

Anne słuchała bez słowa.

Pani Reinhardt zagotowała wodę i zrobiła wnuczce cappuccino, a dla niego zaparzyła dzbanek zwykłej kawy. W ciągu półgodzinnej przemowy Corbana nie odezwała się ani razu, choć spodziewał się, że będzie mu wchodzić w słowo i zgłaszać zastrzeżenia. Podała obojgu kawę, po czym usiadła na krześle przy oknie i patrzyła na ogród.

Skończył i czekał na aprobatę Annie, wiedząc, że zdanie babci ma dla niej

znaczenie.

-Wygląda na to, że masz dobre intencje - powiedziała.

Czekał na coś więcej, ale tylko na niego patrzyła, marszcząc z zakłopotania

czoło. Spojrzała na babcię, potem znów na Corbana.

Jej obojętność go zirytowała.

-Co jest złego w tym planie?

-Nie wiem. - Pokręciła głową. - Po prostu jest w nim coś niepokojącego.

-Wyjaśnij, co masz na myśli.

-Nie potrafię tego wyjaśnić. To jest... - wzruszyła ramionami.

-To jest co?

-Taka instynktowna obawa. - Westchnęła. - Przykro mi, Corban.

Staruszka odwróciła się od okna i poklepała wnuczkę po dłoni. Gdy spojrzała na Corbana, w oczach miała łzy. Uśmiechnęła się do niego najczulszym z uśmiechów, jakiego jeszcze w życiu nie widział.

-Przygotuję obiad, co?

-Oj, babciu, ja to zrobię.

-Wyjmę potrzebne rzeczy.

Kiedy pani Reinhardt szła do szafki, zadzwonił dzwonek u drzwi.

-Sprawdzisz, kto to taki, kochanie? - Corban nigdy nie słyszał, by przemawiała takim tonem. Kochanie. Słodko. Ciepło. Z rozbijającą czułością. Annie wyszła z kuchni. W chwilę później Corban usłyszał głosy i śmiech w salonie. Towarzystwo - pomyślał rozdrażniony. Nici z popołudnia z panią Reinhardt i jej wnuczką. Już się nie dowie, dlaczego im się nie podobają jego pomysły. Dzień będzie zmarnowany.

Annie wróciła do kuchni, prowadząc za sobą dziewczynę o wyglądzie punka i nieco starszego od Corbana mężczyznę.

-Babciu - powiedziała - to jest Susan Carter, moja najlepsza przyjaciółka i współlokatorka...

Współlokatorka? Corban się jej przyjrzał. Ona też na niego popatrzyła, unosząc jedną brew i wy

krzywiąc usta w półśmiechu. Anne dziwnie się dobrała z tą hipiską o prowokującym spojrzeniu, z dyndającymi z ucha kolczykami, włosami ufarbowanymi

na czarno, w obcisłych džinsach i czarnym topie ze spandeksu.

-... i jej brat, Sam. Studiuje na uniwersytecie stanowym San Jose.

Kryminologię. - Sam, podobnie jak jego siostra, miał ciemne włosy i oczy. Wyglądał jak pół miliona studentów, których Corban oglądał każdego dnia lewis, brązowa sportowa marynarka, biała koszulka, mokasyny na białe nogi. Sam wyszczerzył zęby i wyciągnął rękę do staruszki. Kiedy pani Reinhardt podała mu dłoń, uniósł ją ceremonialnie i pocałował jak jakiś europejski hrabia. Corban zadrwił w duchu.

-Ten to nicpoń. - Po tonie staruszki można było poznać, że jest zadowolona!

Susan wybuchnęła śmiechem.

-Zostałeś rozpoznany, Sam.

Corban wstał, kiedy Anne ich sobie przedstawiała.

-Corban jest przyjacielem babci.

Gdy wymieniali uścisk dłoni, Sam obrzucił go chłodnym, taksującym

spojrzeniem. Jego uścisk był odrobinę za mocny. Corban uśmiechnął się lekko. Domyślał się, na kim ten dowcipniś chce zrobić wrażenie z pewnością nie na pani Reinhardt.

-Corban studiuje w Berkeley - powiedziała staruszka. - Odwiedza mnie raz w tygodniu i chodzi ze mną do supermarketu. - Posłała mu łobuzerskie spojrzenie. -

Ma genialne pomysły na to, jak obchodzić się ze starszami.

-Właśnie mieliśmy przyszykować obiad - wtrąciła szybko Anne.

-Świetnie. Przyjechaliśmy w samą porę - rzekł Sam.

Pani Reinhardt się strapiła.

-Nie wiem, czy...

Susan się uśmiechnęła.

-Proszę się nie martwić, pani Reinhardt. Nie przyjechaliśmy na żebry. Po drodze wstąpiliśmy do delikatesów. Sam nakupił tyle jedzenia, że starczyłoby dla całej armii. Kanapki, sałatka z ziemniaków, surówka z białej kapusty, ogórki konserwowe, frytki i ciasto z marchwi.

-W takim razie jesteście mile widziani - odparła pani Reinhardt i wszyscy się roześmiali.

Wszyscy oprócz Corbana.

-Żałuję, ale nie mogę zostać - powiedział z zabawną powagą. Patrzył na Sama i Susan. - Ja i moja dziewczyna mamy już plany na popołudnie. - Zauważył, że surowy błysk znika z oczu Sama Cartera.

Susan dramatycznie westchnęła i przewróciła oczami.

-Boże drogi, no cóż, komunikat niewątpliwie był jasny. - Podniosła ręce i cofnęła się, jakby jego oświadczenie uczyniło z niego pariasa. - Nie ma powodów do niepokoju.

Zaśmiał się bez przekonania i wyciągnął rękę do pani Reinhardt. Gdy podała mu dłoń, nie ucałował jej, lecz nakrył drugą ręką.

-Do zobaczenia w środę, pani Reinhardt. Dziękuję za kawę. - Zerknął na Anne. - Możemy zamienić słówko na osobności?

Wyszła za nim do salonu. Corban zniżył głos

-Uważaj na tego faceta.

-Sam jest nieszkodliwy.

-Akurat. Będziesz przyjeżdżać do babci na weekendy?

-To będzie zależeć od rozkładu pracy.

-Gdzie pracujesz?

Powiedziała mu.

-Będę do niej zaglądać tak często, jak tylko będę mogła.
-Czy mogłabyś mi podać swój numer telefonu?
-Proszę bardzo. - Rozejrzała się, za fotelem babci dostrzegła notes i zanotowała numer na karteczce. Wyrwała ją i podała Corbanowi.
-Mam nadzieję, że nie będziesz musiał go użyć.
Corban oblał się rumieńcem. Czuł się, jakby dostał w twarz.
Anne uniosła lekko brwi, patrząc na niego badawczo.
-Może uda mi się porozmawiać z Arwą Wilson.
-Z kim?
-Sąsiadką z naprzeciwka. Dziś rano widziałyśmy ją w kościele. To miło z twojej strony, że chcesz pilnować babci Leoty, Corban, ale naprawdę byłoby lepiej, gdyby poznała swoich sąsiadów. Poza tym ty przyjeżdżasz tylko w środy. Gdyby coś się stało...
A więc uwierzyła w jego historyjkę.
-Chyba masz rację.
Gdy się odwrócił, położyła mu dłoń ramieniu.
-Doceniam to, co robisz dla mojej babci, Corban. Dopóki nie przyszedłeś jej z pomocą, czuła się bardzo samotna.
Usłyszał śmiech dobiegający z kuchni.
-Już nie jest samotna. - W domu było zbyt dużo ludzi, by mógł się czuć swobodnie.
-Myślę, że znajdzie się jeszcze miejsce dla jednej osoby. A nawet dwóch, gdybyś chciał czasem przyprorowadzić swoją dziewczynę.
To dopiero jest pomysł.
-Może.
-Przystojny - powiedziała Susan, gdy Annie wróciła do kuchni.
Annie się roześmiała.
-Nie dziwi mnie, że to zauważyłaś, Suzie.
-I zajęty - zauważył dobitnie Sam. - Dał to jasno do zrozumienia.
-No to co? - spytała Suzie. - Mężczyźni też zmieniają zdanie. Ile dziewczyn rzuciłeś?
Samowi pociemniały oczy.
-Rzucić to nie jest określenie, którego bym użył.
-Opuściłeś? Zostawiłeś, by wdychały do księżycy?
Annie widziała, że Samowi nie podobają się przytyki siostry.
-Jest takie ładne popołudnie. Może zrobimy sobie piknik w ogrodzie? Co ty na to, babciu?
-Świetny pomysł. Tam jest więcej miejsca na bójkę. - Jej beznamiętna uwaga zaskoczyła i rozśmieszyła Carterów. - Koc wojskowy leży w szafie w pokoju gościnnym, kochanie.
Sam wyniósł dla Leoty stare metalowe krzesło i postawił je na trawniku.
-Gdzie chce pani usiąść?
-Tu będzie doskonale.
Annie pomyślała, że babcia wygląda uroczo, siedząc na słońcu w postrzępionym

słomkowym kapeluszu. Rozpostarła wojskowy koc i położyła go na trawie. Sam złapał drugi koniec i wygładził, podczas gdy Suzie wykladała owinięte w celofan kanapki i plastikowe pojemniki z delikatesów. Przynieśli nawet paczkę papierowych talerzy i zestawy z serwetką plastikowy widelec, łyżka i nóż, sól, pieprz i chusteczki odświeżające.

Sam zaskoczył Annie, odmawiając modlitwę dziękczynną. Gdy podniósł głowę, spojrzała mu

w oczy, mając nadzieję, że nie zrobił tego po to, by wyrzucić na niej dobre wrażenie. Suzie sięgnęła po talerz.

-Co pani sobie życzy, pani Reinhardt?

-Wszystkiego po trochu, oprócz kanapki. Te wielkie bułki są dla mnie za twarde.

Suzie uśmiechnęła się szeroko.

-Moja babcia też nie może ich ugryźć. Boi się, że wypadną jej sztuczne zęby.

-Zdarza się.

-Niech się pani nie martwi. - Suzie odpakowała kanapkę i widelcem wyjęła nadzienie na talerz. Pokroiła połówkę bułki na małe kawałki. - Proszę bardzo. Nie ma to jak chleb na zakwasie z San Francisco. - Podała talerz Annie. Annie dołożyła sałatki i frytki i podała talerz babci. Kiedy sięgała po kanapkę

dla siebie, otarła się dłonią o rękę Sama.

-Przepraszam - wymamrotała.

-Nie szkodzi - podał jej kanapkę z namiętym błyskiem w oku.

-Sam mówił, że w piątek nie udało mu się nic u ciebie wskórać - powiedziała Suzie, spoglądając znad otwartej puszkę z napojem to na niego, to na Annie.

Postanowił

więc, że dzisiaj spróbuje jeszcze raz.

Annie się zarumieniła.

-Nie musiałeś zadawać sobie tyle trudu, Sam.

-Chcesz powiedzieć, że wystarczyłoby, żebym cię poprosił, a umówiłabyś się ze mną?

Annie czuła, że babcia ich obserwuje.

-Nie, tego nie powiedziałam.

Sam spojrział z żalnością na siostrę.

-Ona mi nie ufa.

-Pewnie dlatego, że od czasów podstawówki wciąż słyszała o twoich wybrykach.

Sam spojrział na Annie.

-Ludzie się zmieniają.

Widziała, że mówi poważnie.

-Wiem. - Nie wątpiła, że jego życie nie jest już tak burzliwe, jak niegdyś, ale to nie wpłynęło na jej decyzję, by się z nim nie wiązać. Teraz nie chciała się wiązać z nikim. Zbyt mało wiedziała

o sobie samej, żeby się angażować w jakiegokolwiek związku. Jest słaba. Zbyt łatwo można popełnić poważny błąd.

-Czyż nie jestem słodki? - W jego oczach znów pojawił się diabelski ogień.

-Tak, jesteś słodki.

-Zdecydowanie za słodki - odezwała się babcia, na co brat i siostra się roześmiali.

Gdy Sam spojrział znów na Annie, pochyliła głowę. Był atrakcyjny, niepokojąco atrakcyjny, zwłaszcza gdy skupiał na niej swoją uwagę. A ona ma parę rzeczy do załatwienia, musi przemyśleć parę spraw. Skoro Sam tak bardzo się zmienił, może inni też mogą zmienić swoje życie. Poczawszy od niej samej.

Sam nachylił się do niej, sięgając po kanapkę.

-Odpręż się, Annie. Nie jestem taki straszny, jak ci się może zdaje.

-Ten ogród musiał dawniej pięknie wyglądać. - Suzie rozglądała się wokoło.

-Przemiła uwaga.

Suzie się skrzywiła.

-Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało, pani Reinhardt.

-Nie przepraszaj. Masz zupełną rację. Szkoda, że nie przyjechaliście wczoraj.

-Dlaczego?

-Zaprzęłybyśmy was do pracy. Na razie Annie przystrzygła krzewy od frontu, skosiła trawnik

1 przycięła drzewa owocowe.

-Corban sporo mi pomógł - powiedziała Anie i ugryzła kanapkę.

-Tak, to prawda, ale teraz go nie ma, a zostało jeszcze dużo pracy. Zdaje się, że ten młody dżentelmen smali do ciebie cholewki, więc możemy go zwerbować do pomocy.

Annie omal się nie zakrztusiła.

-Babciu! - Twarz jej gorzała.

Sam się roześmiał.

-Proszę mnie uważać za zwerbowanego, jaśnie pani.

-Świetnie, młody człowieku. Zobaczymy, czy masz w sobie coś poza wdziękiem i urodą. Zjedz kanapkę. Przydadzą ci się siły. Jak skończycie, Annie ci pokaże, gdzie są narzędzia. A potem powiem wam, co i gdzie trzeba zrobić.

Nora siedziała w kancelarii pastora Burnie. Uświadomiła sobie, że powinna była wcześniej zadzwonić. Może wówczas nie kazano by jej czekać w miejscu, w którym każdy mógł ją zobaczyć i zastanawiać się, co ona tu robi. Zapomniała, że tego dnia odbywa się spotkanie poświęcone studiom nad Biblią. W wielkim pomieszczeniu kłębiły się czekające na początek zajęć kobiety. Zapomniała też, że lekcję prowadzi pastor Burnie.

Gdyby nie była tak zdenerwowana, zastanowiłaby się, co powiedzą inni, widząc, że przyszła po poradę do kościoła. Teraz czuła się obnażona, upokorzona i zła. W tym kościele nic się nie da ukryć. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Może

katolicy mają rację, że chodzą do konfesjonału. Przynajmniej tam ludzie zachowują intymność. Czemu widząc samochody na parkingu, nie domyśliła się, że tego ranka jest spotkanie? Kilka kobiet widziało, jak tu wchodziła. Dwie z nich rozpoznała pewnie teraz o niej rozmawiają. Kiedyś była z nimi na obiedzie. Wie, jakie są. Uwielbiają wiedzieć wszystko o innych i rozprawiać o cudzych sprawach!

Nora rozprostowała nogi, skrzyżowała stopy i splotła ręce na kolanach. Pociły jej się dłonie. Łomotało jej serce. Drżała. Nie znajdowałyby się w tak oplakanyim stanie, gdyby jej psycholog, doktor Leeds, zechciał z nią porozmawiać dłużej niż minutę! Gdy sekretarka oznajmiła jej, że doktor ma wolny termin dopiero za dwa tygodnie, poczuła się kompletnie bezsilna. Dwa tygodnie! Powiedziała tej kobiecie, że musi natychmiast z nim porozmawiać, ale sekretarka twierdziła, że doktor przyjmuje pacjentkę i nie chce, by mu przeszkadzać. Słuchając jej protekcyjnego tonu, Nora miała ochotę krzyknąć. Zamiast tego powiedziała tylko, że nie pozwoli się zbyć. Nalegała, by sekretarka natychmiast połączyła ją z doktorem Leedsem, sprawa jest pilna.

Chwilę potem doktor odebrał telefon wiedziała, że to zrobi. Powinna była wcześniej tego zażądać. Tym razem jednak nie przejął się jej stanem. Po tonie jego głosu poznała, że jest na nią zły. Kiedy próbowała mu wszystko wyjaśnić, rzekł, że to nic nowego i że oddzwoni do niej, kiedy on będzie miał czas. Powiedziała, że nie może czekać, ale kazał jej tylko wziąć valium! Chciał, żeby była spokojna, kiedy będzie z nią rozmawiał. Tłumaczyła mu, że się uspokoi, jeśli będzie mogła wszystko mu opowiedzieć, ale rzekł tylko „Później, Noro” - i się rozłączył.

Tylko tyle ma jej do powiedzenia po tym, jak w ciągu trzech ostatnich lat wydała na niego tysiące dolarów? „Weź valium i czekaj”? Gdyby poświęcił jej pięć minut swojego cennego czasu, nie siedziałaby teraz w kościelnej kancelarii przed Bogiem i ludźmi, czekając, aż pastor Burnie znajdzie chwilę na rozmowę. To wszystko wina Annie! Gdyby poszła na uczelnię, nie byłoby powodu do zmartwień.

Nora dygotała. Spotkanie z matką zawsze rozstrajało jej nerwy. W tym problem. Wystarczy parę minut w towarzystwie Leoty Reinhardt, a miesiąc sesji z doktorem Leedsem obraca się wniwecz. O ćwiczeniach oddechowych i medytacjach, których nauczył ją doktor Leeds, Nora przypominała sobie dopiero, wychodząc od matki. Doktor Leeds powiedział jej, żeby była z matką szczerą. I co ma jej powiedzieć? Że nią gardzi, bo opuściła dzieci, że trudno jej znieść powrót do tego domu, że miała nieszczęśliwe dzieciństwo? Mówiła to już tysiąc razy. Matka to wie, tylko się nie przejmuje.

Nora uniosła rękę i przycisnęła drżące palce do pulsujących skroni. To zawsze pomaga. Ledwie pomyśli o matce, a serce zaczyna jej łomotać.

Czemu pastor Burnie tak długo nie przychodzi?

Znów założyła nogę na nogę. Myślała o Fredzie i o tym, jak bardzo się na nią rozgniewał za to, że nie pojawiła się na kolacji z jego klientami. Próbowwała go przeprosić, ale nawet na nią nie spojrział. Wzgardził omletem, który mu usmażyła.

-Widziałaś kiedyś, żebym jadł śniadanie, Noro?

Zaszokował ją tym, bo nigdy wcześniej nie zachowywał się grubiańsko. I te jego oczy... ciemniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Nalała mu kawy, ale jej także nie tknął. Tak jakby wszystko, co mu dawała, było skażone i niedotykalne. Cokolwiek by zrobiła, nie wystarczało.

Tak samo było, gdy mieszkała z babcią Heleną. Nic nigdy nie było wystarczająco dobre...

Nora nie chciała myśleć o przeszłości. Nie chciała o niej rozmawiać. Chciała się dowiedzieć, jak sprowadzić Annie z powrotem do domu i sprawić, by Fred jej wybaczył.

Jego słowa dzwoniły jej w uszach. „Zawsze przepraszasz, Noro, ale nigdy nic się nie zmienia. Choć raz chciałbym zobaczyć, że myślisz o kimś innym niż o sobie. Chciałbym zobaczyć jakiś wysiłek...”. Nie skończył, ale ona była tak zrozpaczona, że uciekła do salonu i rzuciła się na obrotowy fotel na biegunach. Myślała, że Fred za nią pójdzie i przeprosi, że ją zdenerwował. Zwykle tak robił. Ale zeszłego wieczoru poszedł na górę i zamknął drzwi do sypialni. Kiedy tam weszła i spytała, czy obchodzi go, jak ona się czuje, powiedział tylko „Idę do łóżka, Noro. Jestem zmęczony”.

Zmęczony? Czym?

Nią?

Nikt jej nie rozumie. Nikt o nią nie dba.

Nora pohamowała łzy i rozejrzała się po gabinecie pastora Burnie. Wzdłuż

trzech ścian stały regały wyładowane książkami, starannie ułożonymi według kategorii rodzina, studia biblijne, komentarze krytyczne, książki do nabożeństwa, modlitewniki, biografie. Dwie półki za biurkiem pastora zajmowały różne wersje i wydania Biblii Króla Jakuba, New International Bible, The Living Bible, New American Standard, Phillips, New Living Translation, Biblia Jerozolimska, TouchPoint. Nora zmarszczyła brew. Re Biblii potrzebuje jeden człowiek? Oczywiście, to pastor... może je kolekcjonuje. Zwykłym ludziom wystarcza jedna Biblia. Wystarcza aż nadto. Kiedyś próbowała przeczytać Biblię w końcu to dzieło klasyki literackiej - ale się znudziła.

Co tak długo zatrzymuje pastora? Nora wstała i zaczęła chodzić po gabinecie. Na ścianie za kanapą wisiały rodzinne zdjęcia. Świątobliwa twarz Sally Burnie zirytowała ją, tak samo jak roześmiane twarze syna i córki Burniech. Tu i ówdzie stały pamiątki z podróży, które pastor odbył z rodziną - do Izraela, Afryki, Grecji, rezerwatu Indian w Nowym Meksyku i do sierocińca w Hondurasie. Na każdym zdjęciu wszyscy stali i się uśmiechali, wszędzie te uśmiechy.

Jak to możliwe, że są tacy szczęśliwi? Przecież nie zawsze mieli łatwe życie. Sally cierpi na stwardnienie rozsiane. Pensja pastora Burnie stanowi ledwie ułamek tego, co zarabia Fred, a jednak jakoś sobie radzą. Ich syn ma kłopoty z nauką, córka jest całkiem inteligentna - Nora przestudiowała jej rysy na fotografii - ale cóż, z pewnością będzie musiała korzystać z szarych komórek. Nora tego nie pojmowała. Jak rodzina Burniech może być taka szczęśliwa, skoro tyle rzeczy w jej życiu układa się tak źle?

Dlaczego ja nie mogę być szczęśliwa? Czym sobie zasłużyłam na moją niedolę?

Usłyszała dobiegający zza drzwi głos pastora. Najwyższy czas. Wszedł do gabinetu.

-Witaj, Noro. - Cicho zamknął za sobą drzwi. - Przepraszam za zwłokę. Poprosiłem jedną z diakonis o zastępstwo na dzisiejsze zajęcia poranne. Musiałem jej szybko streścić, co zamierzałem omówić. W czym mogę ci pomóc?

Rozpłakała się. Nie miała zamiaru płakać, ale czuła się taka nieszczęśliwa. Doktor Leeds czasem ją obejmuje i pozwala się wypłakać.

-Czy coś się stało Fredowi? - Pastor Burnie się zaniepokoił, choć zachowywał dystans.

Nora zacisnęła dłonie na kolanach.

-Fred czuje się świetnie. Wszystko po staremu. Annie odeszła z domu. Słyszał już pastor? Jej ojciec wydał absurdalną sumę pieniędzy, żeby miała własny samochód, a ona zwyczajnie do niego wsiadła i odjechała, ledwie oglądając się za siebie. Mieszka z hipiską, na dodatek w San Francisco. Jestem taka rozczarowana. Myślałam, że moja córka ma jakieś sumienie.

-Mieszka z Susan Carter - rzekł cicho pastor. - Znam ją. Jej rodzinę także. Susan została dobrze wychowana.

Nora spojrzała na niego.

-Tak samo jak jej brat, Sam. Pamięta go pastor? Przysporzył tej rodzinie tylko cierpienia. Wie pastor, że przez jakiś czas siedział w więzieniu?

Widząc minę pastora Burnie, Nora oblała się rumieńcem. Ależ ona nie plotkuje! To, co powiedziała o Samie Carterze, to prawda. Dlaczego pastor patrzy na nią tak, jakby przynosiła mu wieści, których on nie chce słyszeć? Obszedł dokoła biurko i usiadł. Nora miała uczucie, że wyrósł między nimi mur. Nigdy w życiu nie była tak zakłopotana i zdezorientowana. Nie potrafiła spojrzeć mu prosto w oczy.

Co takiego zrobiła, że czuje wstyd? Delikatnie otarła nos koronkową chusteczką. Może pastor Burnie wszystkiego nie pojął. Gdyby zrozumiał całą sytuację, okazałby więcej współczucia.

-Anne miała stypendium w Wellesley. Tyle lat ciężkiej pracy, a ona to odtrąciła.

-Uniwersytet nie jest dla wszystkich.

-Ale dla Anne-Lynn tak!

-Wydajesz się bardzo tego pewna.

Jego obojętny ton zirytował ją.

-Oczywiście, że jestem pewna! Zawsze tego chciała. Dlatego tak ciężko pracowałyśmy. Zawsze miała doskonałe stopnie. A jeśli nie miała, dbałam o to, żeby brała korepetycje. Należy do najlepszych klubów. Kto nie chciałby uczęszczać do tak renomowanej szkoły jak Wellesley? Każda dziewczyna

z odrobiną zdrowego rozsądku skakałaby ze szczęścia. Anne-Lynn mówiła, że tam pójdzie.

-A może Anne mówiła tak, żeby cię zadowolić, Noro?

Do czego on zmierza?

-Gdyby chciała mnie zadowolić, nie chodziłaby na zajęcia plastyczne w San Francisco. To z pewnością mnie nie zadowala. Co jej z tego przyjdzie? Poza tym ona nie ma talentu. - Słowa wyleciały z jej ust, nim zdążyła się zastanowić, jak zabrzmiały. Zauważyła, że pastorowi błysnęły oczy. Znów się zaczerwieniła. - Nie chciałam tego tak wyrazić. Jestem po prostu zdenerwowana. To wszystko. Czasami, kiedy się denerwuję, wszystko wychodzi źle.

Otarła oczy i delikatnie wydmuchała nos.

-Może Anne potrafi trochę rysować, ale z tego się nie da żyć. Ona tylko ryzykuje porażkę. Nie chcę patrzeć, jak cierpi. Chcę patrzeć, jak odnosi sukcesy.

Pastor Burnie położył jedną dłoń na drugiej i zamknął oczy. Modli się? Nora chrząknęła nerwowo. Uniósł lekko głowę i spojrzał na nią.

-Noro, wszystkie odpowiedzi na swoje problemy znajdziesz, wchodząc w nowy związek z Bogiem.

Co to ma znaczyć?

-Znam Boga.

-Czyżby?

-Oczywiście, że tak! Przychodzę do tego kościoła od pięciu lat. Czy pastor ma pojęcie, ile pieniędzy dajemy z Fredem na ofiarę? I zasiadałam we wszystkich ważniejszych komitetach.

-Ludzie przychodzą do kościoła z bardzo różnych powodów. Dobrze by było, gdybyś mi powiedziała, w co wierzysz.

-W co wierzę na jaki temat?

267

-Na temat Jezusa Chrystusa.

-To śmieszne. - Norę przeszedł zimny dreszcz. - Pastor wie, w co wierzę. Wierzę w to samo co wszyscy tutaj. - Zupełnie nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. A pastor Burnie czekał. Czy powiedziała za mało? A może to podchwytliwe pytanie? Spojrzała na niego rozjuszona. Nie jest dzieckiem ze szkółki niedzielnej, żeby ją odpytywać ze Składu Apostolskiego czy z Dziesięciu Przykazań. Jest dorosła, na litość boską!

-Nie wiem, czego pastor ode mnie oczekuje.

-Nie chcę, żebyś mi cokolwiek recytowała, Noro. - Uśmiechnął się niemal czule. - Muszę się jednak dowiedzieć, jakie jest twoje stanowisko w kwestii Boga.

Zaśmiała się gorzko.

-Zważywszy na ostatnie wydarzenia w moim życiu, powiedziałabym, że Bóg w ogóle się mną nie przejmuje. Ostatnio na pewno nie okazywał mi żadnych względów. Cokolwiek bym zrobiła, to wciąż nie wystarcza, żeby coś zmienić. - Wstała i podeszła do okna wychodzącego na ulicę.

-Co cię do mnie sprowadza?

-Rozpacz. - Czemuż by nie powiedzieć mu prawdy? Może nie będzie taki świętszy od papieża, gdy się dowie, że przyszła do niego na samym końcu. - Mój terapeuta nie miał dziś dla mnie czasu, a ja potrzebuję pomocy. Dlatego przyszłam do pastora. Nie chcę, żeby zabrzmiało to obraźliwie, ale taka jest prawda. - Dlaczego miałyby za to przepraszać, tym bardziej że kazał jej na siebie czekać dwadzieścia minut?

-Możesz mi powiedzieć, jaki jest twój problem?

Odwróciła się i w jego oczach dostrzegła współczucie. Wreszcie ktoś, kto jest gotów jej wysłuchać, gotów jej pomóc wszystko rozwiązać. Doktor Leeds nie potrafił tego zrobić. Może pastor Burnie będzie umiał.

-Jest ich tak dużo, począwszy od nieszczęśliwego dzieciństwa.

-Byłaś wykorzystywana?

-Nie bito mnie ani nie molestowano, jeśli o to pastorowi chodzi, ale z

pewnością byłam zaniechana. - Wyjrzała przez okno. - Moja matka wychodziła z domu wcześniej rano i wracała mniej więcej w porze kolacji, którą robiłam razem z babcią. Potem szła do ogrodu. Widzi pastor, matka nigdy się nie interesowała mną ani moim bratem. Miała własne życie, po prostu oddawała nas w ręce babci i gdzieś sobie szła. - Odwróciła się w stronę pastora. - Anne-Lynn jest do niej

podobna. Co gorsza, teraz spędza weekendy z moją matką, która z pewnością zatrąwa jej umysł kłamstwami. Wiem to, bo Anne-Lynn rzadko kiedy odpowiada na moje telefony. - Zabolęło ją serce.

-Czy dlatego tu dziś przyszedłaś?

-Nie. Częściowo. To jej wina...

Pokręciła głową i nerwowo przełknęła ślinę. Pastor Burnie był kompletnie zdezorientowany.

-To wina mojej matki - dodała, mając nadzieję, że to wszystko wyjaśni. - Fred się na mnie gniewa, bo nie przyszedłam na jakieś jego głupie spotkanie w interesach. A ja pojechałam porozmawiać z matką o Anne-Lynn i tak się potem zdenerwowałam, że całkiem zapomniałam o kolacji. Teraz Fred prawie się do mnie nie odzywa. Zachowuje się nedorzecznie. Wszystko się rozpada. Choćbym nie wiem ile robiła dla innych, o mnie nikt nie dba!

-Co mam zrobić, Noro?

Patrzył prosto, otwarcie, jego głos brzmiał szczerze, ale czy w ogóle jej słuchał? Chciała, żeby jej powiedział, jak to wszystko naprawić! Chciała usłyszeć, że przyjdzie do niej do domu, porozmawia z Fredem i nakłoni go, by znów zachowywał się jak kochający mąż. Chciała, żeby porozmawiał z Anne-Lynn i namówił ją, by wróciła do domu i zachowywała się jak kochająca i posłuszna córka. Lecz gdy spojrzała pastorowi Burnie w oczy, nie potrafiła tego wszystkiego wypowiedzieć - odniosła wrażenie, że nie przyszło mu to nawet do głowy.

Och, po co w ogóle tu przychodziła?

Może tak naprawdę chciała się tylko wyzalić. Potrzebowała współczującego słuchacza. Chciała, by ktoś ją zrozumiał i stanął po jej stronie przeciwko wszystkim, którzy ją krzywdzą. Przynajmniej doktor Leeds przyznał, że całe zło się zaczęło z powodu matki.

Potarła skronie. Kiedy straciła kontrolę nad swoim życiem? Dlaczego wszyscy, których kocha, odwracają się od niej? Mężowie, dzieci... a najpierw własna matka.

-Noro?

-Nie wiem, pastorze Burnie. Po prostu nic już nie wiem.

-To zawsze jakiś początek.

Odwróciła się od okna i spojrzała na niego.

-Co pastor chce przez to powiedzieć?

-Czasami trzeba upaść, żeby spojrzeć w górę.

Zmarszczyła czoło. Co on próbuje jej powiedzieć?

-Jedno jest pewne, Noro. Bóg cię kocha. Bądź pewna, że odpowiedź na wszystkie twoje problemy znajduje się w osobistej więzi z Jezusem Chrystusem. Dopóki zamiast na Chrystusie będziesz się skupiać na sobie, dopóty będziesz powtarzać te same błędy i wciąż przeżywać ten sam ból. Taka jest ludzka kondycja. Ale Bóg cię kocha. Chce, abyś się do Niego zbliżyła. Umożliwił to poprzez śmierć Jezusa Chrystusa na krzyżu i Jego zmartwychwstanie. Pokazał, że nie musisz się Go bać, gdy przychodzisz do Niego po miłość i pomoc.

Znowu to samo insynuacja, że to ona jest samolubna. Co pastor Burnie rozumie przez to, że będzie powtarzała te same błędy? O czym on mówi? Nie przyszła tu po to, żeby wysłuchiwać niedzielnych nauk. Nie potrzebuje, żeby jej prawil kazania. Czyżby był tak głupi i nie widział, jaką jest chrześcijanką? Od pięciu lat siada w ławach tego kościoła! Czy pastor Burnie nie słyszał, co mu powiedziała? Czy w ogóle jej słuchał?

-Bóg nie chce, byś od czasu do czasu dawała mu cząstkę siebie, Noro. Chce ciebie całej przez cały czas. Na tym właśnie polega zaproszenie, jakie Jezus kieruje do twojego serca.

-To znaczy, że co? Mam codziennie chodzić na kółko biblijne dla kobiet czy zaangażować się w jakąś pracę misyjną?

Znów posłał jej to spojrzenie. Smutne. Przeszywające. Jak gdyby widział w niej coś, czego sama nie była świadoma.

-Tego nie powiedziałem, Noro. Nie mówię o pracy, lecz o więzi.

-O więzi, której zdaniem pastora nie mam. Czy tak?

Pozwoliła, by gniew w niej narastał. Była w nim bezpieczna i silna. Czowała, że ma kontrolę. Jak pastor śmie rozmawiać z nią w ten sposób? Przypomniała sobie wszystkie momenty, kiedy ludzie mówili jej przykre rzeczy, i rozzłościła się jeszcze bardziej - żarzące się węgliki gniewu rozdmuchała w płomień.

Ludzie zawsze ją prześladowali. Jej własny pastor nawet nie próbuje zrozumieć, jak bardzo jest smutna i cierpi. Gdzie się podziało jego chrześcijańskie współczucie? Gdzie wsparcie? Czy nie powinien czuć słusznego oburzenia, że córka i mąż potraktowali ją tak niegodziwie? Czyż Biblia nie nakazuje szanować matki?

Zadrżały jej wargi.

-Przychodzę tu, rozpaczliwie potrzebując pomocy, a pastor ma mi do powiedzenia tylko tyle, że brak mi więzi z Jezusem? Jak pastor śmie kwestionować moją wiarę? - Podniosła lekko głos. - Po wszystkim, co przez tyle lat robiłam dla kościoła, jak pastor śmie kwestionować we mnie cokolwiek, co ma związek z religią? - Zacisnęła dłonie, powstrzymując się przed obrzuceniem go wyzwiskami.

-Jestem pastorem, Noro. Moim powołaniem jest zrobić wszystko, żeby zagubiona owieczka wróciła do stada.

-To nie ja jestem zagubiona! Powinien pastor porozmawiać z Anne-Lynn. Ale przecież pastor mnie w ogóle nie słuchał!

-Przeciwnie.

Mocno roztrzęsiona, Nora porwała z kanapy swoją torebkę.

-Nie powinnam była tu przychodzić. Pastor nie ma pojęcia, jak pomóc człowiekowi.

Gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi. Sekretarka pastora podniosła wzrok znad biurka i zawiesiła dłonie nad klawiaturą komputera. Nora kroczyła przed siebie, nie zwracając na nią uwagi. Wyszła z kościoła i przemaszerowała przez parking do swojego lexusa. Wślizgnęła się na fotel kierowcy, zatrzasnęła drzwi i wetknęła kluczyk do stacyjki. Silnik zawył. Wyjechała na ulicę z pis kiem opon. Samochód wyjeżdżający z bocznej uliczki zajechał jej drogę, tak że musiała gwałtownie wcisnąć pedał hamulca. Zatrąbiła i przeklinając pod nosem, wyminęła starego forda.

-Stary dureń! Powinno mu się zabronić wyjeżdżać na ulicę!
Przez ponad godzinę jeździła bez celu, aż wreszcie zdecydowała się pójść do centrum handlowego. Przejdzie się i pomyśli. Może poczuje się lepiej, gdy kupi sobie nową sukienkę. Coś zielonego. Fred lubi zielony kolor. A jeszcze lepiej coś niebieskiego. Ona lubi niebieski.

Włączyła się po sklepach i oglądała towary. Nic jej się szczególnie nie podobało. Wreszcie, zmęczona i przygnębiona, przystanęła w barze i kupiła słodką bułkę i kawę. Siedząc samotnie, obserwowała krzątanicę matek z dziećmi, grupki chichoczących nastolatków wodzących oczyma za chłopcami, chłopców zerkających na dziewczyny, starsze kobiety, które siedziały przy stolikach i rozmawiały, młodą matkę, która w cichym zakątku karmiła piersią dziecko.

Drżącymi rękoma podniosła do ust styropianowy kubek i ostrożnie pociągnęła łyk gorącego płynu. Nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna.

„Po owocu poznaje się drzewo”.

Gdzie to słyszała?

Coś takiego mogła powiedzieć jej matka. Zawsze rzucała głupie uwagi bez związku z rozmową.

W dobrej ziemi rozwijają się silne korzenie...

Bez odpowiedniego podcinania krzewy nie wydadzą zdrowych owoców...

Na gnojówce wszystko lepiej rośnie.

Nora nigdy nie interesowała się ogrodnictwem.

Chodź ze mną do ogrodu, Eleonoro. Chcę cię nauczyć...

Nauczyć czego? Jak kopać w ziemi? Jak podwią-
zywać krzewy i sadzić warzywa,
których nie będzie jadła? Jak szczepić rośliny? Jak rozsadzać morele czy śliwy?
Na co komu odnóżki, skoro za kilka dolarów można kupić małe drzewko ze szkółki?

Matka nigdy nie zadała sobie trudu, by się dowiedzieć, czym Nora się
interesuje. Ani razu nie zabrała jej na koncert czy przedstawienie baletowe,
nigdy też nie liczyła się z marzeniami córki o studiach.

Ciekawe, że ogród bujnie kwitł, choć na to, czego chciała Nora, nigdy nie
starczało pieniędzy. Gdy tylko osiągnęła odpowiedni wiek, zaczęła pracować w
sklepie z tkaninami i podczas każdej przerwy przyglądała się kobiecie, która
demonstrowała maszyny do szycia. Wcześniej babka Reinhardt nauczyła ją podstaw
krawiectwa. Na zajęciach z gospodarstwa domowego w szkole średniej Nora
dowiedziała się prawie wszystkiego, co było jej potrzebne, by sama mogła szyć
sobie ubrania. Żadnych wystrzępionych brzegów. Wykańczała każdy szew, równo
dopasowywała wzór materiałów w kratę, wybierała najlepsze modele nadające się do
przeróbki. Na szczęście była dość zdolna i jej sukienki wyglądały jak z wieszka

od Macys Capwells. Nim poszła do szkoły średniej, nabrała już takiej wprawy, że żadna z przyjaciółek nie podejrzewała, iż jej modne ubrania są wykonane domowym sposobem.

Nora pamiętała doniosły moment w swoim życiu, kiedy panna Wentworth, nauczycielka gospodarstwa domowego, powiedziała jej, że ma talent i mogłaby zostać projektantką. Miło było słyszeć tę pochwałę, lecz nie łudziła się, że kiedykolwiek będzie mogła studiować w Nowym Jorku czy nawet na lokalnej uczelni.

Przysięgła sobie, że pewnego dnia będzie robić zakupy w najlepszych sklepach. Zadba o to, żeby dzieciom ani nikomu z jej rodziny nie brakowało rzeczy, których ona w dzieciństwie nie miała. Będą mieszkać w ładnym domu w przyjemnej dzielnicy, nosić ładne ubrania ze sklepu, brać lekcje tańca, kupować karnety na koncerty, chodzić do muzeów, wyprawiać przyjęcia nad basenem w ekskluzywnych ośrodkach za miastem i mieć dyplomy renomowanych uczelni. Jej dzieciom nie zabraknie niczego, co można uzyskać za pieniądze.

Drogo ją to kosztowało, ale dotrzymała obietnicy. Jej pierwszy mąż zrzucił z siebie odpowiedzialność drugi się zbuntował. Ona jednak nigdy się nie poddała, choć dzieci nie okazywały krzty wdzięczności za wszystkie jej poświęcenia. A przecież zawsze były dla niej najważniejsze. Czy Fred jest zły, bo na pierwszym miejscu postawiła Annie? Bunt córki do tego stopnia pochłonął wszystkie jej myśli, że zapomniała o swoich obowiązkach wobec męża. A czy Anne przejmuje się tym, że sprawia jej tyle bólu? Nie, oczywiście, że nie. Anne myśli tylko o sobie. Wyjechała jakby nigdy nic, bez jednego „dziękuję, mamo” za wszystkie lata, gdy Nora wozila ją na lekcje gimnastyki, tańca i muzyki, odrabiała z nią lekcje, pisała podania i dbała o porządek w jej papierach. Nie wspominając o pieniądzach! Tysiące dolarów poszły na marne. Za wszystko, co wydała na swoją niewdzięczną córkę, Nora mogłaby objechać świat!

Po owocu poznaje się drzewo.

Czemu te słowa sprawiają tyle bólu?

I dlaczego nie może przestać o nich myśleć?

275

Susan siedziała na kanapie i płakała.

-Raoul nie powinien był oddawać Barnaby pod moją opiekę! On chyba umrze. Tylko spójrz na niego, Annie.

Annie rzuciła torbę na niski stolik i podeszła do ptaka.

-Cześć, Barnie. Cześć, skarbie.

Barnaba nie wykonał swojego zwyczajowego tańca w przód i w tył. Nie odezwał się. W ogóle się nie poruszył. Pazurki miał zaciśnięte wokół gałęzi, a pióra napuszone jak nigdy.

-Ciekawe, co mu jest?

-Ja wiem, co mu jest. Jestem skończoną idiotką! Powinni mnie rozstrzelać!

Annie popatrzyła na przyjaciółkę.

Susan wydmuchała nos i spojrzała na nią czerwonymi, podpuchniętymi oczyma.

-Pożyczyłam ten sklepowy odkurzacz od Howarda. Kojarzysz? To ten facet z naprzeciwka. Złota rączka. Byłam wściekła, bo Barnaba narobił straszego bałaganu. Odkurzałam porozrzucane ziarna, wyschnięte kawałki owoców i warzyw i ptasie odchody. No i zadzwonił telefon.

-I co?

-Schyliłam się, żeby podnieść słuchawkę. Dzwonił Sam i przez sekundę nie uważałam. Tylko sekundę. Ale to wystarczyło. Usłyszałam takie głośne... ślup. Sam też usłyszał, bo spytał, co to za odgłos. Odwróciłam się, a Barnaby nie było. Musiało go wciągnąć przez rurę. - Pociągnęła nosem.

-Może sobie coś złamał - zmartwiła się Annie. Dotknęła ptaka. Nie poruszył się.

-Gwarantuję, że nic sobie nie złamał. Spójrz na moją rękę. - Wystawiła ją.

-Wyłączyłam odkurzacz, otworzyłam go, a Barnaba się trzepotał, dziobał i drapał. Pragnął mojej krwi! Cały był utyłany ziarnami, kawałkami suchych i zgniłych owoców, wszystkim, co Howard odkurzył. Sierścią psa chyba też. Musiałam go umyć. - Zaszło- chała głośnie. - Zrobiłam mu prysznic pod zlewem. Sprawdziłam wodę, Annie. Była letnia. Niezbyt mu się to podobało. Cały mokry wyglądał tak żałośnie. Nie chciałam, żeby się nabawił zapalenia płuc czy innej ptasiej choroby, więc go wysuszyłam. Twoją suszarką do włosów.

-Biedny Barnaba. - Annie delikatnie pogładziła jego pióra. - Ale miałeś dzień.

-Odpuść sobie. Jest otępiały. Siedzi, jakby był wypchany. Przez cały dzień

nie wydał z siebie ani jednego dźwięku. Ani pisnął. Tylko się gapi. - Susan ukryła twarz w dłoniach i załkała. - Czekam, aż się przewróci i wykituje. -No, Barnaba. Wszystko będzie dobrze, skarbie - powiedziała cicho Annie. Ptak nie zareagował. -Nigdy go specjalnie nie lubiłam, Annie, ale nie chcę, żeby umarł. - Susan

miała podkrążone oczy. - Słyszysz, Barnaba? Nie waż się umierać! Zadzwoił telefon. Papuga raz drgnęła i z powrotem zamarła w bezruchu. -Biedne maleństwo - powiedziała Annie i schyliła się po słuchawkę, nim

rozległ się drugi dzwonek.

-Annie, kochanie. Wiedziałem, że jak będę dostatecznie często dzwonił, to w

końcu odbierzesz.

-Cześć, Sam - uśmiechnęła się.

-Jak się miewa Barnaba?

-Chyba jest w szoku.

-Nie dziwota. Wyobraź sobie, że wciąga cię tornado, potem przeżywasz

powódź, a na koniec trąbę powietrzną. Padł już nogami do góry?

-To nie jest śmieszne, Sam.

-Nie martw się, kotku. Będzie żył. Złego licha nie weźmie.

-Gdybyś go widział...

-Prawdę mówiąc, właśnie się zastanawiałem, czy nie powinienem zajrzeć i sprawdzić, jak się czuje Suzie Q.

-Uhm - powiedziała sucho.

Sam zachichotał.

-Będziesz dziś wieczorem w domu?

-Chyba się wybiorę na plażę.

Westchnął.

-Unikasz mnie?

-Ratuję się, jak mogę.

-Źle mnie oceniasz, Annie.

Zaśmiała się.

-Miło się z tobą rozmawiało, Sam - podała słuchawkę współlokatorce. - Chce wiedzieć, jak się czujesz. - Zsunęła plecak z ramion i postawiła go na podłodze obok kanapy. Z salaterki stojącej na blacie wzięła pomarańczę i obrała ją. Zjadła jedną częśćkę, a drugą podsunęła Barnabie. - No, Barnie. Ona nie chciała cię wystraszyć. - Otworzył dziób, ale Annie odniosła wrażenie, że było to raczej ostrzeżenie, żeby zostawić go w spokoju, niż gotowość do wzięcia owocu.

-Nie - powiedziała Suzie do Sama. - Tak. Może. Nie wiem. Mogę spróbować.
Dobrze. Dobrze!

Annie spojrzała na Suzie. Jej współlokatorka zwykle nie była taka skryta, rozmawiając przez telefon, a teraz na jej twarzy pojawił się tryumfalny uśmiezek. Odzyskiwała dobry humor. Uśmiezek przerodził się w szeroki uśmiech, a w oczach zapłonęły zdecydowanie figlarne iskierki.

-W tej chwili? Och, próbuje skusić Barnabę kawałkiem pomarańczy. Roześmiała się. - Po

wtórę jej to, Sam. Teraz patrzy na mnie i marszczy czoło. Naprawdę? Dlaczego mnie to nie dziwi? Okej. Okej! Cześć. - Odłożyła z trzaskiem słuchawkę i postawiła telefon na stoliku. - Dostałam wyraźne instrukcje, żeby wieczorem zatrzymać cię w domu. Nawet nie próbuj się nigdzie wybierać. - Poruszyła brwiami. - Mój odważny i szlachetny brat przyprowadzi kolegę, który podobno jest mężczyzną moich marzeń.

-To szantaż, Suzie.

Wzruszyła ramionami, nieskruszona, z błyskiem w oku.

-Niech i tak będzie. Wiesz, jak bardzo bym chciała, żebyś była moją bratową.

-Chyba żartujesz, mam osiemnaście lat!

-Może to rodzinne. Mówiłaś kiedyś, że twoja mama wyszła za mąż w wieku siedemnastu lat.

-I rozwiodła się, jak miała dwadzieścia.

Suzie skrzywiła się.

-A, zapomniałam. Ale to nie znaczy, że i ciebie to czeka. Jak Carter się zakocha, to na całe życie.

-Suzie, twój brat nie jest we mnie zakochany.

-Diabła tam nie jest. Wiele razy widziałam, jak się w kimś durzył. Teraz jest inaczej, zupełnie inaczej. Dostał kompletnego fioła na twoim punkcie. Kiedy

jesteś w pobliżu, cały promienieje.

Annie poczuła, że się rumieni.

Twarz Suzie złagodniała.

-Annie, przecież nie tak dawno byłaś w nim zakochana.

-Wiem. - Osunęła się na kanapę i oparła stopy na stoliku.

-Więc w czym problem?

-Dlaczego zaraz problem?

-Znam cię. Nigdy nie miałaś dosyć wolności, żeby cieszyć się życiem. Teraz masz szansę.

-Cieszę się życiem.

-Ale nie do końca, w ograniczony sposób. Z babcią. Jak długo będziesz się chować?

Annie się roześmiała.

-A ty myślisz, że Sam jest lekarstwem na moje nudne życie? Akurat. - Wstała i poszła do kuchni. Od rana nie miała nic w ustach i była głodna.

Susan poszła za nią, usadowiła się na stołku i oparła łokcie o blat. Annie tymczasem wyjęła z lodówki jajka, ser, pieczarki, pół zielonej papryki i mały pomidor.

-Przyznaję, że Sam był kiedyś awanturnikiem, Annie. Czy to cię martwi?

-Nie. Lubię go takim, jaki jest. Bardzo, bardzo go lubię. Zawsze lubiłam. Oplukała warzywa i położyła je na desce do krojenia. - Nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić, Suzie.

-Spróbuj. Annie, obiecuję, że nie powtórzę tego Samowi. Jeśli się obawiasz...

-Możesz mu wszystko opowiedzieć, jeśli uważasz, że dzięki temu trochę przystopuje. - Uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Większość dziewcząt, włącznie z tobą, czuje palącą potrzebę, żeby wyjść za mąż. Ja nie.

-Bo twoja matka nie sprawdziła się w małżeństwie?

Annie na chwilę przestała kroić długi strąk papryki.

-Proszę, nie mów tak o niej, Susan.

-Przepraszam.

-Nie, to moja wina. Za dużo ci opowiadałam, gdy było mi źle.

-Musiałaś z kimś rozmawiać.

-Nie rozumiesz, o co mi chodzi? Znasz tylko mój punkt widzenia. Ona chciała, żebyśmy postępowała dobrze. Nie ma w tym nic złego.

-Ona cię zmuszała, żebyś postępowała dobrze, a to nie jest w porządku.

-Nie wiem. - Znów zaczęła kroić. - Wciąż myślę o mamie, próbuję poskładać wszystko w jedną całość i zrozumieć, dlaczego jest taka, jaka jest. Coś zaszło pomiędzy nią a babcią Leotą jeszcze nie jest dla mnie jasne, co takiego. Chcę się dowiedzieć, dlaczego moja mama stała się taka zgorzkniała i pełna żalów.

-Nie możesz jej usprawiedliwiać, Annie.

-Nie usprawiedliwiam jej. Próbuję zrozumieć. Może gdy poznam obydwie

wersje, uda mi się zbudować między nimi most.

-Powodzenia.

Annie wiedziała, że inni ludzie nie widzą w tym sensu, ale do jej serca

przemawiał Pan. Gdyby pozwoliła, aby jej życiem rządziła głowa, odeszła- by od matki i rzadko, jeśli w ogóle, spoglądała za siebie. Tak jak Michael. Być może to tylko asekuracja z jego strony, a może egoizm. Nie potrafiła tego powiedzieć i nie miała prawa osądzać brata. Czasem jednak obawiała się, że postępuje identycznie. Wiedziała, że brat nie żywi do niej głębokich uczuć - nie żywi ich dla nikogo, zwłaszcza dla matki, która utorowała mu drogę do sukcesu. Annie nie chciała stać się taka. Ale coś jej podszeptywało, jak kuszące jest nie musieć się przejmować niczymi uczuciami czy potrzebami, zwłaszcza matki.

Przez pierwsze miesiące z dala od mamy powtarzała w myślach litanię Chcę żyć własnym życiem! Jeśli popełnię błędy, to będą moje błędy. To moje życie. Pozwól mi żyć po swojemu!

Wolność nie przyniosła jednak spokoju. Annie nie potrafiła go znaleźć do chwili, gdy pierwszy raz skontaktowała się z babcią. Od tamtej pory wszystko zaczęło się zmieniać. Jak pory roku upał lata ustępował chłodom jesieni. Czas spędzany z babcią był prawdziwą rozkoszą. Tyle się od niej uczyła, wchłaniała obrazki z jej życia. Przez cały czas, gdy przebywały w ogrodzie, Annie czuła, że babcia rozmawiała z nią na dwóch płaszczyznach.

Trzeba przyciąć gałęzie, żeby pozwolić drzewu oddychać i otworzyć je na światło.

Te słowa poruszyły w niej głęboką nutę. Powietrze i światło. Dobra gleba. Żywa woda. Poczowała ukłucie w sercu i wiedziała, że przez babcię przemawia do niej Bóg.

Bez względu na to, co myśli Susan, Annie wiedziała, że robi dokładnie to, co powinna. Jest w tym jakaś słusność, uczucie powrotu do domu. Nie może pozwolić, by cokolwiek przeszkodziło jej iść tą drogą.

Sam chce ją odciągnąć w inną stronę. Oczywiście to nie znaczy, że chce ją odciągnąć od Boga. Wiedziała, że tak nie jest. On też kocha Pana, przekonała się

o tym. Wierzy, że to Jezus wyciągnął go z dołu, który sam sobie wykopał. A jednak...

Annie westchnęła. Sam jest przystojny, czarujący i inteligentny. Ma w sobie jakąś przekorę, chłopięcą radość ze stawiania czoła życiu. Jest atrakcyjny i w jego obecności serce bije jej szybciej, ale to nie znaczy, że powinna zboczyć z drogi. Wiedziała, że Sam nie jest częścią planu, który odkrywa przed nią Bóg. Nie potrafiła wyjaśnić, skąd to wie, nawet sobie samej, a co dopiero Susan. Po prostu wie. Gdyby postąpiła wbrew sobie, nie doświadczyłaby cudu, który ją czeka na tej drodze. Czymkolwiek jest...

Przycinanie drzew.

Uśmiechnęła się do siebie, robiąc omlet. Taka prosta rzecz jak przycinanie. Babcia powiedziała „Trzeba przyciąć gałęzie, by pozwolić drzewu oddychać i otworzyć je na światło” - a Annie, stojąc na tej starej moreli, przez cały czas myślała o tym, że z ludźmi jest tak samo. Bóg odcina idee prowadzące donikąd, chore filozofie, złamane obietnice i wypaczone marzenia. Czemu ludzie nie poddają się woli Stwórcy wszechświata, aby mógł ich przycinać i kształtować według swojego zamysłu? Jakież zdrowy plon przyniosłoby lato!

Boże, tego właśnie chcę. O święty Ojczy życia, Ty, który sprawiasz, że wszystko rośnie, przytnij moje gałęzie wedle swej woli. Spraw, Panie, by Twój duch popłynął we mnie jak życiodajny sok drzewa. Niech w mojej piersi bije Twoje serce. Niech owoc mojego życia będzie odzwierciedleniem Twojej miłości, pokoju, cierpliwości, życzliwości, dobroci, wiary i czułości. Ojczy, bez Ciebie niczego nie potrafię zrobić. Nawet nie chcę próbować. Bądź ogrodnikiem...

-Wygląda apetycznie - Susan patrzyła, jak Annie zawija omlet na patelni.

-Jesteś głodna? - Annie zsunęła omlet na talerz i podała go Susan. - Zrobię sobie drugi.

-Widzisz, o czym mówię? - Susan wzięła talerz. - Powinnaś mi powiedzieć, żebym sama sobie zrobiła omlet.

Annie się roześmiała.

-Żeby w całym mieszkaniu śmierdziało przypalonymi jajkami? Nic z tego. Dała Susan widelec i wbiła do miski jeszcze dwa jajka.

Susan zjadła kawałek i pomachała widelcem w stronę Annie.

-Nie cofniesz lat animozji, Annie. Znasz swoją mamę. I nie patrz tak na mnie. Nie zmienisz ludzi.

Będziesz tylko sama cierpieć. Minęły już trzy miesiące, a ona wciąż ci nie wybaczyła, że wybrałaś samodzielność. Jak chcesz sprawić, żeby po tylu latach nienawiści wybaczyła swojej matce krzywdę, którą jej rzekomo wyrządziła? No jak?

-Nie wiem. - Ale wiedziała jedno dla Boga nic nie jest niemożliwe. Z jakiegoś powodu kazał jej nawiązać stosunki z babcią. Po co by to robił, gdyby nie miał wobec niej planów? A Jego plany zawsze służą dobremu celowi. - Wiem, że jest w tym ręka Pana, Suzie. I chcę w tym uczestniczyć, żeby zobaczyć, co się stanie.

Susan zachichotała.

-Leota jest fajna. Trochę się obawiałam, co powie, gdy nagle staniemy w progu jej domu. Sam nie. Myślał, że wejdzie jakby nigdy nic i weźmie sprawy w swoje ręce. Tymczasem ani się obejrzał, a już kopał ogródek, a ja przesadzałam sadzonki moreli i śliw. Dostał nauczkę! Mówił, że mięśnie bolały go przez tydzień. Założę się, że w młodości z babci Leoty był niezły numer.

Annie zakręciła patelnię i topniejące masło zasyczało na rozgrzanej powierzchni. Wlała ciasto.

-Mam nadzieję, że opowie mi o sobie. - Spójrzała na Susan ze smutkiem. - Mama zawsze powtarzała, że jestem taka jak babcia Leota. Chcę się w końcu dowiedzieć, co to znaczy.

O szóstej zjawił się Sam z obiecany kolegą. Annie zauważyła błysk w oczach Susan, kiedy brat jej go przedstawiał. Zdawało się, że dla Chycka Hauge Susan również była tą, o której marzył. „Sam dużo mi o tobie opowiadał”.

-Wierz we wszystko, co słyszałeś - powiedziała z zuchwałym uśmiechem.
Jednak po pół godzinie wyraźnie opuścił ją dobry nastrój.
-Co ten Sam sobie myślał? - bąknęła do Annie, trącając ją łokciem w

przejściu do kuchni. Wyjęła lód z lodówki. - Absolutnie nic nas nie łączy. Na litość boską, on ma magisterium z ekonomii. Od roku pracuje w jakiejś firmie komputerowej w Dolinie Krzemowej. Niewiele mówi o swojej pracy, ale pewnie zostanie jakimś dyrektorem. A ja, proszę, kelnerka. On czyta „Wall Street Journal”, a ja komiksy. On lubi sushi. Ja lubię befsztyk, dobrze wysmażony. On lubi muzykę klasyczną.

-I ty lubisz muzykę klasyczną - Annie ledwo powstrzymała uśmiech.
-Tak, jak nie mogę zasnąć.
Annie postawiła sos do warzyw na tacy z krakersami.
-Muzyka klasyczna podobno podnosi iloraz inteligencji.
-On nie potrzebuje wyższego IQ. Przegrana sprawa. - Susan wywróciła oczami

i wytrząsnęła lód do miseczki. Wzięła kilka kostek, wrzuciła je do swojej szklanki z wodą mineralną i zerknęła przez ramię. - Podać ci coś do picia, Chuck?

Annie uśmiechnęła się od ucha do ucha, wykładając więcej krakersów na tacę.
-W twoim głosie jest tyle słodczy, że zaraz zlecą się pszczoły.
-Cicho bądź - odparła Susan półgłosem. Nadała wody do jeszcze jednej

szklanki i ruszyła do salonu. - Już ja się porachuję z Samem.
Annie wyszła za nią i postawiła tacę na stoliku. Sam na nią zerknął stał przy

oknie, gdzie milczący Barnaba siedział na gałęzi.
-Widzę, że ptak jest ciągle markotny. Rozumiem, że nic się nie zmieniło?
-Ani pisnął.

Susan gwałtownie uniosła głowę, ciskając wzrokiem gromy na brata.
-Ani słowa.
Widząc, jak na twarzy Sama maluje się kpiarski uśmiech, Susan wstała.
-Może się przejdziemy, Chuck? Do oceanu jest tylko sześć przecznic.
Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Sam odsunął się od okna i usiadł na kanapie,

wyciągając jedną rękę na oparciu.

-Sam lepiej bym tego nie zaplanował. - Spojrzał na Annie z przekornym uśmiechem.

Annie przełknęła ślinę.

-Może my też się przejdziemy? O tej porze powietrze jest przyjemne i rześkie.

-Mnie się tutaj podoba. Wolę, jak jest ciepło.

-Poklepał dłonią kanapę. - Może przy mnie usiądziesz?

Annie usadowiła się na zniszczonym pomarańczowym fotelu, kupionym przez Susan od

sąsiada z góry, który wprowadził się przed tygodniem. Skrzyżowała nogi i oparła dłonie na aksamicie.

-Tu jest miło.

Sam pokręcił głową z niewesołym uśmiechem na twarzy.

-Ja nie gryzę, Annie.

-Słyszałam co innego.

Oczy mu rozblęły i spojrzał na nią z powagą.

-Chyba powinniśmy się cofnąć i przegrupować. Nie chcę cię uwieść, Annie.

Nie przychodzę w bezwstydnym celu.

-Wiem.

-Nie, nie wiesz. Znasz mnie zbyt długo. Niestety. Nie winię cię, jeśli uważasz, że byłem kompletnym cymbałem, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę parę idiotycznych numerów, które wyciąłem

kilka lat temu. Odwiedzałaś nas często i wiesz, jakie były skutki uboczne. Pochylił się do przodu, luźno splatając opuszczone dłonie. - Posłuchaj, Annie.

Powiem wprost. Gdyby był tu twój ojciec, bez najmniejszych oporów przedstawiłbym

mu swoje zamiary.

Annie z zakłopotaniem odwróciła wzrok, unikając jego spojrzenia.

-Pochlebiasz mi.

-Nie chodzi mi o pochlebstwo. Raczej o zaufanie.

Spojrzała na niego skonsternowana.

-Ufam ci, Sam.

-Czyżby? To dlaczego ja siedzę tutaj, a ty tam?

Skoro Sam chce szczerości, będzie wobec niego szczerą.

-Wciąż gnasz na złamanie karku, a ja bym chciała, żebyś włączył hamulec. Teraz.

Powoli oparł się plecami o kanapę.

-Okej - powiedział po dłuższej chwili milczenia. - Może i działam na najwyższych obrotach. Silnik trochę się zagrzał. Włączam pierwszy bieg. Lepiej?

-Lepiej, żebyś pojechał inną drogą. Nie zamierzam się z tobą wiązać, Sam.

-Wiązać się. - Złożył usta w ciup. - Tak się mówiło w poprzedniej dekadzie.

-Jesteśmy przyjaciółmi. Nie chcę, żeby coś to zniszczyło.

Uśmiechnął się szeroko.

-No i proszę, na do widzenia tekst stary jak świat. Nie jestem pewien, ile razy go słyszałem. Kilka razy sam go użyłem. - Spojrzał na nią czule. - Okej.

Czyli jesteśmy przyjaciółmi. To znaczy, że zamiast wybierać wzór zastawy stołowej, możemy iść się zabawić. Co chciałabyś robić?

-Nie mam bladego pojęcia.

-No to chodźmy się rozejrzeć. Późna kolacja. Trochę swingu. Spacer po molo. Wszystko jedno.

-A co z Suzie i Chuckiem?

-Zostawimy im liścik.

-Nie wiem, Sam...

-W porządku. Zostajemy tutaj. Jak dla mnie - super. Tylko my dwoje. Nie ma telewizora. Postaram się na ciebie nie rzucić, ale nie mogę niczego zagwarantować.

Roześmiała się.

-Jesteś niepoprawny. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

-To samo mówili moi nauczyciele. No to jak? Złagodniała pod jego spojrzeniem. Biedny Sam.

Miała nadzieję, że nie cierpiał tak bardzo jak ona, kiedy była w nim po uszy zakochana.

-Wezmę marynarkę.

Bóg zawsze zostawia furtkę, by umknąć pokusie. Miała zamiar z niej korzystać.

Leota zamiatała nieduże podwórko wybrukowane kostkami cegły. Nie robiła tego od miesięcy. Ostre jesienne powietrze przeszywało jej kości, powodując ból, ale chciała posprzątać tę małą przestrzeń przed przyjazdem Annie. Nie wystarczy wciąż siedzieć jak starowinka i pozwolić, by wszystko robiła Annie i jej przyjaciele.

Przestała na chwilę zamiatać i wyprostowała się, podziwiając pracę, jaka została wykonana w ciągu ostatniego miesiąca. Ogród nie był już zaniedbany i opuszczony. Drzewa i krzewy zostały przycięte, a winorośle przerzedzone i przywiązane do ram i treliazy. Dzięki jednemu uśmiechowi Annie ten przystojny młodzieniec, który przyszedł tu z siostrą, skopał ziemię w ogródku warzywnym.

Nawet posypał ją mierzwą, a potem naprawił złamane listewki w kratownicy.

Leota oparła się na miotle i uśmiechała się do siebie, oglądając doniczkowe rośliny rozstawione na podwórku i pod murem. Niektóre trzeba już koniecznie przesadzić - jeszcze jedna lekcja dla Annie, skoro dziewczyna tak się do tego pali.

-Babciu! - Annie wyszła zza rogu. - Jesteś. Nie otwierałaś drzwi i pomyślałam, że będziesz tutaj.

Leota czuła, jak rozgrzewają się jej kości, kiedy patrzy na wnuczkę. Niebieskie oczy Annie lśniły miłością, a jej uśmiech rozjaśniał serce Leoty.

-Wcześniej przyjechałaś. - Dziękuję Ci Panie. Och, dziękuję.

-Ale chyba nie przeszkadzam?

-Oczywiście, że nie - Leota spojrzała na przedmiot, który Annie trzymała w ręku rurę z poskręcanyimi metalowymi prętami, sterczącymi we wszystkie strony. - A to co u licha? - Gdy tylko to powiedziała, przestraszyła się, że mogła zranić uczucia Annie. A jeśli to jej projekt artystyczny?

Annie się roześmiała.

-Co tylko chcesz. Promienie ciepłe. Dźwięk. To metalowa rzeźba. Kupiłam ją na wyprzedazy.

Dzięki Bogu. Ktoś chciał się pozbyć kłopotliwego nabytku.

-Co chcesz z tym zrobić?

Annie przygryzła wargę.

-No, pomyślałam, że to by ciekawie wyglądało w ogrodzie. Mam trochę antykorozyjnych farb - żółtych, pomarańczowych i czerwonych. Będzie wyglądać jak promienie słoneczne.

Leota przyjrzała się rzeźbie, próbując wzbudzić w sobie choć odrobinę entuzjazmu. Ale to była najbrzydsza rzecz, jaką kiedykolwiek oglądała.

-Och, babciu, przepraszam. Powinnam była najpierw zapytać. Zabiorę ją do domu. - Leota się roześmiała. No cóż, można to postawić w ogrodzie. Zresztą ogród i tak nie jest już tylko jej. Należy też do Annie. Niech dziewczyna trochę się w nim pobawi.

-Chyba coś w tym jest. Jak chcesz, możesz to posadzić na środku trawnika. Była ciekawa, co

Annie zrobi, gdy dostanie wolną rękę. Sądząc po jej pierwszym pomysle, można się spodziewać nie lada sensacji.

Dzieci Arby Wilson bawiły się w swoim ogródku za domem. Jedno przerwało zabawę i zajrzało przez płot.

-A co to?

-Rzeźba ogrodowa - odpowiedziała radośnie Annie. - Chcesz przyjść i pomóc mi ją ustawić?

Leota poczuła lekką irytację. Nie chciała dzielić się wnuczką z innymi.

-Mogę? - Dziewczynka zeskoczyła z płotu i wbiegła po schodkach do domu. - Mamo! Mamo! Pani mnie zaprosiła. Nie, nie ta stara, ta...

Chwilę później dziewczynka, jej starsza siostra i brat pojawili się w ogrodzie. Leota stała z miotłą w ręku i patrzyła. Po kilku minutach irytacja ustąpiła. Ich entuzjazm ją rozweselił. Ile to już czasu, odkąd gościły tu dzieci? Czyż przede wszystkim nie dlatego zasadziła ogród? Żeby wyciągnąć dzieci z domu?

Arba zeszła po schodkach, stanęła przy płocie i zaczęła się im przyglądać. Dzieci szczebiotały, pomagając Annie wykopać dół, do którego potem wsadziły rurę.

-Jak się pani miewa, pani Reinhardt? - sąsiadka w zamyśleniu uśmiechnęła się do Leoty. Patrząc na jej minę, Leota zastanawiała się, czy młoda kobieta

oczekuje, że zaraz wyrosną jej rogi i zaczną ziać ogniem i dymem.

-Wciąż oddycham.

Arba wydawała się skonsternowana.

-No, to dobrze.

Leota zadrżała. Zimne powietrze przeszło jej artretyczne stawy.

-Chyba wejdę do środka.

-Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzają?

-Kto?

-Moje dzieci.

-Ależ skąd. Nie, dopóki są z Annie. Następnym razem mogą wejść przez furtkę.

-Jaką furtkę?

Leota podeszła bliżej i pokazała palcem.

-Tam z tyłu. Oczywiście nie mogła pani o niej wiedzieć. Nie widać jej spod tych przerośniętych krzaków ligustru. Należało je ściąć wieki temu. Mój mąż wstawił furtkę dwadzieścia lat temu. Miałam dobrą przyjaciółkę, która mieszkała w pani domu. Zmarła w sześćdziesiątym czwartym. Jej dzieci sprzedały dom.

-Czy ktoś jeszcze korzystał z tej furtki od śmierci pani przyjaciółki?

-Nie. Kolejna rodzina miała małe dziecko i większość czasu spędzała w domu. Rzadko ich widywałam. Ale za to słyszałam. Wrzeszczeli na siebie we dnie i w nocy. Raz nawet wezwałam do nich policję, żeby się nie pozabijali. W ciągu lat mieszkało w tym domu kilkanaście rodzin i większość z nich nie zaprzętała sobie głowy ogrodem bardziej niż pani. Pewnie myśleli, że skoro wynajmują dom, to obowiązek spoczywa na właścicielu, ale on też się tym nigdy nie przejmował. Dlatego pani trawnik jest teraz taki zachwaszczony, a reszta ogrodu wygląda tak, jak wygląda.

Uśmiech Arby zniknął.

-Ja pracuję, pani Reinhardt. Bardzo ciężko pracuję. Po powrocie do domu jestem zbyt zmęczona, żeby się brać za pielenie i porządkowanie ogródka.

-Godzina dziennie i poczułaby się pani lepiej. Kontakt z ziemią ma w sobie coś takiego, że człowiek odzyskuje energię, którą zużył w biurze. - Leota oparła się o miotłę i spojrzała Arbie prosto w oczy. - Przynajmniej na mnie tak działał. Pracowałam w biurze przez wiele lat. Jeździłam autobusem, a do tego robiłam piesze spacerki. - Stawy mocniej ją rozbolały. - Wiem, że pani pracuje, Arbo Wilson. W wyjątkiem weekendów pani dzieci są zawsze same.

Arba zeszywniała.

-Jeśli panią niepokoją, proszę mi powiedzieć, pani Reinhardt. Dopilnuję, żeby to się nie powtórzyło.

-Mnie nie przeszkadzają, ale ktoś może je niepokoić.

Arba znieruchomiła, na jej twarzy pojawił się lęk.

-Ktoś zaczepiał moje dzieci?

-Tego nie zauważyłam, a często je obserwuję. Bardzo ładnie się ze sobą bawią, ale są przed domem i ktoś może zobaczyć, że nikt ich nie pilnuje. W dzisiejszych czasach kręcą się tu różne

typy-

Arba wyglądała na zaniepokojoną.

-Nie mam wyboru, pani Reinhardt. Chociaż bym chciała. Każdy zarobiony grosz idzie na czynsz, jedzenie, opłaty, wydatki na samochód i ubezpieczenie. Nic mi nie zostaje.

-Ich ojciec powinien pokrywać część kosztów.

-Ich ojciec! - Arba zaśmiała się cierpko. - Najpierw sąd musi go znaleźć.

-Uciekł?

-Prawdopodobnie jest w Los Angeles. Chyba że znowu siedzi w więzieniu. Już wolę sama sobie radzić, niż żeby miał znów się tu zjawić. Nie potrzeba nam takiej pomocy, pani Reinhardt. Kiedyś trafiłam przez niego do szpitala, a Nileowi

złamał rękę, bo zasłonił telewizor, gdy ojciec oglądał jakiś beznadziejny mecz piłki nożnej.

-Oj. - Nic dziwnego, że Arba miała uraz do tego mężczyzny. Któż mógłby ją winić? - Ma pani jakichś krewnych, którzy mogliby pomóc?

-Siostrę na zasiłku z opieki społecznej. Nie chcę, żeby moje dzieci dorastały, myśląc, że dobrze jest siedzieć z założonymi rękoma i pozwolić, żeby rząd się nimi opiekował.

-Słusznie. A opiekunka do dziecka?

-Za dużo kosztuje. Musiałabym skorzystać z zasiłku, a nie chcę wchodzić na tę drogę.

-Więc niech im pani powie, żeby się bawiły w moim ogrodzie. Będą tu bezpieczniejsze. - Leota nie mogła dłużej wytrzymać zimna. - Albo mogą czasem przyjść do mnie na telewizję. Byle nie oglądały MTV. - Odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodkach. Każdy krok był dla niej męką, ból przenikał kolana. Zaczęła otwierać drzwi i zatrzymała się.

-Przy okazji, jak mają na imię?

-Kenya, Tunisha i Nile.

-Na litość boską, czemu nadała im pani imiona po afrykańskich krajach i

rzece w Egipcie?

-Żeby byli dumni ze swego dziedzictwa. Dlatego.

-Chce pani, żeby byli dumni, że Afrykanie sprzedawali współplemieńców

handlarzom niewolników? Czasem lepiej unikać dziedzictwa przodków.

-Co takiego?

-Dobrze mnie pani słyszała. Mój mąż poszedł na wojnę i trafił do Niemiec,

skąd pochodzili jego rodzice. Dźwigał ten krzyż do końca życia. Byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby żył normalnie zamiast grzebać się w przeszłości.

Zniecierpliwiła

się. - Kiedy pani dzieci do mnie przyjdą, będę je nazywać

Carolina, Indiana i Yermont! Są wolni,

tak samo jak Izraelici. I są Amerykanami. Niech pani ich nauczyc, żeby byli z tego dumni! - Zatrzasnęła za sobą drzwi siatkowe.

-Pani babka to lepszy numer - powiedziała Arba do Annie. - Zawsze jest taka?

Annie trzymała rurę, a dzieci zasypywały dół ziemią.

-Nie sędzę, żeby chciała panią obrazić. - Pierwszy raz usłyszała od babci coś o dziadku, co pozwoliło jej lepiej go zrozumieć. Miała nadzieję, że zachęci ją do dalszych opowieści.

-Och, niech się pani nie przejmuj - zaśmiała się Arba. - Starzy ludzie bywają zrzędlivi. - Spojrzała w stronę domu. - Lubię ją.

-Ja też - Annie z trudem wymówiła te słowa, czując nagły ucisk w gardle. Czyżby płakała? Ale dlaczego? I skąd to przeczucie zbliżającego się nieszczęścia?

Dzieci skończyły uklepywać ziemię wokół rury.

-Będzie się trzymać, Annie? - Nile spojrział na nią szeroko otwartymi

oczyma.

-Chyba tak. - Najpierw lekko, potem mocniej szturchnęła rurę, by sprawdzić. Metal mocno siedział w ziemi. Annie wstała i popatrzyła na rzeźbę, umieszczoną w ogrodzie kwiatowym. - Dobra robota, dzieciaki.

Dzieci zerwały się na nogi i stanęły przy niej.

-Chodźcie teraz do domu - powiedziała Arba, odsuwając się od płotu. - Może w niedzielę spotkamy Annie i jej babcię w kościele.

-Dzięki za pomoc! - zawołała za nimi Annie.

Uśmiechnęła się i pomachała Arbie ręką, idąc w stronę samochodu. Wyjęła małą torbę podróżną, dwie reklamówki z zakupami spożywczymi

i wielką zakrytą klatkę dla ptaków. Przeszła przez podjazd i weszła do domu tylnymi drzwiami. Odstawiła klatkę na kuchenny stół i postawiwszy torbę na podłodze, wyłożyła zakupy na blat. Otworzyła lodówkę i schowała do niej ser, jajka, hamburgera, cukinię, pieczarki, ziemniaki w czerwonej skórce i cztery litry mleka. Na wierzchu zostawiła bochenek chleba, paczkę nadziewanych babeczek, puszkę słodzonej kawy, nieduże pudełko z dwudziestoma torebkami różnych herbat i puszkę kakao, po czym poszła do salonu, zobaczyć, co robi babcia.

Siedziała w głębokim fotelu z kolanami przykrytymi narzutą zrobioną na

drutach.

-Dobrze się czujesz, babciu?

-Nic mi nie jest. Tylko zmarzłam.

Annie wzięła do ręki jej dłoń. Była lodowata. Potarła ją.

-Napiłabyś się gorącej czekolady?

-Z przyjemnością, ale nie mam.

-Ja kupiłam. - Annie, widząc, że babcia drty, przez chwilę się zawahała. -

A może najpierw rozpalę ogień?

-Nie paliłam w kominku od lat.

-Jeśli nie chcesz, żebym...

-Och, nie. Zapal, będzie wspaniale. Zawsze lubiłam ogień, ale ciągle

rozpalanie i czyszczenie kominka stało się zbyt kłopotliwe. I skończyło mi się drewno. Zapalki leżą na gzymsie, za zdjęciem twojego dziadka.

Annie przyjrzała się starej fotografii. Dziadek był niezwykle szykownym

mężczyzną.

-Musiał mieć niebieskie oczy. - Na zdjęciu były bardzo jasne.

-Najbardziej niebieskie, jakie w życiu widziałam. I blond włosy. Jak złoto.

Annie zapaliła zapalkę, odsunęła kratę i podpałała zgniecioną pożółkłą gazetę wetkniętą pod pocięte gałęzie i stare polano. Wszystko było suche i szybko zajęło się ogniem.

-Nic o nim nie wiem. Mama niewiele mi mówiła. - Babcia się nie odezwała, więc Annie postanowiła nie naciskać. - Wstawię wodę.

-Rano zrobiłam sałatkę z tuńczyka - zawołała za nią babcia. - Weź sobie, jeśli jesteś głodna. Stoi na górnej półce w lodówce. Jest też puszka brzoskwiń.

-Corban był w tym tygodniu?

-W środę. Jutro pewnie znowu się pojawi. Myśli, że przy tobie więcej ze mnie wyciągnie.

Annie się roześmiała.

-Sądzi, że jest subtelny.

-Jak walec parowy. Każdy, kto ma odrobinę rozumu, przejrzałby tę jego bajeczkę. Gdyby coś mi się stało, zajrzeliby do mojego notesiku z telefonami i zadzwonili przede wszystkim do twojej mamy albo wujka. Albo do ciebie. A przy okazji, przyniosłaś papugę? Tę, co to, jak mówiłaś, przeżywa załamanie nerwowe?

-Jest tutaj.

-Już jej lepiej? Spójrzmy na nią.

-Znowu ma apetyt. - Annie zdjęła pokrowiec z klatki Barnaby i zaniósła ją do salonu. - Cieszę się, że pozwoliłaś mi go przynieść, babciu. Susan się na niego wścieka. Jest przekonana, że teraz, gdy Barnaba zaczął już jeść, karze ją swoim milczeniem.

-Ojej, jaki śliczny.

-To lorysa tęczowa.

-Niektóre ptaki są zwierzętami stadnymi. Może poczułby się lepiej, gdyby miał partnerkę.

-Raoul zapłacił za niego pięćset dolarów, babciu. Obawiam się, że za taką

cenę Barnaba jest skazany na samotność.

297

-Pięćset dolarów za ptaka! W życiu nie miałam takiej pensji miesięcznie! Z czego ten człowiek żyje? Handluje trawką?

Annie się zaśmiała.

-Jest policjantem.

-No to powinien był sobie kupić owczarka niemieckiego. Zapłaciłby mniej i mógłby go zabierać do pracy. Postawisz Barnabę na stoliku pod oknem, na lewo od drzwi? Tam jest dużo światła. Może to mu się spodoba.

Annie ostrożnie postawiła klatkę. Barnaba drgnął i znieruchomiał.

-Kiedyś chodził po tej gałęzi w przód i w tył i cały czas mówił. Raoul we dnie i w nocy zostawiał włączony telewizor, żeby Barnaba miał towarzystwo.

Babcia wstała i włączyła telewizor.

-Jakaś konkretna stacja?

Annie uśmiechnęła się do ptaka.

-Barnaba nie odpowiada.

Babcia się uśmiechnęła i wybrała koncert.

-Może to mu wygładzi nastroszone piórka.

Annie wróciła do kuchni. Wcześniej nie była

pewna, czy babcia polubi Barnabę, ale słysząc, jak zagaduje do ptaka, uśmiechnęła się pod nosem. Kiedy wspomniły jej o papudze, Annie miała nadzieję, że babcia zechce zaopiekować się Barnabą. Czytała kiedyś, że zwierzęta przedłużają ludziom życie, ona zaś chciała, żeby babcia była tu jeszcze bardzo długo. Kto wie? Może Barnaba jest właśnie tym, czego babcia potrzebuje.

Przyniosła kubek z gorącą czekoladą do salonu i postawiła go obok Leoty. W kominku trzaskał ogień.

-Ciepłej ci?

-Tak, dziękuję. Nie powinnam była tak długo zostawać na dworze. Kiedyś rozgrzewała mnie praca, ale stanie w miejscu i opieranie się na miotle nie pobudza krążenia krwi. Może pomalujesz tę metalową rzeźbę, a ja się w tym czasie zdrzemnę.

Oczy babci Leoty zamknęły się, gdy tylko skończyła mówić. Annie spojrzała z niepokojem na jej wciąż bladą twarz i wyszła do ogrodu.

Gdy skończyła malować, wyprostowała się i cofnęła o krok, podziwiając efekt. Sterczące z szarej metalowej rury czerwone, pomarańczowe i żółte wstęgi wyglądały w jesiennym ogrodzie jak promienista tęcza. Niektóre liście na drzewach zaczęły już zmieniać kolor. Nieopodal rósł klematis i Annie oplótła rurę kilkoma witkami, wyobrażając sobie, jak pięknie rzeźba będzie wyglądać, gdy pędy podrosną i częściowo zakryją metal.

Włożyła puszki z farbą w sprayu z powrotem do plastikowego pojemnika i postawiła go na podłodze za tylnymi drzwiami. Babcia Leota spała, jej fotel przechylił się do tyłu. Koncert się skończył teraz na ekranie pojawili się aktorzy mówiący z angielskim akcentem. Annie się domyśliła, że nadawano film o tajemniczym morderstwie według książki Agathy Christie. Barnaba dziobał jedzenie z miseczki. Od czasu „incydentu”, jak mawiała Susan, ptak zrobił się bardzo schludny. Annie postanowiła, że jeśli babcia dostatecznie polubi Barnabę, przyniesie jej z bagażnika stojak i zamontuje go tak, żeby można było zdejmować klapę klatki.

Zaniosiła swoją walizkę do wolnej sypialni. Powiesiła na wieszaku sukienkę, którą miała zamiar

299

włożyć na niedzielne nabożeństwo, i wyjęła szki- cownik i ołówki. Przez resztę wieczoru robiła czarno-białe szkice. Słuchając szumu brzęczącego telewizora, narysowała twarz babci śpiącej w dużym fotelu i jej delikatne dłonie z widoczną siatką żył. Potem wykonała kilka szybkich szkiców kominka i gzymsu, Barnaby na stoliku pod oknem, lampy na babcinym stoliku, na którym leżała też serwetka, Biblia i okulary do czytania.

Kiedy ręka zaczęła jej drętwieć, odłożyła przybory do szkicowania na bok i poszła do kuchni przyszykować kolację. W jednej szafce znalazła miskę, w drugiej przyprawy. Posypała nimi mięso na pieczeń. Umyła ręce, włączyła piecyk i przejrzała dolne szafki w poszukiwaniu brytfanny. Włożyła do niej mięso i wsunęła do piecyka. Umyła dwa ziemniaki, włożyła je do garnka z wodą i postawiła na kuchni, żeby je później zagotować. Kiedy ziemniaki będą miękkie, pokroi w plasterki i ugotuje na parze cukinię.

Zadzwonił telefon. Annie stanęła w progu w chwili, gdy babcia podnosiła słuchawkę. Odwróciła się, wzięła dwa talerze i półmisek i nakryła stół w kuchni dla dwóch osób.

-Annie! - zawołała babcia. - Masz coś przeciwko temu, żeby Corban zajrzał do nas dziś wieczorem?

-Kolacja będzie gotowa za godzinę, babciu. Wystarczy dla jeszcze jednej osoby. - Odczekała chwilę i podeszła do drzwi. - Przyjedzie?

-Jest już w drodze.

Annie położyła na stole jeszcze jedno nakrycie, dodała do garnka dwa ziemniaki i przyłączyła się do babci w salonie. Usiadła na kanapie ze skrzyżowanymi nogami i odłożyła szkicownik i pudełko z ołówkami na stół.

- Nie miałam zamiaru tak długo spać. - Babcia - uszyła się, rozprostowując zdrętwiałe ramiona ecy. - Niezbyt dobiły ze mnie kompan.
- Lubię twoje towarzystwo, babciu, czy śpisz, r nie.

eota oparła nogi na podłodze. Podniosła się, stała przez chwilę, a potem zaczęła przestępo- ć z nogi na nogę.

Dobrze się czujesz, babciu? owoli maszerowała w miejscu.

? W moim wieku trzeba pobudzić krążenie, za- n się uda na dłuższą wycieczkę. Gdzie idziesz?

- Do łazienki. A potem do sypialni po sweter.
- Mogę przynieść ci sweter.

? Wiem, że możesz, ale sama przyniosę. Jak się będę choć trochę ruszać, wrosnę w ten fotel jstanę w nim pochowana.

a myśl przeszła Annie dreszczem szybko ją siebie odsunęła. Nie ma sensu wpadać w przy- ębienie. Babcia będzie żyła jeszcze długo.

_rdy zjawił się Corban, Annie przywitała go Irzwiach.

-Dobry wieczór, pani Reinhardt - powiedział emonialnie, wchodząc do salonu.

-Chyba znamy się dostatecznie długo, żebyś gł mi mówić po imieniu - odparła Leota z fote-

Gdzie twój notatnik?

-W samochodzie. Zauważyłem, że gdy mam go zy sobie, przestajesz się odzywać.

-Co twoja dziewczyna na to, że spędzasz piąt- wy wieczór ze mną i moją piękną wnuczką?

-Babciu...

-Ruth jest z przyjaciółkami w mieście.

-Dziewczyny mają wychodne?

-Jutro rano jest marsz. Demonstracja polityczna. Będą szły w pierwszych szeregach. - Nie wyglądał na zadowolonego z tego powodu.

-Kolacja gotowa, babciu - powiedziała Annie, mając nadzieję, że oszczędzi mu dalszych wyjaśnień. Corban pomógł babci wstać z fotela.

-Uczysz się - Leota uśmiechnęła się do niego. Annie zauważyła, że Corban poczuł się urażony tym komplementem. Jak on się asekuje. Panie, co możemy zrobić, by zmiękczyć jego serce i pomóc mu się rozluźnić na tyle, żeby był bardziej otwarty? Chowa się w swojej skorupie jak żółw, który tylko czeka, aż spadną na niego razy. Annie poszła za nimi do kuchni. Usiedli przy stole i Leota spojrzała na Corbana.

-Chciałbyś czynić honory?

-Honory?

-Pomodlić się.

Zaczerwienił się po same czubki włosów.

-Ja się nie modlę.

-Nie modlisz się czy nie będziesz się modlił?

-Religia nigdy nie była częścią mojego życia.

-W moim też nie odegrała większej roli. Za to wiara jest wszystkim. -

Babcia wyciągnęła ręce. Annie sięgnęła przez stół do Corbana, by połączyli ręce w kręgu. Był skrępowany, ale nie oponował. Babcia Leota pochyliła głowę. Annie zrobiła to samo i zamknęła oczy.

-Ojcze - powiedziała uroczyście babcia - pobłogosław tę strawę i pobłogosław ręce, które ją przygotowały. I pomóż nam, Panie Jezu, otoczyć opieką tego biednego pogańskiego chłopca. Amen.

Annie zacisnęła usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Zerknęła na Corbana.

Poczerwieniał jeszcze bardziej.

-Dzięki - rzekł ponuro.

-Nie ma za co - odparła babcia z całkowitą powagą. Podstawiła mu miskę. Może dyni?

Jedli, a deszcz bębnił o dach. Babcia Leota na chwilę przerwała i wyjrzała przez okno na ogród.

-Ta dziwna rzecz dobrze tam wygląda. Aż do wiosny ogród byłby bez tego całkiem szary.

Corban zerknął za okno. Uniósł brwi.

-No, z pewnością wygląda... inaczej.

Annie nie wiedziała, czy to znaczy, że mu się podoba, czy nie, ale się tym nie przejmowała.

-Jeszcze kawałek pieczeni, babciu?

-Nie, dziękuję, kochanie. Zwykle nie jem tak dużo. Wiesz, muszę dbać o dziewczęcą figurę. - Popatrzyła przez splukaną deszczem szybę. - Zostało jeszcze parę pustych miejsc, możesz je zapełnić, Annie. - Uśmiechnęła się do Corbana. - Ty też, jeśli masz do tego wyobraźnię.

-Zapełnić czym?

-Czym chcesz.

Corban popatrzył na ogród, potem znów na nie, kompletnie zdezorientowany.

-Myślałam o kulach do kręgli - powiedziała Annie.

-O czym ty mówisz? - Corban był lekko poirytowany.

-O kulach do kręgli - powtórzyła Annie. - Są we wszystkich kolorach. Kilka tygodni temu kupiłam dwie na wyprzedaży rzeczy używanych. Żółtą i marmurkową, różowo-czerwoną.

-Po co?

Wzruszyła ramionami.

-Nie wiem. Były ładne i niedrogie.

Zaśmiał się opryskliwie i nadział na widelec kawałek ziemniaka.

-To trochę jak przenoszenie śmieci z jednego miejsca w drugie.

303

-Na miłość boską, Corban! - ofuknęła go Leota. - Nigdy nie byłeś małym

chłopcem?

Annie czuła, że babcia staje w jej obronie, i wzruszyła się.

-Pomyślałam, że będą ciekawie wyglądać w ogrodzie. Jak sądzisz, babciu?

-Możesz robić, co tylko chcesz, skarbie. Ogród jest teraz bardziej twój niż

mój.

Zaniepokojona, Annie położyła dłoń na jej ręce.

-Nigdy nie będzie mój, babciu. To twój ogród. Niczego nie zmienię, jeśli

nie chcesz...

-Nonsens. Bądź cicho i słuchaj. Ogród należy tylko do tego, kto sieje, pielęgnuje, uprawia rośliny, podlewa je i przycina. Wymaga czulej i troskliwej opieki. Idziesz do niego i cieszysz się nim. Pan Bóg wie, że ten ogród zbyt długo był zaniedbany. Już samo patrzenie, jak pracujesz i wkładasz w to serce, sprawia mi przyjemność nie do opisania. Przynieś więc te kule i co tylko chcesz.

Annie przygryzła wargę, czując narastający ból. Czyżby babcia się poddawała? Annie nie chciała przejmować ogrodu. Chciała w nim pracować u jej boku, żeby obydwie mogły się nim cieszyć. Tak wiele się musi dowiedzieć. Babcia może ją nauczyć tylu rzeczy. Och, Panie. Proszę, daj nam czas.

Babcia Leota poklepała ją po ręce.

-Nie martw się, Annie. - Jeszcze raz spojrzała za okno. - Ogród i tak nigdy nie należał do mnie. Przebywając w nim, miałam tyle nadziei i marzeń. - Jej dłoń lekko się zacisnęła. - To wymaga mnóstwa pracy. Na początku nie zdajesz sobie z tego sprawy. Trzeba wzruszyć ziemię motyką i nawieźć. Potem siejesz nasiona, podlewasz, wyrывasz chwasty i przez cały ten czas czekasz z nadzieją, że coś wyrośnie. Później trzeba chronić sadzonki przed szkodnikami, przycinać, gdy rosną zbyt szybko i dziko. Czasem umierają i nie wiesz dlaczego. Ale inne rosną bujnie i wszyscy mogą się nimi cieszyć. W tym cała rzecz, rozumiesz? Rodzić owoce. Nieść słodki zapach... - Oczy jej zwilgotniały. - Te drzewa z tyłu, którym przycięliście gałęzie, powinny w tym roku zaowocować. - Puściła rękę Annie. - Jeśli nie, zetnijcie je.

Annie ścisnęło się serce. Znow miała uczucie, że babcia mówi nie o tym, co widać za oknem, lecz

o tym, co wydarzyło się w tym domu. Zapiekły ją łzy, gorące i ciężkie. Czowała na sobie zakłopotane spojrzenie Corbana. Czy nie wyczuł nic z tego, co przed chwilą powiedziała babcia? A może po prostu nie zrozumiał?

-Czy dziadek też lubił zajmować się ogrodem?

Babcia zamrugła i spuściła oczy.

-Kiedy szedł na wojnę, ogród nie był taki duży. Mama i Papa Reinhardtowie zaczęli go uprawiać, ale wszystko, co Mama zasiała, więdło i obumierało. Gdy się do nich wprowadziłam, zajmowanie się ogrodem spadło na mnie. I okazało się, że mam do tego smykałkę. Szybko przestał to być uciążliwy obowiązek, bo uwielbiałam przebywać na świeżym powietrzu i słońcu. Od samego początku w ogrodzie czułam się najlepiej. Bo, widzicie, przez cały dzień pracowałam, a kiedy wracałam do domu... cóż, ogród był schronieniem, w którym przeżuwałam swoje smutki i frustracje, i tu odzyskiwałam radość.

-Mama ci pomagała?

-Eleonora czasem przychodziła do ogrodu. Miałam nadzieję, że pokocha go tak jak ja, ale nigdy się do niego nie przekonała. Widzisz, bar- iza się zbliżyła z twoją prababcią i większość czasu spędzała w domu. Eleonora była maleńka, kiedy się tu wprowadziłam, i Mama Reinhardt zajmowała się nią i wujkiem Georgem, kiedy chodziłam do pracy. Twoja matka nigdy tego nie akceptowała.

Corban odsunął talerz na bok i pochylił się nad stołem.

-Nie akceptowała ciebie czy tego, że pracujesz?

-Chyba jednego i drugiego. Nie rozumiała. Czasy były ciężkie. Nasz kraj prowadził wojnę przeciwko Japonii i Niemcom. Papa i Mama byli niemieckimi imigrantami, oboje mówili z wyraźnym akcentem. W przypadku Mamy to nie miało większego znaczenia - nie pracowała poza domem. Ale Gottlieba Reinhardta nikt nie chciał zatrudnić. Był fachowcem, inżynierem, i jego duma strasznie cierpiała, gdy inni patrzyli na niego podejrzliwie. Nigdy nie mówił o dyskryminacji. Dziś wszyscy o tym krzyczą, ale wtedy były inne czasy. Papa odbierał to jako cios w jego poczucie godności i prawości. Nie był zły, raczej się wstydził. Mama dowiedziała się o tym dopiero wiele lat później.

-Jak mogła o tym nie wiedzieć, babciu?

-To był cichy człowiek, skarbie. Nie utyskiwał, nie narzekał. Co rano wychodził z domu na cały dzień, a gdy przestały nadchodzić wypłaty - sięgał po oszczędności. Mama myślała, że chodzi do pracy. Przez wiele miesięcy szukał zatrudnienia, wydeptując ścieżki, pukając do drzwi, oferując swoje doświadczenie i wiedzę. Po jakimś czasie się poddał. Chodził do parku, siadał na ławce i czytał.

W oczach babci pojawiły się łzy.

-Był zbyt dumny, by powiedzieć Mamie, że nikt nie chce zatrudnić Niemca. Oboje byli naturalizowanymi obywatelami, ale to nie miało znaczenia. Ludzie się bali i byli podejrzliwi. - Uśmiechnęła się smutno. - Dopiero kilka tygodni temu dowiedziałam się, że mieli amerykańskie obywatelstwo. Znalazłam ich papiery i jakieś stare listy.

-Więc wprowadziłaś się do prababci i pradziadka, żeby pomagać im finansowo?

-Och, nie byłam aż tak wielkoduszna i skłonna do poświęceń. Ja także potrzebowałam pomocy. Papę przerażała myśl o stracie domu. Napisał o wszystkim do Bernarda, mając nadzieję, że syn będzie mógł mu jakoś pomóc. Bernard napisał do mnie. Sama ledwie wiązałam koniec z końcem i Bernard uznał, że to dla nas wszystkich idealne rozwiązanie. Uważał też, że w ten sposób lepiej poznam Mamę. Ktoś na pewno zajmie się Geor- geem i Eleonorą, a ja będę mogła znaleźć pracę i pomagać teściom, aż Papa gdzieś się zahaczy. Wielu mężczyzn odeszło na wojnę i pracy było mnóstwo. Ale nie dla Niemców. Przyszłam więc do Papy i porozmawiałam z nim. Papa powiedział, żebym się do nich wprowadziła, i tak zrobiłam. W tym samym tygodniu znalazłam posadę.

-I to nie zraniło jego dumy? - spytał sceptycznie Corban.

-Papa wiedział, że przed ślubem zarabiałam na siebie. Tak naprawdę pracowałam przez większą część życia, jak prawie wszyscy wtedy. Nie Dowiedział Mamie wszystkiego i nie do mnie należało to zrobić. Moje stosunki z Mamą i bez tego były dostatecznie złe, nie było sensu jej upoka- zać, podkreślając, że to ja

płacę za jej dach nad »łową. Od samego początku była przeciwna mojemu małżeństwu z Bernardem. Staralam się utrzymać pokój, a nie wypowiadać wojnę. Mama Reinhardt nie wiedziała, co naprawdę się działo, aż do powrotu Bernarda z wojny. A wtedy było już za późno.

-Za późno? - Corban zmarszczył czoło. Jego słowa zawisły w powietrzu.

-Dla dzieci. Miałam wiele lat na przemyślenia i wiem, że wtedy zaczęła się większość naszych problemów.

Annie czuła cierpienie babci. Ujęła jej dłoń.

Babcia spojrzała na nią smutno.

-To było niesprawiedliwe, naprawdę. Musicie na to spojrzeć z perspektywy Mamy Reinhardt. Przez całą wojnę, kiedy ja pracowałam, Mama nie wiedziała, że oddaję pieniądze Papie. Sądziła, że nie dbam o swoje dzieci. Myślała, że tylko szukam sposobu, by przekazać Georgea i Eleonorę pod jej opiekę i prowadzić bez troski, wesołe życie, podczas gdy Bernard walczył daleko na wojnie. Papa nigdy nie wyprowadził jej z błędu. Pewnie był zbyt dumny. Zbyt zraniony. Za bardzo się wstydził. Najbardziej cierpiały dzieci, ale ja tego w pełni nie rozumiałam. Zaplątałam się we własne żale i pretensje. Mama Reinhardt na swój sposób kochała Georgea i Eleonorę, ale mówiła im o mnie przykre rzeczy. A oni byli tacy mali i we wszystko wierzyli. - Westchnęła. - Teraz patrzę wstecz i widzę, że wszystko wyglądało tak, jakbym się o nie nie troszczyła. Przez pięć, czasem sześć dni w tygodniu od rana do wieczora siedziałam w pracy. Potem, w niedzielę, szłam do kościoła. Nie byłam katoliczką jak oni, więc Mama stawiała na progu sypialni i mówiła mi, że we wszystkim postępuję inaczej, niż chciałby Bernard.

-To była prawda?

-Oczywiście, że nie, ale ona tak myślała i to stawiało dzieci w trudnym położeniu. Spędzały z Mamą bardzo dużo czasu i to ona stawiała się dla nich ważniejsza. A ja wszystko psułam. Na ogół gryzłam się w język i rozpaczałam w milczeniu. Na szczęście miałam dobrą przyjaciółkę, Cosmę. Była kochana. Pracowałyśmy razem. Jej mąż też służył w armii. Czasem Cosma i ja zgłaszałyśmy się jako ochotniczki do USO. Podawałyśmy kawę i ciastka i tańczyłyśmy z żołnierzami. - Pokręciła głową. - Nigdy nie zapomnę wieczoru, kiedy Mama Reinhardt czekała na mnie do późna. Obrzuciła mnie niemieckimi wyzwiskami. Nie rozumiałam znaczenia słów, ale widziałam jej spojrzenie i słyszałam ton jej głosu. - Zaśmiała się cicho, bez śladu wesołości. - Poniosło mnie i nazwałam ją starą heterą. Oznajmiła, że gdy wróci jej syn, wszystko mu o mnie opowie, i wtedy wylecę z jej domu. Papa się obudził i stanął między nami. Myślałam, że jej wszystko powie. Miałam nadzieję i modliłam się, żeby to zrobił.

-Ale nie powiedział - Corbanowi pociemniały oczy.

-Nie wszystko, a ja nie miałam odwagi.

-Dlaczego? Zasłużyła sobie na to.

Powoli pokręciła głową.

-Kiedy depczesz czyjąś dumę, Corbanie, czynisz go swoim wrogiem, nie przyjacielem.

Wzruszył ramionami.

-Ona już była twoim wrogiem.

-Ale nie Papa. On stał po mojej stronie. Być może częściowo to powodowało niechęć Mamy. Powiedział mi, że jeszcze nie może jej wszystkiego wyjaśnić, ale w końcu to zrobi. Wiedziałam, że najlepiej będzie zostawić to jemu i czekać.

-I powiedział jej? - Annie serce pękało z bólu, gdy słuchała o wszystkim, co babcia wycierpiała.

-Ostatecznie tak. - Odsunęła od siebie talerz, ręce jej drżały. - To takie trudne. Słyszycie tylko

309

moją wersję i widzę, że czujecie się dotknięci w moim imieniu, ale nic nigdy nie jest takie proste. Nie potępiajcie Mamy Reinhardt, spróbujcie ją zrozumieć.

Wyciągnęła

rękę i poklepała dłoń Annie. - Ona należy do rodziny, wiesz. Jej krew płynie w twoich żyłach tak samo jak moja. Spójrz na to z jej strony. Byłam inna niż wszyscy ludzie, których znała. Byłam bardzo niezależna. Bardzo nowoczesna. Bardzo amerykańska. - Uśmiechnęła się smutno. - Dlatego nie chciała, żeby twój dziadek mnie poślubił. Uważała, że Bernard będzie szczęśliwszy w małżeństwie z dziewczyną w typie jakiejś Lotty czy Hildy.

Położyła sztucze na talerzu.

-Kiedy się do nich wprowadziłam, chyba myślała, że zacznę się rządzić. Więc od samego początku zaczęła ze mną walczyć. Nie chciała, żebym gotowała, sprzątała czy robiła cokolwiek w domu. To, że chodziłam do pracy, tylko potwierdzało jej opinię o mnie. Nie rozumiałam jej tak samo, jak ona nie rozumiała mnie. Miała trudności z wysławianiem się po angielsku. Właściwie ona i Papa przez większość czasu rozmawiali ze sobą po niemiecku. Schodziłam jej z

drogi, kiedy tylko mogłam. W niedużym domu to dosyć trudne, więc zajmowałam się ogrodem. Myślałam, że w ten sposób oni zyskają czas dla siebie, i miałam nadzieję, że ja też będę mogła побыć sama z dziećmi.

-Ale wyszło inaczej. - Annie wiedziała, że jej matki nic tak nie denerwuje, jak praca w ogrodzie. Teraz pojęła, dlaczego. Matka nigdy nie rozumiała, że babcia Leota wysyła jej zaproszenie. O ogrodzie zawsze mówiła jak o miejscu pracy, a nie spotkania i wspólnoty miłości.

-Tak, wyszło inaczej. Rzadko się zdarza, żeby wszystko poszło tak, jak sobie zaplanowaliśmy.

-Co się stało, kiedy twój mąż wrócił z wojny? - spytał Corban. - Wyjaśnił wszystko?

-Pojawiły się zupełnie nowe problemy. - Sięgnęła po jego talerz. Skończyłeś?

Annie dostrzegła nagłą zmianę na twarzy babci. Leota nie chciała rozmawiać o dziadku Bernardzie. Cierpienie w jej oczach było aż nadto wyraźne. Wspomnienia zbyt bolesne.

Corban też musiał to zauważyć.

-Tak - odpowiedział niespiesznie i podał jej pusty talerz. - Dawno nie jadłem nic równie pysznego.

Annie była wdzięczna, że nie zadawał kolejnych pytań. Gdy na nią zerknął, uśmiechnęła się do niego.

Babcia Leota wzięła jego sztucce i położyła na swoim talerzu. Potem ostrożnie wsunęła talerz Corbana pod swój. Wyciągnęła rękę do wnuczki. Annie nie chciała, żeby babcia przestała mówić o przeszłości musiała się wszystkiego dowiedzieć, żeby zrozumieć swoją matkę.

-Czy w końcu pogodziłaś się z Mamą Reinhardt, babciu?

-Wiele lat później - westchnęła i oparła się dłońmi o stół. - Trudno to wytłumaczyć. Chyba domyślała się, że to moja pensja uratowała dom, bo Papa, jak tylko Bernard wrócił z wojny, przepisał go na niego. Ale Papa powiedział jej wszystko dopiero wiele lat później, kiedy umierał. - Oczy jej zwilgotniały. - Wtedy jej stosunek do mnie się zmienił.

Zamrugnęła powiekami i przez chwilę milczała.

-Wiedziałałam, że jest jej przykro. Poza tym wtedy już lepiej ją rozumiałam. Jakoś się dogadałyśmy. Kochałyśmy się najlepiej, jak potrafiłyśmy. Pod koniec chyba obie zostawiłyśmy przeszłość za sobą. - Wzięła głęboki wdech, wypuściła powietrze i odsunęła się na krześle od stołu. - Po śmierci twojego dziadka była jedynym towarzyszem, jakie miałam.

Annie czuła ból, jaki krył się w tym cicho wypowiedzianym zdaniu. Na koniec obydwie kobiety zostały same. Znała to poczucie straty i samotności, bo po śmierci prababci Reinhardt mama wylewała gorzkie łzy.

„Pojechałabym ją odwiedzić, gdyby nie było tam mojej matki...”

Przepełniona litością i uczuciem wstydu, którego nie potrafiła określić, Annie wstała.

-Pozmywam naczynia, babciu.

-Możesz je wstawić do zlewu, ja pozmywam. Muszę na chwilę wstać i coś zrobić.

Annie ustąpiła. Taką już miała naturę, że zawsze przejmowała uciążliwe obowiązki, lecz robienie wszystkiego za babcię nie było wyrazem miłości ani dobroci. Babcia rzeczywiście musi wstawać, ruszać się i robić niektóre rzeczy sama. Co więcej, musi się czuć pożyteczna. Kiedyś konieczna będzie większa opieka, ale jeszcze na to nie pora. Jeszcze nie teraz. Annie wstawiła talerze i sztućce do zlewu i odsunęła się.

-Naczynia są twoje, kochana. Mam wycierać?

-Nie, zostawimy je na suszarce. Tak podobno jest zdrowiej. Corban, przynieś jeszcze trochę drewna i dołóż do ognia, co? Jak skończę, dołączę do was w salonie.

Annie zrozumiała. Babcia chciała być przez chwilę sama. Corban też zrozumiał. Wstał i poszedł do drugiego pokoju. Annie objęła babcię ramieniem i pocałowała ją w policzek.

-Kocham cię, babciu - powiedziała, speszona chrypką w swoim głosie. -
Bardzo cię kocham.
Babcia spojrzała na nią niebieskimi oczyma pełnymi łez.

-Ja też cię kocham. I cokolwiek mówiła ci twoja mama, ją też kocham. Zawsze kochałam. I zawsze będę.

Corban włożył do ognia kawałki gałęzi. Annie stała za nim i głaskała papugę.

-Nie wiedziałem, że twoja babcia ma ptaka.

-Barnaba należy do przyjaciela mojej współlokatorki, ona jednak ma nadzieję, że babcia Leota go zaadoptuje. Ty też masz taką nadzieję, prawda, Barnabo? - Odwróciła głowę i uśmiechnęła się do Corbana. Słodczyz tego uśmiechu zaskoczyła go.

-Susan i ja nie mamy dość czasu dla Barnaby - znów pogłaskała papugę - a ptaki potrzebują towarzystwa.

Corbana zaniepokoiło wrażenie, jakie wywiera na nim Annie. Chcąc odwrócić uwagę,

wziął do ręki jej szkicownik.

-Twoje?

W jej oczach pojawiło się lekkie zakłopotanie.

-Tak - odpowiedziała po prostu i odwróciła wzrok. Zastanawiał się, czy Annie niepokoi się tym, co powie o jej rysunkach. Chyba nie uważa go za potwora, który bezlitośnie je skrytykuje?

-Mogę przejrzeć? - Postanowił jej pokazać, że potrafi być uprzejmy.

-Chyba tak. To wprawki.

Pierwszy szkic go zaskoczył.

-Są bardzo dobre, Anne. - Zdumiał się, jak bardzo.

-Tak uważasz?

Wyglądała całkiem bezbronne. Czy naprawdę ma tak małe poczucie własnej wartości? Przypo-

mniał sobie podobny wyraz twarzy Ruth podczas ich pierwszej randki. Odkąd się do niego wprowadziła, nie widział już u niej tego spojrzenia. Czasami się zastanawiał, czy Ruth rzeczywiście kiedykolwiek była bezradna, czy to był tylko podstęp. Mimo wszystko wstydził się tej myśli. Ruth ostatnio bardziej się starała, choć pod jej powierzchownymi uśmiechami wyczuwał chłód. Czy to dlatego, że pociąga go Annie, ujrzał Ruth Coldwell w innym świetle i zaczął wątpić w jej uczucia wobec niego?

A co można powiedzieć o jego pobudkach i uczuciach? Czy odważy się przeanalizować swoje zachowanie? Zacisnął wargi, usiadł na starej kanapie i przewrócił jeszcze kilka kartek.

-Od dawna studiujesz?

-Dopiero zaczęłam zajęcia w Instytucie Sztuki, ale zawsze lubiłam rysować. Przyjrzał się uważnie jednemu z rysunków.

-Wiesz już, co z tym zrobisz? To znaczy, jak będziesz zarabiać na życie?

Nim mu odpowiedziała, wyprostowała się powoli i wyszeptwała coś do ptaka.

-Ach, nie wiem. W tej chwili uczę się podstaw.

-Co jest twoją pasją?

-Bóg.

Spojrzał na nią. Odpowiedziała mu bez cienia wahania ani zakłopotania. Czy na

pewno dobrze usłyszał?

-Przepraszam, co powiedziałaś? - Czyżby była jakąś religijną fanatyczką?

Nie wyglądała na kogoś takiego.

Annie zastanowiła się przez chwilę. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

-Chcę malować rzeczy, które będą słać Boga.

-Pejzaże? Tego typu rzeczy?

-I metalowe rzeźby, które kupuję na wyprzedażach rzeczy używanych. Albo ściany. - Zaśmiała się z samej siebie. - Wszystko jedno. Gdy przyjdzie czas, Bóg da mi znak.

Nie była idiotką. Była po prostu dziwna. Jej twarz jaśniała, niebieskie oczy błyszczały, jakby rozświetlone od wewnątrz. Pomyślał, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką widział, piękniejszą nawet od Ruth. Nawet jeśli jest trochę zbzikowana.

Nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Przy Ruth był ciągle spięty, a w towarzystwie tej dziewczyny czuł się swobodnie. I był zaintrygowany.

-Nie żartowałaś z tymi kulami od kręgli, prawda?

-Nie - roześmiała się. - Goście mogliby sobie wyobrazić że to jaja dinozaura, nie sądzisz?

Jej śmiech nie był wymuszony ani trzpiotowaty. Pełen ciepła, po prostu wylewał się z niej - i był zaraźliwy. Corban odwzajemnił uśmiech.

-Nie pomyślałem o tym. Jak zobaczę coś takiego na wyprzedaży, to ci kupię.

Co ty na to?

-Chodzisz na wyprzedaże?

-Nierzęsto.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

-Byłeś kiedyś? No, Corban. Bądź szczerzy.

Przypominała mu Leotę, przyłapującą go na każdym niewinnym kłamstewku.

-Okej. Raz lub dwa. Z ciekawości. Ale zacznę ię rozglądać. Obiecuję. To znaczy, nie zdawałem obie sprawy, że ludzie sprzedają tak wartościowe rzeczy jak kule od kręgli. Masz coś jeszcze na iście życzeń? Może starą raketę tenisową? Kije olfowe?

Uśmiechnęła się szeroko.

-Niech pomyślę. - Usiadła po turecku na drugim końcu kanapy. - Jeśli chodzi

o raketę tenisową i kije golfowe, tak, mam parę pomysłów, jak mogłabym je wykorzystać. Ale bardziej interesują mnie stare cynowe wiadra i konewki, karmiki dla ptaków, ceramiczne zwierzątka, garnki i duże kamienie... tego typu rzeczy. Co ty na to?

-Zdaje ci się, że jestem Rockefellerem?

-Targuj się. Licz wszystko. Oddam ci pieniądze. Tylko za bardzo nie szalej.

-Żartowałem, Anne. - Drgnął mu kącik ust.

-Pieniądze nie stanowią dla mnie problemu. Annie przekrzywiła głowę i dziwnie na niego spojrzała.

-Myślę, że są większym problemem, niż ci się zdaje.

Uniósł lekko brwi i odwrócił się, uciekając przed jej intensywnym, badawczym spojrzeniem. Przerzucił kolejną kartkę w jej szkicowniku i po- stukał palcem w rysunek.

-Ten jest naprawdę dobry, Anne. Naszkicowane dłonie Leoty Reinhardt wyglądały jak żywe cienka jak papier skóra, żyły, ślubna obrączka, niemal wrosnięta w palce, krótkie paznokcie. Były to ręce, które ciężko pracowały, a jednak miały w sobie coś szlachetnego.

-Przepraszam, jeśli powiedziałam coś nie tak.

-Przeprosiny były ciche i absolutnie szczere. Odetchnął głębiej i spojrzał na nią.

-Posiadanie pieniędzy ma swoje złe strony.
-Znowu pomyślał o Ruth. Chciałby wiedzieć, na czym faktycznie stoją. Nie przypominał sobie, żeby przedtem, nim ze sobą zamieszkali, zachowywała się tak jak teraz - na zmianę zaczepnie i potulnie. A może wszystko się zmieniło, kiedy zaczęli ze sobą sypiać? Już nie był pewien. Wie dział tylko, że coś jest nie tak. Pod powierzchnią kryło się coś ciemnego, groźnego, co zżerało związek, w którym Corban miał nadzieję z nią żyć.

Wpatrywał się w rysunek Anne i zachwycił detalami.
Anne się pochylała, żeby zobaczyć, co Corban ogląda.
-Jej ręce zawsze wydawały mi się piękne. Nie sądzisz? Teraz tyle kobiet ma

delikatne dłonie i długie paznokcie pomalowane ładnym różowym lub czerwonym lakierem. Ale dłonie mojej babci mają... charakter.

To prawda. Pomyślał o Ruth, która poświęcała swoim dłoniom i paznokciom mnóstwo czasu. Włosom i ciału też... nawet stopom. Skrobie pięty i wciera w nie drogie emulsje. Wszystko w Ruth jest wypracowane, bierze nawet lekcje dykcji. Ruth to dzieło, które ciągle powstaje. W myślach rozbrzmiała mu muzyka z nagrania z ćwiczeniami. Przyszła mu do głowy pewna myśl i zaśmiał się pod nosem.

-Co? - Annie spojrzała na niego z zaciekawieniem.
-Właśnie próbowałem sobie wyobrazić, jak twoja babcia gimnastykuje się z Jane Fondą przed telewizorem.

Annie się roześmiała. O, jak ona się roześmiała! Rozkoszował się patrzeniem na jej twarz, rozkoszował się brzmieniem śmiechu. Sprawiała, że sam również się roześmiał. Rany, jak dobrze móc się nie martwić, czy jego wesołość ją urazi.

-Z czego tak rechoczenie? - spytała Leota, stając w progu ze ścierką do naczyń przewieszoną przez ramię.
-Myślałam, że zostawisz naczynia, żeby same obeschły, babciu. Po prostu chciałaś się nas pozbyć.

-Nie jestem za stara, żeby się jeszcze na coś przydać.
Corban uśmiechnął się szeroko do staruszki, ciesząc się chwilą.
-Leoto, czy ty ćwiczysz?

-Chodzi ci o to, czy macham sztangami? - Posłała mu zabawne spojrzenie. - Ostatnio nie.

Annie roześmiała się głośniej.

-Dodaj do listy sztangi, Corban. Prawda, babciu, że będą świetnie wyglądać w ogrodzie? Jedną możemy oprzeć o płot i puścić wokół niej pnącą różę. U większości ludzi sprzęt do ćwiczeń i tak kurzy się gdzieś w kącie.

-Proszę bardzo, jak znajdziesz sztangi, możesz je zasadzić. - Leota wyszła z powrotem do kuchni.

Corban przewrócił kolejną kartkę w szkicow- niku.

-Skąd bierzesz te wzory? - Uważnie przyglądał się misternym esom-floresom, które, jak sobie wyobrażał, można spotkać w mauretańskich pałacach.

-Och, to zwykłe bazgroły. - Wstała i wyszła do kuchni.

Zwykłe bazgroły? Corban patrzył na nią, przesuwając wzrok wzdłuż wodospadu długich kręconych jasnorudych włosów, związanych na karku i opadających na jej gibkie plecy. Była szczuplejsza niż Ruth, ale nie brakowało jej krągłości we wszystkich właściwych miejscach. Ubierała się niedbale - krótki różowy sweter, znoszone dżinsy i stare tenisówki. Ruth też nosiła lewisy, a do nich zazwyczaj białą koszulkę, czarny skórzany pasek i jasnobrązową marynarkę ze złotą broszą w klapie. Za nic na świecie nie włożyłaby dżinsów z plamami od trawy i ziemi na kolanach i z oddar- tą tylną kieszenią.

Przewrócił kilka ostatnich kartek w szkicow- niku, podziwiając prace Anne. Odłożył blok, gdy obydwie kobiety wróciły do pokoju. Leota usiadła. Mocno chwyciła poręcz fotela i odepchnęła się, przechylając go do tyłu i unosząc podnózek. Wyglądała na zmęczoną i zamyśloną. Zauważyła, że Corban się jej przygląda, westchnęła i zamknęła oczy. Czyżby myślała, że ma zamiar rozpocząć wywiad?

Anne usiadła na kanapie i wzięła szkicownik. Corban miał nadzieję, że zacznie rysować - mógłby obserwować, jak pracuje. Ale odłożyła go na bok i skupiła się na Corbanie.

-Od jak dawna jesteś wolontariuszem?

-Od paru miesięcy. - Zerknął na Leotę. Mierzyła go spojrzeniem spod półprzymkniętych powiek. - Okej, okej. Twoja babcia jest moją pierwszą podopieczną.

-Corban jest taki altruistyczny. Chce zmienić świat na lepsze. Niech ci powie.

Splonął rumieńcem. Leota uśmiechała się do niego. Zrezygnowany, spojrzął na Anne i wyznał

-Potrzebowałem jakiegoś przykładu, który by zilustrował tezy pracy, którą piszę, no i wybrałem twoją babcie, choć wydaje się wielce tym zdegustowana.

Leota zachichotała.

-Na początku tak było, ale zaczynam lubić twoją czcigodną osobę.
-Wielkie dzięki. Zamknęła oko.

-Nie trzeba wiele, żeby cię rozzłościć, co?

-I kto to mówi.

-Co racja, to racja. - Splotła ręce na podołku. - ie traktuj mnie ulgowo. Corban postanowił podjąć wyzwanie.

-Chciałbym dowiedzieć się więcej o twoim mężu. - Mięśnie na jej twarzy lekko się napięły. A może się skrzywiła? - Powiedziałaś, że kiedy wrócił do domu, pojawiły się zupełnie nowe problemy. Co miałaś na myśli? Opóźnioną reakcję na stres? Kłopoty rodzinne? Z pracą?

Leota milczała.

Żałował, że w ogóle się odezwał. Co za idiota z niego. Niemal czuł jej milczenie. Tkwiła w absolutnym bezruchu - może zbiera siły, by wybuchnąć złością? Pewnie każe mu się wynosić i więcej nie wracać. Jednak gdy otworzyła oczy, spojrzała na Annie, nie na niego.

-Bernard Gottlieb Reinhardt miał najwrażliw- sze serce ze wszystkich ludzi, których znałam. I dlatego życie było dla niego takie trudne. Czuł się odpowiedzialny za rzeczy, nad którymi nie miał kontroli. - Na jej twarzy malował się ból. Zamknęła powieki.

Dlaczego tak podkreśliła wrażliwość swojego męża?

Corban spojrzał na Annie i zobaczył spływające po jej policzkach łzy. Czy wiedziała, o czym mówi jej babcia? Naprawdę kretyn z niego. Cały ten pomysł z pisaniem pracy i wykorzystywaniem Le- oty Reinhardt do badań przestawał mu się podobać.

Leota przechyliła oparcie fotela do przodu, by znów usiąść z wyprostowanymi plecami, położyła ręce na poręczach i oparła stopy na podłodze.

-Zdaje się, że już czas - powiedziała miękko. Corban wyczuł, że podjęła jakąś decyzję i jest gotowa ją wypełnić bez względu na to, ile bólu będzie ją to kosztować.

Och, dlaczego nie potrafił utrzymać języka za zębami?

-Pierwszy raz zobaczyłam Bernarda, gdy byłam z przyjaciółką na potańcówce. Przyszedł z kilkoma kolegami. Był typem mężczyzny, który od razu rzuca się w oczy młodym kobietom. Wysoki, Drzystojny... miał blond włosy i piękne niebieskie Oczy. Ledwo przekroczył próg sali, a już otoczył go wianuszek pań. Nie zwracał na nie żadnej uwagi. - Uśmiechnęła się. - Uwielbiałam tańczyć, zwłaszcza swinga, i nigdy nie narzekałam na brak Dartnerów. Bernard tylko stał i przez cały wieczór ni się przyglądał.

-Ani razu nie poprosił cię do tańca, babciu?

Leota zachichotała.

-Nie umiał tańczyć, a był zbyt dumny, żeby się iczyć przy wszystkich.

-Więc jak go poznałaś?

-Zespół zrobił sobie przerwę. Od tańca zabrakło mi tchu i było mi gorąco. Bernard stał przy stole z napojami. Minęło już ponad pół wieczoru, i on tylko stał i wlepił we mnie oczy. W ręku rzymał kieliszek z ponczem i popijał. Uśmiechnął się do mnie i uniósł kieliszek. Więc postanowiłam wziąć byka za rogi. Podeszłam prosto do niego, zwiedziałam, że chce mi się pić i wyciągnęłam ękę. Zaczerwienił się, podając mi swój kieliszek. Vychyliłam go jednym chaustem, oddałam i poprosiłam o jeszcze.

-Babciu! - Annie się śmiała. - Nigdy bym się la coś takiego nie odważyła.

-Większość pań by tego nie zrobiła. Ja zawsze ięgałam po to, czego chciałam. Poza tym uznaję, że jeśli będę na niego czekać, to się zatarzę i osiwieję, zanim się do mnie odezwie, drążyły pogłoski o wojnie i życie nie wydawało się akie pewne. A może to była tylko wymówka, którą sobie tłumaczyłam takie zachowanie. Nie chciałam przegapić okazji. Nigdy wcześniej nie spotkałam Bernarda na tańcach. Widząc, że nie tańczy, pomyślałam, że pewnie go więcej nie zobaczę. Jak to mówią, kto nie ryzykuje, ten nic nie ma. Jedno spojrzenie na twój dziadka przekonało mnie, że warto zaryzykować wystawienie ludzkiej twarzy dla szansy, że zaprosi mnie na randkę.

-Najwyraźniej to zrobił.

-O, zrobił o wiele więcej. Poprosił mnie o rękę

-Tam na sali?

-No nie, później. Na rozkładanym siedzeniu w samochodzie.

Corban wybuchnął śmiechem. Nie mógł się po wstrzymać. Nigdy sobie nie wyobrażał Leoty Reinhardt w takiej sytuacji. Wycelowała w niego wzrok jak snajper gotowy do strzału. Z trudem nad sobą zapanował.

-Przepraszam. Rozkładane siedzenie!

-Oczywiście, że powinieneś przeprosić - powiedziała sucho. - Domyślam się, jakie niestosowne myśli przebiegły przez twój sprośny mózdek. Siedziałeś kiedyś na rozkładanym siedzeniu w samochodzie?

-Nie, psze pani - wargi mu drżały.

-Najwyraźniej. Jest tam mało miejsca - bardzo mało miejsca - zbyt mało, żeby robić niestosowne rzeczy, zapewniam cię. Zwłaszcza gdy samochód pędzi i podskakuje na każdym wyboju, a wiatr dmucha ci w twarz. I nie szczerz tak

bezczelnie zębów.

-Już jestem cicho. Czyj to był samochód?

-Jednego z kolegów Bernarda. Nie pamiętam jego imienia, ale on znał moją przyjaciółkę i spytał, czy nas podzucić do domu. Tańce skończyły się późno stałyśmy na przystanku autobusu
wym, kiedy do nas podjechali. Usiadłam na tym siedzeniu i nie minęły dwie sekundy, gdy Bernard sjął mnie ramieniem, pochylił się i powiedział, że ctóregoś dnia się ze mną ożeni.

-Co odpowiedziałaś, babciu?

-„Może w przyszłą środę? Mam wolne". Oczywiście sądziłam, że on żartuje. Gdy spotkaliśmy się lastępnego wieczoru, uświadomiłam sobie, że nie.

-No to już wiemy, co to znaczy szalony ro- nans. - Corban wyszczerzył zęby w jeszcze szerszym uśmiechu. - Jeden tydzień.

-W rzeczywistości trwało to prawie rok i przez większość tego czasu próbowaliśmy zmienić opinię jego matki o mnie. Widzicie, Bernard poszedł do niej jeszcze tej pierwszej nocy. Jego rodzice się nartwili i czekali na niego do późna. Powiedział mi, że poznał dziewczynę, którą ma zamiar po- ilubić. Gdy przedstawił im całą historię, byli jrzekonani, że jestem... cóż, nie taką dziewczyną, akiej by się życzyło jedynemu synowi. Dziewczy- łą, która tańczy ze wszystkimi mężczyznami, pije

kieliszka nieznajomego i przyjmuje oświadczyńy la tylnym siedzeniu samochodu.

-Uśmiechnęła ię smutno. - Izebel. Potarła uda, jakby przeszył ją ból.

-Nie rozumiałam ich, a oni nie rozumieli mnie. opóki Bernard nie poszedł na wojnę, spotykaliś- ny się z Mamą i Papą Reinhardtem bardzo rzad- o. Bernard odwiedzał ich w niedzielę po kościele, a kilka razy zapraszałam ich na obiad, ale... no, lama Reinhardt była świetną kucharką, a ja wieżo upieczoną żoną, która potrafiła przygotować zapiekankę z tuńczyka, peklowaną wołowinę kapustą i ziemniakami. - Uśmiechnęła się roz- awiona. - Mama Reinhardt nie była pod wrażeiem.

Corban poczuł przyływ złości, wyobrażając sobie, jak Leocie musiało być przykro.

-Zdaje mi się, że była starą jędzą.

-Na początku pewnie to samo pomyślałeś

o mnie. - Leota spojrzała na niego znacząco. - Co?

-Skoro o tym wspominasz... - przyznał z kpiar- skim uśmiechem.

-Może wciąż tak myślisz. Nikt cię nie nauczył szanować starszych?

-Tak, psze pani.

-Jedno, co w tobie lubię, Corbanie, to twoja impertynencja - rzekła Leota z błyskiem w oku

1 Corban po raz pierwszy poczuł, że ją lubi, naprawdę lubi. Za młodu musiała być nieprzeciętną osobką.

-A więc nieczęsto gościłaś ich na obiedzie - powiedział, licząc, że Leota znów podejmie wątek.

-Znosiliśmy swoje towarzystwo raz w miesiącu. Papę polubiłam od razu, ale Mama siedziała i obserwowowała mnie bez słowa. Jeśli już się odzywała, mówiła po niemiecku do Papy, a on tłumaczył.

-Nie mówiła po angielsku?

-Niezbyt dobrze. Język był kolejną barierą między nami. Angielski wcale nie jest łatwiejszy niż niemiecki, ale po latach nauczyłyśmy się ze sobą rozmawiać. Pod koniec.

-A mama nauczyła się niemieckiego?

-Twoja mama i wujek George do czasu, gdy ich ojciec wrócił z wojny, rozmawiali po niemiecku. Potem w domu już nigdy nie mówiło się w tym języku.

Annie szeroko otworzyła oczy.

-Nawet Mama i Papa Reinhardt go nie używali?

-Nie w obecności Bernarda.

Corban czekał, wiedząc, że nic, co Leota ma do powiedzenia, nie przychodzi jej łatwo. Siedziała w milczeniu, zbierając myśli, a w oczach szklily jej się łzy. Zamrugała powiekami i potarła kolana. Wyglądała staro. Bezradnie. Jakby tonęła w bolesnych wspomnieniach.

-Kiedy Bernard wstąpił do armii, lojalność Mamy została wystawiona na próbę

-powiedziała wreszcie. - Ona i Papa wciąż mieli w Niemczech Draci i siostry z rodzinami. Pamiętam, jak oboje mówili, że Hitler jest szaleńcem. Codziennie czytali gazety i ubolewali nad każdym słowem, jakie napisano o Niemcach. W niektórych artykułach nazywano ich „krwiożerczymi Hunami”. Odkąd wyjechali z Europy, Reinhardtowie otrzymywali listy z kraju. Z tych późniejszych było uwielbienie dla fuhrera. Oczywiście Mama i Papa natychmiast odpisali, powołując się na to, co u nas piszą gazety. Potem listy przestały przychodzić. Odchyliła się do tyłu, ręce trzymała nieruchomo.

-Byłam z Bernardem, gdy ich poinformował, że naciągnął się do wojska. Mama Reinhardt zaczęła szlochać. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak płakał. Zawodziła, jakby ktoś wyrywał jej serce. Papa nakazał Bernardowi, żeby - jeśli wojna obróci się na korzyść Ameryki i zakończy w Niemczech - postarał się odnaleźć i uratować krewnych.

Po tych słowach zamilkła. Corban przygryzł wargę, dając jej szansę, by sama kontynuowała historię. Ponieważ jednak nic nie mówiła, nie powstrzymał się od pytania.

-Udało mu się dotrzeć do Niemiec?

-Tak.

Tyle bólu w jednym słowie. Corban nie zdawał sobie sprawy, że jednym słowem można powie dzieć tak wiele. Annie siedziała bez ruchu i milczała, oczy miała pełne łez, jakby sama przeżywała cierpienia babci.

-Bernard dotarł do miasteczka, w którym kiedyś mieszkali Mama i Papa Reinhardt. Jego jednostka je zniszczyła. - Mrugnęła powiekami, nie patrząc na nich. - Którejś nocy w domu zbudził się po nawiedzającym go koszmarze. Powiedział mi, że żołnierzy ogarnął szal, jego również. Zabijali każdego, kogo zobaczyli. Chcieli zetrzeć to miasto z powierzchni ziemi.

Corban nie mógł uwierzyć własnym uszom. Pochylił się do przodu.

-Dlaczego?

Spojrzała na niego posępnie.

-Tuż przed tym, jak weszli do miasteczka, wyzwolili obóz koncentracyjny. Bernard mówił, że panował tam smród nie do opisania, martwe ciała rzucone w stosy jak kłody. Miasto leżało nieopodal, na tyle blisko, że mieszkańcy musieli wiedzieć, co się dzieje, musieli zaopatrywać stacjonujących w obozie żołnierzy. Bernard nigdy się nie otrząsnął z tego, co tam zobaczył i co potem zrobił. Zamknęła oczy. Drżała.

-Mama i Papa Reinhardt dowiedzieli się o tym? - spytała Annie drżącym głosem.

-Bernard nie powiedział o tym nikomu oprócz mnie, i to tylko raz, niechcący. To było jak rak, który zżerał go od środka. Och, jego rodzice wiedzieli, że w Niemczech wydarzyło się coś strasznego, coś tak przerażającego, że ich syn nie potrafił rozmawiać o wojnie. Być może gdyby im powiedział, nie

cierpiałby tak bardzo.

Corban nie umiał sobie wyobrazić, co czuł ten mężczyzna.

-Jak... jak sobie radził z tym, co się stało?

-Wrócił do domu, poszedł do pracy i próbował jakoś żyć. Papa przepisał na niego dom i razem z Bernardem wybudowali za garażem mieszkanie. Mama wprowadziła się tam niechętnie, z poczuciem, że ukradłam jej dom. Miała do mnie same pretensje. Obarczała mnie winą za depresję Bernarda, mówiąc bez ogródek, że dobra żona potrafiłaby jakoś pomóc mężowi. Po prostu nie rozumiała. Ja zresztą też wtedy nie rozumiałam. - Westchnęła. - Przez nasze sprzeczki twój dziadek musiał się czuć jeszcze gorzej. A twoja mama i George bali się ojca. Oczywiście nie pamiętali go, bo odszedł na wojnę, kiedy byli bardzo mali. Po powrocie z początku miewał ataki złości. Był doskonałym rzemieślnikiem, ale gdy popracował przez jakiś czas, ponosiły go nerwy i wyrzucano go z pracy. Przez pierwszych pięć lat tracił jedną posadę za drugą. Wszyscy wiedzieli, jak trudno się z nim dogadać, i nie mógł już znaleźć pracy na pełny etat. Czuł się przez to jeszcze gorzej, bo wtedy ja musiałam zarabiać na życie. Bywało, że przez całe dni milczał. A robił wspaniałe rzeczy. Zbudował ten treliaz w ogrodzie. I szafki w kuchni, i kredens tam z tyłu. Piękne rzeczy, ale dostawał tylko prace dorywcze.

-Ciągnęła dalej cicho, z wilgotnymi oczyma. - Wieczorami siadywał przed telewizorem i pił, dopóki nie zmorzył go sen.

-Och, babciu - wymamrotała Annie, trzymając rękę Leoty w swoich dłoniach i pocierając ją delikatnie, jakby chciała ją rozgrzać.

-To był dobry człowiek, ale wewnętrznie rozbity. - Leocie drżały usta. - A ja nigdy nie potrafiłam z powrotem go poskładać. - Jej wargi wykrzywił pozbawiony radości uśmiech. - Jak Humpty-Dumpty. Roztrzaskał się.

Corban nie wiedział, co powiedzieć lub zrobić, żeby złagodzić jej cierpienie. Długie milczenie wprawiało go w zakłopotanie, nie potrafił go udźwignąć, i jeszcze bardziej się denerwował. Dziesięć minut ciszy było dla niego istną katorgą. Jak Leota znosiła tyle lat milczenia, zwłaszcza znając jego powód?

-Nie chodziło tylko o Niemców - rzekła Leota, jakby Corban wypowiedział swoje myśli na głos. - W tym rzecz. Próbowałam to wyjaśnić Bernardowi, ale mnie nie słuchał. Spójrzcie, co Japończycy zrobili z Chińczykami podczas masakry w

Nankinie i ze wszystkimi, którzy kiedykolwiek wpadli im w ręce. Spójrzcie, co biały człowiek zrobił Indianom północnoamerykańskim. Co Afrykanie robią sobie nawzajem. Na Środkowym Wschodzie mamy święte wojny, dżihad, w południowowschodniej

Azji dochodzi do ludobójstwa, a Sowieci mają główce bojowe wycelowane w każdą stronę świata. W tej chwili w naszym własnym kraju zaczyna się fala nagonek na chrześcijan. Szkaluje się ich i obwinia za najróżniejsze

rzeczy. Nie. Zbrodnie to nic nowego pod słońcem. Pamiętam jak w latach sześćdziesiątych, podczas zamieszek w Watts, pomyślałam, że to, co stało się w Niemczech, mogło przydarzyć się i tutaj. A potem przyszła epidemia AIDS. Tak łatwo byłoby zwrócić się przeciwko tym, którzy są biedni i chorzy.

Pokręciła głową.

-Nie, to nie Niemcy. To ludzkość. To nasza własna grzeszna natura, która dochodzi do władzy i pustoszy świat. Ale Bernard nie chciał słuchać. Nie chciał przyjąć łaski i miłosierdzia Boga. Wiedział, że jego czynu żadnym sposobem nie da się cofnąć i nie chciał pozwolić Bogu zmyć tego wszystkiego krwią Chrystusa. To się zmieniło dopiero pod koniec życia. Więc cierpiał. I wszyscy wokół cierpieli razem z nim.

Annie pokręciła głową, na jej twarzy malował się smutek tak wielki, że Corban poczuł przeszywający dreszcz. Odezwała się głosem zdławionym od łez.

-Mama chyba nic o tym nie wie, babciu.

-Masz rację. Nie wie. Ona i George byli zbyt mali, żeby zrozumieć, co się dzieje. Wierzyli w to, co im mówiono. Zawsze mi się wydawało, że to, co wiem, powinnam zachować dla siebie, aż do śmierci. Ale ostatnio... - Spojrzała na Corbana jasnym, płonącym wzrokiem, zamyślona. - Czasami trzeba powiedzieć prawdę, bez względu na to, jak bardzo jest bolesna. Nawet jeśli to niczego nie zmieni. Ludzie zdają się wciąż powtarzać te same błędy.

Corban poczuł ssanie w dołku. Leota Reinhardt próbowała go czegoś nauczyć, a on nie miał poję- ia, czego.

-Teraz trochę lepiej rozumiem mamę, babciu, na z tyłu rzeczy nie zdaje sobie sprawy. Może dyby wiedziała...

-Musi chcieć wiedzieć, skarbie. Zanim coś za- adzisz, musisz zmiękczyć ziemię. Zanim ziarno opuści korzenie, trzeba je podlewać. - Czule ogładziła policzek Annie. - No i proszę, jak to się tarucha rozgadała, gdy ma takich życzliwych łuchaczy. Może napijemy się ziołowej herbaty?

Annie wstała, pochyliła się nad babcią, pocało- ała ją w policzek i wyszła do kuchni. Wtedy Leota spojrzała Corbanowi w oczy. Wyzuł, że próbuje mu przekazać

coś ważnego. O co chodzi, stara kobieto? - miał ochotę krzyknąć. Powiedz to wprost. Powiedz mi! Chcę wiedzieć, chcę widzieć. Chcę zrozumieć.

Uśmiechnęła się nie miała zamiaru niczego mu ułatwiać. Powiedziała tylko

-Jest dla ciebie nadzieja, Corbanie Solseku. - Odczekała jeszcze chwilę, po czym wstała z fotela, włączyła telewizor, gdzie leciał jakiś konkurs, znów usiadła i oparła głowę o fotel. Zamknęła oczy i przez resztę wieczoru nie powiedziała już ani słowa.

Nora spacerowała po centrum handlowym. Sklep z artykułami bożonarodzeniowymi był otwarty, ale minęła go z niesmakiem. Jeszcze nawet nie było Zadzuszek, do Święta Dziękczynienia zostało sześć długich tygodni, a już zaraz mikołaje zaczną się pojawiać w sklepowych witrynach jak chwasty. Co roku Boże Narodzenie przychodzi wcześniej, niosąc ze sobą smutek. Dlaczego święta zawsze ją przygnębiają? Bez względu na to, jak wysoka jest choinka, jak kolorowe ozdoby, jak gorączkowe obchody, ona zawsze czuje się samotna.

Przechodząc koło sklepu z zabawkami, Nora przypomniała sobie, z jakim podnieceniem kupowała kiedyś dzieciom prezenty. Michael uwielbiał klocki lego, odkąd nauczył się je układać. Z roku na rok kupowała coraz bardziej skomplikowane - i droższe - zestawy. Gdzie są teraz? Schowane w garażu, na wypadek, gdyby kiedyś chciał się nimi pobawić wnuczek? Czy Michael je zabrał przy przeprowadzce? Nora nie pamiętała.

Lalki w sklepowym oknie przypomniały jej o zakupach dla Anne... i zawiedzionych nadziejach.

W którąś gwiazdkę Nora stała w kolejce, żeby kupić swojej ukochanej córeczce modną szmacyaną lalkę. Gdy w sklepie ogłoszono, że się skończyły, zapłaciła ponad dwieście dolarów kobiecie, która kupiła aż trzy sztuki. Zachłanna jęcza. Kiedy Annie otworzyła śliczną paczkę i zobaczyła lalkę, powiedziała ciche „dziękuję”, włożyła ją z powrotem do pudełka i postawiła je pod choinką.

-Nie podoba ci się? Każda dziewczynka marzy

takiej lalce. Nie masz pojęcia, z jakim trudem ją dla ciebie kupiłam.

-Jest ładna, mamusiu.

Nora nienawidziła, kiedy dzieci nazywały ją „mamusią”. Nieustannie

przypominała Anne- -Lynn, że ma do niej mówić „mamo”. „Mamusia” jest dla niemowlaków.

Anne zabrała lalkę do szkoły. Wróciła bez niej

Nora wpadła w gniew. Była przekonana, że córka ją zgubiła, choć nie miała pojęcia, jakim sposobem Anne mogła być tak nieuważna. „Masz pojęcie, ile ta lalka mnie kosztowała? Dwieście dolarów! Powinnam ci była kupić zwykłą taną lalkę z gałganków!” Wtedy, tylko pogarszając sprawę, Anne-Lynn zaczęła płakać i przyznała się, że nie zgubiła lalki. Podarowała ją dziewczynce, która na gwiazdkę dostała tylko puzzle. Stojąc teraz przed wystawą sklepu, Nora przypomniała sobie, jaka była wtedy wściekła. Bo i dlaczego miałyby się nie zezłościć? Czekala tyle godzin, zapłaciła absurdalną cenę za coś, co chciałyby mieć każda dziewczynka... i co zrobiła jej córka? Oddała prezent, jakby nic dla niej nie znaczył.

Tak jak i ja nic dla niej nie znaczą. Wpatrywała się w wystawę sklepu z zabawkami i łzy napłynęły jej do oczu. Tyle zrobiłam dla swoich dzieci, ale czy one to doceniają? Ani ja, ani moje uczucia nic a nic ich nie obchodzą. Myślą tylko o sobie. Kiedy Michael ostatni raz dzwonił? W zeszłym roku na Dzień Matki? Anne dzwoni, owszem, ale zawsze od Leoty. Czemu wciąż pyta, czy nie chciałabym rzyjechać na herbatę? Tylko po to, żeby ranić oje uczucia? Żeby wiedziała, ile czasu i miłości oświęca mojej matce? Matka i Anne dobrze wie- a, że nie mam ochoty wpadać tam na herbatę ni na cokolwiek innego!

Przygryzła wargę, łzy wezbrały w jej oczach, aliło ją w gardle. Jej dzieci są takimi egoistami! zy zdają sobie sprawę ze swojego okrucieństwa? winnam je natychmiast wydziedziczyć. Wtedy się ocknęły! Zasłużyły sobie na to. Opuściły nie, więc ja także powinnam je opuścić. Tak prawdę należałoby zostawić u adwokata list, by odczytał go na głos. Napisać, dlaczego je linęłam w testamencie. Wtedy by pożałowa- . wilyby się w poczuciu winy, że były dla niej e podłe. Gdyby śmiertelnie zachorowała, na kład na raka, i cierpiała przez wiele miesięcy wtedy zrobiliby im się przykro. Może Fre- i też byłoby przykro. czerpnęła tchu i westchnęła. Problem w tym, st zdrowa. Dbała o wagę, ćwiczyła, dobrze się wiała. A mimo to niedawno poszła do lękałby się dowiedzieć, skąd biorą się palpacje, brzucha i głowy. iera. Wie o tym. Bołą ją nawet kości. Z pew- a ma raka albo coś jeszcze gorszego. Pod- ię całej serii badań. Pobrali jej krew, kazali bar, zrobili rentgen. Badania niczego nie ały, więc zażyczyła sobie, żeby lekarz zrobił jej rezonans magnetyczny. Dzisiaj odebrała wyniki. „Nic ci nie jest, Noro”. Diagnoza stres, nerwica z objawami psychosomatycznymi. Zasugerował jej wizytę u psychiatry. Odparowała rozjuszona, że chodzi na terapię od lat i nic jej to nie daje. Życie stało się gorsze niż kiedykolwiek przedtem. Rozpłakała się i powiedziała, że wolałaby być umierająca. Chciałaby mieć raka. „Wtedy wszystkim byłoby przykro, że mnie tak traktowali!”

On myśli, że zwariowałam. Przytknęła chusteczkę do skroni. Cóż, może i zwariowała. Może to załamanie nerwowe. Jeśli tak, to z pewnością nie z jej winy. Nikt jej nie kocha. Nikt nigdy naprawdę jej nie kochał. Nawet własna matka...

Boże, dlaczego? Nie rozumiem. Tak bardzo się starałam. Wszystko robiłam, jak należy i wszystko wyszło nie tak. Nic nie wychodzi mi tak, jak chcę. Znienawidziło mnie dwóch mężczyzn, których kochałam. Dzieci, które urodziłam, nawet nie chcą ze mną rozmawiać.

Może zawsze za bardzo kochałam innych. Powinna być bardziej kochać siebie, zamiast inwestować czas i pieniądze w mężów i dzieci. Zamiast tego powinna być troszczyć się o siebie.

Odwróciła się od wystawy i ruszyła naprzód, mijając kobiety przechadzające się po sklepie. Niektóre były z dziećmi w wózkach, inne spacerowały z przyjaciółkami, jeszcze inne siedziały na ławkach i przyglądały się przechodzącym ludziom. Nora znów przystanęła i popatrzyła na kolejne okno wystawowe wypełnione podarkami.

A może kupi coś dla siebie? Czemu nie miałaby sobie czegoś sprawić, jeśli dzięki temu poczuje się lepiej? Innym zawsze kupowała drobne upominki, żeby ich rozweselić. Pora rozweselić siebie samą. Weszła do sklepu i chodziła między półkami, biorąc rzeczy do ręki i odkładając je z powrotem. Nagle zauważyła coś w odległym kącie. Uśmiechnęła się. Coś całkowicie niepraktycznego, a w dodatku drogiego. Ale drobiazg spodobał jej się, a dzisiaj tylko to się liczy. Czas, żeby Nora dogodziła sobie zamiast innym. Miała mnóstwo gotówki, ale postanowiła zapłacić kartą kredytową. Fred zawsze jej dawał pieniądze na bieżące datki, uznała jednak, że przynajmniej tyle

jest jej winien za swoją powściągliwość w ostatnich dniach. Zrobiła zakup i wyszła. Ciepłe, przyjemne uczucie szybko minęło. Gdy znalazła się na parkingu, nie miała pojęcia, dla- czego wydała pięćdziesiąt dolarów na pluszowego isia. Co powie Fred, gdy zobaczy rachunek? czywiście w należnościach nie będzie napisane is. Tylko nazwa sklepu.

Usiadła w samochodzie, wyjęła misia z torebki i piła się na niego, mając nadzieję, że wskrzesi ten sposób nikłą przyjemność, którą poczuła sklepie, gdy go zauważyła. Może myślała o przy- rch wnukach. Oczy jej zwilgotniały, łzy pociek- o policzkach. Jeśli jej dzieci będą mieć kiedyś sne dzieci, może zrozumieją, jak ona się czuje, rozumieją, jaką była dobrą matką. Zrozumieją, bardzo się dla nich poświęcała. Może wtedy... jej głowie nagle pojawił się obraz Leota klę- ca w ogrodzie. Leota spoglądająca w stronę u, łzy spływające jej po policzkach. dzie byłam? Dlaczego do niej nie wyszłam? ra mocno zacisnęła powieki. magalam babci Reinhardt. To właśnie robi- . Zawsze jej pomagałam. Mówiła, że beze by sobie nie poradziła. Znow poczuła złość. a nigdy nie pomagała babci. Troszczyła się tylko o własne potrzeby i zachcianki. Nigdy nu dbała o nikogo oprócz siebie.

A jednak ten obraz nie znikał. Wraz z nirr pojawił się przebłysk innego wspomnienia. Nie mai czuła rękę babci Reinhardt na ramieniu „Nein. Twoja mama myśli, że dobrze jest traci czas na sadzenie kwiatków, ale ja tu mam pra cę do zrobienia. Bądź grzeczna i pomóż przy ko lacji”.

Złość się ulotniła, pozostał zamęt i udręka Nora wepchnęła misia do torby i rzuciła ją ns tylne siedzenie. Wetknęła kluczyk do stacyjk i uruchomiła samochód.

I wtedy znow to poczuła samotność, przed któ rą uciekała całe życie, samotność, którą rozpacz liwie starała się stłumić. Gdy to sobie uświadomiła, ledwie mogła oddychać z bólu. Łzy sprawiły, że nic nie widziała.

Mam męża.

Mam dzieci.

A jednak jestem samotna.

Fred był w domu. W garażu stało jego auto. Kiedy je zauważyła, ogarnęło ją przerażenie i poczucie winy. Zmarnowała całe popołudnie, wałęsając się po sklepach, oglądając wystawy. I po co? Żeby się lepiej poczuć? Czowała się jeszcze gorzej. Na dodatek Fred przyszedł wcześniej do domu, a ona nie miała pojęcia, co zrobić na obiad. Czy rano wyjęła coś z lodówki? Pewnie nie. Kto myśli o obiedzie, kiedy ma się dowiedzieć od lekarza, że umiera na jakąś straszną chorobę?

Wzięła torbę z misiem i wysiadła z samochodu. Otworzyła boczne drzwi z garażu do domu i powoli odetchnęła, przygotowując się na wszystko. Gdy weszła do kuchni, na blacie zobaczyła otwarte pudełko z pizzą. Brakowało dwóch kawałków. Fred siedział w pokoju dziennym, patrzył na wieczorne wiadomości, na stoliku obok niego stał kieliszek wina. Przebrał się z garnituru w granatowy sweter i luźne spodnie koloru khaki. Zawsze ładnie się ubierał, nawet gdy siedział w domu i nic nie robił. Należał do mężczyzn, którzy z wiekiem stają się coraz przystojniejsi.

Boże, proszę, nie pozwól, by przestał mnie kochać tak jak Bryan i Dean. Proszę. Fred spojrzał na nią z niepokojem w oczach.

-Co powiedział lekarz?

-Dlatego wcześniej wróciłeś?

-Martwiłem się o ciebie. Jest dość późno.

Postawiła torebkę na blacie.

-Musiałam zrobić zakupy. - Usta jej zadrżały. - Prezent. - Nie powiedziała mu, że dla siebie.

-Jaka jest diagnoza?

-Och, w porządku. Nic mi nie jest. Jestem drowa jak koń. Doktor uważa, że powinnam iść o psychiatry.

Poruszył kącikami ust.

-Mogłabyś o tym pomyśleć. Nora wybuchnęła płaczem. Zakryła twarz i stała w kuchni, łkając. Szkoda, że nie umarła. Pomna była wjechać na drzewo albo spaść z klifu o oceanu. Wtedy dzieciom zrobiłoby się przykro, a tak źle ją traktowały. Poczwała, że Fred ją obejmie. Przyciągnął ją lisko do siebie.

-Kocham cię - powiedział łagodnie. - Doprowadzi mnie do szaleństwa, Nora, ale cię kocham. Przylgnęła do niego i zachlipała jeszcze głośniejszym, yśląc o tym, ile razy ostatnio go zaniedbywała.

-Nie zasługuję na ciebie.

-Nie, nie zasługujesz - odparł żartobliwie. - hyba ci się po prostu poszczęściło.

Uśmiechnęła się do niego przez łzy. Co by be niego zrobiła? Przypomniały jej się przykre słowa które ledwie wczoraj padły z jej ust. Pomyślak o kliencie, którego Fred stracił przez jej roztarg nienie.

-Wszystko mi wybaczasz. - Był najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała. Po ciągał ją swym łagodnym usposobieniem.

-Potrzebujemy pomocy, Noro. Nie możemy tal dłużej żyć.

Przeszły ją ciarki. Gdzieś w środku usłyszak dzwon bijący na śmierć kolejnego małżeństwa Uprzejmość przed śmiertelnym ciosem.

„Byłaś pierwszą kobietą, którą pokochałem - powiedział do niej Biyan w noc przed odejściem Zostawił list - ostatnie słowa, jakie do niej napi sał. Wyjąwszy czeki z alimentami. Nigdy nie po trafiła pojąć, jak mężczyzna może tak szybko i cał kowicie zniknąć.

Dean nie był taki miły. „Jeśli będziesz chciał mi coś powiedzieć, zrób to przez swojego praw nika”.

Nora skurczyła się w sobie. Nie mogę znóu przez to przechodzić. Boże, pomóż mi. Nie mogę.

Zrobi wszystko, czego zechce Fred. Nie zniosła by kolejnej porażki. Była tak zmęczona walką, miała już dość życia, dość siebie.

-Może masz rację - powiedziała potulnie. - Cc twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

-Zacznijmy od spotkania z pastorem.

-On mnie nie lubi. - Wyzwoliła się z objęć męża i odwróciła się do niego plecami. - Byłam u niego parę tygodni temu.

-I co?

Objęła się ramionami.

-Powiedział, że nie jestem chrześcijanką.

-Niby z jakiej racji? Czyżby jej nie wierzył?

-No, nie powiedział tego wprost, ale coś takie- o sugerował.

-Co mu powiedziałaś?

-Przypomniałam mu, od jak dawna chodzimy o kościoła i ile pieniędzy daliśmy na ofiary, i wy- złam.

-Chodziło mi o to, co powiedziałaś przedtem rzekł cicho Fred. - Że odniósł takie wrażenie.

-Nie pamiętam.

Fred się nie odezwał. Nie musiał nic mówić, ora była zawstydzona, zażenowana i nastawiona bronnie. W jej uczuciach panował chaos. Nie chciała myśleć o pastorze Burnieem. Nie chciała yśleć o tym, co oboje mówili... Odwróciła się do Freda.

-Może gdybyśmy wyjechali na weekend. Do n Francisco. Albo lepiej do Carmel. Sami. Tylko y dwoje.

-Jesteśmy tylko my dwoje, Noro. Przeszył ją ból.

Nie musiałeś mi przypominać, że Annie ode- a z domu bez słowa pożegnania. Odwróciła

. - To było okrutne, Fred, i to po takim strasznym dniu. - Potarła skroń, czując nadchodzący ból głowy. - Dzwoniłam do niej rano. Powiedziała, właśnie wychodzi na zajęcia, a tak naprawdę działo o to, że nie chciała ze mną rozmawiać et przez minutę - rzekła gorzko. - Nie zdąży- jej nawet powiedzieć, jaka jestem chora i ile eszłam badań, lko po to, żeby się dowiedzieć, że nic jej nie . Że wszystko tkwi w jej głowie. Stres. A kto temu winien? red złapał ją za ramiona.

-Annie jest dorosła, Noro. Nie możesz sprawić, żeby wróciła do domu i znów była twoją małą córeczką.

-Nie chciałam tego robić!

Puścił ją.

-Czyżby? Dopóki tu była, mogłaś jej mówić jak ma się zachowywać. Musi się nauczyć samodzielności.

Odwróciła się.

-To nieprawda. Nigdy nie próbowałam kierować jej życiem.

-Nie próbowałaś, Noro. Kierowałaś nim. Biedna dziewczyna nie mogła nawet zaczerpnąć tchu bez twoich wskazówek, ile powietrza może nabrać.

-Jak możesz tak mówić? Zawsze ją kochałam...

-Odkąd znam ciebie i Annie, kierowałaś jej życiem. Kontrola, Noro. Oto, co jest dla ciebie ważne, prawda? Muszę ci powiedzieć, że byłam dumna, kiedy Annie

wreszcie ci się sprzeciwił i odeszła.

Nora patrzyła na niego wstrząśnięta.

-Dumny?

-Tak, dumny!

Wezbrała w niej złość.

-Po prostu nie chciałeś, żeby wciąż tu mieszkała, o to chodzi? Byłeś

zazdrosny o naszą więź. Nigdy nie rozumiałeś, jak bardzo jesteśmy ze sobą związane. Ona nie jest twoim dzieckiem. Jest moja. - Zobaczyła wyraz jego twarzy i wiedziała że te słowa zabolaly go jak szpilety wbijane w serce. I bardzo dobrze. On pierwszy ją zranił. - Myślałeś, że im prędzej Annie się wyniesie, tym szybciej będziesz miał mnie tylko dla siebie, żeby robiła wszystko, co zechcesz i kiedy zechcesz.

Kiedy potok gniewnych słów wylał się z jej ust, coś w niej krzyknęło. Dlaczego mu to robisz? Przestań. Przestań! Lecz powodzi nie dało się już zatrzymać, fala goryczy całkowicie ją pochłonęła.

Ilu trzeba słów, by wyrzucić nieodwracalną rzywdę?

Milczeli przez całą minutę, nim Fred wreszcie zekł zmęczonym głosem

-Czy zdarzyło ci się kiedyś zrobić coś, czego chcieli inni, Noro?

-Zawsze robię wszystko dla innych. Robiłam dla Michaela i Anne wszystko,

odkąd byli małe dzieci. Nie potrafisz zrozumieć, jak się żuję, bo nigdy nie miałeś własnych dzieci.

-Chciałem mieć, ale ty nie byłaś chętna.

-Nie rzucaj mi teraz tego w twarz, Fred. Jak ogłamał myśleć o dziecku, kiedy Michael był kolegą, a Anne-Lynn zajmowała mi tyle czasu?

- Usłyszała echo własnych słów i zobaczyła wyraz twarzy męża. - Kocham Annie.

-Być może, Noro, ale siebie kochasz bardziej, i mnie kochasz ponad wszystkich i wszystko. Wpatrywała się w niego, czując się całkiem uszczona.

-Jak możesz mówić coś takiego po wszystkim, dla nich zrobiłam? Kiedy Annie odeszła, byłam ruzgotana. Wiesz o tym.

-O, wiem. Wszyscy to wiedzą. Ale tak naprawdę byłaś zdruzgotana z całkiem niewłaściwych

wodów. Myślałaś, że masz nad nią kontrolę, planowałaś jej przyszłość, całe lata

naprzód.

-Ona chciała iść do collegeu!

-Nie, Noro. To ty chciałaś, żeby poszła do llegeu! Wciąż tylko słyszałem, że sama bardzo chciałaś iść na studia, ale nie miałaś takiej możliwości. Zawsze chciałem o to zapytać. Co ci powstrzymało?

-Co ty mówisz? Że teraz powinnam iść do szkoły? Mam czterdzieści pięć lat.

-Trzeba odwagi, żeby żyć własnym życiem, prawda, Noro? Przez cały czas mówiłaś innym jak mają żyć. Przez cały czas zmuszałaś dzieci żeby żyły za ciebie. Wpadła we wściekłość.

-Jak możesz mówić takie okrutne rzeczy?

Westchnął.

-Mówię, bo to smutna prawda i już najwyższy czas, żebyś usłyszała ją od kogoś, kto cię kocha

-Kocha? Tak to nazywasz? Nie masz pojęcia czym jest miłość!

Wrócił do pustego salonu i usiadł, wbijając wzrok w brzęczący telewizor.

-Czy kiedykolwiek zadałaś sobie pytanie, dla czego twój syn nigdy nie dzwoni ani nie przyjeżdża do domu? Jego pierwszego odstraszyłaś. Nie cofam to. Może pierwszy był Bryan Taggart.

Przeszył ją ból.

-Nienawidzę cię. - Znow się rozplakała.

-Nigdy nie patrzysz prawdzie w oczy.

-To nie jest prawda. Michaelowi zależy.

-Na czym? - Fred wziął pilota i zmienił kanał.

Na sobie - pojawiła się zdradziecka myśl. Nora zbuntowała się przeciwko niej.

-Nie znasz mojego syna tak, jak ja.

-Znam jego matkę. To wystarczy. - Fred zwiększył głośność telewizora.

Drżąc, Nora chwyciła torebkę i poszła na górę. Rzuciła torebkę na fotel, gwałtownym ruchem ściągnęła z siebie marynarkę z wielbłądziej wełny i weszła do garderoby, żeby ją odwieścić. Wciąż się trzęsła. Usiadła na krawędzi łóżka. W uszach

dźwięczały jej słowa Freda „Trzeba odwagi, żeby żyć własnym życiem... Myślałaś,

że masz kontrolę..."

On nie ma racji.

Rozejrzyj się dokoła.

Nora uniosła głowę i popatrzyła na eleganckie meble Ethana Allena, drogie draperie, jasnobrzo- skwiniowe ściany, zawieszane na nich oryginalne obrazy olejne i podpisane grafiki, które kupiła w ekskluzywnej galerii w San Francisco. Wszyst- co wybierała sama, nie szczędząc wydatków. Ile tysięcy dolarów wydała na urządzenie tego pokoju dokładnie tak, jak chciała? Czy kiedykolwiek spytała Freda, co mu się podoba?

Urządziła cały dom, pokoje Michaela i Annie także. Sowiec obsypywała swoje dzieci dobrodziejstwami. Miały same najlepsze rzeczy. Najlepsze szkoły, najlepsze sąsiedztwo, najlepsze ubrania, najlepsze zabawki, najlepsze lekcje, najbardziej majętny kościół, odpowiednich przyjaciół.

W jakim celu? Po co?

„Trzeba odwagi, żeby żyć własnym życiem..."

Poświęcałam się dla nich!

Usłyszała cichy, spokojny głos, który pytał Czy aby na pewno, umiłowana?

Tak. Tak! Chciałam, żeby Michael i Anne-Lynn mieli lepsze życie niż ja. Chciałam być przy nich, gdy będą mnie potrzebowali, inaczej niż moja matka, na którą nigdy nie mogłam liczyć. Chciałam im dać wszystko, czego sama zawsze pragnęłam. Chciałam... chciałam... miłości.

Nora ukryła twarz w dłoniach. Gorzki szloch zagłuszył cichy, przyzywający głos - ten jedyny, którego szukała, głos miłości.

Ruth wyszła z łazienki i spojrzała na Corbana była śmiertelnie blada i miała zaczerwienione oczy.

-Zgadnij, co się stało! - Wyciągnęła przed siebie biały plastikowy przedmiot.

-Co? - Corban przyjrzał mu się skonsternowany. Oczy Ruth płonęły złością, wwiercały się w niego oskarżająco. - Co to jest?

-A jak ci się zdaje? Test ciążowy! - Podsunęła go Corbanowi pod oczy. - Jest niebieski. Widzisz? Pozytywny! - Rzuciła przekleństwo.

Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Najpierw zrobiło mu się zimno, potem gorąco.

-Myślałem, że brałaś pigułki.

-Biorę pigułki. Co nie oznacza, że tylko ja mam być odpowiedzialna za antykoncepcję!

-Nie to miałem na myśli. - Próbował zachować spokój. Próbował myśleć. - Ile to już czasu?

-Dwa miesiące. Trzy. Nie wiem! Nawet o tym nie myślałam, dopóki parę dni temu nie zaczęłam wymiotować. - Wrzuciła test do kosza stojącego przy biurku Corbana i znów zaklęła. - Jessie powiedziała, że mogę być w ciąży. Uznałam więc, że lepiej to sprawdzić.

Corban nie wiedział, co powiedzieć. Dziecko! Pierwszą myślą, która przyszła mu do głowy, było jakim sposobem wpakował się w takie tarapaty i jak się z tego wywinąć. W ciągu kilku ostatnich tygodni uświadomił sobie, że nie jest zakochany w Ruth Coldwell. Tak naprawdę nie był nawet pewien, czy w ogóle ją lubi. Ich romans zaczął się od pożądania, czysta i prosta sprawa. No, może nie taka czysta. Po kilku miesiącach wspólnego życia Corban zaczął się zastanawiać nad uczuciami Ruth. Jej motywy stały się zupełnie jasne. Potrzebowała kogoś, kto by

ją utrzymy

wał, podczas gdy stypendia pokrywałyby jej wydatki na szkołę. Ruth lubiła jego mieszkanie, jego samochód, jego konto bankowe. Dość łatwo to pojąć, gdy własne ego nie stoi już na przeszkodzie.

Cóż, teraz sytuacja się skomplikowała.

-Nie patrz tak na mnie! - była zła i zrozpaczona.

-Jak?

-Jakbym zaplanowała tę ciążę.

-Wiem, że tego nie zrobiłaś.

-Cholerna racja. To ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyłam. - Popatrzyła na swój brzuch, jakby samo dotknięcie go budziło w niej odrazę. - Przytyłam już dwa funty. - Wybuchnęła płaczem. - Dlaczego to się musiało stać? Było idealnie!

Idealnie?

Czuł, jak na czoło występują mu kropelki potu. Serce mu waliło. Żołądek zwinął się w supeł. Ruth będzie miała z nim dziecko. Spojrzał na plastikowy test w

koszu na śmieci i poczuł falę gorąca przepływającą przez jego ciało. Ze wstydu? Strachu? Zdumienia? Nie potrafił nawet nazwać uczuć, które się w nim budziły. Musiał pomyśleć, ale Ruth chodziła po pokoju w tę i z powrotem jak zwierzę w klatce. Chciał ją jakoś wyciszyć, uspokoić.

-Coś wymyślimy, Ruth.

Zatrzymała się i spiorunowała go wzrokiem.

-Co wymyślimy?

-Co robić. - Wstał i podszedł do niej. - To nie jest tylko twój problem, wiesz. Jesteśmy w tym razem.

Lekko przygarbiła ramiona.

-Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę - powiedziała ponuro. - Byłam taka ostrożna. - Zaczęła

345

plakać i Corban przyciągnął ją do siebie. Nigdy nie widział ani nie słyszał, żeby Ruth płakała. Nie sądził, że potrafi.

-Będzie dobrze. - Pomasaował ją po plecach jak dorosły, który uspokaja przestraszone dziecko. Chętnie, jeśli nie z zapalem, wszedł w nową rolę pocieszyciela. Panika przechodziła, pojawiały się nowe możliwości. - Byli przed nami inni, którym urodziły się dzieci i którzy skończyli szkołę.

Zesztywniała w jego ramionach.

-Chyba nie sugerujesz, żebym je urodziła? - Odsunęła się od niego. - Nawet

o tym nie myśl, Cory.

Na widok wyrazu jej twarzy zmroziło go w środku.

-Dlaczego nie? Skończysz szkołę rok przed...

-Nie ma mowy! - Oczy jej płonęły. - Oszalałeś?

Zmarszczył brew.

-W czerwcu zrobię dyplom.

-Ale ja nie. - Odwróciła się, odeszła kilka kroków i usiadła na fotelu po drugiej stronie pokoju. Skrzyżowała nogi po turecku, złapała się za kolana i spojrzała na niego zimnym wzrokiem.

-Co z uniwersytetem, Cory? Ukończysz szkołę z najwyższym wyróżnieniem. Miałeś już rozmowę na Stanfordzie. Mnie został jeszcze rok...

-Mogłabyś się przenieść.

-Tak, jasne. A kto będzie płacił moje czesne? Święty Mikołaj? Ja mam stypendium tutaj. Nie mogę iść na dowolną uczelnię. Nie mam funduszu powierniczego.

Ostrzeliwała go z każdej możliwej broni nie podobało mu się to. Przeszył go chłód. Jakim cudem w ogóle związał się z tą dziewczyną? Oczy jej błyszczały. Czy Ruth zauważyła, co on czuje? Ma to wypisane na twarzy? Odwróciła wzrok i przygryzła wargę. Trochę za późno, żeby się ugryźć w język. Spojrzała na niego znowu, tym razem z troską w oczach.

-Zawsze się zgadzaliśmy, Cory. Wszystko po kolei. Najpierw college,

potem...

Potem co? Nagle się nad tym zastanowił. Czy kiedykolwiek rzeczywiście rozmawiali o tym, co będzie potem? Poczul, że zbiera mu się na wymioty. Nie mógł jej obiecać, że będzie finansował jej edukację, zwłaszcza na Stanfordzie.

Dziecko. Jego dziecko. Pomyślał o wyborach, jakie przed nimi stały.

-Posłuchaj - powiedział ostrożnie - jeszcze nie zdecydowałem, że pójde na Uniwersytet Stanforda. Nie stanie się nic złego, jeśli zostanę tu, w Berkeley.

-Chcesz iść do Stanforda i wiesz o tym. Nie zaprzeczaj. Jeśli tu

zostaniesz, będziesz żałował, że zmieniłeś plany.

-Nieprawda.

-Ocknij się, Cory. - Twarz miała sztywną i bladą. - W tym tygodniu dwa razy

nie poszłam na zajęcia, bo zbyt źle się czułam. To się chyba nazywa poranne mdłości. Tylko że ja mam mdłości do popołudnia. Jak ci się zdaje, ile zajęć mogę opuścić i utrzymać dobre stopnie, żeby mi nie odebrali stypendium? - Corban wiedział, o czym myśli Ruth. Słyszał wszystkie argumenty za aborcją i z każdym się zgadzał. Aż do tej chwili popierał możliwość wyboru. Teraz jednak nie był taki pewien. Teraz była mowa o jego dziecku. Zaszła w nim jakaś zasadnicza zmiana. Wszelka retoryka zdawała się nie mieć znaczenia. Wszelkie racjonalne uzasadnienia, usprawiedliwienia, wymówki też.

Na myśl o tym, że Ruth usunie dziecko, zrobiło mu się niedobrze.

347

-Wiem, że to nie jest najlepszy czas... - ostrożnie dobierał słowa - ale

znajdziemy rozwiązanie. Jeśli nie chcesz zachować dziecka, możemy je oddać do adopcji.

-Nie do wiary. Ty naprawdę sugerujesz, żebym je urodziła! - Zerwała się z fotela i zaczęła przemierzać pokój w tę i z powrotem. - Nie rozmawiamy o czymś abstrakcyjnym, Cory. To moje życie!

-Wiem, Ruth, ale to moje dziecko.

Zatrzymała się i spiorunowała go wzrokiem.

-Nie wierzę, że to powiedziałeś. To jeszcze nie jest dziecko. Nie nazywaj tego dzieckiem.

-Oszczędź mi tej feministycznej gadki, Ruth. Oboje nauczyliśmy się fizjologii i anatomii. Przysięgam, że się tobą zaopiekuję. Będę za wszystko płacił. Wezmę na siebie odpowiedzialność. Nawet się z tobą ożenię, jeśli chcesz.

-Dzięki za romantyczne oświadczenia. - Odwróciła się do niego plecami.

Corban się zawstydził. Podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach.

-Nie chciałem, żeby to tak wyszło. - Poglądził jej ramiona. - Przepraszam, Ruth. Gdybym mógł wszystko cofnąć, zrobiłbym to. Wiem, że tego nie planowaliśmy.

Wiem, że wykształcenie jest dla ciebie bardzo ważne. Nie proszę cię, żebyś z tego zrezygnowała. Po prostu przez parę dni nic nie rób, dobrze? Wszystko przemyślimy. Zastanowimy się, jakie są opcje. Czyż nie na tym polega wybór? Na świadomości, że są różne wyjścia?

Poczuł, że mięśnie jej się rozluźniają. Cicho odetchnęła.

-Tak się boję. Tak się boję, Cory.

Corban pochylił się i pocałował ją w szyję.

-Ja też.

Nie był pewien, czy oboje boją się tego samego.

-Hej, wy tam! - zawołała Leota, stojąc w drzwiach. - Zostawcie te dzieci w spokoju albo wezwę policję.

Dwaj nastolatki nagabujący dzieci Arby Wilson krzyknęli do niej obraźliwie i odjechali ulicą. Wyszła na werandę.

-Wy troje, chodźcie do środka. Na chodniku jesteście łatwym celem dla chuliganów. Mama wam nie mówiła, że macie się bawić w ogrodzie?

-Otworzyła im szeroko drzwi. - Idź do łazienki i umyj się, Vermont.

-Nie nazywam się Vermont.

-Ależ tak, kiedy jesteś w moim domu. No, śmiało. - Dziewczynki płakały.

Leota zatrzasnęła zewnętrzne drzwi z siatką przeciw owadom, opuściła zasuwkę, po czym zamknęła wejściowe drzwi na dwa zamki. - Chodźcie ze mną do kuchni.

-Wyjęła z szuflady dwie ściereczki do naczyń i zmoczyła je wodą z kranu.

Wręczyła ściereczki dziewczynkom i kazała im wytrzeć twarze. - Czego chcieli tamci dwaj?

-Żeby Nile wpuścił ich do domu.

Nile stanął w drzwiach do kuchni, przyciskając do oka mokry ręcznik.

-Jesteś odważnym chłopcem.

-Nie jestem chłopcem.

-Och, na litość boską. Dobrze. Jesteś odważnym młodzieńcem. Tak lepiej? A teraz posadź swój szanowny tyłek na tym krześle i uspokój się.

-Bo co?

-Bo jak będziesz stał w progu, oddam dziewczynkom twoje ciastka i mleko. Nile usiadł.

-Mama będzie się zastanawiać, gdzie jesteście. - Kenya otarła łzy z policzków.

Leota poklepała ją po ramieniu.

-Będzie wiedziała, kochanie. Mówiłam jej, że możecie tu przychodzić. Ten dom jest bezpieczny. Carolina, usiądź tutaj. Indiana, możesz zająć moje krzesło. O której wraca wasza mama?

-O szóstej - powiedziała Indiana. - Przyniesie kurczaka z KFC.

-Jej ulubiony - powiedział Nile, wskazując głową na Kenyę-Carolinę. - Dostanie go, bo ma dzisiaj urodziny.

-Urodziny? Ile masz lat?

-Siedem.

-No, a ja mam dwanaście razy siedem. To ile mam lat?

-Osiemdziesiąt cztery - rzucił Nile w mgnieniu oka. - Stara.

-Odważny i dobry z matematyki. Wygląda na to, że czeka cię wielka przyszłość, pod warunkiem że nie będziesz ruszał ustami, zanim uruchomisz mózgowicę.

Indiana zachichotała.

-Śmiesznie pani mówi.

-To się nazywa angielski, skarbie. Nie znam murzyńskiego slangu.

Leota położyła lukrowane ciasteczka w kształcie zwierzątek na ładnym porcelanowym talerzu. Nim zdążyła nalać mleko do trzech szklanek i postawić je na stole, ciasteczka zniknęły bez śladu. Tunisha-Indiana zostawiła dla niej trzy. Dzieci pani Wilson były dobrze wychowane. Mówiły dziękuję. Nawet Nile-Vermont, który odłożył już mokry ręcznik na bok. Do czasu, aż wróci jego mama, oko całkiem mu zniknie pod spuchniętą powieką.

Leota wzięła trzy ciastka z ręki Tunishy i dała każdemu z dzieci po jednym.

Paczka ciastek kosztowała trzy dolary i osiemdziesiąt dziewięć cen

tów. W promocji. Nic dziwnego, że Arba Wilson musi pracować tyle godzin. Ile wiader kurczaków ta biedna kobieta musi kupić, żeby wykarmić dorastające dzieci?

Do szóstej zostało jeszcze dwie i pół godziny. Zrezygnowana, Leota poszła do spizarni.

Dzieci nasyciły się dopiero, gdy zjadły dwie puszkę koktajlu owocowego, sześć pająk chleba i trzy plastry amerykańskiego sera. Leota przestała liczyć koszty. Prawdę mówiąc, cieszyło ją, że ma u siebie dzieci. Rozluźniły się i szczebiotały jak małe sroczki. Przeczynała, że teraz, kiedy już się posiliły, zaczną biegać jak nakręcone.

-Chcecie pooglądać telewizję? - Byle tylko siedziały cicho i spokojnie. I w domu, gdzie są bezpieczne.

Dzieci podążyły za nią do salonu. Niestety okazało się, że w telewizji nadają

głównie talk shows i opery mydlane.

-Szkoda, że nie mam żadnej książki dla dzieci. Poczytałabym wam.

-Ja mam książkę - powiedziała Tunisha. - Ze szkolnej biblioteki. Jest w

plecaku. - Zniknęła za irzwiami, nim Leota zdążyła ją zawołać. Zaniepokojona, że te zbiry mogą wciąż być w pobliżu, wyszła na werandę i czekała. Tunisha wbiegła na Dodjazd i skręciła za swój dom. Leota usłyszała rzask siatkowych drzwi. Po minucie drzwi trzasnęły znowu i dziewczynka biegła z powrotem książką w ręku.

Leota przyglądała się, jak mała wchodzi po chodach.

-Zamknęłaś tylne drzwi?

-Tak, proszę pani. - Zadyszana, podała Leocie ożyczoną książkę.

-O czym szumią wierzby. - Leota się uśmiechnęła. - No, ciekawe, ile zdążymy przeczytać, zanim wróci wasza mama.

Kilka minut po szóstej zadzwonił dzwonek u drzwi. Leota poczuła lekkie rozczarowanie. Matka ledwo przekroczyła próg, a dziewczynki już zasypały ją opowieściami o kłopotach na chodniku, ciastkach-zwierzątkach na przekąskę, koktajlu owocowym, chlebie i serze - oraz o przygodach Kreta. Arba próbowała je uciszyć i wyglądała na zakłopotaną. Co gorsza, także na przestraszoną. Ujęła Nilea za podbródek i obejrzała jego oko. Potem spojrzała na Leotę.

-Dziękuję, że pani zainterweniowała, pani Reinhardt. Mam nadzieję, że dzieci zbytnio nie przeszkadzały.

-Proszę mi mówić Leota. Dzieci zachowywały się bez zarzutu. - Gdy tylko zaczęła im czytać, ucichły jak myszki. Szkoda, że nie zdążyła dokończyć lektury. Czytanie sprawiało jej przyjemność. Zrezygnowana, wzięła jakiś druk reklamowy ze stolika, włożyła go między strony i zamknęła książkę.

-Nie zapomnij swojej książki, Indiana.

Tunisha ją wzięła i przytuliła do piersi.

-Poczyta nam pani jutro?

Arba Wilson się skrzywiła.

-Nie, Tuny. - Delikatnie pogłaskała córkę po starannie zaplecionych warkoczykach. - Pani Reinhardt ma ważniejsze sprawy na głowie.

-Niby jakie? - burknęła Leota.

Arba szeroko otworzyła oczy.

-Nie miałybyś nic przeciwko temu?

-Chętnie się dowiem, jak bajka się kończy.

Indiana promiennie uśmiechnęła się do Leoty, a potem do matki.

-Możemy, mamusiu? Proszę...

Carolina przytuliła się do matki.

-Dobrze? Możemy? Możemy?

-Mądra kobieta wie, kiedy zostaje pokonana. - Leota powstrzymała się od

uśmiechu. Jutro środa. Corban Solsek przyjdzie pomóc jej w zakupach. Powinna zrobić nową listę. Musi zgromadzić zapasy.

Annie wbiegła po schodach, otworzyła drzwi do mieszkania i rzuciła plecak na kanapę. Uśmiechnięta od ucha do ucha podniosła słuchawkę telefonu i wystukała numer do babci. Przemierzała pokój w tę i z powrotem, czekając, aż babci odbierze.

-Halo - usłyszała aksamitny głos.

-Babciu! Mam wspaniałe wieści!

-Wygrałaś na loterii i jedziesz na wycieczkę dookoła świata.

Annie się roześmiała.

-Lepiej. Mój profesor ma przyjaciela, który prowadzi galerię w San Francisco. Powieszają mój obraz.

-Powieszają?

-W tej galerii. Na ścianie. Na sprzedaż. To znaczy, mój obraz. Och, babciu, w życiu bym się nie spodziewała, że zdarzy mi się coś takiego!

-Na litość boską, a czemu nie? Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, widzi, że masz talent.

Annie ubóstwiała babcię.

-Nigdy nie widziałaś moich obrazów, babciu. Nie masz pojęcia, czy mam talent, czy nie.

-Oczywiście, że wiem. Nie muszę niczego oglądać, żeby wiedzieć. Masz to w genach. Twoja cioteczna prababka robiła też wspaniałe rysunki. Prababka Reinhardt haftowała jak artystka. A twoja mama, nim skończyła szesnaście lat, była mistrzynią igły.

-Mama? Żartujesz? - Nigdy nie widziała matki z igłą w ręku.

-Nie żartuję.

-Nie wiedziałam, że kiedyś szyła. - Jeśli w domu trzeba było coś zaszyć lub zacerować, mama wysyłała ubrania do reperacji.

-Oj, tak było. Zaczęła szyć sobie ubrania, jak miała trzynaście lat. Robiła cudowne rzeczy. Cho- Izła do najdroższych sklepów i patrzyła, co jest v modzie. Potem kupowała skrawki materiałów kopiowała fasony, dodając własne pomysły. A do ego wykańczała wszystkie szwy, tak jak to robią v ekskluzywnych sklepach. Miała wielki talent, labrała takiej wprawy, że wycinała własne wzory

bibuły, którą kupowała w tanich sklepach wie- obranżowych. - Babcia milczała przez kilka se- aind i dodała cicho. - Ciekawe, dlaczego prze- tała szyć.

Annie też się zastanawiała.

-Nigdy nie widziałam jej z igłą w ręku.

-Bardzo dziwne. Dlaczego przestała robić coś, o sprawiało jej taką przyjemność?

-Pewnie tego nie lubiła, babciu. - Prawdę mówiąc, Annie trudno byłoby znaleźć choć jedną secz, którą matka lubiła robić. Nawet zakupy yły dla niej męką. Wszystko w jej życiu zdawało ię ciężarem. Dlaczego?

-Eleonora spędzała całe godziny przy tej starej Laszynie do szycia na pedał, która stoi w sypialni

rzekła babcia. - Maszyna należała do babci

Reinhardt i służyła jej głównie do cerowania. Twoja prababcia nauczyła mamę ją obsługiwać. Zdaje się, że twoja mama właśnie tak zaczynała od reperowania naszych ubrań. Gdy skończyła szesnaście lat, zażyczyła sobie nową maszynę. Oddałabym wszystko, żeby jej taką kupić, ale wtedy nie było pieniędzy...

Babcia Leota ciągnęła długą opowieść, ale Annie lubiła te głośne wspomnienia z przeszłości. W ciągu ostatnich paru miesięcy Annie dowiedziała się o matce więcej niż przez wszystkie lata, gdy mieszkała z nią pod jednym dachem. Trudno było wyobrazić sobie Norę jako nastolatkę z zapałem projektującą własne ubrania.

-Zawsze mi się zdawało, że Eleonora dobrze się bawi przy tej prehistorycznej maszynie, ale przecież na mojej ocenie nie można polegać. Teraz już zrozumiałam, że nic o nikim nie wiem. Poza sobą oczywiście. - Wydała cichy odgłos, jakby chrząknięcie. - Ile będzie kosztować ten obraz?

-Obraz?

-Twój obraz w galerii. Zadzwońiaś, żeby mi o nim opowiedzieć. Ile za niego zażądata?

-Och... nie wiem, babciu. Byłam tak podekscytowana, że nawet nie pomyślałam, żeby zapytać.

-Jest szansa, żebyam go zobaczyła, zanim go sprzedasz?

-Mogę poprosić, żeby mi go oddali na kilka dni, i przyjechać z nim do ciebie w ten weekend. Jeśli nie masz innych planów.

-Nie mam, chyba że usuwanie włosków z górnej wargi można uznać za jakiś plan. Ale nie zabieraj obrazu. Sfotografuj go. Powinnaś założyć album ze zdjęciami swoich prac i notować, kto je kupuje. Aha, Annie, zanim zapomnę masz może u siebie jakieś książki dla dzieci?

-

-Mam pudło z rzeczami, które zabrałam z domu. Może coś się znajdzie. A o co chodzi?

-Dzieci Arby Wilson spędziły u mnie parę popołudni. Przychodzą po szkole, a ja im czytam. Zaczęły nawet przynosić prace domowe i odrabiają lekcje przy stoliku w kuchni. I przyprowadzają przyjaciół. Dwóch małych Meksykanów mieszkających o przecnicę dalej i Wietnamczyka z naprzeciwka. Nie mogę pamiętać ich imion. Nazywam ich Tom, Dick i Hariy.

-Czytasz sześciorgu dzieciom?

-Jestem już w połowie Robinsona Crusoe, ale nie wydają się specjalnie zainteresowane. Język jest dla nich zbyt staroświecki. Wczoraj Carolina przyniosła mi kilka książek. Opowiadania z dreszczykiem dla dzieci. Wyobrażasz sobie? W życiu nie widziałam takich paskudnych okładek. Nic dziwnego, że świat ogarnia szaleństwo.

-Zajrzę do biblioteki.

-Przynies cokolwiek, co skupi ich uwagę do czasu, aż wróci Arba. Nie chcę, żeby mi rozniosły dom. Teraz przynajmniej przychodzą z własnymi przekąskami. Pierwszego dnia myślałam, że ob- jedzą mnie do szczętu. Nigdy nie widziałam dzieci, które wrzucałyby w siebie tyle jedzenia co ta trójka małych Wilsonów.

Annie wyobraziła to sobie bez trudu. Troje dorastających dzieci z pewnością czuło głód po długim dniu spędzonym w szkole, a zasiłek babci starczał tylko na wyżywienie jej samej. Annie się uśmiechnęła, widząc w wyobraźni babcie czytającą

opowiadania szóstce dzieci poniżej dziewiątego roku życia. Trudne zadanie. Pomoże jej w tych literackich wysiłkach i przyniesie masło orzechowe, galaretkę i parę bochenków chleba. I kilka

litrów mleka. Może jeszcze torbę jabłek i ki bananów.

-Ja też mam dobre wieści - powiedziała babć Leota. - Barnaba już ładnie je.

Dzisiaj naw zrzucił kilka piór na podłogę. Ale wciąż ani pisa

-Wspaniale! Powiem Susan. Ucieszy się. Dzi ci go lubią?

-Zostawiają go w spokoju. Gdy któreś się d niego zbliży, ptak od razu otwiera dziób, gotow do ataku. Arba mówi na niego „Szczęki”. Słucha kochanie, lepiej już się rozłączmy. To cię kosztuj

-Tylko parę centów, babciu.

-Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka.

Annie uśmieła się w duchu i pokręciła głową.

-Do zobaczenia w sobotę rano, babciu.

-Tym razem nie w piątek? Czyżbyś miała randkę z tym Samem?

-Nie. Pracuję w restauracji.

-Szkoda. Taki miły młody człowiek. I przystojny.

Annie się roześmiała.

-I niebezpieczny. Kocham cię, babciu.

-Ja też cię kocham, skarbie.

Annie zadzwoniła do ojca przekazać mu dobr wieści, ale go nie zastała, więc zostawiła wiado mość Monice. Nie spodziewała się jednak, że co kolwiek mu powtórzy. Monika zawsze zapominała przekazywać wiadomości. Annie wystukała numer

do domu i rozłączyła się, nim telefon zdążył zadzwonić.

Przez chwilę siedziała ze słuchawką przyciśniętą do czoła, modląc się cicho, by matka choć raz ucieszyła się z tego, co dla niej stanowi radość. Zdawała sobie sprawę, że to niemałe oczekiwanie, ale chciała podzielić się dobrymi nowinami ze wszystkimi, których kocha. Poza tym gdyby ma

ma dowiedziała się od kogoś innego, byłby to dla niej kolejny powód do urazy.

Annie wzięła głęboki oddech, jeszcze raz wybrała numer i czekała, licząc dzwonki. Lekko dygotała, mając nadzieję - ten jeden raz - że rozmowa będzie przyjemna. Pewnego dnia matka będzie musiała zaakceptować fakt, że Annie nie jest już dzieckiem. Musi znaleźć swój sposób na życie.

Och, mamó, proszę, ten jeden raz...

-Rezydencja Gainesów.

-Mamo, tu Annie. Dzwonię, żeby ci powiedzieć wspaniałą nowinę.

-Jedyna dobra nowina, jaką chcę usłyszeć, to ta, że postanowiłaś być rozsądna i wrócić do domu.

To tylko utwierdziło Annie w jej postanowieniu.

-Jeden z moich obrazów będzie wystawiony galerii w San Francisco. Na sprzedaż.

-Jak do tego doszło? Annie się zawahała.

-No cóż, mój obraz zrobił tak duże wrażenie na oim profesorze, że pokazał go przyjacielowi.

-Jak miło. - Słyszac oschły głos matki, Annie ożałowała, że w ogóle zadzwoniła. - Ile lat ma ten ój profesor?

Do czego matka zmierza?

-Czterdzieści, czterdzieści pięć. Nie wiem. Ja- e to ma znaczenie, mamó?

-Tylko pomyśl, Anne-Lynn. Naprawdę sądzisz, obraz studentki pierwszego roku zostanie wyawiony

w galerii w San Francisco? Te galerie kazują płótna znanych artystów.

Wiem coś tym. Wystarczająco często kupowałam od nich razy do domu. Moim zdaniem

ten profesor cze- ś od ciebie chce i chyba domyślam się czego.

Annie nie zapytała. Podniecenie i radość, raze z upajającym poczuciem wiary w siebie, w jedn chwili zniknęły.

-On jest żonaty, mamó.

-Myślisz, że to coś zmienia?

-Ma udane małżeństwo.

-O, on ci tak powiedział? Jesteście już w takii zażyłości, że opowiada ci o własnym związku z żc ną?

-Dlaczego wszystko przekręcasz...

-Niczego nie przekręcam. Kiedyś też bylai młoda. Mężczyźni na wpływowych stanowiskac zawsze przystawiają się do głupich panienek, kto re robią wielkie oczy i nie potrafią rozsądnie myśl eć. Rusz głową, Anne-Lynn.

Annie otarła mokry policzek.

-Nic nie powiesz?

-A co byś chciała usłyszeć, mamó?

-Chcesz prawdy, czyż nie? Zawsze mówiłam c prawdę o wszystkim.

-Nie widziałaś mojego obrazu, a mimo to...

Matka westchnęła teatralnie.

-No tak, pewnie teraz zaczniesz się nad sob« użalać.

Coś w Annie pękło. Poczwała złość i żal.

-To zostawiam dla ciebie, mamó. - Rozłączyh się i odłożyła słuchawkę na widełki. Po paru se kundach telefon zadzwonił znowu. Annie go zignorowała.

Włączyła się automatyczna sekretarka.

-Przestań się dąsać i podnieś słuchawkę, Annie. Naprawdę mam już dość tej dziecinady... - Matka mówiła, dopóki nie skończył się czas na nagranie. Annie pochyliła się i wyłączyła sekretarkę. Telefon znowu zadzwonił. Dzwonił dziesięć

razy, potem przestał. Nie minęła minuta i rozzwonił się znowu. Tym razem piętnaście razy.

Kiedy wreszcie przestał, Annie usiadła i zapłakała. Trzeba cudu, żeby zbudowała z matką więź, o jakiej marzyła. Była już zmęczona walką.

Telefon rozbrzmiał ponownie. Matka nie da za wygraną, dopóki Annie nie odbierze. Annie wzięła marynarkę i wyszła.

Nora wpadła we wściekłość. Im dłużej telefon dzwonił, tym jej złość rosła. Jak Anne-Lynn śmie e odbierać? To wina Leoty. Gdy czekała, aż atka podniesie słuchawkę, paznokcie boleśnie biły się jej w prawą dłoń. Raz, dwa, trzy, cztery...

Usłyszała kliknięcie i nawet nie czekała, aż słyszy głos Leoty.

-Co powiedziałaś mojej córce, żeby ją zwrócić rzeciwko mnie?

-Proszę?

To był męski głos. Nora poczuła falę gorąca na arzy. Czyżby wybrała zły numer?

Rzuciła słu-awkę na widełki. Próbując się uspokoić, wzięła ęboki oddech i ponownie uważnie wcisnęła cyf- . Po pierwszym dzwonku odebrał ten sam męż- zna, tym razem ton jego głosu był agresywny. Kto mówi?

Czy to dom Leoty Reinhardt? Tak. Kto mówi? A kim pan jest?

Corban Solsek, jeśli to w ogóle pani sprawa, am panią o to samo. Jeszcze raz. o za impertynencja!

Nora Gaines. I to jest moja sprawa. Jestem ką Leoty Reinhardt.

Miło mi panią poznać. Proszę poczekać. Sprzę, czy Leota chce z panią rozmawiać.

Corban zakrył dłonią słuchawkę i Norze znó zrobiło się gorąco. Nic nie słyszała i zastanawiał się, co znaczy pauza, która minęła, nim matk podeszła do telefonu.

-Eleonora? Co się dzieje?

-Nie eleonoruj mi, mamó. Jakich kłamstw na opowiadałaś Anne-Lynn?

Na kilka sekund zapadła cisza.

-Nie opowiadałam żadnych kłamstw. O c ty mówisz?

-Ona mnie nienawidzi! O tym mówię.

-Nic podobnego, wcale cię nie nienawidzi.

-Owszem, nienawidzi mnie. I to twoja вина. Wiem o tym. Spędza z tobą cały czas i nigdy nie przyjeżdża do domu, w którym się na nią czeka.

-Ja także na nią czekam. Na ciebie także.

-Kłamstwo. Nigdy mnie nie chciałaś i tylko wykorzystujesz moją córkę, żeby mnie zranić!

-Wciąż ta sama śpiewka, Eleonoro? Jeśli tak, wyjaśnię ci raz na zawsze to bzdura!

Usłyszawszy reprimendę, Nora poczuła, że się mocno rumieni.

-Co powiedziałaś? - Tylko raz słyszała u matki ten chłodny, stalowy ton.

Wtedy był adresowany do babci Reinhardt.

-Słyszałaś mnie, Eleonoro. Powiedziałam bzdura! Powinnam była ci to powiedzieć dawno temu, zamiast pozwalać ci, żebyś się zachowywała jak rozpuszczony bachor. Jeśli chcesz zrozumieć to i owo, powinnaś przyjść na herbatę. Byłaś zapraszana dostatecznie często!

Na dźwięk odłożonej z trzaskiem słuchawki Nora drgnęła. Gapiła się w telefon.

Połączenie zostało przerwane. Nie mogła w to uwierzyć! Matka się rozłączyła.

Nigdy wcześniej tego nie robiła.

Chwycił ją strach.

Jak to jest być samotnym?

Jestem tutaj, umiłowana. Zwróć się do Mnie.

W głowie rozbrzmiewały jej sprzeczne głosy. Najpierw cały chór, perorujący, grmiący, rozniecający jej ból i gniew. A potem odzywał się ten jeden cichy głos, który kłuł sumienie, wprawiał ją w przykre zażenowanie, zmuszał do wołania

o pomoc.

Przyjdź do Mnie, umiłowana...

Kto ci kiedykolwiek pomógł? Głośniejszy głos stłumił ten poprzedni. Zawsze mogłaś polegać wyłącznie na sobie.

„To nie ja jestem winna”.

„Eleonoro - powiedziała jej kiedyś matka - pewnego dnia będziesz musiała przestać obwiniać wszystkich wokół”.

To wspomnienie wywołało łzy. Matka powiedziała tak w dniu, kiedy Nora przyszła jej powiedzieć, że Dean Gardner złożył pozew o rozwód.

Zacisnęła mocno powieki i przypomniała sobie pożegnalne słowa Deana „Jedyny dobry owoc naszego małżeństwa to Annie!” Odpłaciła mu się za to sąd poparł jej zarzuty o znęcanie się i wygrała sprawę o opiekę nad dzieckiem. Nora gorliwie pilnowała, żeby jej córka nie wyrosła na marzycielkę jak jej ojciec. Poświęciła się.

Skłamałaś.

Zrezygnowała z własnych marzeń...

Zemściłaś się.

Tak jak się mści twoja matka?

Kiedyś Leota stanęła w drzwiach do jej sypialni. Nora pamiętała, że była wtedy z jakiegoś powodu zła. Wstała od maszyny do szycia, podeszła i zatrzasnęła matce drzwi przed nosem. Wciąż pamiętała wyraz jej twarzy. Zdumienie, ból, konsternację.

Dlaczego te wspomnienia przychodzą teraz, gdy sama tak bardzo cierpi?

Żebyś wiedziała...

Wiedziała co? Że od lat między nią a matką nic się nie układa? Nie chciała słuchać głosu szepczącego jej, że się myli - nie tylko co do matki, ale we wszystkim. Ale ów głos stawał się wyraźniejszy niż jej własny był jak jednostajny deszcz padający na głowę, zmuszał ją, żeby poszukała schronienia przed nadchodzącą burzą.

-Gdybym miał taką córkę, wyrzekłbym się jej. - Na widok łez w oczach

staruszki Corban poczuł wzbierający gniew. Aż się trząsał z wściekłości. Gdyby Nora Gaines stała teraz na środku pokoju, powiedziałby jej bez ogródek, co o niej myśli. Miał na języku słowo, które pasowało do niej jak ulał.

-Nie osądzaj jej tak szybko. - Leota spojrzała na niego surowo.

Jak ona może jej bronić?

-A tak w ogóle o co jej chodzi?

-Uważa, że byłem kiepską matką. - Powiedziała to bardzo znużonym głosem. - I w pewnym sensie chyba ma rację.

Corban usiadł na kanapie i oparł się o nią plecami. Pomyślał o Ruth, która chciała przerwać ciążę. Jaka byłaby z niej matka, skoro tak bardzo nie chce dziecka, które w sobie nosi? Jego dziecka. Leota Reinhardt nie była taką matką, mógłby się założyć.

-Co takiego złego zrobiłaś?

-Pracowałam. - Leota zamknęła oczy i oparła głowę na fotelu. - A kiedy byłam w domu... - Umilkła.

Corban chciał jakoś podnieść ją na duchu, lecz żadne słowa nie przychodziły mu na myśl.

-Czy mógłbyś pójść do sklepu sam? - spytała cichym, drżącym głosem. - Nie czuję się dziś na siłach.

-Nie ma sprawy. - Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać.

Przypuszczał, że chce zostać na chwilę sama, bez świadka swego wstydu i smutku.

-Lista leży na blacie w kuchni. - Sięgnęła po torebkę wetkniętą do kieszeni fotela. Odpięła stary metalowy zatrzask i wyjęła portfel. Kiedy Corban wrócił z kuchni, wręczyła mu dwa banknoty dwudziestodolarowe. - Wystarczy?

-Powinno. - Włożył pieniądze do przedniej kieszeni dzinsów.

Otworzyła portfel na monety i wyjął z niego klucz do frontowych drzwi.

-Dorobiłam dwa dodatkowe. Jeden dla Annie, drugi dla ciebie.

Wziął go, w pełni zdając sobie sprawę, jakim obdarzyła go zaufaniem. Nigdy by

się nie spodziewał, że ten gest go tak wzruszy. Skinął głową i zacisnął klucz w pięści.

-Przypnij go do łańcuszka ze swoimi kluczami, zanim go zgubisz. - Leota zamknęła torebkę. Trzymała ją na kolanach, położywszy na wierzchu obie ręce. Corban wyjął z kieszeni pęk swoich kluczy i przypiął do nich nowy.

-Dasz sobie radę, Leoto?

-Nic mi nie będzie. - Potarła prawe ramię, akby ją bolało. - Jestem tylko trochę zmęczona, o wszystko.

-Niedługo wrócę.

-Nie spiesz się. A po drodze mógłbyś pomyśleć oś miłego o mojej córce.

-To nie będzie łatwe.

-Będzie łatwiejsze, jeśli sobie przypomnisz, że jest matką Annie, a Annie wyrosła na kogoś bardzo wyjątkowego.

Corban uśmiechnął się cierpko.

-Touche.

Pierwszy raz, odkąd zaczął przychodzić do Leoty jako wolontariusz, załatwiał jej sprawunki sam. Zgromadził wszystkie rzeczy z listy, przystając, by dotknąć i powąchać pomidora i postukać w melona - tak jak robiła to Leota. W drodze do kasy poczuł nagłą chęć, żeby kupić jej jakiś drobiazg. Dokładnie wiedział, co to ma być. Wrócił pomiędzy półki z towarami, dołożył do koszyka jedną rzecz i zapłacił za nią ze swoich pieniędzy.

Gdy wszedł do domu, Leoty nie było w salonie.

-Leoto? Gdzie jesteś? Dobrze się czujesz?

Otworzyły się drzwi łazienki ukazała mu się z mokrymi włosami wokół czoła i skroni.

-Nic mi nie jest. Właśnie myłam twarz. - Miała czerwone i podpuchnięte oczy.

-Schowam zakupy. - Poszedł do kuchni z dwiema pełnymi papierowymi torbami. Na jego ramieniu kołysała się plastikowa torebka z drobnym upominkiem.

Kiedy skończył wkładać jedzenie do lodówki i szafek, zwinął papierowe torby i starannie ułożył je w pudełku, które Leota trzymała na półce na tylnej werandzie. Do stojącego obok dwudziesto- litrowego garnka w białe i niebieskie kropki wetknął zwitek reklamówek. Leota lubiła wkładać do papierowych toreb, których używała na śmieci, „pieluszki”. „Dzięki temu nie przeciekają”. Ruth stroiła sobie z niego żarty, gdy zaczął to samo robić u siebie.

Corban pogmerał w kieszeni, wyjął paragon i resztę dla Leoty, po czym wziął

do ręki swój podarek.

-Reszta dla pani - rzekł ceremonialnie - oraz małe co nieco ode mnie. Skłonił się i podał jej niewielki kwiat zasadzony w ładnej porcelanowej filiżance na spodeczku. Uśmiechnął się, słysząc cichutkie słowa wyrażające zaskoczenie i radość.

Nie przeliczając reszty, Leota odłożyła pieniądze na stolik i wzięła od niego podarek. Filiżanka zagrzecotała i Leota postawiła ją delikatnie na kolanach.

-Ojej... fiołki afrykańskie. Dziękuję, Corbanie. ą śliczne.

-Cała przyjemność po mojej stronie, Leoto. To były najlepiej wydane pieniądze w jego życiu, odczuł przyjemne ciepło.

-Bernard też kiedyś dał mi fiołki. To było tak awno temu.

Gdy podniosła na niego oczy, dostrzegł w nich pojrzenie małej zagubionej dziewczynki. Zdziwi-

go to tak samo jak współczucie, które nim władnęło. Był bliski łez, a niezrozumiałe, spotę- owane nagle uczucia wprawiły go w zakłopotanie. To były niepożądane emocje. Być może bariej wiązały się z Ruth i dzieckiem. Ale cokolwiek wywołało, czuł ból Leoty. Nie potrafił od niego iec.

Nie mógł go obejść ani ominąć. Pierwszy raz życiu poczuł czyjąś mękę tak, jakby sam ją zeżywał. Słyszał, że ludzie umierają, gdy tracą dzieję, a zdawało się, że Leota właśnie traci dzieję na porozumienie z dziećmi. Gdyby nie nie, jej życie równie dobrze mogłoby się skoń- ć. Ręka jej drżała, gdy dotykała płatków piękch lawendowych kwiatów - a Corban cierpiał em z nią.

zy tak się czuje człowiek, gdy mu na kimś leży? Poczul się nieswojo. Poczul się słaby i nie

udolny. Co gorsza, nie wiedział, jak temu przeciwdziałać. Nie wiedział nawet, kiedy to się zaczęło. Jakiś miesiąc temu przestał myśleć o Leocie Reinhardt jako

o przypadku, który ma opisać w swojej pracy, a zaczął ją traktować jak przyjaciółkę. Zadziorną, bezpośrednią, zabawną, irytującą, enigmatyczną, prowokującą, ujmującą...

-Nie masz po południu zajęć? - spytała.

Zrobił smutną minę.

-O drugiej.

Spojrzała na zegar stojący na kominku.

-No to lepiej już ruszaj, bo się spóźnisz.

To tyle, jeśli idzie o miłe uczucia. Gdyby został, Leota zaczęłaby prawie kazania.

-Annie przyjeżdża w piątek? - Liczył na to. Leota zawsze się ożywiała w jej

towarzystwie... słodka, nieskomplikowana mała Annie. Ona potrafi postępować z ludźmi.

Odwrotnie niż Ruth. Ruth to głębokie, zdradliwe wody.

-W sobotę - odparła Leota. - W piątek pracuje.

-Może wpadnę.

-Może tym razem przyprowadzisz swoją dziewczynę? Chciałabym ją poznać. -

Leota wysunęła podbródek. - Jestem pewna, że Annie też.

-Zapytam ją.

-A przy okazji, jak ona ma na imię?

-Ruth. - Jakby potrzebował przypomnienia.

Kiedy Annie wróciła ze spaceru, Sam czekał pod blokiem, siedząc na schodach.

Poczuła gorąco od czubka głowy po koniuszki palców. Umówili się na szóstą.

Wstał, gdy podeszła bliżej.

-Oj, Sam, przepraszam! - Rozpląkała się, przez co poczuła się jeszcze bardziej zakłopotana.

-Hej, nie jestem zły. Tylko się martwiłem. Dobrze się czujesz?

Nie, nie czuła się dobrze. Była nieszczęśliwa.

-Dlaczego Susan cię nie wpuściła?

-Wpuściła, a potem poszła do pracy. Wyszedłem, żeby zabrać coś z samochodu

i drzwi się zatrzasnęły. - Podniósł bukiet kwiatów zawiniętych w celofan. Były

zwiędnięte.

Jak długo na nią czekał?

-Która godzina? - Szybkim ruchem otarła z policzków łzy i pogrzebała w

kieszeniach w poszukiwaniu kluczy.

-Wpół do dziewiątej.

-Och, Sam... - Otworzyła zamek i pchnięciem szeroko otworzyła drzwi.

Czemu tak długo czekałeś?

-Zgaduj, do trzech razy sztuka, a dwa pierwsze się nie liczą.

Spojrzała na niego przez ramię i napotkawszy jego wzrok, miała ochotę rozplakać się jeszcze bardziej. Sam nie skrywał głębi swoich uczuć. Bardzo go lubiła, ale nie potrafiła go przekonać, że Bóg ma dla niej inne plany.

-Jechałem aż z San Jose, Annie. Pracowałem po godzinach, oszczędzałem tygodniami, żeby móc cię zaprosić na wykwintną kolację do najlepszej restauracji. Co najmniej siedem dań. Pożyczyłem nawet od kolegi ten wspaniały garnitur. Przysięgam, że facet pozuje do magazynów mody. Kupiłem kwiaty, odpowiednie połączenie czerwonych, symbolizujących namiętność, i białych, oznaczających czystość, żebyś nie myślała, że chcę cię doprowadzić do zguby. Pomachał przed nią zwiotczalym bukietem. - Przychodzę, dzwonię do drzwi, serce podchodzi mi do gardła, i kogo zastaję? Moją siostrę. - Położył rękę na piersi.

-Całkiem o mnie zapomniałaś. Odniosłem śmiertelną ranę, Annie. Powinienem wystąpić o odszkodowanie.

-Przepraszam - powtórzyła jak zacięta płyta. Nie mogła przestać myśleć o matce. Panie, nie chcę się od niej odsunąć, ale tak trudno jest podążać Twoją drogą i jednocześnie ją zadowolić.

Sam ujął ją za podbródek i spojrzał na nią czule.

-Kiedy wreszcie przestaniesz obarczać się winą za wszystko, Annie? Żaden twój czyn nikogo nie odmieni. - Wyjął chusteczkę do nosa. - Proszę.

-Dzięki.

-Zawsze do usług. Zauważ, że na chusteczce jest monogram. Prezent gwiazdkowy od mamy. Zatrzymaj ją. Pomyślisz o mnie zawsze, gdy będziesz wycierać nos.

Annie się roześmiała. Nie mogła się powstrzymać.

-Tak lepiej. No, chodźmy na górę. Przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić po tym, jak wystawiłaś mnie do wiatru.

Otworzyła drzwi do mieszkania i wpuściła go.

-Umyję twarz, Sam. Czuj się jak u siebie.

Poszła do łazienki i odkręciła kurek. Pochyliła się, złączyła dłonie i kilka razy przemyła twarz zimną wodą. Po omacku sięgnęła po ręcznik i przycisnęła go do oczu. Zerknęła w lustro - po długim spacerze po plaży miała potargane od wiatru włosy. Odwiesiła ręcznik na miejsce i parę razy przeczesła palcami gęste jasnorude loki. Skrzywiła się, dała za wygraną i wróciła do salonu.

Złożona marynarka Sama leżała na wysokim stołku. Sam stał przy oknie z rękoma w kieszeniach.

-Zrobić ci kolację, Sam?

-Kolacja przyjedzie za czterdzieści pięć minut. Sałatka, bagietka, bakłazan z parmezanem. Może być?

-Uwielbiam bakłazany z parmezanem.

-Wiem. Susan mi powiedziała. - Odwrócił się twarzą do niej. - Więc powiesz mi, co się stało?

Znów przeczesła palcami włosy.

-Nic. Wszystko. - Głęboko odetchnęła i usadowiła się w wyściełanym fotelu. Podciągnęła kolana pod brodę. - To był najlepszy dzień w moim życiu. I jeden z najgorszych.

-Dzwoniła twoja matka.

Spojrzała na niego.

Oczy mu płonęły. Miał ściągnięte plecy. Annie wiedziała, że jego złość nie jest skierowana przeciwko niej.

-Nie wiem, jak z nią postępować - powiedziała cicho.

-Chętnie ci podpowiem.

-Och, wiem. - Oparła czoło na kolanach.

-Wszyscy doskołnale wiedzą, co powinnam zrobić. Kazać się jej odczepić. Zapomnieć o niej.

-Podniosła głowę i spojrzała na niego. - To moja mama, Sam. Kocham ją. Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego stała się taka.

-Żeby ją naprawić? - spytał beznamiętnym tonem. - Daj sobie spokój, Annie.
To robota na miarę Boga. - Podszedł bliżej. - Posłuchaj kogoś, kto był tak samo
egoistyczny, skupiony na sobie i destrukcyjny jak twoja matka. Im bardziej
będziesz się starać ją zmienić, tym gorszy będzie rezultat. - Zaśmiał się
sardonicznie. - Kochanie, moi rodzice musieli się poddać i wyrzucić mnie z domu,

zanim się opamiętałem. Nawet nie chcę myśleć, gdzie bym teraz był, gdyby nie mieli odwagi tego zrobić. Pewnie bym już nie żył.

Wiedziała, o czym Sam mówi. Przeżywała te czasy razem z rodziną Susan. Patrzyła, jak jego matka płacze, a ojciec, zdenerwowany i bezsilny, chodzi w tę i z powrotem po pokoju. Susan codziennie zdawała jej szczegółowy raport.

-Twoja rodzina modliła się za ciebie, Sam. Przez cały czas. Ja też się za ciebie modliłam.

Oczy mu zwilgotniały.

-Być może to wszystko, co możesz zrobić dla swojej matki. - Podszedł i usiadł na kanapie. Pochylił się, splatając dłonie między kolanami. - Musisz wyznaczyć granice, Annie, bo inaczej ludzie cię zniszczą. Nawet Jezus się bronił. Nie pozwolił, żeby ktokolwiek Mu przeszkodził robić to, co przyszedł zrobić. Musiał uciec od tabunów ludzi, którzy wciąż czegoś od Niego żądali. Myśleli, że mogą Mu mówić, czego potrzebują i chcą. Każdy miał swój plan. Zostawieni samym sobie, jesteśmy skazani na piekło. Nasze plany już od pierwszego oddechu stoją w opozycji do planów Boga. Pracować można tylko nad sobą.

Łzy znów napłynęły jej do oczu.

-Sam, ja to wiem. Dlatego odeszłam z domu. Wiedziałam, że jeśli zostanę choćby dzień dłużej, wszystko skończy się tym, że będę ciągle się poddawać i rezygnować z siebie. Gdybym się nie wyprowadziła, chodziłabym teraz do Wellesley, specjalizowała się w ekonomii czy naukach politycznych, dzięki czemu znalazłabym wspólny język z jakimś przyszłym dyrektorem generalnym czy senatorem. Zadowalałabym się marzeniami, które snuje dla mnie mama, i nie próbowałabym się dowiedzieć, jakie plany ma wobec mnie Bóg.

-Wstała z fotela. - Przypuszczam, że według większości ludzi popełniłam największy błąd w swoim życiu.

-Zrobiłaś, to, co musiałaś. Odeszłaś. Gdybyś teraz wróciła, przekonałabyś się, że nic się nie zmieniło. Nie da się zmienić ludzi, Annie.

-Moja głowa to wie, ale serce mi pęka za każdym razem, kiedy rozmawiam z mamą. Wiem, że robię dobrze. Nie chodzi tylko o bycie szczęśliwą. Mam pewność, że idę drogą, którą wyznaczył dla mnie Bóg. Nie wiem dokładnie, dokąd ona wie, ale czasem mam ochotę pobiec nią, bo u jej końca jest Jezus. Chciałam dzisiaj powiedzieć to mamie, ale ona by nie zrozumiała. Byłam taka podekscytowana tym, co się stało, ale ona nie potrafiła tego zrozumieć.

Sam oparł się plecami o kanapę.

-Raczej nie chciała.

-Nie potrafiła, nie chciała, co za różnica?

-Ogromna, i dobrze o tym wiesz.

Popatrzyła na niego przygnębiona.

-Mój obraz zostanie wystawiony na sprzedaż w znanej galerii. To jak potwierdzenie od Boga.

-Susan mi mówiła. Idziesz własną drogą, a twojej mamy to nie cieszy.

-Ona myśli, że profesor się do mnie przystawia.

Uniósł brwi.

-A przystawia się? - Uśmiechnął się do niej szerokim uśmiechem drapieżcy.

Zauważyłabyś,

gdyby tak było?

Uśmiechnęła się do niego sucho.

-Sam, gdy miałam dwanaście lat, wiedziałam już, że twoje libido działa na najwyższych obrotach.

Posłał jej szelmowski uśmiech.

-A ja wiedziałem, że byłaś we mnie poważnie zakochana.

Uwielbiał się z nią droczyć na ten temat. W tam tych czasach serce biło jej jak szalone, gdy tylko Sam był w pobliżu. Kiedy spoglądał w jej stronę choćby z najwyższą pogardą, cała dygotała w środku. Annie, ta nieznośna przyjaciółka jego młodszego siostry Susan. Wciąż nie czuła się swobodnie w jego towarzystwie.

-Dorosłam, Sam.

Westchnął teatralnie.

-Ach, stare dobre czasy, kiedy Annie Gardne do mnie wzdychała. Co rzucisz za siebie, znajdziesz przed sobą, jak to mówią. Teraz ja jestem w tobie poważnie zakochany, a ty o mnie całkiem zapomniałaś i kazałaś mi czekać bez końca pod swoim domem.

-Masz za swoje. W dawnych czasach byłeś mniej niż uprzejmy.

-Byłem głupi. - Wstał i w Annie zatrzepotało serce. Miała nadzieję, że nie zbliży się do niej. Nie teraz, kiedy czuje się taka bezbronna. Musiał wyczuć jej potrzebę dystansu, bo przystanął i przyjrzał jej się uważnie, a szatański uśmiech zniknął z jego twarzy.

-Gdzie zatem wisi ten obraz, który uczyni cię bogatą i sławną?

-Ani bogatą, ani sławną - odparła, wstając i idąc do kuchni. Podała mu nazwę galerii przy Union Square. Gdy zapytał o obraz, krótko go opisała.

Zadzwieczył domofon.

-Dzwonek cię uratował, co, Annie? - Bez wątpienia odgadł jej myśli. - Zajmę się tym. - Otworzył drzwi i wyszedł.

Annie otworzyła kuchenną szafkę i wyjęła z niej talerze i szklanki. Sztućce leżały w szufladzie.

Ponieważ w mieszkaniu nie było dużego stołu, nakryła ławę i z dwóch jej stron rzuciła poduszki, by mogli wygodnie usiąść na podłodze. Sam wrócił i wyłożył na talerze zawartość dwóch styropianowych pojemników, podczas gdy Annie nalewała do szklanek zimną wodę. Niewielkie mieszkanko szybko wypełniło się apetycznymi zapachami dobrej włoskiej kuchni. Wciągnęła cudowny aromat bazylii, pomidorów i czosnku.

-Cieszę się, że sobie nie poszedłeś, Sam.

-Droga do serca kobiety wiedzie przez żołądek.

Usiedli i Sam wyciągnął do niej rękę.

-Czy mam czynić honory?

Podała mu rękę i pochyliła głowę. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił,

delikatnie gładząc kciukiem wierzch jej dłoni, aż ciarki przeszły ją po ramionach.

-Panie, dziękujemy ci za tę strawę, którą będziemy spożywać. I, Ojczy, zachowaj moje myśli w czystości, dobrze? Otocz mnie ciernistym żywopłotem, jeśli bym choć sprawiał wrażenie, że mogę się nieodpowiednio zachować. - Uniósł głowę i wzruszył ramionami. - Uznałem, że tak na wszelki wypadek powinienem wspomnieć o tym Panu.

Czekała. Pochylił się lekko do przodu, patrząc na nią. Poczowała, że fala gorąca znów zalewa jej policzki. Odchrząknęła cicho.

-Rzecz w tym, żeby być posłusznym, Sam.

-Staram się - odparł cicho.

-Byłoby wygodniej, gdybyś mnie puścił. Inaczej nie będę mogła użyć widelca.

-Psujesz zabawę. A może położysz się na kanapie, a ja ci obiorę grejpfruta?

-Nigdy w życiu. - Rozluźnił uścisk na tyle, by mogła cofnąć ręce.

Jedzenie było pyszne, a towarzystwo - dokładnie tym, czego potrzebowała. Sam opowiedział, jak minął mu tydzień. Dzięki niemu poczuła się rozluźniona i znów zaczęła się śmiać.

-Przez ciebie dostałem bzika na punkcie wyprzedaży - rzekł smętnie. - Moje mieszkanie wygląda jak graciarnia, tyle w nim rupieci, które nazbierałem do ogrodu Leoty. Przepraszam. Dla mnie rupiecie, dla ciebie skarby. Z radością informuję, że zostałaś właścicielką starej taczki, balii, konewki i kolejnej kuli do kręgli do twojej powiększającej się kolekcji. Tym razem to zwykła czarna kula, ale rozglądam się za czymś wyjątkowym. Wszystko jest w moim samochodzie. Wczoraj zobaczyłem jeża. Nie mogłem się szkrabowi oprzeć.

-Jeża? - Śmiała się, zbierając naczynia i wynosząc je do kuchni.

-Tak, tak, nie przesłyszalaś się. - Wstał i poszedł za nią. - Wiesz, taki metalowy koleś ze szczotką na grzbiecie. Kładziesz go na werandzie i zeskrobujesz nim błoto z butów. Tak przynajmniej twierdził ten starszy pan. Sprzedał swój dom. Przeprowadza się do mniejszego. Kiedyś musiał być prezesem jakiejś firmy. Zna biznesowy żargon. Już prawie kupiłem ci czółno, ale nie zmieściło się do samochodu. Kosztowało tylko dziesięć dolców, bo na dnie była dziura, w której spokojnie zmieściłby się rekin. - Wziął ściereczkę do naczyń. - Ty zmywasz, ja wycieram.

-Pozmywam później. - Zabrała mu ścierekę i rzuciła na blat. - Wstrzymaj się już z zakupami, dobrze? Chyba że masz zamiar zatrzymać je dla siebie. Ile ci jestem winna za te łupy?

Uśmiechnął się, delikatnie gładząc ją palcem po policzku. Uszczypnęła go w ramię.

-Au! - Cofnął się zaskoczony. - Chciałem tylko zasugerować buziaka.

-W porządku. - Stała na czubkach palców i dała mu siostrzany całus w policzek. Poczwała, jak Sam chwyta ją w pasie, i oparła ręce na jego piersi.

Serce mu waliło.

-Sam - powiedziała, wstrzymując oddech. Odchylił się lekko do tyłu, ale nie pozwolił jej uciec. Oczy mu pociemniały.

-Nie bój się mnie, Annie. Nie gram na twoich uczuciach. Przysięgam, że nie.

-Nie boję się ciebie.

-Czegoś się boisz. - Czule objął dłońmi jej twarz. - Czy tego? - Pochylił się i pocałował ją. Był to najdelikatniejszy z pocałunków, niemal niewinnygdyby nie sposób, w jaki Sam na nią spojrział, kiedy się odsunął, i gdyby nie jej reakcja.

-Och, Annie. - Za drugim razem już się nie powstrzymał. Wplątał ręce w jej włosy, powiódł nimi wzdłuż pleców, popychając ją ku niebezpiecznej granicy... granicy, której nie powinna przekraczać.

-Sam, przestań. - Annie dygotała.

-Kocham cię.

-Jeśli mnie kochasz, to przestań.

-Annie...

Trzymała go na odległość dostatecznie mocno, by ją puścić. Kiedy sięgnął ręką do jej twarzy, zrobiła krok do tyłu i pokręciła głową.

-Powiedz, że niczego nie czujesz, Annie.

-Wiesz, że czuję.

-Możesz mi zaufać.

-Ufam Bogu, Sam, a to nie jest część Jego planu dla mnie.

-Skąd możesz to wiedzieć na pewno? Serce bije ci tak samo szybko jak mnie. Powiedz, że tak nie jest.

Jak mogła mu to wytłumaczyć, skoro sama siebie w pełni nie rozumiała?

-Tak łatwo byłoby ulec, Sam. O wszystkim na chwilę zapomnieć i pozwolić, by to się stało między nami. - Jak zdarzyło się tylu znajomym dziewczętom ze szkoły średniej. Przyjaciółkom, które żyły chwilą, myśląc, że nigdy nie poniosą konsekwencji. Dziewczynom, które przeżyły krótkie uniesienie i będą płacić za nie do końca życia. Ale nie tylko to. Chodziło o coś więcej, coś, czego nie potrafiła pojąć.

-Nie proszę cię, żebyś poszła ze mną do łóżka, Annie.

Czując gorąco napływające jej do twarzy, zaczęła się odwracać.

Sam ją powstrzymał, wyciągnął rękę i ujął ją za podbródek, odwracając jej

twarz w swoją stronę, tak by ich oczy się spotkały.

-Nie posunąłbym się tak daleko.

Lepiej być szczerym.

-Zrobiłbyś to niechcący.

Zajrzał jej uważnie w oczy. Przeniósł wzrok na jej usta zamknął powieki, po

czym cicho westchnął.

-Okej. Masz rację. - Otworzył oczy i patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Wciąż jednak się zastanawiam... -Jakby się otrząsnął. Odwrócił się, obszedł kuchenny kontuar i wziął swoją marynarkę z oparcia taboretu.

-W sobotę wieczorem podrzucę graty do twojej babci. Może być?

Coś ją ścisnęło w gardle.

-Sam...

-Nie waż się mówić, że ci przykro, Annie! - W oczach płonęło mu żarliwe

uczucie. - Jeśli to zrobisz, stracę cierpliwość i zaniosę cię prosto do sypialni...

Widziała, że cierpi i jest wzburzony. Dawny Sam walczył z nowym Samem. Przez kilka sekund w powietrzu czuć było napięcie, potem westchnął i uśmiechnął się autoironicznie.

-Miałaś rację, że włączyłaś hamulce. Gdybyś mi dała palec, chwyciłbym całą rękę.

Cicho zamknął za sobą drzwi.

Jeżu, daj mu siłę, modliła się Annie, i mnie też.

Kiedy rozległ się dzwonek u drzwi, Annie stał w babcinej kuchni. Nie mogła podbiec, by otworzyć, bo w obu rękach trzymała tace ze świeżo upieczonymi ciasteczkami.

-Już biegnę, babciu!

Zamknęła stopą piekarnik i rzuciła się w stronę blatu.

-Otworzę, kochanie.

Annie usłyszała dobiegające od wejścia głosy dzieci.

-Poczęstunek albo psikus!

Wychyliła się zza drzwi dokładnie w chwili, kiedy babcia uniosła do góry obydwie ręce i wrzasnęła. Zaśmiała się z udawanego przestachu babci, w pełni świadoma, że stojące na schodach duchy i gobliny ani trochę jej nie zdziwiły. Przez cały dzień obydwie przygotowywały się na przyjście dzieci.

Maluchy, zbite w gromadkę na schodach, chichotały.

-Skoro już zrobiłyście psikusa - rzekła babcia, otwierając siatkowe drzwi wejściowe na poczęstunek.

Annie usłyszała trzask zamykanych frontowych drzwi.

-Pachnie tu jak w niebie. - Arba stanęła w kuchennych drzwiach, podczas gdy z pokoju dobiegały podniecone głosy trajkoczących dzieci. - Jabłka w karmelu, prażona kukurydza, ciastka, gorąca czekolada. Zdaje się, że pomyślałaś o wszystkim, moja droga.

-Mam nadzieję - Annie uśmiechnęła się promiennie. - Możesz mi pomóc podawać. - Zsunęła ostatnie ciastka na kratkę.

-Nie ma potrzeby. - Arba przylgnęła do framugi, bo obok niej właśnie przeciskał się Nile, za nim ego siostry i Tom, Dick oraz Harry, czyli - jak zwały ich matki - Do Weon, Jorge i Raoul. Dzieci czekały, aż Annie skinęła głową i rzuciły się na akocie jak mrówki na kopczyk cukru.

-Nic tak jak Halloween nie wyzwala w dziełach chciwości - rzekła Arba. - Po południu adzwoniła koleżanka Tunishy. Jej rodzice zabra- i pełną furgonetkę dzieciaków na wzgórze, do zielnicy bogaczy. - Uśmiechnęła się sardonicznie. - Uznali, że tam się lepiej obłowią. Niektóre

ieciaki chodzą z poszwami na poduszki. Do- tają tyle słodczy, że starczyłoby na rok dla całej dziny.

-Cieszę się, że twoje dzieci postanowiły spędzić wieczór ze mną i z babcią Leotą.

-Cóż, przykro mi to mówić, ale nie obyło się z perswazji - powiedziała Arba

słodkim głosem. Ostrzegam cię, dziewczyno, chcą posłuchać historii o duchach. Tylko zacznij im opowiadać jakąś ładną bajeczkę dla białych, a zaczną psocić. Bar

o psocić. - W ciemnych oczach Arby zamigotały sołe ogniki. - A jest ich więcej niż nas.

nie przysunęła się do niej.

-Nie martw się, Arba. Mam historię, która bije na głowę wszystko, co widziały lub słyszały w telewizji czy w kinie. - Słyszała, jak babcia rozmawia w pokoju z innymi kobietami. Leota zawsze podnosiła głos, gdy rozmawiała z Juanitą Alcałą i Lin Sansan Ng, jakby dzięki temu lepiej rozumiały angielski.

Arba rozlała gorącą czekoladę do kubków i postawiła je na tacy. Annie skropiła je żelową pianką i zatrudniła dzieci do pomocy.

-Hej, dzieciaki. Weź serwetki, Nile. Raoul, ty przynieś tacę z jabłkami. Tunisha, weź ciastka, proszę. Jorge, na stole stoi plastikowy pojemnik z chusteczkami odświeżającymi. Weź go, a Kenya niech się zajmie tą miską z popcornem. Zaraz zacznie się opowieść. Szybko!

Babcia Leota usadowiła się wygodnie w swoim fotelu, a Juanita i Lin Sansan spoczęły na kanapie. Arba usiadła na wyściełanym krześle obok korytarza prowadzącego do łazienki i dwóch sypialń.

-Postawcie wszystkie smakołyki pod ręką. - Annie się uśmiechała, patrząc, jak dzieci spieszą się zająć miejsca. - Siadźcie blisko siebie, bo za chwilę zrobi się tu bardzo ciemno. - Oczekała, aż mała Kenya pędem wróciła do mamy i oparła się o jej kolana, po czym weszła do kuchni i zgasiła światło. Przesunęła się koło fotela babci Leoty i stanęła przed kominkiem. - Drogie panie, wyłączcie, proszę, lampy za wami.

Ciemność rozpraszało jedynie małe światełko z łazienki i blask latarń za oknem.

-Czy wszyscy są gotowi, żeby posłuchać prawdziwej historii?

-Z dreszczykiem? - Przejęty Nile patrzył na nią wielkimi oczyma.

-Opowiem wam, jak na świecie pojawiło się zło i kto je sprowadził. - Annie stanęła przed kominkiem. Na gzymsie stał rząd wydrążonych, nieza- palonych dyń. W kominku nie było ognia. Zapłonie później, gdy skończy się opowiadanie. Gdy przyjdzie czas najedzenie słodczy.

-Na początku, zanim została stworzona ziemia niebo, był tylko Bóg. Wszystko było bezkształtne. Nie było dnia ani nocy. Nie było słońca ani księży- a, ani gwiazd na niebie. Nie było kwiatów, drzew i ptaków. Nie było ryb ani zwierząt. Nie było dnych ludzi.

Wszystko tonęło w ciemności. Pa- ował bezruch i cisza. - Odczekała kilka sekund, zykoda, że dobiegały ich odgłosy autostrady. No ż. Ciszej już nie będzie. - I wtedy rzekł Bóg iechaj się stanie światłość!", i stała się świat- ść. - Annie zapaliła długą zapalkę i dotknęła nią ota świecy umieszczonej w pierwszej dyni. óg oddzielił światłość od ciemności i stworzył eń i noc. Oddzielił wody, tak że powstały morza tmosfera wokół ziemi. Przemówił, i wody się hęły, pojawił się suchy ląd i powstały góry. orzył słońce, księżyc i gwiazdy, byśmy mieli roku i znaki na niebie, które będą nam ć, że dzieje się coś bardzo ważnego, omień przeświecał przez wycięte w dyni słoń- sięzyc i gwiazdy.

Bóg przemówił znowu, i pojawiły się drzewa owe i wszelka roślinność. Przemówił, i ocea- rpełniły się żywymi stworzeniami, począwszy aleńkiego planktonu, aż po wielkie morskie ory, które zamieszkują najgłębsze partie oce- Przemówił, i na ziemi pojawiły się zwierzęta ysy i niedźwiedzie, króliki i myszy, słonie żurki, żaby, koniki polne i mrówki. I wszyst- ło dobre, doskonałe i piękne.

Zapaliła kolejną dynię, w której wycięte byłj zwierzęta, ryby i ptaki. Wyglądały tak, jakby biegały, pływały i latały wkoło.

-Kiedy wszystko było już gotowe, kiedy roślin wytwarzały powietrze do oddychania, a zwierzęta, ptaki i ryby poruszały się i wydawały dźwięki, Pan się schylił, wziął grudkę ziemi i ulepił mężczyznę Stworzył go na swój obraz i podobieństwo, a po tem tchnął w jego nozdrza oddech życia. Umieścił mężczyznę w przygotowanym wcześniej ogrodzie. Bóg przyprowadził wszystkie zwierzęta, które stworzył przed człowiekiem, i pozwolił mu je nazwać. Należały do człowieka tak sauno, jak wy należycie do swoich mam i tatusiów, którzy nadali wam imiona. Ale nigdzie nie było odpowiedniej istoty, która mogłaby pomagać mężczyźnie, więc Pam uspił człowieka. Wyjął z jego boku żebro i stworzył mu kobietę. Była kością z jego kości i ciałem z jego ciała, i byli dla siebie doskonali.

Zapaliła trzecią dynię i dzieciom ukazał się mężczyzna i kobieta trzymający się za ręce.

-Mężczyzna miał na imię Adam, a jego żona miała na imię Ewa i żyli razem z Bogiem w Rajskim Ogrodzie. Życie było doskonałe.

-Co w tym straszego? - zachnął się z niesmakiem Nile. - Słyszałem to setki razy w szkółce niedzielnej. To nudy!

Annie przykucnęła. Ciągnęła dalej ściszym głosem.

-Bóg stworzył też inne istoty, zwane aniołami, serafinami i cherubami. Miały służyć Panu Bogu, wielbić Go i czcić, a także pomagać wszystkim mężczyznom i kobietom, którzy wyjdą z ciała Adama i Ewy. Jeden z aniołów był bardzo piękny. Tak naprawdę był najpiękniejszy ze wszystkich stworzeń, które Bóg powołał do życia. Nazywał się Lucyfer, pysznił się swoją urodą i pomyślał, że jest tak samo dobry jak Bóg. Co więcej, pomyślał, że on też powinien mieć moc Boga. Wszczął więc w niebie wojnę i Bóg go wypędził razem z innymi aniołami, którzy stanęli po jego stronie. I tak jedna trzecia aniołów spadła z nieba na ziemię.

Annie zapaliła następną dynię i zaświeciły się upadające anioły.

-Wciąż tu są. I wciąż prowadzą wojnę z Bogiem. Lucyfer występuje też pod innymi imionami. Strasznymi imionami. To imiona, które znacie, i których się boicie Szatan, Belzebub, Wąż Starodawny. A jego pomocnicy to... demony.

Spłoszona Kenya czmychnęła do mamy i oparła się o jej krzesło. Arba poklepała ją po ramieniu.

-Szatan pod postacią węża wślizgnął się do ogrodu, który Bóg stworzył dla Adama i Ewy. I wąż przemówił do Ewy w te słowa „Czy Bóg zakazał wam jeść z któregoś z drzew w tym ogrodzie?” Bóg powiedział wcześniej Adamowi i Ewie, że mogą jeść owoce ze wszystkich drzew prócz jednego drzewa wiadomości dobrego i złego. Ewa spieszyła się pytaniem Szatana i odpowiedziała mu, że Bóg pozwolił im jeść ze wszystkich drzew oprócz tego jednego, którego nie mogli nawet dotykać, boby umarli. Wtedy zły wąż rzekł „Na pewno nie umrzecie”. Okłamał Ewę, mówiąc, że jeśli zje owoc tego drzewa, stanie się taka jak Bóg. Ewa uznała, że to brzmi cudownie, więc poszła przyjrzeć się drzewu. Było bardzo piękne, tak jak wszystko w ogrodzie Boga, a ona chciała posiąść coś, czego jeszcze nie miała. Wyciągnęła więc rękę i zjadła zakazany owoc.

-Była głupia - odezwał się Nile.

Annie obróciła dynię, pokazując dzieciom rozświetlone blaskiem świecy kształty wycięte po

drugiej stronie - kobietę, która podaje coś mężczyźnie.

-Potem dała owoc swojemu mężowi i on też go zjadł. Adam wiedział, że nie

powinien tego robić, a jednak go zjadł i przez ten jeden grzech nieposłuszeństwa na świecie pojawił się grzech, a wraz z nim śmierć.

Leota obserwowała twarze dzieci wpatrzonych w Annie splatającą biblijne historie w jeden długi strumień Bożej miłości. Annie zmieniała ton głosu, przybierała różne miny i robiła teatralne gesty, tchnąc w opowieści życie. Maluchy słuchały jej w wielkim skupieniu.

-Szatan jest prawdziwy? - W migdałowych oczach małego Hariyego tliła się niepewność.

Annie poważnie skinęła głową.

-Tak, jest prawdziwy. Nic nie zmyślam, Do Weon. To wszystko prawda. Szatan nie jest rogatym diabłem z widłami, ubranym w czerwony strój. To prawdziwy duch, błąka się po świecie jak ryczący lew, który szuka kogoś na pożarcie. Pomagają mu demony. Szatan jest ojcem kłamstw i mordercą. Nic dobrego od niego nie wychodzi.

Lin Sansan wyglądała na strapioną, a biedna mała Kim, jej córka, była gotowa się rozplakać. Wstała z podłogi i wdrapała się matce na kolana. Lin Sansan zerknęła na Juanitę, Arbę, a potem na Leotę, wyraźnie niepewna, co robić zostać i słuchać dalej, czy wyjść. Leota domyśliła się, że kobieta tylko z grzeczności nie ruszyła się z miejsca. Wyglądała na bardzo nieśmiałą i chyba wolała nie zwracać na siebie uwagi. Siedziała więc, przyciskając do siebie córkę, i słuchała, jak Annie opowiada o rzeczach, które wyraźnie ją przerażały. Do Weon pochylił się do przodu

-Co się stało, kiedy Bóg się dowiedział?

-Był bardzo smutny i bardzo się rozgniewał. Ale wciąż kochał Adama i Ewę. Więc uczynił pierwszą ofiarę z krwi. Zabił zwierzę i z jego skóry zrobił Adamowi i Ewie ubranie. Potem kazał im opuścić Ogród. Od tego czasu ludzie muszą cięż

o pracować. Istnieje cierpienie i smutek. Boimy się. W różny sposób ranimy się nawzajem. Jesteś- y dokładnie tacy, jak Adam i Ewa. Mamy teraz zeszłą naturę. Chociaż wiemy, co jest dobre, zasami postępujemy źle. A żeby zostać grzeszikiem, wystarczy popełnić jeden mały grzech. Po TO, co zrobili, Adam i Ewa nie mogli już przeby- ac z Bogiem, nie tak jak wtedy w Ogródzie, gdy óg przychodził i rozmawiał z nimi twarzą twarz.

Kim mocniej przytuliła się do mamy.

-Czy Bóg nas nienawidzi?

-Och, nie, kochanie. Bóg nie przestał kochać Adama i Ewy i nas także kocha. Jest naszym ojcem i bardzo chce, żebyśmy do Niego wrócili, óg od samego początku wiedział, że będziemy

konkować złych wyborów. Opracował więc plan, dać nam drogę powrotu do siebie.

Obiecał to Adamowi i Ewie, po tym, jak zgrzeszyli. Miał nam słać Mesjasza.

Leota była zachwycona sposobem, w jaki Annie TOówiła słowo „mesjasz”. W jej ustach za- zmiało ono tajemniczo i niezwykle. Zachęcone zez Annie, dzieci powtórzyły za nią, naśladowując ton Mesjasz. Zegar wybił siódmą, ale żadne zięci tego nie zauważyło. Przysunęły się bliżej, chając opowieści o Kainie, który zamordował ojego brata, Abła... o tym, jak zło szerzyło się świecie, aż Bóg postanowił zniszczyć wszyst

kich prócz Noego i jego rodziny. Annie opowiedziała im o Abrahamie i jego synach, potem o Józefie w Egipcie. Dzieci wysłuchały w ciszy historii

O Mojżeszu, wyzwoleniu Izraelitów i nadaniu Prawa.

-Prawo było dobre, doskonałe i dane przez Boga, ale stanowiło też ogromne brzemie. Ludzie go potrzebowali, żeby znowu nauczyć się posłuszeństwa wobec Boga, ale mężczyźni, kobiety

i dzieci nie mogli przestrzegać wszystkich nakazów i zakazów. Praw było tak dużo, dotyczyły tylu rzeczy, że nikt, ani jeden człowiek nie potrafił

przestrzegać ich wszystkich. Niektórzy się tym nie przejmowali, ale inni chcieli zadowolić Boga. Problem tkwił w tym, że kiedy człowiek złamał jedno prawo, stawał się grzesznikiem. A karą za grzech jest...

-Śmierć - powiedziały dzieci, gdy Annie wskazała na zapaloną właśnie dynię z wyciętą czaszką i skrzyżowanymi kośćmi.

-I ludzie zawołali „O Panie, kiedy przyjdzie Mesjasz?” - Uśmiechnęła się do dzieci. - Powiedzcie razem ze mną...

-O Panie, kiedy przyjdzie Mesjasz? - powtórzyły dzieci, wiodąc wzrokiem za palcem Annie, którym wskazała kolejną dynię z postacią człowieka wznoszącego ręce ku niebu.

-Minęły setki lat i przez świat przetoczyły się straszliwe wojny, klęski głodu i susze. Śmierć i Szatan nigdy nie biorą urlopu. Ludzie najpierw żyli

zgodnie z prawami i starali się być dobrzy, ale potem o nich zapominali i stawali się bardzo, bardzo źli. Bóg posłał więc mężczyzn zwanych prorokami, żeby wzywali ludzi z powrotem do Niego. Jestem Twoim Ojcem, Kocham cię. Chodź do mnie. Chodź do mnie. Czasami ludzie słuchali proroków i żalowali za swoje grzechy. A jeśli tego nie robili, przychodzili do nich wrogowie, wyciągali ich z domów i brali w niewolę. I wtedy ludzie znowu wołali.

-O Panie, kiedy przyjdzie Mesjasz?

Tym razem nawet Lin Sansan, Arba i Juanita powtórzyły słowa razem z dziećmi.

-Minęło tysiąc lat. I jeszcze tysiąc. I jeszcze więcej. Kiedy Bóg uznał, że nadszedł właściwy czas, posłał do młodej dziewczyny, Marii, anioła, który miał na imię Gabriel. Powiedział jej, że będzie miała dziecko, i że to dziecko będzie jedynym zrodzonym z Boga Synem, Jezusem, Mesjaszem.

-Co znaczy zrodzony? - Kim wpatrywała się w Annie, bezpieczna w objęciach matki.

-To znaczy, że Bóg chciał, żeby Maria urodziła Jego dziecko. Nie inny mężczyzna, ale sam Bóg miał być Ojcem Jezusa. Maria też nie bardzo to rozumiała, Kim. Zapytała Gabriela, jak może mieć dziecko, skoro nigdy nie była z mężczyzną, Gabriel zaś odrzekł jej, że sam Bóg, Duch Święty, zstąpi na nią i Maria zajdzie w ciążę. I tak też się stało. Bóg wszystkiego dopilnował, nawet znalazł Marii pobożnego męża o imieniu Józef. Józef był cieślą.

Leota oparła głowę na podglówku fotela i zamknęła oczy. Była wyczerpana. Może dlatego, że pomagała Annie wyłobić tyle dyń, a może zmęczyło ją podniecenie na myśl, że dom zapełni się ludźmi. Mimo to przyjemnie było gościć w domu tyle dzieci. Kiedy Eleonora i George byli mali, inne dzieci rzadko tu zaglądały. Mama Reinhardt nigdy do tego nie zachęcała, uważając, że wystarczy jej opieka nad dwojgiem malców. A Leota marzyła o takim domu. Pełnym przyjaciół i sąsiadów.

-Kiedy Józef i Maria dotarli do Betlejem, Maria była już gotowa urodzić Jezusa - ciągnęła Annie

-Nie mogli znaleźć noclegu. W końcu musiały pójść do stajenki prawdopodobnie

była to jaka grota na wzgórzach za miastem. Maria i Józef by tak biedni, że gdy narodził się Jezus, mogli G tylko owinąć w jakieś szmatki i ułożyć na siani w żłobie dla zwierzątek.

Annie zapaliła następną dynię.

-Ale gdy tylko Jezus przyszedł na świat, stał się coś zdumiewającego. Na niebie zaświeciła no wa gwiazda. Był to znak od Boga, który stworzył wszystko we wszechświecie, że nareszcie przysłż Mesjasza. Niestety niewielu ludzi zauważyło t gwiazdę. Być może siedzieli w domach i nie zwra cali na nic uwagi. Ale dostrzegli ją badacz gwiazd. Niektórzy nawet za nią podążyli, od razi wyjechali ze swoich krajów. Wiedzieli bowiem, ż gwiazda to znak, iż urodził się ktoś bardzo ważn

-jakiś król albo bóg - i chcieli go odszuka i oddać mu cześć. Nie wiedzieli, że Jezus jes królem królów i Bogiem, jedynym Bogiem, tym który stworzył wszystko, co było, jest i będzie...

Leota odchyliła się do tyłu, wsłuchana w gło Annie mówiącej o wizycie anioła,

o królu Herodzi mordującym niemowlęta, o ucieczce Marii i Józe fa do Egiptu...
Egipt. Kraina smutku.

-Z Egiptu Bóg wezwał Mesjasza.

Czy Egipt to tylko kraj, Panie? A może stai umysłu? Jak długo przebywałam w Egipcie, nin zesłałeś Annie, by mnie przeprowadziła prze morze wylanych nad sobą łez do ziemi obiecanej Mam już tak wiele, Jezu. Czasem aż jestem zmę czona tymi wszystkimi dziećmi w domu. A jednał wciąż pragnę czegoś więcej. Chcę, żeby przyszh

do mnie moje dzieci. Czy właśnie tak się czujesz od zarania dziejów? Chcę zawołać Eleonorę i Georgea, i płaczę. Czemu są tacy uparci? Dlaczego nie zwróca się ku mnie? Dlaczego nie szukają prawdy?

Czasami - choć przyznawała to z niechęcią - Leota wolałaby w ogóle nie mieć dzieci. Czy Ty też czasem tak się czujesz, Panie? A jednak gdybym nie miała Eleonory, w moim życiu nie pojawiłaby się teraz ta słodka, czysta jak kryształ dziewczyna. Nie siedziałabym tu, słuchając Twojej historii, nieustannie opowiadanej ustami kogoś, kto Cię wielbi. Byłabym całkiem sama i czekałabym na śmierć. Może cały smutek wart był krótkich, ale jakże cennych chwil. Leota ma córkę, która nią gardzi, lecz z tej córki wyszła wnuczka, która stała się jej oczkiem w głowie, pociechą na stare lata.

Tylko na jak długo, Panie? Ona jest taka młoda, taka piękna. Widziałam, jak Sam na nią patrzy. Nawet w oczach Corbana zaczął się pojawiać ten błysk, choć on ma inną dziewczynę. Kiedy Annie znudzi się staruszką, która z dnia na dzień staje się coraz bardziej niedołączna?

-Wszyscy krzyknęli „Ukrzyżować Go!” - Leota drgnęła, usłyszawszy podniesiony głos Annie. - Uczniowie, lękając się o swoje życie, uciekli. Żydowski przywódca bali się, że utracą wpływowe stanowiska. Lud żydowski był zawiedziony, bo Jezus nie był Mesjaszem-wojownikiem, jakiego się spodziewali. Rzymianie zaś obawiali się, że utracą panowanie nad światem, który podbili. Za wszelką cenę chcieli utrzymać pokój, nawet jeśli miało to oznaczać zabicie niewinnego człowieka. Wszyscy brali w tym udział. Nawet wy i ja, choć nas tam nie było. Grzeszymy tak samo, jak grze³⁹¹

szyli oni. Gdy Jezus zmarł tego dnia na krzyżu, Szatan pewnie myślał, że wygrał tę bitwę. Musiał świętować, kiedy ciało Jezusa zdjęto i zanieśiono do grobu. Jezus był młody, miał tylko trzydzieści trzy lata i nie było przygotowanego dla Niego grobowca. Trzeba Go było pochować w cudzym grobie. A ci, którzy Go kochali, stracili wszelką nadzieję. Ukryli się i płakali. O, Szatan bez wątpienia tańczył na grobie Jezusa.

Leota zamknęła powieki, by odegnąć łzy, które nagle się pojawiły. Czy właśnie to mnie spotkało, Panie? Straciłam nadzieję? Straciłam jasny obraz tego, kim jesteś? Przestałam wierzyć, że mnie kochasz i że spełnią się wszystkie Twoje obietnice? Czułam się opuszczona, ale czy to znaczy, że byłam opuszczona? Spoglądam teraz na Annie i wiem, że słyszałaś każdą moją modlitwę. Choć na wiele z nich nie odpowiedziałaś. Przynajmniej jeśli idzie o Eleonorę. Ale z drugiej strony zdaje się, że moja córka ma prawo decydować, jak żyć.

Panie, dlaczego rzuciłaś na nas klątwę wolnej woli? Czemu nie powaliłaś Adama i Ewy i nie zaczęłaś wszystkiego od nowa z inną, doskonałą parą? A może wszystko skończyłoby się tak samo? Wygląda na to, że zawsze dokonujemy złych wyborów, a potem musimy żyć w nieszczęściu. Staralam się robić to, co było słuszne. Tak było, Panie. Ty wiesz, jak bardzo się starałam. Czy się myliłam? Jeśli miałam rację, to dlaczego moje dzieci tego nie dostrzegają? A jeśli się myliłam, czemu sama tego nie widzę?

Stary zegar na kominku wybił wpół do dziewiątej. Annie odgrywała scenę lamentu, udając starego proroka i przemawiając głosem pełnym nieutulonego żalu

-Kiedy, o Panie, kiedy ześlesz nam Zbawiciela?

Leota zawtórowała jej w sercu. Wiem, że jesteś Zbawicielem, Panie. Ale wróg

jest taki silny. Tnie moją zbroję, szuka szczerb, przez które zdoła wbić ognistą strzałę, znowu chce mnie strącić w otchłań rozpacz. Rozerwał moją rodzinę na kawałki, nim zdążyłam się zorientować, a gdy wreszcie zdałam sobie z tego sprawę, serca moich bliskich stwardniały tak bardzo, że nie potrafiłam się do nich przebić. Może gdyby walczyła zacieklej, dłużej... ale cierpiała, była zła i wycofała się jak pies liżący swoje rany. Jak uczniowie - zanim Bóg natchnął ich Duchem Świętym. O Boże, daj mi pewność, że powinnam powiedzieć prawdę! Może gdyby znali powody moich decyzji, okazałoby współczucie. Eleonora tkwi w pajęczynie kłamstw. A ja mam już dość, śmiertelnie dość wzajemnych oskarżeń. To Bernard powinien był wszystko wyjaśnić, ale za bardzo się wstydził. A może to duma kazała mu milczeć, Panie? Czy to właśnie ona krępuje nas bardziej niż kajdany? Przekłęta duma. Zwłaszcza moja.

-Jezus zmartwychwstał! - głos Annie tchnął radosnym podnieceniem i dzieci zaklaskały w ręce. - Śmierć nie mogła zatrzymać Go w grobie. Szatan i jego demony nie potrafili Go zniszczyć. Zmartwychwstał! I żyje do dziś! Kto wierzy w Jezusa, nigdy nie zginie, ale będzie w Nim żyć wiecznie. Ci, którzy w Niego wierzą, porzucą swoje ciała i dołączą do Niego w raj. Śmierć, wielka przygoda. Łatwo o niej myśleć młodym, którzy mają przed sobą jeszcze wiele lat życia. Zdaje im się, że mają mnóstwo czasu. Czują się nieśmiertelni. Leota odwróciła twarz. Śmierć zbliżała się z każdym dniem. Czowała, jak nadchodzi. Czasami serce waliło jej ze strachu.

393

Kiedy indziej czuła się zupełnie pogodzona ze śmiercią. Oczywiście w żaden sposób nie da się jej powstrzymać. To, co nieznanne, niepokoje dobrze jest znać obietnice, ale niepewność wciąż pozostaje. Jak to będzie umrzeć?

Przypomniały jej się czasy, kiedy była w ciąży z Georgeem. Znała nieuchronny koniec będzie miała dziecko. Nie było odwrotu. Mknęła w rozpędzonym pociągu.

Czekanie i zastanawianie się nad końcową stacją tej podróży napawało ją lękiem. Bernard jej przypominał, że nim poczęło się ich dziecko, na świat przyszły miliony innych. Co to za pociecha? Ona nie miała wcześniej dziecka. Czy będzie strasznie cierpieć, krzyczeć i zrobi z siebie pośmiewisko? Czy umrze?

Teraz, na stare lata, czas pędzi do przodu i jest tak samo. Może którejś nocy położy się w swoim łóżku, a następnego ranka zbudzi się gdzie indziej? Czy to będzie przyjemne? Umrzeć we śnie, bez świadomości tego, co się dzieje.

Wiedziała jednak, że łatwa śmierć nie jest jej pisana. Przeczowała to. Czy ostrzegał ją o tym coraz dotkliwszy ból? A może tak się kończą lata stracone na czekaniu, pielęgnowaniu nadziei? Miała przeczucie, że Bóg postawi ją z kostuchą twarzą w twarz.

Wróciła myślami do tego dnia, kiedy po raz pierwszy podano jej Georgea. O, jak bardzo bolały ją piersi podczas tych pierwszych tygodni, gdy go karmiła i gdy nawiązywała się między nimi więź. Już na sam dźwięk płaczu syna mleko zaczynało jej płynąć. Przytulała go do siebie i patrzyła, jak te małe usteczka pracują, wysysając pokarm z jej ciała. Tak samo było z Eleonorą. Leota uwielbiała stroić córkę i chwalić się nią światu. Zanim Bernard poszedł na wojnę, rano zwykle przynosili dzieci do swojego łóżka. Wszyscy się śmiali, bawili, tulili do siebie.

„Papa potrzebuje twojej pomocy”, napisał Bernard. Czy postąpiłaby inaczej, gdyby wiedziała, jak te cztery słowa odmienią jej życie?

Chciałam postąpić słusznie, Panie. Poszłam tam w różowych okularach, sądząc, że będziemy razem pracować dla wspólnego dobra.

„Mamusi! Mamusi!”

Głos rozbrzmiewał tak samo wyraźnie, jak w dniu, kiedy Leota go usłyszała. To krzyczała Eleonora, próbując się wyrwać z objęć Mamy Reinhardt. Wyciągała do Leoty swoje małe rączki, oczy miała szeroko otwarte ze strachu. Mama Reinhardt mocno trzymała Eleonorę i rzucała piorunujące spojrzenia. Powiedziała coś po niemiecku. Leota nigdy się nie dowiedziała, co znaczyły te słowa, lecz

spojrzenie teściowej wystarczyło, by zamilkła, ratując dumę Papy.

„Wrócę wieczorem, Eleonoro. Babcia Reinhardt się tobą zajmie”. W uszach wciąż rozbrzmiewał jej płacz córki.

„Mamusiu!”

Myślała, że pęknie jej serce. Tego ranka - i każdego następnego przez miesiąc

-Leota przez całą drogę do pracy płakała.

-Babciu? - Delikatna dłoń pogłaskała ją po włosach. Leota otworzyła oczy. Świeciła się lampa. Pokój był pusty.

Leota zmieniła pozycję w fotelu.

-Nie ma dzieci. - O Boże, straciłam je. Straciłam je lata temu, a wydaje mi się, jakby to było wczoraj.

-Tak. Wyszły jakąś godzinę temu. Jutro przyjdą podziękować. Wieczór chyba był udany. Jak myślisz, babciu?

395

Łzy przesłoniły jej oczy mgłą.

-Wszystko przegapiłam. - Przegapiłam wszystkie ważne rzeczy w ich życiu, bo musiałam pracować. Musiałam dbać o to, żebyśmy mieli dach nad głową i chleb na stole. Przegapiłam ich szkolne przedstawienia, mecze baseballowe i wieczorki z rodzicami. Nie dyżurowałam podczas szkolnych potańcówek, nie siedziałam na widowni podczas koncertów zespołu, nie stałam na rogu ulicy, by je oglądać podczas parady. Nie obserwowałam, jak dorastają. Och, Ojczy, wszystko przegapiłam.

Poświęciłaś się z miłości do nich.

Annie uklękła obok babci i wzięła ją za rękę.

-Dobrze się czujesz, babciu?

-Brakuje mi dzieci - powiedziała zdławionym głosem.

-Przyjdą jutro.

-Tak bardzo mi ich brak...

Annie wyglądała na bardzo zatroskaną. Leota się na siebie rozzłościła. Pewnie

gada jak obłąkana starucha. Lepiej milczeć, niż martwić ukochaną wnuczkę sprawami, których dziewczyna nie potrafi zmienić. Lepiej zepchnąć ból głęboko do środka i trzymać go w ukryciu. Któż chciałby przebywać z osobą, która tylko jęczy i boleje nad przeszłością? Tylko że ból czał się tuż pod powierzchnią. I miała przed sobą tak mało czasu.

Dostatecznie dużo, żeby znów została sama. Dostatecznie dużo, żeby porzucono ją ten ostatni raz.

Wstała z westchnieniem.

-No, skoro ucięłam sobie drzemkę, to teraz chyba przetransportuję te stare kości do łóżka. - Uniosła oparcie fotela do pionu i pozwoliła Annie, by pomogła jej wstać. - Już dobrze, kochanie. Dam sobie radę. Do zobaczenia rano. - Wsparła się ciężko na lasce, którą Annie jej podała, i starała się nie krzywić z bólu, krocząc powoli w stronę korytarza prowadzącego do łazienki i sypialni.

-Babciu? - Annie podeszła do niej. Wzięła ją w ramiona i długo trzymała w objęciach. Gdy się cofnęła, w oczach miała łzy. - Kocham cię, babciu. Wiesz o tym, prawda? Bardzo, bardzo cię kocham.

Słowa jak słodki balsam. Leota z wdzięcznością otuliła dłońmi policzki Annie i długo patrzyła jej w oczy.

-Ja też cię kocham, mój skarbie.

-Przepraszam, że nie przyjechałam wcześniej.

Leota wiedziała, co wnuczka ma na myśli.

-Bóg cię do mnie przysłał w odpowiednim czasie. - Pocałowała ją w policzek.

-Wszystko się ułoży, babciu. Wiem to. Bóg nas nie zawiedzie.

-Nie, nie zawiedzie. - Leota chciała odwzajemnić się Annie taką samą pociechą, jaką od niej dostała. Annie musi wiedzieć, że dzięki jej słowom poczuła się lepiej i że wiara babki jest wystarczająco silna, by przetrzymać wszystko, co przyniesie los. Leota naprawdę wierzyła, że Bóg jej nie zawiedzie. Będąc w łazience, przebierając się i gdy wślizgiwała się do łóżka, mocno trzymała się tej obietnicy. Potem zapadł mrok i w jej sercu pojawiły się

wątpliwości, a kiedy spojrzała prawdzie w oczy, wezbrały w niej dawne smutki.

Bóg nigdy nie zawodzi.

Ale ludzie tak.

Corban wszedł do mieszkania i zdumiał się, dlaczego wszystkie światła są wyłączone. Gdzie jest Ruth? Wieczorem o tej porze zawsze była w domu. Pstryknął włącznik, przeszedł przez pokój i postawił plecak koło komputera. Musi sporo przeczytać, żeby nadrobić zaległości. Tak bardzo skupił się na pisaniu od nowa swojej pracy o opiece nad starszymi, że zaniedbał się z filozofii. Przez następny tydzień będzie musiał więcej pracować i uczyć się dłużej w nocy, żeby nadgonić z materiałem.

Wydało mu się, że słyszy ciche miauczenie kota - dźwięk dochodził z sypialni. Zmarszczył brew, podszedł do drzwi pokoju i zajrzał do środka. Smuga światła z salonu oświetliła leżącą w łóżku postać.

-Ruth? - Zapalił lampę.

-Wyłącz światło! - powiedziała przez łzy. - Wyłącz...

Zrobił to, o co prosiła.

-Co się stało? Jesteś chora? - Wszedł do sypialni i usiadł na brzegu ich wspólnego łóżka. Kiedy dotknął jej stopy, ze szlochem podciągnęła obydwie nogi do piersi. - Ruth? Co się stało? - Ogarnął go strach. - Chodzi o dziecko?

-Nie ma żadnego dziecka - wykrztusiła.

Ścisnęło go w żołądku, aż poczuł ból.

-Czy ty... poroniłaś? - wycedził z walącym sercem.

Mocniej otuliła się kocem.

-Mówiłam ci, że nie mogę go urodzić, Cory. Mówiłam ci, ale nie chciałeś słuchać rozsądnych argumentów.

Powoli wstał z łóżka i cofnął się o krok.

Ruth zaczęła łkać.

-Okłamali mnie. Mówili, że nie będzie bolało. Bolało tak bardzo, że zemdlalam. Kiedy się ocknęłam, leżałam w pokoju z sześcioma kobietami. Poprosiłam o jakiś środek przeciwbólowy, ale jedna z nich powiedziała, że to kosztuje dodatkowe pięćdziesiąt dolarów. Wyobrażasz sobie, że można być tak niewrażliwym?

Wszystko się w nim zagotowało. Musi wyjść z pokoju. Musi od niej odejść. Wszedł do salonu i stanął, mocno zaciskając powieki. Miał ochotę coś roztrzaskać. Słyszał Ruth. To już nie było ciche łkanie, lecz głośny, dławiący, pełen bólu szloch. Dlaczego płakała? Z powodu dziecka, które zabiła? Czy z żalu nad sobą, bo nie poszło tak łatwo, jak się spodziewała? - Cory, potrzebuję cię.

Chwycił marynarkę, wyszedł z domu i zatrzasnął za sobą drzwi. Ruszył wzdłuż ulicy, minął bar kawowy, w którym lubił spotykać się z przyjaciółmi. Ktoś zawołał go po imieniu, ale Corban szedł dalej. Było mu wszystko jedno, dokąd

idzie. Chciał biec. Chciał uciec od Ruth Coldwell jak aj dalej.

Dotarł do kampusu. Minął budynki, w których d trzech lat miał zajęcia. Zobaczył stadion, ob- zedł go dokoła i wspiął się na wzgórze Tightwad ci, których nie stać było na bilety, oglądali stąd niwersyteckie mecze piłki nożnej. Wycieńczony i przybity, przystanął, by popat- zeć w dal ponad Berkeley, przez Zatokę, aż na an Francisco. Światła miasta wyglądały pięknie, ocne powietrze było rześkie i czyste. Mimo to zuł, jak pod powiekami wzbierają mu łzy, a gard- zaciska się i pali. Gdzieś tam mieszka Annie. Chciałby móc do niej zadzwonić i porozmawiać z nią. Chciałby pytać, co powinien teraz zrobić. Gdyby zrobił , co chodziło mu po głowie, aresztowaliby go awlekli do więzienia. Ukucnął i przeczesał pal- i włosy. Dlaczego Ruth to zrobiła? Przecież

obiecał, że się nią zaopiekuje. Powiedział, że jakoś sobie poradzą. Splótł ciasno dłonie na karku, zamknął oczy i pochylił głowę.

-Jezu - wyszeptał. Nie wiedział, co więcej powiedzieć. Jeszcze kilka tygodni temu uważał, że kobietom należy się w tej sprawie wolność wyboru. Zabawne, jak szybko wszystko się może zmienić. Wtedy nie rozumiał, co to znaczy nie mieć żadnego wpływu na to, czy jego własny potomek ma prawo żyć, czy nie. „Mam prawo do własnego życia”, powiedziała kiedyś Ruth. Nawet kosztem życia jego dziecka?

Przywołał w pamięci wszystkie filozoficzne dyskusje, które prowadził w ciągu ostatnich lat. W żadnej nie znalazł pociechy.

-Jezu - wyszeptał raz jeszcze i zapłakał.

Kiedy Corban otworzył drzwi, Ruth leżała na kanapie owinięta w koc.

-Gdzie byłeś? - Bacznie mu się przyjrzała.

-Na spacerze.

-Jest jedenasta. Nie było cię cztery godziny. - Miała bladą twarz i zapuchnięte od płaczu oczy. Włosy z jednej strony głowy zmierzwiły jej się, jakby przez większość czasu leżała skulona w pozycji embrionalnej, tak jak ją zostawił. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

-Musiałem pomyśleć.

-Zdaje ci się, że ja o tym nie myślałam? Od tygodni nic innego nie robiłam.

Musiałam to zrobić, Cory. Postaraj się zrozumieć!

-Staram się, ale wolałbym teraz o tym nie mówić, jeśli nie masz nic przeciwko.

Odwróciła twarz i nerwowo przełknęła ślinę.

-Zbyt ciężko pracowałam, żeby wszystko zaprzepaścić, Cory. - W jej oczach lśniły łzy. - Ty też.

Choćby wypłakała cały ocean łez, nie wzruszy ego serca. Nie teraz.

-Mam prawo do własnego życia. - Podciągnęła oc. - I ty też. Jedno z nas musiałoby zrezyg- ować z marzeń. Wiedziałam, że ostatecznie to ym była ja. Zawsze tak jest. Kobieta musi zrezywować

ze wszystkiego.

-To właśnie powiedziały ci przyjaciółki? Ja rezygnowałbym z wielu rzeczy rzekł zduszonym osem.

-I nigdy nie dałbyś mi o tym zapomnieć, prawda?

-Znaleźlibyśmy jakieś rozwiązanie.

-Nie w tym życiu. Gorycz przerodziła się w gniew.

-Nawet nie próbowałaś się przekonać. Nie musiałam czekać. Wiedziałam, co by się o. Zawsze tak się dzieje z kobietami. Kilka
esięcy temu zgadzałeś się ze mną. Myliłem się.

żwignęła się do pozycji siedzącej i czekała, ban wiedział, że chciała, by
spojrzał jej arz, ale nie potrafił się na to zdobyć. Ruth oli odetchnęła.

Nie mogę tego cofnąć, Cory, nawet gdybym iała. Jest już za późno.

opilnowała tego. Jego dziecko nie żyje. Teraz rzał na nią z odrazą i dostrzegł
malujące się ej twarzy emocje wstyd, żal, konsternację paczliwe błaganie. Ukryła
twarz w dłoniach w zapłakała. Poczul litość. Kim on jest, żeby ć kamieniem? Czyż
jeszcze kilka tygodni nie opowiadał się za aborcją? stchnął ciężko, przyjmując
na siebie swój w winie, i podszedł do niej.

-Przykro mi, Ruth.

Przykro mi, że zrobiłaś tę straszliwą rzecz. Przykro mi, że moje dziecko nie
żyje. Przykro mi, że oboje będziemy musieli żyć ze świadomością tego, co
zrobiłaś.

Dotknął jej włosów i usiadł obok na kanapie.

-Powinienem być cię bardziej wspierać. - Może gdyby spędzał z nią więcej

czasu, robił plany na wspólną przyszłość, zamiast myśleć tylko o zajęciach...

-Byłoby łatwiej - powiedziała, zrozumiałszy go całkiem opacznie. Odwróciła się do niego twarzą i płacząc, wczepiła się palcami w jego koszulę. Całym sobą czuł, jak się trzęsie.

Musiał się zmusić, żeby ją objąć i pocieszyć.

-Anne-Lynn zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem i oznajmiła, że zamierza wyprawić Święto Dziękczynienia w Oakland - powiedziała Nora, nalewając Fredowi kawę. - Chce spędzić święta z moją matką zamiast z własną rodziną. - Stawiając filiżankę, stuknęła mocno o blat stołu, zła, że Fred nie podniósł oczu z nad gazety. - Słyszałeś, co powiedziałam?

-Słyszałem, Noro. Już o tym wiem.

-Jak to wiesz?

-Annie dzwoniła w zeszłą środę i wspomniała mi o tym. Uznałem, że to dobry pomysł.

Nora zawrzała.

-A gdzie ja wtedy byłam?

-Na zakupach, o ile pamiętam. - Opuścił gazetę, by spojrzeć Norze w oczy. Mówiłaś, że w tym roku chcesz wcześniej zacząć przygotowania do ?azdki.

Teraz sobie przypomniała. Kupiła dla córki charową garsonkę. Kosztowała trzysta dolarów, nie licząc dodatków - butów, torebki, apaszki i złotej roszki z perłami, które również nabyła. Wyob- ażała sobie, jak zachwycająco Anne-Lynn będzie

wyglądać w tym komplecie. Teraz miała ochotę oddać wszystko do sklepu! Czemu miałyby cokolwiek dawać Anne-Lynn, skoro ta niewdzięczna łobuziara zdradza ją na każdym kroku?

Wpatrywała się w gazetę, którą Fred zasłonił się jak tarczą.

-Dlaczego nic mi wcześniej o tym nie wspomniałeś? - Miała ochotę wyrwać mu tę gazetę z ręki i podrzeć ją na strzępy.

Fred westchnął, raptownie złożył gazetę i spojrzał na Norę, marszcząc z irytacji brwi.

-Bo Annie powiedziała, że do ciebie zadzwoni i sama z tobą porozmawia, co właśnie uczyniła. - Mówił przez zaciśnięte usta. - Poza tym nie mam zamiaru mieszać się w ten idiotyczny konflikt między tobą, twoją córką i matką.

-Idiotyczny? - Pohamowała się, żeby nie krzyknąć. - Przydałoby się, żebyś okazał mi trochę wsparcia, Fred. - Była dumna z zimnego tembru swego głosu.

-To ty wypowiedziałaś wojnę, Noro, na długo, zanim ja się pojawiłem na tym terytorium. Postanowiłem zachować neutralność.

-Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że trzymasz stronę Anne-Lynn. Albo mojej matki.

Rzucił gazetę na stół, tak jak rzuca się rękawicę. W oczach zapaliły mu się iskry.

-Co jest złego w tym, że Annie urządza w tym roku Święto Dziękczynienia u twojej matki? To akt dobroci.

-Dobroci? Naprawdę tak myślisz? - Zaśmiała się łamiącym się głosem. - Ona doskonale zdaje sobie sprawę, że chcę wyprawić święto tutaj, w naszym domu. Moja matka też to wie.

-Dlaczego? Żebyś znowu mogła narzekać, ile pracy cię to kosztuje i że nikt tego nie docenia?

A może po to, żeby kolejny raz wykluczyć matkę?

Wstrzymała oddech, policzki jej rozgorzały.

-Moja matka może przyjść, jeśli będzie chciała.

-Co za wspaniałomyślność - odparł sucho.

-To nie fair! Zapraszałam ją wcześniej. To ona zawsze woli trzymać się z dala.

-Z tego co wiem, twoja matka nie ma prawa jazdy. Czyżby coś się zmieniło? Czy choć raz zaproponowałaś, że po nią przyjedziesz albo zorganizujesz jej transport?

Przeszedł ją zimny dreszcz.

-Może sobie sama zorganizować transport.

Fred pokręcił głową, spoglądając na żonę ze smutkiem.

-Michael traktuje cię tak samo, jak ty swoją matkę. Pomyślałaś o tym

kiedyś, Noro? Dobrze go tego nauczyłaś, prawda?

Łzy napłynęły jej do oczu.

-Michael mnie kocha.

-Jakoś nikt tego nie zauważa.

-Jak możesz mówić takie okrutne rzeczy!

-Drgnęły jej mięśnie twarzy.

-Jesteśmy małżeństwem od pięciu lat, Noro, i ani razu nie słyszałem, żebyś powiedziała o matce chociaż jedno dobre słowo. A po tych paru razach, kiedy miałem okazję się spotkać z Leotą, uważam, że jest urocza.

-Tak, urocza. Tyle że urok bywa zwodniczy.

-A piękno próżne. - Wstał. - Idę do pracy.

-Zdjął z oparcia krzesła marynarkę i wziął do ręki teczkę. - Gdy już ustalisz z Annie, gdzie odbędzie się Święto Dziękczynienia, daj mi znać, stawię się na miejscu. Chyba że nie będę zaproszony.

Nora powstrzymała łzy oburzenia.

-Może po prostu wyjadę na weekend i spędzę święta sama! Wszyscy byliby

zadowoleni, prawda

-To jest jakaś myśl. - Wyszedł z pokoju, nawet na nią nie spojrzawszy.

Struchlała. Czy rzeczywiście rodzina byłaby szczęśliwsza, gdyby wyjechała i

zostawiła ich samych, żeby mogli świętować jak i z kim chcą?

Święto Dziękczynienia u jej matki! Święto Dziękczynienia w ciasnym przedwojennym domu oto czonym przez podupadające budynki w centrum dzielnicy kolorowych. Po prostu świetnie! Nora wzięła ze stołu filiżankę Freda i zaniósła ją do zlewu, opłukała i wstawiła do zmywarki. Odkręciła wodę, żeby spłukać resztki kawy. Co Anne Lynn wie o nadziewaniu i pieczeniu indyka? Nic. W Święto Dziękczynienia Nora kazała jej tylko chodzić do kwiaciarni po stroik, nakrywać do stołu i później pomagać przy zmywaniu naczyń. W zeszłym roku na obiad przyszedł George z rodziną. Jeanne, jego żona, przyniosła dwa ciasta własnej roboty: placek z dyni i leguminę. Nie były zbyt dobre, Nora z pewnością upiekłaby lepsze. Ich smak poprawiła bita śmietana, którą nałożyła na każdy kawałek. Annie przez większość dnia zajmowała się małą Mitzi i Marshalllem, a Jeanne tylko przeszkadzała Norze w kuchni. George i Fred, jak to mężczyźni, nawet nie kiwnęli palcem, żeby pomóc. Byli zbyt zajęci oglądaniem meczu w telewizji.

Anne-Lynn przyrządzi świąteczny obiad! To będzie prawdziwe fiasko!

Słowa Freda poruszyły jej sumienie. To prawda, że nigdy nie pomyślała, jak matka ma tu dojechać. Ale przecież George też mógłby wpaść do niej tym swoim luksusowym mercedesem i ją zabrać. Czy Nora wszystko musi robić sama? O ileż lepiej byłoby wyprawić Święto Dziękczynienia tutaj.

Wiedziała, że rozmowa z Anne-Lynn na nic się nie zda. Podniosła słuchawkę telefonu, wybrała numer do matki i czekała, wdychając głęboko powietrze, żeby się uspokoić.

-Halo?

-Mamo, tu Nora. Uważam, że będzie o wiele lepiej, jeśli w tym roku znów urządzę świąteczny obiad u siebie. Oczywiście jesteś zaproszona.

-Przepraszam, źle panią słyszę.

-Może słyszałabyś lepiej, gdybyś wyłączyła telewizor!

-Cokolwiek pani sprzedaje, ja tego nie kupię. - Rozłączyła się.

Nora ze świstem wypuściła powietrze. Już drugi raz w rozmowie z nią matka odwiesiła słuchawkę. Czyżby oprócz słuchu traciła również rozum? Ponownie wybrała numer, starając się zapanować nad sobą.

-Mamo, tu Nora!

-Eleonora? Oj, witaj, kochanie. Jak się miewasz?

Nora zacisnęła zęby. Czy matka używa tego imienia tylko po to, żeby ją wyprowadzić z równowagi?

-Dzwonię w sprawie Święta Dziękczynienia.

-Aha, Annie i ja będziemy zachwycone, jeśli przyjdiesz.

-Nie powiedziałam...

-Będzie cudownie! Jak za starych dobrych czasów! Annie już wszystko zaplanowała.

Stare czasy? Co dobrego jest w obchodzeniu świąt jak za dawnych lat?

-Uamol wtzajizic otAsA N m-oim. domu.

Nastąpiła pauza.

-W takim razie mamy problem, prawda? Może przyjedziesz i o tym porozmawiamy?

-Nie chcę tam przyjeżdżać.

-Wiem. Nigdy nie chcesz przyjechać. Dlaczego, Eleonoro?

-Myślę, że wiesz.

-Może przyjedziesz i mi to powiesz?

-Dlaczego wszystko utrudniasz? - wykrzyknęła.

-Nie pożyję już długo, Eleonoro. Zmęczyło mnie czekanie, aż nasze stosunki się poprawią. Przekroczyłam osiemdziesiątkę i nie czuję się najlepiej. Chciałabym, żebyśmy wyjaśniły sobie parę spraw, zanim odejdę.

-Ja niczego nie potrzebuję wyjaśniać. - Czyżby chciała rozgrzeszenia? Nic z tego! - Poza tym dożyjesz setki. - Nie potrafiła ukryć goryczy w głosie. Gdy matka nic nie odpowiedziała, Nora zmarszczyła brwi, poirytowana ukłuciem wstydu, który poczuła. Powróciły do niej słowa Freda, dręcząc ją i wprawiając w gniew „Michael traktuje cię tak samo, jak ty swoją matkę”. Dlaczego teraz jej się przypomniały? I dlaczego ma poczucie winy, skoro to matka przerzuciła opiekę nad dziećmi na innych, a sama postanowiła pracować? - Mamo, bądź rozsądna. Wiesz dobrze, że u ciebie jest za mało miejsca, żeby urządzić świąteczny obiad.

-Przyjedź, to porozmawiamy.

-Mam lepsze rzeczy do roboty, niż kłócić się z tobą.

-Zrób więc, jak uważasz, ale jeśli tego nie omówimy, Annie spędzi Święto Dziękczynienia tutaj. Będzie nam ciebie brakowało. - Połączenie znów zostało przerwane.

Nora zaklęła i z trzaskiem odłożyła słuchawkę na widełki.

-W porządku, mamo. Sama tego chciałaś. Przyjadę. I powiem ci, co o tym wszystkim myślę!

Leota zapomniała, że jest środa. Pewnie nie zdecydowałyby się rozzłościć Eleonory, gdyby pamiętała, że Corban przyjdzie zrobić z nią zakupy. Przypomniała sobie o tym dopiero w chwili, gdy zadzwonił do drzwi i zobaczyła go przez firankę.

-Ojej - była zła na siebie.

Eleonora zaraz przyjedzie stoczyć bitwę.

Na szczęście Corban nauczył się dostatecznie długo czekać, aż Leota wstanie z fotela i dojdzie do drzwi. Już miała go przeprosić i odesłać z powrotem do domu, ale zauważyła jego minę.

-Co z tobą?

-Nic.

-Czy ktoś umarł? - Otworzyła siatkowe drzwi i wpuściła go do środka.

-Wszystko w porządku, Leoto.

-Chyba wiesz, że nie powinieneś mnie okłamywać. Myślałam, że porozumieliśmy się w tej kwestii dawno temu. - Wyglądał, jakby nie spał od czasu ich ostatniego spotkania. Był blady, miał cienie pod oczyma i był bardziej spięty niż kiedykolwiek przedtem.

-Nie chcę o tym rozmawiać - odparł. - Odpowiada?

-Wyraźny znak, że trzeba o tym porozmawiać.

-Daj sobie spokój, Leoto. Nie jestem dziś w nastroju. Idziemy na zakupy czy nie?

-Zapomniałam, że dziś środa.

-Mam przyjść kiedy indziej?

-Nie. Potrzebuję paru rzeczy na Święto Dziękczynienia. - Nie mogła wyjść, ryzykując, że Eleonora zjawi się podczas jej nieobecności, a nie chciała też odsyłać Corbana do domu w chwili, gdy wyraźnie potrzebował zrzucić ciężar z serca, choć może sam nie zdawał sobie z tego sprawy. - Spiszę listę i dam ci pieniądze. Zrobisz dla mnie zakupy?

-W porządku.

-Masz jeszcze klucz do mojego domu?

-Tak. Na pewno chcesz, żebym go zatrzymał?

-Chyba mogę ci zaufać, że nie wrócisz tu ciemną nocą, żeby mnie obrabować. Poza tym to środek bezpieczeństwa. Może kiedyś się przewrócę, a ty nie będziesz

mógł wejść, żeby mnie podnieść z podłogi, co wtedy?

Nie rozbawiło go to.

Nora stanęła przed drzwiami Leoty pół godziny po wyjściu Corbana do sklepu.
O Panie, Panie, pomóż mi przebić się do mojej córki. Pomóż mi...

Leota podeszła do drzwi.

-Witaj, Eleonoro. Cieszę się, że udało ci się przyjechać.

-Miałam jakiś wybór? - odpowiedziała, zanim Leota zdążyła odsunąć zasuwkę.

-Mogliśmy to załatwić przez telefon. - Weszła do domu. Nie spojrzała Leocie w oczy, tylko rozejrzała się po pokoju. Twarz jej się ściągnęła, jak gdyby wszystko w tym pomieszczeniu przywoływało niemiłe wspomnienia. Zauważyła Barnabę i skrzywiła się.
-Papuga?

-Lora tęczowa, jak twierdzi Annie. Barnaba należy do Susan Carter, ale przeżył załamanie nerwowe i potrzebuje ciszy i spokoju. Ten ptak kosztował pięćset dolarów. Dasz wiarę? Susan dostała go od jakiegoś policjanta. Usiądź, proszę, zaparzę kawę.

-Nie chcę kawy.

-Herbaty?

-Ani herbaty, ani wody, ani niczego. Nie mam czasu.

Leota usiadła w fotelu. Popatrzyła na córkę siedzącą na brzegu kanapy. Nora

była ubrana w eleganckie szare spodnie, białą jedwabną bluzkę i tweedową marynarkę w kolorze antracytu. Miała złote kolczyki i naszyjnik oraz ciemnoszare skórzane czółenka z brązową wstawką dopasowaną do torebki, której nie zdjęła z ramienia. Dłonie z idealnie wypielęgnowanymi paznokciami pomalowanymi czerwonym lakierem zacisnęła wokół kolan.

Jedno fałszywe słowo. Tylko tyle wystarczy, żeby córka się naburmuszyła, wstała i odeszła.

-Miło cię widzieć, kochanie. Obcięłaś włosy.

-Były krótsze, sięgały tuż za ucho i układały się w delikatne, utrwalone lakierem loki.

-Pewnie ci się nie podobają.

-Bardzo mi się podobają. Ładnie okalają ci twarz. - Jej córka zawsze miała doskonałe wycucie stylu.

-Dziękuję - Eleonora zrobiła kwaśną minę.

-Przyjechałam porozmawiać o planach na Święto Dziękczynienia.

-Zaprosiliśmy Georgea i Jeanne z dziećmi. Jeanne mówi, że przyjadą na pewno. Przyniesie dwa placki. Ty też możesz coś przynieść, jeśli chcesz, choć nie ma takiej potrzeby. Annie chce ustawić jedzenie na kredensie. Każdy będzie mógł sam się częstować. Dla Mitzi i Marshalla nakryjemy mały stolik, a dorośli usiądą przy stole w jadalni.

-Przy twoim stole jest za mało miejsca.

-Wystarczy, jeśli dostawimy boczne skrzydła. Trzymam je w szafie w sypialni.

-Nie masz pieniędzy na ładny stroik.

-Mam ogród.

-No tak. Masz ogród. Jak mogłam o tym zapomnieć? - Matka nic nie odpowiedziała i Nora zacisnęła wargi. - Byłoby łatwiej i o wiele lepiej, gdybyśmy zjedli świąteczny obiad w moim domu.

-Nie wyprawiałam tu Święta Dziękczynienia od lat, Eleonoro.

-Nigdy nie szykowałam świątecznego obiadu, mamó. Nie przypominam sobie, byś zrobiła to choć raz. Babcia Reinhardt się tym zajmowała, bo to był jej dom, nie nasz. I to ona wszystko robiła.

-Tak samo jak ty.

Eleonora lekko uniosła podbródek.

-To jedna z rzeczy, które lubię robić dla mojej rodziny.

-Pewnie tak samo, jak to lubiła Mama Reinhardt.

Przez kilka sekund Eleonora się nie odzywała. Leota bała się, że za chwilę wessie ją czarny wir.

-Annie nie potrafi gotować - powiedziała wreszcie Eleonora.

-Zdziwiłabyś się, co Annie potrafi.

-Raczej byłabym przerażona. Wiesz, że to będzie katastrofa. Tego chcesz? Poniżyć ją?

-Katastrofa będzie tylko wtedy, jeśli ty ją wywołasz.

-Czyli jeśli się nie uda, winą obarczysz mnie? Tak?

-Nikt cię nigdy nie obwiniał, Eleonoro. - Wstrzymała oddech na dwie sekundy, po czym wreszcie powiedziała bez ogródek - To ja zawsze byłam kozłem ofiarnym.

-Och, to śmieszne, mamó. Ty unikałaś wszelkiej odpowiedzialności! Dwoje dzieci. Pamiętasz nas? Wprowadziłaś się do domu dziadka Reinhardta i zostawiłaś nas babci, żeby sobie prowadzić światowe życie. Nawet gdy byłaś w domu, bardziej niż mną i Georgeem interesowałaś się tym ogrodem!

-Nie znałaś okoliczności...

-Mnie żadne okoliczności nie zmusiłyby do tego, żeby porzucić dzieci. Zawsze byłam przy nich. Odkąd były maleńkie, siedziałam z nimi w domu. Wciąż jestem dla nich w domu.

-I myślisz, że dlatego jesteś lepszą matką niż ja?

-Tak! - Łzy złości zalśniły w oczach Nory. - Tak myślę. Nie wydaje mi się, żebyś wiedziała, na czym w ogóle polega bycie matką.

Leota patrzyła córce w oczy i czuła, że pęka jej serce. Jakim sposobem znalazły się w takiej sytuacji bez wyjścia? Pod furią niewątpliwie kryje się morze krzywd, ale jak Leota ma się przedrzeć do serca córki i przekonać ją, że zawsze była kochana? Leota robiła to, co uważała za najlepsze... co musiała robić. Eleonora odwróciła się i zamknęła oczy, jakby nie mogła znieść badawczego spojrzenia matki.

-Nie masz pojęcia, jakie to było okropne, prawda mam?

-Nie, nie mam. - Wiedziała tylko, jak straszne było to dla niej samej. -

Powiedz mi.

Eleonora popatrzyła na nią z rozpaczą.

-Po co? Żebyś mogła poszukać kolejnych wymówek?

Leota nie miała więcej czasu do zmarnowania na zabawę w „kto-ma-rację-a-kto

nie”.

-Ile upłynie lat, zanim zdecydujesz się zmienić coś we własnym życiu zamiast winić o wszystko

przeszłość? - Zobaczyła, że córka się zarumieniła nie z przeświadczenia, że matka ma rację, ale z gniewu. To by było na tyle, jeśli idzie o d chodzenie do sedna sprawy.

Ich uwagę przykuł odgłos klucza przekręcane w zamku. Corban otworzył drzwi. Eleonora wstała.

-Kto to jest i skąd ma klucz do domu? - spytała rozgorączkowana, kiedy Corban wszedł do pokoju. Spojrzał zdumiony na nią, a następnie na Leotę.

-To Corban Solsek. Corbanie, poznaj Eleonor Gaines, moją córkę.
-Miło mi panią poznać. - Ton jego głosu mówi coś wręcz przeciwnego.
Leota skinęła głową w jego stronę.
-Możesz postawić zakupy w kuchni i przyłączyć się do nas, jeśli chcesz.
-Mam w samochodzie jeszcze jedną torbę.
-Wystarczyło ci pieniędzy?
-Jeszcze zostało. Oddam ci resztę, jak tylko odłożę te rzeczy.
Eleonora siedziała sztywno na kanapie, przyglądając się i słuchając. Corban znów na nią spojrzał.
-Pani wybaczy, pani Gaines - rzekł i poszedł do kuchni.
-Czyś ty całkiem straciła rozum, żeby dawać klucz obcemu? - wyszeptała Eleonora ze złością. - Co to za człowiek i co o nim wiesz?
-Corban od kilku miesięcy przychodzi mi pomagać. W każdą środę, jeszcze nigdy nie zawiódł.
-Jak go poznałaś?
-Zobaczyłam reklamę w telewizji i zadzwoniłam do agencji.
-Och, mamó.
Leota miała już tego dość.

-Muszę coś jeść. Do sklepu jest daleko, a z powrotem trzeba iść pod górę. Nie jeżdżę samochodem. Co miałam zrobić, Eleonoro? Umrzeć z głodu?
-Możesz złożyć w sklepie zamówienie przez telefon, dostarczą ci zakupy do domu.

To by było przyjemne i bezosobowe. I kosztowne.

-Wolę taki układ. Poza tym lubię jego towarzystwo. - Krótka wymiana zdań z

Corbanem i krew zaczyna jej szybciej płynąć w żyłach. - Czasami zagląda nawet w weekendy i pomaga w ogrodzie. - Chociaż za tym nie przepada. Jej wnuczka interesuje go chyba bardziej niż ogrodnictwo.

-Co na to George?

-A co George ma tu do powiedzenia? Nie dzwonił od miesiący. Wątpię, czy

wie. Jest zbyt zajęty interesami i rodziną, żeby do mnie zajrzeć i pomóc.

-To tylko wymówka - Eleonora była wyraźnie zdenerwowana.

-Och, wiesz, jak to jest, Eleonoro. Jestem pewna, że Michael jest tak samo

zajęty własnym życiem.

Eleonora rzuciła matce gniewne spojrzenie.

-Co chciałaś przez to powiedzieć?

-Tylko to, co powiedziałam. Dlaczego zawsze tak bardzo się bronisz przed wszystkim, co powiem? Miałam na myśli tylko to, że miło jest mieć towarzystwo od czasu do czasu. Corban jest tu miłe widziany, gdy tylko ma ochotę wpaść. Nie odeślę go.

-Tak jak nie odeślesz Anne-Lynn do domu, choć wiesz, że tam jest jej miejsce.

-Skoro zależało ci na tym, żeby mieć Annie domu, dlaczego chciałaś ją wysłać do Wellesley? Eleonora spaşowiała.

-To by jej dało lepszą przyszłość niż szkoła plastyczna.

-Jest bardzo uzdolniona, Eleonoro. Ty też miałaś talent.

-Aha. Teraz jesteś ekspertem w dziedzinie sztuki?

-Wiem, co mi się podoba.

-Leoto! - zawołał z kuchni Corban - gdzie mam postawić metamucil?

-Nad zlewem! Szafka po lewej, ze szklankami. Postaw na dolnej półce koło witamin i aspiryny.

-On do ciebie mówi „Leota”? - Eleonora była wyraźnie zgorszona.

-A jak ma do mnie mówić? „Matka Teresa”?

-„Pani Reinhardt” byłoby bardziej na miejscu.

-To przyjaciel. Powiedziałam mu, żeby mówił mi po imieniu.

-Skąd wiesz, że nie próbuje się tu wkręcić w nadziei, że zapiszesz mu coś w testamencie?

Na te słowa Leota zamilkła. Czy to niepokoi Eleonorę? Nie martwi się o bezpieczeństwo matki ani nie obawia się, że ktoś może wykorzystać starszą panią? W końcu to jej dziedzictwo, jakie by nie było.

-Czy mogłabym zostawić mu coś, co ma dla ciebie znaczenie, Eleonoro?

Nienawidzisz wszystkiego w tym domu. Nie mam ani jednej rzeczy, której byś chciała. - Przynajmniej zawsze tak twierdziła. Czyżby zmieniła zdanie?

-Chcesz przez to powiedzieć, że umieścisz go w testamencie?

-Nie rozmawiamy o moim testamencie. Pytam, co z tych rzeczy jest dla ciebie ważne!

Eleonorze błysnęły oczy. Wyglądała na zażenowaną i zawstydzoną, a w chwilę potem na zagniewaną.

Czy Eleonora kiedykolwiek zrozumie, że jest droga sercu matki? Co jeszcze Leota może zrobić, żeby jasno dać jej to do zrozumienia?

-Jeśli jest w tym domu coś, cokolwiek, co ma dla ciebie jakieś znaczenie, Eleonoro, musisz mi tylko o tym powiedzieć. Dopilnuję, żebyś to dostała.

Eleonora wstała z napiętą twarzą, podeszła do okna i odsunęła firankę. Sprawdza, czy kołpaki w samochodzie są wciąż na miejscu?

Do salonu wszedł Corban. Po wyrazie jego twarzy Leota poznała, że jest gotów sobie pójść.

-Może wstawisz wodę i napijemy się tego cappuccino, które Annie przyniosła

w zeszłym tygodniu?

Eleonora opuściła firankę. Barnaba odsunął się na koniec żerdzi, jak najdalej od niej. Odwróciła się i popatrzyła znacząco na zegarek na ręce.

-Mówiłam, że nie chcę kawy, mamó. Już i tak jestem spóźniona.

-Chyba nie ma pani nic przeciwko, żeby Leota napiła się cappuccino? - Ton Corbana był lodowaty.

-Co proszę?

Celowo zignorował Eleonorę i spojrzał na Leotę.

-Leoto, napijesz się cappuccino?

Starła się powstrzymać uśmiech. Kto by pomyślał...

-Tak, chętnie.

-W takim razie zaparzę. - Wyszedł do kuchni.

Skonsternowana, Eleonora patrzyła w ślad za nim.

-Nigdy nie spotkałam takiego grubianina.

-On po prostu się o mnie troszczy. Wiem, że przydałoby mu się więcej ogłady, ale w końcu nam wszystkim jej brakuje.

Eleonora poprawiła pasek torebki na ramieniu i wygładziła marynarkę.

-Czy jesteśmy umówione co do Święta Dziękczynienia?

-Oczywiście. Annie i ja wydajemy obiad tutaj. Mam nadzieję, że do nas dołączysz.

Eleonorze zapłonęły policzki.

-Później jeszcze o tym porozmawiamy. - Zamaszystym ruchem otworzyła frontowe drzwi, wyszła i zatrzasnęła je za sobą.

Kilka minut później Corban wyszedł z kuchni z filiżanką parującego cappuccino i postawił ją na stoliku.

-Ostrożnie. Gorące.

-Dziękuję, Corbanie. A ty?

-Dzięki, nie mam ochoty - odparł ponuro. - Przepraszam, jeśli byłem niegrzeczny. - Skinął głową w kierunku zamkniętych drzwi. - Mama Annie, tak? Rany, co za kobieta.

Leota spojrzała na niego.

-Wam obojgu przydałby się jakiś środek na złagodzenie obyczajów. Siadaj, Corbanie.

-Lepiej już pójdę.

-Jeszcze nie. - Ruchem głowy wskazała mu kanapę. - Siadaj i powiedz mi, co cię gryzie.

Usiadł. Był blady i przemęczony. Pochylił się do przodu, przeczesał palcami włosy. Gdy na nią spojrzał, w oczach miał łzy. Pokręcił głową.

-Nie mogę.

Leota obserwowała walkę, która się w nim toczyła. Przeżywała jego ból jak własny, nie znając nawet przyczyny. Przypominał jej Bernarda.

-Spowiedź jest dobra dla duszy, Corbanie. Słyszałeś o tym kiedyś?

-Nie jestem religijny.

-Mówię o wierze, nie o religii.

-Człowiekiem wiary też nie jestem. - Drgnął mu mięsień na policzku. - Poza tym to nie ja potrzebuję się wyświadczyć.

-Jeśli o tym opowiesz, wyrzucisz to z siebie, ta rzecz przestanie mieć nad

tobą władzę.

Znowu pokręcił głową.

-Jeszcze za wcześnie - powiedział zdławionym głosem. Wstał i spojrzał na

nią przepaszająco. - Pójdę już. Dzisiaj nie będzie ze mnie dobry kompan.

-Racja. Brakowałoby mi twojego zazwyczaj słonecznego usposobienia.

Uśmiechnął się smutno.

-Pozdrów Annie, jak do ciebie zadzwoni.

-Masz jej numer. Jeśli łatwiej ci porozmawiać z nią, zadzwoń do niej. Ale

cokolwiek to jest, zrzuć z siebie ten ciężar jak najszybciej. - Gdy się odwrócił, wymówiła jego imię i poczekała, aż znów na nią spojrzy. - Nie pozwól,

żeby gorycz zapuściła w tobie korzenie, Corbanie. Jeśli na to pozwolisz, będziesz je usuwał przez resztę życia.

Cicho zamknął za sobą drzwi. Leota słyszała, jak uruchomił silnik. Kiedy odgłos samochodu ucichł w dali, ogarnęła ją dławiąca rozpacz. Znowu była zupełnie sama. Czuła straszliwy ból w piersi. Myślała o Eleonorze i Georgeu.

Nic się nigdy nie zmieni - uświadomiła sobie. W porządku, staruszko. Zaakceptuj to. Wstań, idź do kuchni i zażyj te tabletki, które gromadzisz od roku. Jeśli jedna obniża ciśnienie, cała fiołka powinna ci zapewnić spokojną śmierć.

-Kocham cię, babciu.

Drgnęła na dźwięk tych słów.

-Annie? - Czyżby wnuczka weszła tak cicho, że Leota jej nie zauważyła? Jak

to możliwe, skoro siedzi w fotelu na wprost drzwi? Czy Annie zaparkowała na podjeździe i weszła od tyłu? Leota obejrzała się, ale nie zobaczyła wnuczki. Może zasnęła i przyśniło jej się, że bierze tabletki i zostawia za sobą cierpienie żywych.

-Kocham cię, babciu.

Leota patrzyła zdumiona. To Barnaba mówił głosem Annie. Czystym. Słodkim. Pełnym czułości.

-Teraz się odezwał. - Poczowała rozczarowanie. - Boże, czy pomyślałeś kiedyś, że mam już dość? Zrobiłam tyle, ile mogłam. I już po wszystkim, skończone. Wolę być z Tobą tam w górze, niż tu na dole w środku tego bałaganu. A jeśli będę musiała to zrobić sama...

-Kocham cię, babciu.

Annie. Co będzie gdy wnuczka znajdzie jej ciało na podłodze, a potem dowie się, że babcia połknęła całą fiołkę pigułek? Leota wiedziała, co się z nią stanie.

-Kocham cię, babciu.

-Zamknij się. Słyszałam cię już za pierwszym razem. - Przypuszczała, że jest to także odpowiedź od Niego. Kocham cię. Czy On chce, żeby przestała uzalać się nad sobą i dalej walczyła w słusznej sprawie?

-Większość ludzi idzie na emeryturę...

-Kocham cię babciu.

W porządku, Boże. Dobrze już, dobrze! Doskonale wiedziała, że jeśli pójdzie do kuchni i zażyje te pigułki, Annie będzie cierpieć. Przecież nie wiadomo, gdzie skończyłaby życie. Gdyby ją znaleziono po paru dniach leżącą martwą na podłodze, stanowiłaby niezbyt ładny widok. Daleki od godnego.

-Kocham cię, babciu.

-Słyszałam. Lepiej coś zjedz.

Ale Barnaba powtarzał to przez całe popołudnie, aż Leota całkiem odzyskała bojowy nastrój - i była gotowa ukreć ptaszysku wychudzoną szyję.

Telefon od syna był ostatnią rzeczą, której Leota się spodziewała. Niemniej jednak zadzwonił. Miły głos Georgea w słuchawce był przyjemnym zaskoczeniem... póki nie zrozumiała, dlaczego syn się z nią skontaktował.

-Mamo, Nora mówiła, że niedawno spotkała u ciebie jakiegoś młodego człowieka.

-To Corban - odpowiedziała po krótkim wahaniu. Serce zabolęło ją z rozczarowania. - Corban Solsek. Jest wolontariuszem w agencji udzielającej pomocy starszym. Dzwoniłam do nich. Pewnie Nora powiedziała ci też, że wzięłam numer z reklamy telewizyjnej.

-Co wiesz o tym młodzieńcu, mamo?

-Przyszedł z referencjami i jest chętny do pomocy. Co więcej powinnam wiedzieć?

-Nie wiadomo, kto to jest, mamó. To chyba niezbyt mądry pomysł, żeby wpuszczać obcych do domu.

Do domu. Nie do matki.

-Powinieneś lepiej spytać, dlaczego stara kobieta musi prosić obcych o pomoc. - Pożałowała tych słów, gdy tylko je wypowiedziała. Wylewała macierzyńskie żale i tym samym wznosiła między sobą a Georgeem coraz wyższy mur.

Czuła, jak rośnie cegła po cegle. Zaprawa murarska schła w ciszy.

-Przyjeżdżałbym ci pomagać, gdybym miał więcej czasu - w głosie Georgea wyczuwało się napięcie. - Ale prowadzę firmę. Przy takiej konkurencji, żeby utrzymać się na powierzchni, nie stać mnie na żaden odpoczynek. Wiesz o tym.

-Oczywiście, że wiem. - Mówił jej to za każdym razem. Zwykle wtedy, kiedy to ona dzwoniła i w czymś mu przeszkodziła. - Po prostu nie broń mi szukać pomocy tam, gdzie i kiedy jest to możliwe. Annie odwiedza mnie kilka razy w miesiącu. Poznała Corbana. Lubi go. Jeśli ty i Nora macie jakieś wątpliwości co do tego chłopca, porozmawiajcie z nią. Albo z agencją. - Podała mu nazwisko i numer telefonu. Miała nadzieję, że George nie dzwoni do niej z telefonu komórkowego, jadąc autostradą. - On studiuje na uniwersytecie, George. Jestem pewna, że uzyska dyplom z wyróżnieniem. Zdaje się, że jest na socjologii. Czy to cię uspokoiło, kochanie?

-Nie zadzwoniłem po to, żeby słuchać wykładu.

Westchnęła. Cokolwiek powie, żeby się pogodzić, zawsze obraca się to przeciwko niej. Lepiej było nic nie mówić i żyć dalej po staremu.

-Wiem, po co zadzwoniłeś, George. - Wolałabym nie wiedzieć, Boże. - Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

-Nie, to wszystko.

-Porozmawiamy, jak przyjedziesz w Święto Dziękczynienia.

-Nora powiedziała, że wydaje obiad u siebie.

A więc to w taki sposób Nora chce postawić na swoim.

-W takim razie chyba będziesz musiał wybierać, gdzie iść. Annie i ja wciąż planujemy urządzić świąteczny obiad tutaj.

-Miałabyś mniej pracy, gdyby zajęła się tym Nora.

Biedna Annie. Znajdzie się w środku tego bałaganu. Naciskana ze wszystkich stron.

-Idź, gdzie chcesz, George. Ja będę tutaj. - Nic na to nie odpowiedział, ale przynajmniej nie odwiesił słuchawki, jak Nora, która robi to za każdym razem, gdy psuje się jej szyki. Leota odetchnęła głębiej, mając nadzieję, że to złagodzi ból w jej piersi. Nie poskutkowało. - Chcę cię o coś spytać, George.

-Słucham. - Najwyraźniej nie był uszczęśliwiony.

-Czy jest w tym domu coś, co chciałbyś mieć? Cokolwiek? Po prostu mi powiedz.

-Tak na poczekaniu nic mi nie przychodzi do głowy.

-No to zastanów się nad tym i potem daj mi znać.

-Dlaczego zadajesz mi takie pytanie? Masz zamiar rozdać swoje rzeczy?

Bez wątpienia myślał teraz o natręcie Corbanie.

-Pytam, bo nie będę żyć wiecznie. Muszę to wiedzieć, żebyś dostał to, czego chcesz.

-No to pewnie chciałbym połowę wartości domu i posesji.

Z trudem przełknęła ślinę. A więc o to chodzi. Typowe. Pieniądze. Tylko tego chciał.

-Mamo?

Nora pewnie myślała dokładnie tak samo. Leota wyobraziła sobie, jak jej dzieci stawiają na trawniku przed jej domem napis „Na sprzedaż” i w kilka dni po jej śmierci urządzają wyprzedaż rzeczy

używanych, przyczepiając do przedmiotów małe karteczki z ceną. Wszystko po obniżonej cenie, żeby szybko się sprzedało. Krzyżyk na drogę!

Rozejrzała się po pokoju, próbując go zobaczyć ich oczyma. Większość tego, co posiada, to dla nich zwykłe rupiecie. Nie wiedzą, że każdy bibelot, każdy haftowany obrazek i mebel coś dla niej znaczy. Wszystko w tym domu ma niezwykłą wartość i przywołuje wspomnienia. To nie są zwykłe przedmioty, na których zbiera się kurz. Jej dom to biblioteka opowieści - większość to historie intymne, niektóre bolesne, inne cudowne, jeszcze inne rzewne. Z wielką chęcią podzieliłaby się tymi wspomnieniami, gdyby tylko dzieci chciały słuchać.

-Mamo?

Panie, mogłabym popaść w zgorzknienie. Tak łatwo byłoby teraz dać się ponieść złości i przekląć Georgea i Eleonorę za cierpienia, jakie zadawali mi przez lata swoim lekceważeniem i obojętnością. Ale przecież oni patrzą na to inaczej niż ja, prawda? Opuścili mnie, bo czują się opuszczeni przeze mnie.

Wiedziała, że to prawda. Zostali skrzywdzeni i teraz brali odwet. Gdy byli mali, chcieli, żeby ich matka była w domu, czekała na nich, była na każde ich skinienie i wezwanie - rozwiązywała problemy, rozwiewała obawy, spełniała marzenia. A ponieważ nie mogła tego robić - zwrócili swoje serca przeciwko niej. Woleli uczeplić się kłamstw, które usłyszeli od innych, niż słuchać głosu matki. Ani razu nie próbowali poznać prawdy.

O Boże, czemu do mnie nie przyjdą i nie spytają, dlaczego było tak, jak było?

Re jest mojej winy w tym, że są, jacy są? Po prostu nie chciałam wyjawić tajemnic Bernarda ani zdeptać dumy Papy Reinhardta i Mamy Reinhardt. Zanim Mama poznała prawdę, minęło wiele lat, a potem cierpiała dlatego, że nastawiła dzieci przeciwko mnie. O ileż lepiej by było, gdyby sama im wszystko wyznała, nie zostawiając tego mnie. Czy teraz w ogóle by mi uwierzyli, gdybym powiedziała im prawdę? O Jezu, błogosławiony Zbawicielu, Panie Boże, zatrzymaj bicie mego serca i zabierz mnie do siebie! Dosyć mam już tego życia! Dosyć mam czekania, nadziei i żalu! Dosyć mam rozczarowań. Kiedy to życie się skończy?

-Mamo!

-Jestem tu, kochanie. - Ale mam nadzieję, że już niedługo.

-Co chciałaś ode mnie usłyszeć? - Mówił cicho, jakby się broniąc.

Co chciała od niego usłyszeć? „Kocham cię...” „Chętnie przyjadę na Święto Dziękczynienia. Dziękuję za zaproszenie...” „Ja też za tobą tęsknię. Cieszę się, że usiądziemy przy stole i opowiesz nam o swoim życiu...” „Pokaż mi przeszłość tak, jak ty ją widziałaś, mamo.”

Są tacy świętoszkowaci, tacy przekonani o swojej nieomyślności, tacy niezależni. Cały czas bronią się przed faktami. Nigdy nie chcieli spojrzeć prawdzie w oczy ani jej usłyszeć. Eleonora mnie obwinia, George się chowa. Za każdym razem, gdy próbowałam im powiedzieć, co naprawdę działo się w tamtych latach, ponosiłam porażkę. Są owinięci drutem kolczastym. Gdy tylko próbuję się do nich przedrzeć, kaleczę się.

Leota nie mogła wymówić słowa przez ściśnięte gardło. Zabierz mnie do siebie, Panie. Zabierz w tej sekundzie, gdy rozmawiam z nim przez telefon. Może wtedy... och, do diaska, na co się zda uzalenie nad sobą!

-Mamo? - tym razem z niecierpliwością. - Słuchaj, przepraszam, nie mam teraz czasu. Zadzwoń później. - Rozłączył się. Ale pewnie znajdzie czas, żeby zadzwonić do Annie i do agencji opieki nad

starszymi osobami, by sprawdzić Corbana. Pewnie znajdzie czas, żeby zadzwonić do Nory i zdać jej relację. Leota odłożyła słuchawkę na widełki i długo siedziała, rozmyślając. Myślała o Georgeu, Norze i Annie. Michael Taggart, jej wnuk, już dawno opuścił tonący statek. Życzyła mu jak najlepiej. Szkoda, że nie pamięta, jak ten biedny chłopiec wygląda. Zdjęcie na kominku ma już dziesięć lat.

Otworzyła szufladę w stoliku, wyjęła książkę adresową i znalazła numer, którego szukała. Uważnie wcisnęła kolejne cyfry w telefonie i nasłuchiwała.

-Dryer, Shaffer, Pułaski i Rooks - usłyszała powitanie. - Z kim panią połączyć?

-Chciałabym rozmawiać z moim adwokatem, Dexterem Łanem Rooksem.

Nastąpiła chwila ciszy.

-Przykro mi, proszę pani, ale Dexter Rooks zmarł kilka lat temu.

-To co mam teraz zrobić? Był moim prawnikiem - powiedziała podenerwowana. Chcę, żeby zmienił mój testament.

-Większość jego klientów przejął syn, pani...

-Reinhardt. Leota Reinhardt. W takim razie proszę mnie połączyć z synem. Mam nadzieję, że moje akta wciąż u was są.

-Z pewnością, proszę pani. Łączę z biurem Charlesa Rooksa. Na pewno uzyska pani pomoc. Proszę chwilę poczekać.

Leota próbowała uspokoić roztrzęsione nerwy i wyjaśnić wszystko sekretarce Charlesa Rooksa.

Potem długo czekała, aż uznała, że o niej zapomniano. Może mieli nadzieję, że umarła, oszczędzając im kłopotów. Już miała się rozłączyć i zadzwonić jeszcze

raz, gdy w słuchawce znów odezwał się głos sekretarki.

-Łączę z panem Rooksem.

Po chwili usłyszała uprzejmy męski głos.

-W czym mogę pomóc, pani Reinhardt?

O Boże, czy muszę jeszcze raz przez to przechodzić?

-Postanowiłam zmienić mój testament i muszę to zrobić jak najszybciej. Mam tu pewne dokumenty i chciałabym, żeby pan je przejrzał. Nie wiem, czy powinnam przenieść prawa własności teraz, czy zlecić, żeby to zrobiono po mojej śmierci.

-Kiedy może je pani przywieźć do biura?

-Nie mogę ich przywieźć do biura, młody człowieku. Mam osiemdziesiąt cztery lata. Nie jeżdżę samochodem. Nie mam pieniędzy na taksówkę i jestem za stara, żeby podróżować autobusem. Pan musi przyjechać tutaj. Jeśli potrzebuje pan świadka, proszę przyjechać w środę. Mogę poprosić przyjaciela, żeby przyszedł wieczorem, a nie rano. Albo można poprosić moją sąsiadkę, Arbę Wilson.

-Cóż, proszę pani. Jestem zbyt zajęty, ażeby wychodzić z biura...

-Pański ojciec tak by zrobił.

Zawahał się.

-Tak, to prawda. A więc w środę po południu? Czy mógłbym przyjechać po piątej? Przez cały ranek będę w sądzie, a potem mam umówione spotkania.

-Jeśli pan chce, może pan przyjechać na kolację.

Zachichotał.

-Dziękuję, ale to nie będzie konieczne. Proszę zostawić mojej sekretarce adres i telefon. Do środy proszę wynotować zmiany, które chce pani wprowadzić do testamentu i przygotować dla mnie dokumenty do przejrzenia. To przyspieszy załatwienie sprawy.

-Zrobię to. - Zacznie dziś po południu, jeśli znajdzie testament. Chyba wkładała go do górnej szuflady w kredensie. A może leży w skrytce bankowej? Czy opłacała tę skrytkę? Testament może się też znajdować w dolnej szufladzie komody wraz z kilkoma klejnotami, które Bernard jej podarował, zanim poszedł na wojnę.

W telefonie znów odezwała się sekretarka i zapisała jej adres i numer telefonu. Gdy tylko Leota skończyła rozmawiać, wybrała numer do Annie. Włączyła się automatyczna sekretarka.

-Annie, tu babcia Leota. Zadzwoń, gdy będziesz miała czas, kochanie. Chciałabym z tobą porozmawiać o Święcie Dziękczynienia. I o paru innych rzeczach.

Potem zadzwoniła do Corbana. Odebrała młoda kobieta.

-Ruth?

-Tak. Kto mówi?

Co za szorstki, zimny głos.

-Leota Reinhardt. Corban...

-Coiyego nie ma. Przekażę mu, że pani dzwoniła.

Odgłos odkładanej słuchawki zadźwięczał jej w uchu, nim zdążyła powiedzieć

więcej. Zmarszczyła czoło i położyła słuchawkę na widelkach.

-Co to ma znaczyć? - zapytał Corban, gdy wszedłszy do swojego mieszkania, ujrzał stos pudeł koło drzwi. Dwa lub trzy stały otwarte na stole w kuchni, a Ruth szperała w szafkach.

-Odchodzę od ciebie - odparła, odwrócona tyłem. Zsunął z ramienia wyładowany książkami plecak i rzucił go na kanapę pomiędzy dwa pudła.

-Myślałem, że spróbujemy jakoś wszystko ułożyć?

-Co tu układać, Cory? Już zdecydowałeś, co czujesz.

-To raczej ty już podjęłaś decyzję. Odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

-A niby co powinnam zrobić? Zostać i cierpliwie znosić twoje potępienie i oskarżenia?

-Nie powiedziałem przecież słowa...

-Nie musisz nic mówić. Widzę to w twoich oczach za każdym razem, gdy na mnie spojrzysz!

-Znów odwróciła się plecami. Złość Corbana rosła.

-Te naczynia tu były, zanim się wprowadziłaś.

-Świetnie! - Rozwarła dłonie i upuściła na podłogę dwa talerze. - Zatrzymaj je. Szklanki też.

-Wymiotła wszystkie sześć szklanek z szafki na laminowany blat.

Corban zaklął.

-No dalej, wytłucz wszystko, jeśli ci to poprawi humor!

W oczach zaszklily się jej łzy.

-Zdaje ci się, że obchodzi mnie, co myślisz? Chciał wyrzucić ją ze swojego mieszkania,

a w ślad za nią jej pudła.

-To ja zawsze szedłem na kompromis. - Żałował, że nie umarła w tej klinice.

-Nie rozśmieszaj mnie, Cory. Kiedy w czymś ustąpiłeś?

-Co jeszcze próbujesz mi ukraść? - otworzył jedno z pudeł stojących przy drzwiach.

-Proszę bardzo. Przejrzyj je. Bierz, co chcesz! Wiesz co? Nareszcie widzę, co z ciebie za człowiek.

-Stała w kuchennych drzwiach, czerwona z wściekłości. - Jesteś hipokrytą! Uświadomienie sobie tego nie powinno mi być zająć pół roku.

-Co ci otworzyło oczy, Ruth? Zabicie naszego dziecka?

Wzdrygnęła się i pobladła. Odwzajemniła mu się równie niecenzuralnym

epitetem.

-To nie twoje życie wchodziło w grę, Cory. Ani twoje wykształcenie. To ja

zawsze musiałam brać na siebie odpowiedzialność. Od samego początku!

-O czym ty mówisz?

-To ja musiałam się zabezpieczać. Nigdy, ani razu nie zatroszczyłeś się o

antykoncepcję. Niech kobieta się o to martwi. Może nie, Cory? Niech kobieta bierze odpowiedzialność za męskie przyjemności. Niech kobieta ze wszystkiego zrezygnuje! Przecież jest tylko naczyniem, prawda, Cory? Ty draniu! Ulżyło ci, kiedy rozwiązałam ten problem. Tylko nie chciałeś nic o tym wiedzieć. To był mój błąd. Powinnam skłamać i powiedzieć, że poroniłam. Wtedy wszystko byłoby super. Prawda? Nie musiałbyś brać części winy na siebie! - Po białych policzkach spłynęły jej łzy, z oczu wyzierała nienawiść. - Po tym, co przeszłam, zasługiwałam na współczucie, ale aż tyle nie można od ciebie oczekiwać, prawda?

-Współczucia? Wiedziałaś, co czuję.

-Czyżby? Słowa nic nie kosztują, Cory. Czyny mówią głośniejszą niż słowa! Nigdy tego nie słyszałeś? Pomagałeś mi malować afisze! Pozwalałeś prowadzić zebrania! Przez cały czas popierałeś prawo do aborcji. A przynajmniej tak twierdziłeś, dopóki ja nie zaszłam w ciążę. Wtedy nastąpiła nagła zmiana. Ni z tego, ni z owego zmieniły ci się wszystkie zasady. - Usta wykrzywił jej dziki uśmiech. - Wiesz co, Cory? Jesteś małostkową męską szowinistyczną świnia. Przy całej twojej intelektualnej pozie jesteś tylko pravicowym fundamentalistą w przebraniu.

-A kim ty jesteś, Ruth? Kupczysz seksem, żeby mieć dach nad głową. Kupczysz seksem, żebym za ciebie płacił. Cała ta gadka o wyzwoleniu, o równych prawach! Jesteś zwykłą prostytutką żyjącą na koszt mężczyzny.

-Nienawidzę cię.

-Nienawidzisz prawdy!

Potem było jeszcze gorzej.

Kije i kamienie łamią kości, a słowa niszczą serce i ducha. Zanim dwie

przyjaciółki Ruth przyjechały, by zabrać ją i jej rzeczy do nowego domu, ich związek leżał w gruzach.

Gdy wyszła, Cory usiadł na kanapie i gorzko zapłakał. Nie przejmował się tym, że Ruth go opuściła. Tak naprawdę poczuł ulgę, że nie będzie musiał patrzeć jej co dzień w twarz ani uważać na każde słowo, by nie urazić jej uczuć.

Czy ona kiedykolwiek liczyła się z jego uczuciami?

Ogarnął go żal. Bynajmniej nie związany z Ruth. Żałował utraty tej jednej dobrej rzeczy, jaka mogła być owocem ich podłego związku dziecka, za którego poczęcie był odpowiedzialny. Dziecka, które powinien był umieć ochronić. Dziecka, które nawiedzało jego sny.

Leota podała Charlesowi Rooksowi kawę, gdy tymczasem on czytał jej testament

i przeglądał dokumenty, które od czterdziestu lat trzymała w szarej kopercie.

-Ze śmietanką czy z cukrem, panie Rooks?

-Dziękuję, proszę czarną. Proszę mi mówić Charles.

Był bardzo podobny do ojca niebieskie oczy, siwe krzaczaste brwi, łysina na czubku głowy i kępki stalowosiwych włosów po bokach. Ubrany w drogi ciemnoszary

garnitur. Ta wizyta będzie ją dużo kosztować.

-Arba, moja sąsiadka, powiedziała, że przyjdzie i podpisze wszystko, co będzie trzeba. Zadzwońię po nią, gdy będziemy gotowi.

-Dziś wieczorem nie będziemy gotowi, pani Reinhardt. Muszę zabrać to wszystko do biura i spisać na maszynie w odpowiedniej formie.

-Jak długo to potrwa i ile będzie kosztować?

Najpierw podał sumę, od której lekko zatrzepotało jej serce, następnie rzekł

-Wszystko będzie gotowe do końca miesiąca.

-Za taką cenę chcę, żeby było gotowe wcześniej. Przed wyjściem dam panu czek.

Zdjął okulary i położył je na stole.

-Nie należy się z tym spieszyć, proszę pani. Czasem lepiej wszystko przemyśleć, zanim dokona się tak poważnych zmian. Zwłaszcza jeśli doszło do rodzinnej kłótni - uniósł pytająco brwi.

-Nie było żadnej kłótni. Wiem, co robię. Myślę nad tym już od dawna. Chcę

ustalić wszystko dokładnie tak, jak powiedziałam. Może i jestem stara, panie Rooks, ale mózg mi nie szwankuje.

Uśmiechnął się lekko.

-Nie, proszę pani. Nie sędzę, żeby mózg pani szwankował. Ale wygląda pani na zagniewaną.

-Jest mi przykro, panie Rooks. I mam dosyć.

-Można to załatwić w inny sposób - i tańszym kosztem. Może pani ustanowić współwłaściciela domu. Kiedy pani...

-Umrze. No dalej, może pan to powiedzieć.

Schylił głowę.

-...A więc kiedy pani umrze, część, która obecnie należy do pani, przypadnie współlokatorowi bądź współlokatorom. Co zaś się tyczy pozostałych dokumentów, może pani wypełnić drugą stronę i podpisać je, kiedy będzie pani gotowa. To wystarczy, żeby testament był prawomocny. Zmieniły się tylko nazwiska. I jeszcze jedna rada

-nie powinna pani trzymać takich dokumentów na wierzchu.

-Nie leżały na wierzchu. Były schowane w bezpiecznym miejscu.

-Pani Reinhardt - powiedział cierpliwie - czy ma pani pojęcie, ile są warte?

-Nie i nie dbam o to. - Usiadła przy stole naprzeciw adwokata, zmęczona i przybita.

-Chciałam dać dzieciom w spadku coś ważnego, panie Rooks, coś, co pomogłoby im kroczyć przez życie i dawało im radość. - Położyła rękę na papierach. - Niestety, one chcą tylko tego.

-Przykro mi.

Wyglądało na to, że mówi szczerze i mimo wszystkich okropności, jakie się mówi o prawnikach, Leota wierzyła, że jego słowa wyszły prosto z serca. Uśmiechnęła się smutno.

-Mnie też, panie Rooks. Mnie też. A teraz przejdźmy do rzeczy.

-Mama mówiła, że wpadną z Fredem na chwilę

-powiedziała Annie tego wieczoru. - Dzwoniła po południu. Zdaje mi się, że

wujek George z nią rozmawiał.

Bez wątpienia. Święto Dziękczynienia będzie dla nich kolejną okazją, żeby

przyprzeć matkę do muru i wybadać, jak wygląda sprawa ich spadku. Dobrze, że wszystko będzie gotowe na długo

przedtem, zanim zjadą się na świątecznego indyka.

-Szykuje się wesołe święto.

-Rozmyślałaś się, babciu? Czy to będzie dla ciebie zbyt męczące?

Tak. To będzie zbyt męczące. Cała ta bieganina, podniecenie, napięcie. Ale nie miała zamiaru poddać się Eleonorze. Przetrwa to święto, choćby miało ją zabić.

-Gotowaniem zajmiesz się ty, Annie. Ja będę cię dopingować. Czy ty się rozmyślałaś?

-Nie. Ach, babciu. Tak się tym cieszę. Damy radę. Wiem, że damy. Będzie cudownie. Przyjadę w ten weekend i zacznę szykować dom, tak jak mówiłaś, chociaż i bez tego wygląda świetnie.

-Trochę farby tu i ówdzie go rozjaśni.

-Już mam parę pomysłów.

Leota zachichotała.

-Tak myślałam. Rób, co ci przyjdzie do głowy. Chcę, żebyś uważała ten dom w równym stopniu za swój, jak i mój.

-Obiecuję, że nie zrobię niczego bez twojej zgody.

-Już ją masz, kochanie. Przy okazji, myślałam

o tym, żeby zaprosić Corbana. Co ty na to? Ostatnio był trochę przygnębiony, a zdaje się, że jego rodzina mieszka gdzieś na Wschodnim Wybrzeżu. Nie będzie mógł pojechać do domu.

-Świetny pomysł, babciu. Zaprosz go razem z dziewczyną. I Arbę z dziećmi też, jeśli chcesz.

I Juanitę, i Lin Sansan...

-Im więcej osób, tym weselej. - Leota miała zamiar ściągnąć dla Annie tylu sojuszników, ilu się da.

Zimna wojna dobiegła końca. Teraz zacznie się wojna prawdziwa.

18

Pierwszym gościem, który przybył w Święto Dziękczynienia, był Corban. Wiercił się niespokojnie, zadowolony, że przywiózł ze sobą dwie butelki musującego cydru oraz następnego fiołka afrykańskiego.

-Kochany chłopiec - rzekła Leota, odbierając od niego kwiatek w małej niebieskiej doniczce i uśmiechając się tak, że nerwowe napięcie nieco w nim zelżało. - Annie jest w kuchni. Włóż te butelki do lodówki, żeby się schłodziły, dobrze? A potem przenieś, proszę, Barnabę do mojej sypialni. Nie chcę, żeby dostał nawrotu choroby.

-Cześć! - Annie powitała go z promiennym uśmiechem, na powrót zawijając w folię aluminiową piekącego się indyka, po tym, jak sprawdziła, czy dobrze wygląda. - Jeszcze trochę i będzie gotowy. Mam nadzieję, że jesteś głodny. Kupiliśmy dziesięciokilogramowego ptaka.

-Nie zawiodę cię, gdy przyjdzie pora.

-To dobrze. Możesz utłuc ziemniaki. Mam nadzieję, że wujek George pokroi indyka. Babcia powiedziała, że robi sos do pieczenia. Mamy zielony groszek, grzyby, sos żurawinowy i czarne oliwki. Arba przyniesie słodkie ziemniaki smażone w cukrze, a ciocia Jeanne ciasta

-jabłecznik, leguminę i placek z dynią.

-A nadzienie?

-Oczywiście jest. W indyku. Przepis babci. Zwykły chleb z przyprawami, zmielony z selerem, cebulą i podrobami. Zajęło nam to niemal cały ranek, ale warto było.

Zadzwoił dzwonek u drzwi i Corban zauważył, że twarz Annie drgnęła z napięcia.

-Zajmiesz się witaniem gości? - zapytała. - Nie chcę, żeby babcia co parę

minut wstawiała i siadała. Powinna przewodzić uroczystościom w salonie.

Leota stała już w drzwiach.

-George, Jeanne. Wchodźcie! Wchodźcie!

-Mamo. - Kobieta nachyliła się, by ucałować Leotę w policzek. - Jak się

czujesz?

-Doskonale, po prostu doskonale. Chodźcie do środka. - Odwróciła się, oczy jej lśniły. - Corban, to mój syn George i jego żona, Jeanne. I moje wnuczki - Marshall i Mitzi. To jest Corban, mój przyjaciel. - Dzieci wpatrywały się w Barnabę, który z kolei wpatrywał się w nie z otwartym dziobem, gotowy do ataku.

Tylko Jeanne była szczerze przyjazna. Uśmiechnęła się i powitała go ciepło,

jej mąż zaś stał bez słowa i taksował Corbana wzrokiem. Za kogo ten facet go

uważa? Przestępcę na zwolnieniu warunkowym?

-Lepiej wyniosę stąd Barnabę.

Dzieci podreptały za nim, zadając pytania na temat ptaka, na które Corban nie

potrafił odpowiedzieć.

-Musicie zapytać Annie. Ja wiem tylko tyle, że jest stuknięty i dziobie. -

Gdy wrócił do salonu,

Jeanne wciąż miała w rękach pakunki, które ze sobą przyniosła. - Wezmę je

powiedział

Corban.

-Ach, ja je zaniosę. Wy, mężczyźni, usiądźcie sobie i poznajcie się. - Po

tych słowach Jeanne poszła do kuchni, a za nią podreptała dwójka dzieci.

Corban odwrócił się, by spojrzeć posępnemu Georgeowi w twarz.

-Matka mi mówiła, że dużo jej pomagasz.

-To dla mnie przyjemność.

-Tylko wtedy, kiedy nie zajdę ci za skórę - wtrąciła Leota, siadając w

swoim fotelu.

Następny kwadrans spędzili na wymuszonej rozmowie o niczym. Corban jeszcze

nigdy nie czuł się tak nieswojo. Leota bohatercko starała się podtrzymać konwersację

z synem, ale stary dobry George nie okazywał chęci współpracy.

-Jak idą interesy?

-Dobrze.

-Wciąż rozwijasz firmę?

-Staram się.

-Marshall pewnie całymi dniami gra w piłkę nożną.

-Tak mi się zdaje.

-Tak ci się zdaje?

-Sprawami dzieci zajmuje się Jeanne.

-Nie chodzisz na jego mecze?

-Kiedy mogę. - George zmienił pozycję, zerknął na Corbana, potem na Leotę.

-Mamo, chyba nie będzie ci przeszkadzać, jeśli włączę telewizor? Zaczyna się

niezły mecz.

-Skoro chcesz to oglądać.

Jak to się dzieje - zastanawiał się Corban - że ten człowiek nie dostrzega

smutku w oczach matki? Może to obecność Corbana była przyczyną

powściągliwości Georgea Reinhardta? Może gdyby się usunął, George poczułby się swobodniej.

-Zobaczę, czy Annie nie potrzebuje pomocy w kuchni, Leoto.

Przynajmniej kobiety rozmawiały swobodniej.

-Jest dużo jaśniej - mówiła właśnie Jeanne, gdy Corban do nich dołączył. -

A te kwiaty, które namalowałaś, są cudowne, Annie. Nie miałam pojęcia, że jesteś

taka uzdolniona!

Annie się zarumieniła.

-Babcia pozwoliła mi zrobić, co zechcę, i wspaniale się przy tym bawiłam,

ciociu. Ona tu siedziała, a ja malowałam i rozmawiałyśmy sobie. Babcia mówi, że lubi mi się przyglądać.

-Nie wątpię - powiedziała Jeanne. - Ja też bym chętnie popatrzyła. Byłoby wspaniale, gdybyś mogła namalować coś takiego u mnie w domu. Nawet bym ci zapłaciła.

-Oj, nie wzięłabym od ciebie pieniędzy.

-Nonsens. Jesteś pracującą artystką, prawda? Musisz coś jeść. - Popatrzyła przez okno na bawiące się dzieci. - Widzę, że ogrodem też się zajęłaś. Kiedy tu byłam ostatnio, wszystko było zarośnięte.

-Corban bardzo mi pomógł - Annie uśmiechnęła się do niego. - I Susan, i Sam, i kilkoro dzieci sąsiadów. Mamy dużo rąk do pomocy.

-Kiedyś był taki piękny - westchnęła Jeanne. - Gdy przyjechałam tu pierwszy raz, kwitły bzy. Pachniało jak w niebie. Cieszę się, że przywracasz ogród do życia.

Znowu rozbrzmiał dzwonek u drzwi. Corban odwrócił się w progu, ale George już zdążył się podnieść. Widząc, kto przybył, Corban przygotował się na długi, przykry dzień. Królowa Śniegu z małżonkiem na holu. Corban odpowiedział lek kim skinieniem głowy na chłodne spojrzenie Eleonory Gaines, której mąż, Fred,

ucałował Leotę na powitanie i powiedział jej komplement. Ledwo przywitawszy się z matką, dumna Eleonora ruszyła prosto do kuchni. Corban ustąpił jej z drogi, żeby go nie staranowała.

-Jak sobie radzisz, Anne-Lynn? Po zapachu czuć, że indyk jest już gotowy. Skinęła bratowej głową. - Jeanne. Miło cię widzieć.

Niezbyt ciepłe stosunki między szwagierką a bratową - pomyślał Corban, udając muchę przyklejoną do ściany.

-Wszystko w porządku, mamó. Kilka minut temu zaglądałam do piecyka powiedziała Annie do matki, która się odwróciła, by córka mogła ją pocałować w policzek. Annie cofnęła się nieznacznie, mrugając powiekami. - Cieszę się, że przyjechałaś, mamó.

-Nie widzę słodkich ziemniaków. Nie ugotowałaś?

-Przyniesie je Arba.

-Kto to jest Arba?

-Sąsiadka babci z naprzeciwka. Niebawem dołączy do nas z dziećmi.

Ta informacja wyraźnie nie ucieszyła matki Annie.

-Sprawdzę, co robią moje dzieci - Jeanne ruszyła do tylnych drzwi. Corban został uwięziony między salonem a kuchnią.

-Myślałam, że to będzie rodzinne spotkanie.

Annie się zarumieniła i mrugnęła do niego przepaszająco. Postanowił się ratować.

-Leota zlitowała się nad biednymi, głodującym studentem - powiedział żałośnie.

-Ach, oczywiście nie miałam na myśli pana - odparła Eleonora. Kłamczucha. Spojrzał jej prosto w oczy.
-Nie ma sprawy, pani Gaines. Zrozumiałem, co chciała pani powiedzieć. Annie spojrzała na niego zboląłym wzrokiem.
Eleonora odwróciła się do niego plecami.
-Anne-Lynn, naprawdę uważam, że powinnaś jeszcze raz zajrzeć do tego indyka...
Corban chciał je przeprosić i wyjść do łazienki. Może zdołałby precyzyjnie się przez okienko i uciec.
Annie jakoś udało się namówić matkę, żeby poszła do salonu i usiadła. Telewizor grał na cały regulator i rozmawiający musieli podnosić głos. Zamieszanie dodatkowo spotęgowało nadejście Arby, która przyniosła w prezencie słodkie ziemniaki i placek.
-Leota, dzieci wejdą przez tylną furtkę. Zdaje się, że już spotkały twoje wnuki przy płocie.
-Tylna furtka? - Perfekcyjna linia brwi Eleonory uniosła się, tworząc łuk.

-Na litość boską, George, przycisz ten telewizor. - Gdy to uczynił, Eleonora spojrzała na matkę. - Jaka furtka?
-Ta, która jest tam od lat. Sam naprawił zawiasy parę tygodni temu, gdy przyjechał odwiedzić Annie.
-Sam? - Eleonora ściągnęła usta.
-Sam Carter. Bardzo miły młodzieniec - powiedziała Leota.
-To były więzień, mamó. - Wstała i znów skierowała się do kuchni.
-Ojej - szepnęła Leota. - Narozrabiałam.
Corban słyszał dobiegający z kuchni głos Eleonory, choć nie mówiła głośno. Zdawało się, że wszyscy wstrzymali oddech.
-Nie wiedziałam, że spotykasz się z Samem Carterem - mówiła - choć oczywiście po tym, jak zachowywałaś się w ostatnim czasie, nic j nie powinno mnie dziwić.
-Nie spotykam się z nim w taki sposób, j masz na myśli, mamó - odparła Annie spokojnym, cierpliwym tonem. - Tylko się przyjaźnim
-Ach, oczywiście. Tak się dzisiaj nazywa ni przyzwoite związki, nieprawdaż? Fred wstał z poblądłą, napiętą twarzą.
-Przepraszam.
Przemówił do niej łagodnie, ale zastygła w dużej pozie Eleonora nie miała zamiaru słuchać.
-To sprawa między mną a moją córką, Fre Nie wtrącaj się, proszę.
-Mamó, proszę...
-Od początku wiedziałam, że ten dzień będzie kompletną katastrofą. Po prostu wiedziałam! Ni mówiłam?
-Zamknij się, Noro.
-Coś ty do mnie powiedział?
-Dobrze słyszałaś, pozostali zresztą też. Jeśli ten dzień okaże się

katastrofą, to będzie twoj wina. A teraz wracaj do pokoju i usiądź!

Corban spojrział na Leotę i dostrzegł wzbierające w jej oczach łzy. Jeszcze chwila i zaczęły spływać jej po policzkach. Zerknął na Arbę - na jej twarzy malowało się współczucie pomieszane ze złością. George zacisnął szczękę, nie odrywając oczu od telewizora. Jeanne siedziała, zmuszając się do uśmiechu. Głosy w kuchni przycichły, lecz były równie gniewne, zaciekle, natrętne. Corban wstał. -Chyba wyjdę do ogrodu zaczerpnąć świeżego powietrza. - Nie będzie im go brakować, jeśli się wymknie. -Nawet o tym nie myśl - odezwała się Leota, patrząc na niego przenikliwie.

-O czym?

-Dobrze wiesz, o czym, Corbanie Solseku. Zostajesz.

George popatrzył na nich, marszcząc brwi. Kiedy Corban odwzajemnił jego spojrzenie, tamtemu drgnął mięsień w szczęce i George znów odwrócił twarz do telewizora.

-Niech idzie, jeśli chce, mamó.

To wystarczyło, żeby Corban podjął decyzję.

-Nie pójdę daleko, Leoto. Tylko na werandę.

-Obiecujesz?

-Obiecuję.

Nie wrócił do środka, póki nie podano obiadu na stół. Pieczeń z indyka była doskonała, choć Eleonora Gaines nie potrafiła tego przyznać. Siedziała przy stole sztywna, z pobladłą twarzą, zaciśniętymi ustami i wzrokiem spuszczonego w dół, podczas gdy Jeanne, Arba, Annie i Leota rozmawiały.

-Zmówmy modlitwę - zaproponowała Leota. Zajmowała honorowe miejsce u szczytu stołu. Oczy Annie znów lśniły. Jedną rękę podała babci, drugą matce.

Wszyscy złączyli dłonie, choć niektórzy uczynili to mniej skwapliwie niż inni. Corban czuł się nieswojo, ale Arba chwyciła go za rękę i posłała mu zachęcający uśmiech.

-Panie, to Ty sprawiłeś, że dzisiaj cała moja rodzina po tylu latach znów zgromadziła się pod jednym dachem. Dziękuję Ci, Jezu. - Głos Leoty był chrapliwy. Zawahała się, po czym dodała - Otwórz nasze umysły, Ojcze, otwórz też nasze serca. Zasiądź z nami przy stole. Prosimy w imię Twego umiłowanego Syna, Jezusa. Amen.

Podano półmiski zjedzeniem.

-Nadzienie jest bez kasztanów - skosztowawszy kęs, Eleonora spojrzała na Annie. - Dodałaś ostrygi?
443

-Tym razem nie.

-Nigdy nie jadłam lepszego nadzienia - rzekła z entuzjazmem Jeanne. - Wszystko jest wspaniałe, Annie.

Zacisnąwszy wargi, Eleonora zerknęła na Jeanne i jadła dalej w milczeniu. Wszyscy siedzieli w napięciu i mieli się na baczności.

Z kuchni dobiegł śmiech dzieci.

-Co one tam robią?

-Bawią się - odparł krótko Fred.

Corban pomyślał o swojej rodzinie. Pamiętał nerwową atmosferę w dniu Święta Dziękczynienia, kiedy matka harowała w kuchni, a ojciec pracował w pokoju. Święteczny dzień różnił się od innych tylko tym, że sprzedawcy i klienci nie dzwonili do biura. Dzięki temu ojciec mógł odpocząć od rozmów przez telefon, ale nie od swojej obsesji. Nawet gdy już osiągnął szczyt, nie potrafił odpoczywać,

ciesząc się swoim sukcesem. Pamięć dzieciństwa spędzonego w ubóstwie przez całe życie zmuszała go, by zmazał piętno dorastania „w złej dzielnicy”. Kierowało nim poczucie niższości.

Rodzice Corbana mieszkali w dużym domu w ekskluzywnej dzielnicy, ze strażnikiem przy bramie, ale nawet to nie zmieniło ojca. Wciąż parł do przodu. Aż pewnego dnia rozległy atak serca zdmuchnął go z ziemi. Umarł przy biurku. Matka opłakiwała go przez kilka lat, a potem powtórnie wyszła za mąż. Teraz ustanawia nowe tradycje. Święto Dziękczynienia w Paryżu. Boże Narodzenie w Genewie.

Zawsze gotuje kto inny.

Nagle przeszła go zimna, spontaniczna myśl, od której ścisnęło mu się serce. Czy jestem taki, jak mój ojciec? Wciąż muszę się sprawdzać? W jakim celu? I dla kogo? Co ja robię? Dokąd zmierzam?
-Dobry obiad, Annie - powiedział George, wstając. Zostawił talerz na stole i nie zadał sobie trudu, żeby dosunąć krzesło.

-George - Jeanne była wyraźnie zirytowana.
-Chcę tylko sprawdzić wynik. - Włączył telewizor i rozsiadł się na kanapie.
-Dlaczego od czasu do czasu nie wyłączą prądu? - Jeanne zacisnęła usta.
-W czasie wojny co i rusz mieliśmy zaciemnienie - powiedziała Leota. Włączała się syrena, zamykaliśmy okiennice i wyłączaliśmy wszystkie światła. Czasami dzieci śmiertelnie się bały. Komendantem obrony cywilnej na naszej ulicy była Melba. Mieszkała dwa domy dalej. Wychodziła na ulicę, spacerowała w tę i z powrotem i sprawdzała, czy wszędzie światła są pogaszone. Wasza babcia...
-Nikt nas nigdy nie zbombardował - wtrąciła niecierpliwie Eleonora.
-Nie, jeśli nie liczyć Pearl Harbor, kochanie.
Eleonora poczerwieniała.
-Pearl Harbor jest za oceanem, mamo. A wojna skończyła się kilkadziesiąt lat temu.
Corban miał ochotę pochylić się nad stołem i uderzyć ją w twarz. Kto ją nauczył mówić do Leoty takim okropnym tonem? Zacisnął zęby, przypominając sobie, że nie jest członkiem tej rodziny i to nie jego sprawa.
Annie zerknęła na babcię.
-Chciałabym posłuchać o wojennych czasach.
-Po co? Byliśmy biedni jak myszy kościelne. Mamy nigdy nie było w domu. A babcia i dziadek Reinhardt ciągle się sprzeczali.
-Naprawdę? - Leota uniosła brwi.

-Zwykle o ciebie. I o pieniądze. A raczej o ich brak. Pewnie nigdy nie przyszło ci do głowy, że byliśmy dla nich ciężarem. Trzy dodatkowe buzie do wyżywienia. Babcia Helena nie była zadowolona, że zrzuca się na nią odpowiedzialność za dwójkę dzieci, i nie kryła tego przed nami.

-Mamo! - Annie była blada.

-Daj spokój - Leota nakryła ręką jej dłoń. Potem nie odzywała się wiele. Siedziała cicho i dziobała widelcem dziękczynny obiad, podczas gdy Annie i Jeanne próbowały skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. Jednak bez względu na to, jaki temat rozpoczęły, trafiały na pole minowe przygotowane przez Eleonorę. Gdy tylko matka Annie skończyła jeść, zaczęła zbierać naczynia. Brzęk porcelany i sztućców zdawał się ogłaszać, że - niezależnie od tego, czy wszyscy skończyli - obiad dobiegł końca.

-Ja posprzątam - powiedziała, odsuwając krzesło.
Łzy nabiegły Annie do oczu.
-Pomogę ci - Arba zaczęła wstawać od stołu.

-Nie, dziękuję. Sama to zrobię.

Arba stała na wpół uniesiona z krzesła, dopóki Leota się do niej nie

uśmiechnęła.

-Usiądź, kochanie. To nic osobistego. Eleonora po prostu lubi robić

wszystko po swojemu.

Fred spuścił wzrok na stół.

-Przykro mi, Leoto. Annie...

-To nie twoja wina, Fred - powiedziała cicho Annie i opuściła głowę.

Gdy tylko mecz się skończył, George wstał i oznajmił, że na nich już czas.

Mitzi i Marshall zaczęli protestować, lecz jedno spojrzenie ojca ich uciszyło.

Eleonora, wielka męczennica, wróciła właśnie z kuchni.

-A deser, George? - Jeanne rzuciła mu gniewne spojrzenie. - Jeszcze nie próbowaliśmy ciast.

-Dobrze. W takim razie zjemy ciasto i pójdziemy.

-My chyba też powinniśmy się zbierać, Fred.

-Eleonora nawet nie usiadła. - Jestem wykończona.

Zapadła krępująca cisza. Arba wstała z wyściełanego krzesła, stojącego nieopodal korytarza.

-Proszę spocząć, pani Gaines. Nogi nie będą pani bolały.

Annie wstała, żeby podać ciasta.

-Na co macie ochotę? Jabłecznik, legumina, placek z dyni czy słodkich ziemniaków?

-Ze słodkich ziemniaków! - zawołały jednym głosem dzieci Arby.

-Jabłecznik! Placek z dyni! - radośnie zakrzyknęli Mitzi i Marshall.

Eleonora się skrzywiła.

-Czy one muszą tak krzyczeć?

-A może każdego po trochu? - zaproponowała Leota.

-Otóż to - rozpromieniła się Arba.

Eleonora przewróciła oczami.

-Dla mnie nic, Anne. Jestem zbyt zmęczona, żeby mieć ochotę na cokolwiek. Jak skończycie, pozmywam naczynia.

-Jabłecznik - rzekł George z kamienną twarzą. Może jego drużyna przegrywała.

-Corban, a ty? - spytała Annie.

-Jeśli nie masz nic przeciwko, zjem później.

-Przy odrobinie szczęścia Królowa Śniegu sobie pójdzie i wróci mu apetyt. Nic tak nie zakwasza człowiekowi żołądka, jak kłótniwa kobieta.

Gdy Annie weszła do kuchni, żeby pokroić ciasta, zobaczyła stojącą na stoliku brytfannę - wymytą tak dokładnie, jakby ktoś ją szorował piaskiem. Annie zajrzała do lodówki. Co matka zrobiła z indykiem i resztkami jedzenia? Z drżącym sercem otworzyła szafkę pod zlewem. No tak, mięsny szkielet tkwił w koszu na śmieci razem z kandyzowanymi i tłuczonymi ziemniakami oraz groszkiem. Nici z kanapek, zapiekanek i zupy z indyka.

Arba, która przyszła pomóc Annie pokroić ciasta, stanęła tuż za nią. Annie przełknęła ślinę i cicho zamknęła drzwi szafki, walcząc z ogarniającym ją uczuciem przykrości i poniżenia. Oczy zapiekły ją od łez.

-Tak mi przykro, Arba. - Jak matka mogła wszystko wyskrobać i wyrzucić do śmieci?

-Czemu ci przykro, dziewczyno? Nie zrobiłaś nic złego. - Oparła ręce na

biodrach i rozejrzała się dokoła. - No, przynajmniej w kuchni jest czysto. Annie zaśmiała się cicho, ale głos jej się łamał.

-Och... - zakryła twarz dłońmi. Jak poczuje się babcia, kiedy się o tym

dowie?

Arba otoczyła ją ramieniem.

-Złotko, to był najlepszy dziękczynny obiad, jaki jadłam, odkąd moja mama

poszła do domu Pana. Nie pozwól, by ktokolwiek, nawet własna matka, odebrał ci

tę radość!

Wciąż lekko drżąc, Annie skinęła głową.

-Dziękuję, Arba.

-Zaparzę kawę.

Annie kroїła ciasto w milczeniu. Kiedy na wszystkich talerzykach znalazły się

zamówione kawałki, zaniosiła je do salonu po dwa w kaźdej ręce i podała gościom. Nie patrzyła na matkę. Uczucie przykrości zamieniło się w złość. Modliła się, żeby

matka do wyjścia nie odezwała się już ani słowem.

-Przydałaby się kawa - powiedziała Eleonora.

-Arba robi kawę.

-Pomogę jej. - Zaczęła się podnosić z kanapy.

-Nie, nie pomożesz. Zrobiłaś już dość, mamó.

-Nie musisz być taka niegrzeczna, Anne-Lynn. Pozmywałam tylko naczynia.

Wtedy Annie na nią spojrziała. Ściszyła głos.

-Nie tylko to. Zrobiłaś o wiele więcej.

Matka się zarumieniła i odwróciła wzrok. Fred spojrział na Annie z zakłopotanym i pytającym wyrazem twarzy.

-Twoje ciasto - zmusiła się do uśmiechu i podała mu talerzyk z plackiem ze słodkich ziemniaków. Nora siedziała z opuszczoną głową.

Gdy Annie wyszła z pokoju, wyboraziła sobie, co się dzieje w umyśle matki.

Prawdopodobnie obmyśla ripostę, przeżuwa słowa, szuka sposobu, by wypluć je we własnej obronie. Tym razem jednak Annie nie miała zamiaru czuć się winna. Cokolwiek matka powie, Annie nie pozwoli, by te słowa przeszły jej serce i zepsuły dzień.

Corban wszedł do kuchni.

-Będę się zbierał. Dzięki za obiad, Annie. Był świetny.

-Na pewno nie chcesz dłużej zostać? - Wiedziała, że babcia lubi się z nim przekomarzać, a miała przeczucie, że pozostali goście wkrótce sobie pójdą.

-Muszę się pouczyć.

Spojrziała na niego.

-Wiem, że to nie jest odpowiedni czas, Corban, ale chciałabym wiedzieć, co cię gnębi.

-Nie, nie chciałabyś. - Oczy pociemniały mu ze złości.

-Nie powiedziałabym tego, gdybym tak nie myślała. Przyjaciele sobie pomagają.

Uśmiechnął się lekko.

-Więc może do ciebie zadzwonię.

-Będę tu przez cały weekend. Wiesz, że zawsze jesteś mile widziany.

Skinął głową i wyszedł, nie mówiąc nic więcej.

Arba podała kawę, a Annie w tym czasie zebrała puste talerzyki deserowe. Czuli, jak matka wodzi za nią wzrokiem, szukając jej spojrzenia. Weszła z powrotem do kuchni i ostrożnie wstawiła naczynia do zlewu. Umyje je potem, gdy wszyscy wyjdą.

-Lepiej już pójdziemy - powiedziała Arba, zwołując swoje dzieci. Nachyliła się nad Leotą i pocałowała ją w policzek, szepcząc jej coś do ucha. Leota się uśmiechnęła i delikatnie poklepała Arbę po policzku.

-Słodka z ciebie dziewczyna - powiedziała, po czym z wyraźnym zadowoleniem odbierała całusy od Tunishy i Keny i uściśnęła rękę Nileowi. - Do zobaczenia w poniedziałek o trzeciej.

George potraktował wyjście Arby jako znak, że i on powinien się szykować do wyjścia. Poszedł po palta, które Annie powiesiła w pokoju gościnnym. Marshall i Mitzi podziękowały babci za przyjemny dzień, choć były zbyt nieśmiałe, żeby pocałować ją na pożegnanie. Kiedy George wszedł z powrotem do pokoju, Leota z wysiłkiem podniosła się z fotela.

-Nie wstawaj, mamó. Sami wyjdziemy. Dziękujemy za miły dzień. - Musnął ustami jej policzek i złapał Jeanne za łokieć, skinąwszy głową w stronę drzwi.

-Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym pożegnała się z twoją matką? - Jeanne go wyminęła i uśmiechając się, nachyliła się nad Leotą.

-To najlepsze Święto Dziękczynienia, jakie mieliśmy od lat, mamó. Mam

nadzieję, że to powtórzemy.

Oczy Annie zasły łzami, gdy usłyszała zduszoną odpowiedź babci.

-Od lat modliłam się o to, żeby znów zobaczyć całą rodzinę razem.

-Ja też - odrzekła Jeanne chrapliwym głosem. Kiedy się wyprostowała, miała wilgotne oczy. Obeszła fotel Leoty i podeszła do Annie, przytuliła ją mocno i wyszeptała jej do ucha

-Świetnie się spisałaś, skarbie. I nie poddawaj się. - Poklepała ją po policzku i dołączyła do Georgea i dzieci, którzy stali już w drzwiach.

Wtedy Annie spojrzała na matkę. Napotkała jej wzrok i wciąż stojąc, czekała.

-Na nas chyba też już czas. - Nora wstała, wysoko uniósłszy podbródek. - Fred?

Fred również wstał, podszedł do Annie i mocno ją przytulił.

-Nie wiem, czym twoja matka sprawiła ci przykrość, Annie - wyszeptał - ale przykro mi z tego powodu.

-Przeżyję to.

-Wiem. - Pocałował ją w policzek.

Matka poszła po okrycia. Wróciła do pokoju i podała Fredowi jego płaszcz. Nasunął go na ramiona, wziął jej palto, rozpostarł i przytrzymał, aby mogła wsunąć ręce w rękawy i naciągnąć okrycie na siebie. Annie stała obok fotela babci, oparłszy ramię o podglówek. Matka posłała jej gniewne, surowe spojrzenie. Następnie przeniosła wzrok na babcię Leotę.

-Dziękujemy za miły dzień, mamó - powiedziała chłodno. - Anne-Lynn, zadzwonię i porozmawiamy później.

-Daj mi dzień albo dwa.

W oczach matki pojawił się błysk. Wyszła, a za nią, wolniejszym krokiem, poszedł Fred.

-O co chodzi? - spytała babcia Leota, gdy drzwi się zamknęły i zostały same.

-Nic, czym powinnaś się martwić, babciu. - Miała nadzieję, że matka da jej wystarczająco dużo czasu, by zdążyła ochłonąć z gniewu i poczucia krzywdy. Jeśli nie, obydwie tego pożałują.

Babcia westchnęła.

-Dom jest teraz zbyt cichy. Cieszę się, że wciąż tu jesteś.

Annie uklękła przy jej fotelu.

-Spędzimy razem cały weekend. Pamiętaj? Nie opuszczę cię aż do poniedziałkowego ranka.

-Przez parę dni możemy jeść to, co zostało ze stołu.

-Obawiam się, że nie, babciu. Wszystko zjedzone. - Po cichu wyjęła worek ze śmieciami, żeby babcia nie zobaczyła, co zrobiła matka. - Oprócz leguminy.

Babcia Leota uśmiechnęła się i nachyliła do wnuczki.

-Dziękuję ci, kochanie. Dziękuję za wszystko, co dzisiaj zrobiłaś. Od lat nie miałam tak doskonałego dnia.

Annie omal się nie rozpląkała.

-Ale udało nam się zebrać ich wszystkich pod jednym dachem, prawda, babciu?

-Wszystkich z wyjątkiem Michaela.

-Tak. I nie pozabijali się wzajemnie - w oczach Leoty rozbłysły figlarne iskierki. - Chociaż było parę momentów...

Annie wydała z siebie cichy, zduszony śmiech.

-Kocham cię, babciu.

-Kocham cię, babciu - zaskrzeczał z sypialni Barnaba. - Kocham cię, babciu.

-No nie - powiedziała Leota z niesmakiem. - Ten znowu swoje.

Annie się roześmiała i całe napięcie związane ze świątecznym spotkaniem pękło jak tama. Po policzkach spłynęły jej łzy.

-Kocham cię, babciu - Barnaba domagał się uwagi. Tak jakby mówił „Hej, nie zapominajcie o mnie!”

-Przyniosę go - powiedziała Annie. - Uspokoi się, jak tylko zakryjemy mu klatkę.

Leota przechyliła fotel do tyłu.

-Jeśli się nie zamknie, postaw odkurzacz na środku pokoju. Ostatnim razem to go uciszyło!

-Dobrze, że mam już to za sobą - powiedziała Nora, gdy jechali ulicą.

Spodziewała się, że Fred coś odpowie, ale się nie odezwał. Prowadził samochód w milczeniu, patrząc prosto przed siebie. Rozdrażniona, Nora włączyła radio.

Usłyszała jego ulubioną muzykę z lat sześćdziesiątych, ale nacisnęła przycisk wyszukiwania i zatrzymała go dopiero, gdy natrafiła na stację z muzyką poważną, mając nadzieję, że Beethoven czy ktokolwiek to był, ukoi jej zszargane nerwy.

-Co zrobiłaś, Noro?

Serce jej podskoczyło.

-Jak to co zrobiłam?

-W kuchni.

-Sama pozmywałam wszystkie naczynia.

-Arba proponowała ci pomoc.

-Liczyłam na chwilę sam na sam z moją córką.

-Bzdura. - Spojrzał na nią. Jedno surowe spojrzenie, pod którym nagle poczuła się bezbronna. Obnażona.

Dopadło ją poczucie winy. Rozdrażniona, skrzyżowała ramiona i wyjrzała przez okno.

-Mów, Noro. Co zrobiłaś?

-Wyrzuciłam resztki jedzenia. - Poczowała wstyd, ale tylko przez sekundę, nim instynkt samoobrony nie wziął góry. - To wszystko, co zrobiłam. Nikt nie lubi dojadać resztek przez nie wiadomo ile dni po Święcie Dziękczynienia.

-To zależy, kto gotował!

Energicznie obróciła głowę i spojrzała na niego.

-Co chcesz przez to powiedzieć? Że Annie gotuje lepiej ode mnie?

-Przez te wszystkie lata przyrządziłaś mi wiele wspaniałych posiłków, Noro, ale aż do dzisiaj nie miałem pojęcia, jak soczysty i wyborny może być indyk. -
Potem znowu spojrzał na nią. - Przyznaj się. Byłaś zazdrosna.

-Nie byłam.

-Nie? To jak inaczej można usprawiedliwić twoje paskudne zachowanie?

Czuła, że zaczynają ją piec policzki. Kiedy znów na niego spojrzała, patrzył na drogę z surowym błyskiem w oku.

-Zastanawiam się, czy ty się kiedykolwiek zmienisz, Noro. - Skręcił na zjazd z autostrady. - Jeśli nie, skończysz jako zgorzkniała stara kobieta.

-Jak moja matka?

Zwolnił i zatrzymał samochód na światłach.

-Może jest samotna, choć pewnie Annie, Corban, Arba i dzieciaki wypełniają lukę po tobie i Georgeu. Ale wiesz co? Nie zauważyłem u niej nawet cienia goryczy, nie takiej, jaką widzę w tobie. To zdumiewające, zważywszy na to, jak ją traktują własne dzieci.

Światło zmieniło się na zielone. Fred spokojnie wcisnął pedał gazu i skręcił w ruchliwą aleję.

-Mam powód do rozgoryczenia - powiedziała cicho Nora, mrugając powiekami, by odgonić łzy. - Ty po prostu nie rozumiesz. Nie wiesz, jak było.

-Więc może mi opowiesz?

-Przeprowadziła się z nami do dziadków i poszła do pracy. Wychodziła wcześniej rano i wracała dopiero późnym popołudniem. Po pewnym czasie czułam się tak, jakbym w ogóle nie miała matki!

-A babcia Helena?

Nora zamknęła oczy.

-Byliśmy dla niej ciężarem. Nie zliczę, ile razy powtarzała, że jest za stara, żeby opiekować się dwójką małych dzieci. Miała rację. To było nie fair wobec niej. Miewała straszne bóle głowy i kładła się na kanapie, przykładając do czoła zimny kompres. Mówiła wtedy, że z całą pewnością umiera. Żyłam w strachu, że w końcu naprawdę umrze i że to będzie nasza wina.

-A twój dziadek?

-Cały dzień spędzał w pracy. Zwykle czytał gazety, a potem pisał listy przy stole w jadalni. Z babcią rozmawiali po niemiecku. Po jakimś czasie zaczęłam rozumieć ten język i wiedziałam, że babcia wciąż narzeka na moją matkę. Dziadek zwykle przez chwilę tego słuchał, a potem wychodził na spacer. Czasami zabierał mnie i Georgea ze sobą. Chyba był nieśmiały. Nigdy wiele nie mówił. - Nora pamiętała tylko jedno zdanie „Wasza mama to dobra kobieta”. Powtarzał je co jakiś czas. Nora nie pojmowała, skąd u niego taka opinia o kobiecie, która zaniedbywała własne dzieci i troszczyła się tylko o własne przyjemności.

Fred wziął do ręki pilota od garażu i nacisnął przycisk. Nora zamilkła, przytłoczona smutkiem. Gdy Fred zaparkował i wyłączył silnik, odwrócił się w jej stronę ze słowami

-Mów dalej.

Nora zaczerpnęła tchu. Drżała.

-Babcia nie cierpiała mojej matki. Opowiadała nam, że podczas gdy ona musi się nami zajmować, matka chodzi sobie na tańce i do kina. Mówiła, że zatrzymuje

wszystkie pieniądze dla siebie i nigdy nie dokłada na nasze jedzenie. Nie pamiętam, żeby powiedziała o matce choć jedną miłą rzecz, kiedy ta była w pracy. Jak mama była w domu, babcia Helena krytykowała ją prosto w oczy, a moja matka po prostu stała i słuchała. Albo szła do ogrodu. Nienawidziłam jej za to. Chciałam, żeby się broniła i walczyła o nas, a kiedy wreszcie tak zrobiła...

Fred delikatnie ścisnął jej dłoń.

-Mów dalej.

-Pewnej nocy obudziłam się, słysząc, jak na siebie krzyczą. Babcia Helena mówiła coś po niemiecku, matka odpowiadała jej histerycznie, z płaczem, z furją. Potem usłyszałam płacz dziadka. I płacz babci. Nienawidziłam ich obu za to, że zrobili przykrość dziadkowi. Był bardzo łagodnym człowiekiem. Słyszałam, jak szlocha i mówi takim... takim złamanym głosem. Nie zrozumiałam jego słów, ale wiedziałam, że bardzo go skrzywdziły i... i nie mogłam im tego wybaczyć.

-A co z twoim ojcem?

-Po jego powrocie do domu było jeszcze gorzej. Bardzo się go bałam. Mama przez pewien czas była z nami w domu, a potem znów wróciła do pracy. Tak jakbyśmy jej nie wystarczali. A ojciec tylko siedział w fotelu i pił.

-Nie pracował?

-Pracował. Przez pewien czas prowadził własny interes, ale nic u niego nie trwało długo. Pamiętam, jak kiedyś przyszedł do domu wściekły, bo go zwolnili. George i ja schowaliśmy się pod łóżkiem, a on tłukł wszystkie rzeczy w salonie. Dużo później dziadek rozmawiał z nami o tym. Powiedział, że mojego ojca zmieniła wojna. Że zanim poszedł walczyć za ojczyznę, był mistrzem ciesielskim. Ale ja widziałam tylko mieszkanie za garażem, które zbudował dla babci i dziadka, oraz skrzynki piwa, które pochłaniał dzień po dniu. Nie widziałam, by robił cokolwiek innego.

Nora spojrzała na Freda, pragnąc, by ją zrozumiał, by jej współczuł.

-Czy możesz sobie wyobrazić, jak babka Helena musiała się czuć, oddając swój dom mojej matce? Potem rzadko tam przychodziła, właściwie tylko wtedy, kiedy ojciec sam ją zaprosił. Nienawidziłam Święta Dziękczynienia. Babka siedziała przy stole i do nikogo się nie odzywała. Jadła w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w talerz, a moja matka udawała, że jest szczęśliwa. - Dziś Nora skosztowała matczynego sosu do pieczeni i od razu wróciły wspomnienia. Wyrzucając tego indyka do śmieci, nie chciała sprawić Anne-Lynn przykrości. Chciała tylko wyrzucić przeszłość - i cały związany z nią ból. Wciąż miała przed oczyma twarz córki po wyjściu z kuchni bladą, ściągniętą, zbolaną, gniewną.

-Ale przecież twoja matka opiekowała się babką aż do śmierci.

Nora skinęła głową. Głośno przełknęła ślinę.

-Zastanawiałam się nad tym przez wiele lat. Nie mam pojęcia, jak znosiły wspólne życie, żywiąc do siebie takie, a nie inne uczucia. To musiało być istne piekło na ziemi. - Oparła głowę o zagłówek fotela i zamknęła oczy. - Matka pewnie czuła się winna, że ukradła dom moim dziadkom. Opiekowanie się babką było jakby pokutą.

-Jak się do siebie odnosiły, kiedy je odwiedza łaś?

-Odwiedzałam? - Zaśmiała się oschle. - Żar tujesz? Po co miałabym tam wracać, skoro wczesz niej nie mogłam się doczekać, żeby uciec z teg domu i od nich wszystkich? Wysłałam za Biyan Taggarta tylko po to, żeby stamtąd odejść. - Znó zaśmiała się oschle. - Ale dzięki niemu moje życie stało się lepsze. Przynajmniej mam Michaela. - Zacisnęła usta i odwróciła twarz, by Fred nie widział łez wzbierających w jej oczach. Syn nie zadał sobie nawet tyle trudu, żeby do niej dzisiaj zadzwonić. Zakryła usta dłonią, ramiona jej się trzęsły.

Fred popieścił kciukiem wierzch jej dłoni.

-Musisz o tym zapomnieć, Noro. Nie możesz zmienić przeszłości. Musisz zapomnieć i żyć dalej.

-To nie takie proste. Próbowałam.

Fred westchnął ciężko.

-Wciąż za nią tęsknisz, prawda? Nawet po tak długim czasie. Nie chcesz obdarować jej miłością, bo czujesz, że tobie jej odmówiono. Ale nigdy nie potrafiłaś całkowicie zabić tej miłości, prawda, Noro? Dlatego nie potrafisz jej wybaczyć.

Wysunęła dłoń z jego uścisku i poszukała w torebce chusteczki. Słowa Freda zabrzmiały tak, jakby jej córka wyprowadziła się z domu nie kilka miesięcy, a kilka lat temu.

-Wybaczyłabym Anne-Lynn, gdyby wróciła do domu, gdzie jest jej miejsce.

Fred wyjął kluczyki ze stacyjki.

-Nie mówiłem o Annie, Noro. Miałem na myśli twoją matkę. - Otworzył drzwi, wysiadł i zostawił ją samą w samochodzie.

Nim Annie wczesnym rankiem w poniedziałek wyjechała, Leota zdążyła załatwić z nią swoje sprawy. Czowała ulgę i była z siebie zadowolona, bo udało jej się uzyskać podpis Annie na kilku dokumentach, nie wzbudzając u wnuczki najmniejszych podejrzeń. Jeden komplet dokumentów był przeznaczony dla banku, a drugi dla Charlesa Rooksa, który przygotował wszystkie papiery tak szybko, jakby miała zaraz umrzeć.

Najbardziej martwiła się, jak przekonać Annie, żeby podpisała wszystkie przygotowane dla niej papiery. Gdyby wnuczka się zorientowała, co robi, mogłaby zaprotestować. Okazało się jednak, że Leota niepotrzebnie się niepokoiła. Wystarczyło powiedzieć Annie prawdę że potrzebuje kogoś, kto w razie potrzeby zajmie się jej sprawami. Ponieważ Eleonora wciąż się gniewa, a George jest taki zimny, wyznaczenie Annie na wykonawczynię testamentu i nadanie jej pełnomocnictwa było po prostu jedynym rozsądnym wyjściem.

Annie nie potrzebowała więcej informacji. Złożyła swój podpis w miejscach oznaczonych kropkowaną linią. Nawet nie przejrzała dokumentów. Spełniła życzenie Leoty. Mogłaby zrzec się własnego życia i nie miałyby to dla niej znaczenia. Oczywiście nie miała pojęcia, co dokładnie podpisuje. Leota powiedziała jej tylko pół prawdy...

Pierwszy raz od miesiąca Leota sama załatwiała swoje sprawy. Nadała list polecony do Charlesa Rooksa. Adwokat bezpiecznie przechowa akta w swoim biurze, tak jak to uzgodnili. Usiadła na ławce, żeby przez chwilę odpocząć, a następnie poszła do sklepu spożywczego i kupiła pieczonego kurczaka, surówkę z dołączonym do opakowania sosem i dwa ekliery. Czemużby tego nie uczcić? Załatwiła wszystko.

Po powrocie do domu czuła się wyczerpana. Nakarmiła Barnabę i usiadła, żeby trochę odsapnąć. Zagłębiła się w fotelu i oczy same zaczęły jej się zamykać. Dzięki Ci, Jezusie, za moją kochaną wnuczkę. Jest dla mnie lepsza niż dziesięć córek i synów. Proszę, strzeż jej i chroń ją w nadchodzących dniach, bo nie będą

łatwe. Daj jej mądrość, kiedy będzie musiała podjąć decyzję. Nie wiem nawet, o co się modlić dla Eleonory i Georgea, Panie. Czy to źle, że jeszcze czegoś pragnę?

Westchnęła i zapadła w drzemkę.

Dzieci Arby przyszły po szkole. Leota poczęstowała je kanapkami z masłem orzechowym i dżemem. Liczyły na indyka, ale powiedziała, że nic nie zostało. Przeczytała im dwa rozdziały z Tajemniczego ogrodu. Chciały więcej, ale kazała im przysiąść do lekcji. O piątej przyjechała Arba i zaprosiła Leotę na kolację.

-Po drodze kupiłam pizzę - powiedziała ku wielkiej i głośno wyrażonej uciesze dzieci.

-Nie dzisiaj, kochana, ale dziękuję.

Arba przyjrzała jej się uważnie.

-Dobrze się czujesz, Leoto?

-Dobrze, jestem tylko zmęczona po tym świątecznym zamieszaniu. - I rzeczywiście była półżywa, słabsza niż zwykle.

-Później jeszcze zajrzę do ciebie.

-Jeśli przyjdiesz później, to mnie obudzisz, a za to ci nie podziękuję.

Arba już dawno przywykła do ciętego dowcipu Leoty.

-Tak jest, proszę pani - uśmiechnęła się.

-Nie dolega mi nic takiego, z czego by mnie nie wyleczył porządny, długi odpoczynek.

-Jutro dzieci nie przyjdą, Leoto. Odbiorę je wcześniej ze szkoły, bo jedziemy do dentysty na przegląd.

Maluchy od razu zaczęły protestować.

-Jesteśmy w najlepszym momencie opowiadania!

-Aj, mamó.

-Ja nie muszę iść do dentysty.

Arba je uciszyła.

-Podziękujcie babci Leocie i zbierajcie się do domu. - Dzieci się pożegnały i wyszły, krocząc za Arbą jak małe kaczątka. Leota zachichotała i zamknęła drzwi. Bez wątplenia humor im się poprawi, kiedy Arba otworzy pudełko z pizzą. Pół godziny później zadzwoniła Annie.

Leota zmarszczyła brew.

-Arba do ciebie dzwoniła?

-Powiedziała, że wyglądasz na zmęczoną.

-Bo jestem zmęczona. Ale skoro odebrałam telefon, wiesz już, że nie jestem chora i wciąż jeszcze żyję.

-Myślałam...

Leocie nietrudno było sobie wyobrazić, co myślała Annie. Mając tak wrażliwe serce, wnuczka prawdopodobnie przejęła się podpisanymi dokumentami i tym, co mogą oznaczać. Biedactwo pewnie podejrzewa, że jej babka zaliczyła wszystkie bazy i teraz szykuje się do lotu, jak daleko wyrzucona piłka, tuż nad głową środkowego napastnika, poza boisko. Punkt zdobyty bieg prosto w ramiona Pana. O nie, za nic w świecie. Nie teraz. Nie, kiedy zobaczyła nikły płomień nadziei. Pojawił się w Święto Dziękczynienia.

-Czasami jak człowiek za dużo myśli, sam się wpędza w tarapaty, skarbie.

Dzięki temu, co zrobiłaś, będę spać spokojnie, Annie. Poza tym nie czuj się w obowiązku codziennie do mnie dzwonić. Poświęcaj więcej czasu na malowanie pięknych rzeczy i przestań się martwić o taką staruchę jak ja.

Mimo swoich zapewnień, nie mogła zasnąć. Była zmęczona i myśli mąciły jej się w głowie. W uszach brzęczało jej jak w ulu pełnym pszczoł. W końcu się poddała i wstała z łóżka. Musi jeszcze napisać do Eleonory i Georgea listy z wyjaśnieniem, dlaczego postąpiła tak, a nie inaczej.

Opatuliła się w szlafrok i usiadła przy stole w kuchni. Choć miała na nogach bambosze, stopy jej marzły. Nie chciała jeszcze włączać ogrzewania. Nigdy nie włączała go przed siódmą rano. A była dopiero trzecia.

Napisanie liściku do Annie było proste... Kochana Annie, otwarta, wolna od wszelkich uprzedzeń, podmuch świeżego powietrza w tym domu pełnym przebrzmiałych wspomnień. List do George sprawił jej trochę więcej kłopotu. Syn tak bardzo przypominał jej Bernarda, zachowującego wszystkie swoje zmartwienia dla siebie. O co może chodzić? O interesy? Dzięki Bogu George znieczula się za pomocą sportu w telewizji, a nie alkoholu. A może to wcale nie lepiej? Leota miała nadzieję, że Jeanne przebije się do niego, jeszcze zanim dzieci dorosną i wyprowadzą się z domu.

Eleonora to osobna sprawa. Leota napisała na brudno trzy listy i wszystkie wyrzuciła. Za każdym razem, gdy podejmowała próbę wytłumaczenia córce wszystkiego, czuła coraz głębszą rozpacz. Żadne wyjaśnienia nie przemówią do człowieka, który już sformułował swoją opinię, a Eleonora była jak kamień. W końcu Lota napisała to, co czuła. Mogła zrobić tylko jedno wyznać prawdę. Prosto, krótko, szczerze. Niech Eleonora zrobi z tym, co uważa za stosowne. Złożyła list i wsunęła go do koperty. Następnie położyła wszystkie listy w

miejscu, w którym - miała nadzieję - pewnego dnia ktoś je znajdzie.

Czuła się dziwnie. Zaniepokojona, usiadła na krawędzi łóżka. Szum w uszach narastał. Działo się coś osobliwego... a potem brzdęk w głowie, jedno małe ukłucie bólu, i dziwne ciepło - jakby czyjaś dłoń przykryła jej ucho. Prawe ramię jej zdrętwiało. Kiedy wstała, chcąc się udać do łazienki, nie miała czucia ani siły w prawej nodze. Był tylko ogromny ciężar, który ciągnął ją coraz niżej i niżej...

Usłyszała głuchy łoskot, ale nie wiedziała, skąd dobiegł. Jak to się stało, że leży teraz na zimnej drewnianej podłodze?

Corban wszedł po schodkach i zobaczył dwie gazety leżące na werandzie. Przymocowana tuż przy frontowych drzwiach skrzynka pocztowa była wypchana po brzegi. Zmarszczył brew, zadzwonił i czekał. Żadnej odpowiedzi. W środy rano Leota zazwyczaj oglądała telewizję. Teraz jednak z wewnątrz nie dobiegały dźwięki telewizora. Wciąż marszcząc czoło, Corban poszedł na tyły domu. Czasami, czekając na niego, Leota siadywała przy kuchennym stole i rozwiązywała krzyżówki.

Rolety były zsunięte. Jak nigdy przedtem w ciągu dnia. Zaklął i pobiegł z powrotem do frontowych drzwi.
-Leota! - zabębnił w nie pięściami. Wciąż żadnego odzewu, żadnego dźwięku.

Sięgnął do kieszeni, wyjął pęk kluczy i podzwaniając nimi, odnalazł ten, który mu dała. Wetknął go do zamka i otworzył drzwi.

-Leota? - Pierwszy raz wszedł do jej domu bez zaproszenia, zostawiając za sobą lekko uchylone drzwi. Fetor - jakby zatkanej ubikacji - podrażnił jego nozdrza. Oddychając przez usta, jeszcze raz zawołał Leotę. Wszedł do korytarza i zobaczył ją - leżała na podłodze obok łóżka. Wyglądała na martwą.

Zrozpaczony, Corban przyklęknął na jedno kolano. Złapał ją za nadgarstek. Skórę miała cienką jak papier i była zimna. Otwarte oczy zdawały się pozbawione wyrazu, dopóki delikatnie nie położył na nich dłoni, chcąc je zamknąć. Leota zacharczała - on zaś, zdumiony, odskoczył do tyłu.

-Wezwę pomoc - powiedział. Nie chciał zostawiać jej na podłodze, ale bał się ją podnieść i położyć na łóżku. Może upadając na podłogę, złamała sobie jakąś kość? Jeśli ją ruszy, może jeszcze bardziej zaszkodzić. Wstał, jednym szarpnięciem ściągnął z łóżka narzutę i troskliwie otulił nią Leotę.

-Trzymaj się, Leota. Nie umieraj mi!

Gdy już zadzwonił, otworzył frontowe drzwi, wrócił do sypialni i usiadł na podłodze obok Leoty.

-Wytrzymaj jeszcze trochę - unosił jej dłoń i zaczął ją masować. - Trzymaj się - powtarzał to jak mantrę. - Trzymaj się, trzymaj się. - A w myślach krzychał Szybko, szybko! Karetka przyjechała po dziesięciu minutach, najdłuższych dziesięciu minutach w życiu Corbana. Podniósł się z podłogi i zrobił miejsce sanitariuszom, czując się całkiem bezradnie, gdy wykonywali swoją pracę. Działali szybko i sprawnie, jednak było oczywiste, że sytuacja nie wygląda dobrze.

-Za bardzo odwodniona... - powiedział jeden z pielęgniarzy.

-Puls wyczuwalny...

-No to jedziemy!

-Pan jest krewnym?

-Przyjacielem. Powiadomię rodzinę. Dokąd ją zabieracie?

Pielęgniarka podała mu nazwę szpitala.

-Chwileczkę! - Corban zastąpił im drogę, zanim wywieźli Leotę na noszach przez drzwi. Bał się, że już na zawsze zabierają ją z jego życia. Drżącą ręką chwycił bezwładną dłoń.

-Leota. - Skierowała spojrzenie w jego stronę, oszołomiona, przestraszona. Nie był pewien, czy go rozumie.

-Zadzwoń do Annie. Potem przyjadę do szpitala. - Delikatnie ścisnął jej dłoń. - Trzymaj się!

Gdy tylko otworzyły się drzwi i do sali weszła Susan, Annie wiedziała, że stało się coś złego.

-Dzwonił Corban. Twoja babcia zasłabła. Karetka zabrała ją do szpitala.

Annie szamotała się z przyborami malarskimi, starając się nie rozpłakać.

-Wyjdzie z tego?

-Nie wiem, Annie.

Wszyscy jej się przyglądali - jedni ze współczuciem, inni podenerwowani, że im przeszkadza w pracy. Podszedł nauczyciel.

-Proszę jechać, pani Gardner. Zabiorę pani rzeczy i zostawię w sekretariacie.

-Który szpital? - spytała Annie, biegnąc z Susan korytarzem. Rozplakała się. - Och, Suzie. Gdy Arba zadzwoniła w poniedziałek wieczorem, wiedziałam, że coś jest nie tak. Powinnam była wtedy wrócić.

-Babcia sama ci mówiła, że nic jej nie jest.

-Nie powinnam była jej uwierzyć. Powinnam sprawdzić. Powinnam do niej zadzwonić wczoraj wieczorem.

-Annie, nie możesz być wszędzie jednocześnie. Poza tym nikt nie wie, kiedy nadchodzi jego czas. - Skrzywiła się. - Przepraszam. - Wyszły przed budynek i owionęło je mgliste popołudniowe powietrze. Zasnute chmurami niebo wróżyło deszcz.

-Lepiej ja poprowadzę - powiedziała Susan, kiedy dotarły na parking. - Nie nadajesz się, żeby siadać za kierownicą.

-Ale ty masz pracę.

-No to niech mnie zwolnią!

Annie głęboko zaczerpnęła powietrza, próbując się opanować. Boże, wiem, że Ty masz nad wszystkim władzę. Bez względu na to, co się stanie, życie babci jest w Twoich rękach.

-Dam sobie radę, Suzie. Wiedziałam, że to się kiedyś stanie. - Och, Boże, nie tak prędko. Spędziłam z nią tak mało czasu. Chcę więcej!

-Podaj mi rękę. - Susan stanęła przed drzwiami kierowcy i wyciągnęła przed siebie rękę z nie- znoszącym sprzeciwu spojrzeniem. - Nie pozwolę ci odjechać, dopóki nie przestaniesz się trząść. -Annie odwzajemniła jej gest. Susan przez chwilę trzymała jej dłonie. - W porządku. - Pocałowała Annie w policzek. - Tylko jedź powoli, dobrze? Nikomu nie pomożesz, jak rozwalisz auto po drodze do szpitala.

-Będę ostrożna. Obiecuję. - Otworzyła drzwi samochodu i wślizgnęła się do

środka.

-Pas. - Susan stała obok i obserwowała przyjaciółkę.

-Tak, mam - odparła sucho Annie. - Oj, dzwoniłaś do mojej mamy?

-Zadzwonię, jak tylko przyjadę do pracy. Dzięki temu zdążysz dojechać do

szpitala, zanim ona przyjedzie.

Jeśli przyjedzie. Ta myśl pojawiła się sama. Czy matka zada sobie tyle trudu?

Och, Boże, jeśli moja matka teraz nie przyjedzie, pojedę po nią i zawlokę do

szpitala za włosy!

Walcząc z napływającymi do oczu łzami, Annie uruchomiła silnik i wycofała samochód. Świadoma tego, że Susan ją obserwuje, starannie zmieniła bieg i powoli wyjechała z parkingu. Skręciła na jezdnię i pognęła do szpitala.

Trzymaj się, babciu. Boże, nie zabieraj jej jeszcze. Błagam, nie zabieraj jej!

Dotarłszy do szpitala, Corban nie mógł się zbyt wiele dowiedzieć o stanie Leoty. Wszędzie padało pytanie „Czy jest pan członkiem rodziny?” Kiedy odpowiadał, że jest tylko przyjacielem, nie chcieli mu udzielić żadnych informacji. Wahali się nawet wtedy, gdy powiedział, że to on znalazł Leotę i wezwał pogotowie.

Przygnębiony i zaniepokojony, udał się do poczekalni. Gdy Annie przyjedzie, powie mu, co się dzieje i jak się czuje Leota. Nie pójdzie do domu, dopóki się tego nie dowie.

Zjawiła się wreszcie. Biegła korytarzem, twarz miała bladą jak kreda.
-Przywieziono tu moją babcię, Leotę Reinhardt. Może mi pani powiedzieć,

gdzie ona jest?

Kiedy dotknął jej ręki, odwróciła się.

-Och, Corban! - Rzuciła mu się w ramiona. - Dzięki Bogu, że ją znalazłeś!

Pielęgniarka spojrzała na niego przepraszająco i poinformowała Annie, że babcia wciąż przechodzi badania. Poszła powiedzieć lekarzowi, że przyjechała wnuczka pani Reinhardt.

Siedli razem w poczekalni, lecz Annie nie mogła długo usiedzieć w miejscu. Chodziła tam i z powrotem, co i rusz siadała, wstawała i wyglądała przez okno. Jednak to Corban pierwszy zauważył Freda i Eleonorę. Eleonora Gaines była blada i zdenerwowana, patrzyła pośpiesznie, ale oczu nie miała zaczerwienionych od

płaczu, tak jak Annie.

-Mamo! - Nie rzuciła się matce w ramiona, lecz zachowała bezpieczny dystans. - Dzięki Bogu, że przyjechałaś!

-Co on tutaj robi?

Widząc, że na twarz jego przyjaciółki szybko wstępuje rumieniec, Corban zacisnął pięści. Jak to możliwe, że taka kobieta jak Eleonora Gaines wydała na świat Annie?

-Corban znalazł babcię. To on zadzwonił na pogotowie. - Annie uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. - Czekaj, żeby się dowiedzieć, co z babcią.

-A jak ona się czuje?

-Miło, że pani zapytała - Corban nie zdołał się powstrzymać.

-To nie jest stosowna uwaga - powiedział cicho Fred, mocno ściskając łokieć żony.

-Przepraszam. - Corban przejechał ręką po włosach. Faktycznie za szybko się odezwał, ale Eleonora Gaines swym zachowaniem doprowadzała go do szału. Annie znów płakała. Odwróciła się od matki i ojczyma i usiadła na kanapie, chowając twarz w dłoniach. Eleonora chyba czuła się nieswojo.

-Anne-Lynn. - Podeszła do niej z wahaniem, ręka zwisała jej nad głową córki. Usiadła na kanapie obok niej. - To nie stało się nieoczekiwanie.

-Dla mnie owszem - załkała Annie.

-Weź się w garść, kochanie. - Eleonora omiotła spojrzeniem ludzi, siedzących w poczekalni, z niechęcią zerknęła na Corbana. Odwzajemniam to uczucie, droga pani.

Ze skórzanej torebki wyjęła elegancką chusteczkę i podała ją Annie.

-Twoja babcia jest bardzo stara. To nieuniknione, że jej stan zdrowia się pogarsza. Wszystkich nas to czeka, kochanie.

Annie spojrzała na matkę, odsuwając się nieco.

-To twoja matka! Nie obchodzi cię nawet to, że możesz ją stracić?

Słyszając to, Eleonora pobladła. Zastygła w bezruchu, Annie zaś wstała i znowu zaczęła przemierzać poczekalnię niespokojnym krokiem.

-Oczywiście, że mnie obchodzi - rzekła Eleonora poniewczasie, a jej chmurne spojrzenie wyrażało jakieś nieokreślone uczucie.

Annie obróciła się do niej twarzą

-Od kiedy ona coś dla ciebie znaczy, mamó? Czy postarałaś się, żeby Święto Dziękczynienia było dla twojej matki wyjątkowe? Ani trochę. Przyszłaś na świąteczny obiad tylko dlatego, że nie udało ci się przekonać wujka Georgea, by tam nie szedł, i dlatego, że ja nie przyjechałabym do domu!

-Nie waż się tak do mnie mówić! - Eleonora podniosła się z kanapy.

-Dlaczego, mamó? Bo to prawda? - Po policzkach Annie spłynęły łzy i Corban musiał się powstrzymać, by do niej nie podejść i nie wziąć jej w ramiona. Zrobiłaś wszystko, żeby zespuć babci ten dzień i uprzykrzyć go pozostałym gościom. Nawet wyrzuciłaś indyka!

Eleonora spłoszowała. Rozejrzała się dokoła, w pełni świadoma, że ludzie w

poczekalni przestali przyglądać się Annie i patrzą teraz na nią.

-W tej chwili się opanuj, Anne-Lynn.

Corban wybałuszył oczy. Głos pani Gaines drżał.

Annie natomiast mówiła stanowczym tonem.

-Dlaczego? Bo jesteś zakłopotana? Powinnaś być.

-Robisz z siebie pośmiewisko.

-I co z tego? Myślisz, że mnie obchodzi, czy robię z siebie pośmiewisko?

Jaka matka, taka córka!

-Annie... - odezwał się łagodnie Fred.

Odwróciła się w jego stronę.

-Nie broń jej! Może gdyby dawno temu ktoś powiedział jej prawdę, nie miałyby tak zatwardziałego serca.

-Jak możesz oskarżać mnie o coś takiego? - teraz płakała też Eleonora. - Po wszystkim, co dla ciebie poświęciłam.

-Poświęciłaś, mamó. I ani przez chwilę nie dałaś Michaelowi i mnie o tym zapomnieć. Przypominałaś nam o tym na każdym kroku. Tylko

O co w tym wszystkim chodziło? Chciałaś móc się nami przechwalać. Patrzcie tylko, co osiągnęła Eleonora! Ani razu nie poświęciłaś się z miłości. Nie tak, jak babcia Leota poświęciła się dla ciebie

i wujka Georgea.

-Nie wiesz, jak było!

-To ty nie wiesz, mamó! Nigdy nie wiedziałaś! Nigdy ci nie zależało, żeby się dowiedzieć!

Z pełnym udręki spojrzeniem Eleonora chwyciła torebkę i wetknęła ją pod pachę.

-Nie będę tego dłużej słuchać! - Opuściła poczekalnię energicznym krokiem, pełną parą, jak „Titanic” zmierzający prosto na lodowiec.

-Jasne, mamó! Uciekaj! - zawołała za nią Annie. - Zawsze to robisz, kiedy coś idzie nie po twojej myśli. Proszę bardzo. Idź sobie! - Po tych słowach usiadła, łkając.

-Są rzeczy, o których nie wiesz, Annie. Słyszac cichą uwagę Freda, Annie spojrziała na niego.

-Nie waź się powiedzieć złego słowa na moją babcię, Fred. Wiesz o niej tylko to, co powiedziała ci mama. - Ciasno splotła dłonie, jakby próbowała ukryć gwałtowność swoich uczuć.

Na twarzy Freda malowało się współczucie.

-Nie miałem zamiaru występować przeciwko Leocie. - Usiadł obok Annie i położył jej ręce na dłoniach. - Twoja mama kocha Leotę bardziej, niż potrafisz to zrozumieć, skarbie. Ona tylko boi się to okazać.

-Więc lepiej niech się pośpieszy i nauczy, jak to robić!

Corban nie mógł dłużej tego słuchać. Musi wyjść z poczekalni, przejść się. Gdzieś. Wszystk jedno gdzie. Emocje Annie i Eleonory wzburzy jego własne uczucia. Musiał zacisnąć zęby, żeb nie wtrącić się do tej awantury zamiast tego wyszedł pospacerować po korytarzu. Zatrzym się dopiero przy dyżurce.

-Wiadomo już coś?

-Jak tylko się czegoś dowiemy, poinformuję rodzinę, panie Solsek.

-Dzięki. Wielkie dzięki. - Z hałasem otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Przy ścianie stała zgarbiona Eleonora Gaines. Gdy zobaczyła Corbana, odwróciła twarz.

Zacisnął usta i ruszył przed siebie.

Leota starała się nie dopuścić do tego, by zawładnął nią strach, ale w nieznanym otoczeniu, wśród obcych ludzi, nie było to łatwe. Światła i dźwięki... tunel. Co u licha oni z nią robią? Na przemian traciła i odzyskiwała

przytomność, przez pewien czas śniąc spokojnie o swoim ogrodzie. Potem ktoś nią potrząsnął i obudziła się, dezorientowana i zirytowana, że przeszkodzono jej w tak brutalny sposób. W końcu wybudziła się ze snu, ujrzała wpadające przez okno światło i Annie siedzącą na krześle przy łóżku.

-Cześć, babciu - wnuczka przysunęła się bliżej i uśmiechnęła się. -
Wyjdiesz z tego.

-Gdzie ja jestem, kochanie? Co się stało?

Annie zmarszczyła brwi.

-Nie rozumiem, babciu. - Wyglądało na to, że się przestraszyła.

Na dźwięk zniekształconych słów wydobywających się z jej gardła Leota także poczuła przerażenie. Co się stało z jej językiem? Zdenerwowana, próbowała jeszcze raz, ale wyszedł z tego tylko bełkot.

Rozpłakała się.

Niebieskie oczy Annie również zaszkliły się od łez. Pogłaskała babcię po ramieniu - Leota mogła przynajmniej to zobaczyć, ale nic nie czuła.

-Czy ja umieram?

Annie spojrzała na kogoś, kto znajdował się poza zasięgiem wzroku Leoty.

-Czy ona mnie rozumie?

-Tego się nie dowiemy - odpowiedziała jakaś kobieta. - Po prostu niech pani do niej mówi. Reaguje. To dobił znak.

-Czy mogę jej powiedzieć, co się dzieje? - spytała ciszej Annie.

-To nie zaszkodzi. Może dzięki temu będzie mniej niespokojna.

Leota usłyszała cichy odgłos terkoczących kólek.

-Corban cię znalazł, babciu. Wezwał pogotowie. Jesteś w szpitalu. Miałaś lekki udar. Masz sparaliżowaną prawą stronę ciała, dlatego nie bardzo możesz się ruszać. Zdaje się, że ośrodek mowy też masz sparaliżowany. Rozumiesz mnie, babciu? - Otarła jej łzy z policzków. - Dostałaś lekarstwo, które ci pomoże. I jesteś podłączona do czterech kroplówek. Byłaś odwodniona, więc chcą ci przywrócić normalny poziom płynów.

Leota słuchała i próbowała wszystko zrozumieć. Jej ciało odmówiło posłuszeństwa, ale umysł ogarniał całą sytuację. Nie wiedziała, czy dziękować Bogu, że żyje, czy też Go spytać, dlaczego nie pozwolił jej odejść? Jaki z niej teraz pożytek?

Panie, czy dlatego zrobiłeś to coś w mojej głowie, żeby zająć się wszystkim

właśnie teraz, kiedy uporządkowałam swoje sprawy? Wyciąłeś mi brzydki numer. Wcale mi się to nie podoba. Ani trochę.

Musiała się zdrzemnąć, bo kiedy znowu otworzyła oczy, Annie nie było. Czas mijał, choć nie była pewna, czy minęły minuty, godziny czy dni. Ludzie przychodzili i wychodzili. Raz, gdy otworzyła oczy, ujrzała stojącą nad nią Eleonorę, bladą i wymizerowaną. Wyglądała na swój wiek, co zasmuciło Leotę.

-Eleonoro... - Nie wyszło jej to dobrze i córka posmutniała jeszcze bardziej. - Eleonoro...

Odwróciła wzrok i powiedziała drżącymi wargami

-I co teraz, mamó? Co teraz?

Aż do tej chwili Leota nie zastanawiała się, co ją czeka. Zamknęła powieki, bojąc się tego, co mogłaby zobaczyć w oczach córki. Słowa szpital dla przewlekle chorych majaczyły jej w głowie, nasuwając straszliwe myśli. Ogarnął ją paniczny strach. Nie chcę, żeby tak się to skończyło, Panie. Nie pozwól im oddać mnie do jakiegoś domu opieki i zapomnieć, że kiedykolwiek żyłam. Co teraz ze mną będzie? O Boże, tak bardzo się boję. Nikt nie potrafi jej zrozumieć, nawet Annie, która tak bardzo ją kocha. Czy wszyscy myślą, że straciła rozum?

Słyszała głosy ludzi rozmawiających za nią, nad nią, przy niej. Lekarz rozprawiał z pielęgniarkami o jej stanie zdrowia. Jediną osobą, której przyszło do głowy, by ją o tym poinformować, była Annie. A wieści nie były dobre.

Codzienne czynności denerwowały Leotę. Badano ją, obracano z boku na bok, myto, gimnas tykowano, karmiono, znowu obracano - i tak w kółko. Raz zakłęta i przeraziła się, gdy to jedno słowo zabrzmiało wyraźnie jak dzwon. Przepraszająco spojrzała pielęgniarce w oczy, zastanawiając się, co też ta młoda kobieta sobie pomyśli.

Pielęgniarka się uśmiechnęła.

-Wiem, że to irytujące, pani Reinhardt. Wszystko idzie powoli, ale pani stan się poprawia. W tym wypadku przeklinanie to dobry znak.

Świetnie. Za tydzień będę kląć jak szewc.

-Doktor jest zadowolony z pani postępów.

On może tak, ja nie.

Pielęgniarka delikatnie obróciła Leotę na bok i poprawiła pod nią prześcieradło. Kiedy skończyła, przekręciła ją na drugi bok i dokończyła dzieła z drugiej strony. Codziennie świeża pościel, jak u Jackie O. Choć wątpiła, czy Jackie Kennedy brudziła swoje prześcieradło. Pielęgniarka zmieniła poszwę i dała jej świeże koce, wygładziła je i wetknęła końce pod materac.

-Proszę bardzo, pani Reinhardt. Czyściutko. - Leota usłyszała szcęk podnoszonych przez pielęgniarkę krat po obydwu stronach łóżka.

Panie, czy do tego sprowadza się życie? Umyli mnie, zmienili pieluchę i wsadzili jak dziecko do tej kołyski. Nawet zębów znów nie mam, bo stoją w szklance na stoliku. Jakie to ponizające, być taką bezradną. I beużyteczną.

Pielęgniarka odsunęła zasłonkę, żeby była widoczna z korytarza. A więc zero prywatności. Leota starała się nie zwracać na to uwagi. Przypuszczała, że w ten sposób pielęgniarkom łatwiej jest jej doglądać - sprawdzać, czy wciąż oddycha.

Szkoda było marnować czasu. Zdecydowana wydobrzeć, Leota zaczęła ćwiczyć mówienie. Pracowała nad tym do czasu, aż kobieta z sąsiedniego łóżka zadzwoniła po pielęgniarkę.

-Czy mogłaby pani dać tej staruszce coś na sen? Buzia jej się nie zamyka przez całe popołudnie. Napędza mi stracha.

Pielęgniarka łagodnym głosem uspokajała pacjentkę, która przeszła operację

woreczka żółciowego. Biedna kobieta cierpiała i prosiła o kolejną dawkę leku przeciwbólowego.

-Przykro mi. Przez następną godzinę nie mogę pani nic dać.

Biedaczka zaczęła płakać i pielęgniarka zasunęła zasłonkę między łózkami. Leota poczuła się tak, jakby zatrzaśnięto jej przed nosem drzwi.

Ktoś włączył telewizor. Prawdopodobnie po to, żeby choć na chwilę odwrócić uwagę tamtej pacjentki od jej cierpienia i problemów. Leota pomyślała o Bernardzie - o tym, jak siedział w swoim fotelu, słuchał w radiu najróżniejszych programów, transmisji z meczów, wiadomości, a potem oglądał telewizję. Miliona Berlea. Serial „Kocham Lucy”. Dinah Shore. „Chevroletem po Ameryce”...

Po śmierci Bernarda Leota wyłączyła telewizor i przez dwa lata nawet nie wkładała wtyczki do kontaktu.

Pomyślała o tym, jak George zachowywał się w Święto Dziękczynienia. „Chcę

tylko sprawdzić wynik..." A potem Jeanne, urażona i przygnębiona, powiedziała

„Dlaczego czasem nie wyłączają prądu?"

O Panie. Łzy spłynęły Leocie do uszu i na włosy.

Jezu, czy na świecie nic się nigdy nie zmienia? Czy tak jest zawsze? Grzechy ojca przechodzą na syna? A gdzie błogosławieństwa, które obiecałeś? Czują, jak rozpacz przenika ją do szpiku kości, przygniata i miażdży duszę.

Na cóż się teraz komukolwiek przydam, Panie?

Boże, jaki masz cel w tym cierpieniu?

-Suzie, wiem, że cię zawiodę, ale muszę to zrobić. Przez ostatnie dni wciąż się nad tym zastanawiałam i nie mogę znieść myśli, że babcia mogłaby pójść do tego domu opieki. A lekarz mówi, że to konieczne. Chcę ją zabrać do domu.

-Nie musisz mi tego tłumaczyć, Annie. - Susan patrzyła na przyjaciółkę ze współczuciem. - Nie martw się o czynsz. Dam sobie radę. Jedna dziewczyna z restauracji szuka nowego mieszkania. Właśnie wczoraj o tym ze mną rozmawiała. Jej współlokatorki ciągle imprezują, a ona nie lubi narkotyków. Chce się stamtąd wynieść. Gdyby mogła, wprowadziłaby się już jutro.

Annie usiadła, czując ulgę.

-Oj, to dobrze. Więc nie jesteś na mnie zła?

-Smutna, owszem. Rozczarowana, z pewnością. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką i będzie mi ciebie brakować. Ale zła? Nie. - Przechyliła się do tyłu na kanapie i skrzyżowała nogi w pozycji lotosu. - Dobrze to sobie przemyślałaś, Annie? Chcesz na siebie wziąć niemałe zadanie.

-Wiem. Będę musiała sobie jakoś radzić. Ale przyznaję, że się boję. Nie wiem nawet, od czego zacząć.

-Moja mama mogłaby ci pomóc. Ma spore doświadczenie jako dochodząca pielęgniarka.

Annie zupełnie zapomniała, że mama Susan, kiedy wszystkie jej dzieci skończyły podstawówkę, sama wróciła do szkoły. Maryann Carter zdobyła dyplom pielęgniarki dwa lata przed tym, jak Susan ukończyła szkołę średnią. Przez wiele lat pracowała jako licencjonowana pielęgniarka. Teraz miała już dyplom.

-Nie sędzę, żeby babcię było stać na prywatną pielęgniarkę, Suzie. A ja wiem na pewno, że nie mam na to pieniędzy.

Susan pokręciła głową.

-Nie to miałam na myśli. Mama mogłaby ci powiedzieć, co zrobić, żeby dom był bezpieczny. Może ci zrobić szybkie szkolenie i podać niezbędne namiary. Dużo wie o opiece nad starszymi. Musi wiedzieć. Pamiętasz? Od kilku lat opiekuje się babcią Addie. Babcia nie miała udaru, ale i tak ma mnóstwo problemów ze zdrowiem. Cukrzyca. Nadciśnienie. Artretyzm. Z wieloma rzeczami sama już nie daje sobie rady. Ma szczęście, że jest w dużej rodzinie.

-I kochającej.

Annie podała mamie Susan kawę w kuchni Leoty. Wcześniej przedstawiła jej całą sytuację i Maryann Carter zgodziła się z nią spotkać w domu babci.

-Jaka śliczna kuchnia - powiedziała, rozglądając się wokoło. - Słoneczna, z żółto-białym wykończeniem, i te piękne kwiaty.

-Babcia dała mi wolną rękę. Miałam przy tym mnóstwo frajdy.

-Chciałabym, żebyś i moją kuchnię tak pomalowała. - Roześmiała się. - Może

zaczęłabym w niej spędzać więcej czasu. - Uniosła ładną porcelanową filiżankę i pociągnęła łyk kawy. Zamyśliła się, patrząc przez dłuższą chwilę na ogród, po czym znów spojrzała na Annie. - Zanim zaczniemy, upewnij mnie w jednej kwestii. Zastanawiałaś się, jak to wpłynie na twoje życie, Annie?

Nie odpowiedziała od razu. Wiedziała, że mama Susan nie chce szybkiej odpowiedzi, świadczącej o jej gotowości do poświęceń. Myślała o zmianach, jakie będzie musiała wprowadzić, o rzeczach, z którymi będzie musiała zrezygnować... jednak nie potrafiła przestać myśleć o tym, co stałoby się z jej babcią, gdyby się nią nie zajęła.

-Tak.

-Będziesz musiała odłożyć swoje plany na nieokreślony czas. To może potrwać bardzo długo.

-Już to zrobiłam. Wczoraj wypisałam się ze szkoły. - Nauczyciel wysłuchał Annie, zasmucił się, że odchodzi, ale powiedział, że rozumie. Poza tym przekazał jej dobrą nowinę. Obraz Annie został sprzedany - czek nadejdzie pocztą. Gdy o tym usłyszała, omal się nie rozpłakała. Wcześniej zastanawiała się, jak sobie da radę, mieszkając z babcią bez pracy i pieniędzy. Nie chciała stać się dla niej

finansowym ciężarem. Wiedziała, że babcia żyje z zasiłku i ledwie wiąże koniec z końcem. Choć obraz nie został sprzedany za zawrotną sumę, przez pewien czas pieniądze wystarczą na pokrycie wydatków Annie.

Mama Susan skinęła głową.

-Wiem, że jesteś na to zdecydowana. I widzę, że bardzo kochasz swoją babcię. Ale... czy zdajesz sobie sprawę, na czym polega fizyczna opieka nad babcią?

-Tak sędzę.

-No to zobaczmy. - Maiyann odsunęła na bok filiżankę i spodek i splotła dłonie. - Będziesz musiała gimnastykować każdy staw i mięsień babci, żeby kończyny jej nie osłabły ani nie zeszywniały i nie obrosły tłuszczem. Musisz mieć ustalony plan, żeby wykonywać ćwiczenia ruchowe cztery razy dziennie. Tam gdzie ciągły ucisk niszczą tkankę i spowalnia przepływ krwi, mogą się tworzyć odleżyny. To znaczy, że musisz zmieniać pozycję babci co dwie godziny, we dnie i w nocy. Trzeba jej zapewnić dobre żywienie, więc musisz zaplanować jadłospis i codziennie gotować jej trzy posiłki. Poza tym jest jeszcze sprawa higieny intymnej. Higiena jest niezwykle ważna. Kąpanie, mycie zębów, czesanie, dbanie o paznokcie, mycie za każdym razem, gdy odda mocz albo się wypróżni...

Annie się zarumieniła.

Mama Susan uśmiechnęła się.

-Jeśli chcesz się tego podjąć, Annie, przede wszystkim nie możesz być zakłopotana sprawami fizjologicznymi. Tu nie ma miejsca na wstyd. Musisz się postarać, żeby babcia czuła się przy tym bardziej odprężona niż onieśmielona. Jeśli będziesz zakłopotana, to się jej udzieli.

Annie potaknęła.

-Babci potrzebne będą spotkania z ludźmi, ale niezbyt częste, żeby jej nadmiernie nie pobudzać. Będziesz też musiała planować czas wolny.

-Potrafię się tym wszystkim zająć. Wiem, że potrafię.

-Nie, nie potrafisz. Musisz być realistką, Annie. Wiem, że jesteś młoda i silna, ale sama wszystkiego nie zrobisz. Mówimy tu o pracy przez całą dobę, siedem dni w tygodniu, trzydzieści dni w miesiącu - tak długo, jak babcia będzie żyła. Żaden człowiek nie podoła temu wszystkiemu w pojedynkę. Musisz ustalić plan opieki. Potrzebujesz pomocy.

-Modliłam się o to wszystko, pani Carter.

-Myślę, że jesteś już na tyle duża, że możesz mi mówić Maiyann, skarbie. Wiem, że się o to modliłaś. Ja też. I Susan też. - Spojrzała na nią. - I Sam.

Sam. Ojej.

-Chyba nie muszę ci mówić, co mój syn do ciebie czuje, prawda? - Oczy Maryann zalśniły. - Tom i ja zawsze traktowaliśmy cię jak córkę. Nawet modliliśmy się o to, żeby Sam pewnego dnia zwrócił na ciebie uwagę, a teraz, kiedy tak się stało... - Lekko wzruszyła ramionami. - Cóż, Sam, jak i my wszyscy, będzie musiał się nauczyć trwać w Panu. - Spojrzała Annie głęboko w oczy.

-Kocham Sama, ale...

-Jest dla ciebie jak brat.

-Niezupełnie. - Annie przeniosła wzrok na filiżankę. Brat nie przyprawiałby jej o tak gwałtowne bicie serca. - Nie wiem, jak to wytłumaczyć. - Ani czy powinna.

-Sam będzie tu zaglądał i będzie próbował zmienić twoje zdanie.

-Może próbować, ale to niczego nie zmieni. Modliłam się, prosząc o pomoc w podjęciu decyzji. Modliłam się długo i żarliwie.

Maryann skinęła głową.

-Modlitwa jest dobra na początek. Teraz musimy wziąć się do działania. Wstała.
- Chodź, najpierw obejrzymy sypialnię babci. - Wychodząc z kuchni, uważnie się rozejrzała. - Dobrze - powiedziała, stojąc w korytarzu - wózek inwalidzki zmieści się w drzwiach. - Rzuciła okiem na sypialnię. - Myślisz, że babcia miałaby coś przeciwko, gdybyś przemałowała ten pokój?

-Nie sądzę.

-W takim razie użyj ciepłych, jasnych, kontrastowych kolorów. Byłoby wspaniale, gdybyś pomalowała go tak, jak kuchnię. Trzeba będzie się pozbyć paru mebli. Za ciasno tu. I przestawić te śliczne porcelanowe figurki. Łatwo je stracić i po
tłuc. Na dzień odsuwaj te ciężkie zasłony. - Uniósł się kurz i zamachała ręką. - I

oddaj je do pralni

Maryann popatrzyła na sufit.

-Przy łóżku możemy zamocować drążek. To umie to zrobić. Koszty zostaną pokryte z ubezpieczenia emerytalnego. Przy wstawaniu babci? będzie mogła się za niego złapać. Ale oczywiście i tak będziesz musiała jej pomagać.

I tak dalej. Przez resztę popołudnia Annie cho dziła za Maryann po domu i pilnie notowała, c należy zmienić, dodać lub usunąć z sypialni, ła zienki, salonu, jadalni i kuchni. Gdy skończyły Annie czuła się przytłoczona detalami.

-Nie miałam pojęcia...

-Zawsze możesz zmienić zdanie, Annie.

-Ach, nie. Nie chcę. Tylko dopiero teraz widzę, ile trzeba zrobić. Roześmiała się. - Będę musiał" wezwać na pomoc całą kawalerię. - Susan. Arbę.

Corbana. I Sama też, jeśli zechce się przyłączyć. Czuła gorączkowe podniecenie. Wszystko po ko lei.

-Myślisz, że mama ci pomoże?

Annie pokręciła głową.

Maryann wzięła ją za rękę i ścisnęła.

-Przykro mi, Annie.

Zapiekle ją łzy.

-Nie mogę teraz myśleć o matce ani o tym, czego ona chce. Najważniejsza jest babcia Leota. Nie potrafię nawet myśleć, że mogliby ją gdzieś oddać.

-W okolicy jest kilka bardzo dobrych domów opieki.

-Być może, ale to nie to samo, co być we własnym domu pod opieką kochającej osoby. Wiem, że to rozumiesz. Masz babcię Addie.

Maiyann skinęła głową.

-Nawet gdy kogoś kochasz, nie zawsze jest to łatwe. Babcia Addie potrafi być bardzo męcząca. Twoja mama... coż, może...

-Moja mama nie dba o babcię Leotę. Od lat nie mają kontaktu. Mama uważa, że stanęłam po stronie babci przeciwko niej, ale to nieprawda. Po prostu chcę z nią spędzić więcej czasu. Chcę z nią być tak długo, jak to możliwe, a nie wydaje mi się, żeby zostało wiele czasu.

Oczy Maryann również zasły łzami. Położyła dłoń na policzku Annie.

-Tom i ja bardzo cię kochamy, Annie. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy,

żeby ci pomóc. Wystarczy, że poprosisz.

Annie bardzo chciała, żeby to powiedziała jej matka.

Sapiąc i dysząc, Corban uniósł jeden koniec pustej bieliźniarki Leoty. Sam

Carter chwycił mebel z drugiej strony. Annie wyjęła wcześniej szuflady i położyła je na kanapie w salonie. Corban i Sam przecisnęli się z antycznym meblem przez drzwi i przenieśli go przez krótki korytarz do drugiej sypialni. Annie i Susan rozbierały już łóżko Leoty na części, żeby je również wynieść.

Minął niemal cały ranek, nim wreszcie opróżnili pokój z mebli, zdjęli zasłony, przykryli podłogę folią, umyli ściany i zagipsowali dziury po gwoździach, na których wisiały obrazy. Annie i Susan zaczęły nakładać wałkiem pierwszą warstwę rozcieńczonej w wodzie różowej farby z połyskiem, gdy tymczasem Corban i Sam siedzieli w kuchni, posilając się i odpoczywając.

-Jak ci idzie pisanie pracy? - spytał Sam, dolewając sobie czarnej kawy do

kubka.

-Nie idzie.

Sam spojrział na niego.

-W czym problem?

Corban wzruszył ramionami.

-Chyba straciłem rozpęd. - Z innymi przedmiotami był na bieżąco, ale

projekt dla profesora

Webstera ugrzązł w miejscu. Za każdym razem, kiedy Corban siadał przed komputerem, by wprowadzić zrobione ręcznie notatki, gapił się w pusty monitor. - Mam co innego na głowie.

Jak chociażby zabójstwo jego pierwszego - i być może jedyne - dziecka. Nie przestawał o tym myśleć.

Po odejściu Ruth mieszkanie zrobiło się ciche. Ale nie cierpiał z powodu jej wyprowadzki. To poczucie winy sprawiało, że nie mógł zebrać myśli. Zdawało się nie mieć znaczenia, że nie popierał decyzji Ruth o aborcji i tak czuł, że jest współodpowiedzialny za śmierć dziecka. Na pewno mógł wtedy jakoś ją powstrzymać.

Mógł coś powiedzieć, żeby zmieniła zdanie.

Czy to był chłopiec, czy dziewczynka?

Ogarnęła go rozpacz.

Sam usiadł z nim przy stole.

-Wygląda na to, że coś cię gryzie.

Corban wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

-Gryzie mnie wiele spraw.

-Nie moja sprawa, chyba że Annie jest jedną z nich.

Corban uniósł brwi.

-Jesteście parą? - Jak na partnera Annie, Sam wyglądał na zbyt wyrobionego życiowo.

-Nie, ale pracuję nad tym. Pomyślałem, że lepiej wyłożyć karty na stół.

-Wobec tego ja też będę szczery. Lubię Annie. Bardzo. Można nawet powiedzieć, że Annie mnie pociąga - i to nie tylko fizycznie. Czy to stanowi dla ciebie problem?

Sam miał enigmatyczny wyraz twarzy.

-Mężczyźnie powinna wystarczyć jedna kobieta.

-Zgadzam się.

-Słyszałem, że jesteś z kimś poważnie związany.

-Już nie.

Samowi błysnęły oczy i przez dłuższy czas przyglądał się Corbanowi. Potem lekko się uśmiechnął i podniósł kubek.

-Niech wygra najlepszy.

Corban nie miał wątpliwości, że zwycięzcą zostanie Sam Carter.

Annie przez cały dzień czuła, że Corban się czymś martwi, ale nie było okazji, by usiąść i porozmawiać. Mieli zbyt wiele pracy i za mało czasu, żeby się ze wszystkim uporać. Kiedy późnym popołudniem powiedział, że idzie do domu, odprowadziła go do drzwi i podziękowała za pomoc. Wyglądał na bardzo zatroskanego i nieszczęśliwego-

Wszystko w porządku, Corban?

-Przeżyję. - Uśmiechnął się autoironicznie.

-Możemy chwilę porozmawiać? - Zerknął na Sama, który stał w progu kuchni i przyglądał się im.

-Na zewnątrz.

Wyszła za nim, zamknęła za sobą drzwi i stanęła na werandzie, czekając, aż Corban powie, co go gnębi.

Przejechał dłonią po karku.

-Nie wiem, jak zapytać, żeby nie wyjść na kompletnego kretyna.

-Po prostu zapytaj, Corban. - Właściwie wiedziała, co chciał powiedzieć.

-Chciałbym przy tym być, Annie. Chciałbym wiedzieć, jak wszystko się potoczy.

-Do pracy semestralnej?

Ściągnął usta.

-Częściowo.

Annie zauważyła, że zwilgotniały mu oczy.

-W porządku, Corban. Możesz przyznać, że martwisz się o Leotę. Nie stracisz

w moich oczach dlatego, że pozwoliłeś sobie na osobiste zaangażowanie w relacjach z badaną. - Uśmiechnęła się.

Skinął głową i przez chwilę nic nie mówił.

-Mam nadzieję, że ona z tego wyjdzie, Annie. - Jego głos brzmiał ostro. Naprawdę. Mam nadzieję, że ma przed sobą jeszcze wiele lat...

-Na pewno. Ona nie jest z tych, co się poddają.

-Wytoczą przeciw tobie ciężkie działa, a ty masz tylko osiemnaście lat.

Wzruszył ją swoją delikatnością. Nie chciał się angażować, ale nie potrafił nic na to poradzić. To wiele mówiło o duszy tego młodego człowieka.

-Babcia wsunęła mi parę asów do rękawa. Poza tym myślę, że postępuję zgodnie z wolą Boga. A kto stanie przeciwko mnie, skoro mam po swojej stronie Boga?

-Nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ty, Annie - pokręcił głową.

Położyła mu rękę na ramieniu.

-W piątek rozmawiałam z lekarzem. Na wtorek rano umówił się ze mną, moją mamą i wujkiem Georgeem. Będzie tam też ktoś z opieki socjalnej i rehabilitantka. Chciałbyś usiąść w moim narożniku?

-Byłbym zaszczycony.

-O jedenastej. Sala konferencyjna na trzecim piętrze. Będę na ciebie czekać na korytarzu kwadrans przed jedenastą.

-Przyjdę na pewno.

Poczekala na zewnątrz, aż ruszy, by pomachać mu ręką. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Corban Solsek bardzo się zmienił. Zdecydowanie na lepsze.

Otworzyła drzwi i weszła do domu. Sam stał pośrodku salonu z kciukami wetkniętymi w szlufki od spodni i przyglądał się jej.

-Chciał się z tobą umówić?

Corban? Umówić się z nią?

-Nie. Rozmawialiśmy o babci. Chce przyjść we wtorek do szpitala na rodzinną konferencję z lekarzem. Ponieważ zgodził się nadal przychodzić w środy i pomagać mi przy babci, pomyślałam, że dobrze by było, gdyby tam ze mną był.

-Umówiłabyś się z nim, gdyby cię poprosił?

-On ma dziewczynę, Sam.

-Zerwali ze sobą.

-Och... - Sam obserwował jej twarz, oceniając reakcję. Z zazdrością nie było mu do twarzy. - Nic dziwnego, że wydawał się dzisiaj taki zatroskany. Mówił, czy jest szansa, że się znowu zejdą?

-Nie, ale wątpię w to - odparł pośpiesznie.

-Corban jest moim przyjacielem, Sam. I ty nim jesteś. Bardzo drogim przyjacielem.

-Chcę być czymś więcej.

Drogi Boże, co mam zrobić, żeby zrozumiał?

Z kuchni wyszła Suzie, wybawiając ją od konieczności wyjaśnienia.

-Czy dobrze słyszę, że Corban jest do wzięcia? Super! - Wyszczrzyła do Annie zęby w uśmiechu. - Wstaw się za mną, dobrze? - Dała bratu kuksańca. - Ciebie chyba nie muszę prosić o błogosławieństwo, co? Ważne, żeby pozbyć się konkurencji. No, bracie. Chyba czas na nas. - Pocałowała Annie w policzek.

Schowałam

resztę kanapek. Narobiłaś ich tyle, że można by wykarmić wojsko. W weekend będziemy u rodziców, więc jutro znów możemy przyjechać i pomożemy ci wnieść wszystko z powrotem do sypialni. Tata powiedział, że jak będziesz gotowa, przyjedzie i zamontuje drążek przy łóżku i uchwyty na ścianach w łazience.

-Zadzwoń. Myślę, że do poniedziałku ze wszystkim się wyrobie.

Sam wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do drzwi. Suzie była już na zewnątrz i schodziła po schodkach. Sam ujął Annie za podbródek.

-Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować, Annie.

Kiedy się schylił, żeby ją pocałować, odwróciła lekko głowę i jego usta napotkały policzek. Nawet przy takim pocałunku jej serce wykonało małe salto. Sam działał na jej zmysły, nie było sensu temu zaprzeczać. Ale nawet pożądanie nie mogło jej odwieść od powołania. Przede wszystkim zaś nie chciała mu dawać fałszywej nadziei.

Sam cofnął się o krok i uśmiechnął się smutno. Pogładził ją palcem po policzku.

-Nie poddaję się tak łatwo.

-Nie chcę cię zranić, Sam.

-Ja już cierpię, Annie. Może dobrze mi to zrobi. Rozwijające doświadczenie.

Cicho zamknęła za nim drzwi.

Panie, jak to możliwe, że oboje jesteśmy tacy pewni swoich uczuć, a one są takie różne?

Wracając myślami do bieżących spraw, Annie weszła do sypialni. Przez kilka następnych godzin malowała parapety lśniąca białą farbą. Kiedy skończyła, zerwała taśmę i zdjęła folię z drewnianej podłogi. Szorowała i pastowała ją do późnego wieczora. Podłoga wyglądała pięknie i szkoda było ją zakrywać, ale była zbyt śliska i przez to niebezpieczna dla babci. Na wyprzedaży Annie kupiła ładny różowy dywanik. Przy taszczyła go do pokoju i ostrożnie rozwinęła. Mierzył jeden metr na dwa i położony na środku zostawiał widoczny pas drewna wzdłuż każdej ściany.

Sam pozdejnował z okien stare drażki na zasłony. W ich miejsce Annie przymocowała podwójne karnisze i zawiesiła na nich przezroczyste koronkowe firany. Okna znajdowały się wysoko i gdyby ktoś chciał przez nie zajrzeć, musiałyby stanąć na drabinie, uliczne latarnie zaś były dostatecznie daleko, by nie zalewać sypialni powodzią ostrego światła.

Annie stanęła na środku pokoju i rozejrzała się, wyobrażając sobie, jak sypialnia będzie wyglądać, gdy z powrotem wstawi się tu meble, powiesi kilka obrazów, postawi łóżko. Żałowała, że nie ma pieniędzy na tapetę. Babcia spędzi w

tym pokoju wiele godzin. Powinien być wyjątkowy powinno jej tu być przyjemnie i wygodnie.

Nagle przyszedł jej do głowy pomysł i uśmiechnęła się do siebie. Wyjęła przybory malarskie i zabrała się do pracy. Tego wieczora nie skończy, ale na początek zdąży sporo zrobić - a potem, gdy czas pozwoli, będzie malować dalej.

Nora stanęła w drzwiach sali konferencyjnej i ujrzała siedzącą przy stole Annie, obok niej zaś Corbana Solseka. George właśnie zajął miejsce i poluzowywał krawat. Pracownik socjalny i reha- bilitantka rozmawiali ze sobą cicho, przeglądając jakieś dokumenty. Nora poczuła na plecach dłoń Freda nie popychał jej, lecz przypominał o swej obecności. Nabrała powietrza w płuca, wyprostowała ramiona i weszła.

Annie na nią nie patrzyła. Natomiast Corban owszem, przyglądał się jej chłodno. Linia frontu została wytyczona. Dało się wyczuć, że ten mło dzieniec - rzuciwszy Norze wyzywające spojrzenie, a potem nachyliwszy się do Annie - roztacza nad jej córką swoistą ochronę.

-Miło nam panią widzieć, pani Gaines - powiedziała kobieta z opieki socjalnej. - Panie Gaines.

-Wyciągnęła rękę do Freda. Nora nie pamiętała jej nazwiska. - Proszę, niech państwo spoczną i się rozgoszczą. Doktor Patterson przyjdzie za chwilę.

Nora chciała zapytać, co tu robi Corban. Nie należy do rodziny. Jakie ma prawo brać udział w naradzie? Zacisnęła jednak ręce pod stołem, gdzie nikt tego nie widział, i milczała. Fred położył rękę na jej dłoniach. Jego dotyk był ciepły, czuły, wspierający.

-Zajrzałem do mamy - odezwał się George.

-Wygląda lepiej.

Rehabilitantka potaknęła.

-Miała kilka dobrych dni. Jest znacząca poprawa.

Nora nie była pewna, czy są to dobre, czy złe wieści. Tak czy siak stan matki nie był na tyle dobry, żeby mogła wrócić do domu.

Do sali wszedł doktor Patterson, z oficjalną miną, wyraźnie nie miał czasu do stracenia.

-Czy wszyscy już są?

Nora zerknęła na brata.

-Jeanne przyjdzie?

-Powiedziała, że decyzja w sprawie mamy należy do ciebie i do mnie.

-I do mnie - odezwała się cicho Annie.

Nora rzuciła córce znaczące spojrzenie, mając nadzieję, że Annie odczyta je właściwie i nie będzie występować z irracjonalnymi, emocjonalnymi argumentami.

Omówiła już wszystko z Georgeem przez telefon. Zdziwiło ją, że Jeanne nie przyszła na spotkanie. Jej nieobecność była jak głośny komunikat, że nie popiera ich decyzji.

Doktor Patterson szybko opisał stan Leoty. Udar. Częściowy paraliż. Porażenie ośrodka mowy. Brak kontroli nad czynnościami fizjologicznymi. W ciągu ostatnich kilku dni zauważono pewną poprawę, ale konieczna będzie długa rekonwalescencja, istnieje też możliwość kolejnego udaru. Rehabilitantka mówiła o stanie fizycznym Leoty, o zaniku niektórych mięśni, symptomach niedożywienia, artretyzmie. Pielęgniarka, która do nich dołączyła, opisała umysłowy i emocjonalny stan Leoty.

-Zdaje się, że przez większość czasu rozumie, co się dookoła niej dzieje. Nora zauważyła, że Annie miała oczy pełne łez, ale nie zadawała żadnych

pytań. Po prostu siedziała i słuchała.

-Zalecamy szpital dla przewlekle chorych - powiedział doktor Patterson.

Annie spojrzała na niego.

-A co z opieką domową?

-Nie bądź śmieszna, Annie - odezwała się Nora, przerażona tą myślą. - Nie

słyszałaś, co powiedział doktor? Jej stan dużo się nie poprawi. Istnieje spore

ryzyko, że będzie miała kolejny udar.

-Większość kosztów pobytu w szpitalu pokryje ubezpieczenie - rzekł George.

-Myślę, że babcia wolałaby być w domu.

-Cóż, ja nie mogę się nią zajmować. - Nora nie mogła uwierzyć, że Annie

próbuje wzbudzić w niej poczucie winy za to, że chce umieścić Leotę w domu opieki. - Mam swoje życie, George też. On prowadzi firmę, a ja mam swoje obowiązki.

-To twoja matka! - Z szeroko otwartych oczu Annie wзираł chłód. - Jak

możesz choćby pomy

śleć o tym, żeby ją gdzieś odesłać i zostawić pod opieką obcych ludzi?

Na widok oskarżającego spojrzenia córki Norze zadrżały wargi.

-Nie masz o niczym pojęcia. Robię wszystko, co mogę. Czemu miałabym poświęcać swoje życie, żeby się nią opiekować? Mam prawo do odrobiny szczęścia. Corban pobladł, mięśnie twarzy miał napięte. Jeszcze nigdy nie widziała u nikogo takiego spojrzenia. Zmierzyła się z jego wzrokiem.

-Niech pan tak na mnie nie patrzy. Co pan ma z tym wspólnego? Jakim prawem w ogóle pan tu jest?

Annie odpowiedziała szybko i reżolutnie.

-Prosiłam go, żeby przyszedł. Mam coś do powiedzenia.

-Nie masz nic do powiedzenia w tej sprawie! - Norę dławiała złość. - George i ja jesteśmy jej dziećmi i to do nas należy decyzja.

Doktor Patterson uniósł ręce.

-Takie spotkania zawsze wywołują ogromne emocje. Spróbujmy się uspokoić i racjonalnie przedyskutować całą sprawę.

Annie podniosła rękę. Nora spiorunowała ją wzrokiem.

-Annie, opuść rękę. Nie jesteśmy w szkole.

-Czy mogę coś powiedzieć, żeby nikt mi nie przerywał?

-Sarkazm jest zbędny.

Corban pochylił się do przodu.

-To nie był sarkazm. To grzeczna prośba, żeby się pani zamknęła i posłuchała.

-Corban... - Annie położyła rękę na jego ramieniu i oparła się o krzesło, mamrocząc słowa przeprosin.

-Niech on stąd wyjdzie! - Nora była wściekła. - Natychmiast!

-Może tak będzie lepiej, Annie - powiedział łagodnie Fred.

Corban spojrział na Annie. Skinęła głową i wyszeptala mu coś do ucha. Wstał i wyszedł z sali.

-Czy teraz mogę mówić? - zapytała cicho.

-To zwykła strata czasu - George spojrział na zegarek. - O pierwszej muszę być w biurze. Mam ważne spotkanie.

-Będę się streszczać - Oczy Annie pociemniały. - Zabieram babcię do domu.

Nora poczuła, jak całe ciepło odpływa z jej ciała.

-Nie możesz tego zrobić. Co za idiotyczny pomysł, Annie.

-Mogę, mamó. I zrobię to.

W jej oczach widać było determinację.

-Robisz to tylko po to, żeby w jakiś pokrętny sposób wyzbudzić we mnie poczucie winy.

-Nie.

Wszyscy zaczęli mówić naraz, protestując i atakując Annie, której żaden argument zdawał się nie wzruszać.

-Dosyć. - Doktor Patterson podniósł rękę, prosząc o ciszę. - Pani Gaines powiedział, hamując zniecierpliwienie. - Pani ma... szesnaście... siedemnaście

lat?

-Osiemnaście i jestem dorosła, doktorze Patterson.

-Osiemnaście i nie ma pani pojęcia, co sugeruje.

-Nie sugeruję, proszę pana. Informuję o swojej decyzji.

Nora zaczęła protestować, George się do niej przyłączył. Nawet pracownik socjalny i rehabilitantka zabrali głos.

Annie patrzyła na nich wszystkich niewzruszona.

-Mam pełnomocnictwo.

-Co takiego? - George omal nie wstał z krzesła.

-Co powiedziałaś? - Nora jeszcze nigdy nie widziała go tak zdenerwowanego.

-Mam pełnomocnictwo - powtórzyła Annie.

-Już się wprowadziłam do domu babci.

Nora ani na moment nie przestawała świdrować jej wzrokiem.

-A co ze szkołą plastyczną?

-Zrezygnowałam. Dzień po tym, jak zabrano babcię do szpitala. Mieszkam u niej i przygotowuję dom na jej powrót. Sprzątam, maluję, przesuвам meble, kupuję potrzebne rzeczy. Pomaga mi wiele osób. Susan, Sam, Corban. Była u mnie mama Susan i powiedziała, co trzeba zrobić, żeby przystosować dom do długiej opieki nad chorą. Zrobiła mi krótkie szkolenie z pierwszej pomocy, tego typu rzeczy. Podała też długą listę dochodzących pielęgniarek, ośrodków opieki domowej i

programów rządowych.

-Pielęgniarki, ośrodki opieki domowej? - George był całkiem zdruzgotany.

Annie ciągnęła z uporem

-Tom Carter zamontował w łazience i sypialni drążki wspomagające. Zbudował też rampę pod wózek inwalidzki, żebym mogła nim wjeżdżać po schodach z tyłu domu. Corban zgodził się przychodzić w środy jako zastępczy opiekun, żebym mogła zrobić zakupy i inne rzeczy. Wszystko jest już gotowe.

-Kto będzie za to wszystko płacił? - George patrzył na nią surowo.

-Babcia i ja. Zrobiła mnie współwłaścicielką swojego konta, a ja mam trochę oszczędności.

-To nie są twoje pieniądze i nie możesz ich wydawać! - George był teraz

wyraźnie rozgniewany. - Noro, na litość boską, zrób coś z tym!

-Anne-Lynn, nie masz prawa.

Annie wstała.

-Mam wszelkie prawa! Wygląda na to, że jestem jedyną osobą w tym pokoju,

która ją kocha.

-Z oczu trysnęły jej łzy. - Czy wam się to podoba, czy nie, tak właśnie będzie. Babcia pozostawiła decyzję w moich rękach. Dzięki Bogu!

-Zasilek mamy jest niewielki, nie wystarczy na dodatkowe pielęgniarki! powiedział George, również wstając. - Skąd weźmiesz pieniądze na prywatną opiekę?

-Może do tego nie dojdzie, wujku. Powiedziałam, tylko jeśli to będzie konieczne.

-Skoro ma pani zamiar sama wszystkim się zajmować, stanie się to konieczne dość szybko

-wtrącił się pracownik socjalny.

-Wtedy się zastanowię nad sprzedażą domu bankowi, który będzie płacił

miesięczne raty wystarczające na pokrycie...

George wybuchnął.

-Twoja matka i ja nie będziemy siedzieć beczynn timer przyglądać się, jak

wyprzedajesz ostatni grosz naszego spadku!

Annie wpatrywała się w Georgea. Potem przeniosła wzrok na matkę. Nora czuła, że rumieni się od stóp do głów. Jak George mógł coś takiego palnąć? To było okropne. Co ona ma teraz powiedzieć, żeby zabrzmiało lepiej?

-Wujek George miał na myśli co innego, Anne- -Lynn. Chodzi mu tylko o to, że nasza mama przez wiele lat pracowała i płaciła podatki i składki na ubezpieczenie. To uczciwe, żeby teraz państwo pokrywało jej wydatki. A zapłaci lwią część, jeśli ona...

-Nie. - Annie była blada. - Nie!

-To nas donikąd nie zaprowadzi. - Doktor Patterson był wyraźnie zirytowany.

-Musimy zachować rozsądek i dojść do porozumienia. - Nora widziała, że doktor stoi po stronie jej i Georgea. Dlaczego nie czuła się z tym dobrze?

-Decyzja została już podjęta, doktorze Patterson. - Ton Annie był rzeczowy.

-Mam kopię pełnomocnictwa. Jeśli chce pan rozmawiać z moim adwokatem, możemy się umówić na spotkanie. Ponieważ sugerował pan, żeby jak najszybciej przenieść babcię do ośrodka, chciałabym ją zabrać do domu. Dzisiaj. A właściwie tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Gdy wspomniała o adwokacie, doktor Patterson zeszywniał.

-Jak pani sobie życzy - rzekł i wyszedł z sali z pogardliwą miną. Pozostali

milczeli, zażenowani.

-Anne-Lynn, nie rób tego. - Nora nie potrafiła opanować drżenia w głosie.

-To już zrobione, mamo. - Annie była taka blada... i smutna. Spojrzała na

Norę, wyraźnie zakłopotana, a potem na Georgea. - Oby Bóg wam przebaczył.

Dosunęła krzesło do stołu i wyszła.

Nora zamknęła oczy.

-Pozwolisz, żeby uszło jej to płazem? - George szarpnięciem zerwał z siebie

krawat.

-Wydaje mi się, że niewiele możecie zdziałać

-powiedział Fred cichym, pojednawczym tonem.

-Jeśli Annie ma pełnomocnictwo, ma prawo podejmować decyzje w imieniu Leoty.

George zaklął.

-Lepiej z nią porozmawiaj, Noro. Wybij jej to z głowy. - Wyszedł z sali sztywnym krokiem. Inni cicho podążyli za nim.

Nora siedziała, nie mogąc się poruszyć. Nie mogła myśleć.

Co tu się przed chwilą stało?

Fred przysunął się do niej.

-Dobrze się czujesz?

Usta jej zadrżały.

-Nie. - Tylko tyle mogła z siebie wykrztusić, żeby się całkiem nie załamać.

Obecność Corbana wzruszyła Leotę. Nie spodziewała się, że to właśnie on będzie Annie pomagał zabrać ją ze szpitala. Wziął ją z wózka na ręce i delikatnie umieścił na przednim siedzeniu samochodu Annie. Chciała mu podziękować, ale mogła tylko poklepać go po policzku. I zapłakać.

-Przepraszam, Leoto - rzekł, ona zaś zastanawiała się, co miał na myśli. Ociągał się z dalszymi wyjaśnieniami, gdy Annie podjechała wózkiem do tyłu samochodu i otworzyła bagażnik. Napotkał spojrzenie Leoty. - We wszystkim się myliłem.

-Pocałował ją w czoło, zapiął pas i zamknął drzwi. Gdy wsadzał wózek do bagażnika, samochód lekko się zakołysał. Potem Annie wśliznęła się na fotel obok niej. Uśmiechała się promiennie, oczy jej błyszczały.

-No, jedziemy do domu, babciu. Wprowadziłam trochę zmian, mam nadzieję, że ci się spodoba. Oczywiście będziemy jeszcze zmieniać to i owo na bieżąco. Włączyła bieg i odczekała chwilę, pochyliwszy się i pocałowawszy ją w policzek.

-Kocham cię, babciu.

-Ja też cię kocham - odparła Leota, choć nie zabrzmiało to tak, jak powinno. - Bardzo, bardzo cię kocham. - Potem przez całą drogę do domu płakała.

Corban jechał swoim autem i był na miejscu przed nimi.

-Nie bierz wózka, Annie - otworzył Leocie drzwi i schylił się, żeby odpiąć jej pas. Wsunął pod nią ręce i ostrożnie podniósł. - Wrócę po niego.

-Próbuje zaimponować mojej wnuczce - powiedziała Leota i zachichotała. Corban nie zrozumiał ani słowa, ale uśmiechnął się, wyobrażając sobie, co mogła powiedzieć. Wniósł ją na schody, poczekał, aż Annie otworzy drzwi do domu i delikatnie posadził Leotę w jej starym fotelu.

Boże, jak dobrze być znowu w domu. Uśmiechnęła się, czując, że prawa strona twarzy pozostała nieruchoma. Annie jaśniała. Leota nigdy nie widziała nikogo piękniejszego. Z tej dziewczyny promieniowało światło Jezusa.

Corban poszedł po wózek.

Annie spojrzała na staruszkę.

-Razem damy sobie radę, babciu. Wprowadziłam się już do drugiej sypialni. Mama Susan nauczyła mnie, jak się tobą opiekować.

Leota poczuła zapach świeżej farby. W salonie nie było tak czysto od lat. Jej drewniany stolik lśnił. Dywan był wyprany i odkurzony. Okna umyte. Nie tylko to jedno, które Corban umył pierwszego dnia - wszystkie. Znając Annie, Leota nie wątpiła, że okna są tak czyste, jakby były szeroko otwarte na świat.

-Kocham cię, babciu - zaskrzeczał Barnaba, kiwając głową w górę i w dół i maszerując po żerdzi tam i z powrotem.

Leota zarechotała z uciechy.

Oprócz świeżej farby czuła też smakowity zapach gotującego się jedzenia. Pierwszy raz, odkąd wyszła ze szpitala, poczuła głód.

Przyszedł Corban i dotknął ramienia Annie.

-Przydam się jeszcze do czegoś, zanim odjadę?

-Zostań i zjedz z nami obiad.

-Nie dzisiaj, Annie. Możemy to przelożyć na kiedy indziej? Wrócę w środę. Może wtedy?

Annie odprowadziła go do drzwi. Wchodząc do kuchni, gwizdała radośnie. Kiedy obiad był już gotowy, pomogła babci przesiąść się na wózek. W kuchni Leota ujrzała świeżo umyte okna, a za nimi ogród - ze zgrabionymi liśćmi i świeżo podciętymi gałęziami. Widać było, że Annie się nie nudziła, nawet przygotowała specjalne sztuczce dla babci. Łyżka miała tak wygięty trzonek, żeby Leota mogła się nią posługiwać bez niczyjej pomocy. Annie obserwowała babcię przy jedzeniu, ale nie interweniowała.

Tego wieczoru mnóstwo rzeczy odbywało się po raz pierwszy i każda przeszkoda została szczęśliwie pokonana. Delikatność Annie wzruszyła Leotę. Wnuczka nie zdawała się ani trochę zakłopotana najbardziej intymnymi aspektami jej higieny. Leota była bardzo zmęczona. Kiedy Annie pomogła jej założyć koszulę nocną i wejść do własnego, cudownie znajomego łóżka, Leota całkiem opadła z sił. Dopiero leżąc, zauważyła różowe ściany, białe wykończenia, koronkowe firanki, wysoką

paproć w doniczce. Rozluźniwszy się na poduszce, ujrzała na suficie słowa pięknie wykaligrafowane przez Annie. Słowa, które przywoływały wspomnienia słodkie jak róże. Zamki z piasku. Kąpiel w pianie. Jahwe-Król. Pocałunki. Trzymanie się za ręce. Taniec. Muzyka. Zbawiciel. Latawce. Stare filmy. Spacer. Przyjaciele. Dobre sny. Tęcze. Chrystus Pan. Walki na poduszki. Pierzyny. Muszelki. Jezus. Zwierzęta. Ptasi śpiew.

Leota czytała, póki Annie nie pochyliła się nad nią, nie pocałowała jej na dobranoc i nie wyłączyła światła.

A wtedy zobaczyła błyszczące gwiazdy, które Annie przykleiła do sufitu. Zapadała w sen, wyobrażając sobie, że siedzi w ogrodzie na szeszlunku i patrzy w wieczorne niebo.

Leota siedziała w wózku inwalidzkim na niedużym podwórku przed domem. Annie otuliła ją ciepłym kocem, a na głowę włożyła jej miękki wełniany kapelusz, zakrywający uszy. Na rękach Leota miała skórzane rękawiczki z wełnianym podbiciem. Annie posunęła się nawet do tego, że ogrzała w mikrofalówce płaską poduszkę wypełnioną lyżem i nasionami - pachnąca lawendą poduszka okrywała teraz ramiona i plecy Leoty.

W to chłodne popołudnie oddech zamieniał się w parę. Powietrze przyjemnie szczypało jej skórę efekty jego działania poznała po zarumienionych policzkach i czerwonym koniuszku nosa Annie. Leota od dawna marzyła o tym, żeby wyjść na dwór, ale dopiero dziś rano Annie ją zrozumiała.

Ogród zapadał w zimowy sen. Wraz ze zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia nadchodziła pora świetności ostrokrzewu i ognika szkarłatnego. Gdy jagody całkiem dojrzeją, ptaki zlecą się na ucztę. Leotę zawsze zastanawiało, skąd znały dokładny dzień - tak jakby dostawały zaproszenia na przyjęcie. Ptaki roiły się w krzakach, jadły do syta, po czym odlatywały z trzepotem niczym pijani marynarze powracający na statek.

W styczniu zakwitnie lawendowy wrzos i biały ubiorek. W lutym ożywi się śliwa, a w marcu pojawią się żonkile, narcyzy i hortensje. Kwietniowe bzy pokryją się kwieciami w tym samym czasie, co różowe i krwistoczerwone

rododendrony, dzwonki oraz jabłonie. Gdy się ociepli, między kwiatami białej smagliczki, werbeny i nagietków pojawiają się miniaturowe szkarłatne irysy. Róże, dalie, białe margerytki, rudbekie i narcyzy będą kwitły od późnego lata aż do wczesnej jesieni.

Leota widziała wszystkie kwiaty oczyma wyobraźni. Dokładnie pamiętała, gdzie umieściła każdą sadzonkę, a pod troskliwą opieką Annie ogród zakwitnie znowu. Tu i ówdzie widać było efekty pomysłów wnuczki. Zabawne kule do kręgli udające jaja dinozaurów metalowa rzeźba, która teraz lśniła kolorami stare wiadro i taczka w roli żardynier. Wyobrażała sobie, jak wiosną wyleje się z nich barwny wodospad.

W świecie, którym rządzą filozofie New Age i zaburzenia pogody wywoływane przez El Nino, gdzie wszystko się ze sobą miesza hazard, narkotyki, aborcja, zbrodnie, prawa homoseksualistów i Doktor Śmierć - istnieje jeszcze oaza.

Leota wiedziała, że gdziekolwiek się znajduje - nawet w tym przygnębiającym szpitalu - Pan jest przy niej, lecz Jego obecność zawsze najbardziej wyczuwała właśnie tutaj. Czy to dlatego, że wszystkie ważne rzeczy zdarzyły się w ogrodzie, Panie? W ogrodzie upadł człowiek. W ogrodzie Ty nauczałeś. W ogrodzie się modliłeś, przeżywając mękę. W ogrodzie zostałeś zdradzony. W ogrodzie powstałeś. Kocham to miejsce, bo kiedy tu przebywam, widzę wspaniałość Twojego stworzenia. Czuję zapach ziemi i powietrza przesiąkniętego aromatem kwiatów to mnie napełnia spokojem. Przypomina mi, że wszystko nosi ślad Twojej ręki. Bo usłyszałam w ogrodzie głos Pana, który mnie wołał.

Udziel wskazówek Annie, Panie. Ucz ją tak samo, jak uczyłeś mnie.

Nie wystarczy kochać kwiaty. Annie będzie musiała się nauczyć nienawidzić chwastów, które próbują pozbawić kwiaty życia. By móc obserwować, jak dzięki Ojcu wszystko rośnie, będzie musiała zmiękczać ziemię i siać nasiona. Będzie musiała obcinać uschnięte gałęzie. Czasem drzewo trzeba mocno przyciąć, żeby dało owoce, które spożyją inni. Ojciec, czy Annie dostrzeże, że ogród to barwy, proporcje, rytm, linia, równowaga i skupienie? Czy kiedyś zrozumie, że niektórzy z nas to maki, które kwitną śmiało, lecz krótko? Inni zaś są jak zdobna winorośl, passiflora bądź milin. Jeszcze inni - nieśmiałe fiołki i lak pospolity. Ale wszyscy żyjemy w ogrodzie, który Ty stworzyłeś każdy z nas jest

tu po to, żeby głosić chwałę Twojego imienia. Boże Ojcze, naucz Annie, że ogród jest po to, by się nim dzielić, by kontemplować w nim Twoje słowo, by ćwiczyć wiarę i doświadczać niezrównanej radości Twojej łaski.

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie woń hiacyntów, szaławii, jaśminowców, gardenii, wiciokrze- wu...

O Panie, gdybyż moje życie mogło być aromatyczną wonią, kojącą ofiarą dla Ciebie. Och, gdybyż ta pustynia starej kobiety mogła rozkwitnąć i dać Ci bukiet kwiatów.

-Postanowiłam posiać w tym roku warzywa, babciu - odezwała się pracująca nieopodal Annie.

-Tego lata zbierzemy pierwszy plon. Słodką kukurydzę, fasolę, marchewkę, groch, cebulę...

Leota delectowała się każdą chwilą, obserwując, jak wnuczka troszczy się o jej ukochany ogród. Teraz wiedziała, że to miejsce nie umrze.

Corban stał na korytarzu przed drzwiami gabinetu profesora Webstera, gdy ujrzał, że nauczyciel zmierza w jego kierunku. Profesor patrzył mu w oczy bez cienia emocji.

-Muszę z panem porozmawiać, profesorze. Ma pan teraz czas, czy umówimy się na kiedy indziej?

-Zapraszam teraz - profesor Webster wszedł do gabinetu, zostawiając drzwi uchylone. Kiedy Corban przekroczył próg, ujrzał coś, co pozornie wyglądało na bałagan. Książki niemal wysypywały się z półek, leżały też na podłodze. Na przywalonym stertami papierów biurku profesora została niewielka przestrzeń do pracy. W rogu pomieszczenia stała na pulpicie stara elektryczna maszyna do pisania. Corban wiedział jednak, że pozory mylą. Profesor Webster doskonale pamiętał temat jego pracy.

-Jak tam pańskie wypracowanie, panie Sol- sek?

-O tym właśnie chciałbym porozmawiać.

-Niech pan siada. - Profesor postawił teczkę na podłodze i usiadł za biurkiem. Zdjął okulary i przeczyścił je. - Proszę mówić. Słucham.

-Mój projekt wylądował w śmieciach, panie profesorze. Nie starczy już czasu, żeby zacząć następny, więc chciałbym zrezygnować z kursu.

-Już jest na to za późno.

Corban się tego domyślał. Mimo to poczuł ucisk w żołądku. Ciężko pracował na swoją pozycję.

Będzie go to drogo kosztować, ale wiedział, że postępuje słusznie i uczciwie. Nikt przy zdrowych zmysłach na uniwersytecie tej rangi nie prosi o litość. Konkurencja na to nie pozwala.

-No tak. Przyjmę więc ocenę niedostateczną. Jeśli pan pozwoli, chciałbym uczęszczać na zajęcia do końca semestru. - Wciąż musiał się jeszcze sporo nauczyć.

Profesor Webster z powrotem nałożył okulary.

-A na czym polega problem z pańską pracą?

Corban poczuł, jak rumieniec oblewa mu kark i wstępuje na twarz. Wolno odetchnął.

-Szedłem niewłaściwym tropem.

-Niewłaściwym tropem?

-Ośrodki opiekuńcze tworzy się dla ludzi, o których nikt się nie troszczy i najłatwiej się ich pozbyć. Niezależnie od tego, jak dobrze wygląda to na papierze, w ostatecznym rozrachunku rząd ma zbyt dużą kontrolę i rodzi się pokusa, żeby wybierać łatwe rozwiązania długofalowych problemów. Wszyscy biadolą na podatki i domagają się ulg, a w takiej sytuacji najłatwiej poświęcić tych,

którzy nie mogą się bronić. Na przykład nienarodzone dzieci. Nie chcę przykładać ręki do tego, żeby tak samo łatwo można się było pozbywać starców.

-Nauczyła pana tego jedna staruszka?

-Leota Reinhardt próbowała mnie tego nauczyć, proszę pana, ale byłem głuchy na jej słowa. Trzeba było dwóch innych kobiet, żeby mi to pokazać. - Ruth Coldwell i Nora Gaines. Nigdy się nie spotkały, ale miały ze sobą wiele wspólnego.

Profesor Webster oparł się plecami o krzesło.

-Na naszej uczelni studiują błyskotliwi młodzi ludzie. Mam studentów, którzy puszą się jak pawie, uważając, że najwyższe stopnie i wysokie wyniki z testów czynią ich kimś wyjątkowym. Są tak zarozumiali, że zdaje im się, iż wiedzą więcej niż wszyscy inni, nie wyłączając doktorów z dwudziestoletnim

doświadczeniem.

Corban czuł palący rumieniec na twarzy. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ze wszystkich ludzi właśnie on najbardziej zasługuje na reprimendę.

-Przepraszam, panie profesorze. Byłem idiotą. - Zaczął się podnosić z krzesła.

-Proszę usiąść, panie Solsek. Jeszcze nie skończyłem.

Corban usiadł z ciężkim sercem, czekając na ciąg dalszy.

-Na palcach jednej ręki mogę policzyć studentów, którzy w ciągu wielu lat mojej kariery akademickiej mieli dość odwagi, by przyznać, że się mylili i przyjmując bez skargi ocenę niedostateczną, panie Solsek.

Słyszając słowa profesora, Corban poczuł, jak przenika go dziwne ciepło.

-Dziękuję, proszę pana.

-Może pan uczyć na zajęcia. Wstrzymam się z wystawieniem końcowej oceny, pod warunkiem że zapisze się pan na moje zajęcia w przyszłym semestrze. Zgoda?

Profesor wstał i wyciągnął dłoń.

Corban wpatrywał się weń przez chwilę, nie do końca rozumiejąc, co się przed chwilą wydarzyło. Wreszcie zerwał się z krzesła i uścisnął profesorowi rękę.

-Zgoda, panie profesorze! I dziękuję.

Profesor puścił jego dłoń i uśmiechnął się.

-Jestem niezwykle ciekaw, co wymyśli pan następnym razem.

Od czasu telefonicznej rozmowy, która miała miejsce dwa dni po wyjściu Leoty ze szpitala, Nora nie odzywała się do Anne-Lynn przez dziesięć dni.

-Czy chciałabyś mi pomóc, mamó? - spytała Annie. - Jedno popołudnie w tygodniu bardzo wiele by dla mnie znaczyło.

-Gdybym się zgodziła, tylko bym cię zachęciła do kontynuowania tego szalonego pomysłu.

-Chcę to robić.

-Aha, czyli chcesz rzucić szkołę plastyczną, wyprowadzić się od przyjaciół i zrezygnować z randek? Chcesz ograniczyć swoje życie do ciągłej opieki nad starą kobietą aż do końca jej dni. Właśnie tego chcesz?

-Mamo, jak lepiej mogłabym spędzić czas, niż kochając babcię Leotę?

Nora omal nie powiedziała „Mogłabyś kochać mnie”, ale coś ją powstrzymało. Być może wspomnienie wyrazu twarzy Anne-Lynn, kiedy George oskarżył ją o marnotrawienie ich spadku.

Od rozmowy z córką minął już tydzień. Anne- Lynn niewątpliwie zdążyła wszystko przemyśleć i uzmysłowić sobie, czego się podjęła. Nora wystukała numer telefonu matki i czekała. Po dwóch dzwonekach usłyszała głos Annie, wesołe „Cześć!” na powitanie.

-Tu twoja mama, Annie. Ja...

-„Niestety nie możemy teraz odebrać telefonu. Proszę zostawić wiadomość, oddzwonimy najszybciej, jak to możliwe. Dziękujemy!”

Automatyczna sekretarka. Nowy wydatek. Nora słuchała, zastanawiając się, czy zostawić wiadomość, czy też nie.

-Tu mama, Anne-Lynn. Chciałam tylko sprawdzić, co u ciebie. - Mocniej ścisnęła słuchawkę telefonu. - Jak się miewacie? - Nie mogła szczerze dodać „Mam nadzieję, że dobrze”. Ponieważ nic więcej nie przychodziło jej do głowy, rozłączyła się. Z ciężkim westchnieniem przycisnęła słuchawkę do piersi, po czym ostrożnie odłożyła ją na widełki. Zanim pójdzie na proszony obiad do Literackiego Stowarzyszenia Kobiet przy uniwersytecie, musi jeszcze załatwić parę spraw. I zrobić gwiazdkowe zakupy.

Boże Narodzenie. Jak ona nienawidzi tych świąt.

Czy Michael chociaż zadzwoni w tym roku?

Czy w zeszłym roku zadzwoniłaś do Leoty?

Przez resztę dnia Norę prześladowała przeszłość. Każde wspomnienie, które ją nawiedzało, niosło ze sobą ból. Późnym popołudniem, gdy wreszcie wróciła do

domu, na automatycznej sekretarce mrugała czerwona cyfra 5. Dzwoniła recepcjonistka z gabinetu stomatologicznego, żeby jej przypomnieć o wizycie następnego ranka. Fred zostawił wiadomość, że wróci do domu później niż ktoś z jej dawnego Kościoła zapraszał ją na wieczorek pań - degustację ciasteczek. Potem cisza i kliknięcie. Pewnie znowu jakiś akwizytor.

Ostatnia wiadomość była od Annie.

- Cześć, mamó. Dzięki za telefon. - Głos jej złagodniał i zmatowiał.

Wysłuchałyśmy twojej wiadomości. Babcia płakała. U nas wszystko dobrze. Bardzo byśmy chciały, żebyś nas odwiedziła. Mam nadzieję, że wiesz, że w każdej chwili jesteś tu mile widziana, mamusiu. Jeśli nie odpowiem na dzwonek do drzwi, szukaj nas w ogrodzie.

Kiedy słuchała głosu córki, Norze ścisnęło się gardło.

„W każdej chwili jesteś tu mile widziana, mamusiu... szukaj nas w ogrodzie”.
dają.

Nora przypomniała sobie, że widywała tam matkę, gdy panowały chłody, czasami nawet w deszcz. Grabiła liście. Przycinała drzewa. Owijała folią rośliny, żeby nie zmarzły.

Poczuła narastający ból.

Przyjdź do mnie. Porozmawiaj ze mną. Jesteś moja.

Wcisnęła przycisk i jeszcze raz odsłuchiwała wiadomość. Potem jeszcze raz. I jeszcze.

Co powinnam zrobić?

W uszach wciąż brzmiały jej słowa Georgea o ich spadku. Dla niego pieniądze miały znaczenie, bo chciał się wydobyć z długów. Któż mógłby go za to winić? Nora nie dbała o majątek matki, zresztą Leota z pewnością nie miała żadnych pieniędzy. Jak przez te wszystkie lata zdołała się utrzymać z emerytury? Fred jest bogaty, więc Norze niczego nie brak. Co jej po tamtym domu? Właściwie mogłaby trochę pomóc...

George dzwonił do niej kilka razy, pytając, czy przemówiła już Annie do rozsądku. Tymczasem Nora broniła córki nie za uczynki, lecz za jej serce.

-To nie jest dziewczyna, która chciałaby ukraść twój spadek, George.

Gniewam się, że w ogóle mogłeś pomyśleć coś takiego!

Czuła się taka rozdarta.

-Myślisz, że o tym nie wiem? - George niemal krzyczał do słuchawki. - Ale Annie jest naiwna. Twoja córka trochę zbyt dosłownie bierze swoją religię! To mój spadek, Noro - i twój. Ona zrobi coś głupiego, na przykład weźmie pożyczkę pod hipotekę. Może to jej zapewni niewielką sumę na krótki okres, ale w dłuższej perspektywie ogołoci nas ze wszystkiego!

Nora nakłoniła Freda, żeby porozmawiał z Annie. Po wizycie u niej Fred powiedział

-Annie mnie zapewniła, że dopóki nie pojawi się konieczność, niczego takiego nie robi. Przy okazji, twoja matka wygląda o wiele lepiej. Kazała cię pozdrowić.

Fred nie chciał być sarkastyczny, ale Nora poczuła wyrzut sumienia, że zanim przeszła do kwestii pieniężnych, nie zapytała o zdrowie matki. Chciała tylko, żeby George się od niej odczepił.

Cała ta sytuacja wprowadziła w jej życie chaos. Wszystkim byłoby łatwiej, gdyby jej matka umarła na udar zamiast żyć jako inwalidka. Inwalidka. Straszne słowo. Jak będzie wyglądać życie Annie ograniczone do małego domu w dzielnicy, która w istocie jest gettem, z jedną staruszką do towarzystwa?

Być może parę tygodni całodobowej opieki nad babcią przywróci Annie zdrowy rozsądek szybciej niż jakiegokolwiek słowa. Nora mogła tylko żywić taką nadzieję. Wcisnęła przycisk telefonu i ostatni raz wysłuchała głosu córki, po czym usunęła wiadomość.

-Ciągle mamy gości. - Annie szeroko uśmiechnęła się do Corbana. - Arba przychodzi codziennie po pracy, żeby odebrać dzieci. - Podała mu następny haczyk do zamocowania pod okapem dachu.

-Opiekujesz się nimi? - spojrzał na nią zdumiony. Gdy już dobrze przytwierdził haczyk, powiesił na nim sznur lampek. Wyglądały jak lśniące sople lodu zwisające z dachu. Annie owinęła sznurami białych światełek stojące przed

domem krzewy różanecznika i przyszyżoną śliwę. Bezlistne drzewo, którego pień i korona były oplecione małymi światełkami, nabrało ekspresyjnego wyglądu. Dwie najgrubsze dolne gałęzie wystające na zewnątrz Annie przyozdobiła tak, że uformowały krzyż.

-Tak naprawdę to dzieci mi pomagają. - Annie wyjęła z pudełka kolejny sznur sopelkowych lampek. - Po południu babcia zwykle odpoczywa. Widziałeś nowe łóżko w sypialni? Bardzo jej ułatwia wstawanie, mnie także jest lżej. Tak czy owak teraz Nile zajmuje się czytaniem. Siada w fotelu pod oknem, a dziewczynki oblegają łóżko babci. Już prawie skończyli Tajemniczy ogród.

-Za każdym razem, gdy przychodzę, dom wygląda coraz lepiej, Annie. Przymocował haczyk i zawiesił lampki.

-Chcę, żeby na święta było tu cudownie. Jeszcze niecały metr - podała mu kolejną żyłkę z lampkami. Corban udrapował je na ostatnim haczyku i zszedł z drabiny. - Dzięki, Corban. W przyszłym roku dzięki tym haczykom pójdzie o wiele łatwiej. Zawieszę tylko lampki i już. - Pozbierała puste pudełka. - Zniosę to do garażu, a ty zajrzyj w tym czasie do babci. Zjesz zupę, prawda? Powinna być już gotowa. Babcia lubi, kiedy obiad jest wcześniej, a deser później.

-Jasne. Do zobaczenia w środku.
Gdy przekroczył próg, Leota powitała go swoim asymetrycznym uśmiechem, a

Barnaba zaskrzeczał

-Dzwoń na policję! Dzwoń na policję!

Corban się roześmiał.

-Jest lepszy niż pies podwórzowy. - Zamknął drzwi i zasunął zasuwkę. Annie

wejdzie od tyłu. Leota dała mu ręką znak, by usiadł. - Bardzo ładnie wyglądasz, Leoto. - Usiadł na kanapie, odpoczywając w ciepłe. Annie rozpałała ogień. W wylocie kominka stała nowa osłona, dzięki której iskry nie sypały się na dywan.

-Skoła? - Leota spojrzała na niego po swojemu.

-Mam zawieszoną ocenę i w przyszłym semestrze zacznę nowy projekt. Nie wiem jeszcze, co to będzie. - Usłyszał Annie wchodzącą przez tylne drzwi. - Wygląda na to, że świetnie sobie radzicie.

Rozejrzał się uważnie po salonie.

-Annie znowu malowała. - Bure niegdyś ściany połyskiwały w świetle lampy ciepłą brzoskwiniową łuną. Na wypastowanym i wypolerowanym gzymsie kominka stały umyte i poukładane na nowo przedmioty.

-Corban! - zawołała z kuchni Annie. - Pomożesz babci przesiąść się na wózek? Nakryję do stołu. Obiad już gotowy. Muszę tylko podgrzać biszkopty.
-A gdzie wasza choinka? - spytał Corban, wioząc Leotę na jej miejsce u

szczytu stołu, skąd mogła wyglądać na ogród.

-Na telewizorze - Annie uśmiechnęła się do niego, nalewając do miseczek

zawieszoną zupę z wołowiny.

Corban obejrzał się za siebie.

-To rachityczne drzewko? - Miało niecały metr wysokości i wisiało na nim

ledwie parę ozdób.

-W przyszłym roku będzie większe. - Annie postawiła miskę przed Leotą. Gdy się wyprostowała, spojrzała na Corbana. Zrozumiał, że nie chce, by więcej mówił na ten temat.

Może to kwestia pieniędzy, pomyślał. Leota żyła z emerytury, Annie zaś nie mogła jednocześnie pracować i opiekować się babcią. Wciąż milczał, gdy stawiała przed nim miskę. Nakryła także dla siebie, po czym usiadła i wzięła Leotę za rękę. Drugą podała Corbanowi. Ujął jej dłoń i Annie zmówiła modlitwę. Dobrze się czuł w przytulnej kuchni. Zauważył, że w ogrodzie Annie również rozwiesiła lampki.

-Jedziesz na święta do domu? - spytała, smarując biszkopt Leoty masłem.

-Nie mam po co. Mama spędza Boże Narodzenie w Szwajcarii.

-Co będziesz robić?

-Zostanę w domu aż do czasu, gdy zaczną się zapisy na zajęcia. - Zupa smakowała wyśmienicie.

-I co będziesz jadł w dzień Bożego Narodzenia? - Annie wpatrywała się w niego. - Odgrzewane mrożonki?

-Nie są takie złe, ale prawdopodobnie pójdę do restauracji. Trochę sobie poużywać. - Matka przysłała mu spory czek, żeby kupił sobie prezent.

-Sądząc po twoim tonie, nie możesz się doczekać gwiazdki - rzekła ze smutkiem Annie.

Wzruszył ramionami. Co miał powiedzieć? Nic tak nie przynębia, jak samotny posiłek w Boże Narodzenie.

Leota zacharczała i postukała palcem wskazującym w stół.

-Zgadzam się, babciu. - Spojrzała na Corbana. - Przyjdź świętować z nami. Podała mu niewielki słoiczek z dżemem.

Corban omal nie odpowiedział, że nie chce im przeszkadzać, ale kogo próbował oszukać?

-Z wielką przyjemnością. Co mam przynieść?

Annie uśmiechnęła się łobuzersko i puściła do babci oko.

-Możemy poprosić o cokolwiek?

-O ile nie każecie mi przyrządzać indyka.

-Nie ma problemu. Będzie szynka w miodzie.

-W takim razie mówcie, co chcecie.

-Rejs po oceanie - powiedziała Leota.

Wszyscy się roześmiali, Leota najgłośniej.

-Choinka będzie tańsza - powiedziała Annie. - Jeśli możesz, kup taką dwumetrową dagleżję. Najlepiej się nadaje, bo między gałęziami jest miejsce na wiszące ozdoby, poza tym niedawno widziałam parę ślicznych drzewek w sprzedaży.

-Zatem choinka. - Corban się uśmiechnął. W istocie już się nie mógł doczekać świąt.

-Tak się składa, że przed supermarketem stoją ogrodnicy z towarem. Wszystkie dochody idą na cele charytatywne.

Corban uśmiechnął się od ucha do ucha.

-Pójdę tam zaraz po obiedzie.

Annie wieszała ostatnie pasemka lamety na choince, kiedy przyszła Arba z dziećmi, by podrzucić prezenty dla niej i dla Leoty. Annie podjęła gości ciepłym jabłecznikiem z paluszkami cynamonowymi i ciasteczkami z czekoladą. Ponieważ Wilsonowie na święta wybierali się do krewnych po drugiej stronie Zatoki, wszyscy postanowili od razu otworzyć prezenty.

Dzieci pomogły Leocie rozpakować paczuszkę, po czym oznajmiły z dumą, że wszystkie się złożyły, żeby kupić czekoladki z nadzieniem dla Leoty i śliczną buteleczkę z płynem do kąpieli dla Annie. Annie wręczyła maluchom podarki, mając

nadzieję, że ucieszą je ulepione z ciasta ozdoby choinkowe w kształcie biblijnych postaci, które sama upiekła i pomalowała. Dla Nilea zrobiła Szymona zwanego Nigrem, dla Kenyi królową Saby, a dla Tunishy etiopską królową Kandakę. Opowiedziała im o nich, kiedy Nile ją poinformował, że jego muzułmański kolega nazwał Jezusa Bogiem białego człowieka, który uczynił czarnych niewolnikami.

Dla Arby Annie upiekła z ciasta w kolorze czekolady związane w modlitwie ręce. Ucieszyła się, widząc, że całej czwórce podarunki sprawiły przyjemność. Annie chciała dać im coś szczególnego i trwałego.

-Czas na nas. - Arba pochyliła się i ujęła dłoń Leoty. - Cudownych świąt Bożego Narodzenia, Leoto. Odpoczniesz parę dni przed naszym powrotem.

-Niech was Bóg błogosławi - powiedziała Leota na tyle wyraźnie, że Arba ją zrozumiała.

Annie odprowadziła sąsiadkę z dziećmi na werandę. Arba zatrzymała się u dołu schodów.

-Twoja rodzina przyjedzie na święta?

-Nie w tym roku. Wujek George z rodziną jedzie do Phoenix, do rodziców Jeanne. To było ustalone, jeszcze zanim babcia dostała udaru. Ale planują tu wpaść zaraz po powrocie. A mama i Fred... - Wzruszyła ramionami. - Nie wiem.

-Przykro mi, Annie.

-Mnie również, ale miałyśmy Święto Dziękczynienia. Cieszę się z tego. Poza tym przyjdzie Corban, dzwoniła też Susan. Ona i Sam chcą do nas zajrzeć po południu. Mamy za co być wdzięczne. - Uśmiechnęła się niepewnie. Jak bardzo pragnęła, żeby w Boże Narodzenie cała rodzina znów zebrała się razem! Panie, tak mocno się modlę o pojednanie.

-Cóż, życzę tobie i babci wesołych świąt, Annie.

-Nawzajem. Odwiedźcie nas, gdy tylko będziecie mogli.

-Oczywiście. Dzieci bardzo się przywiązały do babci Leoty. Nie mogło być inaczej.

Annie pomachała Arbie ręką, po czym cicho weszła do domu. Babcia Leota spała w swoim fotelu. Jimmy Stewart umizgiwał się do Donny Reed w filmie Życie jest piękne. Annie po cichu pozbierała kubki i talerzyki do ciasta i zniosła je do kuchni. Umyła je i odstawiła. Dochodziło dopiero wpół do dziewiątej, ale była już bardzo zmęczona. Usiadła na kanapie, by przez kilka minut odpocząć. Leota wyglądała tak spokojnie. Annie nie chciała jej jeszcze budzić. Zamknęła oczy i oparła głowę na kanapie.

Panie, w gospodzie nie było miejsca dla Twego ukochanego Syna i wygląda na to, że w sercu mamy i wujka Georgea nie ma miejsca dla babci Leoty. Nie rozumiem. Po prostu nie rozumiem. To takie smutne. Omijają ich wszystkie błogosławieństwa, które ja dostaję. To taka cudowna, dobra dusza, nie potrafię nawet myśleć o tym, że mogę ją stracić. O Boże, proszę, pomóż mi sprawić, żeby to Boże Narodzenie było dla babci wyjątkowe. Nie pozwól, żeby babcia patrzyła,

jak upływa kolejna pora roku i nie wiedziała, jak bardzo jest kochana.

Nora nie mogła spać. Jutro Wigilia, a ona jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna i przygnębiona. Nie cierpię Bożego Narodzenia. Nigdy nie cierpiałam. Co roku święta mnie rozczarowują. Jako dziecko czułam zawód, bo wiedziałam, że nie dostanę tego, czego chcę. Teraz rozczarowaniem są zakupy, walka z tłumem, żeby dostać prezenty, z których wszyscy się ucieszą, dekorowanie domu, płacenie ciężkich pieniędzy za rozwieszenie nie lampek w ogrodzie i na podjeździe, szykowanie wielkiego wymyślnego obiadu, który znika w kilka minut. Po świętach jestem chora z wycieńczenia. I po co to wszystko?

Wpatrywała się w ciemność, słuchając chrapania leżącego obok Freda. Denerwowało ją, że on tak szybko zasypia po kłótni, podczas gdy ona godzinami czeka na sen, setki razy przeżuwać w myślach każde wypowiedziane słowo. Zwykle gdy wpadała „w jeden z tych swoich humorów”, jak mawia Fred, potrafił rozproszyć jej chandrę rozmową. Ale nie tego wieczoru. Milczał uparcie, aż w końcu spytała, czy jej samopoczucie ma dla niego jakiegokolwiek znaczenie. I co odpowiedział?

-Czemu nie zadzwonisz do Annie? Przecież chcesz, żebyśmy spędzili święta wszyscy razem.

-Tutaj! Chcę, żeby ona była tutaj!

-Cóż, tak się nie stanie. To niemożliwe.

-Jeśli tam pojedziemy, to ją tylko zachęci, żeby dalej brnęła w tę idiotyczną sytuację, Fred.

Zamknął z trzaskiem książkę, którą czytał przez cały wieczór, wstał i rzucił ją na stół.

-Nie pojmuję, jak możesz tak mało znać swoją córkę, Noro. Postanowiła opiekować się twoją matką. Nic, co zrobisz albo powiesz, tego nie zmieni. I tak naprawdę to cię złości, co? Nie masz już na nią wpływu.

-Ona marnuje sobie życie.

-Jak myślisz, ile lat zostało twojej matce? Nie będzie żyć wiecznie.

-Pewnie dożyje setki.

-Lepiej dla ciebie, by tak było. - I z tą tajemniczą uwagą Fred udał się do łóżka.

Teraz Nora przewracała się z boku na bok, bezskutecznie próbując zasnąć. Czowała, jak łzy spływają jej we włosy. Ile ich wylała przez te wszystkie lata, począwszy od chwili, gdy matka ją zostawiła i poszła do pracy?

Boże, nie mogę tak dłużej żyć. Czasami wołałabym umrzeć. Nic nigdy nie wychodzi tak, jak chcę. Dziś rano dzwoniłam do Michaela, a on nie mógł się doczekać, aż skończymy rozmawiać. Jest jego matką, a on zupełnie o nią nie dba.

Jak ty traktujesz swoją matkę?

Nora zacisnęła zęby. Ona pierwsza mnie zostawiła. Michael jest taki sam jak jego ojciec, Bryan.

Czowała osaczającą ciszę. Przytłaczała ją ciemność. Drżąc, skuliła się po swojej stronie łóżka i przytuliła się do Freda z nadzieją, że jego ciepło ją rogrzeje.

Kochałam Deana Gardnera. Kochałam go tak bardzo, że kiedy zostawił mnie dla tamtej kobiety, myślałam, że umrę. Jak ona miała na imię? Domi- niąue. Długo żyłam nadzieją, że się nią zmęczy i wróci do mnie. No ale się nie zmęczył, a potem poznał Phyllis, jeszcze później Penny. Straciłam już rachubę, ile miał kobiet przez te wszystkie lata. Jak ma na imię jego nowa kochanka? Monika. Słumiła łzy napływające jej do oczu. Boże, dałam Deanowi całą swoją miłość, ale to nie wystarczyło, by go zatrzymać. Brakowało mu wiary. A teraz okazuje się, że Anne-Lynn jest taka jak jej ojciec. Opuściła ją tak samo, jak Dean Gardner.

To ty ją opuściłaś!

Nieprawda. Wargi jej drżały. Pewnie poślubi tego łobuza, Sama Cartera, i do końca życia będzie nieszczęśliwa.

A jeśli taki jest mój plan wobec niej?

Pomyślała o Susan i jej rodzicach i lzy zapiekły ją jeszcze mocniej. Teraz, gdy dzieci są już dorosłe, Carterowie nigdy nie muszą do nich dzwonić i prosić, żeby przyjechały. Ich dom zawsze jest pełen ludzi. Gdy Anne-Lynn była nastolatką, chciała spędzać u Carterów każdą wolną chwilę. Nora myślała, że to z powodu Sama i magnetyzmu jego buntowniczej postawy, ale Anne-Lynn chodziła tam nawet wtedy, kiedy Sam wylądował w poprawczaku. Uwielbiała przebywać z Carterami.

Za każdym razem, gdy Anne-Lynn pytała, czy może nocować u Carterów, było mi

przykro. Czułam się tak, jakby mnie zdradzała. Chciałam, żeby lubiła przebywać ze mną w domu, ale była jak ptak uwięziony w moich rękach. Im mocniej ją trzymałam, tym bardziej wyrywała się na wolność.

Teraz jest wolna. Jest wolna i nigdy nie przyjeżdża do domu.

O Boże, co jest we mnie takiego, że ludzie się ode mnie odwracają? Dawałam moim dzieciom wszystko, co miałam. Ja tylko chcę, żeby żyło im się lepiej niż mnie, kiedy dorastałam. Chcę, żeby mnie kochały.

Chcesz być ich bogiem.

Nie, tego nie powiedziałam.

Usłyszała, jak stojący na dole zegar dziadka wybija czwartą. Nie ma sensu czekać na sen. Już za chwilę trzeba będzie wstawać. Wyślizgnęła się spod kołdry i założyła szlafrok i pantofle.

Lampki na choince wciąż się świeciły ich delikatny blask oświetlał schody. Nora przyozdobiła poręcz gałązkami sosny, tu i ówdzie dodając jagody ostrokrzewu. Wyglądały ślicznie i cały dom pachniał lasem. Na gzymsie kominka doskonale prezentowały się jedwabne poinsecje wetknięte między sosnowe gałązki oraz wysokie czerwone, zielone i białe świece. Profesjonalny dekorator nie zrobiłby tego lepiej.

Aranżacja była tak doskonała, jak na wystawie sklepowej.

To wszystko jest na pokaz. Bez znaczenia.

Dla Annie Boże Narodzenie coś znaczy.

Przypomniała sobie wiadomość zostawioną przez córkę na sekretarce. Słowa powróciły tak wyraźnie, jakby nigdy ich nie skasowała „U nas wszystko dobrze. Bardzo byśmy chciały, żebyś nas odwiedziła. Mam nadzieję, że wiesz, że w każdej

chwili jesteś tu mile widziana, mamusiu".

Mamusiu. Nie mam. Nazwała mnie mamusią.

I powiedziała to z taką czułością.

Nora weszła do kuchni i zmieliła świeże ziarna markowej kawy. Ugotowała jajko, a potem podgrzała w mikrofalówce rogalik. Było za zimno, żeby siedzieć na oszklonej werandzie, włączyła więc grzejnik i usadowiła się w kącie, patrząc przez okno na wypielęgnowany trawnik, ozdobnie przycięte sosenki i wypieloną, pokrytą ściółką ziemię gotową do zasadzenia cebulek. Wiosną to będzie wyglądać jak park.

Park, po którym ludzie spacerują i odchodzą - nie ogród, gdzie goście wypoczywają i zostają dłużej. Park, do którego trzeba wejść przez dom, uzyskawszy pozwolenie od właściciela... nie ogród z tylną furtką dla sąsiadów.

Nora zamknęła oczy. Za szybą w kuchennym oknie ujrzała matkę - na klęczkach, z dłońmi zanurzonymi w ziemi.

Przeżyła wstrząs, widząc matkę w szpitalnym łóżku. Była taka blada, zdezorientowana, wątła.

Wschód słońca zajaśniał pomarańczoworóżową luną. Zegar w hallu wybił siódmą. Gdzie się podział cały ten czas? Lata walki, wysiłków, by przetrzymać kolejne rozczarowania, ciągłego poszukiwania choć odrobiny spokoju, spełnienia i celu...

„Mam nadzieję, że wiesz, że w każdej chwili jesteś tu mile widziana, mamusiu".

Mamusiu. Chwyciła się tego słowa jak liny ratowniczej. Mamusiu.

O ósmej rano sięgnęła po telefon, zadzwoniła do córki i spytała, czy zaproszenie wciąż jest aktualne.

I oczywiście było.

W wigilijny poranek furgonetka pocztowa dostarczyła dwie paczki zaadresowane do Leoty Reinhardt, nadane przez wujka Georgea i ciocię Jeanne. W większej znajdował się odtwarzacz wideo.

-Co to jest?

Babcia Leota wpatrywała się w sprzęt, kompletnie zbита z tropu. Annie spróbowała jej wytłumaczyć.

Druga paczka zawierała liścik napisany ręką Jeanne. „Przykro nam, że nie możemy być z Wami w święta. Mam nadzieję, że filmy się Wam spodobają. Pozdrawiamy - Jeanne, George, Marshall i Mitzi". W pudle znajdowało się mnóstwo filmów Dzwony Najświętszej Marii Panny, Południowy Pacyfik, Król i ja, Casablanca, Arystokracja podziemi, Ben-Hur, Cud na 34 Ulicy i Opowieść wigilijna.

-Babciu, to odnaleziony skarb. Który film chcesz obejrzeć najpierw?

-Ty wybierz.

Ale kiedy Annie chciała podłączyć odtwarzacz, uzmysłowiła sobie, że telewizor

babci Leoty jest

zbyt stary i nie ma odpowiednich wejść. Ile kosztuje nowy? Tylko kilkaset dolarów, ale babcia nie posiada takich pieniędzy.

-Oj, babciu. Tak mi przykro. - Czy ten dzień będzie pełen rozczarowań? - Nie zdawałam sobie sprawy.

-Nie będę tęsknić za czymś, czego nigdy nie miałam - odparła babcia, uśmiechając się krzywo. - Miły pomysł.

Annie tylko skinęła głową, bo gardło miała zbyt ściśnięte, żeby coś powiedzieć. Przed wprowadzeniem się do babci nie poświęcała uwagi nowoczesnym udogodnieniom. Tu nie było zmywarki - choć z drugiej strony nie była zbyt potrzebna do naczyń, z których jadły tylko dwie osoby - a pralka i suszarka do ubrań miały więcej lat niż ona sama. Któregoś dnia Annie od rana do wieczora czyściła otwór wentylacyjny suszarki. Dziękowała Bogu za opiekę, bo rura była cała zapchana kłaczkami, i tylko cudem nie zajęła się ogniem, od którego dom mógł spłonąć do szczytu. Tak naprawdę mnóstwo rzeczy wymagało naprawy. Rura pod kuchennym zlewem przeciekała. Z rynien na dachu wylewała się woda, bo odpływy na dole były zatkane liśćmi. Jeden ze schodków przy tylnym wejściu zmurszał, co znaczyło, że termyty prawdopodobnie pałaszowały także inne części domu babci Leoty. Trzeba też naprawić dach w swojej sypialni Annie zauważyła plamę na suficie.

Nie chciała wspominać o tym wszystkim babci, żeby jej nie martwić. Albo, co gorsza, żeby babcia nie odczytała opacznie jej troski jako wyrazu niezadowolenia. Jeśli coś trzeba zreperować, Annie znajdzie sposób, by się tym zająć, nie kłopotząc babci Leoty.

Panie, nie pozwól, by rozpraszały mnie te nieistotne drobiazgi. Co z tego, że nowiuteńki odtwarzacz babci nie działa. Wybacz mi, że poczułam rozczarowanie. Biedny wujek George i ciocia Jeanne. Wydali tyle pieniędzy na coś, czego babcia nawet nie może użyć, a przecież ucieszyłyby się o wiele bardziej, gdyby przez pięć minut porozmawiali z nią przez telefon.

Annie pokręciła głową i zaniósła do salonu tacę z gorącą czekoladą i ciasteczkami. Obsłużyła babcię, po czym usiadła po turecku na fotelu i sączyła czekoladę.

O trzeciej zadzwonił ojciec.

-Prezent przyślę ci później. Przez kilka dni go nie dostaniesz. Chcesz wiedzieć, co to jest?

-Cokolwiek to jest, tato, będzie mi się podobało.

-Jesteś za mało wymagająca. Jak się czuje Leota?

-Bardzo dobrze.

-A ty? Opadasz z sił?

-Mam dużą pomoc. Opowiadałam ci o Corbanie.

-A matka? Ona też ci pomaga? - Kiedy Annie milczała, rozpaczliwie starając się wymyślić odpowiedź, która nie postawiłaby jej matki w złym świetle, ojciec zaśmiał się urągliwie. - Nieważne, Annie. Wiem swoje. Nora spisuje na straty wszystko, na co nie ma wpływu.

-Tatusiu...

-Przepraszam, kochanie. Zawsze to powtarzam, co?

-Co słyhać u Moniki?

-Nie wiem. Nie widziałem jej, odkąd się wyprowadziła.

Ojej.

-Kiedy to było?

-W zeszłym miesiącu. Myślałem, że ci wspominałem.

-Nie, nic mi nie mówiłeś.

-Nalegała, żebyśmy wzięli ślub. Już raz to przerabiałem i nie chcę tego powtarzać. Kilka lat życia z twoją matką...

-Ja też nie chcę znów tego przerabiać, tato. - Nic na to nie odpowiedział, a ona nie chciała kończyć rozmowy gorzką nutą. - Tęsknię za tobą.

-Ja też za tobą tęsknię, kotku. Może przylecę za parę tygodni.

Ile razy to obiecywał?

-Wiesz, że zawsze jesteś tu mile widziany, tatusiu.

Wczesnym popołudniem w dzień Bożego Narodzenia Nora i Fred zatrzymali samochód

przed domem Leoty. Nora głośno jęknęła, gdy rozpoznała czarny sportowy wóz Corbana.

-On tu znowu jest.

-Daj mu szansę - rzekł Fred, wychodząc z samochodu. Pomógł jej wysiąść i

trzymał ją za rękę, gdy szli przez podjazd i po schodach. Annie czekała na werandzie. Uśmiechała się, oczy jej błyszczały.

-Tak się cieszę, że przyjechaliście!

Na widok córki Nora złagodniała. Annie, z lokami luźno spływającymi na ramiona, ubrana w długą zieloną suknię z aksamitu, do której założyła sznur pereł, wyglądała prześlicznie. Nora wypatrywała w niej oznak zmęczenia, ale dostrzegła jedynie zaróżowione policzki i błękitne oczy, z których biła radość. I nadzieja. Dopiero gdy się przytuliły, zauważyła zmianę.

-Schudłaś.

-Może parę kilo. Wejdźcie. Tu jest zimno, a babcia nie może się was doczekać.

Najpierw Nora zauważyła choinkę. Stała tuż przy oknie od strony ulicy i była widoczna przez szybę. Pięknie ozdobiona staromodnymi szklanymi bombkami, aniołkami i lametą. Ponieważ Nora nie była jeszcze w stanie spojrzeć na matkę, rozejrzała się po pokoju, zaskoczona, że ściany zostały świeżo pomalowane, meble wypolerowane, stary dywan wyglądał jak nowy, a na stole stały gałązki sosny i świece zapachowe. W kominku trząskał ogień. W domu nie unosił się już ten zapach starości i rozkładu. Przepelniała go jodłana woń Bożego Narodzenia. Gdyby wyniesione stąd wspomnienia Nory nie były tak bolesne, byłaby absolutnie oczarowana.

-Corban kupił nam nową choinkę - powiedziała Annie. - I pomógł zawiesić lampki na frontowej i bocznej ścianie wzdłuż podjazdu. Światelka są w całym ogrodzie. W nocy jest tu jak w zimowej krainie czarów. Włączę lampki, jak tylko się ściemni, sami zobaczycie.

-Poczekaj, aż dostaniesz rachunek za prąd - zaśmiał się Fred, pochylając się ku Leocie, by zamienić z nią po cichu kilka słów.

Nora trzymała się z boku. Unikała patrzenia na matkę tak długo, jak to było możliwe, a teraz, gdy wreszcie na nią spojrzała, poczuła ukłucie w sercu. Matka wyglądała tak staro. Jedna strona twarzy lekko jej opadała.

-Kto wam dał wideo? - spytał Fred.

-Wujek George i ciocia Jeanne - odparła Annie.

Nora z zażenowaniem starała się ukryć pudełko czekoladek, które przyniosła w prezencie. Co u licha George sobie wyobraża? W zeszłym roku przysłał mamie paczkę z jedzeniem. Właściwie to Jeanne ją wysłała. George nie trzymał się nawet podpisywaniem świątecznych kart. Zawsze dostawali od nich pocztówki z podpisem „George i Jeanne”, napisanym ręką bratowej. A teraz to? Wideo? Czyżby próbowali postawić ją w złym świetle?

-Pomóc ci je podłączyć? - Fred zapalił się do tego pomysłu.

Annie się roześmiała i lekko wzruszyła ramionami.

-Niestety nie da się. Telewizor babci został kupiony, zanim wynaleziono wideo.

-O, to nie problem. Kupimy nowy. Zastanawialiśmy się z Norą, co ci podarować, Leoto. Teraz już wiemy.

Wzruszona, że tak szybko pospieszył jej na ratunek, Nora wsunęła dłoń w rękę Freda.

-Wyglądasz o wiele lepiej, niż kiedy widziałam cię ostatnio - powiedziała do Leoty i natychmiast poczuła gorąco na twarzy. Odkąd matka wyszła ze szpitala, Nora nie odwiedziła jej ani razu.

Leota poddała się nastrojowi wieczoru. Kiedy Eleonora wyszła do kuchni w ślad za Annie, mogła się tylko modlić, żeby jej córka nie powiedziała Annie niczego przykrego. Były jak przeciwne strony medalu. Eleonora obrażała się przy byle okazji Annie pozostawiała rzeczy ich własnemu biegowi. Eleonora była wojownikiem gotowym walczyć z życiem do posłuszeństwa Annie była rozjemcą, żyła z poczuciem krzywdy, przetykała każdą obrazę, starała się wznieść ponad nią i iść naprzód.

Próbowałam tak żyć, Panie. Może dlatego, obserwując ich związek, mam ochotę pójść za przykładem Eleonory. O, ile bym jej teraz powiedziała, gdyby tylko język mi na to pozwalał!

Może gdyby dawniej miała odwagę mówić, gdyby się broniła zamiast milczeć... Milczenie nie zawsze przynosi pokój. Kiedy się komuś pozwala postępować bez szacunku, częściej staje się on gruboskórny i wymagający wobec innych.

Sądziłam, że pozwalam Eleonorze dać upust żalowi i poczuciu krzywdy i że na tym się skończy. Tymczasem jej życie skoncentrowało się na poczuciu

niezadowolenia i rozczarowania. Bardzo bym chciała cofnąć się w czasie, usiąść z nią, gdy była małą dziewczynką i pokazać jej wszystko od nowa. Powiedziałabym „Oto, co się dzieje. Oto prawda. Oto, co trzeba zrobić. Połącz siły ze mną, z babcią i dziadkiem i razem starajmy się zjednoczyć rodzinę!”

Ale próbowała to zrobić sama.

Dlaczego? Dla chwały? Żeby zostać męczennicą? Żeby sobie pokazać, że jest lepsza od biednej Heleny Reinhardt, która musiała poskładać wszystko w całość sama, bez żadnej pomocy ze strony Leoty bądź Papy?

Wybacz mi, Panie.

Leota usłyszała, jak Eleonora i Annie rozmawiają.

-Dlaczego mama płacze? - spytała cicho Eleonora, wyglądając na zakłopotaną.

-Po wylewie z trudem panuje nad emocjami. - Annie także mówiła przyciszonym głosem.

Zachowywały się tak, jakby słuch Leoty ucierpiał na równi z umiejętnością samodzielnego chodzenia! O Panie! Zawiodłeś mnie! Mówię tak niewyraźnie, że nikt mnie nie rozumie. Nikt oprócz Annie. Ona jest jak młoda matka, która w lot pojmuje bełkot swojego dziecka. Bo stałam się takim dzieckiem. Dukam tyle, ile potrafię, kurczowo trzymając się tego, kto wyprowadza mnie na spacer. Panie, chętnie skrzyczałabym Cię za to, że pozwoliłeś, by mi się przydarzyło coś takiego, gdyby nie obawa, że Eleonora i George uznają mnie za wariatkę i odeślą gdzieś na dobre!

Wideo. Na litość boską, co ten George sobie wyobraża? A teraz Fred oferuje telewizor. Razem z pudełkiem czekoladek, które Eleonora próbuje ukryć na stoliku. Ciekawe, czy ona myśli, że zachorowałam na cukrzycę... i chce mnie teraz wykończyć swoją dobrocią. Niestety Leota się domyślała, dlaczego wszyscy nagle zrobili się tacy hojni. Czy byliby tacy wielkoduszni, gdyby wiedzieli, że wszystko jest już ustalone i papiery leżą u prawnika?

Jestem niesprawiedliwa. Użalam się nad sobą i aż niedobrze mi się od tego robi! Znam Jeanne. I znam Freda. Oboje są dobrzy i wspaniałomyślni. To moje dzieci widzą tylko czubek własnego nosa!

Panie, nie mogę myśleć w ten sposób. Dla dobra Annie. Muszę wziąć się w garść i stawić czoło wszystkiemu, co się zdarzy. Ale powiem Ci jedno. Zmęczyło mnie już nadstawianie drugiego policzka. Naprawdę mam tego serdecznie dość.

Dzień mijał, ale Leocie nie było łatwiej. Wszystko się komplikowało. Corban nie lubił Eleonory i nie starał się tego ukryć. Annie próbowała nawiązywać rozmowę, ale tylko Fred ją podtrzymywał. Potem przyjechała Susan z Samem i Eleonora się nasrożyła. Zachowywała się jak owczarek niemiecki, który przydybał akwizytora na ganku to dopiero był widok! Sam nie mógł nawet mrugnąć powieką, żeby Eleonora nie zauważyła, co się z nim dzieje. On także nie ukrywał swych uczuć. Za każdym razem, gdy spojrzał na Annie, miał wypisane w oczach „Kocham tę dziewczynę”. Co tylko bardziej rozwścieczało Eleonorę.

W pewnym momencie przyszła też Lin Sansan Ng, Do Weon i Kim, niedługo po nich zaś Juanita, Jorge, Marisa, Elena i Raoul.

Eleonora posuwała się na kanapie, robiąc miejsce kolejnym gościom, aż została wciśnięta w sam róg i - podczas gdy Fred włączał się do ogólnej rozmowy - przez cały czas trzymała się na zewnątrz rodzinnego kręgu.

-Chris kazał ci podziękować za informacje - powiedziała Juanita do Annie. -
Mówi, że grupa wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Miles szybko podupada na zdrowiu.

Eleonora spojrzała na Annie.

-Kto to jest Chris i Miles?

-Mieszkają cztery domy dalej po drugiej stronie ulicy - wyjaśniła Annie. -
Miles jest bardzo chory.

-AIDS - powiedziała ze smutkiem Juanita.

Eleonora zbladła. Leota domyślała się, co działało się w jej głowie. Jej córka, Annie, mieszka w getcie pełnym ludzi wszystkich ras, razem ze staruszką, która - choć ledwo żyje - pobędzie tu jeszcze nie wiadomo jak długo, a na dodatek jej niewinna mała dziewczynka zadaje się z homoseksualistami!

-AIDS? - Eleonora wybałuszyła oczy.

-Annie poznała ich parę tygodni temu.

Eleonora spojrzała na córkę, milcząco, acz zaciekle domagając się wyjaśnień.

-Nie mieszkają ze swoimi rodzinami. Miles umiera, mamó. Nie popieram ich stylu życia, ale to sąsiedzi i potrzebują naszej pomocy.

-Już masz pełne ręce roboty, Anne-Lynn. Codziennie od rana do wieczora, nie wiadomo, przez jak długi czas.

Annie się zaczerwieniła. W jej oczach pojawił się ostrzegawczy błysk.

-Przygotowuję dodatkowe porcje jedzenia i parę razy w tygodniu zanoszę im obiad. To nie jest wielki kłopot.

Leota nie mogła pozwolić, by ta rozmowa toczyła się dalej.

-Pozwoliłam Annie.

Jakimś cudownym sposobem Eleonora zrozumiała jej słowa. Rzuciła się do przodu, siadając na krawędzi kanapy i rozczapierzając oparte na kolanach palce niczym szpony.

-Tobie jest łatwo okazywać wspaniałomyślność kosztem Annie, mamó. Masz ponad osiemdziesiąt lat. Przeżyłaś swoje życie. Nie obchodzi cię, jakie ryzyko podejmuje moja córka? Nie dość, że mieszka z tobą w dzielnicy, w której roi się od przestępców, to jeszcze narażasz ją na kontakt z AIDS!

-Mamo!

Leota wyteżyła całą wolę, żeby się nie rozplakać. Łzy tylko po stokroć pogorszyłyby sprawę. Poza tym rozumiała zaciekłość Eleonory. Czyż nie czuła tego samego, kiedy Mama Reinhardt przeciągała jej dzieci na swoją stronę?

Czy właśnie tak postąpiłam, Panie?

Annie stała jak porażona, patrząc to na matkę, to na babcię, podczas gdy walka toczyła się wokół niej. Biedna dziewczyna znalazła się na linii frontu, między wrogimi armiami, niepewna, po której stronie znajdzie schronienie. Zawsze giną niewinni.

-Co w tym złego? - Corban wpatrywał się w Eleonorę czerwony z gniewu. - Że w przeciwieństwie do pani Annie ma serce? Że w przeciwieństwie do pani jest zdolna kochać kogoś bardziej niż siebie?

-Hola, chwileczkę! - Fred nagle wstał, gotów osłaniać żonę niczym rycerz w lśniącej zbroi.

Eleonora skierowała swoją złość na Corbana.

-To nie pańska sprawa! Kim pan w ogóle jest? Co chce pan uzyskać, podlizując się mojej matce?

Twarz Corbana zrobiła się purpurowa.

-Wydaje mi się, że to nie jest również pani sprawa, pani Gaines. Już dawno temu wycofała się pani z życia Leoty, a Annie jest dorosła. Może sama podejmować decyzje.

-Przestańcie! - Annie zakryła twarz dłońmi i zaczęła płakać. - Przestańcie! Wszyscy! - uciekła do kuchni.

Eleonorze drgnęła twarz. Dla wszystkich innych był to ledwie przebłysk, ale Leota wejrzała prosto w serce swojego cierpiącego dziecka. Było tak, jakby w betonowym murze okalającym ogród powstała rysa. W tym przelotnym spojrzeniu Leota zobaczyła krajobraz rażony piorunem. Och, moje dziecko, moje biedne dziecko. A potem, by naprawić mur, Eleonora zalała pęknięcie zaprawą z dawnych krzywd. Leota czuła na sobie oskarżający wzrok córki.

-Może to spotkanie wcale nie było takim dobrym pomysłem.

Corbanowi błysnęły oczy.

-Może trzeba było skrócić listę gości o dwie osoby! - Poszedł do kuchni za Annie. Zażenowana Juanita szybko zawołała dzieci, Lin też. Wyszły cicho przez

kuchnię. Leota wiedziała, że nim odjadą, przeproszą Annie.

O Boże. Moja rodzina, moja ukochana rodzina. Pomóż nam. Jesteśmy rozdarci na strzępy. Wróg całkiem nas zniszczył.

Sam milczał jak kamień, wpatrując się w ogień. Susan wystawiła podbródek, po policzkach spływały jej łzy. Wpatrywała się w Eleonorę.

-Dlaczego pani zawsze to robi Annie? Odkąd ją znam, tak bardzo się stara zdobyć pani aprobatę. Niczym nie można pani zadowolić.

-To nieprawda.

Eleonora była roztrzęsiona - Leota widziała to po jej rękach, słyszała w głosie. Teraz wszyscy na nią patrzyli. A zatem tak było zawsze. „Jak posiejesz, tak zbierzesz”. Ta, która potępiała najgłośniejsz, w końcu sama została potępiona. Tonęła.

Bezradna, nie mogąc znieść tego widoku, Leota odwróciła twarz do ściany i zapłakała.

Tej nocy powróciły bóle, które w ciągu ostatnich dwóch lat to pojawiały się, to znikwały. Leota nie zadzwoniła małym dzwoneczkiem, który Annie położyła na stoliku przy jej łóżku. Nie mogła znieść myśli, że miałyby niepokoić Annie po

tak druzgoczącym dniu Bożego Narodzenia. Biedactwo pragnęło, żeby wszystko wypadło doskonale. Tak ciężko pracowała, długo się modliła. Teraz potrzebuje odpoczynku. Nad ranem ból złągodniał.

Kiedy Annie do niej zajrzała, Leota oznajmiła, że chce dłużej pospać. Wnuczka wyglądała na zmartwioną i zadawała pytania, ale Leota skłamała, mówiąc, że czuje się dobrze. Powiedziała, że miała cudowny sen.

Nie potrafiła obarczyć Annie dodatkowym zmartwieniem i przyznać się, że dzieje się z nią coś bardzo, bardzo złego.

W dniach, które nadeszły po Bożym Narodzeniu, Annie zauważyła u babci zmianę. Wciąż była niespokojna, co minutę zmieniała pozycję, jakby ciągle było jej niewygodnie. Choć od czasu udaru babcia często zachowywała się zrzędlawie, teraz marudziła bardziej niż zwykle. Albo jej wymowa znacznie się poprawiła, albo Annie się do niej przyzwyczaiła i lepiej ją rozumiała. Z początku - gdy babcia mówiła do telewizora, wygarniając prezenterowi wiadomości, że jest krótkowzroczny albo że ma „idiotyczne” poglądy - było dość zabawnie, lecz kiedy zaczęła mówić o kremacji, Annie się zaniepokoiła. Próbowwała odwrócić jej uwagę od śmierci, ale babcia Leota uporczywie trzymała się tego tematu. „Podsypcie mną cebulki. Potrzebują mączki kostnej”.

Mimo protestów Leoty Annie zadzwoniła do lekarza.

-Nie pojedę! - powiedziała babcia, wysuwając do przodu podbródek. Była rozdrażniona, ale tym razem Annie nie mogła udawać, że wszystko jest w porządku.

-Owszem, pojedziesz. Dzieje się coś złego, babciu. Chcę, żeby lekarz cię przebadał.

-Nic złego się nie dzieje!

-Masz bóle! Wiem, że tak jest. Próbujesz to ukryć, ale mnie nie oszukasz.

Babcia próbowała czarować Annie, uśmiechając się do niej i głaszcząc ją po ręce.

-To tylko artretyzm, kochanie. Nie jestem już zielonym pędem. Jestem dojrzałym owocem gotowym do zerwania.

Annie się nie poddawała.

-Lekarz da ci jakieś lekarstwo, po którym lepiej się poczujesz.

-Nie pojedę! Będziesz mnie musiała wynieść z tego domu!

Annie zadzwoniła do Corbana. Przyjechał następnego ranka, zignorował gwałtowne protesty i wymyślenia Leoty, wziął ją z wózka na ręce i zaniósł do samochodu Annie.

-Dobrze, że nie może ruszać prawą ręką - rzekł Corban, prostując się. -
Chyba podbiłaby mi oko.

Gdy tylko Nora usłyszała, jak otwierają się tylne drzwi do garażu, wiedziała, że coś się stało. Fred nigdy nie wracał z pracy tak wcześnie.

-O co chodzi? Co się stało?

-Annie dzwoniła do mnie do biura. Twoja matka znów jest w szpitalu.

Nora poczuła ciężar w sercu. Czy już zawsze tak będzie? Córka będzie dzwonić do Freda, żeby przekazał jej wiadomość?

-Kolejny udar?

-Lekarz myśli, że to może być rak. Robią jej badania.

Osunęła się na oparcie fotela. Rak! Jak ona sobie z tym poradzi, skoro jej życie już przewróciło się do góry nogami? Norę bolała głowa. Ścisnęło ją w żołądku. Miała chore ciało i duszę. Od tego strasznego Bożego Narodzenia ani razu nie czuła się dobrze. Powinna była zostać w domu, zamiast wystawiać się na takie psychiczne męki. Wszyscy obrócili się przeciwko niej. Tylko dlatego, że Annie wybiegła do kuchni zalana łzami, bo Nora coś powiedziała. A potem zapłakała Leota.

Co ja takiego powiedziałam? Nawet nie pamiętam słów, którymi to wszystko rozpętałam. Patrzyli na mnie jak na psa, który nabrudził na dywan.

Język jest ogniem...

O Panie, co ja takiego powiedziałam? Czasami, kiedy się zdenerwuję, nie potrafię jasno myśleć, mówię rzeczy, których potem nawet nie pamiętam.

Czy to wymówka?

-Myślę, że powinniśmy tam pojechać, Noro.

-Nie chcę znów oglądać mojej matki w szpitalnym łóżku.

-Wolałabyś ją oglądać w trumnie?

Nora się wzdrygnęła.

-Jak możesz tak mówić?

-Bo może nie zostało ci już wiele czasu.

Zajrzała mu głęboko w oczy.

-Co powiedziała Annie? - Czyżby coś przed nią ukrywał?

-Dokładnie to, co ci powtórzyłem, ale mam przeczucie, że nie ma już czasu.

-Dla mnie? - Czemu on tak na nią patrzy? Jakby widział w niej coś, czego sama nawet nie rozumiała. Odwróciła wzrok, czując się nieswojo pod jego uważnym spojrzeniem. - Nie wiem, co masz na myśli.

-Wiesz bardzo dobrze. Tylko nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy. -

Delikatnie pogładził ją wierzchem dłoni po policzku. Czułość Freda zawsze głęboko ją wzruszała. Kochała go płomienną miłością, nawet gdy fizycznie nie zbliżali się do siebie przez tydzień albo dłużej. Podziwiała go i szanowała. I często nie mogła się nadziwić, jak wielkie spotkało ją szczęście, że po dwóch katastrofalnych małżeństwach znalazła takiego mężczyznę. Fred był silny, lecz jego siła nie wynikała z potrzeby stawiania na swoim ani z przekonania, że zawsze ma rację. Płynęła głęboko ze środka.

O Boże, wiem, że nie jestem doskonała. Wiem o tym! Każdy dzień mojego życia dobitnie to podkreśla. A przez ostatnie osiem miesięcy, odkąd Annie nie mogła już ze mną wytrzymać pod jednym dachem, jest jeszcze sto razy gorzej. Czy musiałam zebrać takie cięgi w Boże Narodzenie? Zawsze chciałam być lepsza dla moich dzieci, niż moja matka była dla mnie. Zawsze chciałam postępować słusznie, wychować je na ludzi lepszych niż inni. A udało mi się tylko zrazić tych, których najbardziej kocham. Dwóch mężów. Michaela. Annie. Aż dziw, że Fred mnie jeszcze nie opuścił.

Zamknęła oczy. Gdyby Fred nie był z nią w święta i nie uratował sytuacji, z pewnością podcięłaby sobie żyły albo połknęła garść pigułek. Stracono ją z wysokiego konia i wróciła do domu we łzach. Kolejny raz. Czy zawsze musi wracać od matki zapłakana? Tamten dom powinien się nazywać Domem Płaczu. Czy ktokolwiek był tam szczęśliwy?

Annie jest tam szczęśliwa.

-Już nie wiem, co robić. - Spojrzała na Freda. - Czuję się tak, jakby poza tobą nikt na całym świecie mnie nie kochał. - Jak długo to potrwa? Ile minie czasu, zanim zrazi do siebie także Freda?

-Annie cię kocha. - Uśmiechnął się do niej słodkim, łagodnym uśmiechem. Kochała

cię tak bardzo, że przez osiemnaście lat znosiła cierpienia, jakie jej zadawałaś.

Pierwszy raz Nora nie zaprotestowała przeciwko surowej ocenie. Z ust Freda mogła wysłuchać prawdy, bo dla niego słowa nie były bronią. Jego dotyk, głos, wiara sprawiały, że czuła się przy nim bezpieczna, otwarta. Gdyby kto inny powiedział jej, że nie była dobrą matką, rozpętałyby wojnę.

A jednak niełatwo było to usłyszeć. Bolesnie dotknięta, mocno zacisnęła powieki i oczyma wyobraźni ujrzała minę córki na chwilę przed tym, jak wybiegła do kuchni. Mimo wściekłości Nora zdała sobie sprawę, że złamała jej serce. Tak samo jak w Święto Dziękczynienia, gdy wyrzuciła indyka upieczonego przez Annie. Nie chciała się do tego przyznać. Dopiero Susan rzuciła jej prawdę w twarz, w pewien sposób przyczyniając się do tego, że teraz Nora była gotowa wysłuchać Freda i zaakceptować prawdziwość jego oceny.

To prawda. Susan ma rację. Jakkolwiek Annie się starała, zawsze wymagałam od niej więcej. Fred ma rację. To było zadawanie cierpienia. O Boże, czy stałam się taka sama jak matka? To wszystko przez nią?

A potem przypomniała sobie łzy Leoty.

Nie, to nie jest wina mojej matki. To moja wina. O tak, Boże. Dlaczego ja się tak zachowuję?

Bo nie spełniasz oczekiwań. Nigdy tego nie robiłaś - odezwał się ponury głos. Wciąż ich nie spełniasz.

-Co mam robić? - Dławił ją strach i ból. - Tak bardzo się boję i nie wiem, co robić.

Fred wziął ją za rękę i podniósł z fotela. Tulił ją do siebie przez długą chwilę.

-Po prostu bądź przy nich.

Nora dygotała, bolała ją głowa.

-Kocham cię - powiedział Fred. - Wiesz o tym?

Tylko jak długo jeszcze?

Fred lekko się odsunął i ujął jej twarz w swoje dłonie.

-Spójrz na mnie, Noro. - Ledwie go widziała przez łzy. - Znam cię o wiele lepiej niż wtedy, gdy się tylko spotykaliśmy. I kocham cię teraz bardziej niż w dniu, gdy cię poślubiłem.

-Nie wiem, jak to możliwe.

Uśmiechnął się z czułością.

-Bóg to wie. - Pocałował ją, jakby przypieczę- towując obietnicę. Przyniosę ci płaszcz.

Corban cieszył się, że został razem z Annie, tym bardziej że zadzwoniła do mamy i wujka oboje mieli tu przyjechać. Annie będzie potrzebowała wsparcia, zwłaszcza że zdaniem lekarza Leota nie powinna wracać do domu. Lepiej byłoby ją przenieść do szpitala dla przewlekle chorych, gdzie przez ostatnie miesiące swego życia byłaby pod całodobową opieką. Zdawało się, że w ciele staruszki wszystko szwankuje. Corban przypomniał sobie, jak jeszcze kilka miesięcy temu Leota żartowała „Jestem jak stary samochód z poobijanym i zardzewiałym nadwoziem. Wyciekają ze mnie płyny i nawet z fotela nie mogę wstać bez pomocy drugiego akumulatora”.

Zapięły go oczy. Powstrzymał łzy i z myślą o Annie starał się okazywać spokój.

Kiedy Leota przestała być dla niego tą zrzędliwą starą babą i stała się Leotą, staruszką, którą kochał? Splótł dłonie, opadające na kolana, pochylił głowę i zamknął powieki.

O Jezu, Boże, jeśli naprawdę tam jesteś i opiekujesz się nami, proszę, nie pozwól Leocie umrzeć. Spraw, by wydobrzała na tyle, żebyśmy razem z Annie mogli ją stąd zabrać do domu. Ona właśnie tam chce być, gdy nadejdzie jej czas. Pozwól, bym choć tyle mógł dla niej zrobić.

-Powiedzieli ci coś jeszcze?

Na dźwięk głosu Nory Gaines gwałtownie uniósł głowę.

Annie poszukała jego ręki.

-Nie. Nic. Mówią, że to trochę potrwa.

Corban mocno trzymał ją za rękę, patrząc wyzywająco na Norę. Odwróciła się w jego stronę, lecz w jej twarzy nie dostrzegł nawet cienia wrogości, którą widział w dniu Bożego Narodzenia. Była po prostu smutna. I wyglądała staro. Jakby przez tych kilka dni, odkąd widział ją ostatni raz, przybyło jej lat. Dziwne. Nagle, choć sam nie bardzo mógł w to uwierzyć, dostrzegł w niej podobieństwo do Leoty. Może oczy. Wcześniej tego nie zauważył.

-Przyjechaliśmy od razu. - Fred wyciągnął do niego rękę. - Dzięki za pomoc, Corbanie.

Corban nie mógł nie odwzajemnić gestu powitania, żeby nie zachować się niegrzecznie i nie zranić Annie. Ale niech facet dobrze się zastanowi, zanim zechce go odprawić.

-Posiedzę tu, aż będzie wiadomo coś więcej.

Fred skinął głową.

-Oczywiście.

Nora usiadła na krześle naprzeciwko Annie. Córka zerknęła na nią i odwróciła wzrok.

Niemal mi żal tej jędzy, pomyślał Corban. Ale niby dlaczego? Sama jest sobie winna. Nikt nie będzie miał Annie za złe, jeśli już nigdy nie odezwie się do matki. Nora nie zasługuje nawet na jedno jej słowo. Susan Carter opowiedziała mu ze szczegółami, jak wyglądało życie Annie marionetka na sznurkach, popychana to tu, to tam przez kontrolującą matkę.

Nagle uderzyła go inna, ostra jak brzytwa myśl Czy to nie ty chciałeś umieścić wszystkich zbied- niałych starców w rządowych ośrodkach, tak żeby można nie zaprzętać sobie nimi głowy? Czy to nie ty chciałeś usunąć ich z ulicy i

sprzed oczu? Wszak żyjemy w społeczeństwie zorientowanym na młodość. Prawda? Starzy ludzie potrafią być prawdziwym utrapieniem.

Z trudem przełknął ślinę, walcząc z nagłym przyływem wstydu.

Przyznaj się, Corbanie. Gdy pierwszy raz zobaczyłeś Leotę Reinhardt, ledwo mogłeś znieść jej widok. Jej zmarszczki, poplamiona poliestrowa sukienka, niechlujny dom w biednej dzielnicy, napawały cię obrzydzeniem. Przyszedłeś do niej z gotowymi odpowiedziami i chciałeś, żeby je potwierdziła. Żebyś mógł dostać piątkę z zajęć.

To prawda. Co do joty.

Czego tak naprawdę nie lubisz w Norze Gaines? Może byś spróbował sobie na to odpowiedzieć?

Zastanowił się. I w jednej chwili zrozumiał, co wywoływało w nim wrogość. Powodem nie było bynajmniej wyłącznie współczucie dla Annie. Chodziło o coś

bardziej osobistego. Nora Gaines trafiła w jego słaby punkt. Rozpoznała, kim był naprawdę.

„Po co pan tu przyszedł?” Sarkazm tego pytania zburzył spokój jego sumienia. Po co przyszedł? Żeby wykorzystać Leotę Reinhardt, zdobyć potrzebne informacje, a potem zniknąć, zapomnieć o niej.

Ale chodziło o coś jeszcze.

Nora Gaines przypominała mu Ruth Coldwell. Ruth powiedziała mu na odchodnym rzeczy, dzięki którym mógł lepiej się sobie przyjrzeć. To, co zobaczył, wcale mu się nie podobało. Ona postąpiła źle, ale czy on miał więcej słuszności, decydując się na życie z nią w taki sposób? Czy kiedykolwiek zastanawiał się nad konsekwencjami? Co do Leoty, wszystkie jego dobre uczynki wynikały z czysto egoistycznych pobudek. Wpuściła go do swojego życia tylko dlatego, że była w rozpaczliwej potrzebie. Nic dziwnego, że na początku go nie lubiła.

Skrzywił się. Jestem bardziej podobny do Nory Gaines niż do Annie. Jestem pochłonięty sobą egocentrykiem.

-Nie powinnam była jej tu przywozić - powiedziała Annie chrapliwym głosem.

Nora odpowiedziała szybko i łagodnie.

-Postąpiłaś słusznie.

-Nieprawda! - Annie wyrwała dłoń z ręki Corbana i wstała. Zaczęła chodzić po poczekalni tam i z powrotem. - Powinnam była posłuchać babci. Chciała zostać w domu. W ogóle nie powinnam była jej tu przywozić.

-Postąpiłaś słusznie - powtórzyła Nora.

Fred potaknął.

-Ona potrzebowała lekarza, Annie.

-Ona chyba wie, że umiera, i dlatego nie chciała mi powiedzieć, że cierpi.

-Cierpi? - spytała cicho Nora.

Annie obróciła się w jej stronę, targana mieszanymi uczuciami.

-Cierpi od lat, mamó. Cierpieniem, którego nie potrafiłabyś nawet zrozumieć. - Znów odwróciła się do niej plecami.

Gotowy na atak, Corban spał się, czekając, aż Nora Gaines powie coś przykrego i okrutnego. Ale nie odezwała się. Była blada, jakby źle się czuła. A może to widok brata, Georgea, wchodzącego do poczekalni, powstrzymał ją od rozszarpania córki na strzępy. Za mężem weszła Jeanne, zmęczona i powściągliwa.

-Odsłuchaliśmy wiadomość z automatycznej sekretarki. - George patrzył na Freda, Norę i Annie. Corban uśmiechnął się ponuro. George ledwie omiół go spojrzeniem. - Przyjechalibyśmy wcześniej, ale musieliśmy poszukać opiekunki do dzieci. Co powiedział lekarz?

-Właśnie ją badają. - Annie odwróciła się do Georgea, krzyżując ręce. -

Doktor mówił, że to potrwa kilka godzin. - Zerknęła na zegarek. - Za chwilę powinniśmy się czegoś dowiedzieć.

Jeanne podeszła do Annie.

-Tak mi przykro, kochanie. Jak możemy pomóc?

-Niczego nie możemy zrobić, tylko czekać i modlić się, ciociu Jeanne odparła Annie płacząc, przytulając się do ciotki, która wzięła ją w ramiona.

-Możemy zrobić całkiem sporo - rzekł George, wysuwając szczękę. - Możemy dopilnować, żeby tym razem mama znalazła się pod odpowiednią opieką.

Corban wstał.

-Chwileczkę...

-Ty nie należysz do rodziny - wycedził George

-więc się nie wtrącaj.

-To mój przyjaciel! - Annie wysunęła się z objęć Jeanne.

-A my rozmawiamy o mojej matce.

-George - rzekła Jeanne błagalnym głosem.

-Nie pora na...

-Pora jest tak samo dobra jak każda inna. - Twarz mu się zaczerwieniła, oczy pociemniały.

-Myślałem, że załatwisz to ze swoją córką, Noro. Powiedz jej, o czym rozmawialiśmy.

Nora pochyliła się do przodu i zakryła twarz.

-Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, George - powiedział spokojnie Fred.

-Zdenerwowani! Masz rację, jestem zdenerwowany. Wracam ze świąt od teściów i

znajduję na sekretarce wiadomość, że moja matka znowu jest w szpitalu. Właśnie rozmawiałem z lekarzem powiedział, że mama prawdopodobnie czuje bóle od tygodni!

Gdyby była tam, gdzie chcieliśmy ją umieścić, otrzymałaby profesjonalną pomoc na

czas!

Twarz Annie drgnęła.

Corban postąpił krok naprzód.

-Hej, człowieku! Jakim prawem mówisz tak do Annie? - Miał ochotę grzotnąć

Georgea w jego nieomylny zadek. - Ona opiekowała się Leotą w dzień i w nocy.
Gdzie pan był?

-Ja mam na głowie interesy. I rodzinę. Nie jestem bogatym smarkaczem, który

studiuje, bo ma fundusz powierniczy!

Corban poczuł, że gorąco napływa mu do twarzy.

-Tak! - George był z siebie bardzo zadowolony.

-Wiem o tobie wszystko. Specjalizacja z socjologii. Wielka praca do napisania. Sądziłeś, że nie będzie mi się chciało wybadać, co za koleś zjawia się pewnego dnia, żeby pomóc biednej staruszce z dobroci serca? Wynająłem kogoś, żeby cię sprawdzić.

Gniew Corbana przeobraził się we wstyd.

-Wystarczyło mnie spytać. Co pan sobie wyobrażał? Że się zasadzam na wielką fortunę Leoty?

Ona żyje od jednej emerytury do drugiej, podczas gdy jej córka mieszka w Black Hawk, a syn...

-Wynoś się stąd! - wrzasnął George. - Albo sam cię wyrzucę!

Pracownicy ze stanowiska pielęgniarskiego spojrzeli po sobie.

-Myślisz, że powinniśmy coś zrobić? - spytała pielęgniarkę szpitalna wolontariuszka. Technik medyczny stał w magazynie, słuchając zacieklej wymiany zdań. Pokręcił głową.

-Nie mieszajcie się do tego. Wezwałem już doktora i kapelana.

-Komuś tutaj potrzebny będzie lekarz. Sądząc po ich głosach, zaraz zaczną się bić.

-Nie pierwszy raz - wtrąciła inna pielęgniarka.

-Każdy chce zrobić to, co uważa za słuszne, nikt nie chce przyjąć odpowiedzialności, a ta biedna staruszka tkwi w samym środku.

-Chyba nie o to chodzi - odezwała się jeszcze inna. - Wnuczka chce się nią zaopiekować.

-Zejdź na ziemię. Widziałaś tę dziewczynę? Nie ma więcej niż osiemnaście lat. To jeszcze dziecko

-miałaby wziąć na siebie taką odpowiedzialność?
-Może gdyby ktoś jej pomógł... - odparła pielęgniarka, notując coś w karcie.
-Z tego, co słyszałam, pacjentka i jej córka od lat nie utrzymują ze sobą kontaktów, a syn wcale nie ma z matką lepszych stosunków - rzekła inna, otwierając szafkę z lekarstwami.
-Wygląda na to, że im zależy.
-Jasne, zależy im. Żeby ją odesłać do domu opieki, niech państwo płaci rachunki. Wtedy coś im zostanie, gdy...
-Mówisz okropne rzeczy.
-Skąd wiesz to wszystko? - Druga pielęgniarka włożyła kartę do akt.
-Wystarczy posłuchać.
-Ich rozmowy to nie nasza sprawa. Do nas należy opieka nad pacjentką. Minął ich kapelan, zmierzający do poczekalni.
-Biedna staruszka.
-Wnuczka chce się nią zaopiekować - powtórzyła wolontariuszka.
-Nie wygląda na to, żeby ktokolwiek chciał jej pomóc.
Siostra przełożona wzięła do ręki inną kartę.
-Cóż, ta pacjentka długo tu nie pobędzie.
-Umrze?
-Wszyscy kiedyś umrzemy, ale nie o to mi chodziło. Może żyć jeszcze długo. W takich przypadkach nigdy nic nie wiadomo. Ludzie mają zaskakująco dużo sił. A cuda wciąż się zdarzają. Miałam na myśli to, że brakuje nam łóżek, a ona wymaga długoterminowej opieki. Do czasu, aż rodzina dojdzie do jakiegoś porozumienia, doktor Patterson przeniesie ją do szpitala dla przewlekle chorych.
-Coś mi się zdaje, że oni nie są w stanie w niczym się porozumieć.
-Jakie to smutne - młoda wolontariuszka wzruszyła ramionami.
-Lepsze to niż kompletny brak zainteresowania. - Siostra przełożona odłożyła kartę na swoje miejsce i ruszyła korytarzem, żeby zajrzeć do pacjenta. Jedna z pielęgniarek sprawdzała kartę medyczną i lekarstwa w małych papierowych

pojemniczkach. Zerknęła na technika medycznego, który przeglądał zlecenia.

-Co o tym myślisz, Hiram?

-Żal mi pani Reinhardt.

Hiram wiedział, że czasem śmierć może się okazać sprzymierzeńcem. Słyszał kłótnię, jaka się wywiązała w poczekalni. Słuchał rozmowy pielęgniarek, nie dzieląc się swoją opinią. Nie dalej jak godzinę temu pobierał Leocie Reinhardt krew. Bez trudu uda mu się zajrzeć do raportu doktora i poznać diagnozę.

Wcześniej już pomagał śmiertelnie chorym pacjentom. Być może Leocie Reinhardt także mógłby pomóc.

Gdy tylko Annie weszła do sali, Leota wyczuła, że coś jest nie tak. Choć wnuczka wesoło się uśmiechała, miała czerwone i podpuchnięte oczy. Udawała, że wszystko będzie dobrze.

Annie wzięła Leotę za rękę.

-Zabiorę cię stąd tak szybko, jak będę mogła, babciu. - Usta jej drżały i z trudem przękała ślinę. - Zrobię wszystko, co będzie trzeba...

-Robią ci kłopoty?

-Musimy jeszcze uzgodnić parę szczegółów.

W oczach Annie Leota zobaczyła ból. Zobaczyła też inne rzeczy, których nie dostrzegала przez kilka tygodni, kiedy była pod opieką wnuczki. Szkoda, że trzeba było aż udaru, aby się dowiedziała, jak to jest być kochaną. Leota miała kiedyś nadzieję, że to Eleonora będzie taka jak Annie. Dobra, delikatna, niesamolubna, uczciwa, wesoła. Eleonora była słodką dziewczynką, tak lubiła sprawiać innym przyjemność. Skrzywdziły ją okoliczności. Biedna Eleonora nauczyła się trzymać ból pod kluczem, zamykając się w sobie. Może komuś uda się

zburzyć te mury i mocno nią potrząsnąć. Może wówczas Eleonora stanie się taką kobietą, jaką Bóg chciał ją widzieć.

Boże, cokolwiek się stanie, nie pozwól im skrzywdzić Annie. Nie pozwól, żeby gorycz zapuściła w niej korzenie i zdławiła jej wiarę. Panie, czy zrobisz to dla mnie? Otocz moją wnuczkę wysokim żywopłotem. Postaw mur. Umieść aniołów na wieżach strażniczych. Zawiodłam Cię. Nie potrafiłam wychować dziecka, aby żyło w Twojej bliskości. Cóż za ironia, że dokonała tego Eleonora. Nie, to też nie jest prawda. Nie wolno mi tak myśleć. To Ty. Zawsze to jesteś Ty, Panie. Ty uczyniłeś ten cud.

-Babciu? - Annie patrzyła jej uważnie w oczy.

Leota próbowała się skupić. Nie może wciąż gdzieś błądzić myślami.

-Nie martw się o mnie. Cokolwiek się zdarzy, skarbie, ty wiesz, kto trzyma wszystkie karty.

Oczy Annie zajaśniały ciepłym blaskiem.

-Kocham cię, babciu. Tak bardzo cię kocham.

-Litania płynąca z serca.

-Ja też cię kocham. - Leota nie potrafiła opowiedzieć Annie, jak wiele znaczyły dla niej ostatnie miesiące. Tyle jałowych, samotnych lat. A potem idylla. „Umiłowana... umiłowana...” Nie chciała myśleć o nadciągającej burzy.

Panie, jestem zbyt stara i chora, żeby założyć pancierz. Ty będziesz musiał mnie ubrać w zbroję.

-Babciu, lekarz powiedział, że dał ci środek, który pomoże ci wypocząć. Wróć rano. - Annie pochyliła się i pocałowała Leotę. Ktoś stał w drzwiach i mówił do niej. Annie zerknęła w tamtą stronę, skinęła głową i znów spojrzała na babcię.

-Muszę już iść, babciu. Trzymaj się, proszę. Nie idź jeszcze do domu Pana.

Potem wszedł George. Nie mówił wiele, ale Leota wyczuwała w jego zachowaniu napięcie. Nerwy trzymane w ryzach. Czyżby znów sprawiła mu kłopot? Która godzina? Pewnie powinien być w pracy, zamiast odwiedzać ją w szpitalu. Podeszła Jeanne. Dlaczego miała taką zakłopotaną minę? Co się dzieje? George i Jeanne życzyli jej dobrej nocy i wyszli.

Następnie do pokoju weszła Eleonora z Fredem. Jejku, prawdziwe zgromadzenie rodzinne. Wszyscy oprócz wnuków. Leota nigdy jeszcze nie widziała swojej córki tak przybitej. Gdy Nora podeszła bliżej, Fred objął ją ramieniem. Kiedy dotknęła dłoni chorej, Leotę zalała fala uczuć.

O Panie, ona mięknie. O Panie, Panie, to się nareszcie dzieje.

Leota zapłakała.

Ile minęło czasu, odkąd córka dotykała jej ostatni raz? Leota nie chciała

odstraszyć Eleonory, ale nie umiała powstrzymać łez. Annie mówiła, że to od udaru. Nie potrafi już panować nad emocjami.

Eleonorze drgnęła twarz. Lekko się odwróciła, lecz Fred nie pozwolił jej odejść, szepcząc słowa zachęty. Nim zdążyła coś powiedzieć, do pokoju weszła pielęgniarka.

-Przykro mi, ale lekarz powiedział, że pani Reinhardt powinna teraz odpocząć. Mogą państwo wrócić jutro rano.

Eleonora już się opanowała. A przynajmniej tak się wydawało, dopóki nie spuściła wzroku, ledwo spoglądając matce w oczy.

-Dobranoc, mamusiu.

Mamusiu. Nie mówiła tak od czasu, kiedy była małą dziewczynką. Mamusia. Mamusia!

Leota przypomniała sobie, jak jej maleńka córka, w mocnym uścisku Heleny Reinhardt, wołała za nią „Mamusiu! Mamusiu! Nie odchódź!”

Pragnęła cofnąć się w czasie. Wyciągnęła rękę do córki, ale Eleonora już się odwracała. O Boże, daj nam jeszcze kilka minut. Dlaczego ta pielęgniarka nie pozwoli im zostać pięć minut dłużej? Cuda się zdarzały w jeszcze krótszym czasie! Eleonora była załamana. Czy także skruszona? Leota z trudem uniosła rękę

-Ellie...

Zauważył to Fred. Pochylił się.

-Przywiozę ją jutro rano, Leoto. Nie trać wiary. - Ucałował ją w rękę jak dżentelmen. Potem wyszli.

Annie otworzyła drzwi samochodu. Był z nią Corban, wyczuwała w nim złość. Wciąż się wściekał z powodu sceny w poczekalni. Słuchając wujka Georgea, ciskającego gromy, zastanawiała się, które z nich miało rację. Może zachowała się bezmyślnie i niedojrzale. Ale potem zobaczyła babcię Leotę w szpitalnym łóżku. Nie pozwoliłaby jej spędzić reszty życia w domu opieki, skoro mogła zabrać babcię do domu i troszczyć się o nią.

Panie, wiem, że to nie będzie łatwe. Ojczy, wiem, że jestem bliska wycieńczenia i potrzebuję wsparcia. Jezu, pomóż mi we wszystkim mądrze postępować. Nie mogę borykać się z tym sama. Być może wujek George miał trochę racji, mówiąc, że mam kompleks męczennicy. Jeśli tak jest, wyciągnij mnie z tego i daj mi wnikliwy osąd.

Zadzwoń do Maryann Carter i zróbi listę wykwalifikowanych osób, które mogą jej pomóc. Porozmawia z bankiem o hipotece zwrotnej i innych koniecznych sprawach.

Corban wziął ją pod rękę.

-Na pewno możesz prowadzić, Annie?

-Nic mi nie jest, Corbanie. Dziękuję, że byłeś przy mnie.

-To jeszcze nie koniec, Annie.

-Wiem. Dlatego jadę do domu. Będę się modlić, zadzwonię w parę miejsc, a potem odpocznę. Jutro rano wrócę do szpitala i zabiorę babcię.

-O której?

-Babcia zwykle śpi do ósmej.

-Przyjadę za piętnaście ósma. Jeśli będzie trzeba, wykradniemy ją w worku na zwłoki.

Annie zaśmiała się łamiącym się głosem.

-Z pewnością ochoczo by na to przystała. To by odpowiadało jej poczuciu humoru. - Złapała go za rękę. - Dziękuję ci, Corbanie. - Oczy dziwnie mu

rozbłyśły. Puściła jego dłoń z poczuciem żalu. Nie chciała, żeby Corban pomyślał sobie nie wiadomo co. - Do zobaczenia jutro rano. - Wsiadła do auta. Zamknął za nią drzwi i cofnął się o krok. Annie zapięła pas i uruchomiła silnik. Pomachała do niego ręką, wycofała samochód i ruszyła w stronę wyjazdu. Gdy zatrzymała się tuż za parkingiem, zerknęła we wsteczne lusterko. Corban wciąż stał i patrzył na nią.

-Noro! - zawołał Fred, gdy zostawiła go rozmawiającego z doktorem Pattersonem i ruszyła przed siebie korytarzem. Myślała tylko o tym, żeby znaleźć Annie, nim odjedzie. Szybkim krokiem szła w stronę windy. Fred ją dogonił w chwili, gdy drzwi się otworzyły. - Kochanie, poczekaj chwilkę...

-Nie mogę czekać. Muszę porozmawiać z Anne-Lynn. - Weszła do windy i nacisnęła przycisk.

Gdy tylko drzwi otworzyły się ponownie, pobiegła do wyjścia. Ludzie się na nią gapili. Nie przejmowała się tym, co myślą. Nie chciała, żeby jej córka odjechała bez słowa. Jeszcze nigdy nie widziała jej tak rozdartej, tak

przepełnionej wstrętem. Jak George mógł napaść Annie w ten sposób? Gdyby nie pojawił się ten kapelan, Nora powiedziałaaby bratu, co sądzi o jego tyradzie. Podmuch zimnego powietrza uderzył ją, gdy tylko doszła do automatycznych drzwi. Mocniej otuliła się płaszczem i rozglądała się po parkingu. Zauważyła Corbana Solseka, idącego wzdłuż rzędu samochodów. Był sam. Serce jej zamarło.

Fred podszedł do niej i ujął ją pod łokieć.

-Nie ma jej, Fred.

-Zobaczysz się z nią jutro rano.

-Nie mogę tego tak zostawić. Widziałeś jej spojrzenie?

-Widziałem - odparł posępnie. - Co chcesz zrobić?

Nora ciasniej otuliła się płaszczem na futrzanym podbiciu, jednak wciąż było jej zimno. Chłód przeszywał ją na wskroś.

-Przez te wszystkie miesiące Anne-Lynn słyszała tylko wersję mojej matki. Chcę, żeby zrozumiała, jak to wyglądało z mojej strony.

-Może powinnaś poczekać, kochanie. Teraz jest zdenerwowana.

Obróciła się w jego stronę.

-Ja też jestem zdenerwowana. Tam leży moja matka. - Dobrze zrozumiała, co wyrażało jego milczące spojrzenie. Najwyższa pora, żebyś to sobie uświadomiła. Załkała i zamknęła oczy. - Nigdy nie myślałam, że będę się bać, że ją stracę, ale czuję się, jakby coś mnie od środka rozrywało. Nigdy nie życzyłam jej śmierci. - Czyżby? - Mama nigdy się o mnie nie troszczyła. A teraz Annie uważa, że mi na niej nie zależy. A zależy mi! Bardzo!

Fred ją objął.

-Wiem.

Odsunęła się od niego.

-Chcę, żeby ona o tym wiedziała. Chcę, żeby Anne-Lynn zrozumiała, jak wyglądało życie w tamtym domu. Myślisz, że ona zechce kiedykolwiek wysłuchać mojej wersji, jeśli mama teraz umrze? Muszę z nią natychmiast porozmawiać.

Włożyła

rękę do kieszeni, szukając chusteczki higienicznej, ale nie znalazła.

Fred podał jej świeżo upraną chustkę.

Ludzie przechodzili obok nich. Fred wziął ją pod ramię i delikatnie odsunął na stronę. Znad Zatoki wiał wiatr.

Nora była zrozpaczona.

-Proszę, Fred. - Na jego twarzy było widać każdy dzień z pięćdziesięciu siedmiu lat, które przeżył.

-Dobrze. - Objął ją i poszli przez parking do stojącego tam lincolna. Gdy otworzył przed nią drzwi, powiedział jeszcze

-Kiedy zaczniesz mówić, Noro, pamiętaj, że to może być ostatni most. Postaraj się go nie spalić.

Przez całą drogę do domu Leoty Annie płakała. Zatrzymała samochód na podjeździe, zamknęła na noc drzwi i weszła do domu. Zapaliła światło w kuchni, zamknęła na zasuwkę tylne drzwi do domu i drzwi do małej pralni.

Przez całą powrotną drogę błagała Boga, by przywrócił babci zdrowie, a jej samej pozwolił spędzić z nią więcej czasu. Jeśli zaś nie taka była Jego wola, nich babcia

choć umrze w domu...

Będzie lepiej, jeśli zajmie się jakimiś domowymi sprawami i uspokoi się trochę, zanim zadzwoni do matki Susan i poprosi o pomoc. Musi pozbyć się uczucia paniki.

Ojcze, proszę, Jezu, pomóż mi. Duchu Święty, daj mi mądrość. Daj mi słowa, którymi przekonam. ..

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

Annie jęknęła. O Boże, nie chcę nikogo widzieć, nie chcę z nikim rozmawiać. Muszę posprzątać w kuchni. W zlewie leżała patelnia z resztkami jajecznicy, na stole wciąż stały talerze i sztucce. Annie zdrapała jajka i wyrzuciła je do kosza pod zlewem. Ustawiła patelnię pod kranem, odkręciła gorącą wodę i dodała kilka kropel płynu do mycia naczyń.

Dzwonek zadzwonił ponownie.

To pewnie Arba. Zwykle przychodziła wieczorem się przywitać i porozmawiać przez chwilę z Leotą. O Panie, zapomniałam o dzieciach! Przyjdą dzisiaj. Annie zakręciła wodę i szybkim krokiem poszła do salonu. Włączyła światło na ganku, zerknęła przez firankę i, wstrząśnięta, cofnęła się. W chwilę później poczuła przyływ zimnej furii.

-Odejdź, mamó! Zostaw mnie w spokoju!

-Anne-Lynn, muszę z tobą porozmawiać.

-Nie chcę z tobą rozmawiać! Nie obchodzi mnie, czy cię jeszcze kiedyś zobaczę! - Odwróciła się i poszła do kuchni. Jak matka mogła tu teraz przyjść? W poczekalni siedziała bez słowa, pozwalając wujkowi Georgeowi na tę perorę. „Twoja mama się zgadza... Miałaś to załatwić z córką. Dzwoniłaś do prawnika?” Jej matka, zdraj- czyni.

Dzwonek zabrzączał jeszcze raz.

Annie stała przy zlewie i dygotała. Znowu odkręciła wodę. Pozwoliła jej płynąć, aż zlew się napełnił, po czym zakręciła kurek. Zamknęła oczy i zaczęła się gorąco modlić. Boże, spraw, żeby sobie poszła. Nie jestem teraz w formie, żeby się z nią widzieć. Panie, pomóż mi się opanować. Jezu, więcej tego nie zniosę. Po dzisiejszym wieczorze chyba ją znienawidzę. Nienawidzę jej tak bardzo, jak ona przez te wszystkie lata nienawidziła babci Leoty.

Ta myśl przeszła Annie zimnym dreszczem przerażenia. O Panie. Czy tak ma być? Oby nigdy tak się nie stało. Tylko spraw, żeby teraz sobie poszła. Niech odejdzie, póki się nie uspokoję. Niech odejdzie, żebym mogła pomyśleć.

Wciągnęła nosem powietrze i wolno wypuściła je przez usta. Techniki tej nauczył ją nauczyciel fortepianu - jako sposobu na opanowanie nerwów przed występem. Serce jej waliło i miała wrażenie, że płonie. Żądza krwi - zamiast oczyszczenia?

Jezu, pomóż mi!

Dzwonek zadzwonił kolejny raz.

Coś w niej pękło.

-W porządku, mamó. Sama tego chciałaś! - Pomaszerowała z powrotem do salonu, odsunęła zasuwkę i gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi. - Nie przyszło ci do głowy, że być może nie mam ochoty cię dzisiaj oglądać? Zaciśnęła zęby, po czym krzyknęła - Ani nigdy więcej!

-Anne-Lynn, proszę, muszę z tobą porozmawiać.

-Nigdy nie wiesz, kiedy zostawić ludzi w spokoju, co?

-Tylko teraz...

-Zawsze musisz postawić na swoim, zawsze chcesz czegoś wtedy, kiedy tobie to pasuje, nieważne, co czują inni.

-Annie. - Głos Freda dobiegał zza pleców Nory. - Proszę. Wysłuchaj matki.

Wyraz jego twarzy poruszył jej sumienie. Fred zawsze traktował ją z czułością, z jaką traktowałby własną córkę, gdyby ją miał. Stawianie go w tej sytuacji było nie w porządku. Annie dała się ubłagać, otworzyła moskitierowe drzwi i cofnęła się, żeby zrobić im przejście.

-Pięć minut, mamó. Nie więcej.

-Własnej matce możesz poświęcić tylko pięć minut?

Ile razy słyszała w jej głosie to lekko sarkastyczne, płaczliwe rozczulanie się nad sobą? Spojrzała na matkę.

-Wykorzystałaś już trzydzieści sekund.

Nora zamrugała powiekami i osunęła się na kanapę.

-Moja matka nastawiła cię przeciwko mnie.

-To śmieszne, mamó, zwłaszcza biorąc pod uwagę wszystkie lata, kiedy osiągnęłaś mistrzostwo w nastawianiu mnie przeciwko Leocie.

Nora wyglądała na wstrząśniętą, potem na załamana, lecz Annie widywała już u niej to spojrzenie. Ile razy matka wykorzystywała je przeciwko niej?

Jak mogłaś dostać cztery plus, Anne-Lynn? Bardzo mnie zawiodłaś. Jeśli potrzebowałaś pomocy, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Wynajęłabym korepetytora... Jak to chcesz rzucić gimnastykę? Fizjoterapeuta twierdzi, że w przyszłym roku mogłabyś startować w konkursie... Gdybyś tylko bardziej się przykładła, Anne-Lynn, mogłabyś zagrać ten uwtór bez nut... Córka Weroniki jest główną cheerleaderką. Wystarczy ci, że jesteś zwykłą dziewczyną od pomponów?

Anne walczyła z narastającą w niej niechęcią i poczuciem krzywdy, które czasami niemal ją przygniatało. Tego roku, gdy Susan zaprosiła ją na obóz kościelny, rozmyślała nad samobójstwem. Gdyby tamtego lata nie spotkała Pana, dziś by już nie żyła. Czy jej matka wiedziała, do czego jej omal nie popchnęła?

-Nigdy nie chciałam cię źle do niej nastawić, Anne-Lynn.

-Oczywiście, że nie. - Gorycz i złość wylały się z Annie, choć starała się je powstrzymać. - Tylko przy każdej okazji opowiadałaś mi, jakie miałaś okropne dzieciństwo i że twoja matka była straszna. Dopilnowałaś, żebym nie spędzała z nią ani chwili. Boże uchronij, żebym poznała własną babcie!

-Annie - powiedział Fred łagodnym tonem. - Komu chcesz się tym przysłużyć?
To wystarczyło, żeby się natychmiast opanowała.

Komu służę? O Panie, Panie...

-Przyszłam ci wyjaśnić, jak się czułam... - Matce załamał się głos.

-Och, mamó - Annie była znużona i smutna. - Setki razy opowiadałaś mi, jak

się czułam. Porzucona. Niekochana. Zaniedbana. I odpłacałaś babci Leocie pięknym

za nadobne.

-Mówisz tak, jakbym się mściła.

-A nie było tak? Odeszłaś od niej, gdy tylko nadarzyła się okazja.

-Wyszłam za męża.

-Nieszczęśliwie. To też mi opowiadałaś. Ten okropny ojciec Michaela. A winę

za to, że tak wcześnie opuściłaś rodzinny dom, ponosi oczywi

ście babcia Leota. Nie robiłaś tajemnicy z tego, że jej nienawidzisz.

-Nie nienawidzę jej!

-Słowa nic nie kosztują. W ciągu osiemnastu lat mojego życia ani razu nie

widziałam, żebyś cokolwiek dla niej zrobiła. Na palcach rąk mogę policzyć, kiedy byliśmy tu z wizytą, i tak zawsze wysyłałaś mnie i Michaela do ogrodu, jakby babcia była jakąś chorobą, przed którą chciałaś nas uchronić! Nie mijało pół godziny i dostawałaś ataku migreny i wszyscy musieliśmy wracać do domu. Przez całą drogę obrzucałaś ją błotem...

-Kiedy tu jestem, nie mogę zapomnieć, jak tu było!

-A ja uwielbiam być w tym domu. Uwielbiam być z babcią Leotą.

Norze drgnęła twarz, tak jakby Annie ją uderzyła.

-Nie rozumiesz.

Annie widziała, co gorycz i żal uczyniły z jej matką. O Boże, nie pozwól,

żebym stała się taka jak ona. Mój gniew jest tak wielki, że mogłabym ją nim zabić i byłabym zadowolona. I co potem? Resztę życia spędziłabym w żalu, bo tak naprawdę przecież ją kocham. To moja matka. Boże, pomóż mi. O Panie, proszę, rzuć promień światła na moją drogę. Bądź tu z nami, Panie. Potrzebujemy Cię!

Nabrała powietrza i głęboko odetchnęła.

-Babcia Leota też ma wspomnienia, mamó. Cierpiała. Nie masz pojęcia o niczym, co się tu działo.

Eleonora i George nic nie rozumieli, a to nie była moja tajemnica, żebym

mogła ją wyjawić.

Nora zesztyniała.

-A ty masz pojęcie?

Fred położył dłoń na rękę żony.

-Może gdybyś nam opowiedziała, Annie.

-Ona i tak nie będzie słuchać, Fred.

-Posłucham - rzekła ze złością matka. - Posłucham, jeśli i ty posłuchasz.

-Ja słuchałam, mamó. Wysłuchiwałam twojej wersji przez całe życie. Mam ci powtórzyć to, co wiem? Miałaś trzy latka, kiedy Leota oddała cię babci Helenie. A potem poszła sobie do pracy, jakby była niezamężną kobietą, i używała życia, nie oglądając się na porzucone dzieci. Kiedy zaś była w domu, obchodził ją wyłącznie ogród. Nigdy nie troszczyła się o ciebie. Myślała tylko o sobie. - Annie ze złością otarła łzy z twarzy. - Czy to chciałaś powiedzieć?

Twarz matki drgnęła znowu, jej oczy napełniły się łzami.

-Tak było.

-Nie, tak nie było. To ty tak to widziałaś oczyma dziecka.

-Babcia Helena mówiła...

-Nie waż się zwać na nią całej winy. Ona nie żyje! Nie może się bronić. I przynajmniej miała na tyle poczucia przyzwoitości, żeby samej poskładać wszystko do kupy. - Annie z trudem mogła uwierzyć, że te słowa padły z jej ust.

Nora spojrzała na Freda, wykrzywając twarz.

-Mówiłam ci...

-Annie - Fred spojrzał na nią błagalnie. - Na litość boską, to twoja matka.

Poczuła wstyd.

Czcij ojca swego i matkę swoją...

Stając się do niej podobna. Annie osunęła się na fotel babci. O Jezu, wybacz mi.

Znów wbijam gwoździe w Twoje ręce. Co ze mnie za świadek Twojej miłości? Jak mogę to naprawić?

Wybacz jej.

Kurczowo zacisnęła ręce na oparciach fotela. Wybaczam, Ojczy. O Panie, wybaczam, ale nie mogę tego powiedzieć, bo ona nie zrozumie, dlaczego jej wybaczam. Niby

dla czego miałyby zrozumieć? Nie wie, co zrobiła. Nie ma zielonego pojęcia. Czuję się tak, jakbym upadła.

Wstań.

Siedzę tu w ciemnościach.

Pozwól Mi być Twoją światłością.

A światłość jest prawdą.

Prawda!

Nagle poczuła spokój. Wiedziała już, co powiedzieć.

-Mamo, nigdy nie rozumiałaś, co tak naprawdę się działo.

Nora podniosła oczy, z których wзираł beznadziejny smutek.

-Czego nie rozumiałam? Matka mnie nie kochała.

-Tak bardzo się mylisz. Dla ciebie i wujka Georgea poświęciła wszystko. Po pierwsze wprowadziła się tutaj po to, żeby mieć środki na życie. Sama nie miała dość pieniędzy na wasze utrzymanie, a dziadek Reinhardt nie mógł znaleźć pracy.

-To kłamstwo, Anne-Lynn! Mój dziadek codziennie chodził do pracy.

-Codziennie wychodził z domu. I siadał na ławce w parku. Był Niemcem, mamo. Przemyśl to. Podczas drugiej wojny światowej był imigrantem z silnym niemieckim akcentem. Nikt nie chciał go zatrudnić. Zużył wszystkie oszczędności. Wiedział, że wkrótce straci dom. I co by się wtedy stało? Napisał więc do twojego ojca, który walczył za granicą, i poprosił go o pomoc. Twój ojciec napisał do babci Leoty i przedstawił jej całą sytuację. Ona sama miała finansowe kłopoty, próbowała przeżyć z zasiłku wojskowego twojego ojca i samotnie wychowywała dwójkę dzieci. Wprowadziła się więc tutaj i poszła do pracy. Myślała, że tylko w ten sposób dadzą sobie radę. To ona płaciła za dom, za jedzenie, za usługi komunalne, za ubrania dla wszystkich.

Nora wyglądała na przerażoną.

-Ale babcia Helena mówiła, że dziadek był inżynierem.

Annie zastanawiała się, czyjej matka usłyszała choć słowo z tego, co przed chwilą powiedziała.

-Nie wątpię, że był inżynierem, mamo, ale bezrobotnym. Twoja babcia nie wiedziała, że nie może znaleźć pracy. Za bardzo się wstydził, żeby jej powiedzieć. Każdego dnia wychodził z domu w poszukiwaniu pracy, aż wreszcie zdał sobie sprawę, że nikt go nie zatrudni.

-Jeśli to wszystko prawda, dlaczego moja matka o niczym nie powiedziała babci Helenie? - spytała Nora niemal wyzywająco. - Babcia wygadywała na mamę okropieństwa, a ona nigdy o tym nie wspomniała.

-Bo pradziadek Reinhardt był jej jedynym przyjacielem w tym domu. Co by zyskała, mówiąc prawdę twojej babci? Być może by się na niej zemściła, ale upokorzyłaby przy tym dziadka. Więc milczała. Myślała, że wszystko się ułoży, kiedy wróci jej mąż. Pamiętasz, co się wtedy stało? Kiedy twój ojciec wrócił z wojny, dziadek przepisał na niego dom. Po co miałby to robić, mamó, gdyby to, co powiedziała babcia Leota, nie było prawdą?

Nora zamknęła oczy.

-Pamiętam wieczór, kiedy to się stało. Babcia Helena krzyczała, płakała i nazwała moją matkę dziwką i złodziejką. Powiedziała, że jest nienormalna, bo wyrzeka się własnych dzieci. George i ja schowaliśmy się pod kołdrą i płakaliśmy.

Annie pękało serce na myśl o wystraszonym dziecku, jakim musiała być jej matka.

Norę przeszedł dreszcz.

-A mój ojciec... Przerazał mnie. Kiedy szedł na wojnę, byłem małeńka, i nie poznałam go, gdy wrócił. Był taki wysoki, barczysty, miał blond włosy i zimne niebieskie oczy. - Wspominała z pobladłą twarzą, zapatrzona w dal. - Kiedyś tak się wściekł, że przebił pięścią ścianę. Tamtą, obok kuchennych drzwi. - Usta jej się wykrzywiły. - Wciąż tracił pracę, bo miał wybuchowy temperament. I to jego picie. Stał się bezrobotnym pijakiem.

Słyszając to, Annie załkała. Nigdy nie widziała dziadka, lecz na myśl o nim pękało jej serce.

-Twój ojciec, mamó, był mistrzem stolarskim, któremu wojna zrujnowała życie. Rodzice poprosili go, żeby w Niemczech poszukał krewnych. Zrobił to. I niektórych znalazł. - O Panie, pomóż jej to usłyszeć, wczuć się w sytuację ojca na tyle, by go zrozumieć. - Pracowali dla jednego z obozów koncentracyjnych.

Zaopatrywali żołnierzy, którzy mordowali Żydów. Twój ojciec był tłumaczem w jednostce. Gdy jego krewni błagali o pomoc, powiedział żołnierzowi ze swojego

oddziału, żeby ich zastrzelił. Opowiedział o tym babci Leocie tylko raz i już

nigdy więcej nie rozmawiali o wojnie.

Twarz jej matki była zupełnie biała.

-Pamiętam, jak babcia Helena pytała o coś ojca po niemiecku, a on tylko szepnął, że niczego się nie dowiedział.

-Czy twój ojciec kiedykolwiek rozmawiał po niemiecku, mamó?

Nora mocno zacisnęła powieki.

-Nie. Dziadek raz go zapytał dlaczego, a on powiedział, że chce zapomnieć, że jest Niemcem.

-Wstydził się. Nie rozumiał, że nie tylko Niemcy byli zdolni do okrucieństwa. Że cała ludzkość jest taka. Pod pozorami kultury kryje się słabe ciało wystawione na wszelkiego rodzaju grzechy. Nigdy nie wiadomo, co może się nam przydarzyć.

-O niczym nie wiedziałam! - wykrzyknęła jej matka.

-Babcia Leota powiedziała, że to nie była jej tajemnica i nie miała prawa jej wyjawiać. Prababcia Helena musiała się o tym dowiedzieć, bo po śmierci twojego dziadka się zmieniła. Nim umarł, prawdopodobnie wszystko jej opowiedział. A jeśli nie wszystko, to przynajmniej tyle, że babcia Leota utrzymywała dom. Nie sądzę, żeby poza babcią Leotą ktoś miał pojęcie o tym, co wydarzyło się w Niemczech. Cokolwiek dziadek Reinhardt powiedział babci Helenie, po jego śmierci ta nie odezwała się do Leoty ani jednym złym słowem. Zawarły pokój. Babcia mówiła, że pod koniec kochały się nawzajem.

Nora gorzko zapłakała.

-Czuję się tak, jakby babcia Helena mnie zatrula.

-Być może. Tak samo jak ty próbowałaś zatruc mnie, mamó.

-Nie mów tak. Proszę, nie mów tak.

-Czas, żebyś spojrzała prawdzie w oczy. Okazała trochę współczucia!
Opowiadałaś mi wszystko, co babcia Helena mówiła ci o matce, ale ona tylu rzeczy nie wiedziała! Powtarzałaś mi to nie raz, mamó, ale wciąż i wciąż od nowa, rok po roku. Teraz masz okazję naprawić wasze stosunki. Babcia Leota nie będzie żyć wiecznie.

Z załzawionych oczu Nory wyzierało cierpienie i wstyd.

-Dlaczego matka nie powiedziała mi tego wszystkiego dawno temu?

Annie ogarnął smutek.

-Och, mamó, wystarczyło zapytać.

Technik medyczny dostarczył do laboratorium na parterze fiolki z krwią, którą przed chwilą pobrał od kilku pacjentów. Laborantka oglądała coś przez mikroskop. Wyprostowała plecy, masując kark, i spojrzała na niego z uśmiechem.

-Co słysząc, Hiramie?

-Pracowity dzień. - Z dyżuru zejdzie za dwie godziny. - Idę na przerwę obiadową. Chyba przyda mi się porządny zastrzyk kofeiny.

Laborantka z powrotem pochylila się nad mikroskopem.

-Mnie też przynieś kawę, dobrze? I czekoladowe ciastko z orzechami, jeśli

jeszcze mają.

Bufet był prawie pusty, co doskonale odpowiadało Hiramowi. Musiał pomyśleć i potrzebował samotności. Posuwając się wzdłuż oszklonej ludy, wybrał pieczeń rzymską, ziemniaczane puree, kukurydzę, kawałek szarlotki i kawę. Znalazł stolik w kącie i usiadł. Ze swojego miejsca miał widok na całą salę. Lubił obserwować, kto wchodzi, a kto wychodzi z bufetu.

Wcześniej znalazł czas i okazję, żeby przejrzeć kartę Leoty Reinhardt. W szkole pomaturalnej chodził na zajęcia przygotowujące do studiów medycznych, zawsze marzył o tym, żeby zostać lekarzem. Niestety nie miał dość dobrych stopni i nie dostał się do szkoły medycznej. Co więcej, w ostatnim roku nauki musiał zrezygnować z collegeu, żeby pomóc matce w opiece nad ojcem, który zapadł na chorobę Alzheimera. W końcu umieścili go w szpitalu dla przewlekle chorych.

Za każdym razem, gdy zabierał matkę w odwiedziny do ojca, wracała do domu w łzach, bo jego umysł szwankował już tak dalece, że nie pamiętał nawet, kim jest. Matka cierpiała. Może Hiram czułby to samo, gdyby lepiej dogadywał się z ojcem.

Staruszek dwukrotnie chorował na zapalenie płuc. W obydwu przypadkach Hiram próbował przekonać matkę, że nie powinna kazać szpitalnym lekarzom ratować go za wszelką cenę.

-Nie mogę tego zrobić. To mój mąż. Twój ojciec.
„Już nie”, chciał odpowiedzieć Hiram. Jego ojca już od dawna nie było. Hiram

zaczął nienawidzić tych wizyt w szpitalu. Zaczął nienawidzić widoku starca, z którego pozostała jedynie skorupa człowieka.

Było mu żal krewnych Leoty Reinhardt. Połowę ciała miała sparaliżowaną po udarze. Do tego rak, niewydolność serca, artretyzm i kilka mniejszych problemów, jak objawy anemii - a tak w ogóle nie ma po co żyć. Jeśli przeżyje, jej wnuczka, prawdziwa piękność, spędzi kolejny rok, dwa, a może więcej, opiekując się we dnie i w nocy staruszką, która nie potrafi nawet wyraźnie mówić. Zresztą zważywszy na reakcję pozostałych członków rodziny, ta stara kobieta i tak chyba nie jest zbyt miła. Nikt poza wnuczką nie będzie za nią tęsknił.

Z każdym rokiem przybywa starszych ludzi. Żyją coraz dłużej. Wszystko byłoby wspaniale, gdyby byli zdrowi, lecz niestety większość z nich choruje. Rok w rok Hiram obserwował, jak w szpitalu zjawia się coraz więcej starców, którzy zajmują łóżka i zużywają dolary z podatków opłacanych przez niego i jego pokolenie. Przeczytał gdzieś, że prawie trzydzieści procent ubezpieczenia emerytalnego idzie na opiekę nad ludźmi w ostatnich latach ich życia. Trzydzieści procent! Do roku 2040 podobno aż czterdzieści pięć procent wydatków będzie się przeznaczać na to, by przedłużyć ludziom życie o parę miesięcy.

To nie ma sensu.

Tak naprawdę uważał to za okrucieństwo. Okrutne jest przedłużanie życia starcom. Okrutne jest zmuszanie młodych, żeby za to płacili. Wystarczy popatrzeć na twarze krewnych wychodzących od pacjenta, by się przekonać, jak straszliwą męką jest widok bliskiej osoby, która powoli się załamuje i umiera. Czyż nie wiedział o tym z własnego doświadczenia? Niektórzy pacjenci przypominali mu żywe trupy, które w wyniku jakiejś przyrodniczej pomyłki wciąż oddychały. Czuć było od nich zgnilizną.

Zwierzęta się usypia. Czemu ludzi nie?

Ludzie powinni móc umierać z godnością.

Skoro rząd finansuje biedakom i ludziom żyjącym z zasiłku aborcję, czemu nie umożliwiał godnej śmierci starcom? Argumenty są takie same. Hiram rozwijał tę

koncepcję dalej, obracając ją w umyśle z każdej strony. Skoro ludzie nie chcą bulić na utrzymanie dzieci narkomanów i nędzarzy albo dzieci upośledzonych fizycznie czy umysłowo, czemu mieliby finansować długoterminową opiekę nad ludźmi, którzy już nie mogą pracować?

Hirama irytowało, że co roku musi wydawać tyle pieniędzy na podatki. Im więcej zarabiał, tym więcej rząd mu zabierał. I na co to wszystko szło? Na darmożądów. Ile minęło lat, odkąd Leota Reinhardt pracowała i płaciła podatki? Dwadzieścia? Poza tym ile tysięcy dolarów z kieszeni podatników zostanie przeznaczonych na to, żeby utrzymać ją przy życiu parę miesięcy dłużej?

Należy zważyć zyski i straty.

Niesłusznie jest przedłużać ludziom życie. Hiram widywał takich, którzy cierpieli niewypowiedziane męki, chorując na raka, rozedmę płuc i cukrzycę, gdy ich ciało obumierało kawałek po kawałku. A krewni cierpieli razem z nimi. Tak jak on. Jak jego matka. Cała ta gadanina, że śmierć jest częścią życia... Jeśli to prawda, dlaczego przyspieszenie śmierci ma być takim problemem?

Podczas kłótni w poczekalni Hiram usłyszał wystarczająco dużo, by się zorientować, że Leota Reinhardt nie chce skończyć w szpitalu dla przewlekle chorych. Rodzina nie ma zamiaru brać odpowiedzialności za domową opiekę nad chorą - poza tą dziewczyną, która nie wie, w co się pakuje. A ten krzykliwy facet nie życzy sobie, żeby cały majątek został wpompowany w prywatną opiekę medyczną trwającą pewnie do śmierci staruszki.

Ta śliczna dziewczyna powinna tańczyć, śmiać się i bawić, a nie poświęcać całe swoje życie na opiekę nad starą kobietą, której zdrowie już i tak się nie polepszy.

Jeden zastrzyk. Tylko tyle. I cierpienia Leoty Reinhardt się skończą.

Hiram uniósł głowę i rozejrzał się po sali, czując się trochę nieswojo. Czasami miał wrażenie, że ktoś go obserwuje... jakby czytając w jego myślach. Szkoda, że Hiram nie mógł wyjawić swoich poglądów, nie ryzykując utraty pracy. Miał w sobie więcej współczucia niż większość ludzi dbał o pacjentów i nie znosił patrzeć, jak cierpią. Cze

mu miałby się kajać za to, że chce ludziom pomagać godnie umrzeć?

Pierwszy raz był trudny. Przez kilka dni źle się czuł. Męczyło go poczucie winy, strach, uczucia, których nie potrafił nawet określić. Ale poradził sobie. Wciąż myślał o tym, co zrobił i dlaczego. To było słuszne wiedział, że miał do

tego prawo. Podjął decyzję, słysząc, jak dwudziestoletnia córka pacjentki krzyczała na lekarza „Zróbcie coś! Dlaczego ona musi tak cierpieć?”

Doktor nie odważył się na krok, który należało zrobić kilka tygodni wcześniej. Ale Hiram miał tę odwagę. W trakcie nocnej zmiany, kiedy nie było już odwiedzających, a pielęgniarki zajmowały się wypisywaniem kart i przygotowaniem lekarstw, wszedł na salę i zrobił pacjentce zastrzyk. Nawet nie otworzyła oczu. Umarła z godnością.

Za drugim razem było trochę łatwiej, a za każdym kolejnym Hiram czuł coraz większą ulgę. W szpitalu w południowej Kalifornii pomógł dziesięciu pacjentom, z których większość miała raka lub rozedmę płuc. Potem pracował w San Francisco i w ciągu trzech lat pomógł ponad dwudziestu chorym na AIDS. Widok umierających pacjentów rozstrajał go. Tyle cierpienia, nie wspominając kosztów. Pięć, czasem sześć tysięcy dolarów miesięcznie na leki utrzymujące przy życiu jednego pacjenta. Istne szaleństwo!

W szafce trzymał kilka fiolek z morfiną i suk- sametonium dostał je od pielęgniarki z San Francisco, z którą się spotykał. Nie był osamotniony w swoich przemyśleniach. Byli też inni, a ich liczba wciąż rosła. Drogę torował Kevorkian. Już niedługo eutanazja zostanie zalegalizowana.

Tylu ludzi potrzebuje pomocy. Gdzie jest bowiem miejsce na godność, jeśli człowiek nie po
trafi powstrzymać moczu, ślini się i jest na pół sparaliżowany?
Gdyby Hiram znajdował się na miejscu Leoty Reinhardt, chciałby, aby ktoś okazał mu trochę miłosierdzia.
Nora przestała się bronić i słuchała. Annie przestała rzucać oskarżenia i zaczęła relacjonować wszystko, co Leota jej opowiedziała o dawnych latach. Pierwszy raz w życiu Nora mogła spojrzeć na wszystko oczyma matki - a to bolało. Och, jak bardzo bolało.
W wyobraźni wciąż majaczył jej obraz ze snu matka klęcząca w ogrodzie, spoglądająca ku domowi z niewysłowioną tęsknotą w oczach. Czy to był sen? A może
od czasu do czasu widywała matkę w tej pozycji, kiedy była w kuchni i wykonywała polecenia babki, nasiąkając gorzkimi słowami i pozwalając, by zapuściły korzenie w jej sercu?
-Ona cię kocha, mamo.
-Nigdy tego nie powiedziała.
-Okazywała ci to swoją pracą.

-Wolałabym usłyszeć słowa.

-Może słyszałaś, tylko ich nie słuchałaś.

Nora zaczęła płakać. Ile łez wylała w swoim życiu? Morze łez nad sobą samą. Teraz ronila je z powodu matki, przeżywając jej cierpienie jak własne. Czyż nim nie było?

-Nie wiem, co robić!

Annie też płakała.

-Pomóż mi, mammo. Chcę ją zabrać do domu.

-Doktor mówi, że musi być w szpitalu. Jest taka chora.

-Doktor mówi, że jest jej potrzebna nieustanna opieka - odparła Annie z determinacją.

-Ale ty rezygnujesz z całego swojego życia!

Annie pochyliła się do przodu, wysuwając ręce w błagalnym geście.

-Mamo, nie zostało jej wiele czasu, a ja chcę z nią spędzić tyle czasu, ile się da. Ty tego nie chcesz? Nie chcesz teraz skorzystać z szansy, żeby ją poznać? Nigdy jej nie znałaś. Nigdy się nie dowiedziałaś, jaka jest naprawdę.

Nora się bała, bardzo się bała, że podejmie złą decyzję. Ile razy w życiu się myliła? Nie potrafi tego zliczyć. Tym razem chodziło o coś ważnego. Bardzo ważnego.

-Mogłabym odwiedzać ją w szpitalu. Niektóre są doskonałe, wiesz. Jeden taki szpital jest niedaleko od nas, prawda, Fred? Mogłabyś przyjeżdżać, Anne-Lynn. Odwiedzałyśmy ją razem...

-To by nie było to samo, dobrze o tym wiesz, mammo. Gdyby babcia mogła wybierać, wolałaby, żeby Pan wezwał ją do siebie, gdy będzie leżała na szezlongu w swoim ogrodzie.

Nora czuła się rozdarta. Fred lekko ścisnął jej rękę. Patrzył na nią, zachęcając ją czutym spojrzeniem. Wiesz, co jest słuszne, Noro. Głęboko w sercu wiesz, czego pragnęłaby twoja matka. Czy ty nie chciałabyś tego samego? Mieć

wokół siebie rodzinę... być we własnym domu?

-Dobrze, Annie - rzekła łamiącym się głosem. - Nie do końca zgadzam się, że to najlepsze rozwiązanie, ale ci pomogę.

-Jutro przywieziemy ją do domu. - W ciepłych, przepelnionych wdzięcznością oczach Annie pojawił się wyraz ulgi. Nora jeszcze nie widziała u córki takiego spojrzenia. Przynajmniej przeznaczonego dla niej.

-Jutro może być za wcześnie, Annie - powiedział Fred. - Doktor mówił, że jest bardzo słaba. Może powinniśmy poczekać kilka dni.

-Mamo, proszę.

Nora powoli odetchnęła. Tyle zmarnowanych, przepelnionych goryczą lat. Może ten jeden uczynek przygotowuje grunt do nawiązania nowej relacji z matką, bez względu na to, jak krótko to może trwać.

-Jutro rano pomogę ci ją zabrać do domu.

Leota drzemała. Trudno było spać przy tych wszystkich szpitalnych hałasach pielęgniarki wchodziły i wychodziły, a pacjentka na sąsiednim łóżku jęczała, dopóki nie dostała kolejnego zastrzyku przeciwbólowego, po którym smacznie zasnęła, chrapiąc jak mężczyzna. Na dodatek kręcił się tu ten technik medyczny. Ledwie minutę temu stał w drzwiach, potem pielęgniarka coś do niego powiedziała i poszedł sobie.

W myślach wracała do przedwojennych czasów, kiedy Bernard był jeszcze sobą. Ujrzała we wspomnieniach, jak ją obserwuje, stojąc w sali tanecznej. Pamiętała wiatr, który smagał jej twarz, gdy wracali do domu na tylnym siedzeniu samochodu.

Przez głowę przemknęła jej melodia piosenki „Nie siedź pod jabłonią z nikim innym prócz mnie”. Widziała Mamę Reinhardt, robiącą na drutach skarpety dla

Bernarda. Pamiętała, jak włączały się syreny przeciwlotnicze, a komendantka obrony cywilnej na ich ulicy zapukała do drzwi i kazała zaciemnić okna, bo widać było przez nie światło. Zbierali wszystko, co mogło się przydać na wojnie. Tuszcz z boczku do wyrobu amunicji, tubki po paście do zębów, cynowe puszkki, szklane słoje, gazety i czasopisma, które czytała po kilkanaście razy. Nic się nie marnowało.

Jak pięknie kwitł jej ogród warzywny! Zasadziła w nim tyle rabarbaru, sałaty, kapusty, pomidorów, grochu, kukurydzy, buraków i marchwi, żeby starczyło dla wszystkich sąsiadów. Mama Reinhardt zrobiła setki weków z wiśniami, śliwkami, morelami i musem jabłkowym.

Wciąż widziała, jak zza rogu wyłania się ciężarówka z napisem „Jewel Tea” i sprzedają z niej wszystko, od spinek do włosów po krakersy. I samochód dostawczy firmy „Bordens”, rozwożący mleko, i ten ze szwedzkiej piekarni. Część warzyw Leota sprzedawała staremu Tobyemu, który podjeżdżał po nie swoją furgonetką. Towar zawsze znikał mu wcześniej niż klienci.

Pomyślała o Cosmie, ukochanej przyjaciółce. Nigdy nie zapomni trwałej ondulacji, którą Cosma jej zrobiła. Powiedziała, że z tą burzą nieokiełzanych rudoblondek loków wyglądam jak Rita Hayworth. Byłyśmy na zakupach w San Francisco, marynarze gwizdali, a ja tylko płakałam, bo chciałam, żeby Bernard był w domu i zobaczył, jak ślicznie wyglądam. Cosma zrobiła mi zdjęcie w tym jednoczęściowym kostiumie do opalania, który przez całe lato nosiłam w ogrodzie. Przybrałam pozę Betty Grable. Bernard odpisał w liście, że wszyscy chłopcy z jego oddziału powiedzieli, że poślubił „ślicznotkę”. Ciekawe, co zrobiłam z tym beretem wyszywanym cekinami? Kiedyś miałam słomkowy kapelusz z gigantycznymi różami i czapkę z piórami. Ale śmiesznie musiałam wyglądać!

Pozwoliła myślom błędzić w czasach, kiedy Eleonora i George byli mali. Uwielbiała drobne loczki na karku syna, zapach miękkiej skóry w zgięciu dziecięcej szyjki Eleonory. I te pulchne nóżki.

„Mamusiu”.

Pozwól mi śnić o tych dawnych dniach, jakby znów były blisko, Panie. Pozwól mi pamiętać, jak się czułam, mając u boku zdrowego mężczyznę, który marzył o

jasnej przyszłości, i dwójkę maleńkich dzieci, zdrowych i szczęśliwych. Nie pozwól, by moje myśli powracały do mrocznych lat.

A jednak one też miały swoją słodycz.

Tak, chociaż chodziłam ciemną doliną i mieszkałam w ciemnościach, Ty byłeś moim światłem, mój Panie i Odkupicielu. Przez te wszystkie lata, kiedy Bernard żył pogrążony w depresji, ja uciekałam się do Ciebie. Re razy wychodziłam na światło słońca, spacerowałam z Tobą po ogrodzie i rozmawiałam z Tobą? Re razy

wychodziłam w nocy, by patrzeć na księżyc i gwiazdy? A Ty byłeś tam ze mną. Ty, który miłujesz moją duszę.

W progu znów pojawił się technik medyczny. Czego on chce? Po co wraca? Dziwnie się zachowuje, patrząc na korytarz to w jedną, to w drugą stronę. Przyszedł, żeby pobrać więcej krwi? Dwie próbówki z popołudnia powinny mu chyba wystarczyć! Poprzednim razem miał przy sobie pojemnik z próbkami. Teraz jego ręce były puste.

Wszedł do pokoju i zatrzymał się, by sprawdzić, czy współlokatorki Leoty śpią. Jego obecność ją niepokoiła. Coś w jego sposobie zachowania napawało ją strachem.

Panie, co się dzieje? Dlaczego on się tak dziwnie zachowuje? Boję się. Czego się boję? Jestem w szpitalu! Tutaj pomagają ludziom wyzdrowieć, czyż nie? Skąd to uczucie zagrożenia?

Jutro wróci Eleonora. Fred powiedział, że ją przywiezie. Czułam, że wreszcie mięknie jej serce. O Boże, tyle lat się o to modliłam. Może jutro rano nastanie nowy początek. Może jutro rano będę mogła jej dotknąć, a ona się ode mnie nie odsunie. Może jutro rano będę mogła jej powiedzieć, że ją kocham, i ona w końcu mi uwierzy.

Mężczyzna podszedł do Leoty. Nie spojrzał jej w oczy, lecz jeszcze raz zerknął ku drzwiom. Dziwne.

-Coś, co pomoże ci zasnąć, Leoto.
Dlaczego przyniósł strzykawkę w kieszeni fartucha? Każdy półgłówek wie, że może być zakażona.

Na jedną krótką sekundę spojrzał jej w oczy.

To wystarczyło Leocie, by domyśliła się, po co przyszedł.

Zatroskana Nora spoglądała przez przednią szybę samochodu. Padał deszcz i

wycieraczki chodziły ze świstem to w jedną, to w drugą stronę. Nie miała powodu do obaw. Fred był doskonałym kierowcą, poza tym ruch o tak późnej porze był nieduży. Skąd więc brał się ten dziwny niepokój?

-Co się dzieje, kochanie? - spytał Fred, włączając długie światła, gdy samochód z naprzeciwka znalazł się za nimi.

-Nie wiem. Mam dziwne uczucie. - Nagle zapragnęła pojechać do matki. Teraz. Nie jutro rano. Teraz - zawróć. Jedź do szpitala. To głupie.

-Na jaki temat?

-Właśnie myślałam o tym, że jutro rano zobaczę się z matką i że nie chciałabym czekać tak długo.

-Chcesz wrócić do szpitala?

Nora spojrzała na niego.

-Minęła północ, Fred. Już dawno zasnęła.

-A gdyby nie spała? Co byś jej powiedziała?

Poczuła piekący uścisk w gardle. Znów wyrzała przez szybę.

Powiedziałabym Przepraszam. Powiedziałabym Naprawdę cię kocham, mamo, choć wydawało się, że tak nie jest. Byłam taka zła, bo bardzo cię kochałam. Powiedziałabym Proszę, wybacz mi wszystkie okrutne słowa i czyny. Powiedziałabym tyle rzeczy, które dusiłam w sobie przez czterdzieści pięć lat. Załkała.

-Mamusiu, tęskniłam za tobą. To bym powiedziała.

Fred wyciągnął rękę i delikatnie pogładził ją wierzchem dłoni po policzku. Było już dobrze po północy. Znow dała się ponieść emocjom. Całe życie pozwalała im sobą kierować. Poza tym nietrudno sobie wyobrazić, oburzenie pielęgniarek, gdyby pojawiła się o tej porze i chciała się widzieć z matką. Co by im powiedziała? Chcę się poprawić? Chcę obudzić moją matkę, żeby ją przeprosić?

-Już dobrze, Fred - położyła rękę na jego udzie. - Mogę poczekać jeszcze kilka godzin.

Cóż znaczy jedna noc?

O Boże, nie pozwól mu tego zrobić. Panie, błagam. Annie kazała mi się trzymać. Fred kazał nie tracić wiary. Eleonora jest już tak bliska, by znow stać się sobą. Panie, pomóż mi!

Lekarstwo, które już zostało wstrzyknięte, sprawiło, że ledwo mogła się ruszać. Uniosła rękę, ale technik medyczny tylko się uśmiechnął.

-Rozumiem - powiedział. - Wkrótce będzie po wszystkim. Już nie będziesz cierpieć.

O Boże, on mnie nie rozumie. On nie wie, co robi! Nie żyję dla siebie. Żyję dla moich dzieci. Jezu, otwórz mu oczy! Pokaż mu! Spraw, żeby zrozumiał. O Jezu,

spraw, żeby przestał robić tę okropną rzecz! Ja chcę żyć. Chcę rano zobaczyć moją córkę. Potrzebuję czasu, tylko trochę czasu.

W głowie miała zamęt, była przerażona.

Co się stanie z Eleonorą, kiedy tu przyjdzie? A z Georgeem? Czy jeszcze bardziej zamknie się w sobie, aż stanie się taki jak Bernard? O Panie, moja słodka Annie.

Czy będzie myślała, że się poddałam? Och, Ojczy w niebiosach...

Czuła chłód zbliżającej się śmierci i otaczającą ciemność.

-Już niedługo, Leoto - powiedział mężczyzna. - Ciii... nie walcz. - Zakrył jej usta dłonią. - Odpręż się i pozwól, by to się stało.

Trzymaj się! Trzymaj się!

Próbowała wbić zęby w jego rękę, ale nie miała dość siły, by uwolnić się z jego uścisku.

Trzymaj się...

Nie mogła. Jej umysł i wola były za słabe, żeby przezwyciężyć to, co zrobił ten człowiek. Uniósł dłoń i lekko ścisnął ją za rękę.

-Już niedługo będzie po wszystkim - powiedział, jakby oddawał jej przysługę. Kiedy na niego spojrzała, zmarszczył czoło.

-Tak jest lepiej, lepiej dla wszystkich.

Biedny, naiwny chłopiec. Nie wygląda na wiele starszego od Corbana. Patrzyła, jak się odwraca i po cichu wychodzi z pokoju. Pewnie myśli, że zrobił coś dobrego. O Panie, wybacz mu. Nie wie, co zrobił.

Pomyślała o tym, co Bernard odkrył w Niemczech wiele lat temu. Ten chłopiec sądził, że jej życie nie ma żadnej wartości. Że nie ma sensu, by ciągnęło się dłużej. Czy to jest miłosierdzie, Panie? Naprawdę?

Serce pękało jej z bólu.

O Boże, Boże, tak długo czekałam na pojednanie. Modliłam się milion razy. A jutrzejszy dzień może byłby dla Eleonory dniem zbawienia. Moja słodka, ukochana dziewczynka mogłaby do mnie powrócić. O Jezu, jak ja czekałam na ten dzień...

Już czas, umiłowana.

Światłość, ciepło. Był przy niej Ten, który jest Miłością unosząc ją z cielesnej łupiny, otarł jej łzy. Policzyłem je wszystkie i zebrałem. Głos dobiegał ze środka, z zewnątrz, był naokoło. Przyjdź, umiłowana. Zobacz, co dla ciebie przygotowałem. Głos miłości wprawiał ją w drżenie wibrowała niczym struna harfy trącana przez Mistrza.

A jednak coś w niej wciąż się opierało. Co z moimi dziećmi, Panie? Tak bardzo je kocham. Co się stanie z moimi dziećmi?

Jeśli będą Mnie szukać, znajdą Mnie. Szeroko rozpostarł ramiona. Zaufaj Mi,

umiłowana.

Westchnąwszy, Leota Reinhardt ustąpiła i poszła za Nim.

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy Nora kończyła robić makijaż przed wyjazdem

do szpitala. Na ten dźwięk wszystko w niej zamarło. Fred odebrał po drugim dzwonku. Poczowała ucisk w żołądku. Serce jej waliło jak oszalałe. Upuściła tusz do rzęs, wybiegła z sypialni i zbiegła po schodach. Kto może dzwonić o wpół do siódmej rano? Tylko Annie. Albo George.

Weszła do pokoju i ujrzała stojącego tyłem Freda. Rozmawiał przyciszonym głosem.

Powoli odłożył słuchawkę i odwrócił się w jej stronę.

-Annie? - Więcej nie zdołała z siebie wykrztusić. Serce biło jej tak mocno, że myślała, iż za chwilę zemdleje.

Potaknął. Nie musiał nic mówić. Miał to wypisane na twarzy.

-Przykro mi, Noro. Strasznie mi przykro.

-Powinniśmy byli wczoraj zawrócić. Powinnam była kazać ci zawrócić!

-Nie mogłaś wiedzieć.

Czyżby? O Boże, dlaczego Cię nie posłuchałam?

Jej matka odeszła.

Tego ranka, gdy krótki nekrolog babci ukazał się w „Oakland Tribune”, do Annie zadzwonił Charles Rooks.

-Mam testament Leoty Reinhardt oraz kilka dokumentów, które zgodnie z jej wolą mam przekazać dzieciom. Chciałbym je dostarczyć własnoręcznie. Czy mogłaby

się pani skontaktować z Eleonorą Gaines i Georgeem Reinhardtem? Chciałbym, abyśmy wszyscy spotkali się w moim biurze. Mieści się niedaleko jeziora Merritt.

-Podał jej adres i numer telefonu i spytał, czy odpowiadałoby im jutrzejsze popołudnie.

-Jestem pewna, że będą mogli przyjść, panie Rooks - odparła Annie.

Zadzwoń i powiadomię ich.

-Z panią też muszę porozmawiać, panno Gardner.

-Ze mną?

-Tak. Muszę się widzieć z pozostałymi w pani obecności.

Zdziwiona i zdezorientowana, Annie zgodziła się przyjść na spotkanie.

-W gazecie nie było wzmianki o pogrzebie - powiedział pan Rooks. - Jeśli msza jeszcze się nie odbyła, chciałbym w niej uczestniczyć. Czy pani i pani krewni nie będą mieć nic przeciwko temu?

Annie zamknęła oczy, pragnąc nie rozplakać się znowu.

-Nie było mszy, panie Rooks. - Wujek George uważał, że nie ma sensu ponosić takich kosztów, skoro babcia Leota od lat nie chodziła do kościoła. Kiedy Annie argumentowała, że przez ostatnie miesiące wiele razy zabierała babcię do kościoła, powiedział - Czy ktokolwiek o nią pytał?

-Arba często tu zachodzi.

-To sąsiadka. Może przyjść na ostatnie pożegnanie do domu.

Był nieugięty. Nikt się nie przejmie pogrzebem staruszki, której nie znał i która należała do kongregacji tylko przez parę miesięcy. Dawała na kościół dużo pieniędzy? Nie. W takim razie nikt nie będzie sobie zawracał głowy. Nic nie było w stanie odwieść go od tej decyzji.

Później Jeanne powiedziała Annie, że jej mąż chyba nie zniósłby pogrzebu. Był tylko na jednym i ujrawszy przyjaciela w trumnie, poprzysiągł sobie, że póki żyje, więcej na pogrzeb nie pójdzie.

-W ogóle nie było mszy? - spytał Charles Rooks.

-Formalnej nie. Wczoraj kilka osób zebrało się tutaj, w jej domu, i urządziliśmy nasze prywatne pożegnanie z babcią. - Przyszła Arba Wilson z trójką dzieci, mama i Fred, George, Jeanne i ich dzieci. Rozmawiali niewiele. Annie nie miała dość czasu, by przygotować jakieś zdjęcia czy pamiątki. Zresztą George i mama i tak nie chcieliby ich przeglądać.

Mama zdawała się pogrążona w nieopisanym smutku. Annie zastanawiała się, co z nią teraz będzie. Nie czuła już gniewu - żal został przepędzony. Zamiast niego zżerało ją poczucie winy i wstydu za wszystkie zmarnowane lata. I za to, że nie posłuchała głosu, który kazał jej zawrócić do szpitala i zobaczyć się z Leotą w tę noc, kiedy umarła.

-Straciłam swoją szansę - powiedziała. - Już nigdy nie będę mogła jej powiedzieć...

Gdybyż tylko babcia Leota trzymała się życia trochę dłużej! Jeden dzień zmieniłby tak wiele. Lekarz był pewien, że miała spokojną śmierć. Annie była za to wdzięczna. Wyobrażała sobie, że babcia zamknęła oczy, zapadając w sen, a potem obudziła się u boku Pana. Och, szkoda, że nie była w domu.

-Chciałbym przysłać kwiaty, panno Gardner
-głos Charlesa Rooksa odciągnął ją od jej myśli.
-Gdzie spoczywa?

-Decyzja jeszcze nie zapadła, panie Rooks. Babcia Leota chciała być skremowana. - Annie odbierze jej prochy, gdy tylko dyrektor domu pogrzebowego się z nią skontaktuje.

-Aha.

Annie wiedziała, że trzeba podjąć różne decyzje, czuła się jednak niezręcznie, rozmawiając o tym z Charlesem Rooksem. Nie wiedziała o nim nic poza tym, że jest prawnikiem, który zajmował się testamentem babci. Żałowała, że nie

może otwarcie porozmawiać o tych sprawach z mamą ani z wujkiem Georgeem.

Kiedy

odebrała telefon z prośbą o podpisanie dokumentów związanych z kremacją, mama się rozpląkała. Wujek George nie miał pojęcia, gdzie można by pochować Leotę. W końcu jakie to ma znaczenie?

Annie, jej matka, Fred i wujek George spotkali się w hallu budynku, w którym Charles Rooks miał swoje biuro prawne. Nora wyglądała mizernie i blado, George był spokojny.

-Skontaktowałem się z agencją nieruchomości w sprawie domu mamy - rzekł, gdy winda ruszyła w górę. Na te słowa Nora się ożywiła.

-A co z Anne-Lynn?

-Sądziłem, że będzie chciała przeprowadzić się z powrotem do swojej przyjaciółki i wrócić do szkoły plastycznej - tłumaczył się, zerkając na siostrzenicę. - Albo że wróci do domu. Czy nie tego zawsze chciałaś, Noro?

Annie odwróciła wzrok. Gniew, który w niej wezbrał, daleki był od nabożnych uczuć. Wiedziała, że nie ma prawa nikogo osądzać, lecz jej serce burzyło się

przeciw tym dwojgu.

-Nie musimy rozmawiać o tym teraz, George.

-Po co te nerwy, Eleonoro. - George spojrział na siostrę z pogardą. Wątpię, żeby dom szybko został sprzedany. Annie może tam zostać tyle tygodni czy miesięcy, ile zajmie pozbycie się go. Właściwie to będzie nawet wygodne. Ktoś powinien dbać o dom, póki nie znajdziemy nabywcy. Annie mogłaby tam mieszkać, nie płacąc czynszu. Oczywiście jeśli chcesz zatrzymać dom, Noro, możemy go wycenić i spłacisz mi moją połowę.

Annie zacisnęła wargi, walcząc ze łzami napływającymi jej do oczu. Nie chciała, by którekolwiek z nich zobaczyło, jakie wrażenie wywarły na niej słowa wujka Georgea. Jak on może mówić w ten sposób? Pozbyć się go. To przerażające mówić tak o domu babci Leoty. Z tym małym domkiem wiążą się lata wspomnień. I ogród! Schronienie babci. Powiedziała kiedyś, że codziennie spotykała się tam z Panem. Annie nietrudno było sobie wyobrazić, jak babci byłoby przykro, gdyby się dowiedziała, że jej syn nie żywi żadnych sentymentów ani do niej, ani do jej majątku. Nie może się doczekać, aż sprzeda dom i weźmie tyle pieniędzy, ile zdoła z niego wyciągnąć. Pieniądze! Cholerna mamona! Tylko na tym zdaje się mu zależeć.

To nie może być prawda. O Panie, to nie może być prawda.

-Nie chcę o tym teraz rozmawiać. - Nora była zła. Głos jej się łamał.

-Wszystkim nam będzie łatwiej, jeśli jak najszybciej coś postanowimy.

Wujek George nie mógł się doczekać, by zacząć żyć dalej. Czy właśnie tak? Chciał uniknąć rozpacz, poczucia winy, pustki, które musiał teraz czuć, nie mając już szansy naprawienia stosunków z matką?

-Moglibyśmy przynajmniej poczekać, aż znajdziemy dla niej przyzwoite miejsce spoczynku! - powiedziała matka Annie.

-Powinna leżeć koło Papy, nie uważasz?

-Świetnie, George. A pamiętasz, gdzie Papa jest pochowany?

-Byłem w Wietnamie...

-A ja byłem w trakcie rozwodu!

Drzwi windy się otworzyły i Annie wyszła. Zobaczyła małą fontannę z wodą pitną i podeszła do niej. Pochyliła się, chcąc ochłodzić twarz zimną wodą. Jak oni mogą rozmawiać o takich rzeczach zaraz po śmierci babci? Wujek George przypominał jej ptaszysko, dziobiące szczątki babci. I mama. Jak będzie teraz wyglądało jej życie, skoro została pozbawiona szansy, by poprosić Leotę o wybaczenie?

Och, babciu. Szkoda, że nie mogłaś żyć jeszcze jeden dzień, tydzień, miesiąc, rok. Tak bardzo cię kocham. Tęsknię za tobą. Mogłaś mnie nauczyć jeszcze tylu rzeczy. Opowiedzieć tyle wspaniałych historii. O Boże, dlaczego nie pozwoliłeś mi spędzić z nią więcej czasu?

Fred dotknął jej ramienia.

-Dobrze się czujesz, Annie?

Wyprostowała się. Pewnie myślał, że zaraz wypije całą wodę z fontanienki.

-Próbuję nie powiedzieć niczego, czego będę potem żałować. - Panie, daj mi siłę. I zapalenie krtani.

Fred położył jej rękę na ramieniu.

-Ostatnie dni były dla twojej mamy bardzo trudne.

Annie o tym wiedziała. Żałowała, że nie wyjaśniła wszystkich spraw z przeszłości już wiele tygodni temu. „Dawno powinnam była jej o tym powiedzieć”. Może wtedy starczyłoby czasu, żeby matka i babcia Leota znów się odnalazły. Lecz Annie cierpliwie milczała - tak jak babcia Leota przez te wszystkie lata. Teraz zastanawiała się, czy matka kiedykolwiek pozbędzie się poczucia winy i żalu za wszystkie lata, kiedy trzymała się z dala, pielęgnowała urazy i nie chciała szukać prawdy.

Czy znów zacznie winić babcie Leotę, Panie? Czy zacznie myśleć, że babcia pozbawiła ją szansy na pojednanie? Tak jakby śmierć była ostatnią krzywdą, jaką jej wyrządziła...

Annie bardzo żałowała, że babcia Leota nie czuła potrzeby, by już dawno temu wyjawić prawdę. Wiem, dlaczego milczałaś, babciu, ale czy to przyniosło coś dobrego? Och, Ojczy, czy gdyby babcia powiedziała prawdę mamie i wujkowi Georgeowi, chcieliby jej słuchać?

Fred wyglądał na zmartwionego.

-W nocy, gdy umarła babcia, twoja matka miała przeczucie, że powinniśmy

zawrócić do szpitala, ale nie pojechaliśmy tam. Teraz tego żałuję, Annie. To będzie dla niej świeża rana. Jeszcze jeden ciężar do niesienia razem ze wszystkimi minionymi latami goryczy.

-Martwię się o nią, Fred. Babcia ją kochała. Wiem to na pewno.

-Nie wątpię w twoje słowa, Annie, ale szkoda, że Leota nie miała okazji sama jej tego powiedzieć. Wprost. Nie wiem, czy twoja matka kiedykolwiek w to uwierzy. Zwłaszcza że teraz ma takie poczucie winy. - Był zmęczony i smutny. - Lepiej dołączmy do reszty.

Charles Rooks przywitał się z Annie, gdy razem z Fredem weszła z jego gabinetu. Matka już siedziała w brązowym skórzanym fotelu. Wujek George zajął drugi fotel przed biurkiem adwokata. Annie i Fred usiedli na kanapie pod ścianą. Adwokat przedstawił im swoją sekretarkę, ona zaś zaproponowała kawę. Wszyscy podziękowali. Wujek George jak zwykle się spieszył. Za dwie godziny miał w San Francisco umówione spotkanie w interesach. Ludzie, którzy żyją w pośpiechu, nie mają czasu, żeby się zastanowić, co tracą.

Sekretarka wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Charles Rooks rozdał kopie testamentu babci Leoty. Annie zastanawiała się, dlaczego i jej dał odpis, póki nie zaczął wyjaśniać, że w testamencie nie ma mowy o przekazaniu posiadłości. Dokument został sporządzony jedynie po to, by życzeniom Leoty Reinhardt na pewno stało się zadość.

-O czym pan mówi? Jakie życzenia? - Wujek George był wyraźnie zdezorientowany i poirytowany. - Jest nieruchomości. Nie jest to wielki majątek, jasne, ale dom ma jakąś wartość na rynku.

-Dom jest własnością Anne-Lynn Gardner.

-Co? - Wujek George odwrócił się w jej stronę, czerwieniejąc na twarzy. Matką wstrząsnął krótki spazm śmiechu, szybko stłumiony cichym chlipnięciem.

-Nie, to nieprawda! - Annie wpatrywała się w prawnika, nie wierząc własnym uszom. - Pan się myli, panie Rooks.

-Nie ma mowy o pomyłce, panno Gardner. Omówiliśmy to z Leotą Reinhardt szczegółowo, gdy się z nią spotkałem w jej domu. Tutaj jest kopia aktu notarialnego, którą pani babcia przysłała do mnie pocztą.

-Ale to niemożliwe! - Annie poczuła, że oblewa ją zimny dreszcz.

-No tak - odezwał się wujek George czerwony na twarzy. - Powiniennem był się tego domyślić.

-Musiała uzyskać pani podpis na dokumentach - spokojnie rzekł Charles Rooks. - Pewnie powiedziała, że dotyczą czego innego. Chciała, żeby dom i ogród należały do pani. Ogród wydawał się dla niej najważniejszy. Powiedziała, że pani dba o niego tak samo, jak ona kiedyś.

Wujek George rzucił Norze gniewne spojrzenie.

-Powiniennem był się domyślić, że tak się stanie. Myślałem, że to Corban Solsek chce coś uszczknąć. A trzeba było się przyjrzeć rodzinie! - Znów łypnął na Norę. - Maczałaś palce w tym spisku?

-Myśl sobie, co chcesz, George. Jakie to ma teraz znaczenie?

-Mama w niczym nie maczała palców. - Teraz Annie nawet nie próbowała ukryć wściekłości w głosie. - Nie było żadnego spisku. Mówię wam, że to pomyłka! Babcia prosiła mnie o podpisanie jakichś papierów, ale mówiła, że to tylko po to, żebym mogła płacić jej rachunki.

Wujek George wstał i stanął przed nią.

-Powiedz mi prosto w oczy, że nie chcesz jej domu!

Polały się łzy.

-Nigdy nie poprosiłabym babci o dom, wujku. Nigdy w świecie. Powinieneś mnie znać na tyle dobrze. - Najwyraźniej nie znał jej wcale.

-To sprawiedliwe, George. Nie powinniśmy się dziwić, że mama nas wydziedziczyła. Opuściliśmy ją lata temu.

-Mów za siebie, Eleonoro. Ja nigdy nie miałem do niej żalu, tak jak ty.

-Nie, ale tak czy owak nie obchodziła cię. Jesteś taki sam jak ojciec.

George zbladł, a potem poczerwieniał.

-Ten dom należy do nas! - Obejrzał się na Charlesa Rooksa. - Będę z panem walczył w tej sprawie.

-Obawiam się, że pan nie rozumie, panie Reinhardt. To nie była moja decyzja. - Przybrał teraz chłodny ton. - Ale jeszcze nie skończyłem. Proszę usiąść, przejdziemy do reszty.

-Reszty czego? - Wujek George usiadł w fotelu. - Poza domem matka niczego

nie miała. - Wyglądał na znużonego i zdegustowanego. - A co z oszczędnościami? I z rachunkiem bieżącym?

Annie się zaczerwieniła. Była zrozpaczona.

Charles Rooks wyjaśnił cicho. Na obydwu rachunkach widnieje nazwisko Anne-Lynn Gardner.

-Czemu mnie to nie dziwi? - Sarkazm w tonie wujka ranił Annie. - Ile było na tych kontach? Czy wolno nam się dowiedzieć, na ile nas obrabowano?

-Babcia żyła z emerytury - Annie nie potrafiła opanować drżenia w głosie. - Na rachunku bieżącym nigdy nie było więcej niż kilkaset dolarów. Powiedziała mi, że jej oszczędności będą przelewane na rachunek, kiedy przyjdzie pora płacić podatki albo składki ubezpieczeniowe. - Och, babciu, jak mogłaś mi to zrobić? Czy to twój odwet za lata życia w zapomnieniu? Nie mogę w to uwierzyć! Nie wierzę! - Wszystko przepiszę mamie i tobie, wujku. Nie mieszkałam z babcią Leotą dlatego, że czegoś od niej chciałam, ale dlatego, że ją kochałam!

Nie chciała płakać, ale nie umiała powstrzymać łez. Miała ochotę wstać i wybiec z gabinetu, lecz Fred przysunął się bliżej i położył jej dłoń na kolanie, jak gdyby ją zatrzymywał. Żeby uciec, musiałaby przejść mu przez kolana lub przeczoł- gać się pod stolikiem.

-Będę się odwoływał! - powtórzył wujek George.

Charles Rooks podniósł rękę.

-Pańska matka przypuszczała, że zechce pan podważyć ważność jej testamentu i podjęła odpowiednie kroki, by temu zapobiec. Wystarczyłoby, żeby zapisała panu jednego dolara, tym samym uniemożliwiając kwestionowanie jej woli. Jednak i panu, i pani zapisała po sto dolarów. - Wujek George znów chciał coś powiedzieć.

-Powtarzam, panie Reinhardt, jeszcze nie skończyłem. Raczą mnie państwo wysłuchać. Gdy dowiedzą się państwo wszystkiego, z pewnością nie znajdą powodu do zaskarżania testamentu ani też nie będą chcieli tego robić. - Spojrzał wujkowi Georgeowi prosto w oczy. - Im więcej pan teraz powie, tym bardziej będzie pan później żałował swoich słów.

-W takim razie niech pan mówi dalej.

Annie cała się trzęsła.

-Bardzo dobrze. - Charles Rooks skinął głową. - Matka państwa uwzględniła was oboje w testamencie. - Spojrzał na Norę i Georgea. Wziął do ręki dwie szare koperty i wręczył je każdemu z nich. - Myślę, że będą państwo przyjemnie zaskoczeni tym, co matka wam zapisała. - Odchylił się do tyłu, nie mówiąc nic więcej, i tylko ich obserwował.

Wujek George szybko otworzył kopertę i wyjął z niej zawartość. Przekartkował dokumenty, zbladł, zaczerwienił się, potem znów zrobił się niezdrowo blady. Zaczął ponownie przeglądać dokumenty, tym razem wolniej, jeden po drugim.

Nora trzymała kopertę tak, jakby w środku znajdował się wąż. Annie jeszcze nigdy nie widziała jej tak niepewnej, tak przestraszonej. Wujek George wyszeptał pod nosem imię Pana. Drżąc, Nora otworzyła kopertę i zaczęła przeglądać jej zawartość, każdy dokument po kolei. Uniosła brwi. Dezorientacja, potem zrozumienie. Wyglądała na zupełnie załamana, po jej białych policzkach spłynęły łzy.

-Państwa matka była niezwykłą osobą - powiedział cicho Charles Rooks. Pochylił się do przodu i splótł dłonie na biurku. - Powiedziała mi, że kupiła te akcje wiele lat temu za namową dobrej przyjaciółki. Powiedziałbym, że bardzo mądrej i bystrej przyjaciółki. Jeszcze kilka tygodni temu trzymała te dokumenty w domu. Nie miała pojęcia, ile są warte. Kiedy jej powiedziałem, poprosiła mnie, żebym przechował je razem z testamentem.

Wujek George zaczął czytać na głos

-Standard Oil, Proctor Gamble, Coca-Cola, DuPont, Bethlehem Steel, ATT. Pokręcił głową. - Goodyear, Ford, General Motors... - Był oszołomiony. Przestał czytać, ale nie podniósł głowy. Zamnął oczy na dłuższą chwilę, a potem rzekł Powinniśmy kupić mamie nagrobek. Coś naprawdę ładnego.

Nora zaszlochala ochryłym głosem, upuściła dokumenty i zakryła twarz dłońmi.

Wujek George się skrzywił.

-Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak... - Spojrzał na adwokata. - Jak ona to zrobiła? Nie wiedziałem, że zarobiła tyle pieniędzy.

-Przypuszczam, że kiedy pracowała, co pewien czas inwestowała kilka

dolarów.

Babcia Leota pracowała przez wiele lat.

Annie patrzyła, jak jej matka chowa dokumenty do koperty, jakby nie mogła

znieść ich widoku. Ręce jej się trzęsły. Starła łzy z twarzy jak małe dziecko. Annie bardzo jej współczuła. Babcia Leota próbowała pokazać, że bardzo kochała swoją córkę. Annie jednak widziała, że ten spadek stał się dla matki kolejnym brzemieniem.

O Panie, czy ona kiedykolwiek to zrozumie?

Wujek George wstał pierwszy. Wyciągnął rękę do Charlesa Rooksa i dziękował mu tak, jakby to on obsypał go darami. Potem się odwrócił i spojrzał na Annie. Po jego twarzy przemknął cień wstydu.

-Przepraszam, Annie. Mówiłem od rzeczy. Powinienem być mądrzejszy. Zerknął na zegarek. - Muszę lecieć. - Zrobił krok w kierunku drzwi, po czym się zatrzymał. - Chcesz, żebym pojechał do zakładu pogrzebowego i pomógł ci załatwić nagrobek? Moglibyśmy się spotkać jutro.

-Wiem, czego babcia sobie życzyła, wujku. Zajmę się tym.

-Kaź im przysłać rachunek do mnie.

Matka wstała. Nie wymieniła pożegnalnego uścisku z Charlesem Rooksem. Zwróciła się w stronę Freda, trzymając zamkniętą szarą kopertę w lewej dłoni. Annie podążyła za nimi do drzwi, wciąż próbując pojąć, co się stało.

-Panno Gardner - rzekł Charles Rooks. Zatrzymała się w progu i spojrzała na niego pytająco. Wszedł zza biurka. - To należy do pani. - Podał jej teczkę zawierającą akt własności domu babci Leoty i napisany jej ręką krótki liścik z numerem konta oszczędnościowego i informacją, gdzie znajduje się klucz do skrytki bankowej, oraz zanotowanymi numerem wersetu Pisma Świętego Izajasz 40,27-31. Annie podziękowała prawnikowi, wyszła z gabinetu i dogoniła mamę i Freda w windzie.

Zjechali na dół w milczeniu. Fred obejmował matkę ramieniem. Annie nie wiedziała, co powiedzieć. Samochody jej i Freda stały na podziemnym parkingu obok siebie.

-Przepraszam za ten dom, mamó. Nigdy nie chciałam, żeby babcia mi go dała.

-Nie przepraszaj, Annie. Kochałaś ją. To o wiele więcej, niż ja kiedykolwiek zrobiłam. - Matka podniosła głowę na jej twarzy malowało się cierpienie. - Już nigdy nie przepraszaj. - Serce Noiy złagodniało, potem całkowicie się poddała.

Annie przeżyła wstrząs, gdy ujrzała małą drewnianą skrzyneczkę z prochami babci. Była nie większa niż pudełko po butach i ważyła ledwie parę funtów. Właściciel domu pogrzebowego po informował ją, że dzwonił George Reinhardt z informacją, że pokryje koszt nagrobka, urny czy czegokolwiek, co Annie sobie zażyczy zgodnie z wolą babci. Zanim wujek postanowił być wspaniałomyślny, Annie opłaciła już „kremację zwykłą”.

„Powinniśmy jej kupić jakiś ładny nagrobek”.

Babciu, jak byś się czuła przygnieciona gigantycznym krzyżem z kamienia? A może wolisz marmurowe anioły z wielkimi skrzydłami? Mogłyby grać na harfach! Niespodziewanie parsknęła nerwowym śmiechem.

-Przepraszam - powiedziała przerażona. Co się z nią dzieje? Miała ochotę krzyczeć, płakać i śmiać się jednocześnie. Wpatrywała się w dokumenty. „Kremacja zwykła”. Patrząc teraz na te słowa, miała poczucie winy. Ponieważ doktor wiedział, że Annie ma pełnomocnictwo, wszelkie ustalenia pozostawiono do jej decyzji. A ona nie miała pojęcia, co robić. Zapłaciła sto pięćdziesiąt dolarów, niemal całą kwotę z bieżącego rachunku babci. Pieniądze wystarczyły na wszystko: złożenie formalnych dokumentów, umycie ciała babci, zabranie go ze szpitala i przewiezienie do kostnicy, zamrożenie, przechowywanie zwłok, transport do krematorium i umieszczenie popiołów w urnie. Wszystko, o czym Annie wolałaby nie wiedzieć.

Gdyby wujek George dowiedział się wcześniej o swojej niespodziewanej fortunie, pewnie by się domagał, żeby babcię zabalsamować i ułożyć w „nierdzewnej trumnie z brązu” wyściełanej „ekskluzywnym białym aksamitem z poźłotą”.

Tracę rozum, Panie. Zaraz się całkiem załamie
I wpadnę w histenę. Mam ochotę walić w stół aż się rozleci na pół.

Biedny wujek George. Co się stanie, gdy w końcu prawda uderzy go między oczy?
Żadne pieniądze nie uśmierzą jego bólu. A mama... Rano dzwonił Fred, by
powiedzieć, że mama nie przyjdzie do domu pogrzebowego pomóc Annie podjąć
konieczne decyzje. Czowała się tak źle, że nie była w stanie wstać z łóżka.

Łzy napłynęły Annie do oczu. Piekło ją w gardle. Czytając opisy możliwych

usług, uświadomiła sobie, że babcię zabrano w kartonowym pudle.
O Boże, jak mogłam do tego dopuścić? Przepraszam cię, babciu. Przysunęła do siebie skrzyneczkę z jej prochami. Nie mogła złapać tchu.

-Czy chciałaby pani zostać przez chwilę sama?

Skinęła głową.

Mężczyzna zostawił na stole otwarty katalog z cenami produktów i usług. Kiedy dzwoniła do niego ze szpitala, był niezwykle miły. Jak to jest prowadzić kostnicę i codziennie oglądać zmarłych i żałobników?

Musiała wziąć się w garść i wybrać urnę. Zaczerpnęła głęboki oddech i ze wszystkich sił starała się zapanować nad emocjami. Mimo to uczucia kipiały pod powierzchnią.

Och, Panie, czy zabrali babcię w szpitalnej koszuli? Nie pomyślałam o tym. Powinnam jej była przywieźć jakieś ładne ubranie. Żadną garsonkę. Sukienkę. Suknię ślubną. I jej Biblię. Na pewno byłoby jej miło mieć ją w rękach.

Annie otworzyła katalog i przekartkowała go do miejsca, w którym znalazła urny. Otarła oczy, wydmuchała nos i zaczęła oglądać zdjęcia. W ofercie znajdowały się urny o najróżniejszych kształtach, całkiem ładne. Malowane skrzynie, emaliowane wazy, czarny marmur... urny z mahoniu, wiśni, klonu, orzecha i topoli. Najdroższa - odłana z brązu na podstawie z białego marmuru - wyglądała jak rzymska waza i nazywała się „Arystokrata”. Annie zadrżały wargi. Oj, babciu. Co byś powiedziała na taką? Wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać. Urna kosztowała ponad tysiąc dolarów, ale usatysfakcjonowałyby wujka Georgea.

Mężczyzna zdawał się dokładnie wiedzieć, kiedy wrócić do niewielkiej sali konferencyjnej.

-Czy już się pani zdecydowała?

-Tak. - Annie obróciła segregator w czarnej oprawie, by mężczyzna zobaczył zdjęcie, w które postukała palcem. - Chciałabym tę.

-Dobry wybór.

Przez kilka pierwszych dni, odkąd zabrakło Leoty, Annie prała pościel, ścierała łóżka, odkurzała, wyszorowała podłogę w kuchni, wyszorowała podłogę w łazience, umyła okna, wypolerowała meble, wyczyściła kuchenkę i piekarnik. Co rano sprzątała klatkę Barnaby i dosypywała mu świeżej karmy. Przez pewien czas ptak nic nie mówił. Annie miała nadzieję, że nie zachoruje i nie umrze.

Pierwszego wieczoru Arba przyniosła zapiekankę.

-Daj nam znać, kiedy będziesz gotowa na towarzystwo - powiedziała i poszła.

Zapiekanka wciąż leżała w lodówce.

Trzeciego dnia Annie wyszła do ogrodu babci Leoty.

Powietrze było chłodne, drzewa bezlistne, ziemia twarda. Gdy Annie spojrzała

w granitowe niebo, poczuła w piersi ból tak ogromny, jakby miała zaraz od niego umrzeć. Niemal tego chciała. Przynajmniej wtedy byłaby u boku Pana i babci Leoty.

Usłyszała skrzypnięcie furtki i ujrzała Arbę z dziećmi, wchodzących do ogrodu. Próbowła się uśmiechnąć, lecz usta jej drżały. Nie mogła wymówić słów powitania. Wciąż tłumiła w sobie ból.

-Och, skarbie... - Do ciemnych oczu Arby napłynęły łzy. - Musisz to z siebie wyrzucić.

Annie wzruszyła ramionami, bojąc się zacząć mówić.

Podeszła do niej Kenya i objęła ją w pasie ramionami.

-Mama mówi, że babcia Leota jest w niebie.

-Co chciałabyś zrobić? - spytała Arba, delikatnie nalegając.

-Krzyknąć.

-Więc krzycz, dziewczyno. Dlaczego tylko starzy Izraelici mieliby rwać szaty i zawodzić?

Annie zaczęła płakać.

-Ach, skarbie. Czy tylko na tyle cię stać dla swojej babci?

Wtedy eksplodował i Annie zaczęła zawodzić. Arba i dzieci otoczyły ją, położyły na niej ręce i płakały razem z nią.

-Tak, tak - powtarzała w kółko Arba, szlochając. - Tak. Wyrzuć to z siebie, skarbie. Wyrzuć.

I Annie poczuła się lepiej.

Przez następne tygodnie Annie przeglądała rzeczy Leoty. Babcia miała kilka pięknych ubrań. W dolnej szufladzie bielizniarki leżała szkatułka z biżuterią, o

której babcia wspominała w liście. Annie znalazła kluczyk do skrytki bankowej i przypięła go do swojego łańcuszka z kluczami. Znajdowało się tam także aksamitne niebieskie pudełko ze sznurem pereł i liścikiem „Zawsze kochający Bernard”. W innym, białym pudełku

był żołądź, dwa niebieskie pióra, trzy agaty i paczuszka nasion pachnącego groszku, na której wciąż widniała cena dziesięć centów.

Annie była ciekawa, co oznaczała ta kolekcja. Rzeczy były całkiem bezwartościowe, lecz z pewnością wywoływały u babci wspomnienia. Jaką miały dla niej sentymentalną wartość? Annie nie potrafiła pozbyć się uczucia, że wraz ze śmiercią babci Leoty utraciła wielką skarbnicę wiedzy i mądrości. Nie zdążyła się dowiedzieć tylu rzeczy.

Sam Carter telefonował kilka razy i odwiedzał ją co parę dni. Pewnego razu czule się do niej uśmiechnął.

-Nie pozwolisz mi bardziej się do siebie zbliżyć, co, Annie? Wciąż myślisz, że jestem draniem.

-To nie tak, Sam.

-Chyba rozumiem. Oprócz jednej rzeczy.

-A mianowicie?

-Nie jesteś katoliczką. Nie możesz zostać zakonnica.

Uśmiechnęła się na te słowa.

-Myślisz, że protestantka wyznania ewangelickiego nie może poświęcić życia Bogu?

-Pewnie może, ale jakaż to strata.

Roześmiała się.

-Mam nadzieję, że nie. - Być może pewnego dnia wyjdzie za mąż, teraz jednak Bóg zdawał się wiązać z nią inne plany. Było jej z tym dobrze.

Sam został przez resztę popołudnia, nie przekraczając granic, które Annie wyraźnie wytyczyła. Rozmawiali o babci Leocie, o życiu, ogrodzie, o tym, co Annie zamierza zrobić z domem.

Gdy odprowadziła go do drzwi, uśmiechnął się do niej smutno.

-Powiniennem być się na ciebie rzucić, jak miałaś piętnaście lat i byłaś we mnie szaleńczo zako-

chana. Straciłem swoją szansę. - Nachylił się i pocałował ją w policzek.

Corban przyszedł z wizytą i jeszcze raz pomógł znieść pudła ze strychu.

Zapytała, czy jest jakaś szansa, by zeszli się z Ruth, odparł jednak, że za nic w świecie. Potem się rozplakał. Zaniepokojona Annie usiadła z nim na kanapie i wysłuchiwała pełnej bólu opowieści o jego dziecku i przerwanej ciąży. Płakała razem z nim. Mówiła mu o Panu i o przebaczeniu, lecz Corban nie chciał tego słuchać. Pragnął zrzucić Ruth Coldwell w otchłań piekieł i zostawić ją tam, żeby się smażyła w wiecznym ogniu. Im gorętszy ogień, tym lepiej.

- Wszyscy grzeszymy, Corbanie.
- Jasne, ale nie tak, jak ona. Co za kobieta zabija własne dziecko?
- W oczach Boga nie ma różnicy między aborcją dokonaną przez Ruth a tym, jak

ty się zachowujesz, życząc jej śmierci i piekła. - Dostrzegła błyski w jego oczach. Nie chciała, żeby źle ją zrozumiał. - Ja też nie jestem lepsza, bo pozwoliłam, by gorycz zapuściła korzenie w moim sercu. Grzech to grzech, Corbanie. Nieważne mały czy duży. Dla Boga jest takim samym grzechem i dopóki tego nie uznasz i nie złożysz go pod krzyżem, dopóty oddziela cię od Boga. Dlatego do pojednania potrzebujemy Jezusa.

Dalej się nie zagłębiała. Corban rzekł, że kurs filozofii ma za sobą. Widziała jego gniew. Powiedział, że wie wszystko o chrześcijaństwie. Przeprasza, że ją tym urazi, ale dla niego cała ta bajka o Jezusie umierającym za grzechy świata to bzdura. To zbyt proste. To podpórka dla ludzi, którzy tak nabroili, że niczego nie da się naprawić. A kiedy robi się rzeczy aż tak złe, powinno się za nie cierpieć. Potem szybko wstał i przeprosił ją za to, że rozplakał się jak głupek. W jednej chwili znalazł się za drzwiami, nie zdążyła nic więcej powiedzieć. Patrząc, jak odjeżdża swoim samochodem, Annie była zrozpaczona. Już w chwili, gdy wymówiła słowo grzech, wiedziała, że Corban nie jest gotowy na przyjęcie Dobrej Nowiny. Dostrzegła zmianę w jego oczach. Urósł mur. Corban chciał jak najszybciej uciec.

Po tym zajściu Annie nie spodziewała się więcej go zobaczyć. Lecz zjawił się pewnego środowego poranka trzy tygodnie później. Stała na wysuwanej drabinie, przytykając elektryczną szlifierkę do okapu dachu, z którego odchodziła farba. Musiał krzyknąć, żeby go zauważyła.

Wyłączyła maszynę, podniosła gogle i zdjęła maskę z twarzy.

-Witaj, przybyszu! - Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Przyszedłeś pomóc?

-Pewnie. Mam trochę wolnego czasu.

Więc zagoniła go do pracy.

Zbliżające się święto Wielkanocy napawało Norę lękiem.

Od czasu, gdy Anne-Lynn zatelefonowała z informacją, że „otwiera Ogród Leoty na przyjęcie z okazji Zmartwychwstania”, Nora chorowała ze strachu. Nie była pewna, czy zniesie kolejną wizytę w domu pełnym wspomnień o matce. Lecz odrzucając zaproszenie Anne-Lynn, sprawiłaby córce wielką przykrość i ryzykowała oziębienie ich wzajemnych stosunków. Za nic nie chciała znów utracić Anne-Lynn. Właśnie zaczynały ze sobą rozmawiać, naprawdę rozmawiać, jak matka z córką.

Po śmierci matki życie Nory się rozpadało. Poza ciężkim brzemieniem winy za to, że przez tyle lat tak okropnie traktowała matkę, musiała dźwigać jeszcze wstyd - dowiedziała się, że w jej żyłach płynie krew ludzi, którzy brali udział w eksterminacji Żydów i chrześcijan podczas drugiej wojny światowej. Im więcej o tym myślała, tym bardziej zamykała się w sobie... i tym głębiej wczuwała się w sytuację rodziców.

Co pomyśleliby o mnie ludzie, gdyby się dowiedzieli? Nie potrafiła o tym rozmawiać nawet z Fredem. Gdy jej mąż zasugerował, by zgłosiła się po pomoc, Nora kategorycznie się sprzeciwiła. Już nigdy nie zamieni słowa z pastorem Burnie. Tamtego dnia, gdy szukała u niego pomocy, powiedziała mu okropne rzeczy. Może gdyby go przeprosiła... ale czemu miałby ją wysłuchać? Gdziekolwiek się zwróciła, napotykała ludzi, którym wyrządziła krzywdę. Wiedziała, że musi się poprawić, lecz bardzo się bała, że nikt nie da jej szansy. A jeśli nawet da - nie uwierzy, że jej zamiary są szczerze.

Ru bliskich straciłam właśnie dlatego, iż zdawało mi się, że znam wszystkie

odpowiedzi? Bryan Taggart, Dean Gardner, Michael. To cud, że Fred jeszcze jest ze mną. Nie chcę ryzykować, że utracę także Anne-Lynn. O Panie, zapieczętuj mi usta. Ucisz mnie. Tak się boję, że skończę w samotności jak moja matka. Opuściłam ją. Chciałam ją zranić tak, jak sama zostałam zraniona. I zraniłam. Ciągle ją raniłam, rok po roku, aż do ostatniego dnia jej życia.

Ile minęło Dni Matki, w które Nora nawet do niej nie zatelefonowała, by spytać, jak się czuje? Przypomniała sobie sytuacje, gdy matka dzwoniła, a ona nawet nie próbowała ukryć zniecierpliwienia w głosie. Tyle razy mogła zaprosić mamę na rodzinne obiady, na urodzinowe przyjęcia dzieci.

Pamiętam słowa matki, które wzbudzały we mnie złość i żal. A teraz zdaję sobie sprawę, że próbowała powiedzieć mi coś ważnego, tylko że ja nie słuchałam. Nie miałam pojęcia, jak ciężkie dźwigała brzemię. Nawet nie próbowałam się tego dowiedzieć. Byłam zbyt zajęta własnym życiem.

Czy doczeka się kiedyś wnuczki takiej jak Annie, która będzie ją kochać bez względu na to, co zrobiła? Sądziłam, że wiem więcej niż inni... Sądziłam, że wiem o swojej matce wszystko. Dlaczego tak łatwo przychodziło mi myśleć o niej najgorsze rzeczy? Dlaczego choć raz nie zapomniałam o dumie i nie posłuchałam jej wersji wydarzeń? Och, dlaczego nie wróciłam tamtej nocy do szpitala?...

Już straciła Michaela. Jezu, błagam, nie pozwól mi znów odtrącić od siebie Anne-Lynn.

Nora czuła się tak, jakby utknęła w windzie spadającej w mroczną otchłań. Nie było ucieczki. Fred nakłonił ją, żeby poszła do lekarza, lecz gdy doktor dał jej receptę na prozac, nie wykupiła jej. Znała przyczynę swej rozpaczki nie miała ona nic wspólnego z zaburzeniem chemicznej równowagi organizmu. Wiązała się tylko z poczuciem winy i wstydu. Czemu ból miałby jej zostać oszczędzony, skoro sama zadała go tak wiele?

Och, mamusiu, może gdybyśmy miały jeszcze miesiąc, by o wszystkim porozmawiać... Jeden tydzień zmieniłby tak wiele. Nawet dzień. Boże, byłabym wdzięczna za pięć minut, żebym mogła ją przeprosić i błagać o wybaczenie. Ale to się już nie stanie. Karzesz mnie za wszystkie lata, kiedy zaniedbywałam matkę, za wszystkie lata, kiedy nią gardziłam, wcale się z tym nie kryjąc. Pozwoliłam, by gorycz mnie oślepiła. Nic dziwnego, że nigdy nie zdobyła się, by powiedzieć,

że mnie kocha. Jak mogła to uczynić, skoro tak wstrętnie ją traktowałam?

Zeszłego wieczoru Fred w końcu stracił do niej cierpliwość. Powiedział, że całą energię, którą wcześniej wkładała w kształtowanie życia Anne- -Lynn według

swego widzimi się, teraz poświęca na samoudręczanie się. „Stałaś się oskarżycielem, sędzią, ławą przysięgłych i strażnikiem więziennym w jednej osobie” - rzekł rozdrażniony.

Może i tak, ale czy to nie jest sprawiedliwe?

-Annie bardzo się stara, żeby te święta Wielkanocy były dla wszystkich szczególnie. Jeśli tam pójdziesz i przez cały dzień będziesz się snuć z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną, zepsujesz jej przyjęcie. W końcu musisz przestać grać rolę Boga!

Była wstrząśnięta, lecz podjęła decyzję. Postanowiła, że ze względu na Anne-Lynn będzie udawać, że przeżywa religijny wymiar Wielkanocy. Jednak żeby to zrobić, musi wyglądać najlepiej, jak tylko potrafi. Musi się uśmiechać, jakby robiła to szczerze - czy ma na to ochotę, czy nie. Zafundowała więc sobie masaż ciała i twarzy. Poszła do fryzjera i manicurzystki. Fred sugerował, by kupiła sobie nową wiosenną sukienkę, ale nie czuła się na siłach. Poza tym miała pełną szafę ubrań. Mogłaby rozdać połowę swoich strojów i niczego by jej nie brakowało. Kiedyś ubrania tak wiele dla niej znaczyły. Bardzo się wstydziła, że jej rodzina jest biedna bardzo chciała pokazać, że jest równie dobra, jak inni...

Nie, to nieprawda. Chciała pokazać, że jest lepsza.

Swój wstyd okryłam dumą. Tak było. Czyż nie, Panie? Niczym naga Ewa, która przywdziała listek figowy. Ukrywałam się.

W wielkanocny poranek Nora stała w swojej garderobie i przeglądała ubrania. Miała ochotę ubrać się na czarno, wiedziała jednak, że Anne-Lynn wolałaby kolory zwiastujące wiosnę i zmartwychwstanie. W końcu zdecydowała się na białe spodnie i różową bluzkę z perłowymi guzikami. Do tego założyła jasnozieloną marynarkę i długi szal w pastelowych odcieniach żółci, różu i zieleni. Do klapy przypięła wianuszek złotych liści z pąkami pereł. Przejrzała się w dużym lustrze i końcowy efekt ją zadowolił. Wyglądała wspaniale - lepiej niż kiedykolwiek.

Na zewnątrz.

Fredowi się podobało. Gdy schodziła po schodach, rozbłysły mu oczy. Kiedy znalazła się na samym dole, pocałował ją.

-Doskonale. Wyglądasz pięknie.

To słowo zakłuło ją w serce. Doskonale. Czy z tego biorą się wszystkie jej problemy? Czyż nie to było zawsze jej celem? Osiągnąć doskonałość we wszystkim. Musiała doskonale wyglądać, być doskonała, mieć doskonałe dzieci. Przez swoje nieustanne dążenie do doskonałości narobiła tyle kłopotów!

Jestem oszustką. W kościele Nora rozmyślała o swoim dzieciństwie i o tym, jak we wszystkim starała się być lepsza od innych. To babcia wymagała doskonałości, lecz Nora wiedziała, że nie może jej winić. Babka Helena była nieszczęśliwa i dlatego unieszczęśliwiała wszystkich wokół.

Tak jak ja. Dziadek Reinhardt przesiadywał na ławce - a wszyscy moi mężowie uciekli. Przysięgam sobie, że nigdy nie upodobnię się do babki, a stałam się dokładnie taka jak ona. Surowa, wymagająca, by wszystko odbywało się po mojej myśli, karząca, gdy tak się nie działo, zgorzkniała, pragnąca kontroli nad wszystkim, manipulująca. Już nie chcę taka być. Och, Boże, nie chcę, ale jak się mam zmienić? Panie, nie wiem już, co robić. Pomóż mi, proszę, och, pomóż!

Po nabożeństwie, gdy Nora udała się do toalety, Fred rozmawiał z pastorem Burnie. Gdy do nich dołączyła, pastor uśmiechnął się. Wyciągnął na wet do niej dłoń i powiedział, że się cieszy, widząc ją znowu w kościele. Odparła, że i ona jest rada z powrotu. Potem zebrała się na odwagę i powiedziała

-Przepraszam, pastorze Burnie. Źle się zachowałam.

Nie puścił jej ręki, lecz nakrył ją drugą dłonią.

-Wszystko wybaczone.

-Następnym razem będę słuchać.

Ani ona, ani Fred przez całą drogę do Oakland nie odzywali się do siebie. Fred włączył muzykę, która wypełniła samochód kojącymi dźwiękami orkiestry. Żołądek podchodził jej do gardła. Fred wyglądał na zamyślonego. Czyżby się

martwił, że Nora powie lub zrobi coś przykrego?

-Doskonały dzień na przyjęcie - powiedział, gdy skręcili w aleję Fruitvale.
Błękitne niebo i powódź słońca. Tak, doskonały dzień na przyjęcie w ogrodzie.
Och, Boże, pomóż mi przez to przejść. Pomóż mi! Pomóż!
Fred jechał ulicą biegnącą pod górę wzdłuż autostrady i skręcił w prawo. Na

szczyt wzgórza, u wlotu w uliczkę Annie, stał nowy znak „Straż sąsiedzka”. Nora nie była pewna, czy tylko jej się przywidziało, ale domy na ulicy wyglądały schludniej. Trawniki były skoszone, nie walały się żadne śmieci. Z okien budynku naprzeciw domu jej matki usunięto kraty.

Nie, to dom Anne-Lynn - poprawiła się w myślach. Być może myśląc o nim w ten sposób, łatwiej jej będzie znieść tę wizytę.

Przed domem stał samochód Corbana Solseka. Na podjeździe parkowały inne auta saturn Annie, stary volkswagen Susan Carter i czyjś wysłużony firebird. Dom będzie pełen gości.

Dom!

Nora szeroko otworzyła oczy. Zniknęły ciemne plamy, dyndające rynny, okap z odpadającą farbą. Dom był pomalowany na różowo i miał białe wykończenia. Nowy dach. Niewielki trawnik porastała bujna zieleń, trawa była krótko przystrzyżona. Kwitnąca śliwa pyszniła się bladoróżowym kwieciem. Przycięte krzewy kamelii i azalii, rosnące przed domem, pokryły się różowymi i białymi kwiatami. Z doniczek wiszących na werandzie wylewały się kiście jaskraworóżowych i szkarłatnych fuksji. Nawet biały płot wzdłuż prawej krawędzi podjazdu był naprawiony i świeżo pomalowany, tak samo jak wiata samochodowa i garaż.

-Annie nie próżnowała. - Fred uśmiechnął się do Nory, otwierając jej drzwi i pomagając wysiąść z samochodu.

-Wygląda tu cudownie. - Przemiana z trudem mieściła się jej w głowie. Na każdym schodku stała donica z różowymi i białymi kwiatami geranium. Na ganku, między dwoma białymi wiklinowymi fotelami, znajdował się mały, również wiklinowy, stolik, na nim zaś sześć glinianych doniczek z sadzonkami drzew. Każda doniczka była ozdobiona białą kokardą.

Drzwi stały otworem. Nad dzwonkiem wisiała kartka z napisem „Wchodźcie!”

Salon był pusty - nie licząc Barnaby, siedzącego na żerdzi.

-Co bedzieta robić?- zaskrzeczał ptak, kiwając głową. - Co bedzieta robić?

Z radia stojącego przy starym fotelu Leoty dobiegały ciche dźwięki współczesnej muzyki sakralnej. Dywany były wyprane, meble wypolerowane. Nad kominkiem wisiał nowy obraz - portret Leoty z czasów młodości. Nora cicho nabrała powietrza i zatrzymała je w płucach, czując ból w gardle. Pamiętała, że matka tak wyglądała. Była piękna.

Z prawej strony na gzymsie kominka stał elegancki marmurowo-mosiężny wazon z narcyzami i bzem. W pokoju unosił się słodki zapach.

-Pewnie wszyscy są w ogrodzie.

Nora zerknęła na Freda i skinęła głową, po czym wstrzymała oddech, widząc przez kuchenne okno ogród. Był kolorowy jak kraina z baśni. Wspomnienia napłynęły falą i przez chwilę Nora myślała, że ogarnie ją bezdenny smutek. Zaraz jednak zwróciła się ku chwili obecnej. Muszę się zdobyć na uśmiech dla Anne-Lynn.

W ogrodzie zobaczyła pozostałych gości. Corbana Solseka, Sama Cartera i Susan Carter z rodzicami, Arbę Wilson, Juanitę Alcalę i Lin Sansan z dziećmi. Wszyscy mieli powody, by źle o niej myśleć. Czyż przedtem sama nie miała o nich jak najgorszego zdania? Musiała zebrać się na całą odwagę, żeby podążyć za Fredem i stanąć z nimi twarzą w twarz.

-Mamusi! Fred! - Anne-Lynn podeszła się z nimi przywitać. Choć miała na sobie stare, wyblakłe niebieskie dżinsy i jasnożółty sweter, który dni swojej świetności miał już dawno za sobą, wyglądała przepięknie. Burza jasnorudych loków, zarumienione policzki. Złota opalenizna od ciągłego przebywania na słońcu. Błękitne oczy promieniejące radością. - Och, mamusi, ślicznie wyglądasz

-powiedziała i przez krótką chwilę, widząc pełne miłości spojrzenie córki, Nora czuła się piękna i kochana.

Przywitali się z pozostałymi gośćmi i podjęli niezobowiązującą rozmowę.

Wszyscy zachowywa

li się przyjaźnie, uśmiechali się i przyjęli ich serdecznie. Anne-Lynn podała matce wysoką szklankę z owocowym ponczem i weszła do domu po kolejne tace

zjedzeniem.

Nora nie mogła się nadziwić ogrodowi. Pierwszy raz widziała go tak pięknym, w pełnym rozkwicie. Uśmiechnęła się, dostrzegłszy zabawne drobiazgi, które Annie wetknęła tu i ówdzie. Komu przyszłoby do głowy, żeby umieścić w ogrodzie kule do kręgli? Na starym czerwonym wózku stały przyozdobione kokardami doniczki z młodymi drzewkami.

-To drzewka morelowe - podążając za jej wzrokiem poinformowała Annie, która

właśnie wyszła z kuchni z tacą. - Jest jedno dla każdego, kto zechce je wziąć do domu i zasadzić.

-Cudowny pomysł. - Nora naprawdę tak uważała. Annie uśmiechnęła się zachwycona.

Fred pogрузił się w rozmowie z Tomem Carterem. Zadzwońił telefon i Annie wbiegła do domu, zostawiając Norę samą.

Świeżo pomalowany garaż i mieszkanie na tyłach były dopasowane kolorem do domu. Nowym dodatkiem były okiennice z dekoracyjnymi rysunkami kwiatów. Drzwi do mieszkania stały otworem. Nora zajrzała do środka i na plecionym dywanie z gałganków ujrziała dzieci, grające w grę planszową. Anne-Lynn i tutaj przyłożyła rękę. Ściany pomalowała słonecznożółtą farbą i ozdobiła kolorową bordiurą. Stare łóżko i kanapa zniknęły - ich miejsce zajęły regały wypełnione książkami, grammi i przyborami malarskimi. Z mebli stały tu jedynie dwa stoliki do kart na jednym leżała w połowie ukończona układanka, na drugim książeczki do kolorowania, puszka z kredkami i plastikowa torebka z gliną. Na ścianach wisiały dziecięce malunki. Stały tam też dwie sztalugi. Do jednej przyczepione były tacki na farby, żeby dzieci mogły malować po obu jej stronach. Druga należała do Annie.

Brukowana cegłą ścieżka była zamieciona, szpary uzupełnione zaprawą murarską. Przy furtce stały ogrodowe chodaki Leoty - rosły w nich fiołki. Po płocie i pergoli pięły się jaskrawoczerwone róże. Ich zapach uderzał do głowy. Furtka do ogródka warzywnego była otwarta. Ile godzin spędziła tu jej matka, przekopując ziemię, sadząc rośliny, zajmując się ogrodem, zbierając plony? Nora przypomniła sobie, że sąsiedzi wymieniali się z matką warzywami. Kobieta z naprzeciwka w zamian za cebulkę perłową i pomidory przynosiła fasolę szparagową i cukinie. Teraz pod obsypanymi kwieciami drzewami owocowymi rosły żółte żonkile, czerwone tulipany, fioletowe hiacynty i białe narcyzy - wznosiły się z morza maleńkich ciemnoniebieskich śniedków i białej jak piana smagliczki. Nora nigdy nie widziała niczego równie pięknego.

Podeszła do niej Maryann Carter i stanęła obok pod pergolą z róż.

-Niesamowite, prawda? Gdy tylko to zobaczyłam, pomyślałam, że tak musiał wyglądać rajski ogród.

-Tak. - Nora miała ściśnięte gardło.

-I pachnie niebiańsko.

-Tak - odparła Nora, wciągając mieszankę zapachów róż, bzów, białych narcyzów, kapryfolium i gardenii. - Byłam głupia, mówiąc, że Annie nigdy nie zostanie artystką.

Maryann się uśmiechnęła.

-Niektórzy ludzie są jak obrazy Moneta. Trzeba dystansu, żeby dostrzec, czym są, i zachwycić się ich pięknem.

Wzruszona jej życzliwością, Nora się uśmiechnęła.

-Dziękuję.

Maryann położyła jej rękę na ramieniu.

-Może dolejemy sobie ponczu i usiądziemy, żeby się lepiej poznać?

Nora się uśmiechnęła.

-Z wielką przyjemnością.

-Annie mówiła, że w czerwcu kończysz studia - powiedział Corban do Sama. Stali oparci o samochód Annie i patrzyli na gości w ogrodzie.

-Aha. Z wyróżnieniem.

-Nie jesteś zbyt dumny, co?

Sam uśmiechnął się od ucha do ucha.

-Oczywiście, że jestem. Nieźle, jak na gościa, który ledwie przebrnął przez szkołę średnią i spędził kilka miesięcy w poprawczaku. - Podniósł puszkę z piwem i udał, że salutuje. - Dorośnięcie zajęło mi trochę czasu.

-Masz już jakąś posadę na oku?

-Byłem na paru rozmowach. Zastanawiam się nad pracą w Departamencie Policji Los Angeles. Może mi się poszczęści i znów znajdę się w domu poprawczym. Oczywiście w innej roli. Ale wstrzymam się z decyzją do końca lata. Chciałbym trochę popodróżować, zanim ugrzęznę na etacie. A ty? Słyszałem od Annie, że też odbierasz dyplom w czerwcu. Magna cum laude. Imponujące. Wciąż chcesz iść na studia podyplomowe w Stanfordzie?

-Nie, w Kaliforni mają lepszy program dla absolwentów, więc postanowiłem tam pojechać.

-Akurat. Ciekawe, dlaczego chcesz zostać tak blisko Oakland.

Ignorując go, Corban obserwował Annie krążącą między gośćmi. Była tak piękna, że aż bolało go serce.

-Człowieku, trafiło cię dokładnie tak, jak mnie.

Corban zerknął na niego.

-Co?

-Annie. Prawie się ślinisz. - Przez chwilę patrzył na nią, po czym uśmiechnął się smutno.

-Przyjmij radę od kogoś, kto już stukał do tych drzwi. Daj sobie spokój.

-Fakt, że tobie się nie udało, nie znaczy, że ja nie mam szans.

Sam się roześmiał.

-Jesteś dosyć pewny siebie, co? Nawet gdybyś był chrześcijaninem, nie znalazłbyś na to modlitwy.

Corbanowi zwężyły się oczy. Sam Carter przekazywał mu same złe wieści. Choć oczywiście nie spodziewał się słów zachęty od odtrąconego zalotnika, postanowił pociągnąć go za język.

-Dlaczego nie?

-Bo ona już jest zaślubiona.

-Zaślubiona? - Spojrzał najpierw na Annie, potem na Sama. - O czym ty mówisz? Ona nie ma męża.

-Ma, staruszk. Tylko ty tego nie rozumiesz.

-Uśmiechnął się smutno. - Pojąłem to późno, chociaż mówiła mi wprost, że marnuję czas. Sądziłem, że złamię ją wdziękiem i urodą. - Spojrzał z czułością na Annie. - Rozmawiała z tobą o Bogu?

-Jasne. - Temat Jezusa Chrystusa wypływał co i rusz. Nawet gdy Corban próbował skierować rozmowę na inne tory, Annie zawsze wracała do Boga. - Chodzę na zajęcia z religioznawstwa porównawczego.

Sam znowu wybuchnął śmiechem.

-O, to robi na niej wrażenie.

Ten facet bywał bardziej dokuczliwy niż wysypka.

-Nie znam się za dobrze na religii. Pomyślałem, że warto dowiedzieć się czegoś więcej.

-Religia to jedno. Wiara to zupełnie co innego.

-Tak mówi Annie.

-Wystarczy, że będziesz ją obserwował, a zrozumiesz różnicę. Mówiła coś jeszcze?

Corban odwrócił oczy od rozbawionej twarzy Sama. Annie podsumowała cały program

jego zajęć w kilku miejscach „We wszystkich religiach świata człowiek próbuje wspiąć się do Boga, tak jak się wchodzi po drabinie. Dąży do tego, żeby uzyskać coś dla siebie. Chrześcijaństwo to jedyna religia, w której Bóg wyciąga rękę do człowieka i ofiaruje mu zbawienie w darze, a dodatkowo przez Jezusa Chrystusa umożliwia osobisty związek z Bogiem Stwórcą, który był, zanim świat zaczął istnieć”.

Corban westchnął.

-Mówiła o tym, że łaska jest darem, który nic nie kosztuje.

Sam znów zasalutował puszką.

-Owszem, to dar, ale miał swoją cenę. I w tym cała trudność, staruszk.

Nasza słodka Annie jest bez pamięci zakochana w Tym, który okupił zbawienie własną krwią. - Zadarł głowę i uśmiechnął się ironicznie. - Myślisz, że możesz konkurować z Jezusem Chrystusem?

-Wiara może połączyć ludzi.

-Prawda. Ale w co ty wierzysz?

-Jeszcze nie jestem pewien. - Zanim poznał Annie, nie przyszłoby mu do głowy wierzyć w cokolwiek poza sobą.

Sam wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu.

-Ona cię jeszcze nawróci, stary. A potem puści wolno.

Corban zerknął na niego rozdrażniony.

-Czyżbym słyszał zawiść w twoim głosie?

-Nie. Tylko mam nadzieję, że następnym razem, kiedy spotkam taką

dziewczynę, będę mógł ją poślubić. - Sam patrzył na Annie z czułością. - Ona po prostu chce, żeby wszyscy mieli takie samo poczucie radości i wolności, jak ona.

-Pokręcił głową. - Wspaniale jest na nią patrzeć, co?

Corban nie mógł zaprzeczyć. Annie promieniała, a jej radość zdawała się spływać na wszystkich, do których podeszła... poza Norą Gaines ta była chudsza i bledsza, niż gdy Corban widział ją ostatnio. Kiedy wchodziła do ogrodu przez

drzwi na tyłach domu, wyglądała jak mała przestraszona dziewczynka. Teraz siedziała z mamą Susan, rozmawiała i była chyba mniej zdenerwowana. Wciąż pogrążona w melancholijnej zadumie, ale przystępna. Annie podeszła na chwilę do dwóch kobiet, wzięła matkę za rękę, lekko ją uścisnęła, pochyliła się i pocałowała ją w policzek, po czym odeszła porozmawiać z ciocią Jeanne.

George Reinhardt rozmawiał z Tomem Carterem i Fredem Gainesem. Corban był ciekaw, jak wiedzie się teraz staremu Gerogeowi, gdy matka udała się na spotkanie ze świętym Piotrem, zostawiając synowi grubszą sumkę. Na pierwszy rzut oka George nie wyglądał na szczęśliwszego niż wtedy, kiedy Corban widział go pierwszy raz.

Annie spojrzała w jego stronę i uśmiechnęła się. Ku jego wielkiemu rozgoryczeniu uśmiechnęła się również do Sama Cartera. Nie była stronnicza.

-Szkoda, że Annie nas nie potrzebuje - powiedział Sam, odsuwając się od samochodu.

-Może kiedyś...

-Nie oczekuj za wiele. Wszystko, czego jej trzeba, ma w Ogrodzie Leoty.

Corban ledwie przeczuwał, co Sam miał na myśli.

Annie postawiła półmiski z jedzeniem na stole w jadalni, obok zaś piętrzyły się ułożone w stos talerze, by goście mogli się częstować, kiedy przyjdzie im ochota. Wujek George, jak zwykle, siedział sam w salonie i oglądał mecz. Obok niego stało piwo - jedna z sześciu puszek, które przywiózł. Gdy Annie na niego patrzyła, ogarniał ją smutek. Wujek bawił się w towarzystwie przez godzinę, potem zamknął się w sobie.

Przynajmniej Jeanne miło spędzała czas, rozmawiając i śmiejąc się z Arwą, Marshall i Mitzi - gdy Annie widziała ich ostatnio - też świetnie się bawili z innymi dziećmi. Wokół wujka Georgea toczyło się życie, ale on był na nie ślepy i głuchy.

Annie pomyślała o dziadku Bernardzie i o tym, co opowiadała o nim babcia Leota. Czy wujek George stanie się taki jak on? Zamknięty w sobie razem z nękającymi go demonami?

Panie, czego on się boi?

A mama? Bardzo się starała być dla wszystkich grzeczna i miła. Przestrzegała zasad.

Och, babciu, szkoda, że cię tu nie ma. Annie zacisnęła usta i dokończyła układać sztućce i serwetki.

Mama przez chwilę rozmawiała z wujkiem Geor- rgeem, po czym poszła do łazienki. Czy nadal tam jest? Nie, drzwi są otwarte. Annie znalazła ją w drugiej sypialni patrzyła na ścianę, na której wisiało kilka zdjęć.

-Nigdy nie widziałam tej fotografii - powiedziała Nora, patrząc na Helenę i Gottlieba Reinhardtów w dniu ich ślubu.

-Znalazłam ją na strychu. Ta z babcią Leotą i dziadkiem Bernardem była w sypialni. A odbitkę waszego ślubnego zdjęcia dał mi Fred. Musiałam nieźle kombinować, żeby namówić tatę na przysłanie mi swojego zdjęcia. Zostawiłam też miejsce na Michaela. Może zdobędę kopię jego fotografii z dnia ukończenia szkoły.

-Ja się tym zajmę.

Nora spojrzała na pamiątkową gablotkę i Annie zastanawiała się, o czym matka myśli. Do gablotki włożyła Srebrną Gwiazdę, Brązową Gwiazdę i Purpurowe Serce Bernarda oraz kilka narzędzi z pudła w garażu taśmę mierniczą, młotek, plany mieszkania i parę gwoździ. Matka powędrowała spojrzeniem ku tabliczce umieszczonej na środku ściany. Annie czekała, nie odzywając się, dając jej czas. Kaligrafowanie zajęło jej wiele godzin dokładnie sprawdzała każde słowo, żeby je poprawnie napisać. Wszak nie znała języka niemieckiego.
Denn also hat Gott die Welt geliebt dass er seinen, eingeborenen Sohn gab, damit alle, die an ihn glauben, nicht verloren werden, sondern das ewige Leben haben.

Johannes 316

-To nie powinno być takie proste - powiedziała cicho Nora.

„Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jedno-rodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne." Ewangelia według Św. Jana 3,16.

-Jedynie, czego nie wybaczy Bóg, to odrzucenie wiary i daru Ducha Świętego.

-Ja wierzę, ale...

Serce pękało Annie z bólu, gdy patrzyła na cierpiącą twarz matki. Eleonora Gaines będzie ponosić konsekwencje swojego zachowania przez lata, i resztę życia

spędzi pogrążona w żalu. Ale nie musi dożyć końca swoich dni, sądząc, że nigdy nie była kochana. Bóg ją kocha. Kochała ją też babcia Leota. Mama musi się o tym dowiedzieć. Musi przyjąć miłość, by ruszyć z miejsca i zrobić coś sensownego ze swoim życiem. Babcia Leota to rozumiała i kierowana przez Boga, zatroszczyła się

o to. Nadszedł czas, aby i matka się
o tym przekonała.

Annie podeszła do starej maszyny do szycia, która stała pod oknem wychodzącym
na podjazd

1 porośnięty różami płot.

-Babcia mówiła, że byłaś zdolną krawcową, mamusiu. Opowiadała, że chodziłaś
do eleganckich sklepów z ubraniami, podpatrywałaś najnowsze fasony,
przychodziłaś do domu i sama je udoskonalałaś. Podobno miałaś wielki talent i
mogłaś zostać projektantką.

-Naprawdę tak mówiła?

-Tak. Była z ciebie bardzo dumna. Podobno wszystkie kobiety w rodzinie były
artystkami. Prababcia Helena wspaniale haftowała i gotowała. Prababka Joyce była
znakomitą rysowniczką. Babcia Leota miała talent do ogrodnictwa. A ty jesteś
naszą projektantką mody. - W oczach matki pojawiły się łzy.

Ojczy, czy ona słucha... naprawdę słucha?

Annie wiedziała, że mama bardzo chce rozpocząć nowy rozdział w życiu, chce
być lepsza niż przedtem, chce być odważna. Ale to nie wystarczy.
Muszą wyrzec się siebie, zrozumieć, kim jest w oczach Boga i pozwolić Mu
sobą kierować. Czy zechce zrezygnować ze swojej dumy dla tak wielkiego celu?

Dziś mógłby być wielki początek. Proszę, Panie, proszę. Sprawiliś, że
zmiękła. Czy przyjmie ziarno?

-Jest twoja, mamusiu. - Annie przesunęła ręką po śliskiej drewnianej
powierzchni zabytkowego singera. - Możesz ją zabrać, kiedy zechcesz.

-Ta maszyna należy do ciebie, Anne-Lynn. Wszystko w tym domu należy do ciebie.

Annie poznała po głosie, że jej matka cierpi. Choć otrzymała fortunę w papierach wartościowych, czuła się odrzucona.

-Babcia Leota zostawiła mi te rzeczy, bo wiedziała, że przekażę je tobie i wujkowi, kiedy będziecie gotowi. Maszyna należy do ciebie, mamusiu. Babcia chciała, żebyś ją miała.

Nora nieśmiało zaczerpnęła tchu.

-Skąd możesz to wiedzieć? - Była taka niepewna, pełna nadziei.

-Otwórz ją. Sama zobacz. - Annie pocałowała mamę i wyszła z pokoju.

Kiedy została sama, Nora zadrżała. Pamiętała wszystkie godziny spędzone przy tej starej maszynie do szycia. Miała z tego tyle przyjemności i satysfakcji. Zatracała się w pracy. Kiedy przestała szyć? Dlaczego? Czy to było tego roku, kiedy odeszła z domu i poślubiła Bryana? Wtedy kupiła inną maszynę, nowszą. Mijały lata i stać ją było na kupowanie gotowych ubrań. Poza tym wciąż brakowało jej czasu na szycie. Była zajęta wożeniem Annie do szkoły, na lekcje muzyki czy inne zajęcia, które wymyślała dla córki.

Przesunęła ręką po starej maszynie, patrząc teraz na nią nowymi oczyma. Matka chroniła się w ogrodzie, a ona uciekała do tego pokoju, pograżała się w pracy, marzyła, mając nadzieję, że życie to coś więcej niż samotność i odrzucenie. Och, mamusiu, nie różniłyśmy się od siebie aż tak bardzo, prawda? Czemu wcześniej tego nie dostrzegałam? Uniosła pokrywę, sięgnęła ręką do środka, wyjęła starą maszynę i ustawiła ją w pozycji do szycia.

Z przodu ktoś przykleił taśmą białą kopertę. Widniało na niej słowo „Eleonora”, napisane pismem matki. Nora otworzyła ją drżącymi rękoma.

Najdroższa Eleonoro,

Wiedziałam, że pewnego dnia odnajdziesz drogę do siebie i znowu otworzysz tę maszynę. Jestem z ciebie taka dumna. Pamiętam, jak stałam w drzwiach i patrzyłam, jak szyjesz. Byłaś cudownie skupiona. Taka skrupulatna. Nigdy nie byłaś zadowolona dopóty, dopóki nie zrobiłaś wszystkiego jak należy. I szylaś piękne ubrania, kochanie ubrania, które mogły wyjść tylko spod ręki artysty. A wiesz, artystyczny talent krąży w żyłach całej naszej rodziny. Twój ojciec był mistrzem ciesielskim. Przyjrzyj się tylko gzymsowi kominka, mieszkaniu za garażem, pergoli w ogródku warzywnym. Babcia Helena robiła najlepszą struclę po tej stronie Atlantyku. A twój dziadek nauczył mnie, jak uprawiać rośliny. Masz wspaniałe dziedzictwo.

Lubię sobie wyobrażać, że pewnego dnia znowu usiądziesz przy tej maszynie, by

szyć stroje na kościelne święta, ubrania ciążowe dla biednych matek, kostiumy dla dzieci i ładne sukienki dla drobnych owdowiałych staruszek, takich jak ja. Pan będzie cię za to błogosławił. Wiem, że tak.

Powiedziałaś mi kiedyś, że nigdy cię nie kochałam. Och, jak bardzo się mylisz, kochanie. Jesteś córką, o którą zawsze się modliłam, Eleonoro. Kochałam cię od chwili, gdy się dowiedziałam, że przyjdiesz na świat. Kochałam cię jeszcze bardziej, kiedy trzymałam cię w ramionach. Dałam ci imię po pewnej niezwyklej damie, kobiecie wielkiego charakteru - Bóg stworzył cię, byś taka właśnie była. Zaufaj Mu, a On ulepi z ciebie swoje naczynie. I pamiętaj... nigdy nie przestałam cię kochać, Eleonoro, nawet przez te lata, gdy myślałaś inaczej. Jesteś moją umiłowaną córką. Tulę cię do serca nawet wtedy, kiedy jesteśmy osobno. I gdziekolwiek jestem w chwili, gdy czytasz ten list, bądź pewna, moja ukochana

Wciąż cię kocham.

Mama.

Nora płakała. Przeczytała list jeszcze raz, przez łzy, potem przycisnęła go

do piersi i przeczytała znowu.

-Annie powiedziała, że cię tutaj znajdę - Fred stanął za nią. Położył jej ręce na ramionach i zaczął delikatnie masować mięśnie. - Podobno twoja matka chciała, żebyś wzięła maszynę do szycia. Chcesz ją?

-Chcę. - Bardziej niż cegokolwiek innego. Bardziej niż wszystkich papierów wartościowych, które symbolizują tylko zimne pieniądze. Kiedy odczytano testament, Nora poczuła się wydziedziczona. A teraz czuła się jak syn marnotrawny witany w domu przez uradowanego rodzica. Starannie złożyła list od matki i włożyła go z po

wrotem do koperty, wsunęła ją do kieszeni marynarki i nakryła dłonią. Miała to, co naprawdę ważne. Miała to, co naprawdę się liczy. Miłość.

-George przyjechał furgonetką - powiedział Fred. - Może go namówię, żeby wieczorem przewiózł do nas tę maszynę. Mogą u nas zostać na noc.

-Wcześniej nigdy nie nocowali.

-Zawsze jest ten pierwszy raz.

-Mamy mnóstwo miejsca.

-Dzieci mogłyby pojechać naszym samochodem.

-Byłoby miło.

Fred obrócił ją twarzą do siebie i uniósł jej podbródek. Spojrzał na nią uważnie.

-Dobrze się czujesz?

-Jeszcze nie, ale... wiem, że moja matka mnie kochała. - Dziękuję Ci, Panie, och, dziękuję.

Pochylił się i pocałował ją.

-Ja też cię kocham, Noro. Od chwili, gdy cię spotkałem. Zawsze będę cię kochał.

O, drogi Jezu. Nie zasługuję na to i jestem tak bardzo, bardzo wdzięczna. Przez dłuższą chwilę stała w objęciach męża.

-Zrobisz coś dla mnie, Fred?

-Co znowu? - spytał żartobliwie.

Odsunęła się lekko i popatrzyła mu w oczy.

-Nie nazyrwaj mnie już Norą. - Uśmiechnęła się. - Mów do mnie Eleonora.

Annie skończyła wycierać ostatnie talerze babci i włożyła je do szafki. W pralce wirowały obrusy, serwetki i kilka ściereczek. Resztki jedzenia schowała do lodówki. Arbę wyprawiła do domu z sałatką ziemniaczaną, Juanicie dała kilka kawałków

strucli jabłkowej, a Lin Sansan - kioskę ziemniaczaną.

Uśmiechając się pod nosem, Annie pozamykała szafki. No cóż, Panie, mieliśmy dziś iście międzynarodowy dzień, prawda? Niczym zjazd Narodów Zjednoczonych w naszym ogródku!

To był cudowny dzień. Na przyjęciu w Ogrodzie Leoty stawili się wszyscy zaproszeni goście. Juanicie udało się nawet wyciągnąć męża, Jorgego. Był cichym człowiekiem i w tłumie kręcących się po ogrodzie ludzi zachowywał się raczej nieufnie, ale ożywił się, kiedy żona przedstawiła go Lin Sansan i jej mężowi, Queynowi Tan Ng. Mężczyźni widzieli się pierwszy raz w życiu. Zdumiewające, bo przecież od trzech lat są sąsiadami!

W połowie popołudnia Annie postanowiła, że zorganizuje sąsiedzkie party.

Niebawem przyjdzie lato - najlepsza pora roku na taką imprezę. Kiedy wspomniała Arbie o swoim pomysle, serdeczna sąsiadka w pełni ją poparła i zaoferowała pomoc. Juanita też. Przekazą wiadomość pozostałym mieszkańcom ulicy.

Panie, do końca lata chcę poznać wszystkich sąsiadów z imienia. Każdego mężczyznę, kobietę i dziecko! Ludzie tak bardzo się boją, Panie. Chciałabym, żeby było tu jak dawniej, gdy wszyscy się znali i rozmawiali ze sobą, stojąc przy płocie.

Babcia Leota opowiadała, jak żyło się tu pięćdziesiąt lat temu. Annie wiedziała, że znów może tak być. Już coś zaczynało się zmieniać. Kiedy Annie udostępniła ogród dzieciom, zaczęły do niego przychodzić także ich matki. Arba, Juanita i Sansan często siadywały na podwórku i rozmawiały, nawet gdy Annie pracowała - co zdarzało się często, odkąd Arba przedstawiła ją Mirandzie Wentworth, dekoratorce wnętrz. Po tym, jak Miranda obejrzała jej wykończenia i bordiury, Annie dostawała więcej zleceń, niż mogła zrealizować. Poza tym galeria chciała wystawić jej kolejny obraz. Właściciel zjawił się pewnego dnia i chciał kupić portret Leoty, lecz Annie nie przyjęła oferty. Myślała o namalowaniu Arby, Juanity i San San pijących herbatę w ogrodzie. Przedstawiały wspaniały widok, a jeszcze wspanialej byłoby je malować. Były tak różne od siebie. Arba w jaskrawych kolorach, Juanita w staromodnej sukience z lat pięćdziesiątych, Lin Sansan w czarnych spodniach i białej bluzce ze stójką... różne, a jednak jakoś do siebie pasujące.

Wszyscy uwielbiali ogród. I wszyscy coś do niego przynosili. Annie ciągle dostawała rośliny w doniczkach, nasiona i rozmaite drobiazgi do wetknięcia w zielone zakątki. Sam przyniósł dziś ceramicznego anioła - śmiesznego, pucułowatego, skrzydlatego malca, który w niczym nie przypominał aniołów opisywanych w Biblii.

Babcia Leota rozplanowała i zaprojektowała ogród. Przez lata ciężko pracowała i sadziła rośliny, nie tracąc nadziei i wciąż modląc się, by ten niewielki kawałek ziemi stał się sanktuarium dla tych, których kochała. Snuła marzenia i odmawiała modlitwy, klęcząc na ziemi i sadząc cebulki. Wierzyła, że pewnego dnia jej marzenia się ziszczą. Nigdy nie straciła nadziei.

Ten wielkanocny dzień sprawiłby jej ogromną radość. Annie bardzo żałowała, że babcia nie mogła usiąść pośród kwiatów i patrzeć, jak wszyscy cieszą się pięknem jej ogrodu. Sam, Susan, Corban, Arba i dzieci z sąsiedztwa pomagali przywrócić

mu dawną świetność. Annie chciała, żeby ludzie czuli się tu jak u siebie w domu.

Ogród nie

może należeć do jednej osoby. Ogród jest od tego, by się nim dzielić, by w nim pracować, cieszyć się, modlić. Ogród to katedra pod gołym niebem zbudowana na chwałę Pana, żywy pomnik Jego narodzin, życia, śmierci i zmartwychwstania. Każda pora roku jest jak dźwięk trąby każdy wschód i zachód słońca codziennie przypomina o Bożej chwale. Annie miała nadzieję, że tutaj, w tym małym zakątku małej dzielnicy łatwiej będzie ludziom zrozumieć, jaki powinien być świat.

Mama w końcu dojdzie do siebie. Wujek George i Fred zanieśli starą maszynę do szycia do furgonetki. Wujek zgodził się ją przewieźć do Black Hawk, ale nie chciał zostać tam na noc. Powiedział, że rano musi być w pracy. Biedny wujek George, wolny od długów, zadłużony na zawsze. Czy kiedyś pozbędzie się swego brzemienia? Annie wiedziała, że do niego babcia Leota także napisała list.

Sprzątnąwszy wszystko w kuchni, poszła do salonu i wzięła do ręki Porwanego za miodu Roberta Lewisa Stevenson. Przesunęła dłonią po zniszczonej okładce. Babcia Leota mówiła, że kiedy wujek George był małym chłopcem, uwielbiał czytać. Tę książkę lubił najbardziej. Annie położyła ją na stoliku, mając nadzieję, że wujek po nią sięgnie, przekartkuje - i znajdzie wetknięty między kartki list. Nie dotknął jej nawet. Większość popołudnia spędził samotnie, oglądając telewizję. Annie nie zauważyła, żeby choć rzucił okiem na stare albumy, które położyła otwarte na stole. Mama zabrała jeden do domu.

Dla wujka Georgea to jeszcze nie był właściwy czas. Może gdy przyjedzie następnym razem, rozejrzy się, wróci myślami do przeszłości, zastanowi się. Może wtedy będzie gotów zadać sobie bolesne pytania i uzyskać zbawienne odpowiedzi. Panie, złagodź jego serce, proszę. Annie otworzyła szufladę w stoliku przy starym fotelu babci i schowała do niej książkę. Bóg da jej znak, gdy nadejdzie odpowiedni czas, by znowu ją wyjąć. Tymczasem Annie będzie się modlić. Babcia Leota ją tego nauczyła. Nigdy się nie poddawać. Nigdy nie rozpaczać. Modlić się bez względu na to, co czujemy lub myślimy. Zawsze wybierać nadzieję!

Zapach bzów i narcyzów roznosił się po całym pokoju. Annie spojrzała na portret babci. Serce podeszło jej do gardła, gdy mama zatrzymała się przy nim, zanim odjechała do domu.

-Naprawdę masz talent, Annie. Nie słuchaj nikogo, łącznie ze mną, kto temu zaprzeczy. - Potem mama popatrzyła na marmurowo-mosiężną urnę, niegdyś zawierającą popioły Leoty, w której teraz stały kwiaty. - Twoja babcia uwielbiała bzy. - Dotknęła kilku kwiatów.

-Tak, to prawda. Kochała też żonkile.

Eleonora odwróciła się i spojrzała na Annie.
Uśmiechnęła się, a do oczu nabiegły jej łzy.

-I róże.

Annie odpowiedziała uśmiechem. Mama wiedziała.

-Tak, i róże.

Och, to był cudowny dzień, babciu. A ty przez cały czas byłaś z nami, w naszych sercach. Żyjesz i jesteś u boku naszego Pana.

Salon był uporządkowany, drzwi zamknięte na zasuwkę. Annie przeszła przez kuchnię na tylną werandę. Wyszła na zimne wieczorne powietrze. Cykały świerszcze, zarechotało kilka żab. Ciągnęło je do kącika w ogrodzie, w którym Annie zrobiła fontannę. Użyła do tego przepołowionej baryłki na wino i małej pompki kupionej w sklepie żelaznym na East Fourteenth. Do środka włożyła rozmaite rośliny wodne. Uwielbiała szum płynącej wody. To tak, jakby płynął tędy strumyk, a żaby oczyszczą ogród z robaków.

Pomaszerowała ścieżką do ogródka warzywnego. Wszedł księżyc, w jego odbitym świetle połyskiwała biała smagliczka, gardenie, blade pąki na drzewach, jaśminy i narcyzy. Kwiaty świeciły własnym światłem. Blask gwiazd, księżycy i białych płatków rozświetlał ciemność. W powietrzu unosił się słodki zapach.

Annie przypomniała sobie pierwszy dzień, kiedy patrzyła na ogród przez kuchenne okno. Był zaniedbany, zachwaszczony, w niektórych miejscach wyschnięty i jałowy... drzewa i krzewy wymagały przycięcia. Babcia opowiedziała jej, jak ogród wyglądał dawniej. Annie wyobraziła go sobie i marzyła, by znów zobaczyć go w całym pięknie. Rozpoczęła pracę pod okiem babci. Przekopała i nawiozła ziemię, zasadziła rośliny. Drzewom i krzakom podcięła gałęzie. To była ciężka praca, ale warta obolałych mięśni, połamanych paznokci, zadrapań, siniaków i bąbli.

Przydarzały się niespodzianki. Z cebulek zasadzonych wiele lat temu i zapomnianych przez babcię wyrosły teraz kwiaty. Dawno obumarłe byliny zostawiły w ziemi swoje nasiona i znowu wschodziły. Wszędzie wyrastało nowe życie, jakby Bóg pobłogosławił ten mały skrawek ziemi.

Przez cały dzień Annie przyglądała się krewnym, przyjaciołom i sąsiadom spacerującym po ogrodzie i wciąż myślała o tym, że ludzie są jak kwiaty. Niektórzy jak maiki, które kwitną śmiało, lecz krótko. Inni jak zdobna winorośl, passiflora bądź milin. Jeszcze inni to nieśmiałe fiołki i lak popospolity. A wszyscy razem tworzą taki piękny świat. Są różni i tak zdumiewający.

Annie była bardzo wdzięczna nawet za ten krótki czas, który mogła spędzić z babcią Leotą. Zanim ją poznała, nigdy tak naprawdę nie zastanawiała się nad znaczeniem ogrodu. Babcia Leota powiedziała kiedyś, że wszystkie ważne rzeczy zdarzyły się w ogrodzie...

„Bóg stworzył dla człowieka ogród i umieścił go w nim. Adam i Ewa zgrzeszyli w ogrodzie. Jezus nauczał w ogrodzie. Nasz Pan modlił się w ogrodzie. W ogrodzie został zdradzony. I w ogrodzie powstał z martwych. A pewnego dnia... - oczy babci lśniły - wszyscy pojednamy się w ogrodzie”.

Choć może nie wszyscy.

Annie zmarszczyła czoło. Corban przez cały dzień i wieczór czekał, aż będzie mógł zostać z nią sam na sam. Wiedziała, że jest w niej zakochany i próbowała odwieść go od powiedzenia czegoś, co potem mogłoby wprawić go w zakłopotanie. Był jednak nieustępliwy, zdecydowany. Dużo bardziej niż przedtem Sam. Ale w końcu Sam to chrześcijanin. Zrozumiał ją i zaakceptował jej wybór. Gdybyż tylko

Corban poczuł tę zbawienną wiarę, odnalazł kierunek, cel i radość, za którymi tęsknił. Może wtedy jego życie stałoby się łatwiejsze, przestałoby być takie bezcelowe i niosłoby ze sobą więcej radości.

-Jestem w tobie zakochany, Annie.

-Wiem, Corbanie, ale ja nie mogę cię kochać tak, jak byś chciał. - Mogła powiedzieć tylko prawdę, mimo iż go tym raniła. Widziała jego rozczarowanie i tęsknotę, ale była zadowolona. Wciąż będzie próbować zwrócić jego uwagę w stronę

Pana. To wszystko, co może zrobić.

Będzie się modlić o jego zbawienie, nawet jeśli Corban zechce jej wyperswadować życie w pojedynkę, życie w biednej dzielnicy, życie dla innych zamiast dla siebie. - Tu jest moje miejsce, Corbanie. Jestem tu, gdzie chcę być. Czegóż mogłabym pragnąć bardziej niż życia w ogrodzie? - Może Corban z czasem zrozumie, co miała na myśli.

Stała na trawniku, wciągając pachnące powietrze wieczoru i patrząc w rozgwieżdżone niebo. Dawno minęła północ, najciemniejsza godzina - a jednak gwiazdy świeciły teraz jaśniej.

To był Twój dzień, Panie. Och, wiem, każdy dzień jest Twój, ale ten był wyjątkowy i dziękuję Ci za niego. Jesteś niesamowity. Och, Ojczy, kiedy odeszła babcia Leota, myślałam, że nie ma szans na pojednanie. Tak bardzo liczyłam, że pożyje trochę dłużej i mama będzie miała czas, by się poprawić. Z jakichś powodów miało być inaczej. Och, Panie, przyznaję, że kiedy babcia umarła, niemal straciłam nadzieję. Myślałam, że plan, który ułożyłeś dla mojej biednej, rozbitej rodziny, został zniszczony przez Szatana. A potem przypomniałeś mi o Ogrodzie, o wężu i o Twojej obietnicy Zbawiciela. I przyszedł Jezus. Przypomniałam sobie o Noem i jego krnąbrnych synach. Kazałeś im rozproszyć się po ziemi i rozmnażać, lecz oni zgromadzili się w jednym miejscu i zbudowali wieżę Babel, buntując się przeciwko Tobie. Wtedy wypełniłeś swój plan, mieszając im języki i rozpraszając po całej ziemi. Ludzie usiłują robić wszystko po swojemu, a jednak to Twoja wola zawsze triumfuje

Annie w uniesieniu wyciągnęła ręce do Boga niebos i ziemi.

O Panie, Boże mój, zachwycasz mnie! Roześmiała się głośno, tak szczęśliwa, że serce omal nie pękło jej z radości. O Panie, Panie, ile w Tobie majestatu. Ludzkie cele zawodzą, ale Twój plan zawsze się wypełni. Może się wydawać, że rządzi zło. Wybuchają wojny, przemoc szerzy się po świecie, a człowiek próbuje brać życie w swoje ręce, lecz triumfować zawsze będziesz Ty. Tak było i będzie. Wiedząc o tym, mogę spać spokojnie. Chwytam się Twoich obietnic, słucham Twojego głosu, wędruję po Twoich drogach. Ufam Ci, bez względu na to, co mówi lub czyni świat. Kiedyś nadejdzie mój dzień i wiem, że mnie nie opuścisz. Zaprowadzisz mnie bezpiecznie do domu.

Łagodny wiatr pieścił jej twarz. Annie wdychała balsamiczny zapach ogrodu. Westchnęła, opuściła ramiona i uśmiechnęła się. Weszła z powrotem do domu. Niedługo nadejdzie ranek.

Trzeba będzie wziąć się do pracy.

